

## OD AUTORA

**C**hociaż *Zgromadzenie świętych* to fikcja literacka, jednak w całości oparta na faktach historycznych. Niemal każda z występujących w powieści postaci jest prawdziwa i w zasadzie wszystkie zdarzenia rzeczywiście miały miejsce. Sceny bombardowań podczas Bitwy o Anglię zostały zrekonstruowane możliwie dokładnie na podstawie relacji dotyczących dat, zniszczeń, ilości ofiar śmiertelnych, a nawet warunków pogodowych.

Podczas pracy nad powieścią skorzystałem z ponad trzystu książek historycznych. Konsultowałem się też z wieloma ekspertami z dziedziny wojskowości, wywiadu i polityki. Szczególnie cenne okazały się takie pozycje jak, na przykład, *Secret Service* Christophera Andrew, *A history of British Secret Service* Richarda Deacona, *The Double Cross System in World War II* Jamesa Mastermana, *A letter from Grosvenor Square* Johna G. Winanta, *The Enigma War* Józefa Garlińskiego, *Firewatch Diary* Johna Betjemana, *St. Paul's Cathedral in Wartime* Deana W.R. Matthews, a wreszcie biografia sir Bernarda Spilsbury *Scalpel of Scotland Yard*.

Spośród wielu osób, które pomagały mi w zbieraniu materiałów, chciałbym szczególnie podziękować pani Betty Heller. Była ona na tyle uprzejma, aby spisać dla mnie swoje wspomnienia z okresu Bitwy o Anglię. Pragnę także wyrazić wdzięczność emerytowanej pracowniczce United States Office of Strategic Studies i CIA za nieocenioną wartość informacji dotyczące różnych wydarzeń 1940 roku oraz człowieka o pseudonimie Doktor. Z oczywistych przyczyn nazwisko adresatki tych podziękowań nie może zostać wymienione.

Christopher Hyde  
Point Roberts  
1995



# Rozdział pierwszy

SOBOTA, 7 WRZEŚNIA 1940 ROKU

## 4. 30 BRYTYJSKIEGO CZASU LETNIEGO

**I**nspektor Morris Black zbudził się raptownie i stwierdził, że znajduje się w gabinecie, we własnym mieszkaniu przy Shepherd's Market. Spojrzał na zegarek. Spał mniej niż godzinę. Mrugając przytomniał powoli. Ziewnął i zmarszczył brwi. W ustach czuł nieprzyjemny smak. Dwie duże porcje brandy miały pomóc na bezsenność, tak sobie przynajmniej obiecywał. Kiedy to z dwóch zrobiły się trzy, a potem cztery? Ile trwało, zanim stracił rachubę i potrzebę liczenia?

Książka, którą wcześniej przeglądał, leżała teraz pod nogami, obok jego fotela. Black wzdychając schylił się i podniósł ją. Jedna z jego ulubionych, autobiografia Williama F. Cody'ego znanego jako Buffalo Bill, rzadkość, pierwsze amerykańskie wydanie z autografem autora na stronie tytułowej.

Ostrożnie zamknął tomik i ponownie spojrzął na zegarek. Półtorej godziny do świtu. Właściwie nie warto już iść do łóżka, ale basen YMCA o tej porze jeszcze nie jest czynny, więc trudno zacząć dzień. Inspektor wstał, przeciągnął się, ziewnął. Złe nawyki. Za dużo ich, za często ostatnimi czasy im folguje. Podszedł do okna i wyjrzał. Ye Grapes i inne sklepy, wszystkie zamknięte, tonęły w ciemnościach.

Okna mieszczących się nad nimi mieszkań były starannie zasłonięte. Przez szczeliny we framudze wdierał się do gabinetu nocny chłód. Black zadrżał i mocniej zacisnął pasek starego jedwabnego szlafroka. Westchnął. Znów powracały wspomnienia. Ten szlafrok ofiarowała mu Fay na pierwszą rocznicę. Zamknął oczy. Czuł w piersiach znajomy ciężar, którego nie potrafił się pozbyć. Na dworze rozległ się przenikliwy sygnał. Wóz policyjny pędził przez Piccadilly w stronę Knightsbridge. O tej porze to zapewne fałszywy alarm wywołany przez jakąś histeryczną leciwą damę z South Kensington, a może włamanie na Cromwell Road? Nie jego rejon, nie jego problem. Pech.

Black głęboko wciągnął powietrze, potem powoli je wypuścił. Myśl o tym, że będzie musiał spędzić cały weekend bez pozwalającej zapomnieć o innych zmar-

twieniach pracy w Scotland Yardzie, była wystarczająco trudna; świadomość, że spędzi resztę życia bez Fay, wydawała się prawie nie do zniesienia. Po długiej chwili Morris Black odwrócił się od okna. Łyk brandy, tylko dla przepłukania ust, a potem może jeszcze godzina czy dwie snu bez marzeń i koszmarów. To najlepsze, na co mógł liczyć.

Numer usiadł skulony na łóżku, otoczył ramionami nagie kolana i nie odrywając wzroku od chłopca, po cichu liczył w ciemnościach. Ostatnia godzina przed świtem. Wyraźnie słyszał wszystkie dźwięki. Daleki turkot ciężarówek ciągnących do odległego o półtora kilometra składu Great Eastern przy Hare Street, podziemny łoskot pierwszego pociągu metra wjeżdżającego zaledwie kilka przecznic dalej na stację Whitechapel-Mile End. Zamknąwszy oczy, mógł przywołać nawet te odgłosy, o których wiedział, że wedrą się do pokoju dopiero później: jęki i głośne krzyki pacjentów pobliskiego zakładu dla obłąkanych, dzwony z kaplicy świętego Filipa przy New Street; całe to piekło, jakie rozszaleje się dokładnie za dwanaście godzin. Fascynowało go tykanie zegara, czas ujęty w niezmienną potęgę liczb, które utrzymywały świat w całości.

Schylił się i zaczął cicho nucić piosenkę o dziewięciu krawczykach, ofiarowując ją śpiącemu, chociaż w głębi serca wiedział, że dar nie zostanie przyjęty. Niepewnie wyciągnął dłoń. Opuszkami palców pogładził stopę chłopca. Już zimna. Numer zaważał się, niemal zgubił ciągle rozbrzmiewający w głowie rytm. Przecież chłopiec nie śpi, nigdy już nie uśnie.

Część rytuału dobiegła końca. Przewidywana rozkosz, krótka i gorąca, suche usta. Pełne drżenia oczekiwanie na tę doskonałą chwilę, kiedy przystojna twarz chłopca wtuliła się w poduszkę, a na karku, w miejscu nie zasłoniętym przez kołnierzyk lotniczej kurtki, ukazał się wąski pasek opalenizny, linia okalająca szyję jak przepowiednia. Błyszczące, ciemne włosy u nasady czaszki, pierwsze trzy kręgi wyraźnie rysujące się pod delikatną skórą.

Dygocąc z radości, Numer przesunął się do przodu. Pochylał się nad chłopcem, nakrywał go całym sobą, przytulał, kradł na zawsze pamięć tych chwil, wspomnienie dotyku twardego ciała i zakrwawionych dłoni, zimnych ust, oczu stygnących już, ale nadal miękkich pod poszukującym językiem. Oczy tak błękitne, jak przerażające niebo nachodzącego dnia. Oczy, które zobaczył po raz pierwszy tyśiąc lat temu. *X* znaczy miejsce.

Nucąc o ostatnim krawczyku, Numer łagodnie stoczył się z chłopca i uśmiechnął. *X* znaczy miejsce. *Z* opowiada historię.

Już od ponad roku balansowali na skraju przepaści. Francja padła, ale kogo obchodzi los Francji? Nad głowami mieszkańców miasta, niczym przewijające się kadry dokumentalnego filmu, toczyła się Bitwa o Anglię, z tej odległości wyglądająca równie niewinnie, jak rozgrywki krykieta.

Londyńczycy brali udział w tych rozgrywkach na różne sposoby. Dla bogatych oznaczały zamknięcie domów w stolicy i wyjazd na wieś, opuszczenie sezonu teatralnego i rezygnację z dorocznych wakacji na kontynencie. Można też było

zaczepić się w Ministerstwie Obrony i uszyć mundur na Savile Row. Dla biedaków, prowadzących życie pośród gazowni i składów East Endu, gra owa była znacznie mniej urozmaicona. Starcy opowiadali historie o Ypres, matki w bezsenne noce drżały myśląc o strasznym losie, jaki mógł przypaść ich synom.

W tę pierwszą wrześniową sobotę, po południu, mieszkańcy Londynu właśnie zasiadali do herbaty albo podnosili do ust kufelki piwa, ciesząc się świąteczną atmosferą weekendu, kiedy zawyły syreny przeciwlotnicze. Jednak u znakomitej większości londyńczyków obawa przed alarmami, zawsze dotychczas fałszywymi, już dawno temu przekształciła się w uczucie nudy, a nuda w obojętność. Wojny toczy się przecież na polach bitew, a nie w miastach. Syreny zignorowano, nadal nalewano herbatę i smarowano chleb masłem.

O 16.32 zaczęły spadać pierwsze bomby, bladoniebieskie pięćsetfuntówki i pociski zapalające, prawie niewidoczne na tle pociemniałego nieba.

Posilający się piwem w pubie Seven Stars, Jack Champion, stary łajdak, który na emeryturze zajął się handlem używaną odzieżą, dosłyszał wycie spadających na East End bomb dopiero po jakiejś minucie. Czując bliskie niebezpieczeństwo, Jack rzucił kufel i wypadł na dwór. Musiał przedostać się do swojego sklepu po drugiej stronie ulicy. Championa, podobnie jak i innych gości Seven Stars, zaszokował fakt, że naprawdę doszło do bombardowania i to w dodatku najuboższej dzielnicy. Trudno uwierzyć, by wujek Adolf mógłby zainteresować się miejscem słynącym głównie ze znacznej ilości szczurów.

Pierwsza z trzech bomb uderzyła w wąski, zaśmiecony zaułek, położony mniej niż dziesięć metrów od drzwi pubu Seven Stars, unicestwiając Jacka Championa i jego ostatnie myśli w piekle dwunastu tysięcy stopni. Fala uderzeniowa, poruszająca się z prędkością tysiąca trzystu kilometrów na godzinę, wydusiła życie z dwóch mężczyzn, którzy stali przed pubem, wyrwała framugi okien i zmieniła wnętrze Seven Stars w obłądny wir odłamków szkła, zabijając kolejnych osiem osób.

Po fali uderzeniowej nastąpiła implozja. Próżnię powstałą przy wybuchu wypełniło napływające gwałtownie powietrze. Frontowa ściana pubu i nędzne domy po obu jego stronach, osłabione poprzednimi wstrząsami, runęły w gruzy.

Eliza Champion, żona Jacka, umarła ułamek sekundy wcześniej. Stojąc w oknie mieszkania nad sklepem, zauważyła przebiegającego przez ulicę męża, ale zaraz potem oślepiła ją odległa zaledwie o pięć metrów eksplozja bomby. Mózg zdołał jedynie nakazać rękom, aby osłoniły oczy, kiedy w twarz uderzyły odłamki okiennej szyby, a klatka piersiowa, zgnieciona pod wpływem siły uderzeniowej, zmiażdżyła serce i płuca.

W tej samej chwili druga bomba trafiła gdzieś w połowie drogi pomiędzy wysokim, ceglany murem starej szkoły a tyłami domu Championów. Siła wybuchu w ciasnym zaułku była tak wielka, że bez trudu zdmuchnęła zaplecze sklepu i mieszkanie nad nim, grzebiąc to, co pozostało z Elizy Champion pod stertą mialkiego gruzu, który zaczął gwałtownie gorzeć. Ruiny przy Brick Lane stanęły w ogniu.

Trzecia bomba upadła w odległości pięćdziesięciu metrów od dwóch pierwszych i przebiła płaski dach kamieniczki obok domu Championów. Przebiwszy się

przez dwa piętra, eksplodowała w wilgotnej piwnicy o glinianej podłodze, demolując kompletnie nie tylko ten budynek i jego sąsiedztwo, ale także liczący dziewięćdziesiąt dwa lata gazociąg. Dzielnica, która jeszcze parę minut wcześniej wyglądała jak za czasów Dickensa, zmieniła się w krajobraz z sennego koszmaru. Wśród gruzów, niczym odpadki w rzeźni, wały się szczątki poszarpanych ciał.

W ciągu pół godziny olbrzymie obszary londyńskiego East Endu zostały zrównane z ziemią lub stały w płomieniach. Na wysokość półtora kilometra były w niebo słupy czarnego dymu, który uniemożliwiał start samolotom na odległym o prawie piętnaście kilometrów lotnisku, w Hornchurch. Poza terenem doków bombardowanie niemal nie tknęło innych obszarów. Zupełnie jakby Hitler spiskował z radą miejską w sprawie oczyszczenia dzielnic biedoty.

Nalot trwał i trwał przez całą noc. Niemieckie bombowce napływały falami nad miasto, kierując się łuną pożarów wzniecanych przez poprzedników. Eksplodowały składy rumu, melasy, amunicji i kauczuku. Tysiące strażaków, wśród których jednakże osiemdziesiąt procent stanowili niewyszkoleni ochotnicy, usiłowało walczyć z zagładą. Tego popołudnia i nocy zginęły setki ludzi, setki zostały ranne. Znaczna liczba mieszkańców East Endu znalazła się bez dachu nad głową. Tłumy kierowały się na zachód w desperackiej próbie ucieczki przed narastającym piekłem. W ciągu kilku godzin uchodźcy przedostali się do City, gdzie, ku przerażeniu lokalnych mieszkańców, szukali schronienia na stacjach metra Charing Cross i Leicester Square.

Piekielna noc zdawała się trwać bez końca. Gdy rozszalały się pożary, miliony szczurów rzuciły się do ucieczki przed ogniem. Buty strażaków zalewał czarny strumień kłębiących się zwierzęcych ciał, który znikał we włazach do kanałów tylko po to, by ujawnić się po chwili w innym miejscu. Bele sprasowanych liści w składzie herbaty zaczęły tlić się bez płomieni. Polane wodą przeobrażały się we wrzącą maź, uniemożliwiając ratownikom dalszą akcję.

Gorące powietrze wypalało płuca, wzniecało wirujące trąby, topiło ołów w witrażach okien kościołów, których wieże zamieniały się w płonące pochodnie, kiedy bombowce fala za falą przepływały nad miastem.

O trzeciej rano ostatni samolot zawrócił do Francji, ale pożary nadal huczały. Wkrótce ekipom ratowniczym pozostało już tylko jedno – utrzymać drogi ewakuacyjne dla tych, którzy nie wydostali się jeszcze z pułapki pierścieni ognia. Zbiorniki wody wyschły, grube koła wozów strażackich i cystern grzęzły w rozgrzanym błocie i same zaczynały się palić.

W końcu nadszedł świt. Dymiły ruiny tysięcy budynków. Całe ulice leżały obrócone w rumowiska. Jakiś ptak usiadł na wystającej spod zwału pokruszonych cegieł ręce. Rozdarta uderzeniem pocisku kobieta leżała w rynsztoku, którym płynęła odrażająca, kleista ciecz. Starzec w kapciach siedział oparty o potrzaskany mur. W miejscu, gdzie powinna znajdować się głowa, sterczał urwany dekiel samochodowy.

Poranne godziny policja spędzała na wyganianiu bezdomnych z podziemnych stacji metra. Zmywano perony, by pozbyć się lepkiego smrodu, ale nic nie było w stanie zagłuszyć intensywnego zapachu strachu. Stało się niemożliwe. Po

raz pierwszy od niemal tysiąca lat wróg najechał na Anglię. Powietrzna gra, tocząca się od prawie roku wysoko nad głowami londyńczyków, dobiegła końca. Jej reguły najwyraźniej uległy zmianie.

Nieco później tego ranka patrol obrony cywilnej uprzążający okolice Mount Street w Whitechapel, odkrył na wschodnim krańcu obszaru, który najbardziej ucierpiał podczas bombardowania, w pobliżu London Hospital jeszcze jedno martwe ciało. Wkrótce zauważono jednak, że młody człowiek nie zginął w wyniku nalotu. Zawiadomione odpowiednie władze przewiozły zwłoki do kostnicy University College Hospital, gdzie następnego dnia przeprowadzono sekcję. Autopsji dokonał sir Bernard Spilsbury, naczelny patolog Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Policję reprezentował inspektor Morris Black z Wydziału Śledczego Scotland Yardu.

# Rozdział drugi

PONIEDZIAŁEK, 9 WRZEŚNIA 1940 ROKU

## 8.15 BRYTYJSKIEGO CZASU LETNIEGO

**I**nspektor Morris Black powoli schodził pomalowaną na zielono klatką schodową University College Hospital. Usiłując zignorować ciężki, zatykający odór formaldehydu, skoncentrował się na myśli o własnej swędzącej głowie i przekrwionych oczach. Przykre te objawy stanowiły rezultat regularnych porannych wizyt na nowym basenie YMCA.

Włosy przeredzały się Blackowi już wcześniej. Wiedział doskonale, że zawarte w wodzie chemikalia tylko przyspieszają ten proces. Niemile było również zarządzenie, aby użytkownicy basenu kąpali się nago. A poza wszystkim Black nie cierpiał pływania.

Z drugiej strony jednak potrzebował intensywnych ćwiczeń, koniecznych dla policjanta ze znużeniem borykającego się z czterdziestym pierwszym rokiem życia. Co więcej, pływanie odrywało jego myśli od Fay. Żona nie żyła już od ponad roku, ale ból spowodowany jej stratą był tak samo dotkliwy, jak w dzień pogrzebu.

Tak więc inspektor Black pływał codziennie przed rozpoczęciem pracy. Pięćdziesiąt długości w wilgotnym, zielonkawym akwarium, wokół widmowe postacie nagich nieznanomych, samych mężczyzn, zwykle znacznie od niego starszych. Nigdy z nimi nie rozmawiał poza wymianą uprzejmie wymruczanych pozdrowień. Czasami zastanawiał się nad samotnością, która skłaniała tych starych ludzi, by przychodzili tu wczesnym rankiem. Zapewne dręczyły ich smutne wspomnienia, podobne do jego własnych, może łżejsze i mniej bolesne. Pływał i usiłował nie myśleć. Tak było łatwiej.

Schody skończyły się. Black skręcił w wąski korytarz po lewej stronie i przyspieszył kroku na widok otwartych drzwi. W wilgotnym, chłodnym pokoju pracował Spilsbury.

– A, to pan, Black. W samą porę.

– Tak jest, sir – uśmiechnął się inspektor. Spilsbury słynął z wyjątkowej punktualności, co zawsze Blackowi wydawało się nieco zabawne u człowieka tej profesji.



– Interesujące. – Wysoki, lekko łysiejący mężczyzna w długim białym kitlu spojrzął na leżące na stole sekcyjnym ciało. Sir Bernard Spilsbury, naczelny patolog Ministerstwa Spraw Wewnętrznych miał ponad sześćdziesiąt lat, ale mimo wieku i siwizny nadal był bardzo przystojny. Okulary w drucianej oprawce przesunął na czoło. Blackowi przypominał trochę gładko ogolonego Johna Barrymore'a. Ciemny garnitur pod fartuchem, elegancki i kosztowny, chociaż najwyraźniej niedawno uszyty, skrojony został według mody sprzed kilkunastu lat.

Morris Black uśmiechnął się lekko, patrząc jak starszy pan spaceruje dookoła stołu. Nie tylko garnitur sir Bernarda wydawał się dziwnie staroświecki. Spilsbury miał na sobie także wysoki, sztywny kołnierzyk. Podobny ojciec Blacka nosił na początku lat dwudziestych. Odkąd inspektor sięgał pamięcią, Spilsbury chodził zawsze tak samo ubrany.

– Tak, sir. To interesujące – zgodził się Black. Żadne inne słowa nie wydawały mu się na miejscu. Zadrzał. Sala gdzie dokonywano sekcji zwłok była zimna i surowa – cztery wyposażone w rowki odpływowe stoły na kółkach, zielone metalowe szafki wzdłuż ścian, lady pełne narzędzi od skalpeli i pił elektrycznych poczynając na młotkach i stalowych dłutach kończąc, dreny na zniszczonej, zaplamionej podłodze.

Z wentylatorów w suficie dmuchało chłodne powietrze, ale nawiew nie wystarczał, by usunąć duszny, ciężki smród, wsiąkający w ściany tego pokoju w ciągu ostatnich osiemdziesięciu czy dziewięćdziesięciu lat. Spilsbury, którego niezule powonienie przeszło w legendę, wydawał się nie zwracać na to uwagi. Black pracując od dawna w policji był świadkiem niejednej autopsji, ale nigdy nie zdołał przyzwycząić się do odoru śmierci. Pamięć przywoływała obraz Fay, ale Black odegnał go szybko. Czasami dochodził do wniosku, że wolałby tej kobiety nigdy nie spotkać; każdy rodzaj samotności zdawał się lepszy od ciężaru miłości i straty, jaki dźwigał przez ostatni rok. Myśl o Fay, leżącej na podobnym stole, była nie do zniesienia.

– Czy znaleziono go właśnie w takim stanie? – spytał Spilsbury.

– Tak, sir. Tak wynika z raportu.

Ciało nagiego mężczyzny w wieku około dwudziestu lat zawinięte w ciemnoniebieski gumowany worek, wyposażony w rząd metalowych zaczepów. Litery W.O./D.S.S. i numer seryjny wypisano białym tuszem w górnym lewym rogu. Torba ta, jak wiedział Black, stanowiła standardowe, wodoodporne opakowanie na zwłoki, produkowane na zlecenie rządu dla potrzeb Ministerstwa Obrony (Departamentu Obrony Przeciwlotniczej). Inspektor orientował się też, że kilkaset tysięcy takich worków zostało zgromadzonych w różnych punktach strategicznych na terenie całego Londynu. Pomimo numeru seryjnego, prześledzenie losów opakowanych w torbę zwłok było niemal niemożliwe.

– Znaleziony w zbombardowanym budynku? – Spilsbury kontynuował wędrówkę dookoła stołu. Black policzył, że było to już trzecie okrażenie. W połowie czwartego, patolog nagle zatrzymał się i odchylił jedną z powiek mężczyzny. Zamruczał coś sam do siebie i ruszył dalej.

– Tak, sir. W bloku tanich mieszkań.

– Nie mógł go tam zostawić jakiś zapominalski członek obrony przeciwlotniczej, jak sądzę?

– Nie, sir. – Black pokręcił głową. – Worek, wraz z ciałem został znaleziony pod gruzami domu.

– A więc przypuszcza pan, że ciało umieszczono tam przed bombardowaniem?

– Tak jest, sir. Nie ma żadnego dowodu na to, że dokonano tego później. Nie odkryto żadnego tunelu czy śladów kopania.

– Interesujące – powtórzył patolog. Spojrzał na Blacka i uśmiechnął się. Szare, inteligentne oczy rozbłyły. – Czy wie pan, inspektorze, ile mi płacą za wykonywanie tej pracy?

– Nie, sir.

– Pięć gwinei za każdą sekcję oraz funta dla posługacza w kostnicy. Przeciwnie autopsja zajmuje mi więcej niż pół dnia, nie wspominając już o spisaniu raportu i przekazaniu dowodów do biura koronera, jeśli zachodzi taka potrzeba.

– Tak, sir. – Black nie miał pojęcia, do czego starszy pan zmierza.

– Mówię o tym, inspektorze, żeby podkreślić, że nie robię tego dla oszałamiających zysków, które miałbym osiągać grzebiąc się w ludzkich wnętrznościach czy dłubiąc w mózgach przy pomocy wiertła.

– Nie, sir.

– I po przeprowadzeniu więcej niż dwudziestu pięciu tysięcy sekcji mogę pana zapewnić, inspektorze, że jeśli chodzi o morderstwa, to widziałem już niemal wszystko, co tylko można zobaczyć. Jednak nie tracę nadziei, iż trafię wreszcie na coś, z czym jeszcze się nie spotkałem. Coś, co pobudzi moją ciekawość. – Spilsbury promieniał. – To – skinał głową, w stronę ciała w niebieskim worku – właśnie jedna z tych rzadkich okazji. Muszę przyznać, inspektorze Black, że jestem zdezorientowany... i wcale się tym nie martwię.

– Cieszę się, że Yard dobrze się spisał, sir – uśmiechnął się Black. Pomimo dostojnego wyglądu Spilsbury zachowywał się zwykle bezpośrednio i często prezentował oznaki wręcz chłopięcego poczucia humoru. Opowiadano, że pewnego razu, poproszony w domu przyjaciela o pokrojenie świątecznego indyka, otworzył swoją sławną torbę z narzędziami chirurgicznymi i rozłożył na stole zestaw przerażających instrumentów. Krążyła także niepotwierdzona historyjka jakoby ofiarował czyjemuś psu w prezencie urodzinowym ludzką kość udową obwiązaną wstążeczką.

Podobno Spilsbury miał lekki wylew ostatniego lata, ale na oko nie przygasiło to jego werwy i entuzjazmu. Tylko lekko zgarbione plecy i oznaki znużenia w oczach świadczył o przebytej chorobie.

– No cóż, bierzmy się do roboty – powiedział, kończąc ostanie okrażenie. – Niedługo mam wykład, na który naprawdę muszę się stawić.

– Oczywiście.

Ciało, jak stwierdził Spilsbury, należało do mężczyzny w wieku około dwudziestu lat, ciemnowłosego i jasnoskórego. Notatki prowadzącego dochodzenie oficera, sierżanta Windridge'a, uwzględniające stężenie pośmiertne oraz zrobione na miejscu zdjęcia pozwoliły patologowi stwierdzić, że denat zmarł osiemna-

ście do dwudziestu czterech godzin temu. Na pierwszy rzut oka trudno było określić przyczynę śmierci. Jediną ranę stanowiła litera Z wycięta ostrym narzędziem na dłoni. Zgodnie z opinią Spilsbury'ego brak śladów krwawienia sugerował, że okaleczenia dokonano, kiedy ofiara już nie żyła.

– Jaka przyczyna śmierci? – spytał Black.

– Trucizna – odpowiedział sir Bernard, stając tyłem do ciała. – Nic brutalnego, jak strychnina czy cyjanek. Nie ma pozostałości wymiocin w jamie ustnej ani zsinienia warg. Powiedziałbym, że to jakiś narkotyk. Zapewne morfina w dużej dawce. Muszę dokładnie zbadać zwłoki, aby uzyskać pewność.

Black skinął głową, nie kwestionując słuszności diagnozy. W Yardzie nazywano Spilsbury'ego „Papieżem”. Jeżeli sir Bernard powiedział, że to morfina, na pewno miał rację.

– A litera Z?

– Tak, to naprawdę niezwykle – mruzczał Spilsbury. Opuścił okulary na nos i przyjrzał się dłoni zmarłego, po czym skalpelem delikatnie odciągnął blade brzegi rany. – Nie wiemy, jak rozumuje ten szaleniaczek.

– Sądzi pan, że morderca jest chory psychicznie?

– Albo chciałby, abyśmy tak myśleli. – Spilsbury wzruszył ramionami. – Wszystko wygląda na jakiś rytuał. Człowiek, który to zrobił jest bądź szalony, bądź bardzo przebiegły. A może i to, i to.

– Jakiś rodzaj zbrodni?

– Pyta mnie pan, czy dostrzegam w tej zbrodni podłoże seksualne?

– Właśnie się nad tym zastanawiałem.

– Nie mamy jak dotąd żadnych dowodów na potwierdzenie takiej tezy. – Patolog wydawał się nieco zakłopotany. – Robienie podobnych założeń na tym etapie wydaje mi się nieco przedwczesne.

Spilsbury sięgnął po chirurgiczne szczypce, ostrożnie odwinął przednią część worka i schylił się nieco, aby obejrzeć dokładniej genitalia zmarłego. Jądra były małe, ukryte w ciemnobrązowych włosach łonowych. Nabiegły krwią organ męczyzny miał kolor znacznie ciemniejszy niż otaczająca skóra. Spilsbury podniósł go za pomocą szczypiec.

– W penisie po śmierci pozostała krew, co spowodowało, że tak pociemniał. – Spojrzał na Blacka i uśmiechnął się z sympatią. – Na razie możemy stwierdzić tylko tyle, że zmarły nie należał do pańskich współplemieńców. Jak pan widać, nie był obrzezany.

– Tak jest, sir – Black skinął głową, usiłując zignorować aluzję. Podczas dwudziestu lat służby w policji, od dnia, gdy został posterunkowym w Peel House, aż po czasy, kiedy osiągnął obecne stanowisko w Wydziale Kryminalnym, Morris Black nigdy nie myślał zbyt wiele o sobie, jako o Żydzie, przynajmniej w związku z wykonywaną pracą. Kilka ostatnich miesięcy zmieniło sytuację.

Wydana na początku maja ustawa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, mówiąca o uchodźcach i tak zwanych „obywatelach wrogich państw”, rozbudziła antysemityzm anglosaskich współbraci inspektora i usankcjonowała go oficjalną aprobatą. Ludzie zaczęli dopatrywać się „piątej kolumny” w co drugim Żydzie.

Aby uspokoić histeryczne nastroje społeczeństwa, Służbom Specjalnym Scotland Yardu udzielono pozwolenia na przesłuchiwanie każdego, kto urodził się w Austrii czy Niemczech. Niektórzy z tych ludzi mieszkali w Anglii od dziesiątków lat. W rezultacie na podstawie Rozporządzenia 18B wiele osób zostało aresztowanych i internowanych.

Tragicznie śmieszny był fakt, że wśród pięćdziesięciu tysięcy aresztowanych więcej niż połowę stanowili Żydzi uciekający przed nazistowskimi prześladowaniami po wypadkach Kryształowej Nocy. W dodatku dwie trzecie z ogólnej liczby więzionych nie przekroczyło osiemnastego roku życia, trudno więc uwieżyć, że pozyskało te dzieci Gestapo czy Abwehra. Intuicja Blacka mówiła mu, że Wydział Specjalny znacznie bardziej interesował się komunistami niż szpiegami Hitlera.

Co by jednak nie było tego powodem, ostatnio inspektor słyszał jakby więcej uwag przypominających komentarz Spilsbury'ego. A może po prostu stał się bardziej wyczulony? Wiedział, że patolog nie miał nic złego na myśli, ale jeszcze nie tak dawno temu nie pozwoliliby sobie na podobną wypowiedź.

– Nie ma żadnych znaków szczególnych, jak przypuszczam? – mruczał tymczasem Spilsbury, pochylając się nad zwłokami.

– Nie, sir – potwierdził Black. – Przesłano jego odciski palców do centralnej kartoteki, ale nie wiąże z tym zbyt dużych nadziei.

– Zupełnie słusznie. – Używając zakrzywionego narzędzia dentystycznego patolog odciągnął nieco dolną wargę zmarłego, aby bliżej przyjrzeć się równym, dużym zębom. Potem drugim szpikulcem przesunął język w głąb krtani i zajrzał w jamę ustną. Po kilku minutach wyjął narzędzie i wyprostował się. – Wydaje mi się, że nie znajdzie go pan w swoich aktach, inspektorze.

– Tak? – Black czekał cierpliwie na dalsze wyjaśnienia. Spilsbury był jak zegarek, wystarczyło tylko dać mu czas, a wszystko toczyło się samo.

– Niewątpliwie leczył go stomatolog gdzieś w Europie. Używają tam o wiele więcej srebra w amalgamacie. Brytyjscy dentyści pracują inaczej. – Wyjął z kieszeni na piersiach wacik na pomarańczowym patyczku i wetknął głęboko w lewe nozdrze trupa. Black nerwowo drgnął, chociaż wiedział przecież, że mężczyzna już nie czuje bólu. Tymczasem patolog wyciągnął wacik i przyjrzał mu się uważnie.

– Palacz. – Pokiwał głową. – To nie jest tytoń Virginia. Zbyt ciemny. Tak. Europejczyk. Przypuszczam, że Polak.

– Interesujące.

Spilsbury rzucił Blackowi krótkie, badawcze spojrzenie.

– Czyżby wątpił pan w moje słowa?

– Zastanawiałem się tylko, jak doszedł pan do tak konkretnych wniosków.

– To jeszcze nie wnioski, inspektorze Black. Zaledwie przypuszczenia i to niezbyt pewne.

– Przepraszam, sir.

– Z drugiej strony moja opinia o pochodzeniu tego człowieka nie została wzięta z sufitu.

– Oczywiście, sir Bernardzie. – Black zamilkł, zdając sobie sprawę, że jakiegokolwiek dalsze uwagi zirykowałyby tylko patologa. Po dłuższej chwili Spilsbury przemówił ponownie. W jego głosie nie zabrzmiało najmniejsze wahanie.

– Człowiek ten, według wszelkich przesłanek, aż do chwili śmierci cieszył się dobrym zdrowiem. Nie znajduję żadnych oznak ciężkiej pracy. Stan zębów świadczy o uwadze poświęcanej im od dzieciństwa. Skórę ma dość bladą, a rysy twarzy wskazują na rasę średnioeuropejską, na pewno nie galijską. Wykluczamy więc Francję. Jest zbyt wysoki jak na Belga, ale zbyt niski jak na Skandynawa. Można przypuszczać, że nie mamy tu do czynienia z Niemcem, który spadł prosto z nieba, na wszelki wypadek od razu owinięty w worek dla nieboszczyków. To pozostają nam kraje bałkańskie, Związek Radziecki i Polska. Biorąc pod uwagę uwarunkowania polityczne, stawiam na tę ostatnią.

Black próbował ukryć uśmiech. Spilsbury naprawdę był bardzo dobry.

Patolog pchnął po blacie w kierunku Blacka jedno z dentystycznych narzędzi.

– To doprawdy interesujące. I całkiem prawdopodobne. – Przerwał dla większego efektu. – Gdybym był na pana miejscu, spróbowałbym, na temat naszego przyjaciela pogadać z dowództwem RAF.

– Tak, sir? A dlaczego? – Black również o tym pomyślał, ale był pewien, że z innych powodów.

– Proszę tu stanąć – polecił patolog, wskazując miejsce u szczytu stołu. Przybliżył nieco wielki talerz lampy, aby oświetlała dokładnie woskowożółtą twarz zmarłego i delikatnie odciągnął szczypcami powiekę, dopóki nie odsłonił całego oka. Było błękitne, o mętnej i suchej źrenicy. Białko wydawało się przekrwione.

– I co pan widzi?

– Oko. Niebieskie. Nieco przekrwione.

– Nie. Nie przekrwione. Przekrwione oczy świadczą o podrażnieniu naczyń powierzchniowych. A pan widzi tu pewną liczbę popękanych naczynek krwionośnych.

– Czy to jakaś różnica?

– Ten człowiek regularnie wdychał czysty tlen. Do oka napływało zbyt wiele krwi. Musiało się to dziać na dużych wysokościach. Dlatego właśnie powstały wybroczyny.

– Pilot.

– Na to wygląda – przytaknął Spilsbury. – Polski pilot.

# Rozdział trzeci

PONIEDZIAŁEK, 9 WRZEŚNIA 1940 ROKU

## 11.30 BRYTYJSKIEGO CZASU LETNIEGO

**M**orris Black przeprosił Spilsbury’ego i opuścił laboratorium, zanim patolog rozpoczął sekcję owiniętego w gumowy worek niezidentyfikowanego ciała. Chociaż w nozdrza nadal uderzał zapach spalenizny, a nad dokami i East Endem jak mgła unosiła się chmura dymu, po zaduchu kostnicy powietrze wydawało się rześkie i świeże.

Ostatniego wieczoru znowu pojawiły się bombowce, szczęśliwie znacznie mniej licznie niż w niedzielę. Naloty dotknęły ponownie East End i doki. Trasa kolejowa na południe została całkowicie zablokowana, przynajmniej na jakiś czas.

Ale „Evening Standard” nadal na pierwszej stronie zamieszczał ogłoszenia reklamujące środek na przeczyszczenie Lixena i skarpetki od Wolsey’a, a w relacjach, komentujących wczorajszą wizytę Churchilla na East Endzie powtarzały się słowa premiera, że ludzie trzymają się „dzielnie i nie tracą ducha”. Black zastanawiał się, co powiedziałby premier, gdyby zdecydował się na spacer po korytarzach stacji metra przy Leicester Square. Tysiące uciekinierów ze Wschodniego Londynu okupowało perony, odmawiając opuszczenia podziemnych tuneli. Przeobrażenie zaczynało przeobrażać się we wszechogarniającą panikę, która z kolei groziła zamieszkać.

Po powrocie do Scotland Yardu Black wykonał kilka telefonów. Wiedział już, że Samodzielny Polski Dywizjon RAF stacjonuje w Northolt, kilka mil na zachód od Londynu. Po wypełnieniu niezbędnych dokumentów podjechał metrem na dworzec Paddington, gdzie o pierwszej złapał pociąg do stacji Northolt Junction. Podróż trwała wszystkiego pół godziny. Siedząc już w przedziale Black pomyślał, że wypełnianie formularzy zabrało mu niemal dwa razy tyle czasu co przejazd.

Na małej stacyjce oczekiwała na inspektora ładna, ciemnowłosa dziewczyna z WAAF\*, która, jak się wkrótce okazało, miała zawieźć gościa motocyklem aż na

---

\* WAAF – Women’s Auxiliary Air Force – Kobiące Siły Pomocnicze RAF

samo lotnisko. Ruszyli po wyboistej drodze. W końcu dziewczyna zatrzymała się przed długim, parterowym budynkiem przysłoniętym drzewami i zabezpieczonym dookoła wałem ziemnym.

– Dowództwo, sir – wyjaśniła lakonicznie, kiedy Black gramolił się z kosa. – Kapitan Kent czeka na pana w środku. – Nie słuchając odpowiedzi wrzuciła bieg i odjechała z łoskotem w kłębach pyłu.

Black stał przez chwilę, mrużąc oczy w jasnym blasku słońca. Rozległość terenu zadziwiała go. Było to najstarsze czynne lotnisko RAF, zbudowane jeszcze w 1915 roku. Poprzecinane uliczkami wyglądało jak małe miasteczko. Z miejsca, w którym się znalazł, inspektor mógł naliczyć tuziny warsztatów i co najmniej dwanaście piętrowych koszarowych budynków w kształcie litery H. W pewnej odległości spoza gałęzi drzew rysowały się zaokrąglone kontury dwóch wielkich hangarów.

Blacka zdumiało, że wszystko dookoła wydaje się tak ciche i spokojne. Gazety od tygodni donosiły o gwałtownych atakach Niemców na lotniska, ale tu nie widać było żadnych oznak zniszczenia. Pokiwawszy z powątpiewaniem głową inspektor ruszył krótką, żwirowaną ścieżką prowadzącą do głównego wejścia.

Otworzył drzwi i wszedł na mały, drewniany podest. Sześć stopni prowadziło w dół. Po chwili Black dotarł do pokoju, którego podłogę pokrywało linoleum w dokładnie takim samym szarym odcieniu, jak wykładzina w biurze Scotland Yardu. Zewnętrzny wygląd budynku najwyraźniej miał wprowadzać w błąd – centrum dowodzenia zostało ulokowane całkowicie poniżej poziomu gruntu.

W pokoju stało dwanaście wielkich, drewnianych stołów na kozłach, a wzdłuż przeciwniejszej do drzwi ściany rozciągało się długie, niskie podwyższenie. Nad nim zwisała czarna zasłona, zapewne zakrywająca mapę. W jednym z kątów wojskowy ze słuchawkami na uszach siedział przy radiostacji. Czytał jakieś czasopiśmo i popijał herbatę z fajansowego kubka. Drzwi po lewej stronie prowadziły do biura, gdzie oczekiwał inspektora szczupły oficer z dwiema belkami na naramiennikach bluzy. Spojrzał na wchodzącego Blacka i uśmiechnął się. Twarz znaczyły mu zmarszczki śmiechu i napięcia. Kapitan wyglądał na co najmniej trzydzieści lat, ale Black wiedział, że ma zapewne dużo mniej. Przedstawili się sobie. Inspektor starał się nie okazać rozbawienia na dźwięk płaskiego, nosowego akcentu. Mimo braku flagi Kanady na naramiennikach munduru, łatwo było domyślić się narodowości tego człowieka.

– Chodźmy do biura załogi, tam trzymamy akta. – Kapitan Kent wskazał Blackowi drogę.

Pomieszczenie, w którym się znaleźli było małe, ciemne, umeblowane staroświeckimi szafkami. Z ledwością starczało miejsca na biurko i dwa krzesła. Smród papierosów unosił się w powietrzu.

– Proszę usiąść – zaproponował Kent, wskazując gościowi krzesło. Black usłuchał i w milczeniu przyglądał się, jak kanadyjski pilot zaczyna grzebać po szufladach z aktami.

– W zeszłym roku stacjonowało tu co najmniej dziewięć różnych dywizjonów, więc wszystko pomieszało się trochę. – Odwrócił się i obdarzył Blacka nerwowym uśmiechem. – Co za potworny bałagan.



– Dlaczego właściwie Kanadyjczyk dowodzi dywizjonem Polaków?

– Nie wiem. – Kapitan wzruszył ramionami. – Tak po prostu jest dobrze. Oni dopiero co otrzymali pewne uprawnienia bojowe – to po pierwsze, a poza tym są całkowicie szaleni. Z Urbanowiczem, na przykład, mamy ciągle kłopoty. Jest jak wściekły pies, naprawdę. Wystarczy, że zobaczy Niemca, już leci, siejąc ogniem z wszystkich luf, nieważne, czego żąda dowództwo. Twierdzi, że nie zna angielskiego, więc nie może wypełniać rozkazów, ale trzeba go zobaczyć, kiedy ugania się za dziewczynami. Wtedy jego angielski brzmi zupełnie dobrze, mówię panu... A, już jest.

Kent wyciągnął z szuflady grubą teczkę i położył ją na biurku. Usiadł i zapalił papierosa, zerkając z zaciekawieniem na Blacka.

– Nigdy przedtem nie spotkałem prawdziwego inspektora Scotland Yardu. Czuję się trochę tak, jakbym zobaczył następcę Sherlocka Holmesa.

– Holmes był prywatnym detektywem. Czasem współpracował z oficerem z Yardu o nazwisku Lestrade.

– Racja, racja. – Kapitan zaciągnął się papierosem. Black odnosił wrażenie, jakby jego rozmówca stale przybierał postawę obronną. – Nie chciałbym być niegrzeczny, ale właściwie dlaczego wypytuje pan o Kościuszkę?

– Słucham? Chyba nie zrozumiałem.

– Przepraszam. Tak brzmi nazwa dywizjonu. Dla nas to 303 Northolt, a dla nich Kościuszkę. To ich bohater. Zdaje się, że działał w Stanach, coś w związku z Rewolucją.

– Nie wiedziałem.

– Ja też nie – roześmiał się Kent. – Przed długi czas myślałem, że to nazwisko jakiegoś lotnika, który nam zdezerterował. Ten ich język jest koszmarny, jakby mówili z ustami pełnymi kamyków.

– Ciekawe – mruknął Black, którego mało obchodziły lingwistyczne rozważania Kenta. Kapitan najwyraźniej unikał rozmowy o przyczynie wizyty inspektora. – Pytał mnie pan, dlaczego tu jestem. Pułkownik Vincent nic panu nie mówił?

– Nie. On nie udziela wyjaśnień niższym rangą oficerom, a przynajmniej zdarza się to bardzo rzadko. Dostałem wiadomość z dowództwa, że mam się tu z panem spotkać. To wszystko, co wiem.

– W Londynie podczas ostatniego weekendu zamordowano młodego mężczyznę. Przypuszczamy, że był to polski lotnik.

Kent uniósł brwi.

– Ale dlaczego? I dlaczego właśnie 303? Mamy Polaków również w sześciu innych dywizjonach RAF. – W głosie kapitana zabrzmiała obronna nuta.

– Sekcja wykazała, iż człowiek ten był polskiego pochodzenia, a 303 to jedyny dywizjon, który w całości składa się z Polaków i stacjonuje blisko Londynu. – Black przerwał na chwilę. – Czy może ktoś z pańskich ludzi zaginał?

– Szczerze mówiąc, tak.

– Kent otworzył teczkę i zaczął ją kartkować. Wyjął pojedynczy arkusz i wręczył go Blackowi. Była to fotokopia opisu przebiegu służby. W lewym, górnym rogu przyczepiono małą kwadratową fotografię. Pomimo kiepskiej jakości, zdjęcie nie pozostawiało żadnych wątpliwości.



– Stanisław Rudelski – Black odcyfrował pajęczę litery podpisu. – Urodzony 22 marca 1921 roku w Warszawie. Nie miał biedak nawet dwudziestu lat.

– To pański zamordowany?

– Obawiam się, że tak.

– O, cholera. – Kent spłonął rumieńcem. – Przepraszam.

– Nie szkodzi.

– To był dobry dzieciak – westchnął. – Latał, jakby urodził się ze skrzydłami.

– Nie miał zbyt wiele czasu, aby nabyć doświadczenia.

– Wystarczająco dużo – odpowiedział zwięźle kapitan. – Walczył w Polsce na jednym z tych idiotycznych P-11. Z kilkoma innymi wydostał się w ostatniej chwili, zdołał dotrzeć do Francji i tam wstąpił do Armée de l'Air. Siedem strącen na Bloch 152, co mówi samo za siebie. Jednym z tych samolotów uciekł do Biggin Hill na kilka dni przed tym, nim czołgi wjechały do Paryża. – Kanadyjczyk smutno pokiwał głową. – O, był wystarczająco dojrzały, inspektorze.

– Czy Rudelski miał przepustkę na weekend?

– Miał stałą przepustkę. Jeżeli dywizjon nie lata z powodu pogody albo kłopotów z maszynami, trzeba przepustkę tylko podpisać w centrum dowodzenia.

– I Rudelski to zrobił?

– Tak w piątek wieczorem.

– A kiedy miał wrócić?

– W niedzielę w nocy.

– Czy wie pan cokolwiek o tym, dokąd mógł pojechać?

– Nie. – Kent miał zakłopotaną minę. – Ja... my nie utrzymywaliśmy z nimi zbyt bliskich kontaktów. Ten język.

– Czy Rudelski znał w ogóle angielski?

– Przerobił tylko początkowy kurs. Wystarczy, żeby powiedzieć „proszę, dziękuję” i tak dalej.

– Czy miał jakieś zainteresowania?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– A może jakąś dziewczynę w Londynie?

– Nie mam pojęcia. – Kent znowu poczerwieniał.

– A może przyjaciela? – spytał łagodnie Black.

– Naprawdę nie wiem, jakich on miał przyjaciół – głos lotnika stał się oficjalny i oschły. Morris Black dłużej nie naciskał. Sam był ciekawski tak z natury, jak i z racji swego zawodu, więc połowę życia zajęło mu przyswojenie podstawowego faktu: zwykle ludzie chcą wiedzieć jak najmniej, żeby nie wplątać się w niezręczną sytuację.

Nawet Spilsbury, choć przyzwyczajony do niezbyt przyjemnych aspektów życia, zdawał się być nieco zaszokowany sugestiami Blacka co do orientacji seksualnej Rudelskiego. Teraz Kent także najwyraźniej czuł się nieswojo. Po ponad dwudziestu latach pracy w policji Black kompletnie znieczulił się na te sprawy. Homoseksualizm nie oznaczał dla niego o wiele więcej jak tylko przejaw lekkiego ekscentryzmu.

– Czy mógłbym zobaczyć kwaterę Rudelskiego? – spytał Black. – Jego osobiste rzeczy?

– Sądzę, że tak. Gdzieś w okolicy powinien być Snookie. Poproszę, aby wszystko panu pokazał.

– Snookie?

– Kapitan Sznuć. Pożyczyliśmy go na jakiś czas ze sztabu Sikorskiego. Mówi chyba kilkunastoma językami.

Kapitan Stefan Bronisław Sznuć okazał się drobnym, rudowłosym mężczyzną po czterdziestce. Odznaczał się wielkim nosem i wysokim, skrzypiącym głosem. Jego angielszczyzna brzmiała twardo i wspomagana była bogatą gestykulacją używaną dla podkreślenia znaczenia słów. Podczas krótkiego spaceru z centrum dowodzenia do głównych budynków koszar Sznuć zdołał zrelacjonować Blackowi całą swoją karierę wojskową.

– Więć Sikorski mówi do mnie: Snookie, jak ci się podoba ta wojna? A ja mówię Sikorskiemu: Generale, dla mnie to czwarta wojna, w której biorę udział, i zawsze po cudzej stronie, nie? Rosjanie, Niemcy, Francuzi. Zawsze to samo. Polska to szmata do wycierania nóg dla Europy.

– Wycieraczka? – odpowiedział Black. Sznuć rozpromienił się, skinął głową i rozłożył szeroko ręce.

– O, właśnie.

– Latał pan podczas Wojny Światowej?

– Tak! Na różnych samolotach. – Palce lewej dłoni spłoty się z prawą. – Oczywiście, Spitfire jest najlepszy. – Polak podniósł ręce kciukami do przodu i wydał z siebie terkoczący dźwięk. – Świetny do zabijania Niemców. Nawet lepszy niż, no wie pan, broń przeciwlotnicza. – Roześmiał się nieprzyjemnym, zgrzytliwym śmiechem. Wyraz oczu tego człowieka nie wydał się Blackowi całkiem normalny. Może to stłumiona nienawiść do wroga i tęsknota za domem. Kent wspominał o tym. Oni wszyscy są szaleni i walczą jak wściekłe psy. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę okoliczności.

Dotarli do najbliższego budynku koszar i weszli na pierwsze piętro. Kapitan Sznuć zaprowadził Blacka do kłitki na końcu sypialni, oddzielonej od innych pryzc za pomocą wielkiej metalowej szafy i kilku mniejszych szafek. Cała sala składała się z tak wydzielonych kwater, które w tej chwili świeciły pustkami.

– A gdzie są ludzie?

– Mamy pogotowie bojowe. Czekają na lotnisku na sygnał. – Kapitan podreptał w miejscu i wymownymi gestami udał, że wkłada coś na głowę. Zakończony ten pokaz, odsunął zwisający na sznurze rząd ręczników i wskazał inspektorowi wejście do małej sypialni Rudelskiego.

Wysokie okno na wypadek wybuchu starannie zaklejono paskami papieru. Tuż pod parapetem stało wąskie, metalowe łóżko z porządnie zrolowanym materacem.

W szafie wisiało kilka mundurów i koszul. Żadnego cywilnego ubrania. Jedna z szafek, z lampką nocną, rzędem zaczytanych książek i ciężką szklaną popielniczką została przerobiona na stolik przy łóżku. Obok popielniczki leżała paczka francuskich papierosów. A więc Spilsbury miał rację także i w tej sprawie. Do drzwi szafy przyczepiono zdjęcie. Rudelski w wieku dwunastu, trzynastu lat obok starszego mężczyzny w ciemnym garniturze. Za ich plecami Black mógł dostrzec narożnik dużej kamienicy.

– Jego ojciec pracował w Warszawie, w Urzędzie Miejskim jako inżynier. Sądzę, że był tam figurą – komentował Sznuke.

– Czy dobrze znał pan Rudelskiego?

– Nie. On był... bardzo spokojny, wie pan? – Sznuke delikatnym, kobiecym ruchem oparł policzki na dłoni. Wyglądało to tak absurdalnie, że Black ledwo powstrzymał wybuch śmiechu.

– Był homoseksualistą?

– Cóż, tak. Niemal na pewno.

– Miał... jakiegoś przyjaciela? Tu, na miejsku?

– Nie! – Sznuke gwałtownie pokręcił głową. – Pozostali w dywizjonie Kościuszko są bardzo... – przerwał i podniósł rękę. Pomacał biceps, jednocześnie gwałtownie ruszając brwiami. – Bardzo męscy. Uganiają się tylko za kobietami. – W tym momencie wykonał szokująco obsceniczny gest, jakiego Black nigdy jeszcze nie widział i mrugnął, sugestywnie unosząc jedną brew. Wreszcie wzruszył ramionami. – Nikogo to nie obchodziło. Rudelski też nie robił z tego problemu. Mógł latać. I nic więcej się nie liczyło.

Schyliwszy się Black dostrzegł pod łóżkiem niewielką skrzynkę. Wyciągnął ją. Pokrywa nie miała żadnego zamka. Inspektor postawił pudło na łóżku i otworzył. Po lewej stronie leżał starannie złożony ciemnoniebieski mundur z oficerską czapką na wierzchu, po prawej szachownica, małe drewniane pudełeczko, talia kart i plik związanych kawałkiem wstążeczki listów w obcym Blackowi języku.

Inspektor wręczył listy Sznukeowi.

– Od kogo to?

Polak szybko przeczytał. Potem wyjął z koperty drugi list i trzeci.

– To od jego matki. Z czasów, kiedy uczył się w szkole lotniczej. – Rudy mężczyzna uśmiechnął się smutno. – Pisał jej widocznie, że jedzenie jest podłe i jego żołądek tęskni za domowym barszczem i kluskami. – Przerwał. – Chce pan wiedzieć więcej?

– Nie w tej chwili. Ale może zechciałby pan zabrać wszystkie rzeczy osobiste Rudelskiego i przechować gdzieś w bezpiecznym miejscu.

– Oczywiście.

– Nie sądzę, abyśmy tu coś jeszcze znaleźli.

– Nie. – Sznuke smętnie pokręcił głową. – Wydaje mi się, że bardzo mało zostało po tym chłopcu.

Wrócili do centrum dowodzenia. Kent w międzyczasie znikł gdzieś, ale Polak załatwił Blackowi kolejną motocyklistkę z WAAF, która odwiozła inspektora na stację. Wrócił do Londynu w samą porę na spóźnioną herbatę. W godzinę potem nadciągnęły samoloty Luftwaffe i bomby znowu zaczęły spadać na miasto.

Doktor Charles Tennant, noszący mundur kapitana RAMC\*, siedział w małym, zaciemnionym pokoju. Patrzył uważnie przez mały kwadrat wizjera. Dokto-

---

\* RAMC – Royal Army Medical Corps – Korpus Medyczny Armii Królewskiej

rowi towarzyszył pułkownik John Cecil Masterman, ongiś jeńiec wojenny, potem cenzor kolegium Christ Church w Oksfordzie, a obecnie szef B1(a), specjalnego tajnego wydziału M15, czyli brytyjskiego kontrwywiadu. B1(a) miał za zadanie, między innymi, przesłuchiwanie zestrzelonych lotników i ewentualne werbowanie szpiegów niemieckich do pracy na rzecz Brytyjczyków.

Masterman nie nosił munduru. Zamiast tego ów niski mężczyzna o wielkim nosie miał na sobie kiepsko dopasowany, ciemnoniebieski garnitur, białą koszulę o postrzępionym kołnierzyku i mankietach i krawat uniwersytetu w Oksfordzie, wyglądający jakby używano go co najmniej od dwudziestu lat. Natomiast mundur Tennanta był doskonale uszyty i świetnie dopasowany do zgrabnej, atletycznej sylwetki doktora. Masterman miał lat czterdzieści dziewięć, tylko o pięć więcej niż Tennant, ale psychiatra sprawiał wrażenie o wiele młodszego. Resztki żółta-wo siwych włosów Mastermana i siatka zmarszczek, nieogolonej twarzy kontrastowały z gęstą, ciemną czupryną, smagłą cerą i wypięlegnowanymi paznokciami Tennanta.

Pokój, w którym siedzieli obaj mężczyźni, znajdował się w dawnym skrzydle administracyjnym więzienia Wormwood Scrubs, usytuowanego w Hammersmith, na zachodnim krańcu miasta. Na początku wojny budynek ten został przejęty przez M15.

Scrubs był to ponury edwardiański gmach z kamienia i cegły. Wokół więzienia przycupnęły skromne domki typowe dla londyńskich przedmieść, magazyny, opustoszałe cmentarze i rdzewiejące zbiorniki nieczynnej już gazowni. Nędza, rozpacz i niewolnicza praca oddalone o rzut kamieniem od eleganckich Ogrodów Królewskich w Kew. Wszystko to przywodziło Tennanta do refleksji na temat angielskiej hipokryzji.

Za ścianą przesłuchiwano właśnie zdenerwowanego mężczyznę około trzydziestki, ubranego w podobny do piżamy szary kombinezon. Śledztwo prowadził oficer w mundurze RAF, kompletnie pozbawionym jakichkolwiek oznak. Obaj mówili szybko po niemiecku. Głosy transmitował ukryty mikrofon.

– Nazywa się Zeidler – stwierdził cicho Masterman, nie odrywając oczu od okienka wizjera. – Daliśmy mu pseudonim Summer.

– Nowy? – spytał Tennant.

Masterman skinął głową.

– Świeżutki jak stokrotka. Spadł z nieba tuż przed świtem w piątek, niedaleko Oksfordu. Udało nam się wytropić go w ciągu kilku godzin. Twierdzi, że jest Polakiem, ale nie potrafił znaleźć Warszawy na mapie. To idiotyczne. Zaczynam się zastanawiać, w jaki sposób Canaris wynajduje sobie takich ludzi.

– Jest bardzo zdenerwowany. Bardziej niż powinien.

– Doprawdy? Wydawało mi się, że w podobnych okolicznościach to zupełnie naturalne.

– W tym stadium powinien nadal znajdować się w szoku – wyjaśnił psychiatra. – Raczej otepiały, a nie roztrzęsiony.

– No cóż, to pan jest tu ekspertem. – Masterman wzruszył ramionami. Tennant, podobnie jak Masterman, biegle mówił po niemiecku, z racji zaś swego

zawodu doskonale potrafił oceniać stan psychiczny nieszczęśliwych, którzy mieli pecha wpaść w sieci Mastermana. Niemal od początku współpracował z komórką zajmującą się „tworzeniem podwójnych agentów” kontrwywiadu. Fakt, że należał do tych samych sfer co Masterman i leczył większość żon polityków i wyższych rangą wojskowych w Mayfair czy Belgravii, znacznie ułatwił doktorowi karierę w M15. Wygląd, powodzenie u kobiet i zalety towarzyskie także przemywały na jego korzyść.

Oprócz kontroli nad stanem umysłowym złapanych szpiegów i zestrzelonych pilotów, Tennant zajmował się także rozmowami kwalifikacyjnymi z chętnymi do pracy w M15. Zorientował się już dawno, że to, czy ktoś zostanie przyjęty do kręgów nazywanych przez Mastermana „krajem dymu i luster” miało więcej wspólnego z pochodzeniem niż rzeczywistymi predyspozycjami kandydata. Niemal dwie trzecie zgłaszających się, z którymi rozmawiał podczas minionego roku, ukończyło Oksford lub Cambridge, a niemal każdy był absolwentem Eton.

– Nie wkładałbym w niego zbyt wiele czasu i wysiłku – zamruczał Tennant, patrząc na mężczyznę po drugiej stronie szyby. – Może dać się zwerbować, żeby uniknąć kary śmierci, ale potem zdradzi.

– Ciekawe – powiedział Masterman. – Jest pan pewien?

– Absolutnie.

Przesłuchanie mężczyzny o pseudonimie Summer zabrało kilka godzin i zanim Tennant opuścił Scrubs, nadszedł już wczesny wieczór. Daleko, na wschodzie, Luftwaffe znowu bombardowała doki. Smugi światła z East Endu rozdzierały horyzont, błyskawice wybuchów rozjarzały niski pułap chmur jak gigantyczne żarówki.

Tak dobrze znany już wszystkim dźwięk przetaczał się przez miasto niczym nieustający, posępny grzmot. Tennant uśmiechnął się. Jeszcze trochę, a mieszkańcy Spitalfields wygrają tę wojnę dla Niemiec, zanim Niemcy w ogóle zdążą przygotować inwazję. Już chodzą pogłoski o energicznie stłumionych zamieszkach. Ludzie zaczynają szemrać, że dokładnie tak jak podczas ostatniej wojny, tylko biedacy giną, choć tym razem we własnych domach, a nie w okopach.

Dotarłszy zamówionym przez Mastermana samochodem do stacji St. Quintin Park, Tennant wszedł do niemal pustego, zaciemnionego wagonu i rozpoczął powolną podróż przez ponure, zamarte w oczekiwaniu przedmieścia. Myśli doktora zajęła teraz bez reszty absurdalna konstrukcja organizacji Mastermana. Była to sieć „swoich ludzi”, spośród których znaczną ilość stanowili homoseksualiści i niemalże jawni komuniści. Nic w tym zresztą dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę środowisko, w którym się kształcili.

Dla Tennanta stanowili doskonały materiał wywiadowczy. Gdyby Abwehra była kierowana w taki sposób, europejski *blitzkrieg* nigdy nie doszedłby do skutku. Doktor Charles Tennant świetnie to pojmował, ponieważ przez ostatnie pięć lat ściśle współpracował z niemieckimi służbami specjalnymi, pozostając pod bezpośrednim zwierzchnictwem szefa wywiadu nazistów, Reinharda Heydricha.

Urodzony w Sheffield w 1896 roku, Charles Reid Tennant był jedynym dzieckiem sir Williama Morpetha Tennanta, przemysłowca, który zbił fortunę na pro-

dukcji stali i amunicji. Sir William poślubił Julię Steinmaur, siostrę jednego ze swych austriackich partnerów w interesach. Krótko po czwartych urodzinach Charlesa ojciec zmarł. Matka nie podniosła się już z załamania nerwowego, więc zadanie dalszego kształcenia chłopca spadło na owdowiałą ciotkę z Wiednia, Elizabeth von Letz.

Opuściwszy Eton w przededniu pierwszej wojny światowej, Charles wstąpił na uniwersytet w Sheffield, gdzie przez następnych pięć lat studiował medycynę, szczególnie zajmując się chorobami psychicznymi. Potem odbył staż w szpitalu dla nerwowo chorych w Sheffield, gdzie po sześciu latach uzyskał specjalizację.

W 1921 roku, Elizabeth Letts (von zniknęło dyskretnie, a nazwisko po 1914 roku nieco uległo zmianie) ułatwiła mu kontakt z nowo utworzonym Wiedeńskim Instytutem Psychiatrii, gdzie Tennant przepracował następne trzy lata i, zarówno z konieczności, jak i z własnej woli, odnowił znajomość znanego mu z dzieciństwa języka.

W roku 1924 matka, od wielu lat przebywająca w różnych szpitalach, popełniła samobójstwo i Charles wszedł w posiadanie znacznego majątku. Po ustanowieniu funduszu dla ciotki zużył część nowo otrzymanego bogactwa na podróże. Kolejne sześć lat spędził w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych, gdzie studiował na Uniwersytecie McGill w Montrealu i Princeton w New Jersey.

Powróciwszy do Anglii w 1928 roku, już po śmierci ciotki, Tennant nabył dom w Cheyne Mews, w Chelsea, luksusową posiadłość leżącą niedaleko Royal Hospital. Wkrótce jednak, podobnie jak wielu innych, padł ofiarą gigantycznego krachu. Stracił niemal wszystko oprócz domu i po raz pierwszy stanął przed koniecznością zarabiania na życie. Dzięki dawnym kontaktom znalazł pracę w Wiedeńskim Instytucie i wiosną 1930 roku powrócił do Austrii.

W tym samym roku spotkał starego przyjaciela, Horsta Kapkowa. Spędzali kiedyś razem wakacje. Tę chłopięcą przyjaźń Tennant podtrzymywał głównie po to, aby w ten sposób zyskać dostęp do kuzynki Horsta, Ingrid, dziewczyny o zachwycająco dużych piersiach. Teraz Horst też był lekarzem i, co ważniejsze, członkiem niedawno powstałej Partii Narodowo-Socjalistycznej.

Tennant niemal natychmiast przyjął nazistowską filozofię. Chociaż nigdy nie praktykował psychiatrii klinicznej, od dawna interesował się koncepcją szamanizmu wśród niecywilizowanych ras, a w nazizmie widział doskonałe urzeczywistnienie własnych teorii.

Afrykański czarownik, widząc, że pacjent został „opętany”, po prostu wypowie konieczne zaklęcia, aby wypędzić demona, użyje jakiegoś amuletu lub totemu. Symptomy choroby mogą zostać także przeniesione na inny obiekt czy osobę. W ten sposób rozwiązany zostaje problem pacjenta, czemu towarzyszy zazwyczaj efektowna ceremonia. Do tych samych praw psychiki sięgały rytuały celtyckie, z nich wywodziła się siła pierścienia Nibelungów.

Jeśli potraktować nazizm jako uświęcony rytuał, to Adolfa Hitlera należy uznać za współczesnego czarownika, leczącego różnorodne choroby znękanego narodu.

Tennant uważał, że führer nieco przesadza ze swoim stosunkiem do Żydów, ale dostrzegał praktyczne korzyści płynące z takiej polityki. Małą, niewiele znaczącą grupkę społeczeństwa złożono w ofierze.

Nie była to kwestia dobra czy zła, ale sprawa praktycznej logiki. Świat chorował i ta choroba musiała mieć swoją przyczynę. Żydzi byli jak rak, który powinien zostać usunięty, a Hitler – boski chirurg dzierżył skalpel. Posunięcie niezbyt miłe, ale Tennant instynktownie wiedział, że skuteczne.

W ciągu następnych trzech lat Tennant obserwował, jak nazizm rozlewa się po Niemczech i Austrii. Fasynowało go to. Poprzez Horsta Kapkova zaczął spotykać się z ludźmi, którzy grali rolę budowniczych nowego porządku świata. Jednym z nich był młody eks-oficer marynarki wojennej Reinhard Heydrich, który wiosną 1934 roku stanął na czele Sicherheitsdienst czyli SD – wywiadu Rzeszy i jej służby bezpieczeństwa.

Tennant natychmiast rozpoznał u Heydricha podręcznikowe wręcz objawy paranoi i sadyzmu, ale to wcale nie umniejszało wyjątkowej siły osobowości tego człowieka. Trudno było doprawdy wśród polityków Trzeciej Rzeszy, znaleźć kogo lepszego do współpracy niż Reinhard Heydrich.

Sześć miesięcy później, po tajnym spotkaniu w Paryżu, Charles Tennant wstąpił w szeregi Wydziału Zagranicznego SD, aby, jak to ujął jego nowy przełożony, zrównoważyć działania szefa Abwehry, Wilhelma Canarisa.

Zdaniem Heydricha, staremu admirałowi nie należało ufać, a jego agenci byli niekompetentnymi amatorami. W przypadku wojny, a obaj wiedzieli, że do niej dojdzie, Rzesza – a zwłaszcza SD – potrzebowała co najmniej jednego zdolnego i inteligentnego agenta w Anglii, nawet jeżeli Hitler w tym czasie zabraniał podobnej działalności. Tennant miał zostać owym tajnym agentem, wilkiem w owczej skórze pomiędzy jagniętami.

We wrześniu 1934 roku, wspomagany finansowo przez swojego niemieckiego szefa, Charles Tennant wrócił do Londynu i otworzył gabinet przy Cheyne Walk Mews 6. Przez następnych pięć lat zdobył wielu różnych pacjentów, głównie kobiety, w większości żony, córki i kochanki przedstawicieli elity przemysłowej oraz członków brytyjskich kół wojskowych i politycznych.

Posłuszny wytycznym od Heydricha, doktor zaczął rozbudowywać akta swoich pacjentów. Długie godziny spędzał na kompletowaniu setek drobnych informacji, aż wreszcie udawało mu się uzyskać pełen obraz.

Poza zdobyciem imponującej wiedzy o seksualnych frustracjach, osobistych dziwactwach i tajemnicach zawodowych ludzi, którzy mu zaufali, Tennant zdołał także zgromadzić znaczną ilość poważnych danych dotyczących przygotowań Zjednoczonego Królestwa do wojny. Informacje te regularnie przekazywał do prywatnego biura Heydricha w Hamburgu.

Dzięki współpracy z Mastermanem Charles odkrył, że szpiedzy Canarisa wzbudzali podejrzania u Anglików niemal od momentu rozpoczęcia działalności wywiadowczej, i co ważniejsze, że w szeregach Abwehry znalazł się niejeden wysłannik Brytyjczyków. Szczególnie aktywny był Walijczyk, emerytowany policjant, o kryptonimie G.W. Masterman, posługując się G.W., przejął starą



metodę przekazywania ważnych informacji poprzez hiszpańską pocztę dyplomatyczną.

Zgodnie ze swoją logiczną umysłowością Tennant wybrał sobie prosty pseudonim Doktor. Tylko Heydrich znał jego prawdziwą tożsamość. Na skutek działalności G.W. trzeba było zrezygnować z usług nadętego głupca o nazwisku Del Pozo, który uważał siebie za dziennikarza i miał dostęp do regularnych kursów do Lizbony. Tennantowi jednak udało się rozwinąć własny system przekazywania informacji wprost na ręce Heydricha.

Pociąg dotarł w końcu do Victoria Station. Doktor wsiadł do taksówki i rozparł się wygodnie. Samochód sunął przez opustoszałe ulice, kierując się w stronę „White”, starego i niezmiennie Konserwatywnego – przez duże K – klubu dla dżentelmenów przy St. James Street, który Jonathan Swift nazwał ongiś: „miejscem spotkań bezwstydných oszustów i szlachetnych głupców”.

Klub pełnił rolę niemalże drugiego domu dla połowy członków gabinetu Churchilla i większej części pracowników Ministerstwa Wojny, a jego bar przyciągał także wielu, tak zwanych eufemistycznie, „młodszych urzędników służb zagranicznych”, którzy pracowali dla M15. Jeden z nich, przystojny młody człowiek, niejaki Donald Maclean, wydawał się Doktorowi szczególnie interesujący. Dziś wieczorem jednakże miał odbyć się obiad z wiceministrem, którego żona była kompletnie niezainteresowana seksem. Na wspomnienie rozterek nieszczęsnego małżonka Tennant uśmiechnął się sam do siebie. Praca szpiega, jak widać, nie pozwala nawet na krótki odpoczynek.



## Rozdział czwarty

WTOREK, 10 WRZEŚNIA 1940 ROKU

10.00 BRYTYJSKIEGO CZASU LETNIEGO

**N**a jego karcie identyfikacyjnej widniało zwykle nazwisko, ale miał ich przecież więcej niż jedno. W głębi duszy sam siebie nazywał Numerem. Siedział samotnie przy małym stoliku w herbaciarni na rogu Carter Lane i Burgon Street, czyszcząc okulary końcem ciemnoniebieskiego krawata. Znajdował się w sercu City, gdzie niezliczone mrowie niewielkich budynków tłoczyło się wzdłuż uliczek, pasaży i ścieżek bez nazwy, we wszechobejmującym cieniu wielkiej kopuły katedry Świętego Pawła.

Księga leżała na stoliku. Numer zamówił herbatę i bułkę, ale ich nawet nie spróbował. Wiedział z doświadczenia, że herbata okaże się słaba, a bułka czerstwa. To nie miało znaczenia; jedzenie stanowiło tylko pretekst, aby posiedzieć w zacisznym wnętrzu.

W odległym końcu wąskiej sali stała przy ladzie gruba kobieta. Szykowała kanapki na jedenastą, kiedy to do herbaciarni ściągały tłumy z Sądu Kryminalnego, Fleet Street, Głównego Urzędu Pocztowego. Co jakiś czas kobieta pokrzykiwała karcąco na ukrytego w głębi kuchni włoskiego kucharza. Kompletnie natomiast ignorowała swojego jedyne go klienta.

– Mam w dupie, że mleko się skończyło! Użyj mleka w proszku, jak ci kazałam! – Spojrzała ze złością na stojącą przed nią miskę, zamieszała jej zawartość i wyłowila kilka dużych kawałków gotowanego kurczaka. Wyrzuciwszy je z impetem na ladę, zaczęła siekać, stukając szybko zakrzywionym nożem o szerokiej rękojeści mrużąc coś pod nosem.

Numer założył okulary i wyjrzał przez okno na wąską uliczkę. Na wprost „Jo Lyons”, na rogu, znajdowało się wejście do małego pubu o nazwie „Rising Sun”. Czerwony metalowy znak powyżej drzwi obwieszcział nazwę lokalu i reklamował piwo Truman.

Właścicielką pubu była Doris Luffington, wdowa po sześćdziesiątce. Jej małżonek, sierżant Charles Luffington, zmarł w Chelsea Hospital z powodu za-

trucia gazem musztardowym. Na barki Doris spadło wówczas wychowanie ich jedynej córki, Jane, a także kierowanie pubem. Jane Luffington, obecnie już dwudziestodwuletnia, wstąpiła do Women's Royal Navy Service\* i przydzielona została do sekcji transportu w Londynie.

Wszystko to można było odnaleźć w Księdze. Numer jednostki Jane, nazwisko oficera dowodzącego, nawet numer rejestracyjny motocykla Triumph 350, na którym jeździła i o który dbała z taką czułością. Notatki prowadzone małymi, starannymi literami, charakterem pisma, jaki wyrobił sobie lata temu w college'u.

Nie odrywając wzroku od wejścia do Rising Sun, lewą dłonią pogładził zniszczoną okładkę Księgi. W świetle dnia jego siła malała, ale Księga stanowiła niezawodne źródło mocy.

Informowała, na przykład, że Jane Luffington miała kochanka, przystojnego kapitana, który pracował dla admirała Godfrey'a w wywiadzie marynarki wojennej. Liczby zawarte w Księdze świadczyły, że miesięczny cykl dziewczyny niemal dokładnie odpowiadał fazom księżyca. Mówiły też, że bez potajemnych wizyt w „Rising Sun” Jane nie dałaby rady opłacić mieszkania w Bayswater, które dzieliła z trzema innymi *wrenkami*.

Numer bezmyślnie zdjął okulary i znowu zaczął je czyścić, uśmiechając się do siebie. Czasami zastanawiał się, czy Imiona naprawdę coś znaczą, skoro nie są niczym innym, jak tylko fałszywą konstrukcją bez jakiegokolwiek odpowiednika w świecie. Jedynie liczby mają związek z rzeczywistością. Nie czują i nie kłamią. Liczba jest albo jej nie ma, i koniec.

Usłyszał motocykl na długo przed tym, zanim go zobaczył. Grzmot potężnego silnika odbijał się echem w wąskiej uliczce, kiedy Jane wjeżdżała na Burgon Street. Numer wiedział, że ma mnóstwo czasu. Bez pośpiechu założył okulary i wyjął zegarek z kieszeni. Powoli otworzył kopertę i sprawdził godzinę. Trochę za wcześnie, ale w granicach tolerancji błędu. Dodatkowe minuty oznaczały, że dziewczyna zapewne spędzi więcej czasu z matką, a to tylko ułatwiało mu zadanie. Zamknął zegarek i włożył z powrotem do kieszeni. Potem znowu odwrócił się do okna.

Motocykl pojawił się już w polu widzenia. Była to potężna szara bestia. Wyłupiaste oko reflektora miała przysłonięte zgodnie z przepisami o zaciemnieniu. Koszyk w stalowej ramie, przymocowany poniżej dodatkowego siodełka, mieścił wielkie, płócienne torby.

Jane Luffington zatrzymała się tuż przed wejściem do pubu, wyłączyła silnik i zeskoczyła z Triumph'a. Ubrana była jak zwykle w mundur kuriera motocyklowego – ciemnoniebieskie bryczesy, doskonale dopasowane wysokie buty, krótka kurtkę i skórzane rękawice. Przez chwilę stała zamyślona, potem uniosła gogle i zaczepiła je za pasek na staromodnym kasku, a rękawice wsunęła pod pokrywę torby na maskę gazową. Z owalną twarzą, ciemnymi oczami, krótkimi, ciemnymi włosami Jane była ładna trochę na chłopięcy sposób.

---

\* Women's Royal Navy Service – Kobiety Służby Pomocnicze Marynarki Wojennej

Dziewczyna odprowadziła motocykl w głąb wąskiego pasażu pomiędzy pubem „Rising Sun” a małym biurowym budynkiem. W kilka sekund później pojawiła się znów i weszła do pubu.

Ze swojego punktu obserwacyjnego po drugiej stronie ulicy Numer wszystko doskonale wiedział. Obserwował Jane siedem razy w ciągu ostatnich trzech tygodni. Nigdy nie spędzała z matką więcej niż jedenaście minut, ani mniej niż siedem. Ostrożnie włożył Księgę do kieszeni marynarki, podniósł dużą, stojącą obok stolika walizkę i wyszedł z herbaciarni.

Cztery i pół minuty zajęło mu zakończenie zadania całkowitym sukcesem. Wówczas podążył na stację metra, skąd ruszył w długą drogę powrotną do Dollis Hill. Trzy minuty potem, kiedy Numer zajął się wybieraniem nowych liczb na nadchodzącą noc, Jane Luffington wskoczyła na Triumph, mocno kopnęła starter i prowadziła maszynę w dół wzgórza, na New Bridge Street, a później na północ, w kierunku Centralnego Archiwum.

– Nie sędzę, żeby udało nam się przedrzeć. – Dick Capstick zwołnił, zjeżdżając w dół Middlesex Street, aż wreszcie pozwolił zatrzymać się dziesięcioletniemu fordsonowi tuż przed prowizoryczną barierką. Magazyn po lewej stronie był całkowicie ruiną, podczas gdy mniejszy budynek po prawej przetrwał wczorajsze bombardowanie bez szwanku. Bariarka blokowała wjazd na Strype Street, wąską uliczkę, gdzie szeregowe domki tworzyły pojedynczą linię graniczną pomiędzy Middlesex Street i Bell Lane, rozdzielając Spitalfields i Aldgate. Następny rejon slumsów powoli rozprzestrzeniający się na zachód, w kierunku City, jak na razie niewidoczny, ale powiększający się z czasem.

– Mały spacerek nie zaszkodzi – Morris Black uśmiechnął się do swego towarzysza. Capstick miał trzydzieści siedem lat, o trzy mniej niż Black, ale ważył jakieś trzynaście kilo więcej. Przypominał raczej zapaśnika, a nie detektywa. Efekt, który wywierały jego szerokie ramiona i grubo ciosana twarz o kwadratowej szczęce, wzmacniał jeszcze strój – elegancki garnitur z Saville Row z białą różą w klapie. Black znał tego potężnego mężczyznę od czasu, kiedy sam wstąpił do policji. Capstick był jednym z niewielu przyjaciół, jakich miał w Yardzie. Pomimo tego ich znajomość prawie wyłącznie ograniczała się do spraw zawodowych, bowiem Fay była dla Blacka nie tylko kochanką, ale i najbliższym przyjacielem. Inspektor już dawno temu doszedł do wniosku, że nikt jej w żadnej z tych ról nie zastąpi.

Capstick zaciągnął ręczny hamulec i obaj mężczyźni wysiedli. Nozdrza Blacka natychmiast zaatakował ciężki odór mokrego popiołu i zmoczonego, żarzącego się drewna. Jeszcze trochę, pomyślał inspektor, a całe miasto będzie cuchnąć jak krematorium. Wędrujący nad Londynem obłok dymu stał się codziennym elementem krajobrazu.

– Trzymaj się, Morris. Musimy przebrnąć przez spotkanie z tym małym Hitlerkiem. – Capstick ruchem głowy wskazał szczupłego człowieka koło czterdziestki, który maszerował tam i z powrotem wzdłuż barierki, ubrany w długi płaszcz

przeciwdeszczowy i ciężki hełm z białymi literami W.R.P.\* Mężczyzna ścisnął w dłoni długą pałkę, którą rytmicznie uderzał się w udo. Na okrągłej czerwonej twarzy błyskały szkła okularów. Pije albo ma bardzo wysokie ciśnienie, pomyślał Black.

– Nie możecie się tu zatrzymywać. Policyjny zakaz. – Głos wartownika przypominał skrzek.

– Och, odczep się – warknął Capstick.

Rozwścieczony konstabl zbliżył się do o wiele wyższego detektywa i groźnie machnął pałką. Kolor jego twarzy przeszedł w purpurę, jakby mężczyzna miał zaraz dostać wylewu.

– Dosyć tego. Natychmiast przechodzić!

Capstick sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął odznakę policyjną. Pomachał nią tuż przed nosem wartownika.

– Inspektor Capstick, Wydział Śledczy – warknął. – A to inspektor Black. A kim, u diabła, wy jesteście?

– Konstabl Christie. – Na widok odznaki mężczyzna stanął na baczność. – Bardzo mi przykro, panie inspektorze, ja... – Skrzeczący głos załamał się.

– To bardzo dobrze, że wam przykro – uciął Capstick. – A teraz z drogi.

Konstabl Christie wykonał rozkaz, obydwaj detektywi przekroczyli niską barierkę.

– Nie za ostro z nim postąpiłeś? – zagadnął Black, kiedy szli w dół ulicy.

– Wiesz, co mnie doprowadza do szału? – Capstick ostrożnie ominął stos gruzu. – Mamy cholerną wojnę, cholerne bomby spadają z cholernego nieba, a tu zatrudnia się tysiące małych, głupich pluskiew jak ten tam. Natrętne małe gówna. Umieją tylko przeszkadzać.

Black w milczeniu przyznawał przyjacielowi rację. Najgorsze, że prawie nikt nie zajmował się sprawdzaniem tych rezerwistów. Bóg jeden wie, kogo tak naprawdę zatrudniano. Opowiadano, na przykład, że pewien cwaniak, wykorzystując nowo nabyte stanowisko, zabrał się do testowania beczkowego piwa w pubach, pod pretekstem kontroli, czy nie zostało zatrute przez piątą kolumnę. Zajmował się tym przez prawie cały tydzień, zanim komuś przyszło do głowy, że warto by go sprawdzić.

Tylko kilka domów zostało doszczętnie zburzonych przez bomby, ale dowody na skuteczność pocisków zapalających rzucały się w oczy na każdym kroku. Pod nogami wały się wypalone płyty chodnikowe, kawałki połamanych mebli, poszarpana pościel. Nigdzie nie było widać bawiących się dzieci i to najlepiej poświadczało niezwykłość sytuacji.

Dom, którego szukali, znajdował się na końcu ulicy. Za nim ciągnął się żelazny płot, oddzielający niewielki ogródek od Bell Lane. Minęli zniszczony gmach szkoły. Cały teren porastały chwasty. Black zatrzymał się na chwilę i rozejrzał dookoła. To miejsce obróciło się w ruinę na długo przed rozpoczęciem nalotów.

Kilku umundurowanych policjantów stało przy drzwiach domu. Towarzyszyło im dwóch, dobrze uzbrojonych w aparaty fotograficzne, specjalistów z sekcji

---

\* War Reserve Police – rezerwy policji powołane w okresie wojny

dokumentacji. Black dostrzegł szybki, gwałtowny ruch i mały łuk iskier, kiedy jeden z posterunkowych na widok nadchodzących inspektorów z pośpiechem wyrzucił papierosa.

Dom był wąski, dwupiętrowy. Prowadząca do niego ścieżka czerwieńiała się wśród pokruszonych żółtawych cegieł. Trzy stopnie o krawędziach wyżłobionych przez czas wiodły do ciemnozielonych drzwi. Kolor ten odpowiadał dokładnie odcieniowi, na jaki malowano gabinety w Yardzie i wszystkich rządowych biurach w Whitehall i Westminster.

Podkradziona z magazynu puszka farby, ukryta w teczce i ukradkiem wyniesiona. Wszystkie domy w Bermondsey i większość w Tooting nosiły na sobie to samo złodziejskie piętno. Ostatnio trudno było dostać farbę; ołów zużywano do produkcji naboju i bomb.

– To tu? – niepotrzebnie spytał Capstick. Jeden z fotografów kiwnął głową. Capstick i Black weszli na schodki.

Reg Perrin, sierżant z Bishopsgate, pierwszy odebrał meldunek o zbrodni. Teraz klęczał w wąskim, ciemnym przejściu tuż za drzwiami. Z sufitu zwisała słaba żarówka. Ściany pokrywał szorstki, zielony tynk. Na podłodze korytarza leżał wytarty brązowy dywan, miejscami tak zniszczony, że prześwitywały przezeń ciemne deski parkietu.

– Znaleźliście coś? – spytał Capstick.

Sierżant oderwał wzrok od ciemnego kąta i wstał, otrzepując spodnie na kolanach.

– Nic oprócz kurzu. – Perrin, suchy, żyłasty Walińczyk o wąskiej twarzy, miał około trzydziestu pięciu lat. Przerzedzone włosy ukrywał pod staroświeckim melonikiem. – Rany boskie, nie wiem, dlaczego zajmujemy się takimi miejscami. Moim zdaniem ten cholerny Hitler robi nam w tym wypadku przy-sługę.

– Pana opinie nikogo nie interesują – powiedział Capstick chłodnym głosem. Perrin rządził w Bishopsgate niczym feudalny pan na włościach, ściągając daninę z każdego pubu i burdelu w okolicy. Capstick wyjątkowo tego człowieka nie lubił.

– Koty – stwierdził Black, wciągając powietrze. W ciasnym przejściu unosił się smród amoniaku.

– Trzeba aż detektywa z Wydziału Śledczego, aby dokonać takiego odkrycia – uśmiechnął się ironicznie Perrin. – Koty należą do pana Wardle'a. Mieszka na górze. – Ruchem głowy wskazał znajdujące się za nim schody. – Kolejarz. Na emeryturze.

– Rozejrzyjmy się w środku – zaproponował Black.

– Będziecie mieli towarzystwo, najlepsze, jakie tylko można znaleźć.

– Kto?

– Papież i Arcybiskup. – Black ze zrozumieniem pokiwał głową. Spilsbury i jego długoletni przyjaciel Bentley Purchase, koroner z East London.

– Pojawili się bardzo szybko – zaniepokoił się nagle Capstick. – Kto ich tu przywołał?

– Kto? Wasi kumple.

Dwaj detektywi ze Scotland Yardu weszli do mieszkania na parterze. Drzwi z korytarza prowadziły wprost do małej bawialni z oknami na ulicę. Owalna, plecioną mata leżała na podłodze, przy ścianie stał nieduży kredens, a przed kominem fotel. W pokoju nie było żadnych ozdób z wyjątkiem kalendarza Banku Lloyda. Brudna szyba frontowego okna pękła przez całą szerokość. Kwiaty na tapetach, ongiś jasnyniebieskie, przybrały odcień nikoty.

Wrócili na krótki korytarzyk. Po prawej stronie znajdowało się wejście do ciasnej sypialni. Z materaca ktoś zdjął pościel. Niewielkie, wysoko umieszczone okno ukazywało skrawek zamglonego nieba. I znowu szyba była brudna.

W kuchni zastali Spilsbury'ego. Trzymając ręce w kieszeniach płaszcz, stał wraz z koronerem obok emaliowanego zlewu, koło którego ustawiono lodówkę. Tuż obok kolejne drzwi zapewne prowadziły do ogródka.

Na lodówce stał budzik w jasnożółtej bakelitowej obudowie. Poza tym znajdowały się tu tylko dwa drewniane krzesła i kwadratowy stół przykryty kawałkiem ciemnoniebieskiej ceraty. Na blacie leżało nagie ciało młodego mężczyzny.

Głowa zmarłego zwisała z krawędzi stołu. Oczy i usta były otwarte. W zsiniałej twarzy wyraźnie odznaczały się brązowe, przekrwione oczy i niemal czarny język. Długie włosy miały jasny kolor.

– Interesujące, nie sądzi pan? – zagadnął Spilsbury od razu przechodząc do rzeczy. Morris Black poczuł nagły przypływ klaustrofobii. Czterech mężczyzn tłoczyło się w pomieszczeniu szerokim na dwa i pół metra i niewiele dłuższym. Pomiędzy nimi na stole leżało martwe ciało.

– Nie widzę żadnych wyraźnych przyczyn zgonu – stwierdził Purchase. Black spotkał uprzednio koronera tylko raz czy dwa. Znał jednak opinię, jaką cieszył się ten przysadzisty mężczyzna z małymi oczkami za soczewkowatymi szklami okularów. Purchase ukończył medycynę w Cambridge, potem uzyskał dyplom z prawa. Współpracownicy cenili w nim bystry umysł i pewną rękę. Black zamyślił się. Dlaczego patolog i koroner przybyli tak szybko? Dlaczego w ogóle się tu zjawili? Naprawdę dziwne, tak samo zdumiewające jak zwłoki, które badali.

– Cóż, przypadek naszego polskiego przyjaciela – powiedział Spilsbury. Black przechylił się przez Capsticka i spojrzał uważniej na ciało. Nagi podobnie jak Rudelski, bez żadnego śladu śmiertelnej rany. Rozciągnięty na stole niczym na ołtarzu ofiarnym.

Inspektor pochylił się. Pozycja górnych kończyn wydała mu się dziwna. Lewa ręka tworzyła w stosunku do torsu kąt czterdziestu pięciu stopni, podczas gdy prawa została przełożona przez bezwłosą pierś prawie prostopadle do linii ramion. Black poczuł, że z czymś to kojarzy, ale nie mógł uchwycić myśli. Wyjął pióro z kieszeni marynarki i delikatnie obrócił dłonie nieboszczyka wnętrzem do góry.

– Nic z tego – powiedział Spilsbury. – Pan Purchase i ja przeprowadziliśmy już wstępne oględziny. Tym razem nie widać żadnej litery Z. Podejrzewam, że nie ma co marzyć o wyraźnych śladach.

Black odsunął się od stołu. Prawie już chwycił niesprecyzowaną myśl. Pozwolił, aby jego wzrok okrążył znowu pokój i w końcu spoczął na stojącym na

lodowce małym zegarze. Wskazówki nie poruszyły się od chwili, kiedy weszli do kuchni. W domu inspektor miał bardzo podobny budzik, który tykał bardzo głośno, kiedy był nakręcony. Zegar na lodowce stanął o 3:25. Black jeszcze raz spojrzął na ciało i już wiedział. Ramiona to wskazówki zegara. Ich pozycja była taka sama. Dwadzieścia pięć po trzeciej.

Poczuł ściskanie w dole brzucha i równocześnie narastające podniecenie. Wiedział już, co to znaczy, przynajmniej częściowo. Czas i okoliczności mogły w końcu tłumaczyć morderstwo na Rudelskim – gumowy worek, narkotyk, nawet literę wyciętą na dłoni, ale nie to. Inspektor poczuł, że się rumieni, zakłopotany pierwotnością własnych reakcji. Pies myśliwski chwycił świeży trop. Ogarnęła go pasja, dzięki której mógł zapomnieć o bólu samotności.

Pokiwał głową. Nierozwiązana sprawa śmierci polskiego lotnika mogłaby zostać odłożona na później. Akta budziły niepokój przez jakiś czas, a w końcu poszły w zapomnienie, przysypane tuzinami, potem setkami i tysiącami bardziej pilnych dokumentów. Zatrzymany zegar i pozycja ramion zmarłego zmieniały sytuację całkowicie.

Marszcząc brwi, Black wpatrywał się w ciało. Zastanawiał się, czy morderca nie był kiedyś skautem. Albo marynarzem. Zarówno wskazówki zegara, jak i układ rąk zmarłego odtwarzały sygnał stanowiący ostatnią literę alfabetu.

– Myli się pan, sir Bernardzie – odezwał się w końcu, mając już teraz pewność. – Widać tu nie jedno Z, ale dwa.

## Rozdział piąty

WTOREK, 10 WRZEŚNIA 1940 ROKU

19.30 BRYTYJSKIEGO CZASU LETNIEGO

**N**a Boga, Morris, myślałem, że staruszkowi oczy wyjdą z orbit. Kod alfabetyczny, patrzcie tylko! – Dick Capstick posypał makaron imponującą ilością sera, nabrał na widelec olbrzymią porcję i wepchnął do ust.

Wstąpili na kolację do „Gennaro” na Dean Street, w samym centrum Soho. Popularna włoska restauracja świeciła teraz pustkami. Bombardowania wymusiły na londyńczykach zmianę przyzwyczajzeń: teatry zamykano o siódmej, a o ósmej kończyły swoją działalność nawet najbardziej wzięte restauracje i kluby. Soho, dzielnica skandali wciśnięta pomiędzy uczone Bloomsbury i eleganckie Mayfair, nie stanowiła wyjątku. Tylko hotele zaopatrzone w schrony w piwnicach zachowały dawny rozkład dnia.

Morris Black uśmiechnął się i pociągnął łyk wina. Był zbyt podekscytowany, żeby jeść. Potrawka z cielęciny zamieniła mu się już na talerzu w galaretowatą, zimną masę. Jak się okazało kilka lat spędzonych w harcerstwie nie poszło na marne. Kod alfabetyczny nie miał dla Blacka tajemnic. Pozycja wskazówek zegara i ramion zmarłego były identyczne. Oznaczały literę Z. Zarówno Spilsbury, jak i Purchase nie zdołali tego zauważyć. Sir Bernard pogratulował Blackowi odkrycia; Purchase zrobił tylko kwaśną minę.

– To nie przybliżył mnie wcale do wykrycia sprawcy.

– A jednak... – Capstick sięgnął po kieliszek. – Przynajmniej nasi dwaj znawcy dostali po nosie. – Black znowu się uśmiechnął. Capstick był nieodrodnym synem Partii Pracy. Ustawianie na baczność zwierzchników stanowiło dla niego cel nieustającej krucjaty.

– Zastanawiam się tylko, co się stanie, kiedy prasa to wywęszy. – Na tyłach kiepsko oświetlonej sali ktoś włączył fonograf. Popłynęła smutna muzyka skrzypcowa. – Sprawa jest z gatunku tych, które mogą wywołać panikę. Szalenciec morduje ludzi podczas nalołów!



– Nie martwiłbym się o to. – Capstick pokręcił głową, wydrapując z talerza resztki spaghetti. – Wspomnisz jeszcze moje słowa. Dlatego właśnie Spilsbury i Purchase zjawili się na miejscu zbrodni tak prędko. Polecenie z góry: o tej sprawie ma być cicho – sza. Żeby nie podkopywać morale ludności i tak dalej. Jeśli choć słowo na ten temat wydostanie się z Yardu, polecą głowy. Inspektor wytarł talerz kawałkiem chleba, przełknął ostatni kęs i rozparłszy się wygodnie na krześle zapalił papierosa. – Sprawa już dostała kategorię D, chyba że bardzo się mylę.

– Coś zawsze przecieknie. – Morris Black wzruszył ramionami. – Kategoria D czy nie, nie ma na to rady.

Kategoria D był to formularz cenzury, powszechnie używany w Ministerstwie Wojny. Black zastanawiał się, jak naziści nazywają swoje zakazy rozpowszechniania wiadomości. *Goebbelsröte*?

Capstick wzruszył ramionami.

– Zdaje mi się, że góra przywiązuje do tej sprawy zbyt wielką wagę. Ten zbrodniarz zabija tylko pedałów.

– Nie jesteśmy przecież tego pewni.

– Ale można tak przypuszczać. Martwi młodzi, przystojni chłopcy, ze swoimi klejnotami fruującymi na wietrze. To chyba nie powód do zmartwienia dla znakomitej większości społeczeństwa, Morris.

– Nie, nie dla większości, ale dla kilku dobrze ustawionych posłów z pewnością tak.

Capstick skrzywił się.

– Nie wspominając o połowie szacownych absolwentów Eton w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Jeśli wierzyć chłopakom ze Służb Specjalnych, wystarczy, że uśmiechniesz się do któregoś z tych panów stojąc przy pisuarze, a zostaniesz oskarżony o napastowanie. – Capstick jeszcze raz pokręcił głową i wypuścił długą smugę dymu. – Cieszę się, że to nie moje zdanie, Morris. Będą chcieli, żebyś zakończył sprawę w ekspresowym tempie. Znaczące spojrzenia szefa. Pełne troski monity z biura naczelnego komisarza. Śmierdząca historia.

– Nie zauważyłem, żebyś podawał mi pomocną dłoń.

– Mam, dzięki Bogu, własnych bandziorów do ścigania. – Uśmiechnął się przez stół do przyjaciela. – Żadnej pocięchy z tego lokatora z góry?

– Wardle? Jest pół ślepy i niemal głuchy. Mieszkanie na parterze zostało opłacone przez agencję na dwa miesiące z góry. Gotówka wysłana pocztą. Sprawę załatwiono przez telefon. Wardle tylko raz rozmawiał z sąsiadem z dołu.

– Nic nie pamięta?

– Ni cholery – wystękał Black, naśladując głos staruszka.

– Więc nie ma się czego ucześcić?

– Nie.

– To znaczy, że musisz poczekać, aż on to znowu zrobi.

– Też się tego obawiam. – Black ponuro pokiwał głową.

Capstick sprawdził swój zegarek.

– No cóż, to nie potrwa długo. Nadleżą zapewne już za kilka minut. Może Kuba Pedał uderzy dziś wieczorem.

– O Boże! – Żartobliwie jęknął Black. – Nadałeś mu imię!

– Jeżeli zobaczysz je jutro w „Standard”, będziesz wiedział, kto odpowiada w Yardzie za przecieki.

– W takim przypadku doniosę na ciebie Służbom Specjalnym. Należy tępić piątą kolumnę.

– Chodź, Morris – roześmiał się Capstick, odsuwając krzesło. – Zawiozę cię do domu, zanim zaczną spadać bomby.

Jechali przez ciemne, opustoszałe ulice, kierując się na zachód w kierunku Shepherd’s Market. Black patrzył w zamyśleniu przez szybę. W końcu odezwał się przytłumionym głosem.

– Jeszcze jedna rzecz mnie trapi.

– Co takiego?

– Skąd on wiedział?

– Kto?

– Kuba Pedał. Skąd wiedział, która część miasta będzie bombardowana? Najpierw Rudelski, teraz ten drugi.

– Całe to cholerne miasto jest bombardowane, Morris. To tylko zbieg okoliczności.

– Nie sądzę. – Black pokręcił głową. – Rudelski został zamordowany przed pierwszym wielkim nalotem siódmego. – Popatrzył przez boczne okienko na zaciemnioną ulicę. – Zanim to wszystko się zaczęło. Tamten wiedział z góry, co się stanie.

– O czym ty mówisz? Robisz z tego gościa kogoś w rodzaju czarnoksiężnika. Zaraz powiesz mi, że lata dookoła na skrzydłach nietoperza i sypia w jakiejś cholerniej trumnie. – Capstick głośno parsknął śmiechem. – A może on jest jednym z hitlerowskich szpiegów i stąd wie, kiedy będzie nalot. Boże! Tylko tego by nam brakowało, Morris! Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby gazety podchwyciły ten temat. Cholerny nazistowski morderca grasujący bezkarnie po Londynie. – Pokręcił głową. – Wierz mi, stary, to tylko przypadek.

Black wzruszył ramionami.

– Zapewne masz rację. Musimy zaczekać i zobaczyć, co się stanie.

Capstick podrzucił go na Curzon Street. Stąd Black miał parę kroków do Market Street.

Zatrzymał się na chwilę na rogu. Z „Ye Grapes” dobiegały śmiechy, stłumione przez ciężkie kotary zaciemniające okna. Nocne powietrze było rześkie i chłodne. Black miał ochotę wpaść na jednego, potem jednak się rozmyślił. Zaczął pić krótko po śmierci Fay, głównie po to, żeby stłumić rozpacz i móc zasnąć. Wkrótce stało się to jednak jego przyzwyczajeniem i obawiał się, że mogło przejść w nałóg.

Wystarczająco często widział, jak przydarzało się to innym – kolegom z Yardu, w pękatych teczkach, których brzęczały butelki, a na policzkach i nosach wykwiwały szlaczki popękanych żyłek.

Black usłyszał z oddali wycie syren, ale nie zauważył żadnych oznak zbliżającego się bombardowania. Już od popołudnia niebo pokrywały szare chmury, a prognoza pogody z obserwatorium w Greenwich mówiła o zachmurzeniu nad całą Francją i centralną Europą. Dziś wieczorem nie będzie dużego nalotu. Pomyślał o Kubie Pedale. A jednak ten morderca miał dziwną zdolność przewidywania przyszłości. Inspektor usiłował odrzucić tę myśl. To zapewne tylko zbieg okoliczności.

Zatrzymał się przed wejściem do dwupiętrowej kamienicy na rogu Market i White Horse Street. Na parterze mieściła się piekarnia i sklep spożywczy, a na piętrze dwa mieszkania. Drugą kondygnację zajmował w całości obszerny apartament.

Ojciec Blacka kupił ten dom wraz z sześcioma podobnymi podczas Wielkiego Kryzysu i przekazał go synowi jako prezent ślubny. Morris Black zamieszkał na drugim piętrze. Komorne z dwóch pozostałych mieszkań i ze sklepów na parterze podwajało jego roczną pensję w Yardzie.

Dochody z kamienicy rosły z roku na rok. Inspektor zawarł umowę ze swoim bankiem, że czynsz ów będzie gromadzony na osobnym rachunku przeznaczonym dla dzieci. Dzieci nigdy się nie pojawiły, ale Black przedłużał tę umowę nawet po śmierci Fay. Dawno już stracił rachubę, ile pieniędzy naprawdę posiada. W ogóle go to nie obchodziło. Obecnie zadowalał się w zupełności policyjną pensją.

Otworzywszy proste drewniane drzwi, zaczął wspinać się po schodach. Ponieważ często wracał do domu dobrze po zmroku, zasłaniał kotary jeszcze rano, przed wyjściem. W mieszkaniu więc panowała całkowita ciemność.

Black zamknął za sobą drzwi na klucz. Pochylił się i po omacku zebrał z podłogi pocztę, po czym wszedł do bawialni. Dopiero wtedy włączył światło, wybierając lampę na małym stoliku przy kominku, a nie znacznie mocniejsze kinkiety czy żyrandol.

Mieszkanie było duże, ale nie miało zbyt wielu pokoi. Po jednej stronie korytarza znajdowała się kuchnia połączona z bawialnią. Mały hall prowadził do obszernej sypialni z aneksem, który miał pełnić rolę pokoju dziecięcego, a w końcu został przerobiony na gabinet.

Każdy zakamarek tych wnętrz, włączając w to garderobę, nosił na sobie ślady ręki Fay. Dla Blacka mieszkanie nie stanowiło nigdy czegoś więcej niż tylko miejsce, w którym się żyje; dla Fay było to pole nieustającej pracy artystycznej.

Wielki dywan w bawialni wypełniały geometryczne wzory w delikatnych odcieniach błękitu i szarości, a lakierowany baren w odległym końcu pokoju stanowił brytyjską wersję Bauhausu. Fotele przy kominku, z różanego drewna, pokryte jedwabną morą, zostały wykonane w stylu Paula Follota, paryskiego projektanta wnętrz. W pobliżu jednego z wysokich okien, częściowo ukryte za japońskim parawanem, stały małe sztalugi i stolik do malowania.

Przedtem wszędzie na ścianach wisiały obrazy i szkice malarzy, z którymi Fay zetknęła się z racji swojej pracy w galerii w Sunderland House, artystów ta-

kich, jak Victor Passmore, John Piper, Roy de Maistre i jego „przyjaciel”, Francis Bacon. Tego ostatniego Black przez całe lata kontaktów z galerią nigdy nie widział trzeźwego. Niektórzy, jak Bacon, osiągnęli w końcu sławę, podczas gdy inni pograżyli się w oparach alkoholu. Jednak ani ich powodzenie, ani prawdziwy talent nie obchodziły Blacka.

W tydzień po tym, jak Fay została pogrzebana na pełnym spokoju Cmentarzu Żydowskim przy Hoop Lane w Golders Green, Black zdarł ze ścian wszystkie te dzieła sztuki. Ich miejsce zajęły małe, delikatne akwarele, przedstawiające widziane przez okno codzienne życie Shepherd’s Market. Obrazki, których żona nigdy nie śmiała nikomu pokazać, nawet jemu. Nauczył się je kochać nie za to, co przedstawiały, ale za to, że były maleńkimi kryształami zamrożonego czasu, że przypominały mu Fay. Wszystko, co po niej pozostało. Boże! Tak cholernie trudno było pozwolić jej odejść!

Black podszedł do barku, przygotował małą szkocką z wodą sodową i z drinkiem w dłoni zasiadł na fotelu obok zimnego kominka. Zapalił papierosa. Potem, pociągnąwszy łyk ze szklanki, zaczął przeglądać pocztę.

Nie znalazł wiele ciekawego: list z banku, którego nawet nie otworzył, zaproszenie na bar micwę chłopca, o którym nigdy chyba nie słyszał – niewątpliwie wnuka jednej z niezliczonych przyjaciółek matki – oraz zawiadomienie o zbliżającej się aukcji rzadkich znaczków u Gibbonsa. Wsunął zawiadomienie do kieszeni marynarki, wyciąg bankowy i zaproszenie zostawił na stoliku przy fotelu i ze szklanceczką i papierosem przeszedł do gabinetu.

Był to pokój o zdecydowanie męskim charakterze. Piękne hebanowe biurko stanowiło jedyny wkład Fay w wystrój tego wnętrza. Jednak już obite zieloną podrapaną skórą krzesło raziło brakiem elegancji, a aksamitne pokrycie fotela tak się zużyło, że Fay ciągle nalegała, aby zmienić je na pikowany materiał w szaroniebieskie wzory. Podłogę zaścielała ogromna skóra bawołu ozdobiona rogatym łąbem, którą Black przejął wraz z mieszkaniem.

Fay rozsądnie nigdy nie proponowała, aby ją wyrzucić. Dwie ściany gabinetu od podłogi do sufitu zabudowano półkami na książki. Koło drzwi udało się jeszcze wcisnąć kilka wysokich, drewnianych szafek na klasery.

Inspektor ciężko opadł na fotel i postawił szklankę na szerokiej poręczy. Zmęczonym wzrokiem przesunął po ustawionych porządnie szeregach książek. Dwie półki samego Stevensona, w tym rocznicowe wydanie dzieł zebranych w szesnastu tomach. Półka Dickensa, następna Marka Twaina. Kolejną dzielili między siebie Dumas i Defoe, a najniższą zajmował Conan Doyle.

James Fenimore Cooper, Melville, tuzin czy coś koło tego pozycji poświęconych Drake’owi, kilkanaście książek o Jamesie Cooku, pamiętniki Bligha, listy z podróży Darwina i najnowsze opracowanie o wyprawie Scotta na Spitsbergen, o dziwnym zniknięciu „Eagle”, wreszcie opis równie tragicznej ekspedycji Nobilego na włoskim lodołamaczu „Italia”.

Zaginienie Fawcetta w Amazonii. Poszukiwanie źródeł Nilu. Tysiące przegód, od odkrycia Ameryki przez Krzysztofa Kolumba po lot nad Atlantykiem Lindbergha.

Wszystkie te miejsca, do których nigdy nie pojechał, ludzie, których nie miał okazji poznać, czyny których nie dokonał. Jego własna, intymna kosmologia, sięgająca korzeniami dzieciństwa, kiedy to po raz pierwszy za własne pieniądze kupił książkę – zaczytany egzemplarz „Podróży do wnętrza Ziemi” Verne’a, wyparty na straganie przy Farringdon Road. Fay podśmiewała się z męża z powodu tej skłonności do awanturnych historii, ale nigdy nie robiła z tego problemu. Teraz wszystkie te powieści wydawały się Blackowi niemal głupie. Może nadszedł czas, aby dorosnąć i odrzucić dzieciadę.

Zaczęły spadać pierwsze bomby. Głuchy dźwięk docierał do gabinetu jak stłumiony pomruk odległej burzy. Znowu East End. Jeżeli się poszczęści, zachmurzenie uniemożliwi dłuższy nalot.

Black osuszył szklankę do dna i zgniół papierosa w stojącej obok fotela popielniczce. Nie popłynie dzisiejszego wieczoru canoe z Radissonem z „Ostatniego Mohikanina”. Luftwaffe atakowała Londyn i trzeba było przemyśleć sprawę Kuby Pedala.

Przeklął w myślach Capsticka. Przewisko było tak trafne, iż Black ciągle powracał do niego myślami. Zapalił następnego papierosa i wlepił wzrok w sufit. Zagadka miała już imię; jak długo potrwa, zanim oblecze się w konkretną postać?

Black zamknął powieki i machinalnie potarł nos u nasady. Jedno wiedział na pewno: twarz mordercy zaskoczy wszystkich swoją zwyczajnością. Okaze się równie łagodna i przeciętna, jak oblicza sprzedawców u Harrodsa.

Hyde Stevenson był potworem o byczym karku i kwadratowej szczęce, ale w życiu codziennym morderstwo przywdziewało zwykle pozór normalności. Black przypominał sobie starannie przycięte wąsiki Crippena i wykrochmalone kołnierzyki Seddona. A zwana Tygrysią, Winnie Judd miała policzki rumiane jak jabłuszka i kunsztowną ondulację na głowie. Oczywiście wygląd mordercy nie miał absolutnie żadnego znaczenia, ale Black wiedział, że zdolność do wyobrażania sobie zbrodniarza pomaga w śledztwie. Na tym polega Zmysł.

W ciągu dziewięćdziesięciu ośmiu lat istnienia Wydział Śledczy Policji Miejskiej zatrudniał setki detektywów. Większość z nich była co najmniej kompetentna, niektórzy zyskali opinię bardzo dobrych, a kilku uważano nawet za doskonałych. Richard Capstick, na przykład, cieszył się reputacją dobrego detektywa. Władza nie uderzyła mu do głowy jak Perrinowi, a nieprzekupność stanowiła poważną zaletę w przypadku człowieka pracującego w mocno skorumpowanej instytucji, gdzie podczas ostatnich dziesięciu lat trzykrotnie przeprowadzano obniżkę pensji.

Capstick był pracowitym, metodycznym, inteligentnym policjantem. Miał cierpliwość i chęć, by spędzać tygodnie czy miesiące na poszukiwaniu śladów i dowodów, na prowadzeniu zeznań, koniecznych do owocnego zamknięcia sprawy. Dobre oko, smykałka do szczegółów i umiejętność radzenia sobie z ludźmi znacznie ułatwiały mu pracę.

Ale Capstickowi brakowało jednej cechy, która odróżnia detektywa dobrego od doskonałego. Brakowało mu tego, co nazywano w Yardzie Zmysłem.

Żaden zapytany wprost inspektor Scotland Yardu nie przyznałby się do wiary w intuicję. Ale wszyscy wiedzieli, że Zmysł istnieje i każdy, kto kiedykolwiek

pracował z Blackiem, doskonale zdawał sobie sprawę, że Morris właśnie ten dar posiada. Niektórzy uważali Zmysł za coś niemal metafizycznego, ale sam Black widział tu raczej subtelne rozróżnienie pomiędzy rzemiosłem a sztuką.

Dla większości inspektorów Yardu zawód policjanta był po prostu pracą. Biurokratyczna maszyna władzy walczyła z potęgą zbrodni i tchórzostwa. Przystępcy mieli niezliczone możliwości łamania prawa, ale Yard dysponował nieograniczonym czasem i cierpliwością.

Black postrzegał swoje zadania inaczej. W pełni doceniał profesjonalizm detektywów takich jak Capstick. Znał także wartość żmudnej, systematycznej pracy, ale wierzył, iż nagle olśnienie może przynieść sukces tam, gdzie zawiodły setki przesłuchań. Kombinacja wyobraźni i intuicji. To był właśnie Zmysł.

Teraz jednak nie dawał o sobie znać. Black nie wyczuwał Kuby Pedąła, nie nie błysnęło w mózgu inspektora, gdy przyglądał się ofiarom. Kuba był fantomem bez twarzy, bez określonych cech charakteru, bez motywu. Nie pozostawiał żadnego śladu, oprócz enigmatycznej litery Z.

Zwykle śledztwo w sprawie morderstwa skupiało się na faktach zarówno poprzedzających, jak i następujących po akcie zbrodni. Czy ktoś w określonym czasie widział mordercę lub ofiarę? W jaki sposób popełniono zabójstwo, jakie dowody mogły zostać przeoczone przez przestępcę usiłującego zmylić policję? Kim była ofiara i jakie związki istniały pomiędzy nią a mordercą?

W końcu znajdowano odpowiedź na któreś z tych pytań, co niemal zawsze prowadziło do wyjaśnienia pozostałych kwestii. Chodziło tylko o to, by natrafić na właściwy wzór, wyłaniający się z ciemności jak widmowe ślady stóp pozostawione przez mordercę.

Jednak Kuba Pedął nie grał zgodnie z zasadami. Capstick twierdził, że obie ofiary były homoseksualistami, ale nie mieli na to żadnego dowodu. W sprawie Rudelskiego istniały przynajmniej pewne domysły ze strony ludzi, którzy pilota znali, ale w przypadku młodego człowieka znalezione tego popołudnia policja nie dysponowała żadnymi danymi. Chociaż obu mężczyzn znaleziono nagich, nic w gruncie rzeczy nie wskazywało na seksualny podtekst.

Kuba Rozpruwacz miał przynajmniej zwyczaj ćwiartowania zwłok swoich ofiar, a szczególną uwagę poświęcał ich narządom płciowym; motywy zaś tego szaleńca nie wydawały się równie oczywiste. Wyglądało jakby Kuba Pedął w ogóle nie istniał. Dwaj młodzi mężczyźni po prostu rozebrali się podczas nalotu, położyli i umarli.

Black drgnął, słysząc stłumiony ryk eksplodujących gdzieś daleko bomb. Jeżeli będzie nadal tak podchodził do sprawy, to zanim się spostrzeże zacznie wierzyć w czary. Pokręcił głową. Nierozwiązane morderstwo nie stanie większej tajemnicy niż cyrkowa sztuczka. Trzeba tylko odkryć, na czym polega trick.

Westchnął, wstał i poszedł do bawialni. Wylączył lampę, przez chwilę przyglądał się sztalugom Fay, potem odsunął kotary, otworzył okno i wyrżał. Z „Ye Grapes” nadal dobiegały śmiechy. Black przeciągnął się i odetchnął głęboko. To zapewne tylko złudzenie, ale miał wrażenie, że w ciągu kilku ostatnich dni

zmienił się zapach Londynu. W powietrzu oprócz smrodu spalin unosiła się woń pradawnej gliny, płonącego drewna i spalonych ciał. I jeszcze stęchlizna jak we wnętrzu trumny. Spojrzał ponad dachami domów na końcu ulicy. Co kilka sekund tamtą stroną nieba rozdzierał błysk, któremu towarzyszył grzmięcy, głuchy huk. Zastanawiał się, czy Kuba Pedał też się temu widowisku przygląda, obserwuje te same smugi jasności przecinające mrok, słyszy przeraźliwe odgłosy spadających bomb. Blackiem wstrząsnął dreszcz. Może Dick Capstick miał rację; zapewne nadmiernie puścił wodze wyobraźni. Zamyślny zapalił następnego papierosa. Może nadszedł czas, aby inspektor Morris Black wycofał się z gry. Fay umarła ponad rok temu, a on nadal nie mógł otrząsnąć się z rozpacz. Jakby wraz ze śmiercią żony umarła i jakaś jego część. Czy mógł utracić Zmysł z powodu bólu złamanego serca? A może to coś innego? Może Zmysł podpowiadał mu coś, czego nie chciał dostrzec? Pomimo opinii Capsticka Black miał całkowitą pewność, że Kuba Pedał wiedział, kiedy nadejdzie nalot. A to wydawało się niemożliwe. Zupełne szaleństwo.

Pracując w półmroku, Numer marszczył się ze skupieniem. Ostrożnie przyłożył stalowy szpic do koła przeznaczonej do produkcji biżuterii szlifierki. Tarcza z karborundu została pokryta cienką warstwą ciemnozielonego materiału ściernego. Wybrał numer 6, gdzieś w połowie skali. Za każdym razem, kiedy przytykał ostrze do wirującego koła, unosiła się cienka smużka dymu, napełniając jego wrażliwe nozdrza zapachem spalonego oleju. Ten zapach przypominał jasną kuchnię matki. Numer drgnął, naciskając mocniej lśniąca, ostrą krawędź.

Kuchnia matki, brzęczące chmary much, skóra ciemniejąca w straszliwym upale. Kłębki kurzu unoszą się w spokojnym powietrzu, w jasnym słońcu połyskuje złoto. Motar, siedzący w progu, podwinęte nogi, brązowe jak kawałki starego, ciemnego drewna, głębokie bruzdy na wąskich policzkach, sękate ręce nieprzerwanie ciągnące za sznur wentylatora u sufitu kuchni. Dookoła, dookoła. Dziecko patrzy na wirujący z wolna wiatrak przerażone, zahipnotyzowane przez ostrza, które lina poruszająca się między łożyskami łączy z brązowymi palcami Motara. Nagle dłoń starego ześlizguje się jak suchy, brązowy pajak, wkrada pod poplamione ubranie i ściska, i ciągnie, i puszcza, i ciągnie, nie naoliwiony mechanizm wiatraka i ten straszliwy rytmiczny zgrzyt, i swąd palonego oleju. Ata, kucharz, wrzuca kawałki pokrojonej cielęciny i napełnia powietrze tym cudownym, paskudnym zapachem i delikatnie, delikatnie, gdzieś wśród złotego światła na zewnątrz pomruk fujarek i bębnow, ostry głos Sarmajora i ślad jego buta na ciemnej, zrytej ziemi placu defilad. I nikt nie wiedział. Nikt nie wiedział. Numer zamrugnął, wracając do rzeczywistości. Włączył na nowo szlifierkę i wpatrywał się w nabierające prędkości koło. Po chwili powrócił do pracy. Obserwując, jak stalowe ostrze staje się jasne niczym lustro, ujrzał znów postrzępioną linę poruszającą się między łożyskami, poczuł zapach gorącego oleju i jeszcze gorętszy



strach. Powróciły słowa z bajki, którą matka zwykła mu była powtarzać, kiedy na wąskich uliczkach natykali się na pochylone wdowy w ciemnych sari, spranych na kolor szerniałej kości.

„Ostrz się, kręć, ostrz się, kręć, na ciebie mam dzisiaj chęć. Ostrz się, kręć, ostrz się, kręć.”

Postrzępiona lina pomiędzy łożyskami. Zapach gorącego oleju. Dłonie Mortara i grzmot butów Sarmajora. Znikąd pomocy. Obracają się koła, liczą każde przejście, liczą każdy ruch, liczą każdy kłębek kurzu w powietrzu. Ostrz się, kręć. Jak modlitwa bez odpowiedzi. Aż do dziś.

Zmień się w złoto, ostrz się, kręć.

Zmień się w śmierć.



# Rozdział szósty

ŚRODA, 11 WRZEŚNIA 1940 ROKU

9.30 BRYTYJSKIEGO CZASU LETNIEGO

Następnego ranka, kiedy Black przybył do Yardu, czekała już na niego pilna wiadomość od Spilsbury'ego. Inspektor włożył do kieszeni fotografię Rudelskiego oraz pośmiertne zdjęcie drugiej ofiary i taksówką udał się na Gower Street do University College.

Laboratorium sir Bernarda było zadziwiająco skromne, zważywszy pozycję, jaką zajmował w świecie naukowym słynny patolog. Okna niewielkiego pokoju wychodziły na podwórze północnego skrzydła. Na drewnianym blacie przy parapiecie stał mikroskop. Zlew i szklane szafki usytuowano wzdłuż lewej ściany, a drugi blat z palnikami Bunsena wzdłuż prawej. Umeblowania dopełniał długi stół tuż obok drzwi, zastawiony pudełkami kartoteki, kryjącej drobiazgowo opisy nagłych zgonów z okresu ponad trzydziestu lat.

Kiedy Morris Black wszedł do pokoju, sir Bernard w swoim zwykłym białym kitlu laboratoryjnym pochylał się nad mikroskopem. Kotary były jeszcze zaciągnięte, uniemożliwiając dostęp słońcu. Jedyne światło pochodziło z ustawionej lampy o zielonym abażurze na blacie i błękitnych płomyków palników Bunsena.

– Sir Bernardzie?

Spilsbury skinął dłonią w powitanie, nie odrywając oczu od okularu mikroskopu. Pokręcił gałką, potem sięgnął na oślep po małe błyszczące narzędzie.

– Niech pan na to spojrzy. – Patolog wyprostował się i odsunął, robiąc miejsce inspektorowi. Black zbliżył się i spojrzął w okular.

Stwierdził, że widzi coś, co wygląda jak grot indiańskiej strzały zrobiony z ciemnego, wypolerowanego metalu. Zamiast dwóch czy trzech powierzchni tnących było ich tu aż sześć, każda nieco szersza u podstawy i zwężająca się ku czubkowi. Mimo znacznego powiększenia nie dało się dostrzec żadnej rysy czy szczyrby na krawędziach.

Podstawę grotu osadzono w okrągłym gwincie. Jakieś oskołki utkwily w małych skrętach. Spilsbury podniósł pincetą miniaturową broń i zbliżył do jasne-

go kręgu światła lampy. Grot był tak mały, że ledwo widoczny. Łącznie z gwintem nie mógł mieć więcej niż centymetr długości.

– Zdumiewające – oznajmił patolog. – Doskonałe wykonanie.

– A co to właściwie jest?

– Narzędzie zbrodni.

– Rudelski?

– Tak. Sądzę, że znajdę coś podobnego i u drugiej ofiary.

– Mówił pan, zdaje się, że zostali otruci.

– Tak brzmiała moja początkowa hipoteza. Testy udowodniły, iż się myliłem. Sekcja wykazała jeszcze nieco podniesiony poziom alkoholu we krwi. Więc sprawdziłem wszystko jeszcze raz. – Podniósł śmiertelny mały pocisk. – I znalazłem to.

– Nie wygląda, by mógł spowodować śmierć.

– Ranka była niemal niewidoczna. Ukryta pod włosami na karku. Grot wbił się w górną ćwiartkę mięśnia trapezowego, wszedł pomiędzy trzeci i czwarty kręg szyjny i przeciął rdzeń kręgowy. Zgon nastąpił natychmiast. Zaatakowanemu nie starczyło czasu na reakcję.

– Potężna broń.

– To prawda. Nie ma śladów prochu. Podejrzewam, że pocisk został wyrzucony mechanicznie. Powietrze pod ciśnieniem, albo bardzo mocna sprężyna. Sam czubek zrobiony jest ze stali wolframowej. Materiał trudny do zdobycia ostatnimi czasy, jak sądzą.

– To powinno zawęzić nieco krąg poszukiwań.

– Grot został ręcznie obrobiony. Ktokolwiek go stworzył, ma nadzwyczajną zręczność i dysponuje znacznymi umiejętnościami technicznymi. Jakiś inżynier albo mechanik. Wysoko wykwalifikowany.

– Nie dostrzegłem żadnych szczerb czy zadrapań. Zdaje mi się, że powinien być widoczny jakiś ślad uderzenia w kość.

– Niezupełnie – wyjaśnił Spilsbury siadając. Położył miniaturowy grot na szalce Petriego. – Ten człowiek jest albo niezwykle szczęśliwym, albo wielkim spryciarzem. Grot wbito w pochylony kark. Wówczas rozszerzyła się przestrzeń pomiędzy kręgami. Kiedy zmieniono pozycję zwłok, rozstęp zamknął się, krzając ostrze w tkance ciała.

– I to samo w przypadku drugiej ofiary?

– Zapewnie. – Spilsbury pokiwał głową. – Nie było żadnych widocznych ran ani też powodów, by podejrzewać przerwanie rdzenia. Ofiara nie wykazywała oznak uszkodzenia kręgosłupa.

Spilsbury nie usprawiedliwiał się, po prostu stwierdzał fakt.

– Czy morderca potrzebował wiedzy medycznej? – Black nie chciał użyć nadanego zbrodniarzowi przezwiska. Skojarzenia z Kubą Rozpruwaczem wydawały się zbyt oczywiste. Inspektora ogarnęło przerażenie na myśl o tym, co by się stało, gdyby wiadomości o tym szaleńcu przeciekły do prasy.

– Niekoniecznie. Wystarczyło trochę podstawowych wiadomości z anatomii. Wszystko to można znaleźć w pierwszym lepszym podręczniku. Tego człowieka wyróżnia raczej gruntowna znajomość mechaniki.

Black dumał przez chwilę nad tym, jak wielu członków liczyło Królewskie Stowarzyszenie Inżynierów i ilu z nich miało dostęp do jednej czy dwóch uncji stali wolframowej. Tysiące. A przecież trzeba wziąć także pod uwagę techników i mechaników w laboratoriach i fabrykach całego kraju.

– Czy może pan powiedzieć coś jeszcze o mordercy?

– Tak. – W głosie Spilsbury’ego zadźwięczał niemal podziw. – To perfekcjonista. Krawędzie grota są ostre jak brzytwy. Może pan przebić tym dłoń i nawet nie zauważyć. – Patolog skrzywił się. – Wydaje mi się też, że ten człowiek ma raczej małe ręce. Za to długie i mocne palce, jak pianista czy chirurg. – Podniósł w górę dłoń, bladą w świetle lampy. – Jak ja.

Resztę poranka Black spędził na odwiedzaniu miejsc, gdzie Rudelski i niezidentyfikowany mężczyzna mogli zetknąć się z zabójcą. Trzeci na liście inspektora był „Mandrake”, klub na Meard Street, w pobliżu restauracji „Gennaro”, gdzie poprzedniego wieczoru Black jadł kolację z Capstickiem.

Soho przed południem nie miało aury awnturniczego romantyzmu, która przyciągała tłumy wieczorem. W świetle dziennym Meard Street była po prostu opustoszałym, upstrzonym przez muchy, wąskim zaułkiem łączącym Dean z Wardour Street. Potrzaskany chodnik, przepełnione kosze na śmieci i zamknięte sklepy dopełniały ponurego obrazu.

Black słyszał już o „Mandrake”. Jego właściciel, „Płaszcz” Charlie Waters, trudnił się dodatkowo paserstwem. Klub prowadził dla niego rosyjski emigrant nazywany Borisem, który przedtem zarządzał podłgą kawiarenką „Coffee An” na St. Giles High Street.

W „Mandrake” dość luźno traktowano przepisy o godzinach otwarcia. Klub stanowił wygodne miejsce spotkań dla szukających klientów prostytutek i dla żołnierzy. Jak wiele mu podobnych, mieścił się w piwnicy. Przed zejściem po schodach Black wziął głęboki oddech i przymknął oczy. O sukcesie przesłuchania decydowały też umiejętności aktorskie, a przyjmowana rola zależała od osobowości przepytwanego. Boris Watson i jego „Mandrake” wymagali kombinacji zachowania typowego policjanta z elementami co najmniej sympatycznych zagrań Reggiego Perrina. W przeciwieństwie do Capsticka Morris Black nie czerpał szczególnej przyjemności z tych przedstawień, ale długoletnie doświadczenie uczyniło go w nich mistrzem.

Omijając stos odpadków, Black zszedł po odrapanych schodach i otworzył niskie, ciężkie drzwi. W klubie panowała ciemność. Inspektor niewiele przekraczał wymagany w policji wzrost, mimo to musiał schylić głowę, aby uniknąć uderzenia w drewniane belki sufitu.

Główna sala była zdumiewająco mała. Sześć okrągłych stolików stało tuż obok siebie. Po prawej stronie rozciągał się topornie wykonany kontuar, nad nim na kilku półkach tłoczyły się liczne butelki. Ścianę zdobiła tarcza do strzałek, a na jednym z blatów wymalowano wzór szachownicy.

Wysoki mężczyzna czytał rozłożoną na kontuarze gazetę, w świetle pojedynczej żarówki bez abażura. Był szczupły, o wąskich ramionach i gęstych, śnieżnobiałych włosach. Kiedy Black wszedł do sali, oderwał się na moment od lektury.

– Zamknięte – stwierdził lakonicznie, po czym wrócił do czytania. Inspektor podszedł bliżej.

– Boris Watson?

– Zamknięte.

– Nie przyszedłem na drinka.

– A ja go wcale panu nie proponuję. – Rosjanin skrzywił się i podniósł wzrok. Black wyjął odznakę i położył na odrapanej ladzie.

– Wydział Śledczy.

– No i co z tego?

– Chciałbym, aby odpowiedział mi pan na kilka pytań.

– A dlaczego miałbym to zrobić?

– Pan jest Boris Watson?

– Tak. Ale to nie pański interes. – Angielski cudzoziemca był dobry, choć nieco sztuczny. – Płacę Stillmanowi, to powinno wystarczyć. – To brzmiało interesująco. Sierżant Ronald Stillman korupcja. Ta informacja mogła się przydać w odpowiednim momencie.

– Słyszałem, że zajmuje się pan stręczycielstwem. – Przypuszczenie o tyle uzasadnione, że Watson regularnie opłacał Stillmana, nie wspominając o tym, że po prostu wyglądał na alfonsa.

– To źle pan słyszał. Nie wpuszczam tu dziwek. – Było to jawne kłamstwo. Nawet w mniej sprzyjających okolicznościach utrzymanie pańienek lekkich obyczajów z daleka od klubu wymagałoby nie lada wysiłku. Black zignorował więc wypowiedź Rosjanina. Ludzie tacy jak Boris Watson kłamią dla zasady.

– Słyszałem też, że nielegalnie handluje pan alkoholem. – Black zerknął na półki za plecami Borisa. Następny strzał w dziesiątkę. Ostatnimi czasy szkocka niemal całkowicie znikła z rynku, a „Mandrake” można by było zatopić w powodzi Dewar i Pinch Bottle.

– Dlaczego nie zada pan po prostu tych pytań? – Boris westchnął i zamknął gazetę, poddając się nieuniknionemu. Black wyjął zdjęcia i położył je na kontuarze.

– Zna pan ich?

– Nie.

– Proszę nam zrobić przysługę, Boris. Nawet pan nie spojrzął.

– Nie muszę. Nie znam nikogo. Widuję sto, dwieście osób dziennie. Różnych. Młodych, starych, bogatych, biednych. Sprzedaję im drinki, inspektorze, i nie proszę o referencje.

– A jednak proszę popatrzeć.

Rosjanin wyciągnął rękę i przysunął zdjęcia do siebie. Schylił się, uważnie obejrzał.

– Ten – powiedział, stukając palcem w fotografię drugiej ofiary.

– Zna go pan?

– Wygląda jak trup.

– Bo jest trupem.

– Wypadek? – Rosjanin pozwolił sobie na uśmiezek.

- Morderstwo.
- Nie znam go.
- Ale go widziałeś?
- Może. Zdaje mi się... – Borys zastanawiał się nad korzyściami płynącymi z powiedzenia prawdy.
- Co? – naciskał Black.
- Upton.
- On nazywa się Upton?
- Nie. Nie. – Boris Watson poważnie pokręcił głową. – Upton pomaga mi tu czasami. Wieczorami.
- I co z nim?
- Zdaje mi się, że widziałem, jak rozmawiali. Upton i ten pana nieboszczyk.
- Rozmawiali?
- Boris podniósł rękę i pozwolił jej opaść bezwładnie w nadgarstku. – Upton jest... – Uniósł brew.
- Ciotą?
- Nie znam tego słowa.
- Pedalem. Pedrylem.
- Może, nie pytałem. Ale sądzę, że tak.
- I...? – Black zawiesił głos.
- Rosjanin wzruszył ramionami.
- Rozmawiali.
- Nic więcej?
- Niczego więcej nie zauważyłem.
- Kiedy to było?
- Kilka dni temu. Po wielkim nalocie. Nie było zbyt wielkiego ruchu.
- Niedziela?
- Może.
- O której?
- Późno. Pierwsza, może druga rano.
- Wyszli razem?
- Nie patrzyłem.
- Przypomina pan sobie coś jeszcze?
- Ładny chłopak. Za ładny dla Uptona. – Boris zacisnął usta. – Upton to świnia.
- Co jeszcze?
- Miał mundur.
- Black poczuł, jak serce zaczyna mu się tłuc przyśpieszonym rytmem. Rudel-ski był przecież lotnikiem.
- Jaki oddział?
- A skąd mam wiedzieć? – Boris machnął dłonią. – Tu jest ciemno.
- RAF?
- Zapewne. Możliwe. Wiem tylko, że miał na sobie mundur.
- Kolor?

– Szary, niebieski, z lampasami? – Rosjanin prychnął zniecierpliwiony. – Mówiłem panu, że nie zauważyłem.

– W porządku. Proszę mi opowiedzieć o Uptonie.

– Dorabia tu czasami. Pomaga na sali.

– Jak mu na imię?

– Henry.

– Gdzie mieszka?

– Nie mam pojęcia.

– Czy przyjdzie tu dzisiaj?

– Może. Późnym popołudniem. Po pracy.

– Pracuje gdzieś jeszcze?

– Tak. W księgarni na Charing Cross Road.

– Czy wie pan w której? – Na Charing Cross Road było mnóstwo antykwariatów z używanymi książkami.

– Nie pamiętam. Zaczyna się chyba na Q. – Boris skrzywił się. – Uptoną zatrudniam do mycia naczyń i sprzątanania ze stołów. Nie utrzymuję z nim bliższej znajomości, inspektorze.

– „Quaritch”? – naciskał Black. Była to nazwa chyba najstarszego i najbardziej poważanego antykwariatu w Londynie.

– Nie. – Rosjanin pokręcił głową. – Też jakoś tak dziwnie, ale inaczej. – Zmarszczył brwi i zaciął usta. – Nie pamiętam. Przykro mi.

– A może „Quilleran”? – Szczęśliwie niewiele nazw zaczynało się na literę Q. Boris z wyraźną ulgą pokiwał głową.

– Właśnie tak. Na pewno „Quilleran”.

Black podjechał taksówką na posterunek policji przy Vine Street. Stamtąd zadzwonił do Yardu. Musiał poczekać chwilę, aż urzędnik z archiwum sprawdzi kartoteki w poszukiwaniu informacji o Henrym Uptonie. Kilka minut później miał już to, czego potrzebował.

Zgodnie z aktami Henry Upton liczył sobie dwadzieścia trzy lata, mieszkał w wynajętych pokojach na Little Earl Street i został zwolniony z wojska z powodu wyjątkowo kiepskiego wzroku i poważnej astmy. Miał także na swoim koncie dwa wyroki w zawieszeniu za obrazę moralności w związku z zachowaniem w publicznej toalecie w Kew Gardens. Trzeci wyrok i pójdzie siedzieć.

Black zrobił kilka notatek w notesie, sprawdził adres „Quilleran” i uprosił sierżanta z drogówki o podrzucenie na Charing Cross Road.

Zrobiło się już południe. Na jezdniach panował tłok, chodniki były zapchane pieszymi. Poza białymi paskami przy krawężnikach i zaciemniającymi kłozami na latarniach nic nie przypominało o wojnie. To, oczywiście pozory. Gdy zapadnie mrok bombowce przywrócą prawdziwy porządek rzeczy. Po opustoszałych ulicach pędzić będą wozy bojowe straży pożarnej, a z pieszych pozostaną tylko patroli ochrony przeciwlotniczej i policji.

Księgarnia mieściła się na rogu Charing Cross Road i Denmark Street. Większość okolicznych sklepów specjalizowała się w instrumentach. Biura nad sklepami należały głównie do wydawnictw muzycznych.

Jak każdy antykwariat bukinistyczny w tej okolicy „Quilleran” miał na ulicy przed wejściem kilka wypełnionych książkami wąskich lad. Dziesiątki tomów zawałowało też zakurzone witryny. W słabo oświetlonym wnętrzu ciągnęły się rzędy ciasno ustawionych regałów.

Po lewej stronie, tuż za drzwiami, znajdował się oszklony kantorek. Siedział tam na niskim stołku drobny mężczyzna o okrągłej twarzy, przerzedzonych brązowych włosach i grubych okularach w szylkretowej oprawce. Jego workowaty tweedowy garnitur bardzo potrzebował pralni.

Mężczyzna czytał książkę, trzymając ją tuż przy twarzy. Blackowi udało się dostrzec tytuł. „Guilty Men” – pompatyczna bzdura, wydana przez Gollancz Left Book Club tuż po Dunkierce, obwiniająca Chamberlaina i jego gabinet o każde z nieszczęść, które przytrafiło się Anglii.

Jasno określone przesłanie książki brzmiało: „Nigdy więcej”. Black miał w ręku tę pozycję jakiś miesiąc temu. Pamiętał, że zastanawiał się wówczas, jak autorzy tych wypocin chcieliby zatrzymać Hitlera w jego marszu przez Europę. Wzniosłe słowa raczej niewiele mogły tu pomóc.

– Henry Upton?

Mężczyzna odłożył książkę i spojrzał na Blacka. Zamrugał nerwowo, potem uśmiechnął się, prezentując rząd małych, szarych zębów. Spojrzenie ostrożne, jak u królika gotowego w każdej chwili do ucieczki. Morris Black znał te symptomy.

– Tak?

Black wyjął odznakę i patrzył, jak policzki Uptona powlekają się rumieńcem. Nawet znacznie ważniejsze osoby bywały już aresztowane za ekscesy w toalecie publicznej.

Inspektor sięgnął do kieszeni, wyjął dwie fotografie i położył je na ladzie przed Uptonem, uważnie obserwując jego reakcję. Oczy krótkowidza za grubymi soczewkami przesłiznęły się po twarzy Rudelskiego i zatrzymały na drugim zdjęciu. Rozszerzyły się na chwilę, potem spojrzenie umknęło w bok.

– Zna go pan.

– Ja...

– Spotkał go pan w klubie „Mandrake”. Pracuje pan tam. Dla Borisa Watsona. Widział, jak rozmawialiście.

– Ja nie...

– Ten człowiek nie żyje. Został zamordowany.

– O mój Boże. – Szept.

Black palcem wskazującym podsunął fotografię Uptonowi. Wystraszony mężczyzna wstał. Stołek zaskrzypiał na drewnianej podłodze. Nie można uciec. Jak zapędzony w kąt szczur.

– Niech mi pan wszystko opowie – głos Blacka brzmiał miękko. Inspektor modlił się, aby żaden klient nie wszedł i nie zepsuł atmosfery tej chwili, delikatnego przymusu zwierzeń grzesznika przed spowiednikiem. Upton znowu usiadł. Przełknął. Ostro zarysowane jabłko Adama podskoczyło. Potem zdjął okulary. Zaczął gwałtownie przecierać soczewki końcem krawata. Black znał ten nawyk. Zdejmujesz szkła i świat znika. Upton uciekał w jedyny sposób, jaki mu pozostał.

– Nie wiem, o czym pan mówi. – Perspektywa ulgi, którą mogły przynieść zwierzenia, przegrała ze strachem przed karą. Inspektorowi zostały już tylko groźby. Postanowił naśladować stanowczość Reggiego Perrina, tym razem dodając do niej nieco brutalnej bezpośredniości Dicka Capsticka.

– Dwa wyroki za obrazę moralności. – Black uśmiechnął się tak paskudnie, jak tylko potrafił. – Mogę ci zorganizować następny, wiesz o tym, Henry. Jesteś małym, paskudnym facetem i przetrzymam cię, dopóki się nie poddasz. Obiecuję. Już cię widzę w Dartmoor z tymi wszystkimi rasowymi mordercami. Pięć lat? Nie wytrzymasz pięciu dni. Zrobią ci taką dziurę, że będzie można przejechać ciężarówką. Załatwię cię na cacy. Żadnego gawędzenia z przyjaciółmi i przewracania się w jedwabnej pościeli, mój chłopcze. Twardo i surowo. Tam właśnie wylądujesz.

Wystarczyło. Upton wyglądał, jakby miał zaraz zwymiotować. Kiedy odezwał się, jego głos był słaby i drżący.

- Co pan chce wiedzieć?
- Prawdę.
- Spotkałem go tylko raz.
- Kiedy?
- Tamtej nocy.
- W niedzielę?
- Tak. Przyjechał tylko na jeden dzień. Potem musiał wracać.
- Wracać dokąd?
- Do Cambridge.
- Był studentem?
- Tak.
- Jak się nazywał?
- David.
- David i jak dalej?
- Nie powiedział. – Przerwa. – Oni nigdy nie mówią.
- Poszedłeś z nim do domu?
- Nie.
- Nie kłam mi tu, Henry.
- Nie kłamię. Chciałem, ale powiedział, że będzie zajęty. Mecz.
- Jaki mecz?
- Nie wiem.
- Kłamiesz.
- Nie!
- Boris mówił, że miał na sobie mundur.
- Tak.
- Jaki?
- Nie zauważyłem... To nie było dla mnie ważne. – Upton spojrzął na zdjęcie, potem wbił wzrok w przestrzeń.
- Nie zalewaj.
- Ale to prawda. Nie zauważyłem.
- Zamknij oczy. Pomyśl. Pomyśl o mundurze.



Upton zrobił to, co mu kazano. Black widział, jak pot perli się w skąpych kłaczkach jego krótkich bokobrodów. Rumieniec na policzkach znikł, krew odpłynęła.

Henry Upton nie mógł być mordercą, a przynajmniej nie takim typem przestępcy, jakiego szukał Black. Inspektor wiedział o tym doskonale. Gdyby Upton kiedykolwiek popełnił zbrodnię, stałoby się to pod wpływem gwałtownych emocji – morderstwo w afekcie, bez premedytacji i podtekstów. Peđał, owszem, ale nie Kuba Peđał.

Henry Upton usmarkałby się po pas i popłakał na widok kata. Gdyby Blackowi udało się złapać Kubę Peđała, ten śmiałby się do ostatniej chwili, do ostatniego drgnięcia łamiącego kark sznura. Powędrowałby do piekła tanecznym krokiem.

Upton szerzej otworzył oczy. Łzy drżały mu na rzęsach.

- Coś sobie przypominam.
- Co? – Teraz trzeba łagodnie.
- Mundur miał uszyty na miarę, kosztowny.
- Staraj się dalej, Henry.
- Tak. I coś jeszcze.
- No?
- Pamiętam pagon. Na ramieniu.
- Opisz go.
- Był zbyt ciemny.
- Pagon?
- Nie. Pokój. „Mandrake”. Nie mogę...
- Ależ możesz, Henry. Więzienie Jego Królewskiej Mości czeka.
- Były tam cztery litery na środku. RAAF.
- Coś jeszcze?
- Poniżej liter, napis w kole. Dywizjon Uniwersytetu Cambridge. I jakieś cyfry, nie pamiętam... – Upton osunął się na stołek. Wąskie ramiona pochylały mu się bezradnie, głowa opadła jak u żółwia. Trzęsącymi się palcami włożył okulary. Czekał na cios.
- Nadal wynajmujesz pokój w Seven Dials?
- Tak.
- Zostań tam. Jeśli spróbujesz uciec, znajdę cię.
- Tak.
- Dobrze postąpiłeś, Henry.
- Tak mi przykro. – Spojrzał na zdjęcie, potem delikatnie wyciągniętym palcem dotknął ust zmarłego.
- Przykro ci, że nie żyje?
- Tak. On był... – Henry Upton znowu przełknął ślinę. Łzy popłynęły po jego policzkach. – On był bardzo piękny.
- Black delikatnie zabrał fotografię.
- Tak, to prawda.

# Rozdział siódmy

CZWARTEK, 12 WRZEŚNIA 1940 ROKU

## 11.30 BRYTYJSKIEGO CZASU LETNIEGO

To właśnie, jak wiedział Morris Black, było istotą koszmaru: człowiek śni i nie może się obudzić, gdy przybywają Furie. Teraz Anglia spała, a koszmar przybliżał się nieuchronnie.

Pociąg pełną parą pędził ponad pół godziny pośród pagórków na północ od Londynu. Ze swego okna Black widział przesuwaną się krajobraz, delikatnie pofalowane, pola pełne zbóż, pastwiska, wzgórza ciemne od drzew, małe stawy i strumienie, ocienione wierzbami rzeki podążające powoli w stronę dalekiego morza. Były to typowo angielskie widoki, sielankowe, w pastelowych odcieniach, urzekające spokojnym pięknem.

Do Cambridge zostało jeszcze kilkanaście kilometrów. Black z przyjemnością zostawił za sobą Londyn zatruwany powiewem wojny, te ciche, ściszone głosy w Yardzie, napięcie i strach przed inwazją. Sprawie przewidywanej inwazji nadano nawet kryptonim: Lew Morski. Sekretne doniesienia napływały do wyższych funkcjonariuszy. Mówiło się o przygotowaniach na wybrzeżu od Rotterdamu po Boulogne; ładunki, amunicja, paliwo i ludzie oczekujący w dwudziestu portach nad Kanałem.

Przypuszczano, że atak skoncentruje się na wschodnim wybrzeżu. Kilometrami wzdłuż plaż rozciągnięto drut kolczasty, w piasku zakopano miny, a wszystkie znaki drogowe i oznaczenia stacji kolejowych zlikwidowano lub zamalowano.

W najgłębszej tajemnicy zorganizowano oddziały ruchu oporu, specjalne kryjówki wyposażono w broń, radiostacje ukryto po wiejskich kurnikach. Wśród ludności rozprowadzono dziesięć milionów ulotek zawierających postępowania w przypadku inwazji z powietrza.

Nawet dzwony kościelne zamilkły. Miały odezwać się dopiero jako ostrzeżenie przed zbliżającym się atakiem. Strach towarzyszył każdemu mężczyźnie i każdej kobiecie jak niewidzialny cień, chociaż w jasnym przedpołudniowym słońcu żaden znak nie wskazywał na to, że te łąki i pola, wzgórza i doliny mogą wkrótce spłynąć krwią.

Black nie mógł zrozumieć, dlaczego dowódcy i politycy z Whitehall przypuszczali, że inwazja zostanie skierowana na wschodnie wybrzeże. Jego zdaniem nie istniał żaden powód, aby Hitler nie wyruszył śladem Juliusza Cezara czy Wilhelma Zdobywcy, jedynych wodzów, którym w przeszłości udało się podbić Anglię. Dover i Hastings znajdowały się najbliżej francuskich wybrzeży, a droga stamtąd prowadziła wprost do celu – na Londyn. Jeżeli stolica padnie, reszta kraju nie będzie stanowiła dla wroga żadnego problemu.

Oprócz Blacka w przedziale siedziała tylko jakaś młoda kobieta, która przez całą drogę drzemała. Inspektor westchnął. Kimże on był, aby wypowiadać się na temat inwazji? Tylko policjantem, nawet nie żołnierzem. Powinien zająć się Kubą Pedalem, a nie Adolfem Hitlerem i jego czarnymi legionami.

Bombowce, punktualne jak zegarek, powróciły poprzedniego wieczoru, tym razem traktując swe zadanie w sposób nieco bardziej demokratyczny niż poprzednio. East End i doki, co prawda, otrzymały swoją porcję, ale bomby eksplodowały też w Greenwich, Deptford, Lewisham i Woolwich Arsenal.

Nieco szkody doznał też St. Thomas's Hospital, ale mimo wszystko nalot spowodował mniej zniszczeń i pozostawił mniej ofiar niż poprzednie ataki Luftwaffe. Do chwili, kiedy Black wyruszył do Cambridge, nie nadeszły żadne nowe raporty dotyczące Kuby Pedala. Może, pomyślał inspektor, drań zaprzestał już swojej krwawej działalności. Westchnął. Cholernie mało prawdopodobne.

Wagon zakochał się mocniej i torebka współpasażerki Blacka zsunęła się na podłogę, rozsypując całą zawartość. Kobieta ocknęła się z raptownie. Black ukląkł i pomógł jej zebrać porzucane drobiazgi.

– Dziękuję bardzo – powiedziała. Jej głos o twardym akcencie miał przyjemne brzmienie. Inspektor zauważył leżący pod siedzeniem ostatni numer katalogu znaczków ze sklepu na Dover Street.

– Pani jest filatelistką? – spytał, podając jej małą, ciemnozieloną broszurę.

– Znaczkę? – Uśmiechnęła się. – Nie. Wujek poprosił, żeby mu to przywieźć.

– Ale jest pani Amerykanką? – Kobieta skinęła głową. Black pomyślał ze zdumieniem, że wydaje mu się wyjątkowo atrakcyjna. Około trzydziestki, włosy niemodnie długie, ciemnoblonde z jaśniejszymi pasmami, jakby dużo czasu spędzała na słońcu. Miała na sobie męski prochowiec, prostą, ciemnoniebieską spódniczkę i sweter w tym samym odcieniu. Black poczuł, że panika ściska mu gardło. Siedział z atrakcyjną kobietą i czuł się jak ogłupiały uczeń. Co gorsze, gnębiło go z tego powodu niejasne poczucie winy.

– A pan zbiera znaczki? – spytała, kiedy już pozbiierała wszystko do torebki.

– Tak.

– Ale to nie pana zawód?

– Zawód? – Uśmiechnął się. – Nie. Pracuję w policji.

– A ja jestem pismakiem. – Oddała mu uśmiech. – Katherine Copeland. – Wyciągnęła do inspektora rękę. Skóra była gładka, a uścisk zadziwiająco mocny. Pod wpływem dotyku tej dłoni znowu ogarnęła go fala paniki. Tak właśnie czuł się przy Fay dawno, dawno temu i myślał, że już nigdy mu się to nie przydarzy. Nie chciał, aby się przydarzyło.

– Morris Black – powiedział, nerwowo chrząkając. – Obawiam się, że nie wiem, co oznacza słowo pismak.

– Korespondent wojenny. – Zarumieniła się lekko. – Trochę skłamałam. Właściwie większość czasu spędzam, pisząc do „kobiecego kącika”. Dwadzieścia fascynujących sposobów na gotowanie ziemniaków, tego rodzaju rzeczy. „Washington Times Herald”.

– Brzmi bardzo interesująco – uprzejmie stwierdził Black. Nigdy nie przestało go zadziwiać, że Amerykanie mogą opowiadać o sobie komukolwiek już w dwie minuty od chwili poznania.

– Nawet w połowie nie tak interesująco jak być *bobby*'m.

Black wzruszył ramionami. Nie zadał sobie trudu powiadomienia swojej rozmówczyni, że policjanci londyńscy od ponad pięćdziesięciu lat już nie są tak nazywani.

– Pani wuj mieszka w Cambridge?

– W ciągu ostatniego roku. Jest wykładowcą. Historia Ameryki. Caius College.

– Wydaje mi się, że to się trochę inaczej wymawia – delikatnie ją poprawił. Mogłaby się narazić na złośliwe uwagi przekręcając tę nazwę.

– Naprawdę? – roześmiała się. – No cóż, wydaje mi się, że codziennie człowiek uczy się czegoś nowego. – Zaczęła czegoś szukać w torbie i wyciągnęła paczkę papierosów. – Czy mogę?

– Oczywiście. – Black sięgnął do kieszeni marynarki po zapalniczkę, ale ona już tymczasem zdążyła użyć własnej. Również więc zapalił papierosa i wyrztał przez okno.

– Czy sądzi pan, że Niemcy mają zamiar dokonać inwazji? – zagadnęła go znów młoda kobieta.

Black obrócił się, zdziwiony. Czy ona czyta w jego myślach?

– Nie wiem. Mam nadzieję, że nie. – Tak, jakby jego nadzieja cokolwiek tu znaczyła. Jego nadzieja albo jego strach.

Piętnaście minut później wysiedli na stacji w Cambridge, Black pożegnał się i wziął taksówkę do „Blue Boar”. Sądził, że lepiej będzie dla zachowania dyskrecji spotkać się z Hawkinsem tam, a nie w college'u. Rupert Hawkins był nie tylko dziekanem Trinity, ale także dowódcą uniwersyteckiego dywizjonu. Prowadził też program szkoleniowy dla pilotów.

Podróż ze stacji trwała krótko. Ruch w mieście niemal całkowicie zamarł, ulice były puste. Trwała jeszcze przerwa w zajęciach. Wojna zdezorganizowała życie uczelni. Koszmar współlistniał tu ze snami o pokoju. Czytać średniowieczne historie czy studiować antyczne języki, a nawet radować się studenckim życiem wydawało się najwyższym szaleństwem w obliczu tego, co działo się z krajem.

„Blue Boar” był to mały, bardzo stary hotelik, usytuowany niemal na wprost bramy do Trinity College. Hawkins czekał na Blacka w ciemnym barze z dębową boazerią. Na stoliku przed dziekanem stała szklaneczka sherry.

Hawkins miał około trzydziestu pięciu lat, niewielki brzusek i piaskowe włosy przerzedzające się na skroniach. Rumieńce na policzkach zdradzały skłonność do mocniejszych napitków. W ustach, ukrytych w gąszczu wąsów, których koniuszki zostały solidnie wywoskowane w stylu RAF, tkwiła fajka.

Spod ciemnej togi przebierał jasny blezer jakiejś drużyny sportowej Cambridge. Zapewne krykiet, pomyślał Black, może wioślarstwo. Inspektor często karcił sam siebie za skłonność do wydawania opinii o ludziach w oparciu o pierwsze wrażenie, ale pół życia spędzone w policji pozwoliło mu wyrobić sobie oko. Rupert Hawkins był pompatycznym dupkiem albo nawet jeszcze gorzej.

Black wręczył mu swoją legitymację i nie czekając na zaproszenie usiadł naprzeciwko. Pojawił się kelner. Inspektor zamówił kawę. Hawkins oddał legitymację, potem łyknął odrobinę sherry. W innych okolicznościach drink zniknąłby zapewne błyskawicznie, pozwalając na złożenie kolejnego zamówienia.

– Inspektor Morris Black. – W ustach Hawkinsa brzmiało to tak, jakby mowa była o wstydlivej plamie na dywanie.

– Owszem.

– Telefonując do mnie wczoraj, twierdził pan, że chodzi o zidentyfikowanie goś w związku z... dochodzeniem?

– Dokładnie tak, panie Hawkins.

– *Doktorze.*

– Przepraszam bardzo, *doktorze* Hawkins.

– Czy ma pan powody przypuszczać, że to jeden z moich chłopców?

– Dysponujemy dowodem, że ten młody człowiek był członkiem dywizjonu uniwersyteckiego.

– Jaki to dowód? – Black dostrzegł błysk zrozumienia w oczach dziekana. Być może nie po raz pierwszy jeden z „jego chłopców” coś przeszkrobał.

– Ów tajemniczy mężczyzna miał na sobie mundur dywizjonu uniwersytetu w Cambridge.

– Aha. – Następnym łykiem sherry. Tym razem większy. Black wyjął wykonaną pośmiertnie fotografię z kieszeni marynarki i położył obok szklanki Hawkinsa. Dziekan podniósł ją i spojrział bez zainteresowania. Potem zmarszczył brwi.

– Dobry Boże, młody Talbot.

– A więc zna go pan?

– Oczywiście. To David Talbot. Jest moim studentem. – Zmarszczka pogłębiła się. – Może pan lepiej wyjaśni, o co w tym wszystkim chodzi, inspektorze.

– Został zamordowany.

Hawkins zbladł. Nie odrywając oczu od zdjęcia, podniósł szklaneczkę i wysuszył ją do dna. – Myślałem, że może...

– Co pan myślał?

– No cóż, chłopcy to chłopcy. Hormony uderzają do głowy. Pomyślałem, że może członek dywizjonu zaplątał się w jakąś... młodzieńczą aferę.

– To nie młodzieńcza afery, doktorze Hawkins. – Black nie widział powodu, aby zachowywać się uprzejmie. – Znalezione go nagiego, z przerwany m rdzeniem kręgowym w kuchni taniego mieszkania w Spitalfields.

Oczy Hawkinsa rozszerzyły się.

– Nie rozumiem.

– Ani ja – stwierdził sucho Black. – I dlatego tu jestem. Chciałbym wiedzieć wszystko, co może pan mi przekazać na temat Davida Talbota.

– To był taki spokojny chłopak – mamrotał Hawkins, nadal wpatrzony na zdjęcie. – Nie mogę uwierzyć.

– Ale to prawda. – Black przerwał na chwilę. – Czy on był lotnikiem?

– Tak. I to cholernie dobrym.

– Co może pan powiedzieć o jego wieku, pochodzeniu, zainteresowaniach i tak dalej? Z kim się przyjaźnił?

– Dziewiętnaście lat. Kanadyjczyk. Jego rodzina ma coś wspólnego z liniami kolejowymi, jak mi się zdaje.

– Zdolny?

– Wyjątkowo, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę braki w jego wcześniejszej edukacji. Może zbyt wcześnie było, aby o tym mówić, ale marzył o inżynierii lotniczej. Po wojnie.

– Dalekosiężne plany, zwłaszcza że wojna nie rozpętała się jeszcze na dobre.

– Wojny zawsze się kończą, inspektorze. A życie toczy się dalej.

– Nie dla niego. – Black znowu przerwał, wykorzystując tę chwilę na zapalenie papierosa. – Hobby?

– Oczywiście latanie. Czytanie, gry, tego rodzaju sprawy. Nic szczególnego.

– Przyjaciele?

– Żadnego specjalnie bliskiego.

– Nikogo? A jakaś dziewczyna? – Black zarzucił wędkę i zastanawiał się, co się na nią złapie.

Hawkins wzruszył ramionami.

– Nie miał pewnie zbyt wiele czasu na życie towarzyskie. – Odpowiedź zabrzmiała chłodno i oficjalnie. Jeżeli nawet w relacjach pomiędzy Hawkinsem a Talbotem było coś szczególnego, to dziekan nie miał zamiaru zwierzać się z tego.

– Wystarczyło mu czasu, żeby pojechać do Londynu.

– Semestr się jeszcze nie zaczął... Chyba pan nie zna uniwersyteckiego kalendarza. – Znów protekcyjny ton. Przecież niewykształcony policjant nie może orientować się w niuansach uczelnianego rozkładu zajęć.

– Gdzie on mieszkał? W pokojach w college'u, czy w jakimś pensjonacie?

– Wynajmował mieszkanie.

– Chciałbym je zobaczyć, jeżeli można.

– Oczywiście, że można. Ale nie wiem, czy postępuje pan rozsądnie.

– Dlaczego?

– Cambridge to małe miasto, inspektorze. Plotki rozprzestrzeniają się tutaj szybko. I tak już ludzie panikują z powodu wojny. Policjant węszący dookoła nie podniesie morale mieszkańców, nie mówiąc już o pogłoskach, które wzbudzi w dywizjonie. – Hawkins obdarzył Blacka kolejnym, protekcyjnym uśmiechem. – Jestem pewien, że pan to rozumie.

– Wiem tylko, że młody mężczyzna został zamordowany, doktorze Hawkins. Przejrzenie jego rzeczy to konieczność, a sprawy morale ludności czy opinii pańskiego dywizjonu musimy odłożyć na bok. I mogę pana zapewnić, że nie będę „węszyć dookoła”.

Zapalając fajkę, Hawkins rozparł się wygodnie i przez chwilę chłodno patrzył na Blacka.

– Pan jest Żydem, prawda?

– Słucham?

– Spytałem, czy pan jest Żydem?

– Nie widzę, w jaki sposób moje wyznanie bądź pochodzenie może mieć związek z naszą rozmową.

– Ależ ma. – Dziekan rozpędził dłonią chmury tytoniowego dymu.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, inspektorze. Mam wiele szacunku dla pańskich ziomków. Na przykład Disraeli był Żydem. Ale historycznie rzecz biorąc, jesteście rasą bez korzeni. Cambridge to uniwersytet głęboko tkwiący w tradycji. Tego jak sądzę, nie jest pan w stanie zrozumieć. Dla pana problem morale czy honoru to bzdura. Obawiam się, że nigdy się nie zrozumiemy.

Słowa brzmiały tak absurdalnie, że Black przez chwilę poczuł się ogłuszony agresywnością ataku. Hawkins prezentował sobą najgorszy gatunek bigota – nienawisć usprawiedliwiał za pomocą fałszywej logiki i błędnych uogólnień. Judaizm stanowił dla niego zjawisko pokrewne z wadą wrodzoną czy kalectwem. Inspektor zastanawiał się, jak to aroganckie małe gówno zareagowałoby, gdyby znało treść przejętej kilka miesięcy przez wywiad listy Gestapo. Ów liczący trzysta pięćdziesiąt stron dokument zawierał spis osób, które miały zostać aresztowane, przesłuchane i internowane po zwycięskiej inwazji. Na liście tej znajdowały się nazwiska i adresy wszystkich wykładowców z Cambridge i Oksfordu. Przelykając gniew, Black sięgnął po zdjęcie i wstał. Jeszcze porachuje się z tą małą pluskwą.

– Sądzę, że portier z college’u może mnie zaprowadzić do mieszkania Talbota?

Kolor i tak już zaczerwienionych policzków Hawkinsa wzmógł się. Jeżeli Trinity College choć trochę przypominał Yard, to portier stanowił najpewniejsze źródło wszelkich plotek. Hawkins opuścił oczy. Zrozumiał, że jego arogancki atak zakończył się fiaskiem.

– Nie ma potrzeby fatygować Maskella – mruknął. – Zaprowadzę pana.

– Wyszli z mrocznego baru na jasne słońce wczesnego popołudnia.

Podczas gdy w Calais gromadziły się barki desantowe, gotowe do inwazji, na Trinity Street kwitły późne czereśnie. Deszcz różowych płatków opadał na chodniki przy każdym powiewie wiatru, wypełniając powietrze słodkim zapachem. Blacka ogarnął smutek. Kończyło się lato. Teraz już nadejdzie jesień, chłodna i ponura, a po niej jeszcze gorsza zima.

Mieszkanie Talbota znajdowało się na pierwszym piętrze południowego skrzydła college’u. Okna wychodziły na wąską Trinity Lane oraz kamienne ściany i wygięte kominy odległych o kilkadziesiąt metrów Gonville i Caius College. U podnóża schodów Black i Hawkins natknęli się na Mercy Reynolds, służącą przydzieloną do

apartamentów pierwszego piętra. Miała na sobie długi fartuch. Pończochy w obwarzankach opadały jej na ciężkie buty, a bezkształtny, ciemnozielony tyrolski kapełusz tkwił sztywno na głowie, przyszpilony do węzła stalowo-siwych włosów. W jednej ręce dźwigała wiaderko na węgiel, w drugiej pojemnik na popiół.

– Chcielibyśmy zobaczyć pokoje Davida Talbota. – Hawkins najwyraźniej czuł się niezręcznie. – Czy są zamknięte?

– A jakże. – Kobieta obrzuciła Blacka długim, podejrzliwym spojrzeniem. – Czyste jak zwykle. Łóżko posłane, umywalka przygotowana.

– Czy ma pani klucz? – spytał Black.

– Mam, proszę pana.

– To niech pani otworzy – polecił Hawkins.

– Bez pozwolenia młodego pana.

– To dość ważne, pani Reynolds. Proszę...

– Jestem pewien, że David nie miałby nic przeciwko temu – powiedział cicho Black. – I to jest rzeczywiście dość ważne, jak powiedział doktor Hawkins.

Stara kobieta raz jeszcze przyjrzała się Blackowi, po czym wzruszyła wąskimi ramionami. – Niech będzie. – Westchnęła i zawróciła w stronę kamiennych schodów.

Zatrzymali się przed drzwiami tuż u wylotu korytarza. Mercy Reynolds postawiła wiadro, pogrzebała głęboko w kieszeni fartucha i wyciągnęła pęk ciężkich kluczy. Otworzyła i odsunęła się, robiąc przejście gościom.

– Dziękuję. Nie będziemy już pani potrzebowali – powiedział Black.

– Zawiadomię panią, kiedy skończymy – dodał Hawkins. – Potem pani zamknie.

– Dobrze. – Służąca zmarszczyła brwi, dźwignęła wiadro i poczłapała w kierunku schodów. Hawkins wszedł. Black ruszył za nim. Mieszkanie Talbota składało się z dwóch pokoi i małego przedpokoju z dębową boazerią, wąskimi półkami na buty i stojakiem na parasole w kształcie słoniowej nogi. Sporych rozmiarów salonik miał ściany pomalowane na biało. Jasną drewnianą podłogę pokrywało sześć chodniczków. Dwa klubowe fotele stały przed kominkiem z żelazną kratą, który po obu stronach obudowano wysokimi półkami na książki, zrobionymi prowizorycznie z cegieł i desek. Błat długiego stołu pod oknem zawalały stosy książek i papierów. Książki i notatki piętrzyły się też na podłodze. Okno, wysokie i wąskie, wychodziło na Trinity Lane. Drzwi po prawej wiodły do małej skąpo umeblowanej sypialni. Szafa, prosta drewniana umywalka z białą emaliowaną miednicą, żelazne łóżko i widok niemal identyczny jak z okna salonu.

Black otworzył szafę i sprawnie przejrzał zawartość: sześć białych koszul, zapasowa toga, blezer z odznaką Trinity, skórzana lotnicza kurtka na jedwabnej podszewce i z emblematem dywizjonu uniwersyteckiego Cambridge na lewej piersi. Wisiały tam także dwa garnitury, jeden szary, drugi z beżowej surówki, a także strój wieczorowy. Garnitury pochodziły z jakiejś firmy z San Francisco, a koszule od Nichollsa z Regent Street. David Talbot miał kosztowne upodobania.

Black wrócił do salonu i zabrał się za przeglądanie książek zmarłego. Prace z zakresu inżynierii, podręcznik RAF, instrukcja obsługi samolotów treningowych



wydana przez dywizjon Cambridge. Tuzin czy coś około tego współczesnych powieści w tanim wydaniu, trochę historii, wiele tomów poezji. Był też przewodnik po Londynie i zeszyt roczny katalog Klubu Automobilistów. Do jednej z półek przyklejono zdjęcie pięknego mostu nad szeroką, łagodną rzeką.

Black wyciągnął pinezkę i spojrzął na tył zdjęcia. *Levis, Quebec 1937*. Przyczepił fotografię z powrotem i zabrał się za oględziny stołu pod oknem. Hawkins czekał przy drzwiach. Wygasła fajka sterczała mu z ust.

Inspektor powoli kartkował papiery, szukając jakichś wskazówek dotyczących Davida Talbota. Przerzucił notatki robione podczas wykładów, fragmenty esejów, pisanych na maszynie i odręcznie, szkice detali architektonicznych, rysunki techniczne. Wreszcie natrafił na rozsądną pomyślaną propozycję łodzi poruszanej pedałami zamiast za pomocą wiosel.

Małe pudełko po prawej stronie stołu zawierało materiały piśmiennicze – gumki, cztery ołówki o różnej twardości, z czego dwa nie zatemperowane, ołówek automatyczny, pióro wieczne w oprawce z szylkretu. Obok pudełka stała drewniana szkatułka wyściełana niebieskim aksamitem. Zawierała zestaw przyrządów do szkicowania produkcji niemieckiej. Po wewnętrznej stronie wieczka przyklejono małą plakietkę z brązu z napisem: *Dla Davida Struana Talbota od ojca, Boże Narodzenie 1938*.

Detektyw uśmiechnął się. Przypomniał sobie prezent, który otrzymał od swego ojca po przyjęciu do szkoły policyjnej: aktówkę z mięciutkiej marokańskiej skóry, z inicjałami M. B. wytłoczonymi złotem tuż obok rączki. Nadal miał tę aktówkę, chociaż monogram wytarł się już wiele lat temu. Black starannie zamknął pokrywkę, zastanawiając się, czy ojcowie zdają sobie w pełni sprawę, jak ważne są takie gesty i jak długo pamięć o nich trwa w sercach dzieci.

Zainteresował go teraz posrebrzany toster, zamieniony w stojak na listy. Było w nim kilka kopert, gdzie w miejscu nadawcy figurował Angus Talbot, Haro Street 1333, Vancouver, Kolumbia Brytyjska. Zapewne korespondencja od ojca Davida. Kilka listów więcej napisała pani A. Talbot mieszkająca pod tym samym adresem. Oprócz tego Black znalazł wyciąg z konta w lokalnym oddziale banku Westminster, notę odnawiającą członkostwo w RAC\* i kilka pocztówek szepionych razem metalowym spinaczem. Black zignorował listy i sięgnął po pocztówkę.

Było ich siedem, każda z widokiem innej angielskiej katedry, wszystkie w krzykliwych kolorach. Gloucester, Carlisle, Coventry, Liverpool, Durham, Ely i Hereford. Black znał tę serię. Widział podobne pocztówki w stoisku z książkami W.H. Smitha na Victoria Station czy w kiosku z gazetami przy Shepherd's Market.

Kartki zaadresowane wyrobioną ręką do Davida S. Talbota, Trinity College, Cambridge, zostały nadane z poczty na King Edward Street w Londynie. Nie było żadnego adresu zwrotnego. Wiadomości na odwrocie brzmiały krótko i tajemniczo: *3-17, 12-28, 14-30, 5x30, 1-17, 1x22, 16-32*. Black przepisał cyfry do swojego notesu, po czym odwrócił się do Hawkinsa, który z trudem hamował zniecierpliwienie.

---

\* RAC – Royal Automobile Club – Królewski Klub Automobilowy

– Czy pan już skończył?  
– Prawie – Black skinął głową. – Czy Talbot miał własny samochód?  
– Nic mi o tym nie wiadomo. Studentom poniżej dwudziestego drugiego roku życia nie wolno trzymać pojazdów mechanicznych w promieniu czterdziestu kilometrów od centrum miasta.

– Miał legitymację towarzystwa automobilowego.  
– Cóż, interesujące.  
– Czy coś pan z tego rozumie? – Black raz jeszcze sięgnął po pocztówki. Hawkins niechętnie wziął je od inspektora. Przez chwilę popatrzył uważnie, potem pokręcił głową.

– Nie.  
– Czy Talbot interesował się szczególnie katedrami? Czy w ogóle był religijny?  
– Nie. Interesował się głównie mostami, o ile pamiętam. I lataniem.

– A czy te cyfry coś znaczą?  
– Nie dla mnie. – Hawkins wzruszył ramionami. – Może to jakiś kod? Rozmiary budynku? Mogą znaczyć cokolwiek, panie Black. Albo nic. – Oddał pocztówki. Inspektor wsunął je do kieszeni marynarki i wziął resztę listów z tosterka.

– Przyniosę je z powrotem. Dam panu pokwitowanie.  
– W porządku. – Mężczyźni opuścili pokój. Hawkins pożegnał się – bez podawania ręki – u podnóża schodów i poszedł szukać pani Reynolds. Pół godziny później inspektor siedział już w pociągu do Londynu.

Tym razem jego przedział był pusty. Black zdał sobie sprawę, że przez większość czasu myśli o Katherine Copeland. To śmieszne; po co marnować czas na rozważania o zmarnowanych szansach, kiedy i tak nic by z tego nie wyszło? Poza tym, miał dosyć innych problemów do przemyślenia.

Poczuł niemal ulgę, kiedy pociąg dotarł do ubogich londyńskich przedmieść. Niebo było zachmurzone, ale Black wiedział, że pogoda nie zniechęci Luftwaffe. Wagon trząsł się, piszcząc i grzechotał na rozjazdach, kiedy powoli zbliżali się do dworca Paddington.

Koniec marzeń, trzeba powrócić do koszmaru. Raz jeszcze.

# Rozdział ósmy

CZWARTEK, 12 WRZEŚNIA 1940 ROKU

## 21.30 BRYTYJSKIEGO CZASU LETNIEGO

**N**ie minęła godzina od powrotu z Cambridge, gdy dyżurny sierżant powiadomił Blacka, że inspektor wzywany jest natychmiast do superintendenta Cornisha. Spotkanie trwało krótko. Black miał zebrać wszystkie notatki i akta dotyczące sprawy Rudelskiego i Talbota, po czym zgłosić się na podziemnym parkingu przy Broadway Buildings 55. Cornish nie miał pojęcia, o co chodzi. Dostał rozkaz od komisarza, któremu z kolei najwyraźniej „góra” zleciła sprawdzenie inspektora. Black wiedział jednak, że przy Broadway Buildings 55 mieściło się kiepsko zakamuflowana kwatera dowództwa wywiadu. Po przybyciu na miejsce został przeszukany przez kilku tajemniczych, poważnie wyglądających młodych mężczyzn, potem odeskortowany do równie tajemniczego samochodu, za którego kierownicą siedziała ciemnowłosa „wrenka”. Kiedy zmrok zaczął zapadać i rozległo się wycie syren, opuścili miasto drogą na północ.

Morris Black siedział z tyłu nieoznakowanego samochodu. Przyglądał się wstędze Tamizy tuż poza granicami Londynu, wąskiej i spokojnej, srebrzącej się baśnią w ostatnich blaskach wieczoru. Robert Louis Stevenson nazwał dziecięcą godziną te chwile, kiedy cienie wydłużają się, a czas ulega zawieszeniu jak obietnica albo ostrzeżenie. Ale pora baśni już minęła, minęła na dobre. Zapadł zmrok. Na bezchmurnym niebie wkrótce miał wzejść księżyc. Świetne warunki dla bombowców.

Jechali przez Richmond. Podmiejska osada, cała ciemna, opustoszała w oczekiwaniu na nalot. Członkowie obrony przeciwlotniczej krążący na rowkach w poszukiwaniu nie wygaszonych świateł. Wycie syren. Przytłumiony przez odległość głuchy odgłos przypominający stąpanie olbrzyma. To w Londynie zaczęły eksplodować pierwsze bomby.

Black wpatrywał się w ciemność. Minęli Petersham. Teraz oddalali się od rzeki, podążając ciemną, zadrzewioną drogą w kierunku Ham Common. „Wren-

ka” prowadząca samochód nie powiedziała ani słowa od chwili, kiedy opuścili miasto i Black nie miał najmniejszego pojęcia, dokąd go wiezie. Zapewne wyprawa miała coś wspólnego z Rudelskim i Talbotem.

„Wrenka” skręciła w Church Road, a potem w Latchmere Lane, zacięniętą z obu stron drzewami aleję, która prowadziła do dużej posiadłości. Stara kamienna brama była strzeżona przez dwóch nieumundurowanych, ale za to zaopatrzonych w karabiny maszynowe strażników. Black zauważył, że wysoki mur po obu stronach wejścia zabezpieczono drutem kolczastym. „Wrenka” podała przepustkę jednemu z wartowników.

– Zapewne nie może mi pani powiedzieć, gdzie jesteśmy – zagadnął Black, kiedy już minęli bramę. Przemówił po raz pierwszy od opuszczenia parkingu.

– Latchmere House – odparła zwięźle kobieta.

Jechali jeszcze kilkaset metrów wąską drogą wśród drzew. Poza nimi Black dostrzegł wielką, przytłaczającą kamienną budowlę, usytuowaną u podnóża niewysokiego pagórka. Przed oczyma inspektora wznosiła się angielska siedziba ziemiańska rodem z powieści sióstr Brontë, zniszczona przez pokolenia, pamiętająca dawne namiętności, zbrodnie i skandale. Do zachodniego skrzydła, otoczonego ogrodzeniem z drutu kolczastego, został dobudowany betonowy, wysoki na dwa piętra, pozbawiony okien bastion.

Kiedy podjechali bliżej, Black zorientował się, że główny budynek otaczają dwa pasy umocnień. Pierwszy stanowiła wysoka palisada z surowych desek uwięziona drutem kolczastym, z budką strażniczą w każdym rogu. Wewnętrzny pierścień tworzyły dwie linie drutu rozdzielone ziemią niczyją. Tutaj drewniane budki strażnicze rozmieszczono co dziesięć metrów. Więzienie.

Zatrzymali się przy następnym posterunku i „wrenka” znowu pokazała przepustkę. Wartownik skierował snop światła latarki na tył samochodu i przez chwilę wpatrywał się w Blacka. Wreszcie podjechali pod wejście do głównego gmachu. Mężczyzna w mundurze kaprała otworzył Blackowi drzwi i bez słowa poprowadził inspektora wąskimi schodami do sutereny. Na dole zagroziła im drogę krata, zamykana na klucz. Jakiś żołnierz, tym razem w randze sierżanta, siedział za obdrapanym drewnianym biurkiem.

Kapral przekazał Blacka koledze, który wpuścił inspektora do środka, starannie zamknął za nim kratę, a potem poprowadził gościa długim, kiepsko oświetlonym korytarzem. Betonową ścianę co trzy metry przecinały jasnozielone płaszczyzny ciężkich stalowych drzwi, zaopatrzonych w wielkie zasuwy, potężne sztaby i judasze.

Oświetlenie ograniczało się do żarówek osłoniętych metalowymi kloszami w tym samym trawiastym odcieniu. Powietrze śmierdziało potem i moczem.

Wreszcie korytarz skończył się i sierżant wprowadził Blacka do małego pokoju, którego ściany zastawione były rzędami szafek. Młody człowiek w mundurze bez żadnych oznak siedział za biurkiem, stukając w maszynę do pisania. Na widok gościa uśmiechnął się i wstał.

– Inspektor Black?

– Tak.

– Pańscy ludzie czekają w środku. – Wskazał ręką na drzwi po prawej stronie.

– Moi ludzie?

Młody człowiek zignorował pytanie.

– Proszę tam iść.

Usiadł i zaczął znowu pisać.

Pokój, do którego Black wszedł, sądząc z wyposażenia pełnił funkcję ambulatorium. Tego wieczoru jednak użyto go jako kostnicy. Na stole leżało ciało, przykryte ciemnozielonym chirurgicznym prześcieradłem. Ostry zapach alkoholu wypełniał powietrze, mieszając się z odorem spalonego mięsa.

Spośród trzech mężczyzn oczekujących go w ambulatorium Black znalazł tylko jednego, sir Bernarda Spilsbury'ego. Patolog, obrócony plecami do stołu, uważnie wpatrywał się w rentgenowskie zdjęcie czaszki i wyższych partii kręgosłupa.

Stojący tuż obok pułkownik o siwych włosach i potężnym karku, uzbrojony w monokl okiem wodził po skromnie wyposażonym wnętrzu.

Po drugiej stronie stołu pochylał się nad zwłokami trzeci mężczyzna, mniej więcej w wieku Blacka, przysadzisty w tweedowym garniturze. Miał przeredzone, brązowe włosy i schludnie przycięty wąsik. Uśmiechnął się, kiedy inspektor wszedł do pokoju, ale oczy pod ciężkimi powiekami pozostały chłodne i czujne.

Spilsbury odwrócił się i pomachał do Blacka trzymaną w dłoni kliszę. – A, Black. W końcu pan przyjechał.

– Tak.

– Dowiedziałem się, że zidentyfikował pan naszego młodego człowieka ze Spitalfields.

– Tak, sir. To student z Cambridge o nazwisku Talbot.

– Bez powiązań z polskim pilotem?

– Nic takiego nie znalazłem, sir Bernardzie. Jak dotąd. Talbot latał w dywizjonie Cambridge, ale nie sądzę, aby miało to specjalny związek ze sprawą. – Inspektor zerknął ostrożnie na nieznanymi mężczyzn. Spilsbury zauważył to spojrzenie.

– Pułkownik Stephens, komendant Latchmere House i kapitan Guy Liddell. – Liddell wyciągnął do Blacka dłoń. Stephens pozostał nieruchomy z rękami splecionymi i monoklem wciśniętym mocno w prawe oko. – Pułkownik Stephens zaoferował nam swoją gościnę i dyskrecję – ciągnął Spilsbury. – Kapitan Liddell ma... obserwować. Black nie żywił najmniejszych wątpliwości co do roli Liddella. Przysadzisty mężczyzna pracował dla jednej z gałęzi wywiadu, może MI6 czy MI5.

– Rozumiem – powiedział Black, choć w rzeczywistości niczego nie pojmował. Co śledztwo w sprawie Kuby Pedala mogło mieć wspólnego z Latchmere House?

– Przystąpmy do rzeczy – odezwał się szorstko Stephens. – Mam ważniejsze zajęcia niż zabawa w niańkę trupa.

– Oczywiście – zgodził się Spilsbury. Rzucił kliszę na blat stołu i jednym szarpnięciem ściągnął prześcieradło ze zwłok. Black spojrzął i z wysiłkiem przełknął kulę, która nagle urosła mu w gardle.

– Słodki pierdolony Boże! – jęknął Stephens. Wyjął monokl z oka i wyraźnie zbladł. Twarz zmarłego ledwo przypominała ludzkie oblicze. Włosy zostały prawie zupełnie spalone, mięśnie po prawej stronie czaszki zmieniły się w węgiel odsłaniając żółtą kość.

Ucho odpadło, a skóra z prawego policzka oddzieliła się od spieczonego mięsa, odsłaniając fragment jamy ustnej i zęby. Język, poczerniały i pokaleczony, zsunął się w głąb krtani. Prawe oko wypłynęło, zostawiając pokrwawiony, pusty oczodół, nabrzmiały jak otwarta rana.

Spilsbury uśmiechnął się sympatycznie.

– Pułkowniku, jeżeli ma pan coś ważniejszego do roboty...

– Będę w moim biurze, gdyby mnie pan potrzebował. – Stephens kiwnął głową w kierunku Blacka i wyszedł w pośpiechu.

– Trzeba wszystkich mierzyć tą samą miarą – rzucił cicho Liddell. – Żelazne Oko nie lubi tego rodzaju widoków, chyba że sam się do nich przyczynił.

Black ponownie przełknął ślinę i odkaslnął.

– Przypuszczam, że ma to coś wspólnego z moim śledztwem.

– Tak – odparł Spilsbury. – Tak nam się wydaje.

– Jego nazwisko brzmi Eddings – podjął się dalszych wyjaśnień Liddell. Wyjął mocno zużytą fajkę i zaciągnął się dymem, nie odrywając wzroku od ciała na stole. – Marynarz, dwadzieścia trzy lata. Papiery, książeczka wojskowa i paszport, leżały na zwłokach, kiedy był odkryty.

– Odkryto gdzie? – spytał Black, usiłując ukryć irytację. Najwyraźniej w całą sprawę zamieszany był Liddell i to z pełnym błogosławieństwem Spilsbury’ego.

– Portsmouth. Stonehouse Back, dokładniej mówiąc. Lokalna policja uprzejmie określa to miejsce jako „pokoje do wynajęcia”. Pensjonat ów nazywa się „Ant and Bee”. Najwyraźniej jest lokalnym władzom dobrze znany.

– Kiedy znaleziono tego nieboszczyka?

– Dziś rano. Wczoraj wieczorem był nalot na Portsmouth. W „Ant and Bee” wybuchł pożar. Najpierw myślano, że to skutek bombardowania...

Spilsbury pochylił się nad ciałem Eddingsa, przyglądając się spalonym mięśniom wokół ust.

– Ładunek zapalający spowodowałby bardziej ogólne obrażenia – powiedział. – Ze wstępnego raportu wynika, że pożar rozpoczął się w pokoju zajmowanym przez Eddingsa.

Black gwałtownie odwrócił wzrok, kiedy fragment twarzy zmarłego zapadł się pod naciskiem ręki patologa. Niezrażony Spilsbury kontynuował oględziny. Delikatnie zdmuchnął zakrywający mu pole widzenia popiół i wciągnął powietrze. Nozdrza rozeszły mu się i zadrgały. – Fosfor, to pewne – wymruczał. – Ale też coś jeszcze. Termit. – Wstał, przeciągnął się lekko i potarł ręką kark.

– A więc podpalenie – powiedział Liddell.

– Tak. Jakaś mieszanka domowej roboty. – Spilsbury zachmurzył się.

– Ale nie ogień stał się przyczyną zgonu – stwierdził Black.

– Nie. – Patolog pokręcił głową. – Prześwietlenie wykazało, że pomiędzy drugim a trzecim kręgiem szyjnym tkwi strzałka. Dokładnie tak, jak zwykle.

– Kuba Pedal – powiedział Black.  
– Kto? – zdziwił się Liddell.  
– Takie przezwisko nadano mu w Yardzie. – Black wyglądał na zakłopotanego.  
– Dobrze – uśmiechnął się Liddell. Twarz ginęła mu w kłębach dymu z fajki.  
Black z rozkoszą wdychał zapach tytoniu maskujący trupi odór zwłok.

– Żałuję, że nie udało mi się zobaczyć ciała *in situ* – powiedział, marszcząc brwi. Kolejna interwencja z góry; najpierw Spilsbury i Purchase wezwani jako pierwsi do Talbota, teraz znowu Spilsbury i Liddell. Nie tyle irytujące, co wręcz dziwne. Mimo wzrastającego niepokoju, Black usiłował skoncentrować się na wykonywaniu swojej pracy. Zmusił się, żeby spojrzeć na ciało.

– Znalaziono go nagiego, jak tamtych dwóch?  
– Tak. Siedział na krześle przy oknie. Jeżeli pan tu spojrzy, może pan zobaczyć ślady na nadgarstkach i kostkach.

– Był przywiązany? – Coś nowego.  
– *Post mortem* – dodał Spilsbury. – Chodziło najwyraźniej o to, aby utrzymał się na krześle.

– Jak te figury u Madame Tussaud – wtrącił się Liddell. Black odwrócił się i spojrzał na mówiącego. Oficer wyglądał jak speszony kłopotliwą sytuacją dyrektor szkoły.

Inspektor raz jeszcze zrewidował swoje poglądy; Cornish służył widocznie jedynie jako chłopiec na posyłki, miał przekazać rozkaz stawienia się w Latchmere Hause. Liddell, kimkolwiek naprawdę był i kogokolwiek reprezentował, najwyraźniej zajmował ważniejszą pozycję. Black zdecydował, że musi najpierw zorientować się, na czym stoi, a dopiero potem działać.

Odwrócił się z powrotem do patologa.

– Czy coś jeszcze wiąże tego nieszczęśnika z Rudelskim i Talbotem?

Spilsbury skinął głową, po czym podniósł prawy nadgarstek Eddingsa. Wąski, poczerniały pasek wił się zygzakiem po nienaruszonej skórze, otaczając rękę jak wytatuowana bransoleta.

– Całkiem pomysłowo – powiedział patolog. – Użył prądu. Ślad powstał także *post mortem*, jak i inne rany.

– A to znaleziono w pokoju w „Ant and Bee” – dodał Liddell. Sięgnął na blat po dużą kopertę z brązowego papieru i otworzył ją. Ze środka wypadł kłęb przewodu elektrycznego. Jeden z końców został pozbawiony izolacji i połączony z grubym drutem, wygiętym w kształt odpowiadający znakowi wypalonemu na nadgarstku Eddingsa. Na drugim końcu tkwiła wtyczka. Liddell podniósł drut. – Widzi pan?

Black spojrzał, potem skinął głową.

– Tak, widzę. – W ten sposób łatwiej mógł to zauważyć niż na ręce zmarłego – pozginany drut tworzył rząd trzech złączonych liter Z. – Dodaje po jednej literze dla każdej ofiary.

– Obawiam się, że doda jeszcze jedną. ZZZZ. Jesteśmy tego niemal pewni.

– Tak pan sądzi? – beznamiętnie spytał Black. – A więc może jeszcze zechce mi pan powiedzieć, kogo określa pan słowem „my” i skąd ma pan taką pewność co do zamiarów mordercy.



– Oczywiście – uprzejmie zgodził się Liddell. – Wszystko wyjaśnię. W odpowiednim czasie. – Obrócił się do patologa. – Czy czegoś jeszcze panu trzeba, sir Bernardzie?

– Nie nie. Mam mnóstwo roboty. Jutro prześlę panu raport. – Spilsbury pogrzyął się całkowicie w mierzeniu śladów na nadgarstku ofiary.

– Dobrze – zakończył rześko Liddell. – Więc już sobie pójdziemy. Jeżeli Żelazne Oko zażąda od pana jeszcze jakichś informacji, proszę odesłać go do mnie. – Spilsbury kiwnął głową z roztargnieniem, nie podnosząc wzroku nad pomiarów. – Chodźmy, inspektorze Black, odwiezę pana do miasta.

Pojechali szosą na Brentwood i Hammersmith, aby uniknąć dróg zniszczonych przez nocne bombardowania. Black czekał na obiecane wyjaśnienia, ale Liddell nie podejmował tego tematu, a inspektor nie miał zamiaru błagać o informacje. Podróżowali więc w milczeniu.

Byli już niedaleko Shepherd's Market, gdy Black w końcu przemówił:

– Dziwny sposób na prowadzenie wojny.

– Przepraszam?

– Kiedy nie wiadomo, kto jest wrogiem, a kto sprzymierzeńcem.

Liddell uśmiechnął się blade.

– Wygląda na to, że czuje się pan odsunięty od śledztwa.

– Można to tak ująć. Nocne przejażdżki na wieś. Tajemnicze spotkania z członkami bezimiennych organizacji. Moja praca to ściganie bandytów, kapitanie Liddell, jeżeli to pana prawdziwe nazwisko i stopień. Nie przepadam za tymi wszystkimi gierkami.

– To nie gra, inspektorze Black. Zapewniam pana.

– A dlaczego służby wywiadowcze interesują się dochodzeniem, które prowadzi?

– A dlaczego pan myśli, że jestem z wywiadu?

– Nie obchodzi mnie wcale, dla kogo pan pracuje. Chciałbym natomiast wiedzieć, dlaczego wsadza pan nos w sprawę Scotland Yardu. – Black przerwał na chwilę. – A konkretnie rzecz biorąc – w moje sprawy.

– Mówiłem panu, Black, wszystko w odpowiednim czasie. – Liddell podjechał do krawężnika i zatrzymał się. Cichy pomruk pracującego silnika był ledwie słyszalny poprzez huk i grzmoty detonacji we wschodniej części miasta. Niebo jaśniało światłami wybuchających bomb i luną pożarów. – Czy nie za daleko?

– Nie. Dziękuję panu.

– Powinniśmy doprowadzić tę rozmowę do końca w bardziej sprzyjających warunkach. Może lunch? – Liddell zastanowił się. – Jutro „Grill Room” w Royal Palace. – Ja stawiam.

Black kiwnął głową.

– Dobrze. – nacisnął klamkę u drzwiczek, ale jeszcze odwrócił się do Liddella. Strzał w ciemno, tylko po to, żeby zobaczyć, jak zareaguje ten skurwiel. – To dlatego, że on zawsze wie, prawda?



- Nie rozumiem.
  - To dlatego, że on zawsze wie o bombardowaniach.
  - Kto?
  - Kuba Pedal. To dlatego się nim interesujecie, czy nie mam racji? Wie, kiedy ma nastąpić nalot. Chcecie zorientować się, jak on to robi.
- Twarz Liddella zastygła w kamienną maskę.
- A z jakiego powodu pan tak sądzi? – spytał cicho.
- Black uśmiechnął się przejmnie.
- Czytam z pana twarzy. – Otworzył drzwiczki. – Dobranoc, kapitanie.
  - „Grill Room”. Jutro.

Inspektor stał na chodniku, patrząc jak Liddell odjeżdża. Trafił w sedno i otrzymał odpowiedź przynajmniej na jedno pytanie. Na razie to musi wystarczyć. Odwrócił się i ruszył powoli w stronę Market Street. Łuna na niebie oświetlała mu drogę. Poza stłumionym odgłosem eksplozji i dalekim zawodzącym, opadającym i wznoszącym się jękiem syren nic nie zakłócało ciszy. Zatrzymawszy się przed drzwiami, Black podniósł do oczu fosforyzującą tarczę zegarka. Tuż po północy – to był długi dzień.

Właśnie otwierał, gdy jakaś bomba eksplodowała gdzieś zupełnie niedaleko. Inspektor poczuł, jak fala uderzeniowa naciska na bębenki w uszach. Chodnik pod nogami zakoleł się, a szyby w oknach zadrażały.

Przypadek, czy też Luftwaffe próbuje rozszerzyć zasięg rażenia? Black stał przez chwilę nieruchomo. Serce biło mu mocno, uważnie nasłuchiwał. Dokoła wyły syreny, niebo płonęło oślepiająco.

Aby dostać się do najbliższego bezpiecznego miejsca, należało przebiec wzdłuż White Horse Street i Shepherd Street. Tam w piwnicach dużego bloku mieścił się schron dla mieszkańców tego rejonu. Noc nieprzespana, wśród tłumu podenerwowanych ludzi czy kilka godzin odpoczynku we własnym łóżku? Black zdecydowanym ruchem przekreślił klucz w drzwiach. Miał już dość barbarzyństwa tego świata. Chciał spać.

Tej nocy znowu śnił o Fay. Siedziała przy oknie i malowała. Jej twarz oświetlały krótkie błyski eksplodujących pocisków. Black modlił się, aby bomby dalej spadały, jeśli sprawiają, że Fay żyje. I nagle rysy żony zaczęły się upodabniać do twarzy kobiety, którą spotkał w pociągu, a potem nastąpiła przerażająca przemiana. Spalone ciało Eddingsa, trzeciej ofiary Kuby Pedala, siedziało na miejscu Fay. Czy to ona była przywiązana drutem do krzesła? Z potwornego, pustego oczodołu płynęły łzy.

Black obudził się. Panowała cisza. Przez chwilę zastanawiał się, czy świat się nie skończył, kiedy on spał. A może to nadchodzi szaleństwo? Deszcz walił w okna sypialni, a Black czuł na policzkach mokre ślady.

# Rozdział dziewiąty

PIĄTEK, 13 WRZEŚNIA 1940 ROKU

10.30 BRYTYJSKIEGO CZASU LETNIEGO

Joan Miller wysiadł z taksówki przy głównym wejściu do Ogrodu Botanicznego na Royal Hospital Road. Krótki odcinek do Cheyne Mews postanowiła przejść pieszo. Dwa powody zdecydowały o tym, że Joan nie skorzystała dzisiaj z własnego samochodu. Potts, dawny gwardzista, którego Max przyjął jako szofera, z pewnością doniósłby o jej eskapadzie. A poza tym nawet dla osoby nowoczesnej wizyta u psychiatry była sprawą wstydliwą.

Młoda kobieta otuliła się mocniej długim płaszczem z jagnięcej wełny i przyspieszyła kroku. Słońce skryło się za chmurami. Niebo miało odcień ołowiu, a chłodny wiatr marszczył wody Tamizy.

Wiatr niósł zapach wilgotnego popiołu od strony tłących się zgłiszcz East Endu. W powietrzu unosiła się też inna woń, intensywniejsza, bardziej nasycona. Odór otwartej trumny, pomyślała Joan Miller.

Zadrżała, ale szła dalej. Nabrzeże opustoszało. Nie widać było żadnych pojazdów – poza nielicznymi taksówkami, spieszącymi od strony City. Panowała niemal całkowita cisza. Tylko szum drzew i słabe, dalekie echo syren.

Alarm przeciwlotniczy trwał już w momencie, kiedy Potts wysadził Joan na stacji Waterloo. Jednak nie słyszała jeszcze żadnych wybuchów. Może kiepska pogoda zatrzymała Niemców na jakiś czas. Nie martwiła się o to tak naprawdę; równie dobrze można zostać ofiarą nalotu w małym domku w Camberley, jak dać się zdmuchnąć do wody na nabrzeżu Chelsea.

Jak dotąd bombardowania nie posunęły się na zachód od Charing Cross Road. Atak wciąż koncentrował się na East Endzie. „Naloty kastowe”, podrwiwał Maxwell. Równają z ziemią slumsy, a oszczędzają siedziby w Mayfair. Ale to się wkrótce skończy. Niedługo nikt już nie będzie bezpieczny. Tak twierdził Max, a kto jak kto, ale on wiedział, co mówi.

Kobieta przeszła wąski przesmyk prowadzący do Mews i zatrzymała się przez ogródkiem, otoczonym małym żywoplotem. Numer 6, wysoki edwardiański dom,

podobny do innych budynków w tej eleganckiej dzielnicy, usytuowany był po prawej stronie ulicy. Po raz pierwszy od początku podróży z Surrey ogarnął ją spokój.

Zgodnie ze słowami doktora Tennanta, posesje od numeru 1 do 5 stały puste. Ich mieszkańcy wyjechali zapewne do bezpieczniejszych rezydencji na wsi. Uciekł każdy, kto tylko mógł sobie na to pozwolić. Joan szybkim krokiem przemierzyła ogródek, nacisnęła guzik dzwonka i, jak zawsze weszła nie czekając, aż ktoś jej otworzy.

Starannie zamknęła za sobą drzwi, powiesiła płaszcz na ozdobnym wieszaku i ruszyła do gabinetu Tennanta. Wielki pokój o wysokim suficie miał jedno tylko dość wąskie okno wychodzące na uliczkę. Ciężkie kotary były zasunięte. Gabinet oświetlało kilka, osłoniętych abażurami bocznych lamp.

Egzotyczny nastrój tego wnętrza zawsze ją ekscytował. Gruby chiński dywan w ciemnoniebieskie i złote wzory, lakierowane szafki i doskonale dobrane niewielkie obrazy prerafaelitów na pokrytych jedwabną krepą ścianach, wszystko to różniło się znacznie od ciężkich wiktoriańskich mebli, wśród których dorastała, a jeszcze bardziej od rustykalnego stylu domu Maxa.

W drugim końcu pokoju stał duży, czarny stół. Doktor Tennant używał go jako biurka. Kolekcja dyplomów i certyfikatów, umieszczona tak, żeby pacjenci mogli się z nią szczegółowo zapoznać, dopełniała dekoracji. Eton, Cambridge, Wiedeński Instytut Psychiatrii, Uniwersytet McGill w Montrealu, Princeton, wreszcie patent kapitana korpusu medycznego. Joan Miller westchnęła; Charles Tennant miał ledwie dziesięć lat więcej niż ona, ale zdążył już w życiu tyle zobaczyć i zrobić. To nadal świat mężczyzn – i pewnie tak już zostanie.

Po obu stronach biurka wznosiły się sięgające sufitu półki wypełnione pracami z dziedziny psychologii i psychiatrii. Podczas czterech miesięcy spotkań z doktorem przekartkowała niejedną z tych książek, wypełniając sobie czas oczekiwania.

Freud, Jung i Adler, Otto Rank, Wilhelm Stekel i Sandor Ferenczi. Opasłe tomy autorstwa Franza Alexandra z Berlina, Karla Abrahama, Maxa Eitingtona i Ernsta Simmela. „Indywidualna psychologia” Wexberga sąsiadowała z „Tako rzecze Zaratustra” Nietzschego. D. H. Lawrence tuż obok Rollo May’a i pracy „Katolicka myśl a współczesna psychologia” ojca Wilcotta. Był tam nawet egzemplarz „Małżeństwa doskonałego” Van de Veldego. Zgodnie ze słowami doktora Tennanta, biblioteczka wspierała jego „eklektyczną” szkołę psychiatrii.

– Witaj, Joanno. – Gwałtownie odwróciła się, kiedy Tennant wszedł do gabinetu. Niezbyt wysoki, podobnie jak Max, ale śniady i przystojny, ubrany w doskonale skrojony garnitur i jedwabną koszulę doktor prezentował się nadzwyczaj korzystnie. Gęste czarne włosy nosił odrobinę dłuższe niż nakazywała moda, a jego wielkie, orzechowe oczy wywierały na Joan niemal hipnotyczny wpływ. Głos, melodyjny baryton, tylko dopełniał efektu.

Zarumieniła się z powodu imienia, jakim ją nazwał. Max nie miał najmniejszego pojęcia, że ona widuje się z psychiatrą. Na wszelki wypadek używała fałszywego nazwiska.

Tennant znał ją jako Joannę Phipps. Nienawidziła oszustwa, ale w tym wypadku nie miała innego wyjścia.

- Dzień dobry, doktorze.
- Charles, już cię prosiłem.

Uśmiechnął się. Małą, zadbaną dłonią wskazał w kierunku pokrytej skórą sofy, a potem sam usiadł. Joan położyła się, pozwalając głowie opaść miękko na oparcie mebla. Obciągnęła długą, niebieską spódnicę, splótła palce i na chwilę zamknęła oczy. Obiecywała sobie, że tym razem nie będzie płakać, chociaż, Bóg jeden wie, miała ku temu dość powodów.

- Słyszałem syreny – dobiegł ją spokojny głos Tennanta. – Nadal trwa nalot?
- To chyba fałszywy alarm. Nie słyszałam, żeby spadały bomby.
- Zeszłej nocy było paskudnie.
- Tak też sądziłam.
- Czy na wsi czujesz się bezpieczna?
- Myślę, że tak. Ale *samotna* to chyba lepsze słowo.
- Pan X nie spędza więc z tobą zbyt wiele czasu?
- Nie.
- Ze swoją żoną też nie, podejrzewam.
- Nie. Z żadną z nas. Przyszedł na godzinę, czy coś około tego, wczoraj wieczorem, a potem znowu zniknął.
- Jest jakiś postęp?
- Z panem X?
- Tak – zamruczał Tennant. Joan czuła, że rozparł się wygodniej w fotelu.
- Sądzę, że masz na myśli nasze relacje seksualne.
- Wysłucham wszystkiego, co zechcesz mi powiedzieć.
- Założę się, że mówisz to wszystkim swoim pacjentkom.
- Mówię to tobie. – Głos doktora brzmiał pewnie. Ojcowsko? Nie. Głębiej i nie tak oficjalnie. Raczej troskliwie. A może tylko to sobie wyobraziła? Poczuli, że znajome ciepło rozlewa się po jej ciele. Ciasny, ciężki węzeł zaczynał się formować w dole brzucha. Uczucie, którego doznawała przy Maksie.
- Żadnego postępu.
- Jakieś próby?
- Nie. Przynajmniej nie ostatnio. Jeżeli się na to zanosz, znajduje jakieś wymówki, żeby się spieszyć.
- Czy ty kiedykolwiek... inicjowałeś zbliżenie?
- Raz czy dwa. Niczego nie osiągnęłam, a tylko czułam się brudna. Ja wiem, że to głupie, ale...
- To nie jest głupie, Joanno. Wszyscy mamy takie potrzeby.
- Nie on. On bardziej ceni swoich małych, futrzanych przyjaciół niż mnie.
- Masz na myśli jego zwierzęta?
- Tak. Czasami sądzę, że troszczy się o nie bardziej niż o mnie. Albo o jakąkolwiek kobietę. – Westchnęła głośno, zaciskając mocno powieki, by powstrzymać łzy.
- Może dlatego, że zwierzęta niczego od niego nie chcą.

– Więc dlaczego uparł się mieszkać ze mną? Dlaczego zmusił mnie, żebym przeniosła się do tego paskudnego domku, skoro prawie nigdy mnie nie widuje?

– A jak sądzisz?

– Bo on się cholernie mnie wstydzi! – wybuchnęła. Łzy popłynęły i nie było już sposobu, aby je powstrzymać.

– A może wstydzi się za siebie – zasugerował Tennant. Fotel zaskrzypiał, kiedy doktor wstał. Dłoń, trzymająca lnianą chusteczkę, dotknęła delikatnie ramienia Joan. Zapłakana kobieta wytarła oczy.

– Czuję się taka samolubna – wyszeptwała.

– Dlaczego?

– Z powodu jego pracy. Jest taka ważna. Mój Boże, Charles, mamy przecież wojnę, a on bierze w niej udział. Walczy bardziej niż ktokolwiek inny, a ja tutaj martwię się o...

– O to, że wasz związek pozostaje nieskonsumowany. – Ton psychiatry brzmiał rzeczowo.

– Tak. – Pociągnęła nosem. – Muszę wydawać ci się bardzo głupia.

– Wcale nie.

– To znaczy, naprawdę... on żyje pod taką presją. Ze wszystkich stron. A teraz...

– Teraz?

– Zdarzyło się coś nowego. Jakiś problem. I on jest taki zdenerwowany. Bardziej niż zwykle.

– A jaki to problem?

– Sądzę, że nie powinnam o tym mówić, Charles. Wspominałam ci już...

– Tak. Wiem. Jego praca jest ściśle tajna.

– Nie chciałam, aby zabrzmiało to obraźliwie. – Poczula rosnącą w gardle kulę. Nie wiedziała, co robi, jeżeli nie będzie mogła mieć tych sesji co tydzień.

– Nie czuję się obrażony, Joanno, zapewniam cię. Ale ty też musisz mnie zrozumieć. Jestem związany tajemnicą lekarską. Też mam swoje sekrety, jak wiesz. – Delikatny żart.

– A jednak...

– Aby rozwiązać twoje problemy, muszę coś o nich wiedzieć. – Głos Tennanta był teraz miękki, troskliwy. – Wiesz, że szczerowość i zaufanie jest sprawą podstawową, Joanno, albo nigdy nie dotrzemy do korzeni całej sprawy.

– Tak, wiem.

– Wspomniałaś o jakimś nowym problemie?

– Ostatnio zdarzyło się kilka morderstw.

– To nie wchodzi w zakres jego obowiązków.

– Nie. Normalnie on nie zajmuje się takimi sprawami. – Zawahała się. Max nie wyrażał się szczególnie jasno.

– Ale tym razem?

– Nie jestem pewna. Jakieś kwestie bezpieczeństwa, jak sądzę. To musi być ważne; ściągnęli Spilsbury'ego i jakiegoś detektywa ze Scotland Yardu. Wszystko w największej tajemnicy.

– I wydaje ci się, że ta historia wywołuje u niego większe zaniepokojenie niż zwykle?

– Tak. Na pewno. Powiedział, że gdyby cokolwiek przeciekło do prasy, to Dunkierka wyglądałaby przy tym jak piknik.

– Rozumiem. – Nie sceptycznie, ale i bez szczególnego zainteresowania. Dobre i to. Młoda kobieta zacisnęła wargi i spojrzała w sufit. I tak już za dużo powiedziała. Coś ścisnęło jej gardło. Gdyby Max wiedział...

– No dobrze – odezwał się Tennant po chwili. – Wystarczy o panu X. Teraz porozmawiamy przez chwilę o tobie. Ostatnio opowiadałaś o kłopotach związanych z matką.

Nie zmieniając wyrazu twarzy, Charles Tennant zupełnie się wyłączył. Głos pacjentki płynął monotonnie, kiedy rozważała jakiś wydumany epizod z dzieciństwa. Wysłuchiwanie tego wszystkiego nie było istotne; mikrofon wbudowany w małą szafkę obok sofy wyłapywał każde słowo i przekazywał do magnetofonu ukrytego w półkach na książki.

Doktor wziął ołówek ze stołu i postukiwał nim delikatnie o zęby, rozmyślając leniwie o przystojnej, ciemnowłosej kobiecie, która dostarczyła mu już tylu informacji.

Wiedział, rzecz jasna, że nazywa się Joan Miller, a pan X to nikt inny jak tylko Maxwell Knight, który, zgodnie z notką w ostatnim *Who is who* jest dawnym oficerem marynarki wojennej i autorem kilku mało znanych powieści kryminalnych.

W rzeczywistości ten kiepski pisarz pełnił funkcję dyrektora departamentu B5(b) w MI5, odpowiadającego za wszystkie operacje kontrwywiadu na terenie Anglii, a Joan Miller pracowała w tym samym departamencie. Poprzez Knighta miała też powiązania z Dennisem Wheatleyem i jego żoną, także zresztą pacjentką Tennanta.

Na podstawie opowieści rozhisteryzowanej kobiety Tennant doszedł do wniosku, że Knight cierpi na homoseksualną neurozę, która niemal na pewno przyczyniła się do samobójstwa jego pierwszej żony i separacji z drugą, nie wspominając już o frustracjach Joan Miller. Pewne wskazówki dostarczone przez Joan w ubiegłym tygodniu upewniły psychiatrę, że Knight pozostawał w niedozwolonym związku seksualnym ze swoim szoferem, Pottsem.

Wiadomość, że wyższy oficer kontrwywiadu jest homoseksualistą stanowiła użyteczny materiał, ale ten nowy „problem” wyglądał jeszcze bardziej obiecująco. Tennant uśmiechnął się. Jego początkowe przeczucie dotyczące tej młodej kobiety sprawdziło się. Z około czterdziestu pacjentów, których regularnie przyjmował dziewczyna Knighta wyglądała na najcenniejszy nabytek.

Tennant zamrugał. Wstrzymał ziewnięcie, zaciskając mocno zęby i spojrział na zegarek. Jedno z niewielu szaleństw, na jakie sobie pozwolił, Rolex Oyster Perpetual w wojskowym stylu, na czarnym pasku z jaszczurczej skóry.

Zerknowszy w kierunku sofy zorientował się nagle, że Joan Miller przestała mówić. Czy zadała mu jakieś pytanie? Wyteżył uwagę i wtedy usłyszał równy rytm jej oddechu. Pacjentka zasnęła. Uśmiechnął się. Zdarzyło się to już kilka

razy przedtem i świadczyło zarówno o głębokości frustracji, jak i zaufania do niego jako lekarza.

Wstał i podszedł do sofy. Taka śliczna dziewczyna i się marnuje. Co ona widzi w Knightcie? Miękkosć, delikatność okazywaną zwierzętom? A może jakoś wyczuwa jego skłonności seksualne i, jak to się często kobietom zdarza, ma nadzieję, że go „wyleczy”?

A jeśli to coś bardziej skomplikowanego, biblijny scenariusz, rola Marii Magdaleny, gotowej obmyć stopy swego Pana i dać Mu ukojenie na krzyżu, na którym sam siebie skazał dla wielkiej i słusznej sprawy?

Tennant nie miał żadnych wątpliwości, że mógłby mieć tę ślicznotkę dla siebie. Dawno już zaczęła przenosić swoje seksualne marzenia z Knighta na niego. Okazywała też niewątpliwe oznaki oczarowania. Oczywiście pociągała go. Była wyjątkowo atrakcyjna, ale takie rozwiązanie absolutnie nie wchodziło w grę.

Zaangażowanie w jakikolwiek intymny związek w tym momencie mogłoby zniszczyć magiczną nić pomiędzy nimi, delikatną pajęczynę fantazji, obiecującą o wiele więcej niż daje rzeczywistość. Może pozwoli sobie na romans, kiedy dowie się czegoś o tych morderstwach, które tak denerwowały jej niedoszłego kochanka. Jeszcze nie teraz. Wyciągnął dłoń i przez chwilę kusił sam siebie, pozwalając palcom muskać lekko pierś Joan, zanim delikatnie poklepał dziewczynę po ramieniu. Otworzyła oczy.

– O rany. Znowu to zrobiłam? – Zaczerwieniła się raptownie, a z jej reakcji doktor mógł się łatwo domyślić, o czym śniła. – Zasnęłam, tak?

– Wszystko w porządku, Joanno. Ale obawiam się, że nasz czas dobiegł końca.

– Czy mogę przyjść we wtorek? – Jej oczy błęgały. Potrzebowała tego jak nałogowy palacz papierosa.

– Przychodź, kiedy zechcesz, Joanno – powiedział z uśmiechem. – Wiesz, że zawsze tu jestem, gdy mnie potrzebujesz.

Morris Black siedział w restauracji hotelu Royal Palace i, czekając na powrót Liddella, wpatrywał się w ponury jesienny widok Kensington Gardens i Round Pond. Na stoliku przed inspektorem stały brudne talerze, pusta butelka po winie i przepełniona popielniczka, a obok leżał gruby dokument zawierający tekst ustawy o tajemnicy państwowej.

Przed wojną taka kiepska obsługa nie byłaby tolerowana w eleganckiej restauracji, ale teraz stanowiła raczej normę niż wyjątek, jak udająca masło margaryna, bezmięsne steki czy mleko w proszku. Kelnerstwem parali się artretyczni starcy albo nieopierzone gołowasy, a sądząc z wyglądu personel kuchenny składał się głównie z pensjonariuszek przytułku dla maltretowanych żon.

Black pokręcił głową. Wojna wykraczała daleko poza pole bitwy, dosięgając każdego zakątka codziennego życia. A ostatniej nocy wojna zetknęła go z Guyem Liddellem; dzisiaj ofiarowała mu ustawę o tajemnicy państwowej i wodnistą minestrone z warzyw z puszki za trzy szylingi i sześć pensów, nie licząc wina. Sny Blacka przepełniało szaleństwo, a życie po przebudzeniu okazało się równie obłądne.

– Okropna pogoda – powiedział Liddell, wracając do stolika. – Przyszła w samą porę. Stanowi naszą najlepszą obronę. Trzyma bombowce w zatoce.

– Całe rano trwał alarm. – Inspektor zamilkł. Dyplomatyczna część przyjęcia została zakończona; Liddell przygotowywał się do zadania ciosu.

– Rozmawiał pan już ze swoimi zwierzchnikami w Yardzie? – zagadnął w końcu.

– Tak. Powiadomili mnie, że zostałem odkomenderowany do pułkownika Johna Mastermana i jakiegoś B1(a). – Black przerwał. – Nie jestem pewien, o co tu tak naprawdę chodzi, kapitanie Liddell, i wcale nie wiem, czy podoba mi się pomysł współpracy z pańskim tajemniczym pułkownikiem.

– On nie jest pułkownikiem. To dziekan z Oxfordu – odpowiedział Liddell z nutą szorstkości w głosie. – Rozkaz, który pan otrzymał, to tylko następny fragment gry luster i cieni. Masterman pracuje dla mnie, a nie ja dla niego. – Przerwał. – Jeszcze jeden amator. Jego jedyne kwalifikacje to fakt, że został uwięziony przez Niemców dwadzieścia pięć lat temu. Poza tym jest mistrzem krykieta. Żalсна głupota.

– Mówi pan o Mastermanie?

– Nie. O głupocie tego pomysłu, że amatorzy biorą udział w operacjach wywiadu.

– A co on konkretnie robi?

– Podpisał pan już nasz dokument? – Liddell ustnikiem fajki wskazał plik papierów.

– Tak.

– No dobra, skończmy z tym wreszcie. – Przerwał i zaciągnął się dymem. – Pułkownik John Cecil cholerny Masterman jest dyrektorem B1(a) i przewodniczącym tak zwanego Komitetu Dwadzieścia.

– Dwadzieścia?

– Tak. W numeracji rzymskiej podwójne X – double cross\*.

Jego zadaniem jest przesłuchiwanie niemieckich szpiegów wpadających nam w ręce i „nawracanie” ich. Pozornie nadal pracują dla Adolfa, a tak naprawdę służą nam.

Powtarzano jakieś niejasne plotki dotyczące istnienia takiej grupy, ale Black po raz pierwszy usłyszał o niej oficjalnie.

– Jak wielu z nich Masterman „nawrócił”, jak pan to ujął?

– Dotąd około trzydziestu. Większość z nich siedzi w Scrubs i jak oszalała nadaje alfabetem Morse’a. Nasi sowieccy przyjaciele nazywają to dezinformacją. Masterman ponadawał tym ludziom różne pseudonimy, jak Rainbow czy Giraffe.

– I robią to z własnej woli?

– Mają silną motywację – odpowiedział, krzywiąc się lekko Liddell. – Proszę sobie przypomnieć Żelazne Oko, którego poznał pan zeszłego wieczoru?

– Blackowi stanęła przed oczami twarz oficera. – Człowiek, któremu bardziej pasowałby skórzany płaszcz gestapowca niż mundur Jego Królewskiej Mości.

---

\* W języku angielskim double cross oznacza przewerbowanie szpiega, uczynienie z niego podwójnego agenta. – przyp. tłum.



– Kiedy obcy agent zostaje złapany, posyłają go na kilka dni do Latchmere. Chleb i woda, żadnego ogrzewania, paskudne warunki sanitarne, czasami trochę ostrego traktowania dla zachęty. Potem Żelazne Oko wracza ze swoim monoklem i podaje więźniowi warunki. Praca dla Mastermana albo spotkanie twarzą w twarz z plutonem egzekucyjnym w Tower.

– Metoda gwarantująca wysoki wskaźnik sukcesu, jak sądzę.

– Umm – Liddell skinął głową. – Jak dotąd wręcz zadziwiający.

– To ciekawe, ale nadal nie widzę, co z tym wspólnego mam ja albo Kuba Pedal. Jak już przedtem panu mówiłem, jestem policjantem, kapitanie, a nie łowcą szpiegów. I nie mam zamiaru zmienić profesji. – To była całkowita prawda, chociaż inspektor ostatnio zastanawiał się poważnie nad opuszczeniem szeregów policji. Przekroczywszy czterdziestkę doszedł do wniosku, że każdy człowiek ma ograniczoną zdolność akceptowania tragedii, a jego własne możliwości w tej materii bliskie już były wyczerpania. Czas zacząć sądzić różę w Dorset czy robić coś równie nieszkodliwego.

– Obawiam się, że problem tkwi w rozdętym ego Mastermana. Ten facet jest absolutnie przekonany, że B1(a) potrafi wykryć każdego niemieckiego agenta w Anglii. Bez wyjątku.

– Bardzo ambitne podejście – stwierdził Black. Liddell najwyraźniej zaplątał się w jedną ze swoich dygresji. Należy usiąść wygodnie i poczekać, aż dojdzie do sedna sprawy – jeżeli w ogóle jego dywagacje mają jakiś cel.

– Tak to z nim jest. – Liddell pokiwał głową. – On naprawdę uważa, że uda mu się złapać każdego agenta, nim ten na dobre się rozkręci.

– Zgaduję, że pan się z tym nie zgadza.

– Nie. Po pierwsze, uważam za błędne założenie, że wywiad niemiecki składa się z niekompetentnych i naiwnych idiotów. Po drugie, Masterman i jego trupa to sami amatorzy.

– Sądzi pan, że Niemcom udało się rozmieścić agentów, o których pułkownik Masterman nie ma pojęcia?

– Tak. Przynajmniej jednego. Mniej więcej rok temu odkryliśmy poważny przeciek informacji. Pochodził prawdopodobnie z amerykańskiej ambasady w Londynie. Mieliliśmy wówczas swój kontakt w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Berlinie. Nasz człowiek stwierdził, że materiał został przekazany przez niezidentyfikowanego agenta spoza tradycyjnego kręgu Abwehry, znanego jako Doktor. W tym czasie podejrzewaliśmy jednego z szyfrantów ambasady, męczyznię o nazwisku Tyler Kent, ale okazało się, że myliliśmy się.

– Pamiętam tę sprawę – skinął głupio Black. – Kenta sądzono za zamkniętymi drzwiami. O ile sobie przypominał, zamieszana w to była także jakaś rosyjska emigrantka.

– Istniały nawet pewne podejrzenia, że sam ambasador Kennedy może działać jako Doktor, ale niczego mu nie udowodniono. A Doktor nadal działa.

– I co na to mówi Masterman?

– Masterman sądzi, że ten szpieg to wytwór mojej chorej wyobraźni. – Krępy mężczyzna wyjął fajkę z ust i przyglądał się jej przez chwilę. Zmarszczył brwi,

potem zwrócił spojrzenie na Blacka. – Odłożywszy na bok sprawę stanu mojej wyobraźni, inspektorze, mogę pana zapewnić, że Doktor jest niezwykle przebiegłym niemieckim szpiegiem i zapewne mieszka w Londynie. – Zapaliwszy fajkę na nowo, włożył ją do ust. – Masterman myśli, że próba wykrycia tego człowieka to strata czasu i wysiłku, ale dostosowuje się do mnie, przynajmniej jak na razie. Jestem jego przełożonym, chociaż na pewno jego zdaniem, nie pochodzę z właściwej sfery.

– Nadal nie otrzymałem odpowiedzi na pytanie, co ja mam z tym wspólnego.

– Jest pan częścią procesu dostosowywania się – uśmiechnął się Liddell. – Ma pan mnie zająć, żebym trzymał się z dala od spraw Mastermana. Dowody wskazują na to, że pański przyjaciel, Kuba Pedał, jest w posiadaniu wyjątkowo ważnych informacji. A dodatkowo ten człowiek to maniakałny morderca. Dość niebezpieczne połączenie, nie sądzi pan?

– Obawia się pan, że Doktor dowie się o nim.

– Dokładnie tak. Doktor zdołał spenetrować hermetyczne środowisko ambasady amerykańskiej. Prawdopodobnie Scotland Yard równie trudno prześwietlić, jak otworzyć puszkę sardynek. Zakładając, że tak właśnie wygląda sytuacja, chcemy usunąć prowadzącego śledztwo z pola potencjalnego zagrożenia. Stąd ta historia z B1(a). Masterman uważa całą sprawę za zawracanie głowy, ale zgadza się nam pomóc. – Liddell uśmiechnął się. – Jak mówiłem, ten człowiek nie jest zupełnym idiotą. A jeżeli mam rację co do Doktora...

– To zapewne skończy pan ratując tyłek Mastermana – dopowiedział Black. Cały żałosny obrazek ukazał się teraz w pełnym świetle. Właśnie tego typu spraw inspektor unikał w Scotland Yardzie – mieszanina polityki z pracą policji. Teraz stał się pionkiem, którym Liddell grał zgodnie z własnymi celami. Black nie miał już żadnych wątpliwości. Czy mu się uda odnaleźć Kubę Pedała i wsadzić go za kratki, czy też nie, nie obchodziło to nikogo. Poczul rosnące wzburzenie i przez krótką chwilę poważnie rozważał ewentualność natychmiastowego przerwania rozmowy.

– Obawiam się, że to raczej mój tyłek jest zagrożony – wyjaśnił na zakończenie Liddell. – Masterman bardzo chciałby udowodnić, że nie miałem racji.

– Nie sądzę, abym w tej sytuacji miał jakkolwiek wybór, nieprawdaż?

– Chyba nie. – Liddell wzruszył ramionami. – To właśnie jest charakterystyczne dla obecnych czasów. Musimy wykonywać nasze zadania.

– Bez dociekania dlaczego i po co?

– Niestety. Nie ma innego wyjścia, inspektorze.

Przez chwilę dwaj mężczyźni w ciszy patrzyli sobie w oczy. Wreszcie Liddell odwrócił wzrok i ruchem głowy wskazał prawie pełny talerz stojący przed Blackiem. – Cholernie paskudne, nie?

– Fakt – potwierdził Black.

Liddell roześmiał się.

– Chodźmy – powiedział, odsuwając krzesło. – Zobacz pan swoje nowe mieszkanie.

Kensington Park Gardens 6-7 była to czteropiętrowa rezydencja, usytuowana naprzeciwko hotelu Royal Palace, po zachodniej stronie prywatnej drogi

prowadzącej z Kensington High Street na północ do Notting Hill Gate. Dom otaczał prowizoryczny drewniany płot o wysokości bez mała pięciu metrów, uwieńczony siatką z drutu kolczastego. Brama stała otworem i Black mógł dostrzec sznur pojazdów zaparkowanych wzdłuż drogi wiodącej do frontowego wejścia. Zgodnie z tym, co mówił Liddell, pobliskie posiadłości należały głównie do ambasad i konsulatów. Dwóch umundurowanych policjantów patrolowało południowy kraniec ulicy. Black zauważył znajomy samochód. Szary wóz, którym podróżował poprzedniej nocy stał zaparkowany przy krawęźniku.

- Służby specjalne? – spytał, ruchem głowy wskazując tajemniczy pojazd.
- Konsul Litwy sądzi, że to z jego powodu. Bóg z nim!

Liddell nacisnął guzik dzwonka przy drzwiach frontowych wielkiego domu i weszli do środka. Zwalisty mężczyzna w ciemnym, źle dopasowanym garniturze siedział przy wejściu, przeglądając „Picture Post”. Na widok przybyłych skinął tylko głową i wrócił do swojej lektury.

Black i Liddell ruszyli długim, wyłożonym dywanami korytarzem. Po lewej stronie ciągnął się szereg zamkniętych drzwi, na prawo bieżyły strome schody. Za schodami zainstalowano małą windę. Weszli do kabiny i Liddell wcisnął trójkę. Winda zaczęła powoli wspinać się w górę.

- Co tu się dzieje? – spytał Black.

– W tej chwili niewiele – mruknął Liddell. – Miało się tu mieścić centrum przesłuchań jeńców.

Kabina zatrzymała się. Wąskimi, prostymi schodami weszli na czwarte, ostatnie, piętro rozległego budynku.

Było to już właściwie poddasze i najwyraźniej pełniło funkcję składowiska rupieci. Stosy pudeł piętrzyły się na drewnianej podłodze, a trzy małe pokoiki ze świetlikami zawałono zwiniętymi dywanami, połamanymi krzesłami, szafkami i innymi szczątkami umeblowania z czasów poprzedniego właściciela. Liddell zaprowadził Blacka do największego z pomieszczeń, ozdobionego tapetą w bukoliczne scenki utrzymane w różnych odcieniach bladego błękitu i jeszcze bledszej zieleni. Małe, brudne okno wychodziło na ślepy mur.

– Mam prowadzić dochodzenie z tego miejsca? – jęknął Black, przerażony. Lepiej by mu się pracowało w komórce na węgiel. Być pionkiem to nieprzyjemna sprawa, ale być pionkiem przyklejonym do szachownicy to już lekka przesada. Poczul, że znowu wszystko zaczyna się w nim gotować.

– Posprzątam tu za dzień czy dwa. Zainstalujemy telefony, biurka, krzesła i tak dalej. Mamy nawet dziewczynę – ochotniczkę zwaną Bronwyn – która w razie potrzeby poda herbatę i kanapki. Wspaniała dziewczyna.

– Wspaniała – tępo powtórzył Black. Sytuacja przedstawiała się coraz gorzej. Nagle inspektor zorientował się, że myśli o uroczej Amerykance spotkanej w pociągu do Cambridge i zazdrości jej wolności. Zmusił się do powrotu do rzeczywistości.

– Potrzebuje pan asystenta – ciągnął tymczasem Liddell. O Boże, pomyślał Black. Tylko nie Bronwyn-ochotniczka, oszczędźcie mi tego.

– Myśli pan o kimś konkretnym, jak przypuszczam. – Ktoś śledzący śledzącego? Szpieg pomiędzy szpiegami? Już widział, jak dochodzenie rozmywa się w atramentowym morzu biurokracji.

– Niezupełnie. – Liddell wzruszył ramionami. Black kichnął. Wszędzie leżał co najmniej cal kurzu. – Pomyślałem, że może wolałby pan mieć tu kogoś sprawdzonego. Znajomą twarz.

Black zastanawiał się przez chwilę. Nastroj polepszył mu się trochę na myśl o ściągnięciu sprzymierzeńca. Dick Capstick stanowił najlepszy wybór, ale ten podobny do niedźwiedzia mężczyzna oszałałaby w zamknięciu. Nie zawsze też sobie radził w tego typu sprawach, no i miał kłopoty z utrzymaniem języka za zębami. Nie. Black potrzebował kogoś bez bagażu doświadczeń. Rzetelnie wykształconego, ale z wyobraźnią.

– Sądzę, że wolałbym wziąć rekruta z Hendon. Świeżego człowieka – odrzekł po chwili. – Jakies ograniczenia?

– Absolutnie żadnych – stwierdził stanowczo Liddell. – Jeżeli tylko podpisze papierek o tajemnicy. – Uśmiechnął się. – Tutejszy świątek, ze wszystkimi dobrami, należy do pana, inspektorze Black.

– Dziękuję. – Nastąpił dłuższy moment ciszy. Black wyrzał przez brudne okno. Kawalek gazety unosił się w powietrzu, wirując jak blade, pozbawione ciała skrzydło ptaka.

– Jak pan sądzi, uda się? – cicho spytał Liddell. Zmierzył policjanta uważnym spojrzeniem, jak sęp wybierający najlepsze miejsce do wyrwania smakowitego kęsa.

– Złapać Kubę Pedala?

– Tak.

– Czy pan mówi poważnie? – Morris Black nie mógł się już dłużej powstrzymać. – A może tylko przestrzega pan form koniecznych przy tego typu sprawach?

– Jakiego typu sprawach?

– Może jestem w tym nowy, Liddell, ale nie zgłupiałem jeszcze doszczętnie. Pana i pańskich ludzi nie interesuje w najmniejszym stopniu, czy morderca zostanie ujęty i osądzony. Za bardzo zaangażowaliście się we wsadzanie nosa w cudze sprawy.

– Dobry Boże. – Liddell uśmiechnął się. – Cicha woda brzegi rwie.

– Ja tylko chcę pracować w spokoju – stwierdził zimno Black. – I, szczerze mówiąc, nie bardzo sobie wyobrażam, jak mam to robić, zamknięty w miejscu takim jak to zapewne, aby nie podeptać cholernymi, wielkimi buciorami policjanta niewłaściwych palców.

– Proszę mi wierzyć, inspektorze, tu będzie można znaleźć pana równie łatwo jak w Scotland Yardzie. Wierzy mi pan czy nie, wszystko, co wcześniej powiedziałem to prawda. Szansa, że doprowadzi pan śledztwo do pomyślnego końca – pomyślnego tak dla pana, jak i dla mnie – zostałaaby znacznie zmniejszona, a prawdopodobnie wręcz zniweczona całkowicie, gdyby pozostał pan w Yardzie. – Liddell poważnie spojrzał na Blacka. – Zapewniam, inspektorze Black, że to wszystko jest także i dla pana dobra.

- Pańskie zapewnienia nie gwarantują mi swobody działania.
  - W obecnych czasach, inspektorze, nikt z nas nie ma w niczym wolnej ręki. Wie pan o tym równie dobrze, jak ja. – Liddell przerwał. – I nadal nie odpowiedział pan na moje pytanie.
  - Dotyczące szans na złapanie Kuby Pedala?
  - Tak. Czy uda się panu tego dokonać?
- Black pomyślał, potem kiwnął głową.
- Tak, tak sądzę. – Ze zdziwieniem skonstatował, że właściwie nigdy nie rozważał na serio ewentualności porażki. Spojrzał na Liddella. – Ja też mam kilka pytań, na które chciałbym uzyskać odpowiedź...
  - Wszystko w swoim czasie.
  - Cholerna głupota.
- Liddell lekko poklepał Blacka po ramieniu.
- Witamy w świecie szpiegów i gier strategicznych, inspektorze.

Tego samego wieczoru o siódmej trzydzięci, Katherine Louise Copeland opuściła redakcję „Washington Times Herald” i wsiadła do ciemnoniebieskiego lincolna, czekającego na nią przy krawężniku. Wielki amerykański wóz z przysłoniętymi reflektorami był niemal niewidoczny, kiedy przemykał cicho przez Trafalgar Square. Kierowca prowadził ostrożnie. Wycieraczki poruszały się tam i z powrotem w monotonną regularnością.

W taką noc po ulicach nie kręciło się zbyt wielu ludzi. Jednakże zarządzenia dotyczące zaciemnienia, które weszły w życie mniej więcej rok temu, spowodowały w Londynie chyba więcej wypadków śmiertelnych niż naloty Luftwaffe, toteż ambasada Stanów Zjednoczonych nie mogła pozwolić, aby jej samochód stał się przyczyną jakiegoś karambolu.

Kierowca poprowadził lincolna dookoła Trafalgar Square, po czym skierował się na zachód wzdłuż Pall Mall, aż w końcu dotarł na Upper Grosvenor Street. Cała podróż zajęła zaledwie dziesięć minut. Katherine wysiadła przed numerem 47, dziewiętnastowiecznym budynkiem o skromnej kamiennej fasadzie. Jak i kilka innych domów w Mayfair, należał on do rządu Stanów Zjednoczonych, chociaż nie stanowił części ambasady.

Na dźwięk dzwonka pojawił się sztywny młody człowiek, który co prawda nosił cywilne ubranie, ale włosy ostrzyżone miał na wojskową modłę. Katherine oddała mu płaszcz i szerokim, wyłożonym dywanami korytarzem podążyła do salonu. Wielki pokój oświetlało sześć lampek porozstawianych tu i tam, na małych stolikach. Równie beładnie rozmieszczono pozostałe meble – pokryte skórą krzesła, sofy i otomany.

Na ścianach wisały obrazy w ozdobnych ramach, duże i małe, sprawiające wrażenie kompletnego chaosu. Całość stanowiła dziwaczne i kiepsko wykonane naśladownictwo angielskiego saloniku z kart ilustrowanego czasopisma.

Elektryczny piecyk jarzył się jaskrawą czerwieńią we wnętrzu wielkiego marmurowego kominka, przy którym grał się wysoki, ubrany w wieczorowy strój

mężczyzna o jastrzębiej twarzy. Człowiek ten nazywał się Lawrence Bingham. Oficjalnie pełnił funkcję pierwszego sekretarza w mieszczącej się przy Grosvenor Square ambasadzie. W rzeczywistości był szefem londyńskich agentów raczkującego jeszcze wywiadu, który później stał się Biurem Służb Strategicznych pod wszechwładnym kierownictwem generała Williama J. „Dzikiego Billa” Donovana. Kiedy Katherine Copeland weszła do pokoju, Bingham odwrócił się w jej stronę.

– Kat. – Jego głos był suchy jak stare liście, jak szorstki papier ścierny od zbyt wielu wypalonych papierosów.

– Larry. – Nienawidził tego zdrobnienia i dlatego właśnie go użyła.

– Nawiązałaś kontakt?

– Tak.

– Gdzie? Kiedy?

– Wczoraj. W pociągu do Cambridge.

– Jak poszło?

Katherine wzruszyła ramionami.

– Chyba dobrze. Nie naciskałam za bardzo. On nie jest głupi.

– Nie mamy zbyt wiele czasu.

– Wiem. Ale powtarzam, Larry, że inspektor Black nie jest głupi. Jeśli zaczęła działać zbyt nachalnie, zważa pismo nosem. Przecież to gliniarz.

– Czy możesz zaaranżować następne spotkanie?

– To nie będzie trudne. Wynajęłam pokoje na Shepherd Street, niedaleko od jego domu. W okolicy mieszka wielu dziennikarzy, więc nie powinien niczego podejrzewać. Nie ma strachu, Larry. Wpadniemy na siebie wcześniej czy później.

– Lepiej wcześniej. To może okazać się ważne. – Bingham odwrócił się znowu do elektrycznego kominka, wyciągając ręce nad paleniskiem.

– Wiem o tym – rzuciła w stronę pleców rozmówcy.

– Boże! – zamruczał Bingham, rozcierając dłonie. – Dlaczego w tym cholernym kraju jest tak zimno?

Numer stał, trzymając się mocno skórzanego uchwyty. Wagon linii Bakerloo pędził na południe, w stronę Piccadilly. Drugą dłoń mężczyzna zanurzył w kieszeni przeciwdeszczowego płaszcza. Jej palce zaciskały się na chłodnym, niosącym ukojenie przedmiocie.

Stał, chociaż przedział był o tej porze prawie pusty. Patrzył tępo na reklamy, podczas gdy język, sekretne liczydło, wystukiwał liczbę świateł migających przy ścianach tunelu.

To wszystko stanowiło część liczenia mówiącego mu, że za kilka sekund znajdują się wreszcie na Piccadilly, mimo opóźnień i przystanków na trasie z Dollis Hill i Hampstead.

Numer uśmiechnął się. Nieważne, jak piętrzyły się przeszkody, zawsze pozostawało liczenie. Jego magiczna tarcza i śpiewający miecz przeciwko czarnym,

kłębiącym się mocom zniszczenia. Dziś wieczorem był Prometeuszem. Pragnął sięgnąć po ogień i żadna siła nie mogła go zatrzymać.

Pociąg zwolnił i zatrzeszczał, a wreszcie z hałasem zatrzymał się na Piccadilly Station. Numer wysiadł. Trafił na niesamowitą, choć znajomą scenę.

Peron pokrywała szepcząca masa ludzkich ciał. Kobiety i mężczyźni w różnym wieku leżeli na kocach i dywanikach. Niektórzy spali, inni cicho rozmawiali, a jeszcze inni wpatrywali się niemo w sufit. Mężczyźni podłożyli pod głowy zwinięte marynarki. Kobiety nie próbowały się rozbierać. Kiepska jakość odzieży tych ludzi wskazywała, że pochodzą z East Endu.

Jakiś chłopiec nalewał dla matki herbatę z termosu, tuż obok niego mężczyzna w pokrzwionym fartuchu rzeźnika usiłował czytać gazetę przy elektrycznej latarce. Młodsze dzieci spały, przyciskając do piersi ulubione zabawki. Małe twarzyczki w świetle dworcowych lamp wydawały się szare i zapadnięte.

Upał niemal obezwładniał, a stężony odór ludzkich odchodów wypełniał nieruchome powietrze. Wszędzie unosił się smród ciał ściśniętych na zbyt małej przestrzeni. Na obu końcach peronu rozstawiono parawany. Umieszczone za nimi wiadra zaczęły się przepelniać już wiele godzin wcześniej. Teraz gęsty gnój upstrzony kawalkami podartych gazet wyciekał spoza osłon tych prowizorycznych toalet.

Dziewczynka w wieku dziesięciu czy jedenastu lat, nie mogąc zmusić się do skorzystania z zastępczej ubikacji przebiegła po schodach prowadzących w głąb tunelu i przykucnęła w ciemnościach z powiekami zaciśniętymi z zakłopotania. Ktoś kaszlał, ktoś jęczał, ktoś chrapał. Dzieci żałośnie popłakiwały. To był ryzostok.

Uradowany tym widokiem Numer ostrożnie torował sobie drogę do ruchomych schodów. Na stopniach także spali ludzie. Elektryczne zasilanie zostało wyłączone na noc.

Zaczął się wspinać, licząc stopnie i przymocowane do ściany reklamy, aż w końcu dotarł do dużego, okrągłego budynku górnej stacji. Tutaj tłoczyli się uciekinierzy, którzy przybyli zbyt późno, aby dostać się do bezpiecznych tuneli na dole. Kulili się dookoła automatów do wydawania biletów i pod pustymi kasami. Pojedyncza bomba, pożar, zwykła panika i tysiące dusz uleci do nieba.

Licząc każde stąpanię, Numer wydostał się w końcu na ulicę. Tu zatrzymał się na chwilę, postawił kołnierz cienkiego płaszcza w obronie przez przenikliwym wiatrem i zacinającym deszczem i wciągnął głęboko powietrze. Pragnął pozbyć się wspomnienia smrodu przenikającego podziemia stacji.

Piccadilly Circus wyglądał jak własne widmo. W zapadającym zmroku wielkie reklamy piwa i wódki czerniały jak szkielety przychepione do murów. Jakiś omnibus przejechał z hałasem – ciemne okienka, zakryte światła, ledwo widoczne w mżącym deszczu.

Na środku placu stała statua Erosa mierzącego z łuku w stronę Shaftesbury Avenue. Od ostatniego sylwestra posąg przykrywała gigantyczna płachta. Numer uśmiechnął się znowu; następne ich kłamstwo. Wiedział, że płachta zasłania tylko sztywną metalową ramę. Rzeźba już dawno temu została schowana dla bezpieczeństwa. Wszystko jest złudzeniem.

Spojrzał w górę na stalowe niebo. Deszcz ściekał mu po okularach i moczył gładko wygolone policzki. Puls i język, postukujące palce i bijące serce mówiły prawdę. Musiał to wiedzieć. Prawie nadszedł czas. Napluje w rozwarte szczęki śmierci, kiedy Dwunasty Klucz obróci się i znowu ożyje. Odetchnął głęboko. Wspomnienia krążyły dookoła niego jak muchy wokół trupa. Taki piękny dzień, tak dawno temu.

Kłęczał wówczas w ciemnym lasku, który rósł nieopodal kaplicy w Stanmer Woods. Kłęczał nad sztywnym, drobnym ciałem małego chłopca. Trzymał szczupłą, gładką szyję, przyciskał nos, oczy i usta do więdnącego mchu i zeschniętych jesiennych liści. Strach i gorejący ból powoli znikwały.

W końcu znaleźli to dziecko. Poszukiwania trwały wiele dni. Brali w nich udział wszyscy chłopcy ze szkoły. Użyto psów.



# Rozdział dziesiąty

SOBOTA, 14 WRZEŚNIA 1940 ROKU

## 9. 30 BRYTYJSKIEGO CZASU LETNIEGO

Zgodnie z tym, co obiecał, Liddell niemal natychmiast zarządził sprzątanie pokoi na czwartym piętrze domu przy Kensington Park Gardens 6-7. Większą część sobotniego poranka Morris Black spędził nadzorując rozmieszczanie paskudnego zestawu mebli odziedziczonych po Dziale Administracji. W pewnym momencie stwierdził, że podobają mu się prace porządkowe. Stanowiły przyjemną odmianę po monotonii dnia pracy w Yardzie i utrzymywały myśli z dala od stale bolesnych wspomnień przeszłości.

Poprzedniego popołudnia inspektor udał się do tajnego archiwum, gdzie spędził frustrującą godzinę, przesiewając dane młodych ludzi z pobliskiej szkoły policyjnej w Hendon. Nie było zbyt wielkiego wyboru. Wiadomo – wojna. W rezultacie tylko jedna osoba wydała się Blackowi odpowiednia – posterunkowy Swift, Simon George, dwadzieścia trzy lata, kawaler. Mając nadzieję, że dobrze wybrał, Black zadzwonił do Hendon i poprosił, aby Swift został do niego przysłany następnego dnia.

Wezwany pojawił się nazajutrz po południu. Ubrany był po cywilnemu, jak prosił Black, dzięki czemu przypominał raczej agenta ubezpieczeniowego.

Niewysoki, zaledwie o kilka centymetrów przekraczający regulaminowe minimum, przedwcześnie postarzały, z pierścieniem jasnobrązowych włosów wokół łysiny i okrągłą rumianą twarzą. Osadzone na długim, wąskim nosie okulary powiększały jeszcze wielkie, jasnoniebieskie oczy, a wystający brzuszek wydawał się należeć do jakiegoś pięćdziesięciolatka. Kiedy pojawił się w drzwiach biura, Black zauważył, że jego nowy współpracownik stąpa jakoś dziwnie, jakby ciągnął prawą nogę za resztą ciała.

- Posterunkowy Swift?
- Tak jest, sir.
- Proszę usiąść.
- Tak jest, sir.

Black ustawił wielkie, ciężkie biurko pośrodku pokoju. W ten sposób za plecami miał okno. Swift usadowił się na twardym krześle naprzeciw inspektora, po czym za pomocą obu rąk poprawił położenie prawej nogi. Kiedy stopa opadła na podłogę, rozległo się głuchoe stuknięcie. Black spojrział w rozłożone na biurku akta.

– Dunkierka?

– Tak jest, sir.

– Co się stało?

– Małe miasteczko, Arques, sir. Trochę marudziliśmy, obawiam się. Zostaliśmy w tyle, żeby pomóc cywilom usiłującym dostać się do plaży. Weszliśmy wprost na wysuniętą jednostkę niemiecką. – Ton Swifta był kompletnie beznamiętny. Równie dobrze policjant mógł podawać rozkład jazdy autobusów.

– I tam właśnie został pan ranny?

– Tak jest, sir. Oddzieliłem się od grupy. Wszedłem wprost na jednego z nich.

– Niemca?

– Tak jest, sir. Przestraszonego tak samo jak ja. Nie mógł mieć więcej niż dziewiętnaście, dwadzieścia lat. Nawet nie przygotował broni do strzału. Po prostu minąłem róg i stanęliśmy naprzeciwko siebie. Jestem zupełnie pewien, że przypadkowo nacisnął spust.

– I co stało się później?

– Odstrzelił mi stopę. Prawą.

– A co pan zrobił?

– Upadłem, sir.

– A co z Niemcem?

– Złapałem go.

– I?

– Zabiłem, sir. Nie miałem wyboru. On albo ja.

– W jaki sposób pan go zabił?

Swift wzruszył ramionami. Jego dłonie lekko poruszyły się.

– Uduśliłem go, sir. Nie było czasu na nic innego.

– Potem udało się panu dołączyć do pańskiej jednostki?

– Tak, sir. To był trzeci czerwca. Następnego dnia ewakuowano nas. Spędziłem około miesiąca w szpitalu, gdzie dali mi protezę.

– I zdecydował się pan na Hendon?

– Miałem do wyboru to albo rentę, sir. Lubię pracować.

– W pana aktach czytam, że biegle pisze pan na maszynie.

– Tak jest, sir. – Swift uśmiechnął się. – Zanim wstąpiłem do policji pracowałem jako sprzedawca, sir. Pisanie na maszynie należało do moich obowiązków.

– Sprzedawca, żołnierz, a teraz detektyw? – To jedyna sekcja w Hendon, która nadal działa. I nie trzeba być sprinterem, żeby wykrywać przestępstwa, sir. Wydawało mi się, że to dobry pomysł na życie. Wszystko starannie rozważyłem, sir.

– Czy orientuje się pan, nad czym tu teraz pracujemy?

– Wiem tyle, ile mi powiedziano.

– To znaczy?

– Szuka pan mordercy. Wielokrotnego. Coś w tej sprawie nie gra, ale nikt nie wie co. Mówi się, że to szpieg albo jakiś dotknięty obłędem kumpel Winstona.

– Wierzy pan w to? – Ludzie, którzy wierzą w plotki zwykle też sami je rozpowszechniają.

– Specjalnie się nad tym nie zastanawiałem, sir. Naprawdę wiem tylko tyle, że sprawa nie może przedostać się do publicznej wiadomości. – Swift zrobił przerwę. – I że jest ważna. – Ostatnie słowa zabrzmiały prawie jak pytanie, a wielkie oczy za szklami okularów przymknęły się.

– Tak, ważna. I dlatego potrzebuję asystenta. – Black zapalił papierosa. Podsunął paczkę Swiftowi, lecz ten uprzejmie odmówił. – Umie pan prowadzić?

Policjant skinął głową.

– Tak, sir. Mam co prawda nieco ciężką prawą stopę, ale całkiem dobrze sobie radzę.

– W porządku. – Black uśmiechnął się. – Proponuję panu współpracę. Może się pan urządzić w pokoju obok. I załatw nam jakiś samochód, dobrze?

Młody człowiek podniósł się z krzesła. Skurcz bólu na moment ściągnął mu twarz. Bólu, który będzie go nękał przez resztę życia, pomyślał Black, gdy Swift kierował się w stronę drzwi.

– Nie wolno panu z nikim rozmawiać, o tym, co się tu dzieje. Z dziewczyną, rodziną, przyjaciółmi.

– Nie mam teraz dziewczyny. A moi rodzice trzy lata temu wyemigrowali do Australii. – Przyjaciele, jak się zdawało, także nie wchodzili w grę.

– W porządku, Simon. Kiedy podpisze pan zobowiązanie do zachowania tajemnicy państwowej przekażę panu wszystkie szczegóły. A potem zabierzemy się do pracy.

– Już podpisałem, sir. Nalegali na dole... Inspektorze Black?

– Tak.

– Wolałbym, żeby zwracał się pan do mnie po nazwisku, sir, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Nigdy nie lubiłem imienia Simon.

– W porządku.

– Dziękuję, sir. – Młody człowiek uśmiechnął się lekko. – Jestem pewien, że kiedy dowiem się już szczegółów, sprawa bardzo mnie zainteresuje. – Skinął energicznie głową i wyszedł z pokoju.

Black oparł się wygodnie i patrzył w przestrzeń, rozmyślając o swoim nowym asystencie. Kłęby dymu z papierosa snuły się szarymi smugami po niskim pokoju. Swift wyglądał na człowieka dryfującego przez życie bez kompasu, bez celu. Jego świat zmienił się w koszmar od chwili, kiedy policjant gołymi rękami zabił młodego Niemca. Black znał to poczucie, że nic już nigdy nie może być takie jak dawniej. Smutni ludzie w smutnym świecie, a nadchodziły coraz smutniejsze czasy.

Inspektor pozwolił sobie na luksus jeszcze paru minut zadumy. Potem usiadł prosto i sięgnął po świeżo zainstalowany na biurku telefon. Otrzymał *carte blanche* w związku ze śledztwem. Nadszedł czas, aby sprawdzić, na ile jest samodzielny. Telefon zadzwonił głośno, zanim Black zdążył go dotknąć. Inspektor drgnął, zdziwiony i podniósł słuchawkę.

- Słucham?
  - Black?
- To był Liddell.

Ubrany, na wszelki wypadek w mundur kapitana Korpusu Medycznego i uzbrojony w przepustkę „niezbędnych służb” przyczepioną do przedniej szyby, doktor Charles Tennant prowadził ciemnego bentleya główną autostradą na zachód w kierunku Maidenhead. W okolicach Colnbrook zatrzymał się na krótki posiłek. Dalej już jechał bez postojów, dopóki nie dotarł do Burnham Beeches.

Tuż za małą stacją kolejową skręcił na południe. Stąd wąska, wyboista droga wśród lasów i farm wiodła aż do Thames at Queen’s Eyot.

Dotarłszy na miejsce, Tennant otworzył staroświecką bramę. Obrośnięta gęstymi krzewami droga biegła do drzwi skromnego, wzniesionego z cegieł domu. Był to Rooksnest, wiejska posiadłość doktora.

Dom sprawiał wrażenie przytulne i miłe. Piętrowy, pokryty łupkowym dachem, miał okna osłonięte białymi okiennicami. Jasne mury porastała sieć bluszczu.

Pomiędzy kamiennymi płytami wiodącymi do głównych drzwi pleniły się chwasty, a wąskimi klombami zawładnęła wybujająca trawa i dzikie róże.

Na lewo od budynku rozciągał się sad, gdzie rosły stare jabłonie. Wysoki żywopłot prowadził do rzeczki, odległej o jakieś sześćset metrów. Dawne pole do gry w krykieta zmieniło się w malowniczą, bujną łąkę.

Posiadłość, ongiś elegancka, nosiła wyraźne piętno zaniedbania, chociaż trudno ją było uznać za całkowicie porzuconą. O to właśnie chodziło doktorowi.

Tennant wyciągnął torbę z bentleya i ruszył w stronę domu. Zatrzymał się na chwilę, aby sprawdzić urządzenia zabezpieczające, które umieścił tu podczas ostatnich odwiedzin. Zadowolony, z wyniku oględzin, przekreślił klucz w zamku i wszedł do środka.

Drzwi po lewej stronie korytarza prowadziły do saloniku, a po prawej – do jadalni. Oba pokoje o niskich sufitach i tynkowanych ścianach, odznaczały się skromnym, prostym wystrojem. Na tyłach domu znajdowała się kuchnia z oknami wychodzącymi na rzekę, a tuż obok, spiżarnia i zmywalnia z wyjściem do ogródka.

Wąskie schody wiodły na piętro, gdzie mieściły się trzy małe sypialnie, z których tylko jedna została urządzona. Drabina z przeciwwagą pozwalała dostać się na strych, pusty poza kilkoma kuframi i paroma sztukami mebli pozostawionymi tu przez poprzedniego właściciela.

Tennant zaniósł torbę do sypialni, gdzie przebrał się w ciemne spodnie, grube wełniane skarpety i ciemnoniebieski golf. W kuchni odnalazł znoszone wellingtony, nałożył je i wyszedł tylnymi drzwiami. Pogwizdując cicho, dotarł do małego doku na wybrzeżu, gdzie cumowała łódź o nazwie *Sandpiper*.

Sporych rozmiarów żaglówkę z motorem Tennant nabył przy okazji kupna posiadłości. Łódź idealnie nadawała się do jego celów. *Sandpiper* miał pokrycie z oregońskiej sosny, a pokład z birmańskiego drzewa tekowego. Płytki kil wyko-

nano z angielskiego wiązu, ster z dębu, zaś oryginalny pojedynczy maszt i bom z norweskiego świerku.

W kabinie żaglówki mieściły się dwie małe koje. Pod pokładem znajdowała się też niewielka kuchenka i toaleta. Silnik o mocy trzech koni mechanicznych mógł bez szczególnego trudu i hałasu rozwinąć szybkość do sześciu węzłów, a w razie wyjątkowej konieczności nawet do dziesięciu.

Jedyną poważną zmianą, jaką wprowadził Tennant, było zlikwidowanie świerkowego masztu, na którego miejsce zamontowano dużo lżejszy, choć tej samej wysokości. Olinowanie, niegdyś konopne, zastąpił stalowy drut zwykle używany w przypadku o wiele większych jednostek.

Najbardziej wprawne oko nie dostrzegłoby natomiast prawie niewidocznych przewodów łączących olinowanie z masztem, a maszt z kablem zasilającym z silnika i akumulatora.

Ponieważ początkowo trasa prowadziła w dół rzeki, Tennant podniósł tylko fok, zostawiając zwinięty grotżagiel. Umocował liny na całej łodzi. Potem zszedł na dół, włączył silnik i zasiadł na drewnianym krzeselku obok małego koła sterowego. Zwrócił *Sandpipera* tak, aby żaglówka płynęła z prądem, gdy lekka bryza napięła trójkątny żagiel, oparł się spokojnie o burtę i przybrał pozę zwykłego niedzielnego żeglarza oddającego się przyjemnościom popołudniowej przejażdżki po Tamizie.

Sprawdził godzinę, uśmiechnął się sam do siebie, wreszcie zapalił papierosa. Wszystko przebiegało zgodnie z harmonogramem.

Od wczorajszego spotkania z Joan Miller doktor zdołał zebrać wiele dodatkowych informacji. Przede wszystkim zadzwonił do Georga Smitha ze Służb Specjalnych i umówił się z nim na obiad. Kilka szklaneczek szkockiej oraz wyjątkowo droga i smaczna pieczeń jagnięca w Carltonie rozwiązały język małemu, pedantycznemu człowieczkowi.

Doktor dowiedział się, że jak dotąd chodzi o trzy morderstwa, dwa w Londynie i jedno w Portsmouth. Smith nie był pewien szczegółów, ale wszystkie te zgony były ze sobą powiązane, a sprawca orientował się, że miejsce zbrodni stanie się celem najbliższego nalotu.

Dochodzenie w sprawie dwóch pierwszych morderstw zostało powierzone inspektorowi Morrisowi Blackowi. Potem jednak Black otrzymał nagle bezterminowe zwolnienie z dotychczasowych obowiązków w Yardzie, a wszystkie akta dotyczące sprawy zostały dyskretnie wycofane z Centralnego Archiwum i biura koronera. Krążyły plotki, że ten „Żydek”, jak nazywał inspektora Smith, pracuje teraz w MI5 u dawnego oficera Służb Specjalnych, niejakiego Liddella.

Liddell rzecz jasna miał powiązania z Maxwellem Knightem, ale Tennant słyszał już wcześniej to nazwisko, chociaż nie od Joan Miller. Inny jego pacjent, przyjaciel jednego z młodych Rothschildów, pewnego razu spędził całą sesję na omawianiu zabaw wesołej grupy wynajmującej apartament na Bentinck Street w Bloomsbury.

Wielkie, trzypoziomowe mieszkanie zostało wynajęte pewnemu historykowi sztuki z Cambridge, który miał zwyczaj urządzać przyjęcia z udziałem osób o re-

wolucyjnych poglądach tak na politykę, jak i na seks. Zgryźliwy pacjent Tennanta widział w nich „przyszłych ministrów, przyszłych honorowych guru ekstremalnej lewicy, przyszłych koneserów sztuki, ulicznice z Eton oraz Bóg-wie-kogo z BBC”.

Wśród gości trafiali się też „cywilni asystenci” Ministerstwa Obrony, co według terminologii obowiązującej w Whitehall, oznaczało agentów MI5 oraz MI6. Do tej właśnie grupy należał Liddell. Małżeństwo Liddella z popularną w towarzystwie Calypso Baring rozpadło się jeszcze przed wojną i wyglądało na to, że kapitan Bentinck Street regularnie szukał pociechy, prowadząc dyskusje o postępkach wojny i ćwicząc grę na wiolonczeli.

Informacja, iż Liddell bywa w miejscu, które pacjent Tennanta opisał jako „skrzyżowanie bolszewickiego klubu i męskiego burdelu dla wyższych sfer”, stanowiła potencjalne źródło szantażu, chociaż w obecnym momencie doktor nie wiedział jeszcze dokładnie, co zrobi z tą wiedzą. Skoro jednak oficer prowadzący dochodzenie w sprawie trzech morderstw został przeniesiony do Liddella, kontakty kapitana nabierały znaczenia.

Liddell przejął pieczę nad śledztwem, zapewne na polecenie Knighta. Oznaczało to, że sprawa nabrała szczególnego znaczenia dla wywiadu. Tak czy siak, ludzie w Hamburgu powinni byli dowiedzieć się o niej tak szybko, jak tylko możliwe.

Po godzinie spokojnego żeglowania Tennant dotarł do służby w Boveney, zapłacił szylinga i przepłynął pod mostem kolejowym, dołączając do rzeszy wioślarzy i żeglarzy, którzy zapragnęli skorzystać z ostatnich ciepłych dni lata.

*Sandpiper* skręcił, przeciął główny nurt i dopłynął do brzegu. Doktor przycumował łódź w pobliżu hotelu Thames, wielkiego budynku naśladowującego styl Tudorów. Z ogródka hotelowej restauracji roztaczał się widok na mury zamku Windsor.

Był to raczej pub niż restauracja w pełnym tego słowa znaczeniu. Zatrzymywali się tu na lunch żeglarze i pasażerowie turystycznych parowców rzecznych, kursujących na trasie do Maidenhead i Oksfordu. Dwa stateczki stały już przycumowane przy hotelowym molo. Kiedy Tennant usiadł przy zamówionym wcześniej stoliku, trzeci parowiec prześlizgnął się pomiędzy filarami mostu, odległego zaledwie o kilkaset metrów. Doktor zerknął na zegarek. Czwarta. Pora na popołudniową herbatę.

Zamówił butelkę piwa, stek i nerezki w cieście, a potem poprosił o gazetę. Kelner przyniósł mu „Illustrated London News”. Sącząc powoli piwo, Tennant spędził następne czterdzieści pięć minut w ciszy i spokoju. Czytał i patrzył na rzekę. Anglii lada moment groziła klęska. Od tygodnia już Luftwaffe próbowała zetrzeć Londyn z powierzchni ziemi, ale zawartość kolorowego magazynu wydawała się wyjątkowo banalna. Całostronicowa informacja o ćwiczeniach oddziałów rezerwy, recenzja książki o szkołach publicznych i żenujący artykuł Arthura Bryanta, w którym autor szermował mętną metaforą fabryki krzesel, próbując przedstawić niemoralność reżimu nazistowskiego, i na koniec poparty ilustracjami artykuł o owocożernych owadach. Jako groteskowe przerywniki pojawiały się fotografie ciężko pracujących strażaków i zburzonych domów, tuż obok powiększonych wizerunków przewodu pokarmowe-

go i innych narzędzi owadów. Szalone pomysły Lewisa Carrolla widziane oczami Gustawa Doré.

Psychiatra uśmiechnął się do własnych myśli i odłożył magazyn na stół. Ciekawe, czy Guy Liddell, wiolonczelista, oficer MI5 i przyjaciel w jednej osobie, miał coś wspólnego z Alicją Liddell, pod wpływem której Carrall stworzył rzeczywistość „po drugiej stronie lustra”. Tennant powiódł wzrokiem po roztańczającej się wokół łagodnej scenerii letniego popołudnia. Cudowny świat, doprawdy, i wystarczająco naiwny, aby stanowić stosowne tło dla którejkolwiek z niewinnych dziecięcych bajeczek. Albo dla pracy asa wywiadu Rzeszy Niemieckiej.

Zapłacił za posiłek i wrócił na łódź. Odcumował, zapalił silnik i ruszył z powrotem w stronę śluzy Boveney. Kilka parowców oraz trzy czy cztery mniejsze łodzie czekały cierpliwie, aż słuzowy skończy pić popołudniową herbatę. Manewrując z wprawą, doktor zajął miejsce na końcu kolejki i wyłączył silnik. Miał przed sobą co najmniej dwadzieścia minut przymusowego postoju. Wystarczy w zupełności.

Przywiązał tylną cumę *Sandpipera* do kółka na murze śluzy i wślizgnął się do małej kabiny. Tuż przy wejściu znajdowała się maleńka kuchenka, obok niej para pokrytych skórą ławeczek, i mały stół pomiędzy nimi. W żaluzjowej szafce, oddzielającej kuchnię od salonu, stał na półce odbiornik radiowy ze słuchawkami. Pod półką mieściła się spora szuflada.

Trzeba było się spieszyć. Tennant przysiadł na ławeczce, otworzył żaluzjowe drzwiczki i wyciągnął słuchawki. Zdjął obie przykrywkę, odsłaniając wnętrze małych głośników. Wykręcił śruby i uwolnił przewody, po czym odłożył słuchawki na bok i otworzył szufladę.

Wypełniały ją różne rupiecie, które mogły się zawsze przydać w czasie rejsu. Stary przełącznik, postrzępione, poplamione resztki instrukcji obsługi radia, ogryzek ołówka, zepsuta pułapka na myszy, kilka drutów, zardzewiały nóż do masła bez rączki, kawałek sprężyny, i części starego budzika, słowem nic, co budziłoby podejrzenia nawet najbardziej dociekliwego policjanta. Tennant nie spodziewał się rewizji. Uważał jednak, że ostrożność nigdy nie zaszkodzi.

Wyjął z szuflady przełącznik, sprężynę oraz nóż do masła i położył je koło radia. Jeden z końców przewodu owinał dookoła nakrętki kontaktowej, umieścił nóż i sprężynę pod metalową częścią przełącznika i połączył drugi przewód od słuchawek z metalową rączką noża. Urządzenie wyglądało może nieco dziwnie, ale stanowiło doskonały klucz telegraficzny.

Radiodbiornik na *Sandpiperze* podłączony został już dawno do radiostacji Telefunkena, ukrytej pomiędzy podłogą kabiny a zębą.

Radiostację zasiliał specjalny akumulator, natomiast założony przez Tennanta maszt stanowił świetną antenę, z której sygnał łatwo docierał do prywatnej kwatery Heydricha w Hamburgu. Ponieważ Tennant nadawał meldunki żeglując po rzece, nie mogły mu zagrozić najbardziej nawet wyszukane urządzenia radiolokacyjne, stosowane przez wywiad powietrzny RAF, który, jak doktor doskonale



wiedział, wraz z całym MI6 miał siedzibę przy Broadway Buildings 55 w Londynie oraz zaanektował wielki wiktoriański pałac w Bletchley Park.

Tennant zdjął z ręki zegarek i odkręcił osłonę kryjącą stoper. Potem włączył radio, co spowodowało uruchomienie ukrytego nadajnika, i zaczął nadawać. Najpierw krótki sygnał identyfikujący, wreszcie meldunek.

Już prawie pół godziny Morris Black podążał za Liddellem przez labirynt biegnących pod ulicami i budynkami dzielnicy Westminster przejść i korytarzy. Ta dziwaczna podziemna wędrówka nasunęła inspektorowi myśl o Alicji w krainie czarów. Wyruszyli ze stacji metra przy Broadway Buildings, jednak wkrótce potem Black zupełnie stracił orientację, w którym kierunku zmierzają. Liddell jak zwykle milczał. Z bardzo daleka dobiegał przytłumiony dźwięk syren oznajmiających pierwszy wieczorny nalot.

W końcu dotarli do nieoznaczonych drzwi. Za nimi ciągnął się wąski, kiepsko oświetlony korytarz, skąd w górę wiodły spiralnie żelazne schodki. Wspięli się po nich i znaleźli przed kolejnymi tajemniczymi drzwiami. Liddell nacisnął klamkę. Pomieszczenie, do którego weszli przypominało przedpokój zwyczajnego mieszkania. Na podłodze leżał dywanik we wschodnim stylu. Obrazy przedstawiające najślawniejsze morskie bitwy zdobiły ściany.

– Gdzie właściwie jesteśmy? – spytał w końcu Black, zmęczony dziwną wędrówką.

– W piwnicy numeru 10 – odpowiedział spokojnie Liddell. – Chodźmy, inspektorze, nie wolno nam się spóźnić. – Black nerwowo zamrugał. Numer 10 to przecież Downing Street, rezydencja premiera. Mój Boże, o co tu naprawdę chodzi?

Tymczasem nowy przełożony Blacka, zapukał i, nie czekając na odpowiedź otworzył drzwi. Pokój, w którym się znaleźli, był wielki, ale niski i ciemny. Jedyne źródło światła stanowił rząd żaróweczek wokół olbrzymiej wypełniającej całą ścianę mapy oraz kilka lampek biurowych, rozstawionych na masywnym, kwadratowym stole. Mapę zasłaniała długa aż do podłogi, czarna kotara.

Przy stole zaopatrzonym w aparaty telefoniczne – czerwony, biały i czarny, siedzieli czterej mężczyźni. Trzech z nich miało na sobie mundury. Wygodne krzesło z poręczami, ustawione u szczytu stołu, tyłem do zasłoniętej mapy, było puste.

Liddell wskazał Blackowi miejsce i sam usiadł po jego lewej ręce. Jęk syren mieszał się teraz z hukiem wybuchających bomb. Jednak nikt z zebranych nie zdawał się zwracać na to uwagi. Liddell przedstawił obecnych.

Przy dalszym końcu stołu siedział Stewart Menzies, szef wywiadu służb specjalnych (MI6), przysadzisty, ciemnowłosy mężczyzna koło pięćdziesiątki. Odznaczał się ponurą miną i sumiastymi wąsami doskonale pasującymi do munduru pułkownika. Po prawej ręce Menziesa, niedaleko Liddella zajmował miejsce dowódca dywizjonu Frederick Winterbotham, szef Działu Naukowego służb specjalnych, a obok niego, przystojny, może nieco zbyt szczupły komandor Alastair Denniston, kierujący tak zwaną Rządową Szkołą Szyfrów i Kodów. Ubrany po cywilnemu jasnowłosy mężczyzna z wąsami okazał się być majorem Desmon-



dem Mortonem, osobistym sekretarzem premiera i od niedawna dowódcą Centrum Wywiadu Przemysłowego, o którym, podobnie jak i o Szkole Szyfrów i Kodów, Black nigdy dotąd nie słyszał.

Słuchając słów Liddella, inspektor pomyślał, że podobna koszmarnemu snowi wędrówka przez podziemne korytarze przywiodła go do świata duchów i ciemni, na ukryty Olimp, skąd rządili bogowie wojny, których twarzy i nazwisk nie znali ludzie żyjący na powierzchni ziemi. Każde z tych bóstw mogło zniszczyć karierę Blacka, a może nawet i życie, jednym skinięciem głowy czy ruchem pióra po papierze.

– Inspektorze Black, witamy – odezwał się Menzies. Jego akcent wskazywał na edukację odebraną w Eton i Sandhurst. Członek starej gwardii, tak polityk, jak i żołnierz.

– Sir.

– Czy kapitan Liddell wspominał, dlaczego chcieliśmy się z panem zobaczyć?

– Nie, sir.

– I sam się pan nie domyślił?

– Przypuszczam, że ma to coś wspólnego z Kubą Pedalem.

Siedzący po prawej stronie inspektora Desmond Morton uśmiechnął się. Black zauważył, że przed sekretarzem premiera stoi żółte drewniane pudełko.

– A, tak, prawda. Tak nazywacie tego faceta. Opuszczone kąciki ust Menziesa uniosły się na chwilę w lekkim uśmiechu.

– Tak jest, sir.

– Sądzę, że powinniśmy wrócić do sprawy – wtrącił się ostro Winterbotham. – Mam jeszcze sporo pracy.

– Jak my wszyscy, panie pułkowniku. Menzies nie dał się wyprowadzić z równowagi. – Ale nie ma powodu się nad tym rozwodzić. Proszę, niech pan zaczyna.

– Jak pan sobie życzy. – Winterbotham obrzucił uważnym spojrzeniem Blacka. – Z relacji kapitana Liddella wynika, że Kuba Pedał popełnił jak dotąd trzy morderstwa.

– O tyłu wiemy. – Inspektor nie widział sensu, żeby zbyt głęboko zagłębiać się w szczegóły na tym etapie gry.

– Rzeczywiście. Wydaje się także, że morderca wie z góry, co będzie celem kolejnych nalotów Luftwaffe.

– Wszystko na to wskazuje. – Black walczył ze sobą, aby utrzymać beznamietny wyraz twarzy. Mój Boże! A więc przecucie go nie myliło. Właśnie owa szczególna wiedza Kubę Pedala stanowiła powód ich zainteresowania.

– To wysoce niepokojące.

– Tak jest, sir. – Słowo *Niepokojące* wydało się Blackowi niezbyt trafnym eufemizmem. Po Londynie grasował szaleniec z morderczymi skłonnościami, któremu nie były obce tajemnice najwyższego dowództwa niemieckiego.

– Niepokojące zwłaszcza dla mnie i pozostałych zebranych przy tym stole, nie wspominając już o premierze – dokończył Winterbotham i spojrzał na siedzącego naprzeciwko Desmonda Mortona.

– Tak? – uprzejmie zainteresował się Black, usiłując nie okazywać zdziwienia.  
– Tak – warknął Winterbotham. – Ten Kuba Pedał ma dostęp do ściśle tajnych informacji. Bardzo chcielibyśmy dowiedzieć się, jak je uzyskuje. W najlepszym przypadku sprawa wiąże się z bardzo poważnymi uchybieniami w systemie bezpieczeństwa... bezpieczeństwa, za które odpowiadam osobiście.

– Och, na miłość boską, Fred, powiedz mu wreszcie – Denniston roześmiał się sucho.

– Pozwólcie mnie – wtrącił się Desmond Morton spokojnym, uprzejmym głosem. Pułkownik Winterbotham mówi o tym, co określamy mianem Boniface albo Ultra.

– Obawiam się, że nadal nie rozumiem – stwierdził Black.

– I nie powinien pan – ciągnął Morton. – Boniface lub Ultra oznaczają wiadomości przesłane do głównej kwatery niemieckiej i z powrotem przy użyciu maszyny kodującej, którą Niemcy nazywają Enigmą. Dzięki wysiłkom ludzi komandora Dennistona udało nam się złamać kody. Kriegsmarine, Wehrmachtu i Luftwaffe.

Black nie mógł dłużej zapanować nad wyrazem twarzy. A więc sprawa sięgała aż tak daleko. Dobry Boże. Puste krzesło obok Mortona nabrało nowego znaczenia. Inspektor niemal ujrzał barczystą postać Churchilla z cygarem zwisającym z kącika ust. Kilka prostych zdań, które przed chwilą wypowiedziano w tym pokoju, zawierało informację wagi państwowej. Ludzie Dennistona zdolali złamać szyfry Niemców. Brytyjski wywiad mógł poznać zawczasu każdy ruch hitlerowców. Niesamowite, ale wydawało się, że Kuba Pedał był równie dobrze poinformowany. Nic dziwnego, że dokonane przez niego zbrodnie wzbudzały taki popłoch.

– Dobry Boże, tak, to prawda – mruknął Morton, sięgając po żółte pudełko. Na chwilę podniósł wzrok na Menziesa, potem znowu spojrzął na Blacka. – Kapitan Liddell jest przekonany, że system tak zwanego przewerbowywania szpiegów nie okazał się wystarczająco skuteczny i w Londynie pozostał co najmniej jeden czynny agent niemieckiego wywiadu. Wydaje się prawdopodobne, że osoba ta nie pracuje dla Abwehry, co z kolei pozwala przypuszczać, że mamy do czynienia z człowiekiem Herr Heydricha z SD. – Morton przerwał na chwilę i zapatrzył się w leżące przed nim pudełko. Wreszcie westchnął. – Otóż, inspektorze Black, jeżeli rzeczywiście istnieje taki agent i jeżeli dowie się on o rozszyfrowaniu kodów Enigmy, a może domyślić się tego za sprawą działalności Kuby Pedała, stracimy szansę na uratowanie kraju. W tej chwili nie wiele dzieli nas od porażki. Jeśli hitlerowcy zmienią system szyfrowania, pozostaniemy bezbronni. – Spojrzął uważnie na Blacka. – Nie ma żadnej co do tego wątpliwości, inspektorze. W momencie, gdy sekret Enigmy wyjdzie na jaw, czy to przez pańskiego Kubę Pedała, czy za sprawą Doktora, którego ściga Liddell, przegramy tę wojnę.

Black poczuł, jak nagle oblewa go zimny pot. To nie był melodramat. Policyjne dochodzenie w sprawie morderstwa mogło zaważyć na dalszych losach wojny.

– W rzeczywistości nie dysponujemy dowodem na istnienie Doktora – włączył się do rozmowy Menzies.

– Chce pan podjąć ryzyko zlekceważenia tej ewentualności? – spytał sucho Morton.

– Już podjęliśmy olbrzymie ryzyko, wprowadzając w tajemnicze wagi państwowej inspektora ze Scotland Yardu – mruknął Winterbotham. – Osobisty sekretarz Churchilla nie zna prawdy o Enigmie. Nawet król nic o tym nie wie.

– Ktoś jednak wie – stwierdził spokojnie Liddell, po raz pierwszy zabierając głos. – Kuba Pedał stanowi dowód na istnienie przecieku.

– Być może – nadal oponował Menzies – to czysty przypadek.

– Szczerze mówiąc, wątpię. – Morton otworzył żółte pudełko i wyjął stamtąd cieniutki kawałek bibułki, którą wręczył Blackowi. – Co pan o tym myśli, inspektorze?

Kartka zawierała tajemniczą kombinację różnych cyfr i liter. Pod symbolem meldunku umieszczono znak „ZZZZ”.

– To, co trzyma pan w rękach – ciągnął Morton – stanowi oryginalny tekst informacji o nalocie, który właśnie trwa nad naszymi głowami. Mowa tu o wysokości pułapu dla bombowców. Pierwszy meldunek, zawierający dokładną liczbę samolotów i wyszczególnienie ich celów, został przejęty kilka godzin wcześniej.

– A poczwórne „Z” u góry strony... – Black z trudem hamował podniecenie.

– To nasz własny system oznaczania stopnia ważności przejętych informacji – powiedział Denniston. – Jedno „Z” dla błahych, ogólnikowych meldunków, dwa dla ważniejszych i tak dalej.

– Sygnał zarządzający inwazję otrzymałby symbol pięcioliterowy – wtrącił się Morton. – Jak dotąd używaliśmy tylko czterech znaków.

– Użycie przez Kubę Pedała litery Z stanowiło dla nas pierwszą wskazówkę – dodał Liddell.

– Niemcy tego oznakowania nie stosują? – spytał Black.

– Nie – krótko odpowiedział Menzies.

Wnioski nasuwały się same.

– A więc Kuba Pedał czerpie swoje informacje z naszych źródeł.

– I właśnie w tym problem.

Nastąpiła długa przerwa. Black oddał bibułkę Mortonowi, który schował ją starannie do żółtego pudełka. Wszyscy przy stole obserwowali inspektora, czekając na jego decyzję. Wybór należał do niego – przyjąć wyzwanie albo wycofać się. Black zdawał sobie sprawę, że ma do czynienia z zinnymi, zdolnymi do wszystkiego ludźmi. Był dla nich niczym więcej, jak tylko pionkiem na szachownicy, użytecznym przy ataku, ale również odpowiednim, by go poświęcić, gdyby gra tego wymagała. Czy powinien zaryzykować? Wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze. Jeżeli chcą od niego tak wiele, to i jego żądania muszą być odpowiednio kategoryczne.

– Muszę wiedzieć wszystko – odezwał się w końcu. – Potrzebna mi lista osób, które znają treść tej informacji. Muszę mieć także upoważnienie do przesłuchania wszystkich z tej listy. Bez wyjątków. – Oparł się wygodnie, czekając na odpowiedź.

– Absurd! – warknął Winterbotham. – To zrukuje cały system bezpieczeństwa.

– Obawiam się, że to jedyny sposób – odpowiedział Black, usiłując zachować spokój. Wiedział, że stąpa po grząskim gruncie. – I jeszcze jedno. Mój asystent musi się dowiedzieć o sprawie, przynajmniej w ogólnych zarysach.

Nastąpiła kolejna długa przerwa. W końcu Desmond Morton przerwał lodowate milczenie.

– On ma rację. Dajcie mu to, czego chce.

Morris Black poczuł nagły przypływ radości. Niemal natychmiast jednak powrócił strach. Inspektor zrozumiał, że utracił jakąś część samego siebie, której już nigdy nie odzyska. Oferowano mu władzę, a on przyjął ją z tryumfem. Ślad tego uczucia pozostanie w nim na zawsze.

Odsuwając tę myśl zaczął przysłuchiwać się głuchemu łoskotowi nad głową. Bombardowanie ciągle jeszcze trwało. Potem, ku własnemu przerażeniu, stwierdził, że się uśmiecha. Był tylko pionkiem, ale pionek w szachach może czasem przesądzić o wygranej. Zgromadzeni przy stole mężczyźni wpatrywali się w Blacka z napięciem. Gra toczyła się i jak na razie pionek pozostawał na szachownicy.

# Rozdział jedenasty

PONIEDZIAŁEK, 16 WRZEŚNIA 1940 ROKU

## 9.00 BRYTYJSKIEGO CZASU LETNIEGO

**P**odczas dwudziestu czterech godzin od momentu zatrudnienia go na stanowisku asystenta Morrisa Blacka posterunkowy Swift zdołał wiele osiągnąć. W poniedziałek rano inspektor zastał poddasze przy Kensington Park Gardens całkowicie odmienione. Ściany mniejszego pokoju pokrywały wielkie mapy – gigantyczna mapa Anglii, równie wielki plan Londynu i trzeci, przedstawiający City i centrum miasta – na których tu i tam przypięto kolorowe chorągiewki. Wyposażenia dopełniało małe metalowe biurko i bardzo stara maszyna do pisania. We własnym gabinecie Black odkrył stosik schludnie przepisanych na maszynie arkuszy. Były to notatki z akt Rudelskiego, Talbota i Eddingsa, starannie ułożone i posegregowane.

Swift zdołał także zorganizować niezłe wyglądającego alvisa sedana z parkingu dla skradzionych samochodów, a wreszcie wytropił wóz Davida Talbota, dwudrzwiowego forda z 1936 roku. Zgodnie z informacją uzyskaną od sekretarza Królewskiego Klubu Automobilowego, Talbot trzymał swój pojazd w Stag Motor Garage, którego właścicielem był niejaki Gurney.

Stag Motor Garage znajdował się w północnym Londynie, w East Finchley. Wysoki parkan ogradzał zaniedbany teren od ulicy. Swift zaparkował obok podwójnych, zielonych kolumn dystrybutorów paliwa.

Różne pojazdy w rozmaitych stadiach naprawy zastawiały dość bezładnie cały plac. Wielka, pozbawiona szyb, zardzewiała karoseria leżała koło płotu. Sterta żelastwa piętrzyła się też w pobliżu dystrybutorów.

Black wysiadł z samochodu i rozejrzał się dookoła. Wszystko, co na terenie stacji było drewniane wymagało pomalowania, metal natomiast pokrywała rdza, brud i smar. Większość pojazdów została pozbawiona kół. Wszędzie walały się obryzki kół i kawałki karoserii. Samochodowy cmentarz.

Swift w ślad za Blackiem wysiadł z alvisa.

– Zobaczę, czy uda mi się znaleźć własność pana Talbota.

Black z roztargnieniem skinął głową i Swift ruszył przez plac w kierunku kilku lepiej prezentujących się samochodów.

Tymczasem z głównego baraku wyszedł wysoki, jasnowłosy mężczyzna po czterdziestce. Towarzyszył mu szary, groźny pies, wyglądający na skrzyżowanie szorstkowłosego teriera z bullmastiffem. Wielkie łapy zwierzęcia były pobrudzone olejem, a musztardowego koloru futro poznaczone lepkimi plamami. Kiedy tylko Black postąpił krok do przodu, pies zaczął warczeć, szczerząc długie, pożółkłe kły. Wysoki mężczyzna uspokajająco dotknął zjerzonej sierści.

– Dzień dobry – powiedział i uśmiechnął się sympatycznie. – Czy mogę w czymś pomóc? – Był przystojny, choć o surowym typie urody. Blackowi przywiodł na myśl jednocześnie Ivanhoe sir Waltera Scotta i gwiazdę z amerykańskiego westernu. Nosił przybrudzony kombinezon, ale na palcu błyszczał mu złoty sygnet. Akcent zaś wskazywał na zdecydowanie na Oksford.

– Pan nazywa się Gurney?

– A pan jest z policji – odpowiedział mężczyzna, patrząc, jak Swift znika pomiędzy szeregami samochodów na drugim końcu placu. Nadal z uśmiechem odwrócił się do Blacka.

– Domyślny pan.

Gurney wzruszył ramionami.

– Niezupełnie. Ktoś z Yardu dzwonił do mnie dziś rano, pytając o przecho-  
wywanego tutaj forda. – Przerwał na chwilę. Uśmiech przerodził się w ironiczny grymas. – Nie było trudno się domyślić. – Wyciągnął wielką, brudną dłoń. – George Le Fanu Gurney.

– Inspektor Morris Black. – Inspektor uściśnął rękę gospodarzowi. Pies podszedł krok bliżej i powąchał mankiety spodni Blacka, potem wycofał się.

– Proszę nie zwracać uwagi na Sama – roześmiał się Gurney. – Od lat marzy o włamywaczu. Bardzo chciałby chociaż raz w życiu zatopić zęby w ludzkim mięsie. – Przerwał. – Chce pan zapytać o Davida Talbota?

– Tak.

Gurney skinął głową.

– Wejźmy do warsztatu. – Ruszył w stronę dużego baraku. Black podążył za nim.

Wnętrze budynku stanowiło kompletne zaprzeczenie wyglądu placu. Półki na ścianach wypełniała bogata kolekcja porządnie ułożonych narzędzi, części silników i różnych elektrycznych przewodów. Pomiędzy regałami, w rogu, zrobiono miejsce na biurko, dwa krzesła i kilka staroświeckich szafek.

Pośrodku pomieszczenia, półtora metra nad podłogą na lśniącym od oleju podnośniku hydraulicznym wznosił się olbrzymi samochód. Miał co najmniej pięć i pół metra długości. Majestatyczne, opływowe kształty pokrywał lśniący, ciemnoniebieski lakier. Skórzane siedzenia były ciemnoczerwone. Uniesiona maska odsłaniała potężny, chromowany silnik, który doskonale pasowałby do samolotu. Srebrną kratę chłodnicy wieńczyła figurka lecącego żurawia.

– Hispano Suiza J12 z trzydziestego piątego – objaśnił Gurney, widząc zainteresowanie Blacka. – Kupiłem od Whitneya Straighta, kierowcy wyścigowego. Potrzebował gotówki.

Black poczuł pokusę, aby zapytać o cenę. Taki wóz musiał kosztować trzy, cztery tysiące funtów, jeżeli nie więcej. Inspektor znał nazwisko Whitneya Straighta, głównie z prasy. Straight był znanym sportowcem, ale i człowiekiem z wyższych sfer, który zapewne tyle samo czasu spędzał w kasynach Monte Carlo i pijąc szampana, co biorąc udział w wyścigach samochodowych. Tego rodzaju człowiek nie zadawałby się z mechanikiem z East Finchley, nawet jeżeli ów mechanik miał oksfordzki akcent i mógł sobie pozwolić na szalone wydatki. Gurney dostrzegł wyraz twarzy Blacka i odczytał bezbłędnie.

– Robię to, bo lubię, inspektorze – wyjaśnił, otwierając szufladę z aktami. – Nie dlatego, że muszę. – Zatrzymał przez chwilę wzrok na stojącej na biurku fotografii. – A poza tym... – Nie skończył zdania i wrócił do przeszukiwania teczek.

Black podszedł bliżej do biurka i uważnie spojrzął na zdjęcie. Śliczna, ciemnowłosa kobieta pod czterdziestkę, w tweedowej spódnicy i swetrze, siedziała na kocu. W tle, ledwo mieszcząc się w kadrze, widniały ruiny jakiegoś zamku. Po obu stronach kobiety przykucnęli dwaj chłopcy. Jeden, ciemny jak matka, miał może dziewięć lat, drugi trochę młodszy, wyraźnie przypominał Gurneya. Uśmiechali się, oczy im błyszczały, kiedy rozpromienieni patrzyli prosto w obiektyw.

– Pańska rodzina?

– Tak – odpowiedział sztywno jasnowłosy mężczyzna. – Karen i chłopcy.

– Wyglądają uroczco.

– Wyglądali. – Gurney na widok wyrazu twarzy Blacka uśmiechnął się chłodno. – Widzi pan, Karen była Amerykanką. Wydawało mi się, że powinni tam spędzić wojnę. – Przerwał i spojrzął jeszcze raz na zdjęcie, jakby spodziewał się, że płaski, czarno-biały obraz jego żony i dzieci jakimś cudem ożyje. – Zarezerwowałem im miejsca na statku *Arandora Star*. Chciałem, żeby byli bezpieczni.

– Bardzo mi przykro – powiedział cicho Black, odwracając wzrok. *Arandora Star*, włoski liniowiec pasażerski, zarekwirowany po przystąpieniu Mussoliniego do Państw Osi, zatonął mniej więcej dwa miesiące temu. Na jego pokładzie znajdowało się ponad tysiąc pięćset osób internowanych lub ewakuowanych do Halifaxu. Większość pasażerów stanowiły dzieci. Nikt nie ocalał.

– No cóż, inspektorze, nie przyszedł pan tu, aby wysłuchiwać moich żalów. – Gurney znalazł właściwą teczkę i rozłożył na biurku. Black zerknął mu przez ramię. Rachunki, kopie zamówień, lista wymienionych części. – Niewiele, jak pan widzi. – Spojrzął na detektywa. – Czy Talbot ma jakieś kłopoty?

– Można tak powiedzieć. Został zamordowany.

– Dobry Boże! – Gurney wyglądał na całkowicie zszokowanego. – Jak to się stało?

Black zignorował pytanie.

– Czy od dawna trzymał u pana samochód?

– Prawie od roku. W Cambridge prywatne pojazdy muszą być parkowane w pewnej odległości od terenów uniwersyteckich.

- Nie dziwiło to pana?
- Nie. Ten sam rodzaj regulaminu obowiązywał w... w szkole, do której uczęszczałem. – Właściciel warsztatu wyglądał na zakłopotanego.
- Co może pan powiedzieć o Talbocie?
- Był błyskotliwy. – Gurney myślał przez chwilę, przeczesując palcami przydługie włosy. – Pojawiał się zwykle w weekendy. Trochę rozmawialiśmy, potem jechał samochodem do miasta.
- Coś jeszcze?
- Lubił grać w szachy.
- Skąd pan to wie?
- Grywaliśmy czasem. – Gurney sięgnął do jednej z dolnych szuflad i wyjął miniaturowy komplet szachów. Pola szachownicy miały niewielkie otwory dla kuleczek, umocowanych w podstawie każdej figury.
- Jak mu szło?
- Bardzo dobrze. Wydaje mi się, że w ciągu roku rozegraliśmy około tuzina meczów. Udało mi się go pokonać tylko dwa czy trzy razy.
- Rozumiem. Coś jeszcze, panie Gurney?
- Nie pamiętam zbyt wiele. Był Kanadyjczykiem, rozmawialiśmy o tym. Pochodził z zachodniego wybrzeża.
- Z Vancouver.
- O, właśnie.
- Graliście w szachy, rozmawialiście o Kanadzie... – Black zawiesił głos. Gurney wzruszył ramionami.
- Lubił pracować przy swoim samochodzie. – Uśmiechnął się. – Mówił, że nie może sobie pozwolić na moje ceny. Pozwalałem mu używać jednego z kanałów po drugiej stronie placu.
- Czy kiedykolwiek opowiadał o przyjaciółkach? Może o kimś z Londynu?
- Nie, nic takiego sobie nie przypominam – Gurney zmarszczył brwi. – Ale raz spotkał się z kimś. Pamiętam...
- Tak?
- Jasnowłosa mężczyzna zdawał się wahać przez chwilę, jak gdyby walczył ze sobą. Potem powiedział:
  - To był jakiś starszy od Talbota facet. Musiał dotrzeć tu pociągiem, bo odjechali razem fordem.
  - Mówi pan starszy. W jakim wieku?
  - Trzydzieści, trzydzieści pięć. Trudno powiedzieć. Nie zwracałem na to szczególnej uwagi. Zdawało mi się, że bardzo zainteresował się moim warsztatem. Wśród narzędzi czuł się jak u siebie w domu.
  - Talbot nie mówił do niego po nazwisku?
  - Nie pamiętam.
  - Kiedy mniej więcej to było?
  - Jakiś tydzień temu. Tuż przed pierwszymi nalotami. Wtedy widziałem chłopaka ostatni raz. – Gurney czujnie spojrzął na Blacka. – Czy sądzi pan, że tamten człowiek miał coś wspólnego z morderstwem?



– To całkiem możliwe. Czy pamięta pan coś jeszcze. Cokolwiek. Jak wyglądał?

– Dobrze ubrany. W garniturze. Ciemne włosy, nieco rzadniejące na skroniach. Średnia waga i wzrost.

– Głos?

– Niewiele mówił. Nic charakterystycznego, o ile pamiętam.

– Odjechali razem?

– Tak.

– Samochodem?

– Tak. W czasie weekendu pojechałem do mojego... pojechałem na wieś. Kiedy wróciłem, ford stał już u mnie z powrotem. Dałem Talbotowi klucz do bramy na wypadek, gdyby chciał odstawić samochód, zanim wrócę. – Black kiwnął głową. Przy ciele Davida Talbota nie znaleziono żadnego klucza. Najprawdopodobniej samochód został odwieziony na miejsce już po morderstwie. Black dosłyszał jakiś dźwięk i odwrócił się. To był Swift.

– Znalazł pan ten wóz?

– Tak.

– Coś intresującego?

– Tylko to. – Swift podał inspektorowi kiepsko wydrukowaną pocztówkę. Katedra w Bath. Jak kartki w pokoju Davida Talbota.

Doktor Charles Tennant siedział w kawiarni. Tuż za oknem wznosił się nowoczesny gmach BBC z białego betonu. Jednak nie ten budynek budził zainteresowanie Tennanta. Od czasu do czasu psychiatra pozwalał sobie na krótkie spojrzenie w kierunku posępnej kamienicy, oddalonej nieco od siedziby Brytyjskiego Radia. Główne wejście obserwowanego budynku otaczał stos worków z piaskiem ustawionych na wysokość człowieka. Ponad podwójnymi drzwiami zwisiała smętnie wielka, szwedzka flaga.

Była pora lunchu. W kawiarni tłoczyli się głównie pracownicy BBC, spragnieni odmiany po mdłej diecie, którą zapewniała im firmowa stołówka. Przez ostatni kwadrans Tennant stał się celem wielu wrogich spojrzeń, które z rozmysłem ignorował. Nie zamierzał nikomu z oczekujących odstępować swego stolika. Popijał ciepłąwą lemoniadę i, paląc papierosa, obserwował ambasadę szwedzką.

Za rozleniwionym wyrazem twarzy Tennant krył zdenerwowanie. Znał wiele osób pracujących dla BBC, a ostatnią rzeczą, jakiej by sobie w tym momencie życzył, było spotkać teraz któregoś z nich.

Istniał także inny, poważniejszy, powód jego rosnącego zniecierpliwienia. Dziesięć minut wcześniej zielony nieoznakowany fordson zatrzymał się na miejscu wyraźnie oznaczonym jako strefa zarezerwowana dla straży pożarnej i wyłączył silnik. Niemal natychmiast pojawił się umundurowany policjant, ale po krótkiej wymianie zdań z kierowcą, skinął na pożegnanie głową i odszedł. Dwaj mężczyźni w fordsonie musieli być wywiadowcami Służb Specjalnych albo ubranymi po cywilnemu detektywami ze Scotland Yardu.

Rozwaga dyktowała Tennantowi natychmiast opuścić kawiarnię. Co prawda miał całkowitą pewność, że pasażerowie tajemniczego samochodu nie przybyli tu z jego powodu. Jeżeli jednak, jak teraz podejrzewał, pracowali dla MI5 B(6), to niemal na pewno kontrolowali ambasadę szwedzką, a co za tym idzie – wiedzieli o jego kontakcie.

Człowiek ów, inżynier lotnictwa ze Swedish Airlines, pełnił rolę kuriera dyplomatycznego i zapewne chronił go immunitet, ale ostatnimi czasy zarówno policja, jak i MI5 otrzymały carte blanche na przeprowadzanie koniecznych aresztowań i rewizji. Mimo że Szwecja oficjalnie zachowywała neutralność, mówiło się o silnych pronazistowskich tendencjach, częściowo powodowanych przez strach przed inwazją.

Jeżeli dowództwo MI5 zdecydowało się aresztować Szweda i wywieźć go do Latchmere albo jakiegoś innego centrum przesłuchań, nic nie byłoby w stanie zmienić tego rozkazu. Kurier znał tylko pseudonim Tennanta, ale nawet najbardziej błaha informacja w niewłaściwych rękach mogła okazać się groźna. Doktor poczuł się nagle zagrożony. Tak czy inaczej, ten kontakt należało zlikwidować.

Wygładając przez okno kawiarni, psychiatra zastął w napięciu. Jego człowiek pojawił się właśnie po drugiej stronie szerokiej alei. W normalnych warunkach Tennant poczekałby chwilę, a potem podążył, w pewnej odległości, śladem wysokiego blondyna. Tym razem pozostał na miejscu. Obserwował uważnie ludzi w zaparkowanym koło ambasady fordsonie.

Nie minęło trzydzieści sekund, gdy drzwiczki otworzyły się i z samochodu wysiadł krępy mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym. Złe dopasowany kapelusz zsunął mu się na oczy, a ręce ginęły w głębokich kieszeniach. Mężczyzna ruszył za Szwedem, utrzymując dystans kilku metrów. Nie było już żadnych wątpliwości; kurier został zdemaskowany.

Tennant usiłował zachować spokój. Podniósł się i zaczął przeciskać przez tłum w stronę drzwi. Kiedy wreszcie znalazł się przed kawiarnią, zatrzymał się na chwilę. Musiał się zastanowić, dokąd iść. W rzeczywistości doskonale wiedział, jakie powinno być następne posunięcie.

Zrobił dwa kroki wzdłuż krawężnika i podniósł rękę, aby przywołać taksówkę. Nagle poczuł, jak czyjaś dłoń opada na jego ramię. Serce podeszło Tennantowi do gardła, mięśnie naprężyły się gwałtownie. Tysiąc możliwości przemknęło mu przez umysł w szalonym pędzie. Uciekać, ale dokąd i na jak długo?

– Tennant, stary!

Oddech przesycony alkoholem, rozpromieniona twarz, do której nie potrafił dopasować nazwiska. Doktor zmarszczył brwi, usiłując odzyskać kontrolę nad rozdygotanymi nerwami. Ręka mężczyzny ciążyła mu na ramieniu. Wreszcie przypomniał sobie. Przełknął ślinę i spróbował się uśmiechnąć.

– Burgess.

– Doskonale! Doskonale! – Błady, rudawy mężczyzna pozwolił palcom ześlizgnąć się z ramienia Tennanta.

Guya Burgessa psychiatra poznał jakiś czas temu, bawiąc w wiejskiej posiadłości Emerald Cunard. Lady Cunard otaczała się zwykle ekscentrycznymi ludź-

mi, ale Guy Burgess wyróżniał się nawet na tle jej znajomych. Ubierał się jak klaun, rzadko używał mydła, pił jak gąbka i bynajmniej nie ukrywał homoseksualnych upodobań. Przeciwnie, wręcz chełpił się nimi.

Tennant przypomniał sobie mgliście, że rudzielec był jakoś związany z radiem. Należał także do towarzystwa regularnie spotykającego się przy Bentinck Street 5. Burgess reprezentował właśnie „Bóg -wie-kogo z BBC” w owym klubie i burdelu dla wyższych sfer, gdzie często bywał Liddell. Cóż za ironia losu. W każdej innej chwili Tennant zapewne wykorzystałby szansę, by wkroczyć się do klubu, ale w tym właśnie momencie pijany natręt stanowił urzeczywistnienie najgorszego koszmaru.

Burgess mrugnął porozumiewawczo. Grube, wilgotne wargi rozciągnęły się w uśmiechu. Znowu złapał doktora za rękę.

– Chodź, Tennant, postawię ci duży gin. Pogadamy o twoich wariatach, opowiem ci co nieco o mojej cholernej firmie. – Uśmiech przerodził się teraz w ponury grymas. – Mam dla nich świetną nazwę. Bogata Bydłęca Banda Ciurów. Burgess mrugnął znacząco, ubawiony własnym dowcipem. – Trzy – B C. BBBC, rozumiesz? Może umiałbyś wyleczyć nas wszystkich, co?

Tennant dyskretnie zerknął przez ramię. Fordson powoli sunął tuż przy krawężniku. Nie było już czasu. Stanowczym ruchem doktor wyrwał się Burgessowi.

– Może innym razem. Teraz bardzo się spieszę. – Uśmiechnął się lodowato i szybkim krokiem podążył w przeciwną stronę.

– Urocze – warknął pijany.

Chwilę później Tennant zdołał złapać taksówkę. Wsiadł i zatrzasnął drzwiczki. Czuł, jak pot spływa mu po plecach. Jeszcze kilka minut i mogłoby się źle skończyć.

– Dokąd? – spytał kierowca.

– Do ZOO – powiedział Tennant, opadając na oparcie. Obrócił się i spojrział przez tylną szybę. Burgess wykonał obsceniczny gest pod jego adresem, po czym chwytając się pomaszerował przez ruchliwą jezdnię.

– Idiota – mruknął doktor.

– Przepraszam? – spytał kierowca.

– Nic, nic.

– Które wejście, proszę pana?

– Główna brama. Proszę jak najszybciej.

Minęli jadącego powoli fordsona, a po chwili Tennant dostrzegł wysokiego, jasnowłosego kuriera. Skręcili w prawo.

Wreszcie taksówka zatrzymała się przed bramą ogrodu zoologicznego. Doktor zapłacił kierowcy, dał szylinga bileterowi i wszedł. Tuż przed nim wznosiła się tylna ściana małpiarni. Wrażliwe powonienie natychmiast zaatakował smród kilkuset stłoczonych w jednym miejscu zwierząt.

Po prawej i lewej stronie znajdowały się wielkie ptaszarnie. Ich mieszkańcy wypełniali powietrze jazgotliwym wrzaskiem. Zaczął padać lekki deszczyk. Żwirrowane ścieżki pomiędzy kłatkami, pawilonami i małymi wybiegami zupełnie opustoszały.

Od czasu, kiedy ewakuowano z Londynu dzieci, ogród zoologiczny stracił najbardziej zainteresowaną publiczność. Przez ostatnich dwanaście miesięcy liczba zwiedzających spadła o ponad trzy czwarte. W dżdżyste poniedziałkowe popołudnie ZOO całkowicie się wyludniło.

Tennant podniósł kołnierz marynarki i czujnie zerknął przez ramię. Nadal ani śladu Szweda i śledzącego go człowieka. Psychiatra wiedział, że kurier zawsze idzie do stacji metra Regent's Park, a potem albo bierze taksówkę, albo podjeżdża autobusem 74 do północnej bramy przy Albert Road. Tak czy owak, doktor miał kilka minut na przygotowanie.

Desperacko usiłując zebrać myśli, skrzył w lewo, w stronę wschodniej ptaszarni i wieży zegarowej. Jeżeli Szwed i jego „ogon” wejdą główną bramą, znajdzie się na miejscu przed nimi, a jeżeli północną i tunelem obok herbaciarni, zaczeka.

Wieża zegarowa, dziwaczna wiktoriańska budowla, wzniesiona pomiędzy wschodnią ptaszarnią a zagrodą wielbłądów, wyglądała jak wiatrak bez skrzydeł wyrastający z szopy ogrodniczej. Całość wieńczył, ku zdumieniu widza zielonkawym minaret.

Naprzeciwno znajdował się duży, porośnięty drzewami skwer z ozdobnymi klombami, który przecinała szeroka ścieżka dla słońi. Na jego obrzeżach rozmieszczono kilka drewnianych i metalowych ławek. Tennant wybrał jedną z nich, stosunkowo suchą pod rozłożystym parasolem gałęzi wysokiego wiąz. Zerknął na tarczę zegara, zapalił papierosa i zabrał się do układania planu działania.

Kontakty z ludźmi Heydricha w Hamburgu i Berlinie zorganizował w sposób prosty i, wydawało się, bezpieczny. Wszystkie meldunki radiowe nadawał z pokładu *Sandpipera*. Nie otrzymywał żadnych odpowiedzi, więc nie zagrażały mu radiopelengatory RAF.

Instrukcje z Niemiec wyszukiwał wśród ogłoszeń w „Daily Sketch” trzeciego, piątego i siedemnastego dnia po nadaniu meldunku. Reklama przeczyszczających ziół szwedzkich została opatrzona adresem Heydricha w Sztokholmie.

Zgodnie z rozkazem, odnalazszy takie ogłoszenie Tennant miał zgłosić się w jednym z trzech miejsc – w Hyde Parku, na polu golfowym w Kensington, albo w ZOO. Data gazety wskazywała, który z punktów kontaktowych należy wybrać.

Zależnie od sytuacji kurier albo zostawiał wiadomość w wybranej kabinie toalety dyskretnie ukrytej pomiędzy wybiegami lisów i szakali, albo w wyznaczonym punkcie przy wejściu do podziemnego akwarium.

Dopiero zyskawszy pewność, że droga wolna, doktor zabierał odpowiedź i czytał ją u siebie. Wiadomości zwykle kodowano przy użyciu wcześniej uzgodnionego, zmiennego klucza. Cała ta procedura miała zapewniać Tennantowi absolutne bezpieczeństwo.

Miała. Jednak agenci MI5 wykryli kuriera. Istniało duże prawdopodobieństwo, że wiedzą także o ogłoszeniach w „Daily Sketch”. Jeżeli sprawy właśnie tak wyglądały, to jeden z pasażerów fordsona pójdzie za Szwedem, podczas gdy drugi sprawdzi wszelkie miejsca, gdzie można by zostawić wiadomość. Potem

zapewne Szwed zostanie aresztowany i przesłuchany. Jego zeznania mogą zdekonspirować siatkę Heydricha w Sztokholmie. Nawet jeżeli tożsamość Doktora będzie nadal dla wywiadu brytyjskiego tajemnicą, dalsze kontakty z Hamburgiem i Berlinem pociągną za sobą poważne ryzyko.

Tennant rzucił niedopałek papierosa i wcisnął go obcasem w ziemię. Spojrzał na wieżę zegarową. Minęło prawie pięć minut. Szwed mógł pojawić się lada chwila. Trzeba podjąć decyzję. Wstał i wyszedł spod parasola gałęzi. Deszcz przybrał na sile. Doktor skulił ramiona i szybkim krokiem przeciął ścieżkę dla słońi. Skręcił na południe przez trawnik po drugiej stronie alei, po czym skierował się w stronę pawilonu lwów i wybiegu dla antylop. Stąd szeroką ścieżką, wiodącą do wyjścia przy Broad Walk. Nie dochodząc do bramy, Tennant skręcił w lewo, na wąski przesmyk pomiędzy małymi klatkami dla psów periwowych i zabudowaniami ptaszarni.

Jeszcze kilkadziesiąt metrów i znalazł się przy drewnianym kiosku z napojami, naprzeciwko wybiegu dla szopów. Zapalił następnego papierosa i przez chwilę przyglądał się, jak sześć tłustych zwierzątek krąży tam i z powrotem po swoich klatkach. Okrągłe brzuszki i długie tylne nogi nadawały im wygląd chwiejnie człapiących marynarzy.

Za plecami Tennanta, w odległości mniej niż trzech metrów, znajdowały się zagrody szakali i lisów. Wszędzie panował spokój. Słychać było tylko szmer padającego deszczu i przytłumione nawoływania małp z pawilonu przy głównym wejściu.

Po lewej stronie, w przejściu pomiędzy klatkami widać było wejście do toalet. Jeżeli Szwed wybrał północną bramę, jak w trzech poprzednich przypadkach, zostawi wiadomość właśnie tutaj.

Psychiatra rozejrzał się w ostrożnie. Był sam. Zerknął przez ramię. Szakal z futrem zlepionym od deszczu i nastawionymi nerwowo uszami obserwował go, siedząc na sztucznym pagórku. Tennant zadrżał. Zastanawiał się, czy zwierzę wyczuwa jego strach.

Obrócił się na pięcie i ruszył szybkim krokiem w stronę wejścia do męskiej toalety. Od momentu, kiedy dostrzegł fordsona, usiłował znaleźć jakieś rozwiązanie. Teraz stwierdził, że nie ma żadnego wyboru. Możliwy był tylko jeden sposób postępowania. Doszedłszy do drzwi budynku doktor rozejrzał się raz jeszcze. Na prawo, koło kawiarni wznosiło się podium dla orkiestry. Deszcz miarowo kapał z dachu na deski sceny. Po przeciwnej stronie jakiś starzec w długim, czarnym płaszczu i znoszonych kaloszach stał przed pawilonem małych zwierząt z rodziny kotów. Tennant nacisnął klamkę i otworzył drzwi.

Toaleta wyglądała jak długi, wąski bunkier. Trzy lampy rzucały okręgi wątlego, żółtego światła na pokrytą białymi kafelkami ściany i podłogę.

Na wyposażenie wnętrza składały się porcelanowe umywalki, lustro tuż za obrotowymi drzwiami, rząd pisuarów po lewej i pięć kabin toaletowych po prawej stronie. Szwed miał zostawić wiadomość za rezerwuarem w ostatniej kabine. Powietrze cuchnęło środkami dezynfekującymi i zastarzałym moczem.

Tennant odkręcił kurek umywalki i spojrzął na swoje zamglone, słabo widoczne odbicie w lustrze. Marynarka całkiem przemokła na deszczu, włosy lepiły

się do czaszki. Coś okropnego. Wiedział, że to tylko wyobraźnia, ale mógłby przysiąc, że pod oczami nagle pojawiły się sine cienie.

Strach wprost dusił go, wyczuwalny jak łomot serca o żebra, równie realny jak gorące uderzenia krwi do głowy. Doktor czuł w ustach kłęb oleistej waty. Spojrzał w dół. Ciemne włoski na rękach zjeżyły się. Adrenalina, podniesiona gotowość sensorów, spowodowana wielkim zdenerwowaniem. Wszystko to potrafił wytłumaczyć. Ciało reagowało na to, co widział, słyszał i czuł. Szaleństwo. Musi się opanować.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął wieczne pióro i położył je ostrożnie na krawędzi umywalki, tuż obok swojej prawej dłoni. Schylił głowę, opryskał wodą twarz. Potem zamarł. Za plecami rozległ się zgrzyt otwieranych drzwi.

Do toalety wszedł jasnowłosy mężczyzna. Tennant wiedział jego odbicie w lustrze. Szwed przystanął na chwilę i zaczekał, aż drzwi zatrzasną się. Obojętnie spojrzął na doktora, a potem, zamiast przejść do kabiny, skierował się do rzędu pisuarów i zaczął rozpinać rozporek. Boże! Co on robi?

Tennant nacisnął dzwignię, aby opróżnić umywalkę. Twarz nadal ociekała mu wodą. Tymczasem Szwed skończył, podszedł do umywalki po lewej stronie i zaczął myć ręce. Tennant zacisnął palce na piórze.

– Gdzie to jest? – spytał, odwracając się do Szweda. – Śledzili cię. Daj mi to, szbako!

Blondyn zmarszczył brwi.

– *Forlat? Vad sade ni.*

– Wiadomość, człowieku! – jęknął Tennant. – Jestem Doktor. Dawaj to!

– *Doktor? Jag talar inte engelska.*

Dobry Boże! Ten idiota nie mówi po angielsku. Rozsądek gdzieś uleciał, uniesiony falą narastającej paniki.

– *Ich bin der Doktor* – rozpaczliwie próbował Tennant. – *Du hast ein...*

– *Nej! Nej!* – Szwed odsunął się od umywalki, nagle rozumiejąc, kto do niego mówi. Uniósł obronnym ruchem ręce do góry. Świadomość konsekwencji spotkania Tennanta twarzą w twarz zupełnie go sparaliżowała. – *Jag gar.*

Nie było już czasu. Psychiatra przytrzymał lewy nadgarstek mężczyzny. Równocześnie zamachnął się i wbił pióro kurierowi w oko.

Mężczyzna krzyknął, próbował się wyrwać, ale Tennant trzymał go mocno. Wcisnął śmiercionośną broń coraz mocniej, aż złota stalówka przecięła nerwy wzrokowe i w końcu dotarła do mózgu. Rozszedł się smród, kiedy zwieracze Szweda puściły. Bezładne ciało osunęło się na podłogę. Doktor wyciągnął pióro z oczodołu trupa i wsunął je do kieszeni marynarki.

Pochylił się nad zmarłym i zaczął przeszukiwać mu kieszenie.

– Widziałeś moją twarz – mamrotał na wpół do siebie, a na wpół do człowieka, którego właśnie zamordował. – Wiedziałeś, kim jestem. Szli za tobą... To było konieczne. Konieczne. – Oddech przechodził w paniczny, urywany szloch. Doktor poczuł gorzki smak podchodzących do gardła wymiotów.

Z oka mężczyzny sączył się jasny płyn, powoli zabarwiając się na czerwono. Znaczył ślad na policzku i spływał na podłogę. Smród, który napelniał teraz toa-

letę stanowił obrzydliwą mieszaninę krwi i ekskrementów, wystarczająco mocną, aby przytłumić zapach środków dezynfekcyjnych.

Tennant miał wrażenie, że za chwilę zwymiotuje. Przeszukał ostatnią kieszeń. Nic. Szwed najwyraźniej nie miał przy sobie małej bakelitowej tubki, w której przekazywano meldunki.

Doktor jęknął.

– Boże, człowieku! Coś ty narobił? – I wtedy zrozumiał. Zamiast północnej bramy, kurier wybrał tym razem główne wejście. Zostawił wiadomość obok schodów prowadzących do akwarium, a potem dotarł tutaj. Wszedł do toalety tylko z powodu własnej naglącej potrzeby.

– O mój Boże – szepnął Tennant, spoglądając ze zgrozą na zmarłego. Do tej pory agenci M15 zapewne przeszukali już toalety przy akwarium. Teraz jeden z nich albo nawet obaj czekali zapewne w pobliżu, aż Szwed znowu się pojawi. Doktor został złapany w pułapkę. Aresztują go w tej paskudnie cuchnącej norze. Zdrajca, szpieg, morderca. Postawią go pod mur w Tower, na sercu przyczepią papierową tarczę strzelniczą, a potem sześciu żołnierzy o kamiennych twarzach wyprawi go do piekła. Jego życie dobiegnie końca. Nie potrafi już dłużej nad sobą panować. Musi uciekać. Odwrócił się i ruszył pędem w stronę wyjścia.

Drzwi otworzyły się, zanim do nich dotarł. Tennant kątem oka dostrzegł krępego mężczyznę w kapeluszu nisko nasuniętym na czoło. Pasażer z fordsona. Psychiatra rzucił się na niego całym ciężarem.

Przewrócili się na podłogę w pobliżu pierwszej z kabin. Agent M15 był wyższy o ładnych parę centymetrów, ale Tennant miał przewagę, działając z zaskoczenia, a jego siły wzmogły się pod wpływem panicznego strachu. Uderzył tamtego w twarz. Palce mężczyzny zacisnęły się na pistolecie.

Przeturlali się jeszcze kawałek. Nagle rozległ się trzask łamanej kości. Ramię napastnika uderzyło w metalową framugę drzwi kabiny. Na ułamek sekundy uchwyt na pistolecie zelżał. Tennant wyrwał broń z bewładnej dłoni i nacisnął spust. Płaszcz stłumił huk wystrzału. Wywiadowca wydał krótki, ostry okrzyk. Nie minęła nawet minuta, kiedy skołał.

Tennant na czworakach odsunął się od ciała. Dotarł do umywalki i wczepiony w nią, podciągnął się do góry. Oddychał ciężko, walczył o każdy łyk powietrza. Obrócił się wreszcie i spojrzał na pole walki. Agent M15 jak kłęb szmat leżał obok kabiny. Martwy. Doktor poczuł, że podłoga kołysze mu się pod stopami. Do gardła podchodziły mdłości, a język dusił jak knebel. W ciągu pięciu minut popełnił dwa morderstwa. I to nie był jeszcze koniec.

Siłą woli zmusił się, aby ruszyć z miejsca. Na drewnianych nogach dowlókł się do wyjścia, wziął głęboki oddech i wyszedł na świeże powietrze. Pozwolił, aby drzwi same zamknęły się za nim. Przez chwilę stał i rozglądał się dookoła, usiłując zachowywać tak normalny wyraz twarzy, jak tylko potrafił.

Staruszek sprzed pawilonu małych kotów znikł. Ścieżka obok klatki z szopami była pusta. Nikt nie pojawił się też na tarasie herbaciarni. Dzięki Bogu. Nadal więc miał szansę. Zaciskając zęby, Tennant ruszył przed siebie krokiem na tyle



wolnym i spokojnym, na ile pozwalał mu potworny strach. Kierował się w stronę przejścia podziemnego, usiłując nie myśleć o tym, co zostawiał za sobą.

W każdej chwili oczekiwał ścisku kuli albo ostrego dźwięku policyjnego gwizdka, ale wokół panowała cisza. Tylko żwir zgrzytał pod stopami i cicho szemrała deszcz. Wreszcie znalazł się przed wejściem do tunelu. Tu nic już mu nie groziło. Był bezpieczny.

Ale na jak długo?

Pobiegł. Jego kroki odbijały się echem w ciemnościach.

Katherine Copeland siedziała przy biurku w zupełnie pozbawionej wyrazu bawialni, paląc kolejnego już papierosa i przeglądając otrzymane od Bingham'a dossier inspektora Morrisa Blacka. Od czasu do czasu notowała coś na kawałku liniowanego papieru.

Zaciągnęła się głęboko. Donovan powiedział jej kiedyś, niezbyt zresztą uprzejmie, że pali jak mężczyzna. Rzeczywiście trzymała papierosa pomiędzy końcami palców i wydmuchiwała dym przez nos. Katherine prychnęła lekko. Prawdę mówiąc, nie tylko pod tym jednym względem przypominała mężczyzn. Zmarszczyła brwi i spojrzała na otwartą teczkę.

Black, przynajmniej na pozór, okazał się typowym, ciężko pracującym policjantem. Przeczesła mnóstwo londyńskich gazet, szukając wzmianek dotyczących kariery inspektora i doszła do wniosku, że był bardzo dobry w swoim fachu, a przy tym nie szukał taniej popularności.

Dokładniejsze informacje, zebrane przez Bingham'a, mówiły o inteligencji, metodycznej naturze i zdolnościach do wykorzystania w śledztwie pozornie nieistotnych szczegółów. Morris Black otrzymywał zwykle najtrudniejsze i najbardziej interesujące sprawy.

Kopiąc jeszcze głębiej, Katherine dowiedziała się, że praca stanowiła dla niego bardziej sposób na życie niż konieczność finansową. Black pochodził z zamożnej rodziny, był właścicielem kamienicy, w której mieszkał i, oprócz pensji pobieranej w Yardzie, legitymował się całkiem niezłymi dochodami. Toteż nie zawracał sobie głowy pobieraniem dodatku na ubranie, przysługującego chodzącym po cywilnemu policjantom, i rzadko, jeżeli w ogóle, domagał się zwrotu kosztów delegacji.

Od czasu śmierci żony inspektor podejmował się prowadzenia coraz większej ilości spraw. Pracował dwa razy intensywniej niż jego przyjaciel, niejaki Capstick. Samotny wdowiec topiący smutki w pracy? To niewykluczone. Jeżeli zachowanie Blacka w pociągu do Cambridge stanowiło jakąś wskazówkę, to Katherine już wiedziała jak wykorzystać jego słabość na swoją korzyść.

Gasząc niedopałek w przepelnionej popielniczce, panna Copeland spojrzała w okno i pokręciła głową. Zaczynała myśleć jak Bingham i wcale jej się to nie podobało. Może Donovan miał rację; paliła jak mężczyzna, myślała jak mężczyzna, piła jak mężczyzna, teraz powinna jeszcze tylko zapuścić wąsy. Co u diabła stało się z córeczką Charliego Copelanda, dumą i radością senatora, dziewczynką



z mysimi ogonkami, która dzielnie cwałowała na kucyku i uśmiechała się do fotografów?

Po prostu dorosła. Jej przekleństwem, co kiedyś powiedział ojciec, stała się zarówno uroda, jak i inteligencja. Uciekając od losu piękności z Południa, pojechała na uniwersytet. Szukała wykształcenia, a nie męża – harwardczyka.

Sześć miesięcy po otrzymaniu dyplomu Katherine Copeland zakończyła pouczający, choć niezbyt namiętny romans z wykładowcą dziejów Europy. Zadzwo niła do ojca do Waszyngtonu i dostała pracę jako asystent w firmie prawniczej prowadzonej przez Williama J. „Dzkiego Billa” Donovana. Reszcie, jak pomy ślała gorzko, winna była historia. Historia zmusiła ją do odgrywania roli jakiejś jankeskiej Maty Hari. I teraz, na rozkaz Bingham, miała uwieść brytyjskiego policjanta, zapewne nadal pogrążonego w żalobie po żonie. Daleka droga od my szych ogonków i jazdy na kucyku.

Zbyt daleka, aby zawrócić.

Katherine westchnęła głęboko. Lekki wiatr poruszył zasłony w otwartym oknie. Może dziś wieczorem te zasłony zostaną podarte na strzępy, kiedy na ulicach eksplodują bomby. Zawsze chciała przyjechać do Londynu, ale teraz wszystko było nie tak.

Gdzieś po drodze marzenia, nadzieje, uczucia legły w gruzach. Wystarczają co często Katherine mówiła sobie, że jest ofiarą przypadku i musi odłożyć życie osobiste na bok. Przynajmniej na jakiś czas. Gówno prawda. Szkoła stanowiła sposób na ucieczkę od domu, praca dla Donovana była kolejną ucieczką. Naj pierw wydawała się ekscytująca, ale po jakimś czasie Katherine dostrzegła, że towarzystwo w Waszyngtonie nie różni się za bardzo od uniwersyteckiego. Po jakimś czasie zapewne wyszłaby za mąż za syna któregoś z ustosunkowanych przyjaciół ojca. Londyn stanowił po prostu następną szansę.

Więc jest tu teraz, a Bill Donovan i Larry Bingham robią co mogą, żeby zmie nić ją w kurwę. Znowu spojrzała na rozłożoną teczkę. Ona i Black mieli wiele wspólnego. Żeglowali bezwolnie po morzu wojny, chwytani w sieci planów i in tryg innych ludzi. Spotkała inspektora raz i polubiła niemal natychmiast. Nie chciała go oszukiwać. Zapaliła następnego papierosa i spojrzała na przycięte do akt zdję cie Blacka.

– Jesteśmy żalną parą smutnych skurwysynów, prawda, Morris? – szepnęła.

Liddell czekał w biurze przy Kensington Park Gardens, paląc swoją fajkę i przyglądając się wielkim mapom na ścianie. Odwrócił się, kiedy Morris Black i jego asystent weszli do pokoju.

– Mamy następnego – powiedział cicho.

– Gdzie? – spytał Black.

– W Southampton. Wczoraj wieczorem.

– Jest pan pewien?

– Tak. Obawiam się, że nie ma wątpliwości. Przyszedłem po pana. Samolot czeka na nas w Croydon.

– Polecimy? – Black poczuł dziwny ciężar w żołądku; nigdy przedtem nie latał.

– Tak. Wszystko już ustalone.

– Czy Spilsbury wie?

– Nie. – Liddell zmarszczył brwi i z nagłym zainteresowaniem zaczął oglądać ustnik fajki. – Podczas wczorajszego nalotu został zbombardowany szpital św. Tomasza. Dwóch lekarzy dyżurnych zginęło. Jednym z nich był Peter Spilsbury, jego syn.

– Mój Boże.

– Uhum – zamruczał Liddell. – Spilsbury nie miał o tym pojęcia. Występował na rozprawie dziś rano i właśnie wtedy nadeszła wiadomość. To musiał być straszny szok. – Kapitan hałaśliwie zakaszłał i schował fajkę do kieszeni na pierśsiach. – Przeklęta wojna – stwierdził filozoficznie. – Rzecz w tym, że nie sądzę, abyśmy mogli liczyć na pomoc Spilsbury’ego. Na pewno nie w tym momencie.

– To oczywiście – zgodził się Black. Nastąpiła chwila ciszy.

Posterunkowy Swift podszedł do mapy Anglii. Wybrał czerwoną chorągiewkę i wpiął w kółko oznaczające portowe miasto Southampton na wybrzeżu Kanału. Potem cofnął się o krok i w milczeniu oceniał swoje dzieło. Liddell zerknął kątem oka na mapę i zwrócił się znów do Morrisa Blacka.

– Chodźmy – zaproponował z uśmiechem. – Nie wolno kazać czekać brytyjskiemu lotnictwu.

# Rozdział dwunasty

PONIEDZIAŁEK, 16 WRZEŚNIA 1940 ROKU

## 14.30 BRYTYJSKIEGO CZASU LETNIEGO

**M**orris Black i Guy Liddell polecili z Croydon jednosilnikowym walrusem RAF – wiekową, odrapaną amfibią z chowanym podwoziem. Samolot zwykle startował z pokładu statku i Blackowi zdawało się, że ten niezgrabny, hałaśliwy dwupłatowiec nigdy nie oderwie się od ziemi.

Walrus nie został zaprojektowany z uwzględnieniem wygody pasażerów, toteż inspektor spędził swój pierwszy lot ściśnięty w małej kabince na tyłach, podczas gdy Liddell zajmował równie niewygodne miejsce w ciasnym pomieszczeniu nawigatora, niemal pod stopami pilota.

Ryk wielkiego silnika był tak głośny, że uniemożliwiał wszelką rozmowę. Black musiał przecierpieć swoją inicjację w milczeniu. Wyglądając przez małe okienko, próbował zignorować wywracający żołądek, smród paliwa i spalin. Maszyna przeleciała nad North Downs i skierowała się na południe, w stronę wybrzeża. Czterdzieści minut po opuszczeniu Croydon walrus dotarł do Southampton, zakołował raz i opadł na wody Itchen. Jego pływaki w zetknięciu z brudną, oleistą powierzchnią rzeki wzbity pod niebo rozpyloną fontannę.

Z miejsca, w którym wylądowali, wyraźnie widać było portowe dźwigi i taśmociągi załadunkowe doków Southampton. Po prawej stronie Black mógł dostrzec pokryte brudem i sadzą budynki przemysłowego przedmieścia Woolston. W końcu pilot wyłączył silnik. Dobili do brzegu. Pasażerowie odetchnęli z ulgą. Liddell wysiadł z samolotu jako pierwszy, inspektor wygramolił się za nim. Wąską kładką przeszli na nabrzeże.

Zapach spalonego, wilgotnego drewna przebijał nawet przez smród paliwa. Po prawej stronie za pirsem węglowym rozciągało się morze rumowisk i gruzów. Dwadzieścia metrów głównego moła przestało istnieć. Wielki magazyn na nabrzeżu zmienił się w dymiącą ruinę. Od rzeki wiała świeża bryza, a niebo nad głowami było bezchmurne i niebieskie, ale Black widział wszędzie zgłiszczca i śmierć.

– Nie miałem pojęcia – szepnął na widok wypalonego magazynu. Dach ogromnego budynku zawalił się w kilkunastu różnych miejscach, nie pozostało ani jedno całe okno.

– To trwa już prawie sześć tygodni – wyjaśnił Liddell. – Co drugi czy trzeci dzień od początku sierpnia. – Ze znużeniem pokręcił głową. – Żadnej choleralnej obrony. Sześć balonów zaporowych i bateria przeciwlotnicza. Szaleństwo.

Powgniatany, ochlapany błotem szary sedan przedzierał się wśród gruzów w ich kierunku. Oficjalne oznaczenia i niebieska chorągiewka wskazywały na instytucję, do której należał. Samochód zatrzymał się i wysiadł z niego umundurowany kierowca komendy policji w Southampton. Zsalutował dziarsko. Kiedy Black i Liddell podeszli bliżej, otworzył tylne drzwiczki wozu i uprzejmym gestem zaprosił gości do środka.

– Czeka na nas Allen – oznajmił inspektorowi Liddell. Opuścili już nabrzeże i kierowali się w stronę wąskiego przesmyku pomiędzy ruinami dwóch wielkich budynków.

– Allen?

– Szef tutejszej policji. – Liddell pochylił się do przodu i postukał kierowcę w ramię. Mężczyzna lekko obrócił głowę.

– Sir?

– Jeszcze daleko?

– Nie, to po drugiej stronie Bridge Road. Zaraz tam będziemy.

Jechali w milczeniu.

Wyglądało tu o wiele gorzej niż w Londynie. Całe ulice runęły w gruzy. Tu i tam unosił się dym. Małe oddziały strażaków polewały tłące się zgłiszczą. Grupy mężczyzn przy pomocy dźwigów i łańcuchów zwały poczerńiałe fragmenty chwiejnych murów. Wąskie ulice, wzdłuż których stały przedtem robotnicze domki, zostały zmiecione w całości. Jezdnie zniknęły pod stosami kamieni i cegieł. Mieli wypalony szkielet ciężarówka. Nieco dalej Black ujrzał słup telefoniczny leżący w poprzek drogi. Przyczepiono do niego mnóstwo małych karteczek; desperackie pytania, zawiedzione nadzieje.

– Było aż tak źle? – spytał Liddell, pochylając się do kierowcy.

– Kiepsko. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Strzały do pustej bramki. Przelatywali nie wyżej niż parę metrów nad ziemią. W takich warunkach trudno spudłować. – Kierowca prychnął. – Dziwne, że całe to choleralne miasto nie zostało zrównane z ziemią.

Zatrzymali się przy wjeździe na wąską uliczkę kilkaset stóp za Bridge Street. Jeszcze dwa dni temu stały tu rzędy małych, czteropokojowych domków wzniesionych tuż przed pierwszą wojną światową dla pracowników Vickers – Supermarine i Thornycroft Boat Works.

Z dwunastu budynków znajdujących się przy tej ulicy ocalały trzy, przy czym dwa wyglądały jak wypalony szkielet. Trzeci domek, osłonięty wysokim murem sąsiedniego magazynu, został tylko częściowo uszkodzony. Żółte cegły ponad potrzaskanymi oknami pokrywały długie jęzory smolistej sadzy. Przed posesją

parkowała wojskowa ciężarówka, a na schodkach stał umundurowany policjant. Hełm nacisnął głęboko na oczy, ręce założył za plecami.

Liddell i Black wysiedli z samochodu. Krótka ścieżka prowadząca przez teren, który kiedyś był ogródkiem, ginęła wśród kawałków drewna, połamanych mebli i morza błyszczącego w popołudniowym słońcu potrzaskanego szkła. Liddell pokazał policjantowi legitymację i weszli do ponurego wnętrza.

Na parterze znajdowały się dwa pokoje i mały, wąski korytarzyk obok schodów, teraz zawalony stosem cegieł i spalonych belek. Dwaj ubrani po cywilnemu detektywi przeszukiwali bawialnię. Potrzaskane szkło chrzęściło im pod stopami.

– Komisarz okręgowy Allen? – spytał Liddell.

– Na gorze – odparł jeden z mężczyzn.

Weszli na pierwsze piętro. Black czuł, jak stopnie schodów uginają się lekko przy każdym kroku, a poręcz chwieje się pod dłonią. Najwyraźniej dom był na granicy zawalenia się. Inspektor przypominał sobie budynek, gdzie znaleźli ciało Davida Talbota. Bombardowanie obnażyło ubogie wnętrza, zmuszając je do ujawnienia różnych sekretów. Budzący poczucie beznadziejności odór starych tapet, stęchły zapach rzeczy zbyt długo przechowywanych w piwnicy. Suche drewno, kurz. Krótkie życie gwałtownie przerwane, zapomnienie.

Komisarz okręgowy H. C. Allen czekał na gości u szczytu schodów. Był wysokim mężczyzną o szerokich ramionach i płaskiej, gładko wygolonej twarzy. Na cywilne ubranie zarzucony miał prochowiec. Przedstawił się, po czym wprowadził Liddella i Blacka do niewielkiej sypialni, w której miejsca starczyło jedynie na żelazne łóżko, szafę i umywalkę. Owalny, sznurkowy dywanik zakrywał część drewnianej podłogi. Ściany pokrywała jasnoniebieska tapeta, poźółkła ze starości i od nikotyny.

Na łóżku leżał całkowicie ubrany mężczyzna, oczy zamknięte, ręce wyciągnięte wzdłuż ciała. Był niewysoki, siwy. Wyglądał na jakieś sześćdziesiąt lat. Miał na sobie spodnie, białą koszulę bez kołnierzyka i szary sweter. Ciemnozielona skarpeta na prawej stopie nosiła ślady niewprawnego cerowania. Kaptcie stały schludnie obok łóżka. Na pierwszy rzut oka mężczyzna wydawał się spać, ale jego skóra miała parafinowy odcień charakterystyczny dla niedawno zmarłych. Poduszka wokół głowy przesiąkła krwią i po wyschnięciu przybrała kolor starej rdzy. Na ciele nie było żadnych widocznych ran.

Na ścianie nad łóżkiem widniały cztery nabazgrane krwią litery Z ułożone w kształt przypominający swastykę. Patrząc na zwłoki Black zawsze wyczuwał smutek samotności i porzucenia. Każde martwe ciało wyglądało jak pusty dom zamknięty na zimę, zasłony zaciągnięte, suche liście pod okapem.

– Mieliliśmy wiadomość z Londynu kilka dni temu – powiedział komisarz. – Kiedy go odnaleziono, pomyślałem, że to może być coś ważnego. Pasuje do opisu spraw, którymi się zajmujecie.

– Tak – Liddell skinął głową. – Całkiem możliwe. Czy trzymaliście tę zbrodnię w tajemnicy?

– Tak.

– To dobrze.

– Czy wie pan, kim był zamordowany? – spytał Black, ze zdumieniem unosząc brwi. Rudelski, Talbot, Eddings, ów marynarz z Portsmouth, wszyscy byli młodzi. Czwarta ofiara w ogóle nie pasowała do sprawy.

Allen wyjął z kieszeni płaszcza mały notes.

– Zgodnie ze znalezionymi przy nim dokumentami nazywał się Ivor Dranie.

– Walińczyk? – zainteresował się Liddell. Black wiedział, o czym kapitan myśli. W pierwszych dniach wojny wiele mówiono o piątej kolumnie organizowanej przez walijskich nacjonalistów.

– Tak, Walińczyk, o ile jego nazwisko może być tu dowodem – odpowiedział Allen. – Pięćdziesiąt dziewięć lat. Emerytowany mechanik z Vickers – Supermarine.

– Pięćdziesiąt dziewięć? Trochę za młody jak na emeryta – zdziwił się Black.

– Pytałem ich o to. Miał jakąś chorobę wątroby. Zwolnili go na rentę, jak mi się wydaje.

– Kiedy? – spytał Black.

– Trochę ponad rok temu.

– Był żonaty?

– Wdowiec. Dwoje dorosłych dzieci. Chłopcy. Jeden zginął pod Dunkierką, drugi jest w północnej Afryce.

– Co zeznają sąsiedzi?

– Jeszcze z nikim nie rozmawialiśmy. Wielu zginęło podczas nalotu, a do reszty jeszcze nie dotarliśmy. Sam pan rozumie. W tych okolicznościach...

– Mieszkał sam?

– Na to wygląda.

– Kiedy odkryto zwłoki?

– Dziś rano. O świcie. Jeden z członków obrony przeciwlotniczej rozejrzał się po domu, kiedy już ugasili ogień. – Komisarz przerwał na chwilę. – To dość dziwna historia.

– Pożar? – powtórzył Liddell.

– Tak – Allen kiwnął głową. – Chodźmy, pokażę panom. – Sąsiedni pokój okazał się jeszcze mniejszy niż sypialnia. Jedyne okno wychodziło na ulicę. Ogień strawił fragmenty ścian. Sufit otwierał się na niebo, nadpalone belki stropowe były wyraźnie widoczne. W drewnianej podłodze pod oknem ziała czarna dziura.

– Najpierw myśleliśmy, że to pocisk zapalający – wyjaśnił Allen – ale nie mogliśmy znaleźć łuski i wtedy zauważyliśmy, że ogień posuwał się w górę, co oznaczało, że został w tym pokoju podłożony.

– Tak samo, jak w przypadku Eddingsa – mruknął Liddell. Black rozejrzał się dookoła. Dranie najwyraźniej miał tu rodzaj gabinetu. Kilka wypełnionych książkami półek, drewniany stół, para prostych krzeseł, wielki, na oko całkiem wygodny fotel i pasująca do niego sofa.

Na kominku stała mała fotografia w ramce. Inspektor podszedł bliżej, by się jej przyjrzeć. Zdjęcie najwyraźniej zostało wycięte z jakiegoś czasopisma. Kilkanaście dziwacznie odzianych postaci przechadzało się po jakimś placu. Architektura w tle wyglądała na niemiecką. U dołu widniał napis: *Photo Union, Paul Lamm*.

Black zabrał się do przeglądania półek. Nic ciekawego. Kilka popularnych powieści, poradnik dla mechaników w ośmiu tomach, kieszonkowe wydanie atlasu dla kierowców. Detektyw sięgnął po atlas i uważnie go przekartkował. Żadnych śladów ołówka, zagiętych stron.

– Czy Dranie miał samochód? – spytał.

– Nie – odpowiedział Allen. – Nic o tym nie wiemy. W każdym razie w jego papierach nie znaleźliśmy ani prawa jazdy, ani dowodu rejestracyjnego.

Black podszedł do stołu, który zajmował środek pokoju. Czysty, gładki blat. Oba krzesła porządnie przysunięte. Żadnych szklanek czy filiżanek, niczego, co mogłoby zasugerować, kim był ostatni gość Ivora Dranie. Black raz jeszcze rozejrzał się po pokoju. Gospodarz używał go chyba nie tylko do czytania. Miał jeszcze jakieś przeznaczenie. Ale jakie?

Zastanawiając się nad tym, Black zszedł na dół do saloniku, którego okna wychodziły na ulicę. Umeblowanie pokoju było skromne: ciemna wiktoriańska kanapa, mały okrągły stolik z czterema krzesłami do kompletu i biurko. Pożar i tutaj poczynił spustoszenia. Kanapa i stół nosiły ślady ognia. Biurko pokrywała warstwa sadzy i gruzu, wśród którego tkwiła stara maszyna do pisania firmy Underwood. Szuflady były otwarte i puste.

Inspektor zawrócił do małej kuchenki na tyłach domku. Dwaj policjanci przeszukiwali właśnie kredens. – Biurko we frontowym pokoju – zaczął Black.

Wyższy z mężczyzn podniósł głowę.

– Tak. I co z nim?

– Czy znaleziono coś w szufladach?

– Nic, ciekawego. Papiery, znaczki, ołówki, pióra. Listy i inne takie rzeczy.

– Oficjalne dokumenty?

– To, czego można by się spodziewać. Spakowaliśmy wszystko.

– W porządku.

Liddell i Allen czekali na inspektora u podnóża schodów. Komisarz chwycił słupek balustrady i potrząsnął nim mocno. Cała poręcz zaskrzypiała i poruszyła się.

– Wszystko lada moment się zawali – zawyrokował.

– Co z ciałem? – spytał Liddell.

– To zależy od pana, kapitanie. Mamy własnego koronera, rzecz jasna, ale jeżeli pan zdecyduje... – Zawiesił głos. Black wywnioskował, że Allen wolałby oddać sprawę MI5.

– Inspektorze? – Liddell odwrócił się do Blacka.

– Wolałbym zabrać zwłoki do Londynu.

– Można to zorganizować.

– Do kostnicy świętego Pankracego – dodał Black. – I chciałbym jeszcze dostać wszystkie materiały, jakie udało się tutaj zebrać, jeśli to możliwe.

– Oczywiście – Allen skinął głową. – Nie ma problemu.

– Podam panu adres – włączył się Liddell.

– Coś jeszcze? – spytał Allen. – Możemy kontynuować dochodzenie na naszym terenie, jeśli panowie sobie tego życzą.

Black zastanawiał się przez chwilę, potem powoli pokręcił głową. Propozycja pomocy brzmiała szczerze, ale było oczywiste, że komisarz okręgowy ma inne, bardziej pilne sprawy na głowie. – Nie. Nie sądzę, aby okazało się to konieczne – odpowiedział w końcu.

– Damy panu znać, jeżeli będziemy czegoś jeszcze potrzebować – dodał Liddell. Wręczył Allenowi małą kartkę z wydrukowanym adresem przy Kensington Park Gardens. – Czy może pan dopilnować pozostałych spraw?

– Dziś wieczorem wyeksponujemy wszystko pociągami – obiecał komisarz. Uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie.

– I cóż? – spytał Liddell, kiedy znaleźli się z Blackiem przed domem. – Co pan o tym myśli?

Morris Black zmarszczył brwi, spojrział na wypalone ruiny wzdłuż wąskiej uliczki i pokręcił głową.

– Nie pasuje – powiedział cicho. – Nic tu nie pasuje.

Zanim Black wrócił do domu, nastał wczesny wieczór. Zmierzch zamienił Londyn w zamglone, poznaczone ołowianymi cieniami widmo, nierealne w szarej poświacie. Więcej niż tysiąc balonów zaporowych dryfowało nad wyludnionymi ulicami, jak gdyby próbując unieść w górę całe miasto, ukryć je przed niebezpieczeństwem. Jednak znowu syreny rozpoczęły swoją wieczorną pieśń. Zbliżało się nieuniknione.

Skromna zawartość lodówki skłoniła Blacka do wyjścia, mimo niebezpiecznej pory. Sklepy już zamknięto, a na mdłą zapiekankę podawaną w „Ye Grapes” po drugiej stronie ulicy inspektor nie miał ochoty. Poszedł więc w górę Piccadilly i skręcił na wschód. Po kilku minutach dotarł do położonego poniżej poziomu ulicy wejścia do „White Horse Cellar”.

Ignorując pokusy baru, Morris Black skierował się wprost do ciemnej niskiej sali restauracyjnej i zajął mały stolik pod samą ścianą. Właśnie zamówił piwo, gdy gdzieś w oddali zaczęły spadać pierwsze bomby.

„White Horse” mieścił się w piwnicach elegancją kamienicy zamienionej na biura. Black wiedział, że jest tu dość bezpiecznie, ale mimo wszystko poczuł, jak z napięcia tężeją mu mięśnie policzków. Nalot trwał. Zanim przyniesiono mu jedzenie, inspektor skończył piwo i zamówił następne. Przez chwilę zabawiał się myślą, że wobec niedalekiego sąsiedztwa St. James Street, jeśli zginie, to przynajmniej w dobrym towarzystwie. Jednak jego uwagę zaprzętał w gruncie rzeczy niezwykle los Ivora Dranie, emerytowanego mechanika z Southampton. Black nie miał podstaw, by żywić wątpliwości co do osoby zbrodniarza, ale, poza literami widniejącymi na ścianie nad głową zamordowanego, nie dostrzegł żadnego związku pomiędzy tą śmiercią a trzema poprzednimi morderstwami. Rudelski, Talbot i Eddings – wszyscy oni zdawali się żyć w mrocznym świecie homoseksualizmu, podczas gdy Dranie był wdowcem. Tamci trzej to niemal chłopcy, Dranie miał dwa razy tyle lat, co oni. Tamci zostali zamordowani w anonimowych wynajmowanych pokojach, a Dranie we wła-



snym domu. Dranie leżał na łóżku w ubraniu, tamtych znaleziono nagich. Nic nie pasowało.

Chociaż mogło w końcu mieć jakiś sens. Kuba Pedał nie byłby pierwszym seryjnym mordercą, ani też ostatnim. Nieważne, jaki charakter przybierało ich szaleństwo – zabawy trucizną w przypadku Borgiów czy zarzynanie prostytutek z Whitechapel, misji Kuby Rozpruwacza – zawsze funkcjonował pewien wzór, ogniwo spajające łańcuch. Ten wzór mógł być ohydny, czasem nawet nierozpoznawalny dla „zdrowego umysłu”, ale musiał istnieć. Chodziło tylko o to, by go odkryć. To, co Morris Black postrzegał jako niekonsekwencję, Kubie Pedałowi zapewne wydawało się zupełnie oczywiste.

– Dobry wieczór. – Kobięcy głos. Black zdziwiony spojrział w górę. – Policjant z pociągu, prawda? Filatelista?

– Owszem. – Black zdziwił się, że od razu ją poznał. – Pani jest tą korespondentką wojenną, która pisze o ziemniakach i ma wujka w Cambridge.

– Zgadza się. – Twarz kobiety rozjaśnił uśmiech. – Katherine Copeland.

– Morris Black.

– Wydaje mi się, że już przerabialiśmy ten temat. Mogę usiąść?

– Ależ oczywiście. – Black wskazał ręką krzesło po przeciwnej stronie stołu. Katherine przysiadła z wdziękiem, wygładzając ciemnoszarą spódniczkę na udach. Blackowi ten gest wydał się zdumiewająco intymny. Odchrząknął, żeby ukryć zakłopotanie.

– Byłam w barze. Zajrzałam tu i zobaczyłam pana.

– Czekają pani na kogoś?

– Już ponad pół godziny. Chyba mnie wystawił do wiatru.

– Przykro mi.

– A mnie nie – powiedziała szczerze, uśmiechając się do Blacka przez stół. Inspektor nerwowo poprawił serwetkę. Miał nadzieję, że nie opryskał krawata sosem ani nie wsadził mankietów do zupy. To idiotyczne, ale poczuł się winny z powodu bałaganu na stole. Szczęśliwie pojawił się kelner i zaczął zbierać naczynia. Black odetchnął z ulgą.

– Napije się pani kawy?

– Z przyjemnością. Jak pan sądzi, podają tu to чудо z pianką?

Black odwrócił się do kelnera.

– Dwie filiżanki cappuccino, proszę.

– Oczywiście – kelner skinął głową i oddalił się, balansując wyładowaną tacą.

– Czy tutejsza kuchnia jest dobra? – zagadnęła Katherine.

– Całkiem niezła, zważywszy na okoliczności. – Black z najwyższym trudem dobierał słowa. Czuł się jak ogłupiały młokos. Nagle przypomniał sobie, że jego towarzyszką pali. Zaczął grzebać w kieszeni marynarki, aż w końcu znalazł zapalniczkę i zmiętoszoną paczkę gemsów. – Papierosa?

– Tak, poproszę.

Pstryknął zapalniczką, a Katherine pochyliła się do przodu. Tańczący płomyk rzucał głębokie cienie na delikatnie zarysowane kości policzkowe. Blacka zachwyciła jej uroda. Speszony również sięgnął do paczki i wtedy właśnie przy-

niesiono kawę. Kiedy kelner odszedł, inspektor rozejrzał się po sali. Byli jedynymi gośćmi.

Nie odkładając papierosa, Katherine obiema dłońmi podniosła filiżankę do ust. Cienka linia pianki osiadła na górnej wardze. Dziewczyna uśmiechnęła się i zlizwała ją powoli czubkiem języka. Black przypomniał sobie, że Fay zachowywała się tak samo, zanim nagle pogorszenie stanu zdrowia uniemożliwiło jej odwiedzanie takich miejsc jak „White Horse”. To wspomnienie zaprawiło goryczą uczucie przyjemności, które właśnie zaczynało Blacka ogarniać.

– Dam za nie pensa.

– Przepraszam?

– Pana myśli – Katherine uśmiechnęła się. Wygląda pan na... niezadowolonego.

– Stare wspomnienia.

– Dobrze czy źle?

– Ani to, ani to. Chyba raczej smutne.

– To luksus w dzisiejszych czasach, nie sądzi pan? – Spojrzała w górę. Na zewnątrz, gdzieś niedaleko grzmiała symfonia eksplozji.

– Pewnie ma pani rację. – Zdołał przywołać na usta słaby uśmiech. – Dzisiaj pierwszy raz w życiu leciałem samolotem. Może mój nastrój to skutek szoku.

– Gdzie pan był?

– W Southampton. – Nie miał powodu, żeby jej tego nie mówić.

– Coś ciekawego?

– Morderstwo. – Nadal bez zagrożenia, chociaż ona pracowała w gazecie.

– To niemal śmieszne.

– Nie dla zmarłego.

– Nie zrozumiał mnie pan. Po prostu wydaje mi się dziwne, że w takim momencie policja prowadzi śledztwa. Wojna, bombardowania i tak dalej.

– Ale wokół toczy się życie. Żony mordują mężów i vice versa, włamywacze rabują domy, znikają samochody.

– Wiem. Mój ojciec walczył podczas ostatniej wojny. Opowiadał, że siadywał w okopach o zmierzchu i patrzył na przelatujące jaskółki i nocne jastrzębie. Dziwiło go, że ptaki tam, w górze zajmują się swoimi sprawami, podczas gdy na ziemi umierają tysiące ludzi. Wydaje mi się, że rozumiem, co odczuwał.

– Wojna jeszcze pogarsza sytuację. Wszyscy zostaliśmy wtrąceni w wir innego świata i niektórzy sądzą, że dawne zasady i prawa już ich nie obowiązują.

– Znam kilka takich osób – Katherine zawiesiła na chwilę głos, zaciągając się papierosem. – Dzisiaj miało miejsce inne jeszcze morderstwo – oznajmiła po chwili. – A dokładnie mówiąc, dwa. W ZOO.

– Naprawdę? – Black poczuł rozdrażnienie, ale i przyływ zainteresowania. Z powodu raptownego odkomenderowania z Yardu został odcięty od codziennych plotek. Teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo za swoją pracę tęskni. – Nie słyszałem.

– Jeden z zamordowanych był Amerykaninem, drugi pracował dla szwedzkich linii lotniczych. – Zmarszczyła brwi. – Sądziłam, że wie pan o wszystkim.

– Zajmuję się teraz innymi sprawami – odpowiedział wymijająco. – Gdzie dokładnie ich zabito?

– W toalecie publicznej.

– Och.

Zrozumiała ton głosu Blacka i pokręciła głową.

– Nie. Nie sądzę, aby to było coś w tym rodzaju. Mówi się, że ten Amerykanin to jakiś policjant.

– Naprawdę? A kto tak twierdzi?

Katherine Copeland uśmiechnęła się i zgasiła papierosa.

– Pracuję dla gazety, pamięta pan? Mamy mnóstwo różnych informatorów. Kuzyn „dobrze znanego dostojnika” i brat „wiarygodnego świadka”.

– Dlaczego amerykański policjant włóczyłby się po londyńskim ZOO?

– To raczej ktoś z Departamentu Stanu, tak mi się zdaje. FBI też ma tu swoich ludzi. Kto to zresztą wie?

– Ciekawe.

– Owszem. Niestety, to nie moje zadanie. Ja powinnam zająć się księżniczką Elżbietą i jej domkiem dla lalek. – Westchnęła smutno. – Co przypomina mi, że czas już wracać do domu.

– Nie ma zbyt wielkich szans na taksówkę podczas nalotu.

– Przejdę się na piechotę. – Wzruszyła ramionami. – To naprawdę niedaleko. Hertford Street.

Black uśmiechnął się, uradowany.

– Shepherd’s Market?

– Tak.

– Ja mieszkam na Market Street, tuż za rogiem.

– A więc jesteśmy sąsiadami. – W głosie Katherine zabrzmiała ciepła nuta.

– Czy mogę panią odprowadzić?

– Oczywiście.

Black przywołał kelnera, podał pięciofuntowy banknot i poczekał na wydanie reszty.

– Właśnie pomyślałem – powiedział, kiedy wychodzili z sali – że może pani pomogłaby mi w pewnej sprawie.

– Proszę strzelać.

Black wyjął notes z wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Czy kiedykolwiek słyszała pani o firmie „Photo Union”?

– Jasne. – To agencja fotograficzna. Jedna z większych.

– A nazwisko Paul Lamm? Fotograf?

– Nie mam pojęcia. – Uśmiechnęła się. – Ale to o niczym nie świadczy.

– Jak mogę się czegoś o nim dowiedzieć? Czy „Photo Union” ma swoje biuro w Londynie?

– Nie wiem. – Katherine wzruszyła ramionami. – Zapewne. Spróbuję popytać. Co dokładnie chciałby pan wiedzieć?

– Widziałem dzisiaj pewną jego pracę, która może mieć jakieś znaczenie dla mojego śledztwa. Chciałbym porozmawiać z Lammem, albo przynajmniej dowiedzieć się czegoś więcej o samym zdjęciu.

– Zobaczę, co się da zrobić. Czy mogłabym rzucić okiem na tę fotografię?

- Oczywiście. – Black skinął głową. – Zrobię kopię i prześlę ją pani do redakcji.
- Świetnie.

Wyszli po schodkach na ulicę i przystanęli na chwilę. Zapadła już noc i było całkiem ciemno, ale na wschodzie niebo jaśniało krwawą luną. Znowu East End i doki padły ofiarą zmasowanego ataku, ale Black dostrzegł też o wiele bliżej gęste tumany dymu i jęzory płomieni.

Nagle dwoje ludzi wychyńło z mroku. Mężczyzna po dwudziestce, podtrzymywał za ramię dużo starszą kobietę w męskim płaszczu narzuconym na nocną koszulę. Długie, siwe włosy uciekiniarki fruwały na wietrze, oczy rozszerzone były strachem, a bezzębne usta otwarte jak do krzyku. Black dosłyszał fragment rozmowy, kiedy uchodźcy mijali go, prawie biegnąc.

- Pospiesz się, mamó, musimy dotrzeć do schronu.
- Moje zęby – zawodziła kobieta. – Musimy wrócić po moje zęby!
- Oni zrzucają bomby, mamó, nie kanapki. – Zniknęli, pochłonięci przez ciemność. Black i Katherine poszli w dół ulicy.

Sądząc z jaskrawego blasku, przynajmniej jedna z bomb eksplodowała niedaleko Piccadilly Circus. Nad Covent Garden i Leicester Square rysowały się obłe kształty balonów zaporowych. Bateria przeciwlotnicza z pobliskiego parku włączyła się donośnym jazgotem w otaczający ich wściekły hałas. Black poczuł, jak tężeją mu mięśnie twarzy.

- Może powinniśmy znaleźć jakiś schron, zanim i tu się rozszałeje na dobre – zaproponował. Szaleństwo, szaleństwo, myślał jednocześnie. Zupełnie jakby nalot był letnią burzą.

– Nigdy w życiu! – sprzeciwiła się Katherine, przekrzykując łoskot bomb i artylerii. – To jest niesamowite!

- Niezbyt stosowny czas na podziwianie widoków.
- Chcę podejść bliżej. – Wzięła Blacka za rękę i ruszyła w kierunku wschodnim, wyraźnie podekscytowana.

Inspektor czuł się jak głupiec, ale skuszony ciepłem jej dłoni pozwolił pociągnąć się w dół ulicy.

Trzymając się blisko budynków, szli szybko Piccadilly. Przecięli Albemarle Street, potem Old Bond Street.

Na Piccadilly nie było żywego ducha. Ślepe, czarne okna odbijały blask łuny na wschodzie. Black zdawał sobie sprawę, że narażają się z Katherine na straszliwe niebezpieczeństwo. Modlił się, aby jakiś członek obrony przeciwlotniczej zmusił ich do zejścia do schronu. Jednak pomoc nie nadchodziła.

Inspektor zacisnął zęby; jeszcze kilka kroków i stanowczo zaprotestuje. Schron musi znajdować się gdzieś tu, niedaleko. Rozejrzał się dookoła.

Nagle Katherine zatrzymała się.

- Co to jest?

Black podążył za jej spojrzeniem. Długi i nakryty arkadą pasaż między dwupiętrowymi kamienicami zajmował ciąg sklepów o łukowatych witrynach. Latarniki, przyciemnione zgodnie z przepisami zwiślały pomiędzy świetlikami, tańcząc na długich łańcuchach.

– To Burlington Arcade – wyjaśnił. – Ciągnie się aż do Cork Street.  
– Wspaniale! – Katherine puściła jego rękę i ruszyła w stronę pasażu. Black podążył za nią. – Wygląda jak jakaś świątynia.

– Takie było zamierzenie architekta, jak sądzę. Świątynia zbytku.

Burlington Arcade była uliczką najbogatszych i najkosztowniejszych sklepów w mieście, w których sprzedawano wszelkie towary luksusowe – od ręcznie zwijanych cygar i papierosów po wyrafinowaną biżuterię i robione na zamówienie siodła. W jednej z tutejszych winiarni Black kupił kiedyś zakurzoną butelkę starego portu i ofiarował ją na urodziny Dickowi Capstickowi, chociaż wiedział, że przyjaciel potraktuje wykwintny trunek jak domowe piwo. Ten pomysł podsunęła mu zresztą Fay. Większość najlepszych pomysłów Morrisa Blacka zrodziła się pod wpływem jej subtelnych aluzji.

Patrząc na obcą, o wiele piękniejszą, kobietę spacerującą z rozjaśnionym wzrokiem pod arkadami, Black poczuł nagle straszliwą tęsknotę i znienawidził sam siebie za niewielką przyjemność, jakiej zaznał trzymając Katherine Copeland za rękę.

– Musimy wracać – zawołał. – To zbyt niebezpieczne.

Odrzuciła się z szerokim uśmiechem. Nawet z tej odległości Black dostrzegł jak jej piersi unoszą się pod tkaniną bluzki i zakietu. Katherine była podekscytowana i, Boże dopomóż, on też.

– Jeszcze minutkę. Proszę.

– Nie ma mowy. – Black wyciągnął rękę. Młoda kobieta posłusznie zawróciła i właśnie ujęła go pod ramię, kiedy kamienny chodnik drgał, a szkło z roztrzaskanych świetlików zagrzecotało pod stopami. Bombowce nurkowały przez nocne niebo. Ich silniki wydawały z siebie świrdrujący dźwięk, gdy maszyny raptownie zmieniały kierunek lotu.

– Nie ma z panem żadnej zabawy! – Katherine nie przyznawała się do lęku, ale mocno ścisnęła Blacka za rękę. Nie odpowiedział. Odwzajemnił uścisk i poprowadził swą towarzyszkę z powrotem w kierunku Piccadilly. Usłyszeli wycie syren i głuchy łoskot walącego się muru. Odłamek rozgrzanego do białości metalu odbił się o ścianę budynku tuż obok i uderzył w jezdnię, wypalając w niej zyg-zakowaty wzór. Zmuszając Katherine do biegu, Black zaryzykował spojrzenie przez ramię, ulica za nimi eksplodowała teraz oślepiającymi błyskami co najmniej dwunastu pocisków zapalających. Nocne niebo rozświetlały pomarańczowe i krwawe płomienie.

Inspektor poczuł wybuch, zanim cokolwiek usłyszał czy zobaczył. Zareagował instynktownie, odpychając Katherine pod ścianę. Bomba, pięciotonowe monstrum, spadła u odległego wylotu pasażu. Gorąca fala uderzyła jak olbrzymia, niewidzialna pięść, rozbijając szkło w setkach okien i zmieniając eleganckie witryny w rumowisko gruzów i odłamków.

Świetliki na ujętym w kształcie łuku dachu wyleciały z drewnianych ram, a zerwane z łańcuchów latarnie porwał zabójczy wir.

Black rzucił Katherine na ziemię i przykrył ją własnym ciałem. Płonąca, dymiąca lawina gruzu rzygnęła od strony wejścia do pasażu, tworząc długi na trzy-

dziesięci metrów ognisty jęzor, który ciągnął aż do rzeźbionego frontonu „Egyptian House”. Black poczuł, jak potężny ciężar zwałił się na jego plecy. Katherine krzyknęła. Przywarł do jej miękkiego ciała, nozdrza wypełnił mu zapach lawendowego mydła.

Nie zważając na ból w plecach, inspektor zdołał uwolnić jedną rękę. Grzebał teraz gorączkowo, odrzucając na boki zwały tynku, cegieł i kamieni. W końcu udało mu się całkowicie oswobodzić spod rumowiska. Podniósł się i pociągnął za sobą Katherine. Stali tak przez chwilę, jakby nie potrafili się od siebie oderwać.

Świat dookoła nich zupełnie oszalał. Wszędzie huczał i trzaskał ogień, waliły się ściany. Kątem oka Black zauważył wóz strażacki. Mężczyźni w hełmach biegli w ich kierunku, rozwijając parciane węże. Pojawił się drugi samochód, potem trzeci.

– O Boże! – jęknęła Katherine. Przytuliła się mocniej do swego towarzysza, a po chwili podniosła twarz i przycisnęła wargi do jego ust. Przez moment Black smakował chłodną słodycz jej języka. Nagle poczuł na ramieniu czyjąś ciężką rękę.

– Co, u jasnej cholery, tu robicie! – Wykrzywiona wściekłością twarz należała niewątpliwie do strażnika obrony przeciwlotniczej. Mężczyzna mocno popchnął Blacka. Tymczasem ekipa strażaków ruszyła już do akcji. Długi łuk wody dosięgnął płonącego wylotu pasażu.

– Spierdalać stąd, ale już! Nie mam czasu dla takich jak wy!

Nadal obejmując Katherine, Black odszedł parę kroków. Katherine potknęła się, przeskakując nad pogruchotanymi szczątkami jednego ze świetlików.

– Wszystko w porządku?

Kiwnęła głową.

– Tak. W porządku. – Zadrżała i złapała inspektora za rękę. – Jeszcze kilka sekund i... Boże! – Popatrzyła na niego rozszerzonymi oczami. Podniecenie zniknęło, pozostał szok i strach. – Uratował mi pan życie.

– Zabiorę panią do domu.

Dwadzieścia minut później dotarli na Hertford Street. Za nimi, daleko, trwał nalot.

– Jest pani pewna, że wszystko w porządku? – raz jeszcze spytał Black.

– Tak. – Słyszał, jak wciąga powietrze i wdycha. – Czy wejdzie pan na drinka? Muszę coś zrobić, żeby uspokoić nerwy.

Morris Black przypomniał sobie zapach jej włosów i chłodny dotyk ust. Poczł się zawstydzony, choć sam nie miał pojęcia, dlaczego.

– Dobrze – powiedział. To wszystko nie miało sensu. Katherine otworzyła drzwi i Black podążył za nią po ciemnych schodach. Wprowadziła go do bawialni, zaciągnęła story i włączyła światło. Pokój umeblowano tanimi sprzętami. Brakowało mu indywidualnego piętna. Przy oknie stało zavalone papierami biurko. Katherine wskazała Blackowi fotel, a sama podeszła do małej szafki z jasnego drewna, wciśniętej tuż przy drzwiach do kuchni. Wyjęła dwie butelki.

– Może być szkocka lub szkocka – zażartowała.

– Chyba napiję się szkockiej.

– Lodu?

Black uśmiechnął się.

– Nie, dziękuję. – Zimne piwo, lód w drinkach. Ci Amerykanie przejawiają dziwne upodobania.

– To dobrze, bo go nie mam. – Nalała dwie szklaneczki nierozcieńczonego alkoholu, podała jedną Blackowi i usiadła naprzeciwko gościa, podwijając nogi pod siebie i wygładzając spódniczkę. Black pociągnął łyczek, potem odstawił drinka na mały stolik.

– Dziwny przypadek, nie uważa pani?

– Co?

– Nasze spotkanie w tej restauracji.

Katherine wzruszyła ramionami.

– Niezupełnie. Często tam bywam. To blisko.

– Ale pytała mnie pani o ich kuchnię. Brzmiało to tak, jakby pani nie znała menu.

– Umawiam się zwykle w barze. Nie jadam tam. – Uniosła brwi. – Mam wrażenie, że jestem przesłuchiwana?

Black uśmiechnął się.

– Zawodowe przyzwyczajenie. – Poczuł się nieswojo, co było raczej niezwykłe. Siedział tu, obok kobiety, którą uważał za wyjątkowo atrakcyjną, i robił co tylko mógł, aby zrujnować tę znajomość.

– Sądził pan, że czekałam i śledziłam pana aż do restauracji?

– Przemknęło mi to przez myśl.

Katherine pokręciła głową.

– Czy zawsze zachowuje się pan tak podejrzliwie w stosunku do nowo poznanych osób?

– Dość często. – Black wzruszył ramionami. – Zasadniczo spotykam się z ludźmi w taki czy inny sposób związanymi ze środowiskiem kryminalnym. Osoby takiego pokroju często mają skłonności do kłamstwa, niezależnie od tego czy trzeba, czy nie.

– I sądzi pan, że również ja do tego rodzaju należę?

Uśmiechnął się.

– Jest pani dziennikarką.

– I dlatego nie można mi ufać?

– Podstawowa zasada policjantów.

– Pan musi być ciągle w depresji.

– Jestem Żydem, panno Copeland. Żydzi powinni być w depresji. Ludzie wręcz oczekują tego.

– Przypuszczam, że to miało zabrzmieć zabawnie?

Black ponownie wzruszył ramionami.

– Żydzi powinni być zabawni. Ludzie oczekują też i tego. – Mój Boże, pomyślał, co się ze mną dzieje? Prawie nigdy nie robił aluzji do swojego wyznania, a już na pewno nie dwa razy w ciągu trzydziestu sekund. Czy aż tak wytrąciło go z równowagi towarzystwo atrakcyjnej kobiety?

Katherine przełknęła resztkę drinka i nałała sobie następnego.

– Sądzę, że pan lubi być w depresji. Nosi ją pan jak mundur.

Black parsknął śmiechem, w głębi duszy zdziwiony, że tak bardzo bawi go słowna szermierka. – Mówi pani raczej jak psychiatra, niż jak dziennikarka.

– A pan mówi tak, jakby pan potrzebował pomocy psychiatry, inspektorze. – Pociągnęła długi łyk. – Ta pańska gorycz i strach, że prześladowuje pana zesłana przez piekło amerykańska reporterka, która próbuje pana uwieść. – Roześmiała się. – Zapewne uważa pan, że osobiście zorganizowałam bombardowanie tego właśnie pasażu, czy jak tam to miejsce się nazywa.

– A naprawdę została pani zesłana przez piekło, żeby mnie uwieść?

Młoda kobieta pokręciła głową.

– Niezupełnie, ale naprawdę pana lubię. – Uśmiechnęła się. – A może to też powód do podejrzeń?

– Nie. – Zapadła cisza. Black słyszał dochodzący z oddali stłumiony huk eksplozji. – Muszę iść – oznajmił w końcu. – Już późno. – Katherine odprowadziła go do drzwi. Miał już wyjść na korytarz, kiedy położyła mu rękę na ramieniu. Odwrócił się. Wtedy ona nagle przytuliła się mocno i pocałowała go w policzek.

– Naprawdę pana lubię – powiedziała cicho i zamknęła drzwi. Stała przez chwilę bez ruchu, wreszcie oprzytomniała i wróciła do bawialni. Wyłączyła światło i odchyliła zasłonę. W chwilę później dostrzegła niewyraźną postać Blacka. Szedł w dół ulicy, w kierunku Market Street.

– Niech cię diabli, Bingham! – szepnęła. – I ciebie też, Black! – Pozwoliła opaść zasłonie.

Morris Black był już w połowie drogi, kiedy przypomniał sobie coś, co powiedziała Katherine. Zdenerwowany, aż przystanął. Spotkali się tylko dwa razy – w pociągu do Cambridge i dziś w restauracji. Przy obu okazjach przedstawił się po prostu jako Morris Black, policjant. Nic więcej.

Ale parę minut temu Katherine Copeland nazwała go „inspektorem”. Black stał tak przez dłuższą chwilę, przeszukując pamięć, niemal pewien, że nigdy nie wspomniał o swoim stopniu ani o tym, że pracuje w Scotland Yardzie. Ale ona wiedziała. Skąd? I ważniejsze, dlaczego interesował ją na tyle, że zasięgnęła o nim informacji?



## Rozdział trzynasty

PIĄTEK, 20 WRZEŚNIA 1940 ROKU

**9.00 BRYTYJSKIEGO CZASU LETNIEGO**  
**10.00 CZASU ŚRODKOWEUEROPEJSKIEGO**

**S**amochód Liddella czekał na Kensington Park Gardens tuż po dziewiątej. Black wsiadł i skierowali się na południe, w stronę Thames Embankment. Kiedy jechali Gloucester Road, Liddell sięgnął do kieszeni tweedowej marynarki i wyjął złożony arkusz światłoczułego papieru. Wręczył go Blackowi.

- Malmstrom, ten Szwed, ukrył to w jednej z toalet w ZOO.
- A Amerykanie znaleźli? – Black spojrzął na kopię. Zawierała zwarty blok cyfr.
- Ściśle mówiąc, znalazł ten, który przeżył.
- I tak po prostu przekazali to panu?
- Nie aż tak po prostu – uśmiechnął się Liddell. – My też śledziliśmy Malmstroma – z zupełnie innych powodów – i natknęliśmy się na Amerykanów. Z wdzięczności za to, że ukryliśmy fakt, iż ich agent pozwolił się zabić w publicznym kiblu, zgodzili się „podzielić” z nami pewnymi informacjami.

Black podniósł wzrok znad dokumentu.

- Sądzi pan, że to morderstwo ma coś wspólnego z Kubą Pedalem?
- Sądzę, że istnieją pewne powiązania z Doktorem, a to niemal równie dobre. Przesłałem kopię tych papierów do Bletchley, ale jak dotąd nie poszczęściło im się. Potrzebujemy klucza do złamania szyfru. Może jeszcze trochę za wcześnie, ale myślę, że powinniśmy zawiadomić Knighta.

- Maxwella Knighta?

Liddell skinął głową.

- Tak. Właśnie jedziemy się z nim zobaczyć.
- Zauważyłem jego nazwisko na waszej liście ludzi z Magicznego Kręgu. – Zgodnie z obietnicą, w kilka godzin po spotkaniu Desmond Morton zapatrzył inspektora w spis wszystkich osób, które zostały oficjalnie poinformowane o Enigmie.

- To prawda – powiedział kapitan. – Facet specjalizuje się w Partii Komunistycznej i piątej kolumnie. Dziwak. Typ samotnika. Czasami znika na całe dnie,

a potem pojawia się bez słowa wyjaśnienia. Jednak może rzucić nieco światła na kontakty Malmstroma. Jak pan sam wie, figuruje na liście, a więc i tak trzeba by z nim porozmawiać.

– W porządku.

Biuro Maxwella Knighta mieściło się przy Dolphin Square, w masywnym kompleksie łączących się ze sobą budynków z czerwonej cegły, zajmującym spory teren między Grosvenor Road a Tamizą. To założenie architektoniczne, stworzone kilka lat przed wojną, stanowiło ewenement na skalę europejską i było całkowicie samowystarczalne, z podziemnym garażem, sklepami i kilkoma restauracjami.

Dla Blacka budowla przy Dolphin Square, otoczona zniszczonymi przez czas tarasami Pimlico i staroświeckimi pensjonatami, wydawała się uosobieniem ponurego koszmaru rodem z powieści Wellsa. Natomiast dla Maxwella Knighta, szarej eminencji B5(b), stanowiła idealne miejsce pozwalające na zachowanie całkowitej anonimowości.

Pod dzwoniem znajdowała się tabliczka z nazwiskiem Coplestone. – To jego żona, Lois – wyjaśnił Liddell, naciskając guzik. – Jeśli można tak powiedzieć.

– Jeśli można tak powiedzieć?

– Są w separacji. Nigdy nie miał szczęścia do kobiet, jak słyszałem. Jego pierwsza żona popełniła samobójstwo.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich człowiek o straszliwie poparzonej twarzy. Nosił spodnie na szelkach i białą koszulę z podwiniętymi rękawami. Schludny, czerwony krawat wystawał spod kołnierzyka. Mężczyzna wyglądał, jakby ktoś przyłożył mu do twarzy pochodnię. Brwi zniknęły, nos rysował się ledwie, ledwie, usta właściwie nie istniały. Skóra na szczęce i policzkach została niezdarnie zszyta.

– O, kapitan Liddell. – Uprzejmie zaprosił gości do środka.

– Dzień dobry, Baines. Czy jego lordowska mość jest gdzieś w pobliżu?

– Na tyłach. – Z głucho brzmiącego szeptu, można było wnioskować, że ogień zniszczył nie tylko twarz Boinesa, ale naruszył także i struny głosowe.

– Szkolny kolega Knighta – powiedział cicho Liddell, kiedy szli do bawialni. – Zestrzelili go nad Francją.

Zasłony na wielkim oknie były zaciągnięte. Przystojna blondynka pracowicie pisała coś na maszynie. Biurko przy którym siedziała, oświetlała wysoko umieszczona lampa. W mrocznym pokoju znajdowało się jeszcze kilka innych biurek, rząd szafek na akta i duża, wsparta na stojaku tablica.

Kiedy weszli, w przeciwnych drzwiach pojawił się niewysoki, starannie ogolony mężczyzna o orlim nosie i szerokich ustach. Miał na sobie mundur oficerski z licznymi baretkami odznaczeń. Gospodarz uśmiechnął się lekko na widok Liddella.

– Cześć, Guy. Chcesz puścić kota między gołębie? – Para bardzo jasnych niebieskich oczu przez chwilę oceniała Blacka. Inspektor zdziwił się. Knight zupełnie nie wyglądał na absolwenta Eton lub Cambridge. Jego wymowa budziła podejrzenie, iż pochodził z głębokiej prowincji. A może wychowywał się w jakieś odległej kolonii?

– Żadnych kotów i gołębi, Max. Przyszliśmy w sprawie Malmstroma. To inspektor Morris Black. Został do nas na jakiś czas oddelegowany.

– Malmstrom. – Knight pokiwał głową. – Nasz Szwed – literat. – Błysnął zębami w drapieżnym uśmiechu. – Przejdźmy do mojego biura.

Pokój, do którego weszli, zapewne niegdyś musiał pełnić rolę sypialni, ale teraz zagracały go meble o zupełnie innym charakterze. Knight usiadł za biurkiem, podczas gdy Black i Liddell zajęli miejsca po przeciwnej stronie.

– Dlaczego literat? – zainteresował się Liddell. – Czy znalazłeś coś nowego?

– Dostaliśmy właśnie od Purchase’a z biura koronera wstępne wyniki sekcji. Malmstrom został zabity za pomocą wiecznego pióra.

– Dobry Boże! – Kapitan roześmiał się. – Potwierdza się teoria, że piórem więcej można zdziałać niż mieczem. – Knight zmarszczył brwi, słysząc ten makabryczny żart.

– Jak się zorientowali? – spytał Black, ignorując nieestosowny komentarz Liddella.

– Całkiem proste – odpowiedział sucho Knight. – Stalówka wbiła mu się w mózg. To może się nam przydać.

– Dlaczego?

– Bo stalówka jest włoska. Złota. Z napisem *Rover*, co oznacza, że pochodzi z firmy *Rodolpho Verlicchi* w Bolonii. Niewiele znajduje się w Anglii piór tej marki.

– To niezbyt wyraźny trop – powątpiewał Black.

Knight uniósł bujne brwi.

– Rzadko się taki zdarza, inspektorze.

Bez żadnego powodu Black poczuł, że nie lubi tego człowieka. Nie chodziło o coś szczególnego. Odnosił tylko wrażenie, iż Knight wszystkich traktuje z góry. Nie mógł sobie wyobrazić, aby ten człowiek miał wielu przyjaciół.

– Co jeszcze? – spytał z nadzieją Liddell.

Gospodarz wzruszył ramionami.

– Nic, poza oczywistymi sprawami. Amerykanie twierdzą, że śledzili Malmstroma, ponieważ kiedyś pracował on jako pilot dla Axela Wenner-Grena.

– O rany – powiedział Liddell. – Tylko nie to.

– Nie znam tego nazwiska – włączył się Black.

Bujne brwi Knighta znowu drgnęły.

– Nie ma powodu, aby je pan znał, inspektorze. W tym środowisku nie spodziewałbym się spotkać kogoś takiego jak pan.

Black stłumił chęć, aby zapytać, co oznaczają słowa „kogoś takiego jak pan”. Zamiast tego zapalił papierosa, doskonale świadom tego, że w okolicy nie widać żadnej popielniczki.

– Wenner-Gren jest właścicielem wielkiej firmy o nazwie *Electrolux* – wyjaśnił Liddell. – Wynałazł odkurzacz i takie tam.

– Posiada też znaczne udziały w *Bofors*, szwedzkiej spółce zbrojeniowej – dodał Knight. – A także zajmuje się interesami *Kruppa* na terenie Szwecji. Han-

dlużej i z Amerykanami, i z Niemcami. – To nazista. – Sięgnął po mały szklany spodek, wypełniony pinezkami. Wrzucił jego zawartość do szuflady i podsunął talerzyk Blackowi.

– Dlaczego się nim interesujecie? – Inspektor strząsnął posłusznie popiół na talerzyk.

– Oczywiście, że nie.

– Wenner-Gren jest także bliskim przyjacielem człowieka o nazwisku Bedeaux – wtrącił Liddell. – Naturalizowanego Amerykanina. A Charles Bedeaux ma udział w kilku bankach, włącznie z Banque Worm w Genewie, którego część członków rady nadzorczej stanowią działacze partii nazistowskiej.

– Nadal nie rozumiem...

– Bedeaux z kolei jest przyjacielem Jego Królewskiej Wysokości Księcia Windsoru – ciągnął Knight. – Był częściowo odpowiedzialny za zorganizowanie wizyty księcia w Niemczech w 1937 roku. Książę i ta Simpson pobrali się w jego zamku we Francji.

– Śledziliśmy księcia i jego przyjaciół na długo przed wojną. Bedeaux doprowadził nas do Wenner-Grena, Wenner-Gren z kolei do Malmstroma. Wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazują na to, że Amerykanie po prostu wpadli w naszą sieć.

– To nie wyjaśnia podwójnego morderstwa.

– Malmstrom nie poszedł do ZOO, żeby podziwiać zwierzęta – powiedział Knight. – Miał się tam z kimś spotkać. Zapewne ta osoba zauważyła, że Szwed jest śledzony i zabiła go.

– A co z Amerykaninem? Dlaczego on zginął?

– Po prostu pech. Jego towarzysz, ten, który przeżył, wszedł do toalety koło akwarium, aby sprawdzić, czy Szwed nie zostawił tam czegoś i odkrył ich skrzynkę kontaktową. W tym samym czasie drugi agent śledził Malmstroma do toalety przy tunelu. Malmstrom długo nie wychodził, Amerykanin chciał sprawdzić, co się stało... i zginął.

– Dlaczego uważacie, że zabójca Szweda, był niemieckim agentem? – spytał Black.

– Ponieważ Malmstrom pracował nie tylko dla Wenner-Grena, czy dla Bedeaux. Miał też innego mocodawcę. – Knight założył okulary, otworzył leżącą na biurku teczkę i wyjął niezbyt wyraźną fotografię. Dwóch mężczyzn siedziało w jasnym słońcu w ogródku kawiarnianym. Zdjęcie wyglądało tak, jakby zrobiono je przy pomocy teleobiektywu z samochodu zaparkowanego po drugiej stronie ulicy.

– Blondyn po lewej to Malmstrom – wyjaśnił Knight. – A ten ciemnowłós naprzeciwko nazywa się Ernest Filbert.

– Jak orzech\* – powiedział niewinnie Black.

– Tak – Knight nie przejawiał nastroju do żartów. – Zdjęcie pochodzi z czerwca tego roku. – Wręczył Blackowi drugą fotografię. Ta była o wiele wyraźniejsza. Pokazywała Filberta w towarzystwie jakiegoś wysokiego mężczyzny. Wsiadali z samochodu przed imponującym budynkiem, nad wejściem do którego powie-

---

\* filbert to w jęz. angielskim leszczyna – przyp. tłum.

wała flaga ze swastyką. Obaj mieli na sobie czarne mundury SS. – Ten człowiek z Filbertem to Walter Schellenberg. Filbert jest jego asystentem, a Schellenberg z kolei pełni funkcję zastępcy Gruppenführera Reinharda Heydricha, szefa SD. Zdjęcie zrobiono w Lizbonie, pod koniec lipca.

– A więc sądzicie, że Malmstrom pracował dla Schellenberga? – Black rozpaczliwie usiłował rozeznaczyć się w powodzi obcych nazwisk i powiązań. Jeszcze trochę informacji i utonie.

Knighr skinał głową.

– Myślę, że to uzasadniony wniosek.

Inspektor oddał fotografie.

– W porządku – powiedział powoli. – Malmstrom pracował dla Schellenberga. Co nam to mówi o człowieku, z którym miał się spotkać, o Doktorze?

– Schellenberg został przygotowywany do kierowania zagraniczną sekcją wywiadu SS pod kierunkiem Heydricha. Jeżeli Heydrich ma tu agenta, to jest to najprawdopodobniej człowiek Schellenberga. Musi to być ktoś wysoko postawiony, a więc agent o szczególnym znaczeniu. Knighr przerwał na chwilę i spojrział na Liddella. – Ktoś o wiele ważniejszy, niż przypuszcza Masterman.

– To nadal nic nam nie mówi o tym człowieku – nalegał Black.

– Jeszcze nie. – Knighr wzruszył ramionami. – Ale na szczęście wiadomość pozostawiona przez Malmstroma daje pewne wskazówki.

– Potrzebujemy czegoś więcej – głos Liddella brzmiał ponuro.

Siedząc przy oknie w kawiarni sztokholmskiego Grand Hotelu, Charles Tennant palił kolejnego papierosa i wpatrywał się w zalane słońcem mury Pałacu Królewskiego. Na otwartych wodach Saltsjon kołysało się kilka żaglówek, a mały stateczek widokowy sunął uparcie na południe.

Bóg jeden wie, kto w dzisiejszych czasach chciałby podziwiać widoki, pomyślał Tennant. Statek zapewne miał na pokładzie więcej szpiegów niż niewinnych pasażerów. Niemcy wypytyjący o Rosjan, sowieccy oficerowie gawędzący z brytyjskimi dyplomatami. Norwescy uchodźcy negocjujący ze szwajcarskimi bankierami, szwajcarscy bankierzy odbywający sekretne spotkania z amerykańskimi udziałowcami. Wszyscy śledzili wszystkich.

Poza Szwajcarią Szwecja stanowiła jedyne neutralne państwo w Europie. Jednak po inwazji niemieckiej na Polskę szybko stała się skandynawskim odpowiednikiem Lizbony, północną wylęgarnią intryg, połączoną bezpiecznymi, aczkolwiek nieregularnymi, lotami z Londynem, Moskwą, Berlinem. Tennant pokręcił głową, potem zgasił papierosa w przepelnionej popielniczce. Popelniał głupstwo przyjeżdżając tutaj, ale nie widział żadnego innego wyjścia. Chciał jak najszybciej wydostać się z Anglii.

Krótką podróż lotniczą do Berlina i spędzi resztę wojny, pracując dla Heydricha w jednym z tych przekształconych na biura starych pożydowskich domów. Może będzie czytał angielskie gazety i wnioskuje z ich treści o stanie ducha i morale Brytyjczyków.

Spojrzał na zegarek. Już czas. Wstał, rzucił pięciokoronówkę na stół i wyszedł z kawiarni. Od strony wody wiał przenikliwy wiatr. Tennant postawił kołnierz płaszcz, aby ochronić się przed chłodem.

Na postoju za rogiem znalazł taksówkę i polecił kierowcy zawieźć się do Skansenu. Przejechali przez nowoczesne skrzyżowanie autostrad w Slussen w kształcie liści koniczyny, potem szeroką aleją biegnącą wzdłuż wody dotarli do mostu. Minęli przypominające zamek Muzeum Nordyckie i w końcu zatrzymali się przed głównym wejściem do Skansenu.

Tennant wręczył kierowcy dziesięciokoronowy banknot i nie czekając na resztę, wysiadł z samochodu. Dołączył do niewielkiej kolejki przy bramie, zapłacił za bilet i wszedł na teren parku. Wśród typowej szwedzkiej roślinności wzniesiono tu liczne budynki odzwierciedlające różne rodzaje narodowej architektury, od typowej farmy mlecznej, poprzez staroświecką lapońską chatę, warsztat rzemieślnika, kościół, aż po dwór szlachecki.

Można też było obejrzeć szwedzką wioskę, gdzie przebrani w stroje ludowe statyści prezentowali trudy i uroki dawnego sielskiego życia: wyrabiali masło i ser, wypiekali chleb, pletli kosze, obsługiwali staroświeckie prasy drukarskie.

Tennant nawet na nich nie zerknął. Nie zwracając też uwagi na widoki, wspiął się na niewysoki pagórek koło bramy, po czym skręcił w lewo i, minąwszy obozowisko Lapończyków, dotarł wąską ścieżką do basenu fok.

Znalazł ławkę, usiadł i czekał. Spoza drzew dobiegał mocny zapach smoły. W jasnym słońcu sceneria wydawała się wręcz idylliczna.

Grupka dzieci, ubranych w skórzane spodni i kolorowe koszule, uganiała się wzdłuż ogrodzenia otaczającego basen. Maluchów pilnowała przysadzista kobieta z wielkim biustem, w czepku i fartuszkach pielęgniarki. Wszędzie trzymając się za ręce, spacerowały pary zakochanych. W pewnej chwili koło doktora przeszło trzech białobrodych staruszków. Rozmawiali głośno w melodyjnym szwedzkim języku, a ich ciemne ubrania i laski pochodziły zapewne z poprzedniej epoki.

Minęło piętnaście minut i w końcu zobaczył człowieka, na którego miał czekać. Udając zwykłego turystę, mężczyzna kroczył powoli ścieżką w jego stronę. Tennant niemal roześmiał się na głos, kiedy zobaczył, kogo Heydrich przysłał na spotkanie. Schellenberg w ciemnoniebieskim garniturze i śmiesznym małym kapelusiku. Pozbawiony oficerskich butów i czarnego munduru SS wyglądał jak młodszy wspólnik w handlowej firmie albo urzędnik w biurze prawniczym. Wysoki i szczupły, o jasnej gładkiej cerze miał urodę chłopięcą czy może wręcz kobiecą. Jedyne dysonansy w przystojnej twarzy stanowiła biegnąca przez lewy policzek aż do połowy szczęki blizna.

Tennant nie żywił złudzeń co do tego człowieka. Trzydziestoletni Walter Schellenberg osiągnął już znaczną pozycję w hierarchii SS. Był inteligentny, sprytny. Ukończył medycynę i prawo na uniwersytecie w Bonn. Do partii nazistowskiej należał od czasu, kiedy doszła do władzy w 1933 roku i całkowicie poświęcił się idei hegemonii Niemiec w Europie. Rozsądnie nie okazywał jakiegokolwiek chęci, by sięgnąć po stanowisko swego szefa i najwyraźniej zado-

walał się tym, co uzyskał. W poprzednim roku udało mu się porwać w Holandii dwóch brytyjskich agentów, którzy załamali się podczas przesłuchań. Doprowadziło to do zawalenia się w ciągu jednego popołudnia całej brytyjskiej sieci szpiegowskiej w Europie.

Schellenberg usiadł na ławce obok Tennanta i przez chwilę obserwował dzieci biegnące dookoła basenu z fokami. Kątem oka psychiatra dostrzegł, że Niemiec się uśmiecha. Blizna na jego twarzy stała się bardziej wyraźna. W końcu przemówił nieskazitelną angielszczyzną z lekkim obcym akcentem.

– No cóż, Doktorze, jestem, jak pan sobie tego życzył. – Heydrich najwyraźniej dotrzymał słowa i nawet Schellenberg nie znał prawdziwego nazwiska Tennanta. W tych kilku przypadkach, kiedy lekarz spotkał się z Schellenbergiem, używali jedynie pseudonimów. Niemiec nie byłby zadowolony, że Tennant rozszyfrował jego tożsamość.

– Hauptmann Schaemmel.

– A więc nie zapomniał pan – Schellenberg uśmiechnął się szeroko.

– Mam bardzo dobrą pamięć.

– Ja też. – Niemiec sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął małą skórzaną papierosnicę. Zapalił i wygodnie rozparł się na ławce.

– Mam pilną sprawę – powiedział Tennant.

– Malmstrom? Szwedzki kurier?

– Nie znałem jego nazwiska.

– To nie ma znaczenia. – Schellenberg znowu się uśmiechnął.

– Wie pan o jego śmierci?

– Oczywiście.

– To ja go zabiłem.

Schellenberg wyglądał na zdziwionego, a jednocześnie zadowolonego.

– Dobry Boże. Nigdy nie przypuszczaliśmy, że to pan. Ciekawe.

– Jest jeszcze sprawa tego drugiego mężczyzny.

– Też pan go zabił?

– Tak. Był agentem MI5. We dwóch śledzili Malmstroma.

– MI5? Dlaczego pan tak myśli?

– A nie mam racji?

– Okazało się, że to byli Amerykanie. – Schellenberg zaciągnął się papierosem. Dzieci koło basenu dla fok hałasowały coraz bardziej. Zdesperowana opiekunka chwyciła jednego z chłopców za ucho i odprowadziła na bok. Reszta grupy podążyła za nimi. Na chwilę Schellenberg i Tennant zostali sami.

– Amerykanie?

– Nowa siatka zorganizowana przez Williama Donovana. „Dzikiego Billa”, jak zdaje się go nazywają. Amatorzy.

– Dlaczego Amerykanie mieliby śledzić Malmstroma?

– Z tego samego powodu, co MI5. Obserwacja personelu ambasady szwedzkiej to działanie profilaktyczne. Identycznie traktują ambasadę Portugalii na Portman Square i konsulat Szwecji na Montagu Place. Standardowa procedura.

– Wszystko pięknie, ale ja zostałem zdekonspirowany.



- Czy ktokolwiek widział pana?
- Nic mi o tym nie wiadomo.
- Młodszy mężczyzna wzruszył lekceważąco ramionami.
- A więc w jaki sposób został pan zdekonspirowany?
- Sądzę, że Malmstrom miał przekazać odpowiedź na mój wcześniejszy raport, prawda?
- Tak.
- Nie znalazłem przy nim żadnej wiadomości. Zapewne zostawił ją gdzieś wcześniej.
- Nie sprawdził pan drugiej skrzynki?
- Nie. I nie mogę tam teraz wrócić. Będą teraz obserwować ZOO. Zresztą MI5 pewnie też tam już siedzi.
- Rozumiem. – Schellenberg pomyślał przez chwilę, potem skinął głową. – Ma pan rację.
- A więc Amerykanie przejęli meldunek. Meldunek przeznaczony dla mnie.
- Był zakodowany.
- Każdy szyfr można złamać.
- To zajmie im całe tygodnie. Nie mają już takich specjalistów, jak przed laty. Odkrycie klucza będzie dla nich bardzo trudne.
- Trudne, ale nie niemożliwe.
- Tak. Nie można tego wykluczyć – zgodził się Schellenberg.
- Wiadomość prawdopodobnie zawiera mój pseudonim. Mając dosyć czasu, mogą trafić tym tropem.
- Owszem – Schellenberg w zamyśleniu tarł palcem bliznę. – Czas – odgrywa w tej sprawie zasadniczą rolę. – Odwrócił się i spojrzał wprost na Tennanta. – Decyzja należy do pana. Wraca pan do Londynu czy rezygnuje z dalszej działalności na tym terenie i przenosi się do mnie do Berlina?
- Nie lubię się poddawać. Ale jeżeli mam ponosić ryzyko, muszę znać płynące z niego korzyści.
- Ostatni pana raport bardzo nas zainteresował. Zwłaszcza zważywszy na zamieszanych w tę historię ludzi. Zwykle brytyjski wywiad nie angażuje się w dochodzenie w sprawie zwykłego morderstwa. Dzieje się tu coś niesłychanie dziwnego. Musimy wiedzieć, o co chodzi. Uzyskaliśmy pewne informacje... – Schellenberg przerwał raptownie i zacisnął usta. – Od czasu, kiedy doniósł nam pan o systemie przewerbowywania agentów, z najwyższą ostrożnością podchodzimy do wszelkich rewelacji Abwehry. – Zaśmiał się szorstko. – Co nie znaczy, że Gruppenführer Heydrich kiedykolwiek wierzył w choć jedno słowo, które wyszło od Canarisa. – Szczerze mówiąc, Doktorze, jest pan naszym jedynym wiarygodnym źródłem informacji na brytyjskim terenie. Polegamy na panu.
- Tennant nie brał na serio tego myślenia oczu. Wiedział doskonale, że Schellenberg i Heydrich mają jeszcze kilku innych agentów w Londynie. Zaniepokoiło go natomiast nie wypowiedziane zdanie. To było bardzo znaczące. Spiski i kontrspiski, plany w planach. Coś się działo. Nagle myśl o wyjeździe do Berlina wydawała się przerażająca. Tennant znał wystarczająco wielu ludzi pokroju



Schellenberga czy Heydricha, aby wiedzieć, że zwyczajny pionek, zaplątany w nazistowskie rozgrywki, może nagle zniknąć w zapomnieniu. Doktryna Freuda miała zapewne liczne niedostatki, ale Tennant wierzył w siłę podświadomości i wartość ślepego, nieuzasadnionego przeczucia. Podjął decyzję.

– Jeżeli pozostanę w Londynie, potrzebuję nowego systemu porozumiewania się.

– Wszystko da się zorganizować.

– I jeszcze wiadomość, którą miał mi przekazać Malmstrom. Czy może pan dowiedzieć się w jakiś sposób, co się z tym meldunkiem stało?

– Oczywiście. Nadal mamy informatora w ambasadzie amerykańskiej. Całkiem dobrego, prawdę mówiąc.

– W porządku.

– A więc wraca pan? To dochodzenie jest aż tak ciekawe?

– Tak – Tennant skinął głową, wdychając lekko. – Wracam.

W biurze przy Kensington Park Gardens Morris Black, jęcząc w duchu, czytał po raz kolejny dostarczoną mu przez Liddella listę osób z Magicznego Kręgu. W pokoju obok, nazywanym potocznie Pokojem Map, posterunkowy Swift uważnie katalogował dowody rzeczowe, układając je porządnie w metalowych szafkach ustawionych na podeście, u szczytu schodów.

Od kilku godzin Black wpatrywał się w spis nazwisk na położonej przed nim kartce, palił papierosa za papierosem i słuchał niezdmordowanego klekotu maszyny Swifta, któremu to dźwiękowi towarzyszył akompaniament w postaci przeraźliwego pogwizdywania. Wszystko to rozpraszało. Inspektor stwierdził ze smutkiem, że w ogóle nie potrafi się skupić.

Od tamtej nocy, kiedy zbombardowano Burlington Arcade, niemal każdą chwilę zakłócały wspomnienia. Black nie myślał bynajmniej o strachu ani przerażających zniszczeniach, ale ciągle czuł zapach włosów Katherine Copeland, dotyk jej miękkiego ciała i chłodnych ust.

W pokoju obok Swift fałszując przeszedł do kolejnej melodii. – Cholerny świat – mruknął Black. W ustach miał posmak starej gumy. Przełknął łyk gorzkiej zimnej herbaty, zaparzonej przez Swifta godzinę wcześniej, zapalił następnego papierosa i znowu spojrzął na listę.

Liddell twierdził, że była kompletna. Zawierała nazwiska wszystkich, którzy w tym momencie należeli do tak zwanego Magicznego Kręgu, osób znających sekret Enigmy. Black czuł, że gdzieś tu kryje się ślad mogący naprowadzić na trop Kuby Pedała. Trzeba tylko przejrzeć spis pozycja po pozycji, zaczynając od naukowców i ich asystentów w Rządowej Szkole Szyfrów i Kodów w Bletchley Park. Black znowu zabrał się do czytania:

*Fred Winterbotham, szef Sekcji Naukowej Służb Specjalnych;*

*Alastair Denniston, dyrektor, Rządowa Szkoła Szyfrów i Kodów;*

*Edward Travis, zastępca Dennistona;*

*Dillwyn Knox*, starszy asystent, Rządowa Szkoła Szyfrów i Kodów;  
*Oliver Strachey*, starszy asystent, Rządowa Szkoła Szyfrów i Kodów;  
*John Cairncross*, starszy asystent, Rządowa Szkoła Szyfrów i Kodów;  
*Hugh Alexander*, matematyk;  
*Stuart Milner-Barry*, matematyk;  
*Gordon Welchman*, matematyk;  
*Alan Turing*, matematyk.

Dodatkowo, zgodnie ze słowami Liddella, wielu ludzi w Bletchley było zaangażowanych w rozszyfrowywanie meldunków. Większość z nich stanowili cywile różnych zawodów, od prawników po maklerów i archeologów.

Po spisie ludzi z Bletchley następowała druga, dłuższa lista, wysokich rangą wojskowych i oficerów wywiadu:

*John Masterman*, dziekan – szef Komitetu XX;  
*Stewart Manzies*, szef MI6;  
*Kathleen Pettigrew*, jego sekretarka;  
*Pułkownik Valentine Vivian*, zastępca szefa, MI6;  
*Pułkownik Claude Dansey*, drugi zastępca, MI6;  
*Brygadier „Jasper” Harker*, pełniący obowiązki szefa, MI5;  
*Guy Liddell*, dyrektor, Wydział B, MI5;  
*Anthony Blunt*, jego starszy asystent, historyk sztuki;  
*Maxwell Knight*, szef Wydziału B5(b), MI5;  
*General George Davidson*, dowódca Wywiadu Wojskowego;  
*Marszałek „Stuffy” Dowding*, Dowództwo Lotnictwa;  
*Marszałek Keith Park*;  
*Charles Medhurst*, dowódca Wywiadu Lotnictwa;  
*Archibald Boyle*, jego zastępca;  
*Gerry Blackford*, Ministerstwo Lotnictwa, Departament Planowania;  
*Jack Slessor*, zastępca Blackforda;  
*Admiral John H. Godfrey*, dowódca Wywiadu Marynarki Wojennej;  
*Ian Fleming*, jego sekretarz;  
*Winston Churchill*, premier;  
*Desmond Morton*, osobisty sekretarz Churchilla.

Razem trzydzieści nazwisk, ale, jak wymijająco ujął to Liddell, nie uwzględniono tu około osiemdziesięciu, a może stu, innych osób, które gdzieś pomiędzy Bletchley Park a Whitehall miały bezpośredni kontakt z codziennie przejmowanymi meldunkami.

Ta lista, kiedy zostanie już skompletowana, będzie zawierała nazwiska „wrenek” w Bletchley, dwóch tuzinów gońców i wielu operatorów dalekopisów w Ministerstwie Lotnictwa, Departamencie Wojny i Admiralicji, czy w Biurze Wywiadu Powietrznego, Departamencie Wywiadu Wojskowego, czy w biurze admirała Godfrey.

Blackowi Magiczny Krąg kojarzył się raczej z nieskończonymi kręgami rozchodzącymi się na powierzchni stawu. Pomimo tego, co twierdził Denniston, inspektor doskonale zdawał sobie sprawę, że przy tak wielkiej liczbie zaangażowanych zachowanie absolutnej tajemnicy jest niemożliwe. Każdy z ludzi na liście Liddella miał przyjaciół, rodzinę, kochanków czy powierników.

Wniosek przygnębiający, ale jak dotąd niepodważalny. Nawet przy pomocy ekspertów Rządowej Szkoły Szyfrów i Kodów w Bletchley trudno było wybrnąć z tego galimatiasu. Maxwell Knight, którego Black uważał za aroganckiego, protekcjonalnego małego pedanta w najgorszym rodzaju, zadowolony się czekaniem na cud. Black wiedział, że sprawa się komplikuje i zaczynał nawet powątpiewać w możliwość wykrycia zarówno Kuby Pedąła, jak i tajemniczego Doktora.

Zamrugał i zwalczył chęć ziewnięcia. Znowu śnił na jawie. Tymczasem stukanie maszyny Swifta, i jego pogwizdywania nagle umilkły. Black z trudem rozprostował zdrtwiałe nogi i poszedł do sąsiedniego pokoju.

Swift stał przy tablicy, do której przypiął właśnie wielki arkusz papieru. Widniała na nim wiadomość przejęta przez Mastermana. Każda cyfra miała wysokość cala.

78124117  
25134349  
66483274  
83496965  
96207461  
93421907  
02993002

Na dźwięk kroków policjant odwrócił się.

– Właśnie tak sobie rozmyślałem, sir.

– Nad tym? – spytał Black, wskazując na tablicę.

– Tak, sir. – Swift odkaslnął. – Nie jestem najlepszy w tych sprawach. Mam na myśli to, że nigdy nie byłem dobry w rozwiązywaniu krzyżówek, ale coś mi przyszło do głowy. – Zawahał się i zmarszczył brwi.

– Niech pan mówi dalej. – Black sięgnął po krzesło, zadowolony, że choć na chwilę uwolni się od dręczącej go listy.

– No cóż, sir – kontynuował Swift, jeszcze raz chrząkając – kapitan Liddell i pan mówiliście, że ten rodzaj szyfru zwykle opiera się na układzie lustrzanym, więc można go odczytać.

– To prawda – Black skinął głową. – Liddell nazywa to jednorazowym arkuszem, jak mi się zdaje. Przepisujesz swój tekst, stosując wzór alfabetu z losowo ustawionymi literami, znaczy zarówno nadawcy, jak i odbiorcy. Każda litera w twoim tekście odpowiada literze na wzorcowym arkuszu.

– Tak, ale to nie musi być naprawdę arkusz, prawda, sir? Może to być coś innego?

– Liddell mówi, że używa się też do tego książek. Ta metoda dobrze się sprawdza, dopóki obaj korespondenci mają identyczne kopie. Zamiast przemieszanych pozycji alfabetu, kodujesz przekaz w odniesieniu do poszczególnych stron, akapitów, linii albo słów.

– A co z prasą, sir? Czy to może być czasopismo? – głos Swifta łamał się z podniecenia.

Black wzruszył ramionami.

– Przypuszczam, że tak. Nie jestem pewien dokąd pan zmierza, Swift.

– No cóż, sir, pomyślałem sobie, że wiadomości nadchodzą z Niemiec i są odczytywane w Anglii. Nie może być do tego używana niemiecka książka, bo wzbudziłyby podejrzenia, a gdyby chciał pan zmienić kod, co wydaje się prawdopodobne, to mnóstwo czasu straciłby pan na znalezienie dwóch identycznych egzemplarzy w obu krajach. Czy dobrze rozumiem?

– Brzmi to rozsądnie – Black poprawił się na krześle. Zaczynał nadążać za rozumowaniem swojego asystenta. – Proszę, niech pan mówi dalej.

– Rozmyślałem nad tym, sir, jaki typ wydawnictwa nie wzbudziłby podejrzeń zarówno w Niemczech, jak i w Anglii? Niemieckie czasopismo odpada z tych samych powodów co niemiecka książka. Gazet brytyjskich nie dostanie pan w Berlinie.

– Ale amerykańskie, tak.

– Tak, sir, doszedłem właśnie do takiego wniosku.

– Chyba ze sto tytułów, publikowanych jest co miesiąc w Stanach Zjednoczonych. Trudno zawęzić krąg poszukiwań.

– Tak, sir. Nie ma jednak zbyt wielu, które można łatwo dostać w obu miejscach, i w Niemczech, i w Anglii.

– Przypuszczam, że to prawda.

– Rozważałem pięć możliwości – kontynuował Swift. – „Newsweek” wychodzi co tydzień, „Time” podobnie „Life”. „Fortune” i „National Geographic” to miesięczniki. Sprawdziłem u Smitha. Dostają je regularnie, z wyjątkiem „National Geographic”, na który trzeba mieć prenumeratę.

– To ciekawe.

– Tak, sir, tak właśnie pomyślałem – Swift gorliwie kiwał głową. – Jeżeli by używać tygodnika, można zmieniać kod, ile dusza zapagnie. Informacje podzielono na sześciocyfrowe linie, ale moim zdaniem nie ma to zbyt wielkiego znaczenia. Pierwsza cyfra może oznaczać stronę, druga akapit, trzecia wiersz w akapicie, a czwarta właściwe słowo w tym wierszu. W całym przekazie mamy pięćdziesiąt sześć cyfr. Cztery na każde słowo to daje czternaście słów. – Policjant promieniał.

– Nie sądzę, aby to był któryś z tygodników. Połączenia pocztowe z zagranicą mocno teraz szwankują. Stawiałbym raczej na jakiś miesięcznik. – Black zastanawiał się przez chwilę. – I twój rachunek sprawdza się tylko wtedy, jeżeli dotyczy pierwszych dziewięciu stron, potem trzeba brać pod uwagę liczby dwucyfrowe.

– Nie pomyślałem o tym. – Okrągła twarz posmutniała.

– Niezła próba, Swift – powiedział Black wstając. Poklepał zmartwionego asystenta po ramieniu i uśmiechnął się. – Tak trzymać. Może jesteś na właściwym tropie. Choć raz pokażemy wszystkim tym mędrkom na co nas stać.

– Tak, sir. Dziękuję panu. – Black spojrział raz jeszcze na tablicę z szyfrem i wycofał się do swojego pokoju. Kilka minut później gwizdanie Swifta zaczęło się na nowo. Black jęknął cicho i wrócił do listy nazwisk.

Nocne naloty trwały już dwa tygodnie i strażnik obrony przeciwlotniczej Leslie Blythe zaczął się uważać za eksperta od strategii i taktyki Luftwaffe. Coraz częściej też pozwalał sobie na krytykę lokalnej baterii działek przeciwlotniczych rozmieszczonych na jego terenie od komisariatu przy Gerald Row w Belgravii, aż po wielkie składy węgla na Victoria Station. Trasa obchodu Blythe’a wiodła małymi uliczkami zbiegającymi się przy Grosvenor Place i Vauxhall Bridge Road i kończyła się przy kawiarni na nowym, wielkim dworcu autobusowym na Buckingham Palace Road, gdzie w miejscowym bufecie Blythe wypijał filiżankę herbaty.

Spacery po tej części miasta noc w noc stanowiły dość szczególne doświadczenie. prostytutki pod arkadami mostu Elżbiety oferowały swoje wdzięki żołnierzom na przepustce. Homoseksualiści o sarnich oczach czaili się w zaroślach otaczających posąg marszałka Focha w małym parku naprzeciwko dworca. Od czasu do czasu jakiś rolls czy bentley przejeżdżał w stronę pałacu. Blythe natykał się na ludzi najrozmaitszego pokroju, bogatych i biednych, młodych i starych, zmierzających w różnych kierunkach, nawet w samym środku nalotu.

To było ekscytujące, zwłaszcza jeżeli szedło się życie na kasowaniu biletów w autobusie albo na obwożeniu rowerem znaku „Ukryj się”, jak to robił kumpel Blythe’a policjant Mickelthwaite. Zagrożenie i nocne naloty podobno wydobywały z ludzi ich najlepsze cechy, ale też, i to cholernie skutecznie, wywlekały to, co najgorsze. Blythe wiedział o tym więcej niż ktokolwiek inny.

Najbardziej lubił grupy bogaczy z klubów West Endu, którzy nie mieli nic lepszego do roboty niż wędrowanie od schronu do schronu, picie na umór i poszukiwanie wszelkich możliwych atrakcji. W ciągu ostatnich dwóch tygodni na kilku z nich musiał napisać raport, a bez wątpienia takich wypadków będzie jeszcze więcej w przyszłości.

Gdyby to od niego zależało wszystkim im przypięto by etykietkę z napisem „tchórz”, i zapakowano do obozu dla internowanych razem z różnymi paskudnymi Żydami i Cyganami, których udało się Hitlerowi wymieść z Europy. Cholerne tatałajstwo.

W ciągu kilku ostatnich nocy Leslie Blythe zauważył, że intensywność działań Luftwaffe osłabła i zastanawiał się, czy powładni Goeringa nie doszli przypadkiem do kresu swoich możliwości.

Popołudniowy nalot był niemal nieszkodliwy. Mimo bezchmurnej pogody pojawiło się jakby mniej bombowców. Teraz zrobiło się już całkiem ciemno. Alarm trwał od zmierzchu, ale dopiero około dziesiątej Blythe usłyszał pierwsze dalekie dudnienie heinklów i dornierów. Wydawało mu się, że lecą znacznie wyżej niż do-

tychczas i bombardują na mniejszym obszarze. Wielkie reflektory ustawione przy Belgrave Square, kilkanaście przecznic na północ, także chyba nie wykryły niczego ciekawego, a chłopcy z obrony przeciwlotniczej w Hyde Parku celowali do cieni. Grzechotliwy kaszel działek przerywał co jakiś czas ciszę, a różowe i żółte kwiaty eksplozji zmieniały nocne niebo w gigantyczny pokaz fajerwerków.

Podczas następnej godziny obchodu Blythe zauważył też, że bombowce raczej zataczają kręgi, niż nurkują wprost na wyznaczone cele. Mniej samolotów, mniej bomb. Nie było żadnych wątpliwości: gruby Hermann spuszcza z tonu. I dobrze, Leslie Blythe, co prawda, cenił sobie dodatkową zapłatę, którą dostawał jako strażnik obrony przeciwlotniczej, ale nie miałby nic przeciwko temu, żeby spędzić noc z własną żoną, nie wspominając już o możliwości porządnego wyspania się.

Przysłuchując się stłumionym wybuchom w East Endzie i ostremu rykowi syren na Victoria Station, Blythe skończył obchód parku otaczającego Grosvenor Gardens i skręcił na zachód, w Lower Belgrave Street. W świetle latarki zerknął na tarczę zegarka. Dochodziła północ. Po paru minutach zatrzymał się na rogu Ebury Street. Chciał jeszcze sprawdzić teren szkoły.

Na odgłos kroków odwrócił się. W jego kierunku biegła kobieta w mundurze. „Wrenka”, sądząc z wyglądu tuż po dwudziestce. Przez ramię przerzuconą miała czarną skórzaną kurtkę. Gestem zatrzymał dziewczynę, ale raczej po to, żeby z kimś pogadać niż dlatego, że żywił jakieś podejrzenia.

– Dowód proszę.

Niezła sztuka, ocenił, kiedy z westchnieniem zaczęła grzebać w torebce. Spod czapki wystawały krótkie, ciemne włosy. Na małym, zadartym nosku znaczyły się piegę. Niezbyt wiele z przodu, ale świetne nogi, smukłe łydki ponad ciężkimi, wojskowymi butami.

Wręczyła Blythe’owi dokumenty. Oświetlił je latarką. Jane Julia Luffington, „wrenka” ze służby transportowej, zamieszkała przy Palace Gate 18 w Bayswater.

– Trochę oddaliliśmy się od domu, co?

Wzruszyła ramionami.

– Właśnie szłam do stacji metra.

– Było się u chłopaka, co? – Blythe uśmiechnął się krzywo.

– Nie sądzę, aby to była pańska sprawa – powiedziała chłodno. Zebrała swoje papiery i schowała do torebki. – Coś jeszcze?

– Nie. – Skierował światło latarki na jej twarz i przytrzymał wystarczająco długo, żeby dziewczyna zamknęła oczy. Potem wyłączył. – Proszę iść.

– Dziękuję.

Blythe obserwował ją jeszcze przez chwilę, podziwiając lekki, zręczny chód. Nie była podobna do jego podstarzałej żony. Zresztą nawet w wieku dwudziestu lat Edith nie umiała chodzić w ten sposób. Gdyby był młodszy, może zapamiętałby adres tej dziewczyny, ot tak, na wszelki wypadek. Westchnął i odwrócił się. Edith musi mu wystarczyć.

Gdyby poczekał jeszcze parę minut, może dostrzegłby, jak Jane Luffington zatrzymuje się koło zaparkowanego przy krawężniku szarego austina. Może zo-

baczyłby, jak wsiadła do samochodu i zauważył oznakowanie pocztowe na bocznych drzwiczkach pojazdu. Gdyby okazał się wystarczająco podejrzliwy, to może nawet zanotowałby numer rejestracyjny. Ale Blythe odwrócił się i odszedł.

Dwadzieścia minut później pił gorącą, słodką herbatę ze swoim przyjacielem posterunkowym Arnoldem Mickelthwaitem, któremu opowiedział o tym, jak legitymował śliczną „wrenkę”.

Nazajutrz o 7.15 znaleziono nagie ciało Jane Luffington wewnątrz leja po bombie na Broad Street, niedaleko Liverpool Street Station. Dłonie i twarz dziewczyny zostały paskudnie poparzone, co uniemożliwiało rozpoznanie.

Zwłoki zabrano do zmienionych w kostnicę podziemi kościoła na Whitsun Street, odległego zaledwie o kilka przecznic od miejsca wypadku, a potem przewieziono do biura koronera, gdzie oczekiwać miały na identyfikację.

# Rozdział czternasty

PONIEDZIAŁEK, 11 LISTOPADA 1940 ROKU

## 11. 30 CZASU GREENWICH

Skończył się wrzesień, a wraz z nim przeminęło zagrożenie inwazją. Nadszedł szary, deszczowy październik. Pogarszająca się na kanale La Manche pogoda niweczyła nadzieje Hitlera na szybkie i łatwe zwycięstwo w Anglii.

*Sea Lion*, niemiecki plan inwazji na Brytanię, musiał ulec weryfikacji. W końcu porzucono go, utrzymując tylko pozory dla zamydlenia oczu Stalinowi. Luftwaffe nie posiadała czterosilnikowych bombowców zdolnych przedostać się w głąb Anglii. Została więc zmuszona do skoncentrowania się na bliższych celach.

Niemcy nadal atakowali Londyn, bombardując miasto każdej nocy. Bitwa o Anglię dobiegła końca, przynajmniej na jakiś czas, ale nadal trwała wojna o Londyn. Do początków listopada większa część stolicy leżała w gruzach. Podczas każdego nalotu ginęło średnio około stu siedemdziesięciu osób, a dwieście odnosiło poważne rany. Całe kwartały East Endu uległy zagładzie. Sześćdziesiąt tysięcy domów nie nadawało się do zamieszkania, szesnaście tysięcy całkowicie zniknęło z powierzchni ziemi. Każdej nocy ponad dwadzieścia pięć tysięcy londyńczyków desperacko szukało schronienia przed przerażającym koszmarem bombardowania.

Poważnym problemem stał się wzrost przestępczości. Gazety drukowały niekończące się opowieści o „pogorzalcach z East Endu” i zamieszczały zdjęcia dowcipnych napisów na murach i zbombardowanych witryn sklepowych, ale jakoś zapominały wspomnieć o działalności bandytów na zaciemnionych ulicach. Ludzie powracający do swoich mieszkań i sklepów często stwierdzali, że nie padli ofiarą Luftwaffe, ale zostali pozbawieni dobytku przez złodziei, którzy wykorzystali ich nieszczęście. W tej sytuacji stworzono specjalny oddział do walki z rabunkiem, złożony z policjantów ubranych po cywilnemu i wyposażony w specjalne samochody z radiostacjami.

Przez cały ten czas do inspektora Blacka nie dotarły żadne doniesienia dotyczące zgonów, za które mógłby odpowiadać Kuba Peđał. Tajemnica morderstwa



Rudelskiego, Talbota, Eddingsa i Dranie pozostawała nierozwiązana. Pomimo wszelkich starań zaangażowanych w sprawę osób, nie wyjaśniono też zagadki śmierci dwóch mężczyzn w toalecie londyńskiego ogrodu zoologicznego.

Piątego listopada Franklin Delano Roosevelt został wybrany przeważającą większością głosów na trzecią kadencję prezydentury. Wypadek nieznan w historii Stanów Zjednoczonych. W ciągu kilku godzin od ogłoszenia wyników wyborów po Londynie zaczęły krążyć plotki, że na ambasadora Kennedy'ego wywierane są naciski, aby podał się do dymisji. Najbardziej prawdopodobnym następcą wydawał się John Gilbert Winant, marzyciel podobny do Lincolna, były gubernator stanu New Hampshire. Dziewiątego listopada, dwa lata po podpisaniu fatalnego w skutkach układu monachijskiego, Neville Chamberlain zmarł na raka krtani.

Od nocy śmierci Jane Luffington inspektor Morris Black i posterunkowy Swift spędzili większość czasu na metodycznym przesłuchiwanie ludzi z długiej listy dostarczonej przez Liddella. Stale rosła ilość akt, wypełniających teraz osiem szafek w małym biurze przy Kensington Park Gardens.

Liddell wydawał się zajęty innymi problemami i rzadko odwiedzał Blacka, zadowolając się krótkimi rozmowami telefonicznymi. Inspektor i jego asystent byli więc zdani sami na siebie.

Posterunkowy Swift prowadził samochód autostradą w kierunku Canterbury, uważnie spoglądając w oczyszczony przez intensywnie pracujące wycieraczki fragment szyby w kształcie odwróconego żagla. Lało od samego rana. Szare zasłony deszczu przesłaniały wzgórze Kentu i widok na otwarte morze przy ujściu Tamizy w Sheerness. Wydawało się, że woda przesyca powietrze, zmieniając kolor lasów i pól w jasną, niemal siną zieleń.

Alvis, którego Swift zdołał załatwić na parking dla ukradzionych samochodów, dawno temu został zastąpiony przez odrapanego małego austina. Ledwie starczało w nim miejsca dla dwóch siedzących ramię przy ramieniu ludzi, a kiedy padało, płócienny dach przemakał przy drzwiczkach. Zapleśniałe kałuże na wykładzinie podłogowej napełniały wnętrze wozu słodkawym zapachem stęchlizny.

Podróżowali już ponad godzinę. Wyglądając przez zalaną deszczem boczną szybę Black mógł odróżnić ciemną linię torów kolejowych po lewej stronie i zamgloną, majaczącą w oddali wyspę Sheppey. Niedawno minęli Sittingbourne. Przed nimi leżało Faversham, a wymagająca naprawy szosa wiodła na południe, w głąb kraju.

– Jeżeli on nie żyje, sir, to zastanawiam się, po co tam jedziemy. Black z uśmiechem spojrzął na swojego asystenta, który milczał grobowo przez ostatnie dwadzieścia minut. To pytanie najwyraźniej stanowiło rezultat długiego namysłu.

– Kuba Peđał?

– Tak, sir. – Swift kiwnął głową, nie odrywając wzroku od drogi.

– A dlaczego sądzi pan, że on nie żyje?

– Od ostatniego morderstwa minęło siedem tygodni, sir. Od śmierci tego Dranie w Southampton.

– To ostatnia ofiara, o której wiemy, Swift. W bombardowaniach zginęło pięć czy sześć tysięcy osób.

Łatwo coś przegapić.

– Tak, sir. Pomyślałem o tym.

– I?

– Sprawdziłem w Centralnym Archiwum i Rejestrach Zabitych. Od dwudziestego pierwszego września odnotowali dwieście ciał, których początkowo nie zidentyfikowano i pięćdziesiąt jeden osób zgłoszonych jako zaginione. Teraz zostało im tylko sześć trupów i ośmiu zaginionych. Z tych sześciu ciał trzy należą do kobiet i dwa do dzieci poniżej dziesięciu lat. Powód śmierci jedyne w tej grupie dorosłego mężczyzny określono jako dekapitację.

– A ci zaginieni?

– Brat i siostra, jedenaście i czternaście lat, trzech mężczyzn ze zbombardowanego schronu, dwie zamężne kobiety, które zapewne uciekły od mężów i siedemdziesięciopięcioletni staruszek z Godalming. Ten już wcześniej zniknął. – Swift przerwał dla nabrania oddechu. – Nikt z nich raczej nie pasuje, prawda, sir?

– Przypuszczam, że ma pan rację. – Black zapalił papierosa i uchylił okno, żeby wypuścić dym. Przez porysowaną szybę dostrzegł wieżę kościoła St. Mary w Faversham. Chwilę później Swift znowu walczył ze skrzynią biegów. Zjechali z szosy na węższą drogę do Ashford. Hałas silnika stał się jeszcze bardziej nieznośny. Pola za nimi znikły, zakryte mglistą zasłoną deszczu.

– On żyje – powiedział Black. – Jestem tego pewien.

– Nie wydaje mi się, żeby kapitan Liddell pana przekonał. – Swift oderwał rękę od kierownicy i wskazał na przeciekający dach. – Dlatego właśnie zabrał nam alvisa i dał tego grata. – Odkasznął. – To chyba raczej nie jest dowód zaufania, sir.

– Liddell ma na głowie różne inne sprawy – stwierdził Black, próbując zachować się dyplomatycznie.

Swift prychnął pod nosem.

– Jak, na przykład, trzymanie rąk w kieszeniach – mruknął.

– Panie posterunkowy – Black ukrył uśmiech. – Nie można tak bez szacunku mówić o przełożonych. W ten sposób nigdy nie zostanie pan detektywem.

– Ja tylko nie chcę, aby znalazł się pan między młotem a kowadłem, sir, to wszystko. Nie znam szczegółów, ale doświadczyłem w życiu dość, żeby wiedzieć, że to na pana spadnie wina, jeżeli śledztwo zakończy się fiaskiem. Policyjna robota, sir, nie powinna być łączona z polityką. – Przerwał. – I, niech się pan nie pogniewa, ale powiem jeszcze, że po tym, co ostatnimi czasy widziałem, nie jestem pewien, czy nadal mam zamiar zostać detektywem.

– Doceniam troskę, ale sam umiem zadbać o siebie, Swift. Kuba Peđał gdzieś tu krąży, a my go w końcu złapiemy. – Zapewnienie brzmiało dość słabo, nawet w uszach Blacka. Swift miał rację. Jeżeli coś się szybko nie zdarzy, Liddell i reszta spróbują ratować własną skórę. Jego kłopot, nie Liddella. Zaczynał podejrzewać, że tak właśnie planowano od samego początku. Nie miał szczególnych po-

wiązań w Yardzie, ani wpływowych przyjaciół. I do tego był Żydem. Któż lepiej nadawałby się do roli kozła ofiarnego?

Jechali dalej w milczeniu. Silnik grzechotał alarmująco, deszcz postukiwał w płócienny dach. Black ponuro patrzył przez okno. Przemknęli przez wioskę Sheldwich z domami o staroświeckich łupkowych dachach, potem przez Budlesmere. W końcu dotarli do skrzyżowania w Challock Lees. Zgodnie z otrzymanymi wskazówkami skręcili w zaniedbaną drogę. Otaczał ich gęsty las King's Wood.

Pół kilometra dalej, kiedy znaleźli się na szczycie wzgórza, drzewa przerzedziły się. Minęli bramę i Swift zatrzymał samochód, którego silnik warczał jeszcze przez dobrą minutę. Przed nimi rozciągały się zabudowania gospodarcze otaczające dom z pruskiego muru. Rozległą łąkę poprzecinały tu i tam ciemne żywoploty i pozostałości po starych kamiennych murkach.

W dali, na dnie doliny, niemal niewidoczna w strumieniach ulewy, leżała mała wioska Biltong. Kilka sklepów i otoczonych ogrodami domków wzdłuż wąskiej drogi prowadzącej na północ do odległego o dziesięć kilometrów Canterbury.

Black wydobyl się z austina i podniósł kołnierz płaszcza, broniąc się przed chłodnym deszczem zacinającym w kark. Wraz ze Swiftem przebrnęli przez błotniste podwórko i zapukali do drzwi domu. Kilka sekund później inspektor stwierdził, że patrzy wprost w uśmiechniętą twarz jasnowłosego mężczyzny ubranego w znoszony sweter marynarki wojennej i brudne kalosze. Człowiek ten trzymał w ręku przedmiot, który podejrzanie przypominał granat.

– Fleming? – Black pytająco zawiesił głos.

– Nie. Calvert. Jego lordowska mość jest w domu. A z kim mam przyjemność, dobrzy ludzie?

– Inspektor Morris Black. Wydział Śledczy. A to mój asystent, posterunkowy Swift.

– Dobry Boże! Scotland Yard! – Calvert spojrział przez ramię. – Palić dowody, chłopaki! Zostaliśmy przyłapani! – Odwrócił się do Blacka i znów uśmiechnął szeroko. – To żart. Witamy w Garth. – Wyciągnął wolną dłoń i ujął inspektora za łokieć, niemal wciągając do środka. Swift podążył za szefem i starannie zamknął drzwi.

Dawno temu wielki hall przedzielony był piętrem, ale ktoś zlikwidował deski i legary, nadając pomieszczeniu pozór zubożałej kaplicy o łukowatym sklepieniu. Dymiący kominek znajdował się tam, gdzie mógłby stać ołtarz, a rzędy tarasujących przejście drewnianych skrzyń mogły uchodzić za ławki.

Kilku mężczyzn, ubranych podobnie jak Calvert, podważało łomem pokrywy. Pracę nadzorował wysoki, ciemnowłosy, szczupły oficer w dopasowanych bryczesach i doskonale wypolerowanych butach.

– Wygląda jak jakiś cholerny obóz IRA – szepnął Swift, zaglądając do otwartych już skrzyń, wypełnionych granatami, karabinami, minami lądowymi i zapakowanymi w pergamin materiałami wybuchowymi.

Calvert wałnął go w plecy i roześmiał się.

– Niezbyt to dalekie od prawdy. – Odwrócił się i wrzasnął na cały pokój: – Fleming! Masz gości!

Ciemnowłosy mężczyzna podszedł do Blacka. Na ciemnozielonym swetrze widniały naszywki kapitana. Inspektor zmarszczył brwi. Zgodnie z jego informacjami Fleming był kapitanem RNVR\*. Ten człowiek zaś miał dystynkcje kapitana gwardii. Black jęknął w duchu, zastanawiając się, czy podróż w przeciekającym austinie odbył zupełnie bez przyczyny.

– Kapitan Fleming? – spytał.

– To Ian, mój młodszy brat – wyjaśnił tamten. – Ja jestem Peter.

– Inspektor Morris Black. Miałem się tu spotkać dziś rano z pańskim bratem. A może to jakaś pomyłka?

– Nie, to nie pomyłka – powiedział Peter Fleming, ściskając mu dłoń. – Ian jest w drugim skrzydle. – Uśmiechnął się. – Obawiam się, że jeszcze śpi. – Proszę za mną. Zaczekają panowie w kuchni, a ja go obudzę.

Peter Fleming poprowadził Blacka i Swifta przez wielki hall do nowszej części domu. Minęli wąski korytarz i znaleźli się w ogromnej, doskonale wyposażonej kuchni.

Pośrodku stał dębowy stół, otoczony ławkami, na których swobodnie mogło pomieścić się kilkanaście osób. Wysoki, łysy mężczyzna w kwiecistym fartuchu kroił warzywa na rzeźnickim pieńku.

– Zmykaj, Max – rozkazał Fleming. Łysy kiwnął głową, rzucił szybkie, szacujące spojrzenie na gości i wycierając ręce w fartuch wyszedł z kuchni. – Proszę o pół minuty. Kiedy Fleming znikł na bocznych schodach, Black podszedł do okna. Roztaczał się stąd widok na dolinę i leżącą w niej wioskę. Inspektor zauważył, że żadna ścieżka nie prowadzi w tym kierunku. Jedyne dojście do Garth stanowił trakt przez King's Wood.

– Coś tu się dzieje dziwnego – odezwał się Swift, którego myśli najwyraźniej podążały podobnymi torami. Usiadł na jednej z ławek. – To chyba jacyś komandosi. Cichociemni.

– Tak – zgodził się Black. Takie rozwiązanie miało sens, jeśli wziąć pod uwagę pozycję Fleminga jako asystenta Godfrey'a, szefa wywiadu marynarki wojennej. Chyba, że to coś mniej optymistycznego. Na przykład, przygotowania do konspiracyjnego ruchu oporu na wypadek, gdyby niemiecka inwazja zakończyła się sukcesem.

Po następnych pięciu minutach Black usłyszał jakieś odgłosy. W drzwiach kuchni stanął ciemnowłosy mężczyzna ubrany w ranne pantofle i długi, czarny jedwabny szlafrok z wzorem w chińskie smoki. Ian Fleming był nieco niższy i potężniej zbudowany niż brat, ale rodzinne podobieństwo występowało bardzo wyraźnie.

– Cholera – zaklął, rozglądając się wokół mętym wzrokiem. – Przespałem to cholerne śniadanie. – Spojrzał na Blacka i Swifta z miernym zainteresowaniem. – Dzień dobry.

– Kapitan Fleming?

– Nie dziś – odpowiedział, sięgając po stojący na kuchennej płycie cynowy dzbanek, z którego nalał sobie kawy. Dopiero wówczas usiadł naprzeciwko in-

---

\* Royal Navy Volunteer Reserve – Ochotnicza Rezerwa Marynarki Wojennej

spektora i westchnął. – Pan jest Black, jak przypuszczam? A to posterunkowy Swift, pański Watson, panie Holmes.

– Tak jest.

– Czy ma pan może papierosa?

– Oczywiście. – Black wyjął paczkę i pchnął przez stół w stronę Fleminga.

– Turecki tytoń jest lepszy, wie pan – stwierdził po chwili gospodarz, wypuszczając kłęb dymu. – Łagodniejszy. Delikatniejszy dla płuc. Ładniej pachnie.

Black wzruszył ramionami.

– Mnie wszystko jedno. – Fleming przypominałby postać z farsy Wodehouse'a, gdyby nie napięta linia szczęki i lodowaty błysk w oczach.

– Długo panowie jechali, żeby się ze mną zobaczyć. Może więc przystąpimy do rzeczy. – Gospodarz błysnął zębami w uśmiechu. – Peter planuje na dzisiaj jakieś ciekawe zajęcia. Bomby w maselnicach czy coś w tym rodzaju. Mam brać w tym udział.

– Nie będę pana długo trzymał.

– Dzwonili do mnie z biura. Przekazali mi rozkaz, by z panem współpracować. – Fleming przerwał na chwilę. – Pan jest z bandy Liddella, nieprawdaż?

Black kiwnął głową.

– W tej chwili tak. Szukam informacji na temat przecieków dotyczących szyfrów Enigmy.

– Dobry Boże. Przecieki? Jest pan pewien?

– Niezupełnie.

Fleming podniósł obronnie dłoń. Ten gest wydał się Blackowi dziwnie kobiecy.

– Nic nikomu nie powiedziałem.

– Na pewno. Ale musimy porozmawiać.

– Chyba nie ma tak wielu osób, które o tym wiedzą. – Fleming raz jeszcze spojrzał w kierunku Swifta. Posterunkowy wyciągnął notes w rękę i coś w nim pisał. – Admirał Godfrey poruszy niebo i ziemię, żeby mnie oczyścić. Jestem jego bliskim współpracownikiem.

– Na mojej liście znajduje się trzydzieści nazwisk, włączając pańskie. Poza tym z materiałami Enigmy stykało się około osiemdziesięciu innych osób. Zwykle powstaje dwanaście kopii każdego kryptogramu. – Black odwrócił się do swego podkomendnego. – Swift?

– Tak jest, sir. – Posterunkowy zajął do notesu. – W Bletchley Park trzymają kopię kontrolną, druga jest robiona dla radiotelegrafistów, którzy przesyłają ją w teren. Kolejnej używają operatorzy dalekopisów. Pułkownik Masterman dostaje swój egzemplarz, podobnie jak Menzies w MI6 i Harper w MI5.

Fleming wyglądał na zdziwionego.

– Aż tyle?

– To nie wszystko. Swift kontynuował swoją litanię. – Wywiad lotnictwa ma jedną kopię. Również wywiad wojskowy w Whitehall i wywiad marynarki wojennej w Admiralicji, to właśnie egzemplarz kapitana Fleminga. Kolejna odbitka jest dostarczana na uniwersytet w Oksfordzie, jedna wędruje do biura premiera i ostatnia do Archiwum.

Fleming kiwnął głową. Wyraz smutku przemknął mu po twarzy.

– Wiedziałem o tej ostatniej.

Black zainteresował się.

– Tak?

– To było zadanie Jane. Nie sędzę, aby wiedziała, co wozi, ale ja znałem prawdę.

– Jane?

– Jane Luffington. „Wrenka”, z którą widywałem się przez jakiś czas.

Black zerknął na Swifta.

Policjant przekartkował swój notes i skinął głową.

– Tak, sir. Jest na liście. Oddział transportu. Kurier motocyklowy.

– Codziennie zabierała kopię dla Archiwum – ciągnął Fleming. – Nudziło ją to śmiertelnie. Piastowanie torby z papierami niezbyt zgadzało się z jej wyobrażeniami o walce. – Podrapał się po policzku. – Z moimi zresztą też, jeśli już o to chodzi.

– Powiedział pan, że widywaliście się przez jakiś czas. Nie jesteście już razem?

– Ona nie żyje – powiedział szorstko Fleming. – Zginęła podczas nalotu.

– Kiedy?

Ciemnowłosa mężczyzna zastanawiał się przez chwilę.

– Prawie dwa miesiące temu. Gdzieś pod koniec września. – Sposępniał na twarzy. – Była bardzo poparzona. Rozpoznano ją dopiero po tygodniu. Nie jestem pewien, kiedy dokładnie umarła. Miała wtedy wolne, więc nikt jej specjalnie nie szukał. – Wzruszył ramionami. – Pomiędzy dwudziestym a dwudziestym czwartym, jak przypuszczam.

– Długo ją pan znał?

– Prawie rok.

– Nigdy nie rozmawiał pan z nią o Enigmie?

– Na pewno nie.

– A z kimś innym?

– Nie. Już to panu mówiłem.

– Nawet z bratem?

– Nie.

W głosie przesłuchiwanego zabrzmiało lekkie wahanie, ale Black postanowił nie naciskać. Znacznie bardziej interesowała go dziewczyna Fleminga.

– Czy panna Luffington miała w Londynie jakąś rodzinę?

– Tak. Jej matka prowadzi mały lokal w City. To wdowa.

Zna pan nazwę tego lokalu?

– „The Rising Sun”. Na Burgon Street.

– Czy panna Luffington mieszkała razem z matką?

– Nie. Dzieliła mieszkanie z trzema innymi dziewczętami.

– Znał je pan?

– Nie.

– A matkę?

– Spotkałem ją raz czy dwa.  
– Czy panna Luffington często widywała matkę?  
– Codziennie. To była ich wielka tajemnica.  
– Chciałbym, aby pan to bliżej wyjaśnił.  
– Jane wpadała do matki na lunch. Żeby zaoszczędzić.  
– Podczas pracy?  
– Tak. Zabierało to jej tylko kilka minut.  
– Rozumiem. – Black przez chwilę zastanawiał się. – Co dzieje się z kopiami dostarczonymi dla wywiadu marynarki, kiedy już zostaną przeanalizowane?

– Pali się je.  
– Kto to robi?  
– Ja – odpowiedział krótko Fleming. – W biurze jest wielki kominek. Całkiem przydatny. Chroni również przed chłodem.

– Hm. – Z poprzednich przesłuchań Black wiedział, że wywiad lotnictwa do likwidowania swoich odbitek używał niszczarki, wywiad wojskowy spalarki w Whitehall, a w Bletchley pozbywano się kopii raz na tydzień przy użyciu pieca w głównym budynku. Z tego, co mógł stwierdzić do tej pory, wszędzie przechowywano szyfrogramy w sejfach.

Jednakże utrzymanie takich materiałów z dala od wścibskich oczu było ogromnie trudnym zadaniem. Łatwo mogło dojść do jakiegoś przeoczenia. W każdej paczce z kryptogramami znajdowało się co najmniej sto arkusików, co dawało razem około tysiąca przechodzących z rąk do rąk kopii.

Jako że działalność Enigmy wykryto dopiero przed kilku miesiącami, nie dziwiło inspektora specjalnie, że nie opracowano jeszcze żadnego systemu zabezpieczenia. Różne metody szyfrogramów – przez kurierów, przez radio, przez dalekopisy – powodowały tylko zamieszanie i zwiększały możliwość przecieku informacji.

Przecież nawet bezpośrednia linia dalekopisu z Bletchley do Menziesa na Broadway 55 nie dawała gwarancji całkowitej dyskrecji. Sam Liddell przyznał, że podsłuchuje rozmowy telefoniczne kilku ambasad. Jeżeli jego ludzie potrafili założyć podsłuch, mógł zrobić to i ktokolwiek inny. Mało prawdopodobne, ale nie wykluczone.

Morris Black podziękował Flemingowi. Kilka minut później brnęli ze Swiftem do austina przez zabłocone podwórze.

– Warto było przyjechać, sir? – spytał Swift, kiedy wsiedli do samochodu. Włożył kluczyk w stacyjkę i nacisnął guzik rozrusznika. Silnik zakaszłał i wóz ruszył.

Black skinął głową.

– Tak, warto było przyjechać.

– Rzucając ostatnie spojrzenie na dom, dostrzegł dwie postacie. Ian Fleming i jego brat obserwowali odjazd gości. Swift włączył bieg wsteczny, wykręcił, potem przerzucił na pierwszy i skierował się w stronę bramy. Po chwili ponownie znaleźli się w lesie King's Wood.

– Obawiam się, że będziemy musieli zakłócić wieczny spoczynek Jane Luffington. – Black skrzywił się. – Potrzebujemy pozwolenia od koronera na ekshumację.



– Sir?

– Nie mam całkowitej pewności, ale wydaje mi się, że Kuba Pedal zmienił sposób postępowania, Swift. Jedyne co nam pozostaje w obecnej sytuacji to zbadać szczątki Jane. – Inspektor spojrzał na swojego towarzysza. – Jest pan gotowy na odrobinę horroru?

– Jak pan rozkaże, sir. – Posterunkowy znowu zmienił bieg. Zjeżdżali teraz ze wzgórza. – Dziwny zbieg okoliczności. Z tą dziewczyną i kapitanem, sir. To, że się znali.

– Tak – zgodził się Black. Deszcz walił wściekle w płócienny dach, wycieraczki piszczały i zgrzytały. – Dziwny zbieg okoliczności.

Katherine Copeland przecięła puste foyer hotelu Savoy i weszła do restauracji. Od czasu, kiedy zaczęły się uciążliwe naloty, wielka sala jadalna była zamknięta z wyjątkiem pory lunchu. Teraz, po południu, świeciła pustkami. Katherine dostrzegła Bingham siedzącego przy stoliku z widokiem na nabrzeże.

– Niebył to chyba pasuje do doświadczonego szpiega, Larry – powiedziała, zajmując miejsce naprzeciwko. – Nie boisz się, że ktoś nas zobaczy?

– Jesteś reporterką kroniki towarzyskiej, prawda? – Wzruszył ramionami. – A ja należę do najlepszego towarzystwa. Mogłabyś wypytywać mnie o Winanta czy kogokolwiek innego.

– Cieszę się, że jesteś w swoim normalnym ponurym nastroju.

Pojawił się kelner w długim fartuchu, przyjął od Katherine zamówienie i odszedł.

– Nie widzieliśmy się jakiś czas – zagadnął Bingham.

– Zdziwiłam się, kiedy zadzwoniłeś. Myślałam już, że zapomniałeś o mnie zupełnie.

Kelner przyniósł szkocką dla Katherine i znowu znikł. Pociągnęła mały łyżeczek, oparła się wygodnie i zapaliła papierosa. Bingham nie zaprosił jej tu na zwykłą pogawędkę.

– A więc, Larry, czemu zawdzięczam przyjemność oglądania twojej osoby?

– Od tej chwili jesteś odsunięta od sprawy Morrisa Blacka.

Katherine osłupiała. Przyszła na to spotkanie przygotowana do obrony, ale nie przewidziała takiego postawienia sprawy.

– Czyj to pomysł, Larry? Twój czy Donovana?

– To wspólna decyzja.

– Oparta na twojej propozycji.

– Minęły całe tygodnie, Katherine. Nie osiągnęłaś zbyt wiele.

– Masz na myśli to, że nie poszłam z nim do łóżka – powiedziała sucho.

– Mam na myśli to, że nie dowiedziałaś się, jakie osiągnął postępy w śledztwie. – Bingham ze znużeniem pokręcił głową. – Każdy na tym cholernym świecie tkwi w tej sprawie po uszy, tylko nie my. To zaczyna stawać się kłopotliwe.

– Każdy?

Bingham westchnął.



– Właśnie otrzymaliśmy wiadomość z ambasady w Berlinie. Nasz człowiek na Tirpitz Ufer donosi, że wszyscy trzęsą się ze strachu. Schellenberg spotkał się z kimś w Sztokholmie. Sądzymy, że to jakiś tutejszy agent. Nawet Gorsky z ambasady rosyjskiej węszy intensywnie. Przypuszczaliśmy, że dzięki tobie znajdziemy się bliżej źródła informacji niż ktokolwiek inny. Najwyraźniej nie mieliśmy racji. – Przerwał na chwilę. – Donovan nie jest zadowolony. Wielu ludzi zaczyna się niepokoić.

– Najpierw każdy, potem wielu ludzi. O kim my właściwie rozmawiamy, Larry? I dlaczego ci „oni” tak się niepokoją?

– Nie ma znaczenia, o kogo chodzi. Rzecz w tym, że pojawiły się plotki. Nowe plotki.

– O morderstwach?

– O możliwościach Churchilla, by utrzymać się przy władzy. Wszystko zaczyna się zmieniać. *Lend – Lease* wchodzi w życie. Churchill chce, żebyśmy wzięli udział w tej wojnie. Musimy jednak znać odpowiedzi na pewne pytania. Teraz, przed inwazją.

– Nie będzie żadnej inwazji.

– W tej chwili nie, ale wiosna już za pasem. – Bingham przerwał. – Docho-dzenie Blacka nadal się toczy. Na ten temat także doszły nas pewne plotki. Angli-cy bardziej niż kiedykolwiek boją się jakiegoś przecieku informacji. Donovan zresztą też.

– A co to ma wspólnego ze mną?

– Nic. Najwyraźniej. Wszystkie twoje doniesienia były błahe. Podczas ostat-nich sześciu tygodni wcale nie zbliżyłaś się do Blacka.

– Mam fotografię, stanowiącą ciekawy ślad. Bardzo mu na niej zależało. Pójdę tym tropem.

– Nie, nie pójdziesz. Powiedziałem już, że Donovan zdjął cię z tej sprawy.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu.

Katherine zgasiła papierosa. – Boże, ależ z was zadziwiający ludzie. – Po-kręciła głową. – Mam tylko gwizdnąć i zakręcić spódnicą koło jakiegoś ponurego policjanta, a on powie mi wszystko o swoim śledztwie. Życie nie jest takie proste, Larry.

– Skąd możesz wiedzieć? – odpowiedział zimno Bingham. – Nie starałaś się za bardzo.

– Pierdołę cię.

– Nie. – Bingham nie okazał oznak najmniejszego zdziwienia na dźwięk or-dynarnego wyzwiska. – Pierdol się lepiej z Morrisem Blackiem.

– On nie chce. Ani mnie, ani nikogo innego.

– Co z nim jest? Woli chłopców?

– On jest istotą ludzką, Larry. Czymś, na czym najwyraźniej kiepsko się znasz. – Katherine przerwała na chwilę. – To Żyd, wiedziałeś o tym?

– Oczywiście, że tak. I co z tego? – Wzruszył ramionami. – Mnóstwo ich wszędzie na świecie.

– Już nie tak wielu, jak kiedyś. Hitler wycina Żydów jak kosiarz idący przez łan zboża.

– Nie ma na to żadnego dowodu. Tylko wiele gadania.

– Wydaje mi się, że Black obawia się, iż to samo może zdarzyć się i tutaj. Jest gotów odejść. – Zawahała się. – Nie zdziwi mnie, jeżeli zwolni się z Yardu i opuści kraj.

– To nie ma nic wspólnego z morderstwami. Ani z tobą.

– Nie. Ale ma wiele wspólnego z inspektorem Morrisem Blackiem. I z faktem, że jest samotny, bo kochał swoją żonę, a ona umarła, i z tym, że martwi się wojną, która może go unicestwić. Jest po prostu miłym człowiekiem, a to kolejne zjawisko, o którym nie masz pojęcia, Larry.

– Nie przyszedłem tu, żeby okazać się miłym człowiekiem, Katherine. Muszę wykonywać swoją pracę. Ty też.

– Masz rację. – Kiwnęła głową. – Myślałam, że będę umiała wykonać to zadanie. Ale nie umiem. Nie jestem osobą, za jaką się uważałam. Nie jestem też osobą, za jaką uważał mnie Donovan.

Bingham spojrzał na młodą kobietę z zadumą.

– Zakochałaś się w nim, prawda?

– On nie zakochał się we mnie, to chyba ważniejsze.

– Nie o to pytałem. Pozwoliłaś sobie na osobiste zaangażowanie, czyż nie?

– Zazdrosny?

– O Blacka?

– Nie, o to, że on nadal ma duszę.

Bingham westchnął.

– Nie ma sensu kontynuować tej rozmowy, Katherine. Nie porozumiemy się. Z tego, co mówisz, wynika, że nie życzysz sobie wykonać tego zadania, a my również już tego nie chcemy. Od tej chwili masz nie utrzymywać żadnych kontaktów z Morrisem Blackiem i nie poruszać żadnych kwestii związanych z morderstwami. – Przerwał. – Znajdziemy dla ciebie zajęcie nieco mniej... odbiegające od twojego poczucia moralności. Do tego czasu kontynuuj swoją pracę w gazecie. – Wstał. – Do widzenia, Katherine. Będziemy w kontakcie. – Odwrócił się i wyszedł z sali. Katherine odprowadziła go wzrokiem.

– Nie, nie będziemy – szepnęła.

Porucznik Gustav Claus, dwudziestodwuletni *Staffel-kapitän* 51 Grupy Bojowej stacjonującej w St.-Omer, siedząc w budzie odrapanej ciężarówce, bez powodzenia usiłował filozoficznie potraktować nagłą odmianę losu. Poruszył stopą, jednak wszelkie próby przybrania wygodniejszej pozycji na twardej drewnianej ławce okazały się daremne. Kajdany na nogach nieubłaganie ciążyły. Młody człowiek żałośnie westchnął. Nie tak miały toczyć się sprawy.

Przez pięć ostatnich miesięcy stacjonował w St.-Omer. Eskortował bombowce podczas nalotów na bazy RAF na południowym wybrzeżu Anglii. Od czasu do czasu wypuszczał się też, by zapolować indywidualnie, o ile pozwalały mu na to

zapasy paliwa. W powietrzu to on właśnie był panem. Miał już na koncie dziewiętnaście strąceń, same hurricane'y i spitfire'y. Jeszcze jedna udana akcja i otrzymałby upragniony Krzyż Rycerski. I właśnie to marzenie doprowadziło do klęski. Niczym zupełny żółtodziób Claus zapędził się za swoją ofiarą i w okolicach ujścia Tamizy skończyło mu się paliwo. Musiał lądować na morzu. Nadmuchał gumową tratwę ratunkową i w godzinę później przypłynął wyrzucił go na brzeg. Przechodzący patrol wykrył niemieckiego pilota.

Tego ranka, po zadziwiająco sutym śniadaniu, złożonym z herbaty i parzącej w język owsianki na lokalnym posterunku policji, zakutego w kajdanki Gustawa Clausa umieszczono w budzie ciężarówki. Bębnienie deszczu o dach samochodu, przejmujący chłód i dokuczliwe swędzenie podrażnionej morską wodą skóry potęgowały nastrój przygnębienia. Jednego dnia pełnia chwały, a następnego koniec marzeń.

Znacznie gorzej niż kajdanki męczyło młodego człowieka poczucie zupełnej klęski. Żył po to, żeby latać, a teraz to życie dobiegło końca. Ciężarówka trzęsła się i klekotała jadąc na północ w kierunku Londynu. Wiozła już nie Gustava Clausa, pilota myśliwca, ale Clausa, jeńca wojennego.

Samochód dotarł do wschodnich obrzeży miasta, wjechał na obwodnicę i, minąwszy przedmieście Enfield, skierował się na północ. Claus nie miał zielonego pojęcia, gdzie się znajduje, a ostatnie ciężkie przejścia tak go wyczerpały, że nawet nie odczuwał specjalnej ciekawości. Przesunął się jednak na koniec ławki i sceptycznie spoglądał przez małe okienko w kłapie plandeki.

Ciężarówka skręciła raz, potem drugi. Nagle po obu stronach drogi wyrósł niski, kamienny mur. Za nim rosły gęste drzewa. Jakiś las, a może park. Chwilę później pojazd zwolnił, a potem stanął.

Kierowca zamienił z kimś parę słów i znowu ruszyli, ale znacznie wolniej. Wyglądając przez okienko Claus spostrzegł, że minęli wysoką bramę strzeżoną przez czterech wartowników. Teraz oczom jeńca ukazało się wysokie ogrodzenie z drutu kolczastego. Nawet w zacinającym deszczu wyraźnie odznaczały się białe porcelanowe czopy izolatorów elektrycznych. Do jakiego więzienia go przywieźli?

Przejechali jeszcze pół kilometra, a potem znowu zatrzymali się. Następną rozmowa, której nie potrafił zrozumieć. Minęli kolejne ogrodzenie, też pod napięciem, i ponownie stanęli. Silnik zgasł. Claus wrócił na poprzednie miejsce na ławce i czekał. Po kilku sekundach ktoś odrzucił kłapę budy. Podoficer RAF, towarzyszący kierowcy od South Benfleet wskazał na jeńca łufą automatu.

– Wyłaż, Fryc. Koniec jazdy.

Jedynym słowem, jakie zrozumiał Claus, było imię *Fryc*. Wzruszył ramionami.

– *Nicht verstehe*. Nie jestem...

– Rusz się, cholerny durniu. – Anglik potrząsnął automatem. Tym razem rozkaz był całkowicie zrozumiały. Claus wstał chwiejnie i podreptał na koniec ciężarówki. Kierowca pomógł mu wysiąść. Eskortowany przez uzbrojonego strażnika jeniec ruszył w stronę wielkiego kamiennego domu, którego skrzydła otaczały z trzech stron rozległy plac. Wszędzie kręcili się wartownicy, podobni do nieto-

perzy w długich niebieskich pelerynach przeciwdeszczowych, przemoczonych i zabłoconych podczas patrolowania terenu.

Z bocznych drzwi suterenu wyszedł sierżant w berecie z jasnoczerwonym pomponem. Wziął od kierowcy wielką kopertę i pistoletem skinął w stronę Clausa.

Niemiec podążył za sierżantem w kierunku bocznego wejścia, a następnie w dół krótkimi schodami. Zatrzymali się przy otwartych drzwiach.

– Wejdziesz, chłopcze. – Konwojent przynaglił więźnia. – Nie wstydz się.

Ruszyli długim korytarzem. Na suficie wiła się płatanina rur, a powietrze przesiąknięte było dziwną wonią. Claus zmarszczył nos. Śmierdziało tu jak w ładowni statku: mieszaniną wilgotnego koksu i ciepłego popiołu. Ale unosił się też i inny zapach. Szpitalny. Eter? Spirytus lekarski?

Przypominało to gabinet dentystyczny wujka Ottona. Młody człowiek zadrdzał nagle. Poczul się zdecydowanie gorzej. Dokąd go przywieziono? Dlaczego znalazł się w piwnicy i, na Boga, co oznacza ten zapach?

Dotarli do kolejnych drzwi. Sierżant zapukał i nie czekając na zaproszenie otworzył. Weszli do małego, pomalowanego na biało, jasno oświetlonego pokoju. Łysy mężczyzna w fartuchu laboratoryjnym szukał czegoś właśnie na tacce wypełnionej lśniącoymi narzędziami chirurgicznymi.

– W porządku, sierżancie. Nie będę już pana potrzebował.

– Tak jest, sir. – Podoficer zasalutował i wycofał się. Łysy przyjrzał się Clausowi.

– *Oberleutnant Gustav Claus?*

– *Jawohl, Herr Doktor.* – Dzięki Bogu, ten przynajmniej mówi po niemiecku, pomyślał Claus, chociaż ma okropny akcent.

– Rozbierz się. – Lekarz na migi wyjaśnił treść polecenia. – Zdejmij całe ubranie, *verstanden?*

– *Jawohl, Herr Doktor.* – Claus nerwowo zezował w stronę tacki z instrumentami chirurgicznymi. Słyszał plotki o tym, co dzieje się w piwnicach Gestapo w Berlinie. Opowiadano też, jak torturują niemieckich jeńców w Anglii. Z przerażeniem zauważył wielką strzykawkę leżącą na stole obok innych instrumentów. Może lepiej było utonąć w kanale La Manche, jęknął w duchu, i powoli zaczął zdejmować ubranie.

Pół godziny później badanie lekarskie zostało zakończone. Sierżant poprowadził pilota, któremu znacznie poprawił się nastrój, wzdłuż kolejnego korytarza. W pokoju zaopatrzenia wydano jeńcowi flanelową koszulę bez kołnierzyka, parę grubych wełnianych skarpet, wełnianą bieliznę, przybory toaletowe oraz maskę gazową w tekturowym pudełku. Odebrano zaś tylko lotnicze buty i skórzaną kurtkę. Jakiś żołnierz, również łamanym niemieckim powiadomił Clausa, że ten jako *Oberleutnant* ma prawo do kieszonkowego w wysokości trzech funtów na miesiąc.

Potem znów rozpoczęła się wędrówka płataniną korytarzy i schodów. Posuwali się ciągle w górę. Minęli już cztery metalowe bramki, każdą strzeżoną przez uzbrojonego wartownika, a jak dotąd Claus nie dostrzegł żadnego innego więźnia. W końcu dotarli na czwarte, ostatnie, piętro wielkiego budynku. Sierżant wiel-

kim kluczem otworzył drzwi i odsunął się na bok. Trzymając w obu rękach świeżo zafasowane ubranie, Claus wszedł do pokoju. Drzwi zatrzasnęły się.

Pokój był wielki, wysoki, ponury. Jedyne źródło światła stanowiło wąskie, okratowane okno. Na czterech żelaznych łóżkach leżały złożone materace. Obok nich umieszczono po dwa koce w kolorze khaki. Umieblowania dopełniały metalowe szafki, cztery brudnawe krzesła i stół. Mata z kokosowego włókna przykrywała podłogę z surowych desek.

Pod oknem mężczyzna w brązowym lotniczym kombinezonie prał skarpetki nad małą umywalką. Odwrócił się i uśmiechnął do wchodzącego Clausa.

– No, w końcu jakieś towarzystwo. – Mówił po niemiecku z lekkim austriackim akcentem. Wiedeń albo Linz. Austriak. Podobnie jak Claus, miał na rękawie naszywki *Oberleutnanta*. Przybyły rzucił swoje rzeczy na najbliższe łóżko.

– Nazywam się Claus. Gustav Claus.

– Jurgen Volk. Przepraszam, że nie uścisknę ci dłoni, ale naprawdę muszę wyprać te skarpetki. Strasznie się zabłocily, kiedy spadłem.

– Zestrzelili cię?

Volk kiwnął twierdząco głową.

– Wczoraj.

Claus uważnie przyjrzał się nowemu znajomemu. Wydawał mu się trochę za stary, jak na pilota. Niezbyt wysoki, ciemnowłosy i ciemnooki. Kobiety musiały za nim szaleć. Młody człowiek przypomniał sobie odprawę na krótko przed wyjazdem do Francji. Oficer wywiadu ostrzegał przed „kukułkami”, agentami brytyjskimi, umieszczanymi w obozach dla jeńców wojennych. Claus przysiadł na łóżku. Volk obrócił się, aby nie stać plecami do nowego lokatora, ale nie przerwał swojego zajęcia.

– Skąd startowałeś? – rozpoczął indagację Claus.

– Cherbourg – 9JG53.

– *Totenkopf*?

Volk pokręcił głową.

– Nie udawaj głupiego, bracie. Oni nie stacjonują w Cherbourgu. Ja jestem As Pik, sławny As Pik *Geschwader*.

– Twój dowódca?

– Hauptmann Winterer.

– Nazwa bazy?

– Marquise. Zadowolony?

Przed przeniesieniem do St.-Omer Claus spędził dwa tygodnie w Cherbourgu. Jak dotąd, wszystkie odpowiedzi były prawidłowe. Miał jeszcze tylko jedno pytanie w zanadrzu.

– Czy smakowało ci jedzenie w Beausejour? – spytał cicho.

Volk uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Powinieneś pracować w Gestapo, Claus. Świetnie ci to wychodzi.

– Odpowiedz na pytanie.

– No, dobra. Odpowiedź brzmi nie. Nie smakowało mi jedzenie w Beausejour.

– Dlaczego nie?

– Bo hotel Beausejour nie posiada restauracji. Jadałem w Tourville, jak wszyscy inni. – Volk uniósł brew. – Czy możemy już skończyć tę zabawę? Zapewniam cię, że nie jestem szpiegiem.

– Gdzie cię stręcili?

– Wyspa Wight.

– Było ciężko?

– Mężczyzna roześmiał się i przewiesił skarpetki przez krawędź umywalki.

– Przynajmniej nie przemokłem. Za to twój kombinezon chyba potrzebuje żelazka.

– Czy wiesz może, gdzie jesteśmy?

– Trent Park. Miejsce znane też jako Cockfosters.

– To nie jest prawdziwy obóz, prawda?

– Nie sądzę – pokręcił głową Volk. Usiadł na łóżku naprzeciwko Clausa i sięgnął do kieszeni. Wyjął paczkę papierosów. Obaj mężczyźni zapalili. Nastąpiła chwila ciszy, zakłócanej jedynie przez deszcz stukający w okno za ich plecami.

– Nie zadałeś mi żadnego pytania – stwierdził w końcu Claus.

– A powinienem?

– Mogę być szpiegiem.

Volk westchnął.

– Nie jesteś. A nawet gdybyś był i tak nie mam ci nic ważnego do powiedzenia.

– Nie, sądzę, że nie – Claus zaciągnął się dymem. Tamten miał rację. Stanowili po prostu przykład ludzi, których prześladował pech. Znaleźli się w niewłaściwym czasie na niewłaściwym miejscu.

– Cholera – odezwał się Volk po chwili.

– No – zgodził się Claus.

Volk wstał i podszedł do umywalni. Sprawdził skarpetki.

– Nigdy nie wyschną – powiedział ponuro. – Nienawidzę mokrych skarpetek.

– Ja też.

Gdyby Claus został sam, chyba zacząłby płakać. A tak patrzył tylko w podłogę. Stwierdził nagle, że myśli o dziewczynie, którą znał w Neukolln. Nazywała się Lena i po raz pierwszy robił „to” właśnie z nią. Teraz pamiętał głównie zapach miętowego likieru, jakim ją upijał. Zastanawiał się, ile czasu upłynie, zanim znowu będzie miał kobietę i napije się miętowego likieru. Westchnął długo, boleśnie, a potem zakłopotany zakaszłał.

– Nie martw się – Volk zgasił papierosa w stojącej na stole popielniczce, podszedł do Clausa i poklepał go po ramieniu. – Doskonale wiem, co czujesz. – Usiadł na łóżku obok nowego przyjaciela. – Najgorsze jest to, że tak się cieszyłem na to nocne muzykowanie we czwartek.

– Miałeś brać udział w Sonacie Księżycowej? – spytał zaciekawiony Claus. Sonata Księżycowa był to kryptonim operacji bojowej największej od czasów pierwszych nalotów na Londyn.

Volk skinął głową.

– Tak. Mieliśmy eskortować KG100. Zapowiadało się ciekawie.

– Jak sądzisz, gdzie nastąpi pierwsze uderzenie?  
– *Regenschirm*. Birmingham to najbardziej prawdopodobny cel.  
– A ja myślę, że *Korn*. Coventry nie jest może tak duże, ale tamtejsze *Cornecraft Works* produkują silniki do myśliwców. Przynajmniej tak nam mówili na odprawach.

– Może masz rację. – Volk wzruszył ramionami. – Nie wydaje mi się, aby stanowiło to teraz jakąś różnicę dla mnie czy dla ciebie.

– Nie, chyba nie. Wypadliśmy z gry. Cholera. – Claus zaciągnął się po raz ostatni i zgniótł papierosa w popielniczce. – Zastanawiam się, co teraz będzie?

– Przesłuchanie. A potem odeślą nas do właściwego obozu. – Volk ziewnął rozdzierająco. – Chyba pójdę teraz spać, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Od wczoraj nie mogę dojść do siebie.

– Doskonały pomysł.

Obaj mężczyźni przygotowali prycze i położyli się. Gustav Claus zasnął, zanim się zorientował. W godzinę później obudził go odgłos kroków za drzwiami. Klucz zaszcząkał w zamku. Wszedł sierżant. Kazał Volkowi wstać i wyprowadził go z pokoju. Claus usiłował dotrwać do powrotu przyjaciela, ale oczy same mu się zamknęły i po chwili już snił o Lenie z Neukolln i likierze miętowym.

– Cholernie wspaniale! – Pułkownik John Masterman promieniał. Były dziekan z Oksfordu siedział za zawalonym papierami biurkiem w kiepsko oświetlonym biurze na pierwszym piętrze. Wokół piętrzyły się stosy teczek z aktami więźniów i szaro oprawionych dzienników pokładowych. Na samym wierzchu leżała specjalna edycja przewodnika po Francji Michelina, wydana przez Ministerstwo Lotnictwa. Naprzeciwko Mastermana rozpierał się w skórzanym fotelu doktor Charles Tennant. Palił papierosa i od czasu do czasu unosił do ust dymiący kubek herbaty.

Psychiatra nadal miał na sobie kombinezon lotniczy *Luftwaffe*, który pożyczył do odegrania roli oberleutnanta Volka. Volk, który został zestrzelony dzień wcześniej, zajmował teraz celę niedaleko Gustava Clausa, na czwartym piętrze Trent Park. Masterman zarządził, aby pilotów skierowano do różnych obozów. Claus miał pojechać do Grizdale Hall w Lancashire, podczas gdy prawdziwy Jurgen Volk dostał przydział do Hayes, przerobionego na więzienie hotelu w Staffordshire.

– Szczerze mówiąc, w pewnej chwili trochę się przestraszyłem – opowiadał Tennant znużonym głosem. – Był bardzo podejrzliwy. Niemał mnie przyłapał przy tym pytaniu o Beausejour. – Spojrzał na przewodnik Michelina. – Nie miałem za wiele czasu na przewertowanie wszystkich materiałów, a mój niemiecki już trochę zardzewiał.

– Wspaniale się pan sprawił, Tennant, i to w bardzo krótkim czasie. Jestem szczerze wdzięczny. Ten kawałek o mokrych skarpetkach to prawdziwy przebłysk geniuszu, a pomysł ze wstępnym badaniem lekarskim stanowił strzał w dziesiątkę.



– Nic nowego pod słońcem. Przestraszyć ofiarę, a potem zmniejszyć nacisk. Spowodować, że poczuje się bezpiecznie i już zyskujesz jej zaufanie. Podstawowe techniki Pawłowa.

– Jasne. Cokolwiek pan zastosował, ważne, że się udało. Powinniśmy to kiedyś powtórzyć.

– Będziecie musieli znaleźć innego aktora – uśmiechnął się Tennant. – Nie wydaje mi się, żebym mógł odgrywać takie sceny zbyt często.

– Niech pan się tak nie kryguje, człowieku. Zrobiłby pan karierę na scenie. Ten mały połknął haczyk, żyłkę i szałwik.

– Ciekawy eksperyment – Tennant wzruszył ramionami. – Nie jestem pewien, jak by się sprawdzał na dłuższą metę.

– Ależ sprawdził się doskonale, na dłuższą metę czy nie. Nasz przyjaciel Claus potwierdził wiadomość o wielkim nalocie pod kryptonimem Sonata Księżycowa.

– A więc to właśnie miał pan na myśli, wspominając o „nocnym muzykowaniu”. Zastanawiałem się nad tym. Nie rozumiałem, o co chodzi. – Psychiatra przerwał. – Chciał pan zyskać potwierdzenie?

– Tak. – Masterman kiwnął głową. Zaczął przeszukiwać stopy teczek. – Zawsze miło jest mieć drugie źródło. Zamruczał coś pod nosem i jęknął cicho. – Muszę utrzyć nosy tym cwaniaczkom w Departamencie B. Zależy mi zwłaszcza na jednym nosie. – Spojrzał na Tennanta. Szkło okularów załśniło odbijając światło ustawionej na biurku lampy. – Nie mogę panu za dużo powiedzieć. Choćby cię smażono w smole nie mów, co się dzieje w szkole. I tak dalej.

Ktoś zapukał do drzwi. Wszedł kapral, zasalutował Mastermanowi i położył na biurku trzy szpule z nagraniami.

Masterman sięgnął po skórzaną walizeczkę. Napełnił ją aktami i teczkami. Na wierzchu położył taśmy i zatrzasnął wieko.

– Zachowaj pan dyskrecję na temat tej sprawy, dobrze, doktorze? – W głosie starszego mężczyzny brzmiała lekka nuta zniecierpliwienia. – Przypuszczam, że powinienem być załatwić to drogą służbową, ale... Nie mieliśmy czasu.

– Proszę się nie martwić, pułkowniku. – Tennant machnął ręką. – Nie powiem ani słówka.

– Dał pan naprawdę dobre przedstawienie – stwierdził z ulgą Masterman. – Czy mogę pana gdzieś podrzucić?

– Tak, dziękuję. Tylko zmienię te mokre skarpetki. – Tennant uśmiechnął się, a po chwili śmiali się obaj głośno.



# Rozdział piętnasty

WTOREK, 12 LISTOPADA 1940 ROKU

21. 30 CZASU GREENWICH

**K**atherine Copeland wyszła ze stacji metra na Oxford Circus i głęboko wciągnęła powietrze. Podziemia stacji przepelniał smrodliwy zaduch, a perony nawet o tej stosunkowo wczesnej porze tonęły w ekskrementach. Niedawno zainstalowane prycze były już przeładowane. Ciągłe napływający uchodźcy tłoczyli się nawet pod schodami.

Hałas wprost porażał. Matki nawoływały dzieci, niemowlęta płakały, pociągi zgrzytały i piszczały. Ktoś pogwizdywał, ktoś płakał, krzyczał, jęczał, śmiał się histerycznie. Dźwięki zlewały się, a gdzieś w tle pulsował nie milknący pomruk, szum, jakby jakaś mityczna bestia kryła się pod ziemią.

Koszmarne sceny dziwnie nie pasowały do pełnych optymizmu radiowych pogadarek Priestleya, opowiadających o „niewzruszonym harcie ducha londyńczyków”.

Zamiast siedzieć w przytulnym studiu BBC, pan redaktor powinien spróbować nadać audycję o którejś spośród prowizorycznych toalet na stacji Oxford Circus, pomyślała Katherine, albo przeprowadzić wywiad z jednym z tych pełnych wiary w lepszą przyszłość londyńczyków, któremu właśnie pocisk rozerwał na strzępy żonę i dzieci. To wszystko działało młodej kobiecie na nerwy. Jak zwykle usiłowano interpretować tę wojnę jako odwieczną walkę dobra ze złem.

Ludzie w rodzaju Priestleya widzieli w Brytyjczykach świętego Jerzego, a Hitlera mieli za ziejącego ogniem smoka. Białe zwycięży, wróżki pojawią się na wezwanie, kiedy zaklaszczesz w dłonie wystarczająco mocno i jeżeli wszyscy będziemy dobrzy i sprawiedliwi, powróci król Artur, wznosząc Excalibur przeciwko żelaznym hordom.

A przecież ta wojna dotyczyła przerażonych ludzi ukrywających się w śmierdzących głównym podziemiach metra, ludzi, których życie mogło się skończyć w ułamku sekundy, a nie rycerzy w lśniących zbrojach. Katherine pomyślała o Larym Binghamie i „Dzikim” Billu Donovanie.

– Do diabła z nimi – szepnęła. Została odsunięta od sprawy i trudno. Jeżeli Larry Bingham nie chce jej pomocy, to może Morris Black zechce. Potrzebowała tylko gałązki oliwnej i dlatego właśnie, mimo późnej pory, zdecydowała się na wizytę u Georga Buckmana w BBC.

Odnalazła go na dachu zwalistego budynku w stylu art deco. Wysoki, całkowicie łysy, w tweedowym garniturze, George Buckman trzymał wielki mikrofon wystawiony poza balustradę, otaczającą dla bezpieczeństwa dach. U stóp dziennikarza leżało kilka skrzynek z wyposażeniem. Katherine, która w pierwszej chwili dostrzegła tylko ciemną sylwetkę na tle rozświetlonego pożarami nieba, wydawało się, że Buckman ma na uszach filiżanki, ale kiedy okrzyki wentylatory i podeszła bliżej, zorientowała się, że to tylko słuchawki.

Wyczuwając czyjaś obecność, mężczyzna obejrzał się i przyłożył palec do ust, nakazując ciszę, po czym wrócił do swojej pracy. Młoda kobieta podeszła bliżej i wyjrzała przez balustradę. Spojrzała, usiłując zorientować się w terenie.

Stali na południowo-zachodnim krańcu dachu, w pobliżu kwadratowej wieży zegarowej i jednego z masztów antenowych, wyglądającym jak teksaski szyb wiertniczy, który jakimś cudem znalazł się na szczycie domu. Okrągły balkon dwa piętra niżej zajmowała pokryta płótnem masa wielkiego głośnika, transmitującego raz dziennie bicie Big Bena.

Katherine rozejrzała się. Po prawej stronie, na drugim końcu Portland Place, ciemniała, podobna do zamku bryła hotelu Langham. Z lewej, częściowo przysłonięta masztem transmisyjnym, wylaniała się wieża kościoła Wszystkich Świętych. Nieco dalej na wschód, na tle rozdieranego wybuchami nieba, widniała kopuła Queen's Hall, a za nią dachy Bloomsbury. Morze spadzistych dachów i las kominów – czarnych, spiczastych cieni znaczących różowo-żółte chmury.

Powietrze wypełniał ryk syren, świst spadających bomb, zgrzyt i trzaski działek przeciwlotniczych, przenikliwe zawodzenie wozów strażackich i karetok pogotowia, które śpieszyły w kierunku rozszerzających się kręgów blasku coraz to nowych pożarów. Sceneria godna pióra Dantego. Katherine Copeland poczuła, jak zasycha jej w ustach, a serce wali mocno. Nie potrafiła pogodzić się ze straszliwymi obrazami miasta unicestwianego wprost na jej oczach.

Gdzieś daleko na południowym zachodzie pojawił się wyjątkowo ostry błysk, a po chwili silny wstrząs poruszył posadami budynku, na dachu którego stała Katherine. Wydawało się, jakby kilkanaście bomb trafiło naraz w jeden cel, a wielobarwny wir dymu i płomieni był tak jasny, że w jego blasku dziewczyna mogła odróżnić odległą o więcej niż półtora kilometra masywną sylwetkę Victoria Station.

– O Boże! – jęknęła. Stojący obok mężczyzna obrócił się lekko, pokręcił głową i zdjął z uszu słuchawki, pozwalając im zawisnąć na szyi. Schylił się, wyłączył magnetofon i starannie ułożywszy mikrofon w pudełku, odezwał się do Katherine.

– Główny przewód gazowy. Może dwa. – Musiał podnieść głos, aby przetrząść przeraźliwy huk. – Nie można tego pomylić. Lecą bomby. „Zzzz! Trach!” Wybuch przewód gazowy. „Łup! Bum!” – Zapatrzył się w ciemność. – Paskud-

nie to wygląda. – Odwrócił się znowu do Katherine i uśmiechnął miło. – Pani pewnie jest Katherine Copeland. – Wyciągnął zdumiewająco małą, delikatną dłoń.

– A pan jest George Buckman.

– Zgadza się. Jeżeli pomoże mi pani z tym sprzętem, to będziemy mogli zejść do mojego biura i pogadać.

Biuro mieściło się na siódmym piętrze, nieopodal studia efektów dźwiękowych. Wszystkie wnętrza posiadały tu dźwiękoszczelną izolację, która tłumiła nieco hałas z ulicy.

Pokój Buckmana od podłogi do sufitu zastawiony był stalowymi regałami w optymistycznym jasnozielonym kolorze. Na półkach tłoczyły się setki różnych dziwnych przedmiotów: instrumenty muzyczne, kawałki drewna najeżone małymi gwoździkami, metalowe wypełnione groszkiem puszki, paletki do tenisa stołowego oklejone papierem ściernym, cienkie metalowe dyski z przyczepionymi do nich sprężynami, pęki kluczy, megafony, zrolowane arkusze celofanu, metalowe pudełko na pastylki od bólu gardła. Marzenie kolekcjonera śmieci i koszmar gospodyni domowej, pomyślała Katherine.

Małe okienko wychodziło na sąsiedni pokój, jasno oświetlony, wyścielony miękką wykładziną. Katherine skojarzył się z wnętrzem jajka.

– Studio efektów dźwiękowych – wyjaśnił Buckman, widząc zaciekawienie na twarzy gościa. – Nazywam je moim laboratorium. – Ułożył pudełko ze sprzętem na podłodze i opadł na z krzesło. Katherine również usiadła.

– Przepraszam, jeżeli tam na górze przeszkodziłam panu – powiedziała.

Buckman wzruszył ramionami.

– Nie szkodzi. Pani okrzyk tylko dodał kolorytu.

– Jak huk eksplozji?

– Korespondenci bardzo takie efekty lubią. Zwłaszcza pani amerykańscy koledzy. To dodaje realizmu ich audycjom. Jakaś bomba w tle od czasu do czasu ożywia nieco relację. – Buckman uśmiechnął się i przejechał dłonią po łysej czaszce. – Ale wydaje mi się, że nie przyszła tu pani, żeby słuchać o efektach specjalnych.

– Pewien znajomy z redakcji powiedział mi, że jest pan ekspertem w sprawach dotyczących prowincjonalnych miejscowości w Niemczech. Sądził, że mógłby mi pan pomóc.

– Och, ekspertem – to lekka przesada. – Buckman odkaszlnął zakłopotany i zaczerwienił się aż po czubek głowy. Katherine z trudem stłumiła uśmiech. Nigdy jeszcze nie widziała czegoś takiego. – Jestem tylko amatorem włączęgi.

Zgodnie z tym, co mówił kolega Katherine, Buckman rzeczywiście lubił wędrówki, ale nie można go było nazywać amatorem. Piastował bowiem stanowisko prezesa Brytyjskiej Federacji Klubów Turystyki Pieszej i przewodniczącego Krajowego Stowarzyszenia Wędrowców. Pod pseudonimem Walker Miles napisał więcej niż tuzin przewodników turystyki pieszej dotyczących okolic Londynu, Bawarii i różnych innych miejsc w Europie. George Buckman, mając parę dobrych butów i plecak, mógł odwiedzić najbardziej nieprawdopodobne miejsca.

Katherine otworzyła torebkę i wyjęła z niej duże powiększenie zdjęcia, które Morris Black zdyął ze ściany w domu Ivora Dranie w Southampton. Poprosiła,

aby w pracowni fotograficznej wykadrowano przy powiększaniu centralną część kompozycji, aby postacie i znak na budynku w głębi stały się rozpoznawalne. Wręczyła zdjęcie Buckmanowi.

– Nie sądzę, aby pan rozpoznał to miejsce, ale może się myłę?

Buckman przybliżył fotografię do oczu i przyjrzał się. Po chwili w zamyśle- niu skinął głową.

– To Gasthaus Strobeck. Podają świetne sznycle, o ile pamiętam.

– Był pan tam? – spytała zdziwiona Katherine.

– W trzydziestym szóstym i trzydziestym ósmym. – Buckman ponownie po- kiwał głową. – To zapadła dziura. W górach Harz, niedaleko Halberstadt, między Berlinem a Weimarem. Nie ma tam nic ciekawego. O ile ktoś się nie interesuje szachami, oczywiście.

– Szachami?

– Tak. Myślałem, że o to właśnie pani chodzi.

– Nie rozumiem.

– Proszę spojrzeć na zdjęcie. Te postacie w tle.

– Wyglądają, jakby szli na jakiś bal kostiumowy.

– Wybierają się na turniej szachowy. Ta kobieta z przodu jest czarną królo- wą, a mężczyzna obok niej to król. Człowiek w wysokim, kwadratowym kapelu- szu z włócznią w dłoni to wieża, a postać z maską konia to skoczek czy też konik, i tak dalej. Pionki, gонец, kolejna wieża.

– O, mój Boże – szepnęła Katherine, spoglądając na fotografię. – Ma pan rację... – Że też nie zwróciła na to uwagi.

– Z tego, co pamiętam, w tym miasteczku mają bzik na punkcie szachów. Istnieje legenda, że to właśnie tutaj rozegrano pierwszą prrtię w Europie. Uczą tej gry nawet w szkole. Stąd właśnie pochodzi trzynastoletni mistrz w Olimpiadzie Szachowej z 1936. Co roku wielbiciele szachów urządzają festiwal, podczas któ- rego posługują się ludzkimi figurami, tak jak to widać na zdjęciu. To, oczywiście, atrakcja turystyczna, ale tamtejsi mieszkańcy traktują sprawę całkiem na serio.

– I mówi pan, że poza festiwalem nie wiąże się z tą miejscowością nic spe- cjalnego? Nic ważnego?

– Zupełnie. Bywają tam tylko szachiści i tacy jak ja. – Buckman znowu spłonął rumieńcem.

Katherine spojrzała na zdjęcie.

– A więc jest mało prawdopodobne, aby istniała jakaś przyczyna poza sza- chami, dla której ktoś miałby trzymać tę fotografię na ścianie?

Dziennikarz pokręcił głową.

– Nie sądzę. To najwidoczniej pamiętka szachisty. I to zapewne zapalonego gracza.

Katherine wpatrzyła się w zdjęcie. Jeżeli Dranie był wielbicielem szachów, to czy jego zabójca też? Czyżby trafiła na istotny ślad?

Posterunkowy Swift zaparkował przy krawężniku i wyłączył silnik. Morris Black ocknął się z zamyślenia. Przez boczną szybę dojrzał ceglana, pozbawio-

na okien fasadę budynku Basenów Westminster na Buckingham Palace Road. Po drugiej stronie ulicy ciągnęły się pokryte sadzą mury parowozowni Victoria Station.

Była już prawie północ, ale niebo oświetlone setkami pożarów jaśniało jakby nadchodził świt. Chłodne powietrze wypełniał nieustanny szczerk broni przeciwlotniczej i huk bomb, jednak ten ciemny zakątek miasta zdawał się być odizolowany od panującego wokół zamętu; ponura otchłań pośrodku chaosu, gdzie zmarli czekali cierpliwie, wolni od bólu.

Kilka szarych ciężarówek czekało przed budynkiem. Jedna z nich wjechała kołami na chodnik. Śmiertelnie znużony sanitariusz, oparłszy się o drzwiczki karretki, palił papierosa. Na schodach pojawili się pracownicy kostnicy z pustymi płóciennymi noszami.

Baseny Westminster, podobnie jak i inne miejskie baseny w Londynie, już rok temu zostały zmienione w tymczasowe kostnice. Opróżniono je z wody, przykryto i wyposażono tak, aby co noc mogły przyjąć kilkaset ciał. Wyłożona kafelkami podłoga i dobrze działający system wentylacyjny stanowiły niebagatelny atut, wzięwszy pod uwagę nową funkcję tych pomieszczeń.

Swift pozostał w wozie. Obie ręce mocno zacisnął na kierownicy, oczy wlepił w rozbłyskujące niebo. Black pomyślał, że jego towarzysz wygląda na zdenerwowanego, niemal na krawędzi paniki.

- Chodźmy, Swift, pewnie znajdują tam dla pana kubek herbaty.
- Dziękuję bardzo, sir, ale nie. Wolę zostać tutaj, jeżeli to panu nie przeszkadza.
- Trwa nalot, człowieku. Niech pan nie będzie idiotą.
- Zostanę tutaj, sir. W samochodzie – powtórzył stanowczo posterunkowy.

Black wyobraził sobie, jak wygląda teraz wnętrze basenu. Martwe ciała, odór krwi i ekskrementów. Zbyt podobne do plaż Dunkierki. Swift zbyt wiele już w życiu przecierpiał.

Kiwnął głową.

- Dobrze. Niech pan zostanie w wozie.
- Dziękuję, sir. – W głosie asystenta inspektora zabrzmiała wyraźna ulga.
- Jeżeli sytuacja się pogorszy, proszę wejść do środka.
- Oczywiście, sir.

Black samotnie ruszył w stronę budynku basenów. Obrazy, które podsuwała mu przed chwilą wyobraźnia, nawet w przybliżeniu nie odpowiadały straszliwej rzeczywistości, z jaką przyszło mu się zmierzyć.

W hallu, oświetlonym jedynie pojedynczą lampą stojącą na zbitym z desek stole, siedział szary na twarzy mężczyzna w mundurze wolontariusza i wpisywał formułkę „Zmarły z powodu działań wojennych” przy różnych nazwiskach na liście lokalnych wyborców. Marmurowa podłoga była śliska od krwi, a powietrze wypełniał ciężki, gęsty smród zwęglonego drewna i spalonego mięsa.

Black pokazał strażnikowi odznakę policyjną. Mężczyzna w milczeniu podał inspektorowi płaskie metalowe pudełko. Black odkręcił pokrywkę. Puszka wypełniona była tłustym, białym kremem, pachnącym znacznie intensywniej niż kulki przeciwko molom.

– To kamfora – wyjaśnił wolontariusz. Pokiwał głową ze zmęczeniem. – Tam jest potwornie. Metro na Sloan Square. Bomba i przewód gazowy. Dwudziestu zmarłych, a następni wciąż napływają... – Wskazał na pudełko. – Proszę włożyć odrobinę w nozdrza i próbować oddychać ustami.

Inspektor zastosował się do polecenia, po czym oddał puszczykę i ruszył szerokim korytarzem. Za obrotowymi drzwiami znajdowała się ogromna, wysoka sala. Basen został osuszony, zabudowany rusztowaniami z desek i potem nakryty płytami sklejk. Na utworzonych w ten sposób podestach ustawiono co najmniej pięćdziesiąt prowizorycznych stołów sekcyjnych. Wzdłuż brzegów basenu ciągnęły się rzędy kozłów. Część z nich zajmowały nosze, na których leżały zwłoki przykryte tym, co akurat było pod ręką – od podartych koców po gazety. Tylko nieliczne szczątki umieszczono w gumowanych workach, takich, w jakim znaleziono trupa Stanisława Rudelskiego.

Przy wszystkich stołach sekcyjnych trwała praca. Kilkunastu ubranych na biało sanitariuszy sprawdzało ciała i przyczepiało do nich identyfikacyjne tabliczki. Pracownicy obrony cywilnej do drucianych koszyków wkładali rzeczy znalezione przy zmarłych. Koszmarną scenę oświetlało kilka lamp, zwisających na długich kablach nad stołami. W polach światła wirowały kłęбки kurzu.

Mrużąc oczy Black dostrzegł na końcu sali Spilsbury'ego i Liddella. Stali nad prostą trumną wspartą na krzyżaku. Spilsbury w białym laboratoryjnym fartuchu na ciemnym garniturze przyglądał się, jak sanitariusz odśrubowuje wieko trumny. Liddell nieco się odsunął. Palił fajkę i obserwował przebieg wydarzeń.

Black wszedł na drewniany pomost, który odbijały kroki idącego głuchym echem. Inspektor usiłował nie patrzeć na boki, ale nie potrafił już zapanować nad wzrokiem. Wszędzie leżały ciała.

Krucha kobieta, masa siwych włosów, czerwony sweter. Wydawała się nie mieć żadnej rany. Wybałuszone oczy wskazywały na śmierć spowodowaną falą dekompresji.

Głowa mężczyzny, pokryta pyłem i zalana krwią. Brudna, poplamiona koszula urywała się raptownie na biodrach, a dalej nie było już nic, oprócz potwornej masy sterczących kości i przypalonego mięsa.

Spokojna twarz śpiącej dziewczyny, może siedemnastoletniej. W jej piersi ziała ogromna dziura, przez którą widać było połyskliwą błonę osierdzia.

Troje potwornie okaleczonych dzieci na jednym stole. Wielki leżący na brzuchu mężczyzna z głową tak zmiażdżoną, że niemal płaską i odsłoniętym kręgosłupem.

Black całą siłą woli utkwiał wzrok w dwóch oczekujących go postaciach. Oddychał szybko, płytko przez usta. Czuł, jak zimny pot spływa mu po czole. Walczył, by nie poddać się zawrotowi głowy, ale nogi miał jak z waty. To nie była kostnica; to ludzka rzeźnia. Zacisnął zęby i szedł dalej.

Do Liddella i Spilsbury'ego dotarł w chwili, kiedy pielęgniarz, wykręciwszy ostatnią śrubę z prostego wieka trumny, odsunął się o krok i nałożył zwisającą mu na szyi maskę z gazy. Spilsbury i Liddell postąpili tak samo.

– W samą porę – powitał Blacka Liddell. Spilsbury zimnym wzrokiem przyglądał się, jak inspektor osłania sobie gazą dolną połowę twarzy.

– To jest wbrew regulaminowi, inspektorze Black. Przeczytałem akta sprawy. Nie ma żadnych wątpliwości, że ta kobieta zmarła w wyniku doznanych podczas wybuchu i pożaru obrażeń. Sekcja będzie tylko stratą cennego czasu. – Patolog czekał chwilę na odpowiedź, ale Black milczał. Niedawno spędził całe godziny na przekonywaniu Liddella o tym, że ekshumacja jest konieczna. Nie miał zamiaru przechodzić przez to jeszcze raz, a przy tym czuł narastające napięcie. Za chwilę okaże się, czy rzeczywiście się mylił.

Spilsbury czekał jeszcze przez chwilę, wreszcie odwrócił się do pielęgniarki i skinął głową. Mężczyzna podszedł bliżej i, zdjawszy wieko trumny, oparł je na najbliższych krzyżakach. Tymczasem patolog założył rękawiczki chirurgiczne, przesunął okulary na czubek głowy i pochylił się nad zwłokami.

Minęło parę przeraźliwie długich minut. Spilsbury nie odwracając się podniósł dłoń i gestem przywołał Blacka i Liddella. Wiedząc, co za chwilę zobaczy, detektyw przełknął ślinę, zmusił się, aby przestać myśleć i spojrzął w dół, na doczesne szczątki zmarłej Jane Luffington.

Po rozpoznaniu dokonany przez matkę zwłoki zabrano do zakładu pogrzebowego, gdzie przygotowano je do pochówku. Ciało umyto łagodnym roztworem alkoholu. Następnie wbito długie, puste w środku igły w żyły i arterie w pachwinie, podczas gdy trzecią igłę wkłuto prosto w pępek. Następnie za pomocą pompki próżniowej oczyszczono ciało z krwi i zawartości jamy brzusznej.

Nie próbowano odtwarzać zmasakrowanej, wypalonej twarzy. Trumna podczas pogrzebu miała pozostać zamknięta. Włożono tylko knebel z gipsu do ust i zamknięto je. Podobnie zatkańto odbył i pochwę, aby nie dopuścić do uchodzenia gazów i pozostałych w organizmie płynów.

Po sześciu tygodniach postępującego procesu rozkładu ciało Jane Luffington pokryło się podobną do wosku tłuszczową substancją o konsystencji rozmiękłego sera i zapachu, którego nie można było z niczym pomylić. Wielkie, okrągłe plamy jak grudy gliny oblepiły szczątki twarzy. Piersi wypełniły się spływającą na boki mazią. Nogi stały się obrzmiałymi słupami, wypełnionymi breją podobną do mydła. Brzuch napęczniał, jakby dziewczyna była w ciąży, podczas gdy umieszczona w pochwie zatyczka wysunęła się nieco pomiędzy uda, wypchnięta zbierającymi się w gnijących wnętrznościach gazami.

Stopy miały kolor niebiesko-zielony; dłonie, prawie zwęglone, przypominały poczerniałe szpony. Gdziekolwiek z ciała sterczały kości, szarozielone, przechodzące w brąz. Jedynie dwa rzędy pięknych zębów, lśniących bielą w zrujnowanej, popalonej twarzy, przypominały o człowieczeństwie tych upiornych szczątków.

– Dobry Boże! – wyszeptał Liddell zza maski. Stojący obok Morris Black nie zdołał wydusić słowa.

– Nastąpił normalny proces rozkładu – mruzczał do siebie Spilsbury. Spojrzął na Blacka. – Zgaduję, iż podejrzewa pan, że zabito ją w taki sam sposób, jak i pozostałe ofiary.

– Tak, sir – Black kiwnął głową. Usta miał nieprzyjemnie wypełnione śliną. Przełknął, podniósł dłoń i, przyciskając mocniej maskę do nosa, z całej siły wdy-



chał zapach środka dezynfekcyjnego. Fay też zmieniła się w coś takiego, zanim obróciła się w proch. Przez chwilę inspektor bał się, że zwymiotuje.

– Muszę przekręcić jej głowę. – Spilsbury wsunął dłoń w rękawicze pod szczękę trupa. Rozległ się głuchy, nieprzyjemny trzask, jak przy rozdzieraniu materiału. Black zamknął na chwilę oczy i znowu przelknął ślinę.

Spilsbury pochylił się jeszcze bardziej, jego okularom groziło już, że za moment wpadną do trumny.

– Interesujące – stwierdził cicho.

Liddell odkasznął słabo.

– Znalazł pan coś, sir Bernardzie?

– Tak. Ślad po uduszeniu. – Podniósł dłoń i skinął na pielęgniarza. – Długie szczypce – polecił. Mężczyzna sięgnął do leżącej na podłodze torby i znalazł narzędzie, o które prosił patolog. Spilsbury rozsunął masy brązowej substancji tłuszczowej pod brodą kobiety. Przekręcił szczypce i szarpnął. Ukazał się gruby, długi kawałek tkaniny.

– Co to jest? – spytał Black. Mdołości znikły pod wpływem podniecenia. Postać w trumnie nie była już istotą ludzką. Stanowiła dowód, dzięki któremu mógł przybliżyć się do rozwiązania sprawy.

– Szara, skręcona ściśle jak lina. Jedwab. Może to apaszka – Spilsbury podniósł znalezisko do światła. – Jakiś dziwny węzeł.

– Co pan ma na myśli? – zainteresował się Black.

– Bardzo skomplikowany, z dwiema ruchomymi pętlami. Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

– Żeglarz? A może marynarka wojenna? – zasugerował Liddell.

– Albo skaut – dodał sucho Spilsbury. – Modelarz, a może nawet zwykły elektryk. Ale to i tak dziwne. Mógł przecież skutecznie użyć jakiegoś zwyczajnego splotu.

– Dumny ze swoich umiejętności? – zastanawiał się na głos Black. – Chciał się popisać?

– To możliwe.

– A więc uduszono ją? – włączył się do rozmowy Liddell.

– Niekoniecznie – stwierdził Spilsbury. – Pętla mogła zostać użyta tylko do przytrzymania dziewczyny.

– Myśli pan, że chodzi o coś innego? – spytał Black.

Spilsbury kiwnął głową. Jego zainteresowanie wyraźnie rosło, irytacja gdzieś zniknęła.

– Zaczekajcie chwilę. – Odłożył szczypce i skręcone pasmo jedwabiu na stół, po czym powrócił do woskowych szczątków w trumnie. Przesunął stanowczym ruchem głowę trupa na bok i, trzymając szczękę lewą ręką, prawą dłonią sięgnął pod kark, do szczytu kręgosłupa. Potem, wcisnął palce pomiędzy mięśnie i ostrożnie sondował przestrzeń pomiędzy odsłoniętymi kręgami.

– Jest coś?

– Chwilę... no. Jest! – Spilsbury sięgnął teraz po długie szczypce i wsunął je delikatnie w ranę na karku. Po chwili mógł już zaprezentować Liddellowi



i Blackowi mały przedmiot. Grot identyczny jak te, którymi zabito pozostałe ofiary.

– A niech mnie cholera – zaklął Liddell.

– Muszę pana przeprosić, inspektorze – powiedział Spilsbury, pochylając się lekko w kierunku Blacka. – Miał pan całkowitą rację. Została zamordowana, dokładnie tak, jak ci cztery.

Numer stał w głębokim cieniu starych drzew cmentarza St. Michael i patrzył, jak księżyc wschodzi ponad wysoką wieżę katedry. Już kilka godzin temu pierwsze spojrzenie na strzelisty kształt w promieniach zachodzącego słońca stało się objawieniem, momentem najczystszej prawdy, dopełnieniem każdej myśli i chwili. Znikł wszelki strach i zwątpienie. Iglica była jak środek koła, święty kamień, środek środka, ciemny miecz wzniesiony, aby przebić niebo.

Numer wiedział, że liczby okażą się doskonałe, zanim jeszcze kupił tę broszurkę od wędrownego handlarza na Bayley Lane. Dziewięćdziesiąt i jeden metr od podstawy po szczyt, a sama podstawa wieży dziewięć i pół metra każdy bok.

Patrząc teraz w górę, widział jak światło księżyca przedziera się przez deszczowe chmury i oświetla rzędy zamkniętych łukami okien. Czuł, że serce wali mu w piersi, a krew w żyłach pali niczym płynny ogień.

Dwa miesiące temu, kiedy tamta „wrenka” przyłapała go, kiedy grzebał w jej torbach przy motocyklu, sądził, że odebrano mu moc. Śmierć dziewczyny i fałszywy rytuał ofiarowania stanowiły jedynie symbol jego pomyłki – upokarzającej porażki. Teraz Numer wiedział, iż był to jedynie sprawdzian determinacji i zdolności, próba przed rozpoczęciem ostatecznej bitwy.

Ciągle jednak się wahał. Wiele razy podczas ostatnich ośmiu tygodni myślał o porzuceniu zadania, przyznając się do głębi swojej słabości i wydając na żer demonom. W końcu jednak zwyciężył. Znalazł właściwą drogę, oślepiającą prawdę, ukrywaną przed nim tak długo. Jego doskonałość wywodzi się z chaosu i z chaosu również przyjdzie dopełnienie.

Patrzył na księżyc, swego przewodnika. Jemu także brakowało jedynie skraweczka światła, aby stał się pełnią. Niedługo ujawni się to, co zakryte. I on dowie się wreszcie. Cały świat się dowie. Nadejdzie doskonały spokój.

Numer nie przeoczył najmniejszego nawet szczegółu. Przyjechał wcześniej rano i udał się pod właściwy adres na Cherry Street w Radford, niedaleko gazowni. Zidentyfikował poszukiwanego, a potem śledził go w drodze do pracy. Na piechotę i tramwajem. Czekał cierpliwie i poszedł za mężczyzną aż do domu. Kiedy tak wędrowali staroświeckimi uliczkami i wąskimi pasażami, utrzymywał właściwy dystans.

Śledzony wczesnym wieczorem znowu wybrał się do miasta. Zatrzymał się przez chwilę w pubie na Pond Street, a potem poszedł do kina.

Grali nowy amerykański film „Przeminęło z wiatrem”. Numer siedział w ciemnościach, zaledwie dwa rzędy za człowiekiem, którego miał zamiar wkrótce zamordować, i patrząc na pożar Atlanty, dziwił się ironii losu. Płomienie w techni-

kolorze niszczące siedzibę grzechu i zepsucia. Kolejny omen, subtelny znak, który wskazuje mu, że obrał słuszną drogę.

Film się skończył. Zapadła już całkowita ciemność. Jednak dzięki mglistemu światłu księżycy można było swobodnie podążać za ofiarą aż do katedry. Od czasu, kiedy mężczyzna zniknął w kościele, minęła chyba godzina. Numer musiał powstrzymać się całą siłą woli, aby nie wejść do środka i nie patrzeć, jak tamten się modli. Mógłby nawet przedstawić mu się jako parafianin, uznał to jednak za zbędne ryzyko.

Zamiast tego stał pod drzewami i czekał. Patrzył na księżyc i niskie deszczowe chmury, liczył mijający czas, a oczyma duszy widział nadchodzący koszmar. Wiedział, że wszystko musiało się dopełnić, bo on właśnie stanowił centrum.

Wyciągnął Księgę, wyjął z niej pocztówkę, porównał z widokiem, który miał przed sobą i uśmiechnął się.

# Rozdział szesnasty

ŚRODA, 13 LISTOPADA 1940 ROKU

10. 30 CZASU GREENWICH

**W**erner Steinmaur siedział wyprostowany na niewygodnym krześle i czekał, aż rozpocznie się przesłuchanie. Był w wielkim pokoju sam, jeśli nie liczyć trzymającego wartę przy drzwiach kaprała w mundurze walijskich fizylierów. Przez zalane deszczem okna więzień mógł dojrzeć promenadę i zatokę Douglas, a dalej otwarte Morze Irlandzkie. Wyspa Man. Obozy.

Oczywiście w niczym nie przypominały one obozów koncentracyjnych w Niemczech. Brytyjczycy skorzystali po prostu z hoteli i pensjonatów, przeważnie ku zadowoleniu właścicieli, którzy wobec braku turystów stanęli w obliczu ruiny. Jedzenie było całkiem niezłe. Ostatnimi czasy w Berlinie, a później we Francji, odżywał się dużo gorzej. Jednak ilość książek do przeczytania miał ograniczoną, a na spacerzy nie mógł chodzić bez końca. Wszystko nudziło go wcześniej czy później. Pokręcił głową; Brytyjczycy to dziwna rasa. W obozach dla internowanych więziono ludzi podejrzanych o przynależność do piątej kolumny, sabotujących wojenny wysiłek państwa. Hitlerowcy poddawali zdrajców torturom. Tu po prostu zanudzano ich na śmierć.

Dosłyszał stłumione głosy, otworzyły się drzwi. Na drewnianej podłodze zakrzypiały kroki. Przez chwilę zastanawiał się, czy powinien wstać, ale było już za późno. Dwaj mężczyźni i kobieta zajęli miejsca za stołem, ledwo spoglądając w stronę Wenera.

Wiedział, jak groteskowo wygląda w tanim niebieskim garniturze: mężczyzna pod trzydziestkę, wąski w ramionach, ciemne włosy przerzedzone na czubku głowy, błydy i kościsty, nerwowo zaciskający dłonie na poręczach krzesła. Czuł się obcy nawet dla siebie? A co stanie się z jego życiem? Jakiż to straszliwy żart przywiódł go tu, na salę sądową w Douglas?

Sędzina, kobieta około pięćdziesiątki, ubrana była w długą, niebieską spódnicę, dopasowany do niej żakiet i czarne pantofle na płaskich obcasach. Szpakowate, ściągnięte w kok włosy ciasno przylegały do głowy. Na zbyt wielkim nosie

tkwiły okulary w ciemnej oprawce. Nawet z odległości kilku metrów można było dostrzec meszek na policzkach i podbródku.

Wyższy i starszy z dwóch mężczyzn najwyraźniej zbliżał się już do emerytury. Szczupły, dokładnie wygolony, z okrągłymi policzkami, miał gęste, podejrzenie ciemne, jak na ten wiek, włosy. Patrzył spod przymrużonych powiek, czym przypominał Wernerowi jakiegoś drapieżnego ptaka. Obrazu dopełniał tweedowy garnitur, biała koszula z ciemnozieloną muszką i tkwiącą w zębach fajką.

Drugi sędzia miał nieco więcej niż trzydziestkę. Ubrany w mundur majora bez żadnych dodatkowych odznak, w jednej ręce trzymał krótki, skórzany palcat, w drugiej walizeczkę z aktami. Usiadłszy starannie ułożył czapkę na stole przed sobą, a palcat tuż obok, jakby pozował do oficjalnej fotografii.

Cywil zajął miejsce pośrodku, oficer po lewej stronie, kobieta po prawej. Major przechylił się i szepnął coś swojej towarzyszce do ucha. Kiwnęła głową i uśmiechnęła się uprzejmie, ukazując małe lśniące zęby. Tymczasem starszy mężczyzna wyjął fajkę z ust i położył na ciężkiej szklanej popielniczce ustawionej tuż przed nim. Major pochylił się, wydobyl z walizeczki cienką teczkę z aktami i zrobił dla nich miejsce na stole. Wreszcie rozłożył dokumenty, pobieżnie przejrzał ich zawartość, a potem przeniósł wzrok na Wenera.

– Nazywam się major Hoyt. To jest inspektor Cuthbert ze Służb Specjalnych, a to pani Baldwin z zarządu więzienia. Pana nazwisko Werner Erich Steinmaur?

– Tak.

– Wiek?

– Trzydzieści dwa lata.

– Urodzony w Berlinie?

– Tak.

– Jest pan Żydem?

– Moja matka była Żydówką, a ojciec katolikiem. W Niemczech oznaczało to, że jestem Żydem.

– Zgodnie z naszymi danymi, w 1932 roku studiował pan na uniwersytecie Fryderyka Wilhelma.

– Tak. W Szkole Weterynaryjnej na Luisenstrasse.

– Miał pan zamiar zostać weterynarzem?

– Tak.

– Czy właśnie podczas studiów nauczył się pan angielskiego?

– Tak.

– Rzucił pan studia przed dyplomem.

– Jestem Żydem. Zostałem poproszony o rezygnację.

– Podjął pan pracę w szpitalu psychiatrycznym św. Józefa?

– Tak. W październiku 1934.

– Co pan tam robił?

– Byłem salowym. Tylko ten rodzaj pracy pozwolono mi wykonywać. Najczęściej czyściłem toalety. Czasami pomagałem przy chorych.

- Pomagał pan? – zainteresowała się kobieta z zarządu więzienia.
- Większość z nich nie potrafiła kontrolować czynności fizjologicznych. Czasami pomagałem ich myć.
- Rozumiem – powiedziała. Steinmaur bardzo w to wątpił. Wydawało się mało prawdopodobne, aby kiedykolwiek wycierała tyłek chorej umysłowo, siusiąjącej pod siebie kobiecie po siedemdziesiątce albo zmieniała zabrudzone prześcieradła na oddziale katatoników. Milczał jednak. Tymczasem major podjął przesłuchanie.
- Jak długo pan tam pracował?
- Aż do września następnego, 1935 roku.
- A potem?
- Opuściłem kraj.
- Dlaczego?
- Moja siostra została zgwałcona przez grupę *Jungbann*.
- *Jungbann*?
- Chłopcy pomiędzy dziesiątym a czternastym rokiem życia. Zbyt duzi, aby należeć do *Pimpf*, zbyt młodzi na *Hitler Jugend*.
- Grupa dziesięciolatek zgwałciła pańską siostrę? – spytała pani Baldwin. Nie wydawała się przekonana.
- Tak. Siedmiu. Kiedy skończyli, wypróżnili się na nią. Na jej brzuchu napisali kałem słowa *Jiddische Sau*.
- *Jiddische Sau*?
- Żydowska świnka.
- I dlatego właśnie wyjechał pan z kraju?
- Po tym wydarzeniu moja siostra popełniła samobójstwo. Matka umarła w miesiąc później. Nie miałem żadnego powodu, aby pozostać w kraju.
- Pana ojciec już nie żył?
- Tak. Od kilku lat. Podczas pierwszej wojny został zatruty gazem.
- Nie używaliśmy gazów bojowych podczas pierwszej wojny.
- Wiatr zmienił kierunek.
- Pech – powiedział sucho major.
- Tak.
- Jak opuścił pan Niemcy?
- Kupiłem fałszywe papiery.
- Dokąd pan pojechał?
- Najpierw do Szwajcarii, potem do Francji.
- Pracował pan we Francji?
- Tak. W Paryżu. Przez jakiś czas byłem kelnerem w hotelu Meurice, potem znalazłem pracę na farmie niedaleko St.-Omer.
- Stamtąd przyjechał pan do Anglii?
- Tak.
- Pomógł panu doktor Franz Zimmerman ze szpitala św. Jerzego.
- Tak.
- Jak pan go poznał?

– Kilka razy gościł w hotelu, gdzie pracowałem. Zainteresował się mną. Moją sytuacją. Napisałem do niego. Zaproponował wówczas, że zostanie moim opiekunem poprzez Stowarzyszenie Uchodźców.

– Dał panu pracę w szpitalu.

– Tak. Etat salowego.

– Do swojego podania o zwolnienie dołączył pan kilka innych listów polecających.

– Tak.

– Alice Derwent z Czerwonego Krzyża, Menzer z Towarzystwa Uchodźców Żydowskich, Joan Rosenstock ze Stowarzyszenia Uchodźców Żydowskich w Anglii.

– Tak.

– Czy to pana przyjaciele?

– To są ludzie, do których zwróciłem się o pomoc. – Steinmaur nauczył się dawno temu, że przyjaźń można kupować i sprzedawać jak chleb. To słowo nie już dla niego nie znaczyło.

– Rozumiem. – Major wyjął pióro z kieszeni na piersi i odnotował coś w leżących przed nim aktach. Teraz przesłuchanie podjął Cuthbert.

– Herr Steinmaur?

– Tak.

– Czy nadal uważa się pan za Niemca?

– Niemcy, takie, jakie niegdyś znałem, już nie istnieją.

– Ale na pewno nie czuje się pan Anglikiem – wtrąciła pani Baldwin z zarządu więzienia. Najwyraźniej spodobała jej się ta myśl.

– W tej chwili nie mam ani ojczyzny, ani narodowości – Steinmaur uśmiechnął się. – Może – jeżeli ta wojna potrwa dłużej – stanę się obywatelem wyspy Man. Przez zasiedzenie. Członkowie trybunału najwyraźniej nie przejawiali poczucia humoru.

– Ale przecież nadal jest pan Żydem – podjął znów temat Cuthbert.

Steinmaur wzruszył ramionami.

– Tak sądzę.

– Nie ma pan całkowitej pewności? – spytała pani Baldwin.

Steinmaur przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. W końcu zdecydował się wyjawić prawdę.

– Kiedyś byłem bardzo dumny z tego, że jestem Żydem – zaczął wyjaśniać powoli. – Potem zostałem upokorzony z powodu przynależności do tej rasy. A w chwili, kiedy opuszczałem Niemcy, bałem się powtórnie, że stanie się ona przyczyną mojej śmierci.

– A teraz? – spytał Cuthbert.

– A teraz jestem już tylko zmęczony. To ciężar, którego nie chcę dłużej dźwigać. – Zapadła cisza. Wreszcie znowu przemówił policjant:

– Jeżeli pańskie podanie zostanie uwzględnione, to czy odczuwałby pan skrupuły w związku z angażowaniem się w zadania mogące krzywdzić ludzi w pana rodzinnym kraju?

– Żadnych.  
– Jest pan bardzo pewny swoich słów.  
– Wiedziałem, że usłyszę takie pytanie. Dużo o tym myślałem.  
– A co z pracą w Korpusie Pomocniczym? – spytał major. Korpus Pomocniczy stanowił zmodyfikowaną wersję Korpusu Pracy z czasów pierwszej wojny światowej. Został utworzony z młodych ludzi o odpowiednich warunkach fizycznych, których zatrudniono poza bezpośrednim polem walki.

– Obawiam się, że nie byłbym dobrym żołnierzem.  
– Zajęcia na farmie? – spytał Cuthbert.  
– Do tego nadawałbym się lepiej. Albo do pracy w szpitalu jak dawniej.  
Major Hoyt zamknął teczkę i spojrzał na Cuthberta. Oficer Służb Specjalnych skinął głową. Hoyt z powrotem odwrócił się do Steinmaura.

– To już wszystko.  
– Kiedy dowiem się, co z moim podaniem?  
– W odpowiednim czasie – odpowiedział major. Posiedzenie dobiegło końca.

Pół godziny później Werner Steinmaur stał przy ogrodzeniu biegnącym wzdłuż promenady i patrzył przez druty. Tuż przed jego oczami wyrastał wysoki kamienny obelisk upamiętniający pierwszą wojnę światową, a na samym środku zatoki Douglas, na wpół ukryta za mgłą i deszczem, wznosiła się skała Coniston ze starą latarnią morską. Dalej było już tylko morze i Anglia.

Jakieś sześć metrów za plecami Wernera znajdował się kamienny portal hotelu „Flor”, jednego z wielu stojących rzędem wzdłuż wybrzeża. W pięciopiętrowym budynku znajdowało się trzydzieści pokoi, z których każdy został podzielony na cztery pomieszczenia mniejsze od przeciętnej celi więziennej.

Dwaj lokatorzy „apartamentu” Steinmaura całymi dniami kopcili papiery, a Shulman, starszy mężczyzna z Poczdamu, cierpiał na straszne gazy. Pokój cuchnął przetrawioną kapustą i tytoniem. Werner wolał więc promenadę, nawet w deszcz.

Spacerował przy ogrodzeniu, zwieńczonym drutem kolczastym, patrzył na niebo i ołowiane, wzburzone morze i zastanawiał się, czy jego podanie zostanie przyjęte. Wolność leżała w odległości czterech godzin podróży promem. W Liverpoolu mógł złapać pociąg do Londynu. Już na miejscu musiałby znaleźć jakiś pokój, a potem należało rozpocząć poszukiwania właściwej osoby. Osoby, której powiedziałyby to, co wie, sprzedał swoją sekretną wiedzę za przyszłość...

Na pewno Cuthbert ze Służb Specjalnych, major Hoyt czy szpetna pani Baldwin nie pasowali do jego planów. Oni tylko mieli otworzyć mu bramę. Potrzebował kogoś wpływowego, posiadającego władzę.

Pomyślał o twarzy, która go nawiedzała. W berlińskim szpitalu psychiatrycznym zobaczył tego człowieka po raz pierwszy. Przystojny, ciemnowłosa, wielkie orzechowe oczy otoczone złotą obwódką. Siedem lat temu; całe życie temu. Nosił biały lekarski fartuch i posługiwał się doskonałym niemieckim z lekkim austriackim akcentem. Steinmaur znał go tylko jako Selekcjonera, człowieka, który wybierał ofiary do eksperymentów Hocheho.

Herr doktor Alfred Hoche pełnił w szpitalu rolę psychiatry – konsultanta. Napisał też książkę o likwidowaniu zbędnych form życia. Ten podły dokument stanowił wyznanie wiary Hoche'go, usprawiedliwienie dla akcji mordowania i sterylizowania jednostek nie pasujących do idei tysiącletniej Rzeszy.

Mężczyzna, który rozmawiał wtedy z Selekcjonerem i Hochem także był łatwy do zidentyfikowania: Reinhard Heydrich, młody, o jastrzębiej twarzy. Od niedawna pełnił rolę szefa SD, *Wenig-Schatz* Himmlera, jego pupilek.

Rozmazując szczotką brudną wodę po podłodze, Steinmaur robił co mógł, aby stać się niewidzialnym, ale mimo to chwycił urywki zdań. Zorientował się, że rozmowa dotyczy technicznych problemów eksterminacji. Jeden z ludzi Heydricha wpadł na pomysł, aby dla pozbywania się „zbędnych form życia” użyć komór gazowych z tlenkiem węgla. Prototypowa komora miała zostać zainstalowana w szpitalu. Steinmaur czuł, jak coś dławi go w gardle. Mężczyźni dyskutowali spokojnie o potencjalnej wydajności owego urządzenia. Równie dobrze mogli omawiać sposób likwidowania śmieci.

Selekcjoner robił rozliczne uwagi i nawet zaproponował, aby komora była ruchoma. Heydrich zainteresował się jego pomysłem. Po chwili odeszli na tyle daleko, że Werner nie mógł już ich usłyszeć. Tydzień później został przeniesiony do mieszczącego się przy szpitalu krematorium. Nie widział już więcej Selekcjonera.

Aż do tej chwili cztery miesiące temu w brudnym obozie Huyton na przedmieściach Liverpoolu.

Z początku nie wierzył własnym oczom. Selekcjoner miał na sobie brytyjski mundur i wraz z grupą urzędników brał udział w oficjalnym przeglądzie obozu przez grupę urzędników. Utrzymując bezpieczny dystans, Steinmaur posuwał się za nimi, kiedy tak kręcili się po całym terenie. Po upływie pół godziny nie żywił już żadnych wątpliwości – to był ten sam człowiek. Nieco starszy, ze śladami siwizny we włosach, rysy wyostrzyły mu się z wiekiem, ale to ten sam człowiek.

Przystojny lekarz przed siedmiu laty obojętnie dyskutujący z hitlerowskim dygnitarzem o metodach masowej zagłady, pojawił się nagle w mundurze kapitana Korpusu Medycznego w angielskim obozie dla internowanych. Wydawało się to niemożliwe, ale taka była prawda.

Zamiast zgłosić się do władz Huyton, Steinmaur zdecydował trzymać język za zębami. Kto uwierzy absurdalnym oskarżeniom rzucanym przez internowanego Żyda? Lepiej poczekać na właściwy moment, a tymczasem opracować rozsądny plan postępowania.

W końcu przecież mogło istnieć jakieś zupełnie niewinne wyjaśnienie tego, co zobaczył. Przez kilka miesięcy wymyślił kilka takich rozwiązań, ale żadne z nich nie pasowało wystarczająco dobrze do faktów. Wydawało się mało prawdopodobne, aby lekarz z berlińskiego szpitala psychiatrycznego miał sobowtóra, oficera angielskiego Korpusu Medycznego albo żeby wywiad brytyjski wysłał swojego agenta do Berlina na kilka lat przed wybuchem wojny.

Nawet w powieściach nie zdarza się aż takie podobieństwo. Sobotwór o tym samym zawodzie? Trudno też uwierzyć w to, że Brytyjczycy okazali się tak dale-



kowzroczni, by umieścić swojego agenta w hitlerowskich kręgach medyczno-wojskowych prawie dziesięć lat temu.

Steinmaur doszedł w końcu do wniosku, że najprostsze wyjaśnienie zapewne okaże się najbliższe prawdy. Heydrich był szefem wywiadu nazistów, a przy tym mistrzem nad mistrzami w rekrutowaniu szpiegów. Hoche to psychiatra i najwyraźniej przyjaciel Heydricha. Selekcjoner wydawał się dobrze znać ich obu. A więc, mężczyzna, którego ujrzał w mundurze angielskiego lekarza wojskowego, pracował dla niemieckiego wywiadu. A przynajmniej miał wysoce niejasną przeszłość.

Szaleństwo, koszmarna łamigłówka: Steinmaur, internowany niemiecki Żyd, z definicji człowiek niegodny zaufania. Kto uwierzy w jego słowa? Oczywiście nikt. Przynajmniej dopóki nie zdobędzie jakiegoś dowodu, a co najmniej przychylonego ucha.

Werner Steinmaur przyłożył dłonie do zimnego drutu ogrodzenia i zaczął je przesuwac, aż natrafił na ostre, zardzewiałe kolce. Przycisnął czubek wskazującego palca do zakrzywionego szpica. Mała, czerwona kropelka krwi pojawiła się na opuszku.

Podniósł palec do ust i ssal go w zamyśleniu. On, Żyd, Niemiec czy internowany w tej zapomnianej przez Boga i ludzi dziurze nadal krwawił, kiedy go skaleczono. Żył, ale to za mało. Nie mógł czekać, aż trybunał zadecyduje o jego losie. Nadszedł czas, aby zacząć działać.

Posterunkowy Swift znalazł miejsce do zaparkowania na Grafton Street i gładko wprowadził wóz na niewielką wolną przestrzeń. Morris Black ziewając wygramolił się z austina. Czekał cierpliwie, aż jego asystent zamknie samochód. Było dziwnie cicho. Detektyw zmarszczył brwi, po czym nagle dokonał odkrycia. Po raz pierwszy od tygodni milczały syreny; nie było alarmu. Jednak zachmurzenie i przenikliwy ziąb nie powstrzymały przecież bombowców. Może skończyła im się amunicja.

Black znowu ziewnął. Usłyszał, jak zatrzeszczała mu szczęka. Wyszedł z budynku basenów Westminster dopiero nad ranem, a potem nie mógł już zasnąć. W głowie kołatały mu się przerażające obrazy woskowego, rozkładającego się ciała Jane Luffington, nozdrza wypełniał zapach kamfory. Black myślał też o innych sprawach. O Fay, o Katherine Copeland. O przeszłości i przyszłości, o bezcelowości życia, jakie ostatnio prowadził. Rozważał nawet przez krótką chwilę możliwość porzucenia Yardu, ale praca była jedynym celem w jego obecnej sytuacji. Może nie miał prawa oczekiwać więcej od świata rozdieranego przez wojnę.

Parę minut po ósmej udał się na spotkanie z Liddellem i oficerami MI5.

Konferencja trwała krótko. Szef Departamentu B uznał, że chociaż ekshumacja i sekcja zwłok kuriera motocyklowego, Jane Luffington, wykazały bezpośrednie powiązania pomiędzy Kubą Pedalem a Enigmą, Black powinien skoncentrować się obecnie na tajemniczym Doktorze, odpowiedzialnym zapewne za zamordowanie dwóch osób w ogrodzie zoologicznym. Liddell mrukiwie wyjaśnił tę raptowną zmianę rozkazu. Na Departament B zaczął naciskać sir David

Petrie, niedawno mianowany szef MI5, oraz jego „ekspert od wydajności”, wszechwładny mr Horrocks, który uprzykrzał wszystkim życie.

Gdyby Black nie był w stanie rozwiązać sprawy w najbliższej przyszłości, specjalna jednostka dochodzeniowa miała ulec rozwiązaniu. Inspektor znalazłby się wówczas w pułapce. Nie mógłby wrócić do Yardu z powodu wymogów bezpieczeństwa, a równocześnie nie pozwolono by mu kontynuować śledztwa w sprawie morderstw popełnionych przez Kubę Pedalą.

Rozwścieczony Black pojechał do biura przy Kensington Park Gardens. Tam czekała już wiadomość od Katherine Copeland. Młoda kobieta miała jakieś nowe informacje dotyczące fotografii i chciała przedyskutować je z inspektorem. Będzie czekała na niego u siebie w mieszkaniu. Jeżeli Black nie przyjdzie, Catherine uzna, że nie jest zainteresowany i zrobi z nich użytek, publikując w swoim czasopiśmie. Detektyw wpadł w furję. Ta wiadomość brzmiała jak próba szantażu.

Jedyny jasny moment tego dnia zawdzięczał posterunkowemu Swiftowi, któremu udało się znaleźć londyńskiego kupca handlującego stalówkami firmy Rodolpho Verlicchi – Aspreya na Old Bond Street. Black w desperacji rzucił się na ten ślad.

– O rany! – szepnął Swift z rozszerzonymi ze zdumienia oczami. – Całkiem niezłe, co, sir? – Jego wojskowy sposób bycia znikł pod wpływem olśnienia spowodowanego wyglądem sklepu Asprey. Wnętrze, długie i wąskie rozciągało się od Grafton Street w kierunku Stafford Street. Wykładzina pod stopami miała głęboki, piękny odcień zieleni. Dębowa boazeria zdobiła ściany. Lampy świeciły jasnym blaskiem, co zresztą wynikało z konieczności, ponieważ witryny zostały osłonięte ciężkimi drewnianymi okiennicami.

Rzędy gablot z mahoniem i szkła prezentowały różnorodny asortyment towarów. Srebrna i złota biżuteria, zegarki firm Rolex, Piaget, Patek Philippe, staroświeckie zegary, podróżne budziki, zegary pradziadka, zegary wygrywające wszystko, od melodii Big Bena poczynając, na marszu weselnym kończąc. Świeczniki, serwisy do kawy i herbaty, ozdoby na stół. Ogromna menażeria stworzeń szklanych, kryształowych, złotych, srebrnych i ceramicznych: lwy, tygrysy, pantery, słonie, żyrafy. Ptaki wyrzeźbione z krystalicznego malachitu i ametystu. Karpie z rubinowymi oczami pływające po stawach z agatu zdobionych złotymi liliami.

Całe półki z inkrustowanymi srebrem szczytkami do włosów, kosmetyczkami z krokodylej skóry, kieliszkami, portfelami, kompletami szachów z nefrytu i hebanu, różnymi gramami. Parasolki, laski... Wszystkich tych skarbów pilnowali snujących się dostojnie panowie w kamizelkach. Jeden z nich podszedł do Blacka i Swifta, gdy tylko przekroczyli próg sklepu.

– Czym mogę służyć? – zwrócił się do Morrisa.

Posterunkowy Swift, jak zawsze ubrany niedbale, został całkowicie zignorowany.

– Interesują nas pióra – powiedział Black. Ogromny wybór towarów przyprawił go o ból głowy. Cóż za absurd; masło, ser, jajka były na kartki, a w tym sklepie mogłeś kupić spinacze do banknotów ozdobione nieoszlifowanymi szafirami albo

obcinacz do cygar z litego złota. Taki widok przyprawiałby o apopleksję u Dicka Capsticka, jak zresztą zapewne każdego członka Partii Pracy. Black uśmiechnął się do siebie. Kilka wizyt u Aspreya i Capstick ani chybi stałyby się komunistą.

– Chodzi panu o przybory piśmiennicze? Drażył temat szpakowaty sprzedawca. Miał minę przedsiębiorcy pogrzebowego i przesadnie staranną wymowę.

Po przeżyciach dzisiejszej nocy nie był w nastroju do podobnych zabaw.

– Tak jest – stwierdził szorstko.

– Czy interesuje pana jakiś szczególny rodzaj piór?

– Tak, ze stalówką z firmy Rodolpho Verlicchi.

– Złotą czy srebrną, sir?

– Złotą.

– Aha – sprzedawca skinął głową. – Proszę za mną, sir. – Ukłonił się lekko, po czym podprowadził Blacka i posterunkowego Swifta do wielkiej gabloty ustawionej przy ścianie. Chyba ze sto wiecznych piór różnego rodzaju leżało na purpurowym aksamicie. – Jak pan widzi, mamy znaczny wybór: H. A. Smith z macią perłową, Aiken-Lambert, Waterman, Crocker, Carey, Montblanc, Cross.

– Które z nich mają stalówki od Verlicchiego? – spytał Black.

– Żadne, sir – odpowiedział spokojnie sprzedawca. – Stalówki, o które panu chodzi, są stosowane jedynie w piórach firmy Penna Nettuno.

– Czy macie te pióra na składzie?

– Obawiam się, że nie. – Sprzedawca odkaslnął lekko. – Nettuno to włoska firma, sir. W obecnych warunkach nie prowadzimy z nimi interesów. – Zmarszczył gniewnie brwi; Il Duce śmiał zakłócić funkcjonowanie Aspreya.

– A stalówki?

– Jeszcze zostało ich trochę.

– Dla starych klientów?

– Tak.

– Proszę mi je pokazać.

– Do jakiego typu pióra?

– Nie jestem pewien.

– Istnieje kilka różnych typów. Gdybym wiedział, do którego mam dopasować stalówkę...

– Może skrócimy tę dyskusję? – Black odwrócił się do swego asystenta. – Swift!

– Tak jest, sir.

– Proszę o stalówkę.

– Tak jest, sir. – Swift sięgnął do kieszeni garnituru i wyjął mały szklany pojemniczek. Wewnątrz krył się skrawek metalu wydobyty ze zwłok szwedzkiego kuriera. Czubek stalówki skrzywił się nieco, a małe kawałki ludzkiej tkanki nadal tkwiły w wąskiej szczelinie. Swift podał pojemniczek Blackowi, a ten ostrożnie postawił go na szklanej pokrywie gabloty.

– O, mój Boże – jęknął sprzedawca. – Czy mogę zapytać...

– To jest dowód rzeczowy – wyjaśnił obojętnie Black. – W sprawie o morderstwo. Jeżeli chodzi o ścisłość, narzędzie zbrodni. Szare kawałki, które pan

tu widzi, pochodzą z mózgu zmarłego. Zaplątał się też chyba i skrawek gałki ocznej.

Sprzedawca osłupiał. Jego blade policzki nabiegły rumieńcem.

– Panowie są z policji?

– Tak. – Inspektor pokazał odznakę. Subiekt nerwowo kiwnął głową. – Co może pan o tym powiedzieć? – Black podniósł pojemniczek i przybliżył go do światła.

Mężczyzna przełknął ślinę.

– Penna Nettuno wytwarza kilka modeli wiecznych piór. Najbardziej staroświeckie, Nettuno a Serbatoio, Nettuno Superba i najnowszy typ Nettuno Docet.

– Do którego z nich pasuje to, co tutaj mamy? – spytał ostro Black. Sprzedawca cofnął się o krok, niemal przewracając gąbłotę ze sprzętem do golfa.

– Do Serbatoio używano niemieckich końcówek – tłumaczył wystraszony. – I stalówki w tym modelu są wymienne. – Odkaslnął. Black schował pojemniczek i mężczyzna wyraźnie się odprężył. – Docet prawdopodobnie ma stalówki od Verlicchiego, ale nie jestem pewien. Ta natomiast pochodzi zapewne z Superby.

– Jak wiele piór tego rodzaju sprzedajecie rocznie?

– Nie mogę tego powiedzieć z całą pewnością, ale około dwudziestu.

– Są drogie?

– Dosyć kosztowne.

– Ile sprzedaliście w ciągu ostatnich pięciu lat?

– Sześćdziesiąt. Może sto.

– I wszystkie mogły mieć stalówki z firmy Verlicchi, takie jak ta, którą pan oglądał?

– Tak.

– Jak długo używa się takiej stalówki?

– Przynajmniej kilka lat.

– W Londynie kupić ją można tylko tutaj, prawda?

– Tak. – Sprzedawca znowu odkaslnął i nerwowo rozejrzał się. – Jednak w pańskim... dowodzie, złamała się też część obsady. Pióro nie będzie się już nadawać do użytku.

Black kiwnął głową i pozwolił sobie na lekki uśmiech. Wyrazny przestrach eleganckiego subiekta wspaniale uśmierzy mu ból głowy. Może to okrutne i dziecinne, ale prawdziwe.

– Czy ma pan listę klientów, którzy nabyli Superbę? – spytał w końcu.

– Oczywiście – stwierdził z dumą sprzedawca. – Mamy spis wszystkich naszych klientów i dane dotyczące ich wymagań.

– Dobrze. Chciałbym go zobaczyć.

– Obawiam się, że to niemożliwe.

– Tak? A to dlaczego?

– Informacje o klientach są ściśle poufne.

– Nie w tym wypadku.

– Spis został sporządzony alfabetycznie, nie według zakupów – opierał się słabo sprzedawca. – Aby znaleźć osoby, które nabyły Nettuno Superba trzeba przejrzeć całą listę.

– A ileż liczy sobie ona nazwisk?

– Jakieś dwa tysiące.

– A więc lepiej zabierajmy się do pracy, nie sądzi pan? – Stojący obok Blacka posterunkowy Swift pozwolił sobie na pełne rezygnacji westchnienie. Doskonale wiedział, kto będzie przeglądał tasiemcowy spis.

– Muszę się najpierw porozumieć z panem Aspreyem – mruknął sprzedawca ponuro. Najwyraźniej pan Asprey nie bardzo lubił, kiedy ktoś wtrącał się w sprawy jego klientów.

Black uśmiechnął się przyjaźnie.

– Proszę bardzo.

Piętnaście minut później Swift i sprzedawca zasiedli nad wielkimi, oprawionymi w skórę księgami. Morris Black natomiast udał się na stację metra Piccadilly. Dotrzymał złożonej Liddellowi obietnicy, resztę czasu chciał więc poświęcić swojej sprawie.

# Rozdział siedemnasty

ŚRODA, 13 LISTOPADA 1940 ROKU

19.00 CZASU GREENWICH

Numer tak wyliczył czas swojego przyjazdu, żeby trafić na moment przybycia pracowników wieczornej zmiany. Teraz przemierzał ponure uliczki Małej Brytanii, koncentrując się na liczeniu kroków i rozmyślając o czekającej go pracy. Palcami lekko wystukiwał rytm na teczce, którą kurczowo przyciskał do siebie. Ulice prawie opustoszały. Dzień pracy w City skończył się już, a dostawy do sklepów sieci Smithfield nie rozpoczną się przed świtem.

Spóźnialscy z Olney-Amsden, ekspedienci i pielęgniarki z pobliskiego domu opieki zapewne odpoczywali już przy kuflu piwa w „White Horse” na Cross Keys Square, ciesząc się brakiem nalotów w ciągu dnia i zastanawiając się, czy noc będzie równie spokojna.

W zapadającym zmroku miasto przywodziło na myśl Londyn Dickensa czy Conan Doyle’a. Spiralny lot strzyżyka, łupkowe dachy i pogięte pokrywy kominów na pokrytych sadzą kamienicach. Kulawy Tim podąża o kulach uliczkami wyznaczonymi jeszcze za czasów rzymskich. Bob Cratchit kroczy u jego boku. Holmes i Watson rozwiązują sprawę Ligi Rudowłosych, podczas gdy służby Moriarty’ego czają się po bramach.

Jednak Numer nie dał się urzec urokowi miasta o zmierzchu. Dla niego wąskie uliczki i szerokie aleje stanowiły żyły i tętnice bestii, która musi za wszelką cenę zostać unicestwiona. Brudne ścieżki wiodące do bijącego serca potwora, jego prawdziwej duszy.

Dotarliszy do ponurego gmachu magazynów Eastermana i Eggingtona, Numer skręcił w King Edward Street. Przed nim majaczył mgliściami kopuły św. Pawła, częściowo przysłonięty przez gmach Głównego Urzędu Poczty. Numer szedł dalej ze wzrokiem utkwionym w ziemię. Serce waliło mu jak oszalałe.

Skręcił w stronę głównego wejścia budynku poczty i przeszedł przez ciężkie drzwi. Drzemiącemu w recepcji strażnikowi zamachał przed nosem legitymacją pracownika Standard Telephone and Cables, minął wyłożony marmurem hall

i wśród lasu kolumn przedostał się do windy służbowej, dołączając do grupy pracowników sortowni.

Jechał w dół przez sześć poziomów, aż w końcu znalazł się na podeście ponad rampą załadowniczą, do której prowadziły spiralne metalowe schody szybu pomocniczego. Z oddali dochodził głuchy łoskot ciężkich worków pocztowych zsuwających się jak po zjeżdżalni specjalnym tunelem.

Na jasno oświetlonej rampie kilku pracowników ubranych w kombinezony Głównego Urzędu Poczty zajmowało się załadunkiem worków pocztowych do składającego się z dwóch wagoników elektrycznego pociągu. Każdy wagonik zawierał cztery podobne do pojemników na śmieci kontenery, zdolne pomieścić piętnaście worków z listami albo sześć z paczkami.

Czekając w cieniu schodów, Numer patrzył, jak robotnicy załadowują transport. Kiedy już prawie skończyli, wskoczył na małą platformę ostatniego wagonika.

Zgodnie z regulaminem pracownikom nie wolno było jeździć kolejką, ale wszyscy tak robili, więc i teraz nikt nie zwrócił na to uwagi. Kilka sekund później pociąg drgnął i ruszył w stronę ciemnego tunelu o niskim sklepieniu, powoli nabierając prędkości aż do sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę.

Kolej Poczta, jedyne tego rodzaju urządzenie na świecie, łączyła główne urzędy pocztowe Londynu, przewoził trzydzieści tysięcy worków czterdziestoma małymi pociągami na trasie około dziesięciu kilometrów.

Z ośmiu „stacji” miniaturowej linii trzy uchodziły za kluczowe: King Edward Street, Mount Pleasant i Paddington. Z Głównego Urzędu Poczty podziemny szlak wiódł na północ pod Farringdon Road. Przy Mount Pleasant rozgałęział się na odcinki zaopatrujące Euston, St. Pancras i Rejon Północny, podczas gdy druga linia tuneli prowadziła na południe do Centralnego Urzędu Poczтового Rejonu Zachodniego mieszczącego się na High Holborn i Oxford Street, a potem, na Victoria Station. Sieci kabli telefonicznych, dalekopisowych i telegraficznych biegly we wszystkie strony wzdłuż sklepień tuneli.

Mniej niż pięć minut zajęła Numerowi podróż na High Holborn. Wysiadł z kolejki i zaczął szukać właściwej drogi w płataninie skrzyżowań i ślepo zakończonych korytarzy, gdzie mieściły się zajezdnie i warsztaty naprawcze. Znowu nikt nie zwrócił na niego uwagi; kombinezon Standard Telephone and Cables okazał się wyśmienitym kamuflażem.

Stacja High Holborn pełniła nie tylko ważną rolę jako przystanek kolejki pocztowej. Tu również mieściła się centrala urzędu w Whitehall, zbierająca łącza telefoniczne, telegraficzne i dalekopisowe ze wszystkich obiektów rządowych w zbiorczy kabel prowadzący do Faraday International Exchange w budynku Głównego Urzędu Poczty na King Edward Street i St. Martin's-le-Grand.

Kable dalekopisowe, wszystkie nowego typu, były odpowiednio pokolorowane: na niebiesko – dla Admiralicji, na zielono dla Ministerstwa Wojny i na białą dla Ministerstwa Lotnictwa. „Bezpieczne” przewody dla każdego z ministerstw miały kolor czerwony.

Termin „bezpieczna” był nieco mylący, ponieważ chodziło jedynie o wyłączenie z ogólnego obiegu. Podczas gdy większość linii dostosowana była nawet

do czterdziestu sygnałów, czerwona przewodziła tylko jeden. Dwa koncentryczne przewodniki izolowane warstwami waty octanowej gwarantować miały brak zakłóceń i pełną dyskrecję.

Ale przecież w przypadku kabli nie mogło istnieć absolutne zabezpieczenie. Włamanie się do linii w jakimkolwiek punkcie stanowiło dość łatwe zadanie. Trzeba było tylko dodać drugie wyjście i przechwycić sygnał. Co prawda powodowało to niewielkie straty w przepływie prądu, ale po załączeniu kompensacyjnego rezystora i małej baterijki stawały się one niemożliwe do wykrycia.

Numer już zdążył tego dokonać. Dwa tygodnie wcześniej wyszedł kabel Ministerstwa Lotnictwa, który wiódł do linii Faraday Exchange. Włamał się do niego, podłączył własny przewód i, ukrywając go w pęku zwykłych kabli telefonicznych, przeciągnął do małego magazynku wbudowanego w jedną z nisz w murze tunelu.

Magazynek, zamknięty na wielki mosiężny zamek, wyglądał na nieużywany od lat. Numer przypuszczał, że od czasu budowy połączenia Holborn – Faraday. Przy pomocy łomu wyłamał zamek i zastąpił go własnym, a potem, w ciągu kilku następnego dnia zgromadził w schowku niezbędny sprzęt.

Zatrzymawszy się przy wejściu do tunelu z przewodami telefonicznymi, Numer obejrzał się. Pusto. Słyszał odległy, stłumiony szum silnika kolejki, ale nic poza tym.

Schylił się i wsunął do niskiego korytarzyka, gdzie wiązki przewodów w metalowych osłonach ciągnęły się wzdłuż ścian. Czas zrobił tu swoje; wilgotne, wapienne stalaktyty zaczynały formować się na betonowym suficie. Za pięćdziesiąt lat tunel stanie się niemożliwy do przebycia.

Numer wyciągnął dłoń i wcisnął ją pomiędzy kable, dopóki palce nie dotknęły szorstkiej ściany. Zamknął oczy. Słuchał bicia serca i szeptał liczby, czując głęboki, rytmiczny puls samej ziemi, jęczącej pod ciężarem miasta. Niedługo nadejdzie ulga.

Poszedł dalej, w głąb tunelu, aż dotarł do magazynku. Otworzył drzwi i zapalił zwisającą z sufitu lampę kolejową na baterie. Podobne do trumny pomieszczenie zalał potok światła.

Numer zmrużył oczy. Po chwili widział już wyraźnie. Sprawdził wskazania małego włączonego w obwód amperomierza i kiwnął głową z satysfakcją. Impedancja bocznego odgałęzienia kabla prowadzącego od dalekopisu Ministerstwa Lotnictwa była dokładnie dopasowana. Wyglądało na to, że obwód pomiędzy Bletchley Hall a centralą komunikacji Ministerstwa Lotnictwa, usytuowaną głęboko poniżej Horse Guards Avenue w Whitehall, pozostaje nietknięty.

Urządzenie zainstalowane w magazynku było zmodyfikowanym dwutorowym telegraficznym systemem Sterna, który miał pracować w połączeniu ze standardowym dalekopisem rządowym. Numer przynosił go tu w częściach przez wiele dni. Ulepszony system Sterna wyposażono w dwa zestawy cewek, pozwalające przepływać prądowi w przeciwnych kierunkach.

Połączone z dalekopisem urządzenie odbierało sygnał z Bletchley, przysyłało go do wtórnego obwodu, równocześnie drukując przekaz, po czym przekazywało sygnał z powrotem do poprzedniego kabla i głównego obwodu. Po lekkim



doładowaniu nic na pozór nie ulegało zmianie. W zasadzie system ów stanowił telegraficzną wersję podsłuchu telefonicznego. Pewne warianty tego urządzenia, opracowane w Dollis Hill jakiś czas temu, były używane przez służby specjalne do podsłuchów na dyplomatycznych liniach telefonicznych w Londynie.

Pojemnik pod dalekopisem przepełnił się już prawie, ale Numer nie tracił czasu na lekturę. Licząc niecierpliwie pod nosem, oderwał zapisaną taśmę i wsadził do teczki. Wymienił rolkę, ponownie sprawdził amperomierz i wyprostował się. Miał mniej niż trzy minuty na powrót na rampę Holborn i złapanie pociągu pocztowego do King Edward Street.

Gdyby się spóźnił, musiałby czekać siedem minut. – O wiele za długo. Nie chciał siedzieć na peronie o połowę mniejszym niż rampa w centrali Głównego Urzędu Poczty. Spóźnienie się na pociąg oznaczało jednak przede wszystkim niemożliwy do przyjęcia błąd w obliczeniach. Sama myśl o tym spowodowała, że małe kropelki potu zaperliły się na czole i podbródku.

Nawet tak minimalna pomyłka pociągnie za sobą karę. Numer poczuł, jak ogarnia go przerażenie. Oczywiście wyobraźni ujrzał zamknięte na klucz, jasne drzwi wodące do pokoi na drugim piętrze w domu matki. Cicho jęknął i zaczął mocować się z zamknięciem teczki.

Po chwili wyłączył lampę i wycofał się z pomieszczenia. Nie przestając liczyć, podczas gdy banieczki śliny zbierały się w kącikach ust, pobiegł w głąb tunelu, tą samą drogą, którą przyszedł.

Bentinck Street numer 5 w Bloomsbury był to czteropiętrowy budynek w stylu królowej Anny, bliźniaczo podobny do sąsiednich kamienic. Uliczka łącząca Marylebone Lane z Welbeck Street zmieniła się niewiele podczas ostatnich dwustu lat. Z wszelkich danych wynikało, że nadal jest to enklawa dostatku. Fasady szorowano co rok, żelazne ogrodzenia malowano czarną farbą, a mosiężne przyciski dzwonek polerowano starannie.

Jednak czas zrobił swoje; domy, niegdyś służące za pied-à-terre przedstawicielom klasy rządzącej, już dawno temu podzielono na mieszkania. Wynajmowali je urzędnicy państwowi i pracownicy BBC, którym szczególnie podobała się lokalizacja zaledwie o kilkanaście przecznic od stacji nadawczej. Marylebone Lane niegdyś kręta uliczka o prowincjonalnym wyglądem, od czasu ostatniej wojny została niemal całkowicie przebudowana. Teraz mieściło się tu sporo sklepów i włoskich restauracji.

Kamienica przy Bentinck Street 5, na której piętrze ulokowały się biura magazynu „London Practitioner”, została rok temu zakupiona przez lorda Victora Rothschilda. Rothschild już w pierwszych miesiącach wojny odstąpił rządowi swoją posiadłość na Park Lane i zamieszkał z dziećmi i żoną w hotelu Dorchester. Jednak jeden z pacjentów Charlesa Tennanta twierdził, że prawdziwą przyczyną, dla której bankier zainwestował w nieruchomości przy Bentinck Street była potrzeba znalezienia stosownego mieszkania dla Theresy Major, kochanki Rothschilda, i jej szkolnej koleżanki, Patricii Rawdon-Smith.

Tennant stał w kącie wielkiej bawialni o niskim suficie. Wiedział już, dlaczego jego gadatliwy pacjent nazwał to miejsce męskim burdelem dla wyższych klas.

Guy Burgess, od którego Tennant uzyskał zaproszenie, ubrany w jasnozielony jedwabny szlafrok siedział przy fortepianie i nieco fałszywie brzdąkał do wtóru płynącego z fonografu przeboju Perry'ego Como „Prisoner of love”. Obok Burgessa usadowił się bardzo młody człowiek o długich, jasnych włosach, ubrany w beżowy garnitur i kosztowne włoskie buty z ciemnoniebieskiej skóry.

Natomiast gięte złożone krzeselka w stylu Napoleona III zajmowało trzech mężczyzn około trzydziestki. Wszyscy mieli na sobie wieczorowe stroje i rozprawiali o czymś, wyraźnie podekscytowani. Nawet z miejsca, w którym stał, Tennant widział, że krzesła obite są obrzydliwą tkaniną z Aubusson w odcieniach czerwieni, zieleni i różu.

Inny mężczyzna, odwrócony do Tennanta plecami, stał przy biblioteczce i kartkował cienki, oprawiony w skórę tomik, równocześnie paląc papierosa w długiej cygarnicze z kości słoniowej. Co kilka sekund przechylał wdzięcznie głowę, a potem rozglądał się dyskretnie, jakby chciał sprawdzić wywołany efekt.

Kilkanaście osób, młodych i modnie ubranych, krążyło po pokoju, prowadząc błyskotliwą konwersację, popijając i śmiejąc się głośno. Tennant odniósł wrażenie, iż ludzie ci usiłują pozować na wielkie sławy, od Isadory Duncan poczynając po Oskara Wilde'a.

Naprzeciwko kominka, na biedermajerowskich sofach pokrytych żółtym jedwabiem również usadowiła się grupa gości. Inni rozwalali się na luksusowych fotelach. Niebawale panoptikum. Młodzieniec z farbowaną czupryną koloru marchewki, ubrany w krótki, czarny płaszcz. Chudy mężczyzna o przerzedzonych ciemnych włosach spoglądający na gości wielkimi, sennymi oczami. Drzemiący tłuścioch, którego, mysiobrązowe kosmyki przykleja do czoła pot. Usta otwarte, ciężkie okulary balansujące na czerwonym czubku bulwiastego nosa.

Długi stół tuż obok Tennanta, zastawiony był mnóstwem potraw i słodczy. Jako barek służyła wielka, szesnastowieczna mahoniowa sekretera.

Popijając sherry, doktor czuł, jak ból głowy obręcza ściska mu skronie. Cała ta scena wyglądała groteskowo i żywo przypominała mu szpital psychiatryczny. Tennant miał nadzieję spotkać tu dziś wieczorem Liddella, ale kapitan nie pojawił się. Trzeba było już iść... Szkoda czasu.

Po drugiej stronie pokoju, ledwo widoczny przez mgiełkę dymu z papierosów, Burgess zaczął śpiewać do wtóru gramofonowej płyty. Jego ciężki tenor zagłuszał nagranie. Szerokie, miękkie pośladki w jedwabnym szlafroku naciskały na udo siedzącego obok młodego blondyna. Nagle Burgess przechylił się nieco i przycisnął usta do szyi chłopca. Tennant westchnął, odstawił szklankę i ruszył w stronę wyjścia. Miał już zupełnie dosyć domu przy Bentinck Street 5 i jego dekadentkiej atmosfery.

Wyobraził sobie Heydricha bawiącego się w tym towarzystwie i niemal parsknął śmiechem na tak surrealistyczną wizję. Heydrich, władczy Spartanin, psychopatyczny półbóg nowej rasy, uosobienie nadczołowieka przeciw Guyowi Burgessowi, skowroneczkowi z Eton, dupkowi przewracającemu się w gniazdku

milionerów, księciu ulicznic, alfonsów i pedałów. Od razu wiadomo, kto wygrałby takie starcie.

Doktor poczuł na sobie czyjś wzrok. Nieznajoma kobieta patrzyła mu prosto w twarz. Wzięła ze srebrnej tacy kawałek ciasta i ugryzła, nie spuszczać z Tennanta oczu. Wyglądała na jakieś dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa lata, niezbyt ładna, ale atrakcyjna, wysokie kości policzkowe, szerokie usta, wielkie, orzechowe oczy. Jej włosy, obcięte na pazia i lekko podwinięte u dołu, urzekały pięknym, miedzianym odcieniem, chyba naturalnym. Była tego samego wzrostu co Tennant, szczupła, o niewielkich piersiach. Nosila czarną aksamitną spódniczkę i białą jedwabną bluzkę. Co najmniej dwanaście cygańskich bransoletek dzwoniło na wąskim nadgarstku. Małe stopy dziewczyna miała obute w ładne, czarne pantofelki na wysokich obcasach.

– Wydaje mi się, że pan tu nie bardzo pasuje – powiedziała z ustami pełnymi ciasta. Przełknęła, potem bez żenady oblizła palce.

Tennant wzruszył ramionami.

– I czuję, że nie za bardzo tu pasuję...

– A więc dlaczego pan przyszedł?

– Zostałem zaproszony.

– Nie zawsze chodzi się tam, gdzie zaproszą. – Jej akcent nie był londyński, ale wskazywał na staranne wykształcenie.

– Byłem ciekaw.

– Wszyscy wiemy, co się zdarzyło ciekawskiemu kotkowi – zażartowała figlarnie.

– Nie jestem kotkiem.

– A kim pan jest?

– Nazywam się Tennant. Charles Tennant.

– Caroline Pope-Hennessy. Przyjaciele nazywają mnie Poppet. A jak nazywają ciebie twoi przyjaciele?

– Charles. – Uśmiechnął się.

– No cóż, Charles. Który z nich cię zaprosił, Guy czy Tony?

– Burgess. Nawet nie wiem, kto to Tony.

– Tony Blunt – powiedziała Poppet, wskazując głową w stronę małej grupki w drugim końcu pokoju. – O, ten facet z końską twarzą. Ten, który trzyma rękę na kolanie Donalda. Już od jakiegoś czasu usiłuje zaciągnąć go do łóżka. Przynajmniej tak mi się zdaje. Cały czas powtarza, że Donald jest wcieleniem marzeń prerafaely i podobne bzdury. Cholernie mu życzę powodzenia.

Tennant skinął głową. Przypomniał sobie, gdzie widział Donalda Macleana. To przecież „nadzieja” Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Przedstawiono go kiedyś Tennantowi w klubie.

Tymczasem młoda kobieta zmarszczyła brwi.

– Czy jesteś bliskim przyjacielem Guya?

– Niezupełnie. Spotkaliśmy się raz czy dwa.

– To dobrze. – Odpowiedź zabrzmiała tak, jakby Poppet poczuła ulgę.

– Nie lubisz go?

– Jest kochany, ale gdybyś był jego przyjacielem, to zapewne nie interesowałbyś się dziewczynami, a wtedy nie mogłabym pójść z tobą do łóżka.

– Rozumiem. – Doktor uśmiechnął się. Wyraźnie chciała go zaszokować.

– Nie jesteś Żydem, prawda?

– Nie, a dlaczego?

– Nigdy nie spałam z Żydem. Myślałam o tym, żeby pójść do łóżka z Victorem, ale go tu nie ma, a poza tym on szaleje za Tess, a więc chyba powinnam dać sobie z tym spokój. Wyobraź sobie, nigdy też nie spałam z Murzynem. Może powinnam spróbować.

– Przykro mi, ale muszę cię rozczarować. Murzynem też nie jestem.

– Jeżeli nie jesteś Żydem, to kim?

– Anglikaninem.

Poppet pokręciła głową. Zachwiała się lekko. Najwyraźniej alkohol uderzył jej do głowy.

– Nie, miałam na myśli twój zawód. Wszyscy tutaj albo pracują w Cyrku, albo są bezrobotnymi aktorami.

– W Cyrku?

– No, MI5, służby specjalne, jeśli wolisz.

– Jesteś szpiegiem?

– Raczej sekretarką. W weekendy dorabiam u Harrodsa jako modelka. Kobiece łaszki i takie tam.

– Aha.

– Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Jestem psychiatrą. Od czasu do czasu sprawdzam kandydatów do pracy w Cyrku, jak to nazwałaś.

– Freud był psychiatrą, prawda?

– Tak.

– Żydem też.

– Tak, ale nie jest to konieczne przy uprawianiu tego zawodu.

– Nieważne. – Uśmiechnęła się szeroko. – Nigdy też nie spałam z psychiatrą. – Ponad szum rozmów przedarła się głośna przygrywka na fortepianie i Burgess znów zaczął śpiewać. – O Boże! – jęknęła Poppet. – Te pijackie piosenki! Potem będą limeryki!

– Naprawdę muszę już iść – powiedział Tennant. Burgess już popisywał się rymowankami.

– Chyba pójde z tobą – stwierdziła Poppet, biorąc nowego znajomego pod rękę. – Wycie obudzi Muggeridge’a i Tony wda się z nim w kolejną kłótnię, na temat tego, dlaczego słodki, mały Kenny Clark jest dyrektorem Galerii Narodowej, a on nie. Usypia mnie to. Malcolm tak bardzo chce czuć się ważny. – Spojrzała radośnie na Tennanta. – A więc, dokąd idziemy?

Wzięli taksówkę do Ritza. Poppet całą drogę paplała. Hotelowy bar świecił o tej porze pustkami.

– Czy miewasz sny? – spytała Poppet, stukając długim paznokciem w swoją szklankę z drinkiem. – To znaczy, czy je interpretujesz?

– Zdarzało mi się – przyznał Tennant. – Ale nie jestem pewien, czy przywiązuje do nich tak duże znaczenie jak Freud.

– Pytam, bo pewien sen powtarza mi się dość często.

– Zawsze taki sam?

– Tak. – Kiwnęła głową i pociągnęła łyk alkoholu. – Martwy męski tułów ściga mnie po ogrodzie moich rodziców. Nagi, całkiem woskowy. Właściwie głowa jest na miejscu, ale nie umiem powiedzieć, kto to jest. Kroczy na kolanach, bo nogi poniżej ma ucięte.

– Czy coś zmienia się w tym śnie?

– Nie. Po chwili potykam się na czymś, co leży w trawie i stwierdzam, że depczę po częściach martwego ciała. On zrzuca je z siebie, rozumiesz, jak wąż skórę. Uszy, palce, nos. Najgorsze, kiedy odpada mu członek. Duży, różowy. Zaczynam wrzeszczeć i budzę się...

– To nie brzmi jak sen kobiety.

– Chyba nie – zgodziła się poważna teraz Poppet. – I dlatego mnie to dręczy. To znaczy, przecież ja nie mam niczego, co mogłoby mi odpaść, prawda?

– Może to z powodu towarzystwa, w którym się obracasz – zasugerował z lekkim uśmiechem Tennant.

– Chłopcy? Nie są tacy źli. – Znów upiła łyk drinka. – Guy bywa nieco... agresywny w swoich zapędach i trochę za dużo pije, ale oni wszyscy mają dobre chęci. Życie nie jest dla nich proste, rozumiesz.

– Dlaczego? Z powodu wojny?

– Nie, nie o to chodzi – powiedziała, kręcąc głową. – To ich prywatne sprawy. Ojciec i ojczym Guya byli ludźmi w stylu oficerów marynarki wojennej. Ojciec Donalda jest członkiem parlamentu, a Tony'ego wikarym i należy do rodziny królewskiej...

– Więc pochodzą z uprzywilejowanej sfery.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– To nie tak. Chociaż może i masz rację, ale raczej chodzi mi o fakt, że kiedy jeszcze byli w szkole, to dokładnie wiedzieli, co będą robić, nie rozumiesz tego? Wierzyli, że stanowią awangardę. Mieli znaleźć się na szczycie.

– A teraz wszystko uległo zmianie.

– Tak. Donald ciągle o tym gada.

– Donald? Mówisz o Macleanie?

– Tak. To ten młodzieniec w schludnym ubranku, którego Tony uwodził w kącie. – Przelknęła ostatni łyk. – Mówi, że czuje się tak, jakby cała ich paczka musiała wrócić do Eton, do młodszych klas, założyć krótkie spodenki i grać w różne gry. Ciągłe są strofowani, muszą poddawać się fali. Na zawsze pozostaną młodszymi uczniami złapanymi w pułapkę wiecznej szkoły.

– I buntują się przeciw temu – dodał Tennant, kiwając ze zrozumieniem głową. To prawda. Chłopcy surowo traktowani przez ojców, niezdolni zająć należnego im miejsca w świecie, wyładowujący swoją frustrację poprzez odrażające zachowania. – A jak Liddell pasuje do tego wzorca? – spytał znienacka.

Poppet wyglądała na zdziwioną.

– Znasz kapitana Liddella?  
– Tylko przez Burgessa.  
– On tu w ogóle nie pasuje, jak sędzę. Tony pracuje dla niego. Ja zresztą też, jeśli już o to chodzi.

– Tak?  
– No cóż, przecież to on dowodzi B. Tony jest jego asystentem, a ja siedzę w hali maszyn.

– A więc Liddell to po prostu wielki szef, tak?  
– Niezupełnie. Wpada na Bentinck Street od czasu do czasu, żeby pograć na wiolonczeli i napić się, ale zdaje mi się, że po prostu lubi być z nimi bo są młodzi i zbuntowani. Chyba jakaś część jego duszy uleciała bezpowrotnie. W końcu on ma co najmniej dziesięć lat więcej niż reszta towarzystwa.

– Zastanawiam się, co twoi znajomi by powiedzieli, gdyby usłyszeli, jak obgadujesz ich poza plecami.

– Wątpię, aby w ogóle poświęcili temu jakąkolwiek uwagę.  
– Nigdy nie wiadomo. – Psychiatra uśmiechnął się i uniósł brew. – A może jestem niemieckim szpiegiem.

– Możesz być nawet samym Hermannem Goeringiem, ich i tak by to nie obeszło. – Pappet roześmiała się. – Nikt nie zwraca szczególnej uwagi na sprawy bezpieczeństwa. – Zaczęła bawić się pustą szklanką. – Połowa naszej dokumentacji została zabrana do Blenheim Palace, i jeśli potrzebujemy czegoś, przesyłają nam żądany dokument przez kuriera motocyklowego. Czasami torby nie są właściwie zamknięte i tajne papiery fruwać sobie po ulicy. Kiedyś pewien londyński zamiatacz przyniósł nam takie akta. Kiedy autobus zatrzymuje się na przystanku Blenheim, konduktor woła „Wysiadac – MI5”. To brzmi niczym ponury dowcip.

Tennant uśmiechnął się.

– A jak ty tę rzeczywistość odbierasz? Czy też uważasz wszystko za żart?  
– To moja praca. Mój wkład w wysiłek wojenny. Ojciec jest lordem i działa w Ministerstwie Wojny, a mama hoduje hortensje i zwiija szarpie. Gdybym nigdzie nie pracowała, to pewnie wyszłabym już za jakiegoś trzeciorzędnego baroneta ze Shropshire i też coś hodowała.

– Hortensje? – Uśmiechnął się Tennant. Ta dziewczyna zostawiona sama sobie mogłaby przemawiać bez końca nawet do pustej ściany. Kwiat brytyjskiej kobiecości.

– Hortensje i dzieci. Małych baronetów i baronówny, siusiąjących w pieluszki i ryczących po nocach. Cóż za rujnacja dla figury. – Westchnęła na samo wyobrażenie. Tennant zastanawiał się, czy praca w charakterze sekretarki Liddella i udział w dekadencjach wieczorkach na Bentinck Street są o wiele lepsze. A może w ten sposób Poppet zbierała wspomnienia, wiedząc, że niewiele dobrego czeka ją w przyszłości. Uprawianie ogrodu i usmarkane dzieci.

– Czy chciałabyś drinka?

Pokręciła głową.

– Jeżeli wypiję jeszcze jednego drinka, to nie poczuje, kiedy będziesz się ze mną kochał.

Tennant wolałby wziąć taksówkę, ale ona nalegała na jazdę metrem. Od kiedy Morrison zajął się organizowaniem sieci schronów, podziemne perony przybrały nieco bardziej cywilizowany wygląd. Piętra prycz zabudowujących ściany prawie do sufitu zastąpiły ławki dla pasażerów, a miejsca na samym peronie zostały schludnie podzielone białymi liniami na prostokąty. Jednak nadal panował tu potworny smród. Stojące powietrze było aż gęste od odoru stłoczonych ciał i ekskrementów. Tennant odetchnął z ulgą, kiedy dotarli do stacji Notting Hill i wyszli znowu w ciemność nocy.

Poppet mieszkała na Chepstow Villas, szerokiej ulicy w centrum Bayswater, od wschodu i zachodu otoczonej robotniczymi slumsami Notting Hill oraz zatłoczonymi ruderami przy Paddington Station. W takim sąsiedztwie znajdowało się samo Bayswater i Kensington Gardens.

Mieszkanie Poppet. Dwa wyjątkowo wysokie pokoje wciśnięte obok niedużej łazienki. Okna z widokiem na zaniedbany ogródek. Schludnie zaścielone łóżko stało rozłożone we frontowym pokoju. Drogi skórzany fotel, szafa, wielkie biurko i pasujące do niego krzesło dopełniały umeblowania. Drugie pomieszczenie stanowiło coś w rodzaju kuchni, z małym stołem wsuniętym pomiędzy lodówkę a zlew.

Po wejściu do mieszkania dziewczyna nie włączyła światła, tylko popchnęła delikatnie Tennanta na łóżko i uklękła przed nim. Z wprawą rozpięła mężczyźni nie rozporek i wzięła jego członek w usta, ssąc hałaśliwie i ugniatając go dłońmi, dopóki całkiem nie zesztyniał. Najwyraźniej Poppet doskonale знаła się na tym. Po chwili cofnęła usta i spojrzała na Tennanta.

– Podobało ci się?

– Bardzo.

– Guy mówi, że seks oralny to jedyny prawdziwy zysk z klasycznej edukacji.

– Liddell?

– Na Boga, nie. Burgess – roześmiała się.

Wstała i szybko zrzuciła z siebie ubranie. Była szczupła, wąska w biodrach, o drobnych, chłopiących pośladvkach. Jej skóra niemal świeciła w słabym blasku dochodzącym zza okna.

– Nie musisz nic ze mną robić, jeśli nie chcesz – powiedziała, kładąc się na łóżku. – Jestem zawsze gotowa.

Tennant rozebrał się, położył na boku i usiłował ją pocałować, ale z pośpiechem wciągnęła go na siebie. Wszedł w nią jednym, silnym pchnięciem. Westchnęła z zadowoleniem. Nie oszukiwała; była bardzo wilgotna i gładka. Poczul, jak staje się w niej jeszcze większy.

– Najbardziej tak właśnie lubię – powiedziała sennie. – Wolisz robić to szybko, czy wręcz przeciwnie?

– To zależy – odpowiedział Tennant, nieco oszołomiony.

– Chyba masz rację. – Poppet podniosła dłoń, opierając je płasko na piersi kochanka, a on zaczął poruszać się powoli, wysuwając się z niej prawie w całości, a potem wsuwając z powrotem. Tymczasem dziewczyna mówiła.

Stanowiło to niezwykle doświadczenie; przez następnych piętnaście minut Caroline Pope-Hennessy snuła nieprzerwany monolog, gawędząc o swojej prze-



szołści (szkoła przy klasztorze Matki Boskiej w Folkestone; wujek, który wkładał małej Poppet rękę pod koszulkę nocną i dawał słodycze, żeby nikomu o tym nie wspomniała), o kochankach (kuzyn impotent imieniem Charles, teraz walczący w Indiach; kilku pisarzy i artystów; parę osób z Bentinck Street, włączając w to Donalda Macleana; próba uwiedzenia fotografa wyższych sfer, Cecila Beatona), o wojnie (jej matka twierdziła, że wszystkim są winni Żydzi i południowcy, ale przecież Victor Rothschild to też Żyd, a poświęca się dla króla i ojczyzny, chociaż, jeśli chodzi o południowców Poppet nie miała większych doświadczeń, poza wujkiem, półkwi Hiszpanem), aż doszła do spraw związanych z pracą (trudności w nabyciu nowej taśmy do maszyny do pisania; kurs szyfrowania; Liddell i jego obecne problemy dotyczące specjalnej jednostki dochodzeniowej prowadzącej śledztwo w sprawie kilku morderstw, także i tych w ZOO).

Na wzmiankę o zabójstwach w ogrodzie zoologicznym Tennant o mało nie stracił erekcji, ale udało mu się opanować. W osłupienie wprawił go też potok słów płynący z ust kobiety przez cały czas aktu seksualnego. Nigdy jeszcze nie doświadczył czegoś takiego ani nawet nie czytał o podobnym przypadku w literaturze fachowej.

Wydawało się, że ciało i umysł Poppet są całkowicie od siebie oddzielone, zdolne do zupełnie niezależnego działania. Urywany oddech i unoszące się biodra, wygięte plecy i pulsująca, nabrzmiała pochwa nie miały nic wspólnego z nieprzerwanym strumieniem banałów, wypowiedzianych miłym, kulturalnym głosem.

W pewnym momencie dziewczyna zsunęła rękę z piersi Tennanta i wcisnęła je w jego pośladki, zmuszając by wszedł głębiej pomiędzy jej podniesione uda. Mężczyzna poruszał się coraz szybciej. Teraz Poppet mówiła już krótkimi, urywanymi zdaniami. Zbliżali się do końca tego dziwnego wyścigu.

– Chciałabym... myślę, że chciałabym już skończyć. Proszę. – Przerwała, oddychając ciężko. – Bardzo mocno, proszę. Lubię mocno.

Zrobił, jak sobie tego życzyła. Poruszał się raptownymi, silnymi pchnięciami. Stalowe sprężyny składanego łóżka trzeszczały głośno, protestując jękliwie, gdy spocone ciała uderzały o siebie.

Dziewczyna skrzyżowała nogi na plecach kochanka.

– Weź mnie za rękę, proszę. Proszę...

Uniósł się, złapał ją mocno, odciągnął jej ramiona do tyłu. Jego ruchy stały się jeszcze brutalniejsze. Poppet pomrukiwała z rozkoszy przy każdym pchnięciu, uderzała piętami w jego pośladki i przeżyła się pod nim.

– No chodź już, Charles... mocno, mocno. Teraz!

Eksplodował w niej, dysząc ciężko, a ona wydała krótki, skowyczący jęk. Jej twarz zgasła, jak gdyby przemieniła jego i swoją namiętność w świetlisty punkt znikający gdzieś w głębi jej umysłu. Tennant opadł na piersi Poppet, potem stoczył się na bok, nadal walcząc o oddech. Trwali tak przez chwilę w milczeniu. Wreszcie dziewczyna znowu przemówiła.

– Czy chcesz napić się herbaty? – spytała. – Potem możemy to zrobić jeszcze raz, jeśli masz ochotę.

– Byłoby miło. Opowiesz mi trochę więcej o swojej pracy i kapitanie Liddellu.



Usiadła na łóżku. Palcem przejechała po kropelkach potu, które pokrywały jej brzuch.

– Nie jesteś niemieckim szpiegiem, prawda?

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Oczywiście, że nie.

– Nie myślę tak naprawdę, ale zbyt wiele gadania szkodzi. Sam, rozumiesz. – Zmarszczyła brwi. – Nie masz mi za złe, że spytałam, prawda?

– Nie bądź głupia.

– Cieszę się. – Poppet z uśmiechem właścicielki poklepała jego skurczony teraz członek i wstała, by zaparzyć herbatę.

W ciągu następnej godziny Tennant przekonał naiwną młodą kobietę, że jego praca, polegająca na kwalifikowaniu kandydatów dla MI5, stanie się dużo łatwiejsza dzięki informacjom o wewnętrznych sprawach służb specjalnych. Wy tłumaczył Poppet, że w obliczu przeraźliwej biurokracji marnował wiele czasu na krążenie w miejscu. Dane z pierwszej ręki bardzo mu pomogą. Poppet zgodziła się prawie natychmiast. Przecież byli po tej samej stronie, a ona nie zna żadnych straszliwych sekretów. Ich pakt został przypieczętowany następną serią pieszczoł na wąskim łóżku. Tennant obiecał też Poppet, że zastosuje wobec niej psychoterapię w takim zakresie, jaki uzna za konieczny. Zupełnie bezpłatnie.

Morris Black dotarł do mieszkania Katherine Copeland krótko po północy. W pokoju było gęsto od dymu z papierosów, a pusta szklanka i na wpół opróżniona butelka szkockiej stały na biurku. Katherine podała gościowi krzesło. Usiadł, nie zdejmując przemoczonego płaszcza przeciwdeszczowego.

Katherine wyglądała na zdenerwowaną. Jej policzki pokrywał rumieniec, a oczy płonęły dziwnym, niemal gorączkowym blaskiem. – Napije się pan czegoś? – spytała.

Black pokręcił głową.

– Nie, dziękuję. – Odkasznął lekko. – W liście wspomniała pani coś o zdjęciu, które pani dałem. O nowych informacjach związanych z tą fotografią.

Katherine uśmiechnęła się.

– Spotykamy się tylko w interesach, co?

Mówiła z pewnym trudem. Black nagle zorientował się, że jest zupełnie pijana.

– A w jakim innym celu mielibyśmy się spotykać? – spytał.

Młoda kobieta opadła na krzesło naprzeciwko inspektora.

– Jako przyjaciele.

– Jest późno. Podkreślała pani, że to pilna sprawa.

Katherine zmierzyła go długim, oceniającym spojrzeniem.

– Jest pan całkiem przystojny. Na swój sposób. – Zmarszczyła brwi. – Może dlatego Bingham myślał, że to okaże się tak łatwe.

– Bingham?

– Facet, dla którego pracuję. W ambasadzie.

– Obawiam się, że nie rozumiem.

– Chciał, żebym się z panem przespała. Wywęszyła pana sekrety. Dowiedziała się, dlaczego wszyscy tak się denerwują tymi morderstwami. Znalazła przeciek.

– Przeciek?

– Bingham sądzi, że Churchill ma przed nami jakiś wielki sekret. Amerykanami, mówiąc ściśle. Coś wspólnego z pana morderstwami. Cicho-sza.

Black wpatrywał się nią. Powoli zaczynała mu świecić prawda.

– Pani jest szpiegiem – powiedział cicho.

– Nie za dobrym. Nie według Bingham.

– Nie przypadkiem znalazła się pani w pociągu do Cambridge, prawda?

– Prawda.

– Ani w restauracji.

– Ma pan rację.

– Boże – mruknął ze zmęczeniem. Patrzył gdzieś ponad głową Katherine. – Dlaczego pani mi to wszystko mówi?

– Bo jestem zupełnie cholernie pijana i przez ostatnich siedem czy osiem godzin zbierałam się na odwagę, aby to panu powiedzieć, Morrisie Black z łaski Bożej ze Scotland Yardu. Nie podoba mi się to, co chcieli ze mną zrobić. Co chcieli, żebym zrobiła panu. Nie podoba mi się. Wcale a wcale. – Była na granicy łez.

– Oni?

– Bingham i jego kumple.

– Ile oni wiedzą?

– Nie tyle, ile by chcieli. – Pokręciła głową. – Boże, muszę być szalona.

– Mówiła pani, że pracuje dla Bingham. Czas przeszły.

– Odebrali mi sprawę.

– Dlaczego?

– Bo nic nie osiągnęłam. Powiedział, że świat staje na głowie. Że już za późno.

– A kim dokładnie jest ten Bingham?

– Pierwszym sekretarzem ambasady. Odpowiada także za wywiad.

– Kto jeszcze wie o całej aferze?

Katherine roześmiała się.

– Zgodnie z tym, co on mówił, to prawie wszyscy. Niemcy w Berlinie, Rosjanie. Wydaje mi się, że niepokoją go też i nasi ludzie. Nie za bardzo zgadza się z Kennedym.

Black zamknął na chwilę oczy. Bagno, po którym dotąd stapał i tak było grzaskie. Teraz zmieniło się w pole minowe. Sprawy komplikowały się. Inspektor spojrział znowu na Katherine. Nie mógł pozwolić, by znów go nabrała. To, co mówiła, brzmiało szczerze, ale nie miał pojęcia, czy nie grała jakiejś roli. Zwierzenia jako sposób na zdobycie zaufania? Próbował skupić się na istocie problemu, ale czuł tylko narastający ból głowy.

– Mówiła pani, że mamy porozmawiać o zdjęciu.

– To mała miejscowość w Niemczech. Nazywa się Strobeck. Według legendy, tu właśnie grano w szachy po raz pierwszy w Europie. Uczą tej gry nawet w szkołach.

– Szachy. – Szachownica w szafce Rudelskiego. Stolik do gry w klubie w Soho, gdzie ostatni raz widziano Talbota. Gurney z garażu rozgrywający partyjkę

z Talbotem. Zdjęcie. – Dobry Boże – szepnął, kiedy kawałki układanki połączyły się w jego głowie. Dlaczego nie dostrzegął tego wcześniej?

– W szachy można grać także korespondencyjnie – powiedziała Katherine. – Rozegranie partii trwa czasem miesiącami.

– Co? – Black, wyrwany z zadumy, spojrzął na młodą kobietę. – Co pani powiedziała?

– Piszą listy tam i z powrotem. Przesyłają wiadomość o kolejnych ruchach.

W tym momencie Black wiedział już wszystko. Ostatni kawałek wskoczył na swoje miejsce. Pojął wreszcie, w jaki sposób Kuba Pedal wybiera swoje ofiary i dlaczego. Był kompletnym głupcem, że nie dostrzegł tego już kilka miesięcy temu. Wstał. Musi natychmiast zadzwonić do Swifta.

– Czy ma pani telefon?

– Tam. – Katherine wskazała w kierunku kuchni. Black starannie zamknął za sobą drzwi. Pojawił się w kilka minut później. Zmęczony wyraz twarzy zniknął. W oczach inspektora malowało się podekscytowanie.

– Muszę już iść.

– Czy to zdjęcie jest ważne? – spytała Katherine wstając.

Skinął głową.

– Tak. Bardzo ważne. – Odwrócił się i ruszył do drzwi.

– Cieszę się, że mogłam pomóc – powiedziała Katherine gorzko. Wzruszyła ramionami. – Ale przecież odrobina zdrady pomiędzy przyjaciółmi nie ma żadnego znaczenia, prawda?

Black zatrzymał się raptownie.

– Przepraszam.

– Za co? Jestem tylko kłamliwą suką, która próbowała pana szpiegować.

Black podszedł do niej o krok.

– Nie. Nie jest pani. – Uśmiechnął się. – Jest pani naprawdę cudowna, jeżeli chodzi o ścisłość. – Zaczerwienił się i obrócił na pięcie, zmierzając znowu do wyjścia. – Jeszcze porozmawiamy, obiecuję. Kiedy wrócę.

– Wrócę skąd? – spytała Katherine, ale on już wyszedł. – Jezu – szepnęła, patrząc na zamknięte drzwi. – Co ja narobiłam?

Apatycznie powlokła się do kuchni. Black w pośpiechu zostawił źle odłożoną słuchawkę, która buczała teraz gniewnie. Katherine położyła ją na widełki, i wtedy zauważyła, że mały notes i ołówek, leżące zwykle obok telefonu, zmieniły miejsce. Black użył ich, potem wydarł kartkę. Katherine Copeland przypominała sobie podstawowe sztuczki, jakich uczyła się na tych głupich kursach Donovan. Zakreskowała szerokim końcem ołówka powierzchnię kartki. Pojawiło się na niej słabe odbicie tego, co napisał Black.

*Coventry. Nalot przy księżycu.*

Odwróciła się i spojrzała na mały kalendarzyk przyczepiony do drzwiczek lodówki. Pełnia księżycy była tam zaznaczona. W listopadzie przypadała czternastego. To znaczy nazajutrz wieczorem.

# Rozdział osiemnasty

CZWARTEK, 14 LISTOPADA 1940 ROKU

## 11. 30 CZASU GREENWICH

**W**łaściwie z tej listy nie możemy wybrać żadnego nazwiska, prawda? – powiedział Anthony Blunt, rozpięty w skórzanym fotelu w biurze Guya Liddella na St. James Street. Jeszcze raz przejrzał spis nazwisk zebranych u Aspreya przez posterunkowego Swifta.

– Nie – odpowiedział Liddell. Drapał się w skroń ustnikiem wygasłej fajki, marszczył brwi i studiował swoją kopię listy. Mamy tu zestaw postaci od księcia Windsoru po Joan Miller, kochankę Maxwella Knighta. Jest z czego wybierać, pomyślał. Może ta Miller podarowała pióro Knightowi, a on użył go do zamordowania mężczyzny w toalecie ogrodu zoologicznego. Max Knight jako podwójny agent. Liddell uśmiechnął się blade. Biorąc pod uwagę pewne zwyczaje Knighta, trzeba pewnie będzie prześledzić i ten trop.

– To jak lektura ostatniego wydania kroniki towarzyskiej – komentował Blunt. – Sami lordowie i damy. – W jego głosie zabrzmiała ledwie uchwytna nutka zadumy. – Te pióra muszą przerażająco drogo kosztować. – Spojrzał na Liddella. – A co twój Black ma na ten temat do powiedzenia?

– Nic. Swift powiadomił mnie, że inspektor dzisiaj nie pojawił się w biurze.

– O rany! – Roześmiał się Blunt. – Nie mów mi, że najgorliwszy pracownik ze Scotland Yardu zrejterował. – Pokiwał żartobliwie palcem. – To niezbyt dobry znak.

– Masz rację. – Liddell jeszcze mocniej zmarszczył brwi. Zdecydowanie wolałby, aby jego asystent wreszcie ucichł chociaż na minutę czy dwie. Blunt musiał czytać w myślach szefa, bo wstał i pomachał notatkami.

– Chyba pójde się tym zająć – powiedział. Jego intencje były oczywiste: prosił o pozwolenie, aby przekazać zadanie komuś z podwładnych. Liddell westchnął. Tony był błyskotliwym, fascynującym człowiekiem, zwłaszcza kiedy przyszło do rozmowy o sztuce. Jednak jeśli chodziło o mozolenie się nad codziennymi zadaniami wydziału B, stanowił beznadziejny przypadek. Co prawda, niedawno rozpoczęła pracę; może się jeszcze nauczyć.

– Tak, zajmij się tym – odparł zrezygnowany Liddell. – Ale zrób to sam, Tony. – Spojrzał na asystenta. – Lordowie i damy, jak powiedziałeś. Sprawa wymaga nieco dyskrecji, nie sądzisz? Zadanie w sam raz dla ciebie.

– No, tak. Tak przypuszczam. – Blunt nie wyglądała na uszczęśliwionego rysującymi się przed nim perspektywami. Kiwnął głową i wyszedł z biura, nadal ściskając w ręku listę. Liddell oparł się wygodnie. Zapalił fajkę i zamyślony, wpatrzył się w sufit.

W spisie sporządzonym przez Swifta znajdowało się osiemdziesiąt jeden nazwisk i, jak słusznie zauważył Blunt, większość należała do ludzi możnych i utytułowanych. Jedynym figurującym na liście lekarzem był sir Hugh Rigsby, chirurg królewski. Nawet jeżeli zapomnieć o jego pochodzeniu i obecnej pozycji, wydawało się mało prawdopodobne, aby siedemdziesięcioletni starzec uganiał się po publicznych toaletach i wciskał ludziom stalówki w oczy.

Mimo wszystko nie ulegało wątpliwości, że wieczne pióro marki Penna Nettuno Superba zostało użyte jako narzędzie zbrodni. Jednakże stosunkowo łatwo można ukraść tak niewielki przedmiot. Należy sprawdzić wszystkie nazwiska. Nawet jeżeli któreś z piór zostało zgubione czy skradzione, osoba pierwszego właściciela stanowi dla śledztwa jakiś punkt wyjściowy. Morris Black osiągnął wreszcie konkretne rezultaty.

Liddell pochylił się nieco, odsunął krzesło i wstał. Podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Zupełnie zwyczajny koszmar. Jasny dzień. Wczesna zima. Taksówki krążą po ulicach, obłąkami mordercy wędrują po okolicy, stek z czarnego rynku można dostać w restauracji, jeśli tylko odpowiednio mrugnie się okiem, a dziś...

A dziś wypada pełnia.

Black zadzwonił do niego tuż po północy. Zgodnie z tym, co mówił, Kuba Pedal w końcu popełnił pomyłkę. Będzie dzisiaj w Coventry, czając na następną ofiarę, a Morris Black twierdzi, że wie, jak go wyśledzić.

Liddell zabronił inspektorowi organizowania jakiegokolwiek akcji. Rzecz jasna nie podał żadnych wyjaśnień. Cóż mógł zresztą powiedzieć? Black na pewno podejrzewał, że dojdzie do nalotu – obecność Kuby Pedala stanowiła wystarczający tego dowód – ale, na Boga, Black nie miał pojęcia, co się szykuje, a Liddell nie miał prawa mu tego powiedzieć. Trzy dni temu naukowcy z Bletchley Park odszyfrowali cały ciąg przekazów Enigmy. Pod kryptonimem „Sonata Księżycowa” kryła się operacja dywanowego nalotu na jeden z trzech potencjalnych celów. Wczoraj wybrano go ostatecznie: Coventry, kryptonim – Corn, zapewne z powodu wielkich zakładów Cornecraft Machine Works zlokalizowanych w centrum. Setki bombowców, tyle, ile Luftwaffe zdoła zgromadzić, prowadzonych przez samoloty typu KG100, zwiadowców znanych z dokładności, zaatakują miasto. Do północy Coventry stanie się płonąca pochodnią. A dwadzieścia czy nieco więcej osób, które wiedziały o tej sprawie, zostało zobowiązanych do dochowania tajemnicy.

Liddell czuł, że gorzka kula zniecierpliwienia rośnie mu w gardle. Jak by to wyglądało na pierwszych stronach w „Life” czy „Newsweek”, albo nie daj Boże, w „Evening Standard”? Miasto w samym sercu Anglii skazane na ofiarę. I nawet

najmniejszej próby ostrzeżenia lokalnych władz! Zaledwie kilka tygodni temu Coventry, potencjalny cel strategiczny, ze znaczną ilością fabryk produkujących na potrzeby wojska, zostało zmuszone do odesłania większości działek obrony przeciwlotniczej do Londynu.

To będzie katastrofa. W opinii publicznej Churchill zaprezentuje się jako tchórz kryjący się za osłoną artylerii, podczas gdy jego rodacy zostają bez obrony. Taki obrót wydarzeń mógł wywołać wątpliwości kongresu amerykańskiego. Woda na młyn izolacjonistów. Propagandowa klęska. Hitler i jego ludzie będą śmiać się do rozpuku. A on sam, Liddell, nic nie jest w stanie zrobić.

Zaklął pod nosem. Jako szef B miał obowiązek wykrywać wrogów państwa i uniemożliwiać im działalność, ale sprawa Enigmy zmuszała do zachowania całkowitej dyskrecji, spychania prawdy w ciemność.

Chłodne kalkulacje ludzi pokroju Desmonda Mortona, szarej eminencji w otoczeniu Churchilla, były jeszcze bardziej przerażające. W całej tej sprawie Morton widział szansę na uzyskanie pewnych korzyści. Coventry zostanie zbombardowane, rząd oficjalnie wyrazi rozpacz, a los miasta stanie się zawołaną groźbą pod adresem Amerykanów – przyłączcie się do nas albo to samo przydarzy się i u was. Boże! W jakiej wojnie on walczy?

Wepchnął do kieszeni zaciśnięte pięści. Nie ma sposobu, aby z tego wybrnąć; sekret Enigmy musi być strzeżony za wszelką cenę. Jeżeli zaczną ewakuować Coventry lub chociażby dostarczą dodatkowe wyposażenie dla straży pożarnej, wywiad hitlerowski może dojść do wniosku, że niemiecki system kodowania został rozszyfrowany. Zaprzeszają używania Enigmy i Churchill straci bezcenne źródło informacji. Szaleństwo. Los całego narodu zależny od kaprysu szalonego mordercy.

Liddell spojrział w niebo. Blade, jakby malowane akwarelą i cholernie przejrzyste, niczym kryształ z Waterford. Żadnych chmur. Pełnia księżycza; ani deszczu, ani śniegu mogącego powstrzymać Luftwaffe w drodze przez kanał La Manche.

Wrócił do biurka. Z kieszeni kamizelki wyjął specjalny przyrząd i zaczął czyścić fajkę, wysypując popiół do wielkiej, jaskrawo pomalowanej popielniczki w stylu art deco. Dostał ją od Burgessa na ostatnie urodziny. Pewnie kosztowała fortunę. Liddell dmuchnął w ustnik, aby pozbyć się resztek starego tytoniu. Na koniuszku języka osiadła odrobina gorzkiego osadu.

Burgess. Dobry Boże, następna tajemnica, w utrzymaniu której musiał brać udział. A Blunt i cała reszta. Zaręczył za nich wszystkich, dał im pracę, pomagał unikać konsekwencji, przekonywał siebie i innych, że pewne dewiacje powinny być tolerowane dla wyższych celów, w imię oświeconego liberalizmu. Kapitan zmarszczył brwi, wyjął woreczek na tytoń i zaczął na nowo nabijać fajkę.

Homoseksualizm to tylko jedna sprawa, bynajmniej nie najważniejsza. Dzieśięć lat temu Liddell wyrobił sobie markę w służbach specjalnych, rozpracowując Partię Komunistyczną w Wielkiej Brytanii i doprowadzając do procesów jej przywódców. A teraz przymykał oczy na polityczne ciągotki ludzi, takich jak Burgess, Blunt czy Maclean, którzy mieli wyraźne komunistyczne powiązania z czasów

studenckich. Zdołał przekonać samego siebie, że chodziło tylko o młodzieńczy idealizm. Tymczasem jego własne kontakty z tym środowiskiem wystarczyłyby, aby postawić go pod pręgierzem opinii publicznej.

Na chwilę zamknął oczy i próbował zwalczyć uczucie wyczerpania psychicznego. Czy rzeczywiście okazał się na tyle głupi, aby zaryzykować utratę poważnego stanowiska jedynie w imię ratowania się przed samotnością? Najwyraźniej tak. Musiał zrećcznie lawirować pomiędzy przyjaciółmi, wrogami i Morrisem Blackiem. Westchnął i zapalił fajkę. Jak wiele tajemnic potrafi utrzymać jeden człowiek, a przy tym nie oszaleć? Sięgnął po słuchawkę i wykręcił numer Blunta.

– Daj teraz spokój z tą listą – powiedział. – Chcę, żebyś dowiedział się, co się stało z inspektorem Morrisem Cholernym Blackiem.

Morris Black, działając dokładnie wbrew rozkazom Liddella, o jedenastej wszedł w pociąg do Coventry. Posterunkowego Swifta powiadomił, że bierze dzień wolny. Poprzedniego wieczoru nie było nalotów na Londyn, ale zbombardowano okolice podmiejskie, niszcząc niektóre linie kolejowe. Black musiał więc pojechać przez Didcot, Oksford i Birmingham. Zamiast dotrzeć do Coventry tuż po pierwszej, znalazł się tam dopiero koło czwartej.

Zwłoka doprowadzała go do szału. Podróż samochodem zajęłaby nieco mniej niż dwie godziny, ale inspektor nie chciał angażować w tę sprawę posterunkowego Swifta, pomimo że wiedział, iż asystent zdaje sobie sprawę z jego planów.

Black nigdy przedtem nie był w Coventry. Układ miasta przywiódł mu na myśl ostrygę. Rozległe przedmieścia i dzielnice przemysłowe otaczały pierścieniem doskonale zachowaną perłę ukrytej za murami starówki. Stal i beton ustępowały tu miejsca zabudowie z epoki Tudorów.

Wychodząc ze stacji, inspektor spytał o drogę, a potem pojechał tramwajem do centrum handlowego. Wsiadł przy High Street. Ulice były zatłoczone, we wszystkie strony płynęła rzeka przechodniów. Ponad niskimi budynkami wznosiła się majestatycznie kopuła katedry świętego Michała. Szare, spiczaste wieże ostro rysowały się na tle bladego nieba. Obrazek z pocztówki Kuby Pedala nagle ożył. Nieco dalej ciemniały iglice Trójcy Świętej. Black energicznym krokiem przemierzał High Street. Wreszcie znalazł numer, którego szukał, mały antykwariat u wylotu niewielkiej uliczki.

Szyld nad witryną obwieszczał, że właścicielem sklepu jest niejaki Garlinski. Wielki, tusty, rudy kot drzemał zwinięty w kłębek w rogu wystawy, zakurzonej jak wszystkie okna przy tej uliczce. W witrynie tłoczyły się rzeczy raczej stare niż zabytkowe – haftowane pamiątkowe poduszeczki z Edynburga, kiepsko oprawiona fotografia smutnego chłopca z epoki wiktoriańskiej, serwis obiadowy. Szklany globus z nie istniejącymi już od dawna państwami, pudełko na biszkopty ze sceną koronacji króla Edwarda VII. Mała szklana waza ze spinkami do mankietów i srebrna dewizka bez zegarka. Rudy kot gniewnie poruszył ogonem, kiedy Morris Black otworzył drzwi.

Wnętrze sklepu było tak samo zagracone i zakurzone. W drugim końcu wąskiej, niskiej salki Black dojrzał ładę, oświetloną przez stojącą lampkę. Na stołku za ladą



siedział starzec. Pochylał się nad szachownicą. Śnieżnobiałe kosmyki włosów otaczały łysą czaszkę jak aureola. Mężczyzna miał na sobie białą koszulę bez kołnierzyka i bezkształtny szary sweter. Okulary w drucianych oprawkach przesunął na czoło.

Zauważywszy zbliżającego się Blacka, umieścił okulary na szerokim, zakrzywionym nosie. Twarz staroego człowieka wyglądała jak obciążona wyprawioną skórą, usta i policzki zapadły się z powodu wieku. Jasnoniebieskie oczy jarzyły się zza szkieł uśmiechem i ciekawością.

– Zapewne inspektor Black, młody człowiek, który do mnie dzwonił. – Głos starca brzmiał zadziwiająco mocno i głęboko. Głos śpiewaka, wyćwiczony i dźwięczny, chociaż wciąż naznaczony środkowoeuropejskim akcentem.

– Hiram Garlinski?

– Tak. – Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. Sympatyczna twarz, poznaczona przez lata. – W Warszawie prowadziłem handel starzyzną, a tu jestem antykwariuszem.

– Skąd pan wiedział, kim jestem?

Garlinski wzruszył ramionami.

– Wygląda pan jak policjant. Żydowski policjant, co czyni pana jeszcze bardziej interesującą postacią.

– A jak wygląda żydowski policjant?

Garlinski uśmiechnął się znowu.

– Oficjalny i nerwowy. Dziwna kombinacja, nie sądzi pan? – Spojrzał na szachownicę, przesunął pionek i znowu podniósł wzrok. – Żydzi w tym kraju ciągle oglądają się za siebie, a przynajmniej od czasu, kiedy Cromwell pozwolił nam tu wrócić. Boję się policji. Żyd i policjant w jednej osobie to rzadka sprawa. Nieco niewygodna dla pana, *nu?*

– Czasami. Trochę...

– To dobrze, jeśli Żyd jest nerwowy. Pomaga przetrwać. Zwłaszcza teraz.

– Miał pan jakieś kłopoty?

– Nie. Jak dotąd w Coventry nie doszło do *Kristallnacht*, ale nigdy nie wiadomo. W Anglikach jest wiele z Niemców, a jeszcze więcej z Francuzów. Niezbyt zdrowa mieszanka. – Garlinski wyciągnął kościstą rękę ponad szachownicę i pokiwał znacząco palcem. – Los Żyda w obecnych czasach to jak balansowanie na linie ponad bezdenną przepaścią. Najmniejsza zmiana wiatru i lecisiz. – Wzruszył ramionami. – Ale przecież pan to wszystko wie, prawda, inspektorze?

– Nie przyszedłem tu, żeby dyskutować o antysemityzmie.

– Nie. Przyszedł pan, aby dyskutować o szachach. A przynajmniej tak pan mówił. Co inspektor ze Scotland Yardu chce wiedzieć o tej królewskiej grze i dla czego chce zasięgnąć informacji u kogoś takiego jak ja?

– Dzwoniłem do Brytyjskiej Federacji Szachowej. Powiedzieli mi, że pan jest przewodniczącym tutejszego oddziału Towarzystwa Szachów Korespondencyjnych.

– To prawda. Potwierdziłem to już, kiedy pan telefonował.

– Powiedzieli mi też, że był pan jednym z trenerów reprezentacji narodowej w zeszłym roku. Jest pan uważany za mistrza.



– Buenos Aires – Garlinski pokiwał głową. – Alexander, Thomas, Milner-Barry, Golombek i G. H. Wood. – Wypowiedział te nazwiska cichym, serdecznym głosem. – Ale nigdy nie byłem oficjalnym trenerem. Nie pojechałem z nimi. Ale pomogłem. – Westchnął w zamyśleniu. – Wspaniale byłoby to zobaczyć. Capablanca grał dla Kuby. Z szesnastu meczy siedem wygrali, dziewięć zremisowali, żadnego nie przegrali. Wspaniała sprawa. – Spojrzał na Blacka. – Taki turniej nie zdarzy się już za mojego życia, inspektorze. A może nawet nigdy.

Black sięgnął do kieszeni i wyjął kartkę pocztową zabraną z pokoju Davida Talbota w Cambridge. Garlinski przyjrzał się dokładnie cyfrom na odwrocie, potem skinął głową.

– Wie pan, co oznaczają te liczby?

– Oczywiście. To są ruchy szachowe.

– Może mi pan je wyjaśnić?

– Proszę bardzo. – Garlinski odłożył kartkę i wskazał leżącą na ladzie szachownicy. – Na planszy są sześćdziesiąt cztery pola, trzydzieści dwa białe i trzydzieści dwa czarne. W rozgrywkach korespondencyjnych pola numeruje się od lewej strony do prawej. Liczby od jednego do trzydziestu dwóch to białe, pozostałe to czarne. Rozumie mnie pan, inspektorze?

– Tak.

– Dobrze. – Garlinski kiwnął głową, zadowolony z nowego ucznia. – Pierwszych szesnaście liczb oprócz tego, że oznacza pole, oznacza także i pionek lub figurę.

Black spojrzął na szachownicę. – A więc biała królowa to numer cztery.

– Dokładnie tak. – Zadowolony Garlinski kiwnął głową. – Numery figur i pionków nie zmieniają się podczas partii, tylko ich rozmieszczenie, określane dla każdego ruchu drugą liczbą.

– Rozumiem. A to  $X$ , jakie widnieje przy niektórych posunięciach oznacza bicie.

– *Ei gut!* Doskonale! – Starzec podniósł ręce do góry. – To nie jest trudne, tylko czasochłonne. Ale to także część przyjemności. Na przewidywaniu.

Black przyjrzał się z namysłem szachownicy, a potem pozbierał pocztówki. Zaczął je powoli przeglądać. – Nie wydaje mi się, aby te właśnie ruchy oznaczały coś szczególnego.

– Tylko tyle, że obmyślił je bardzo dobry gracz.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Poziom gry. Bardzo wyrafinowany. – Garlinski wziął kartki od Blacka i jeszcze raz je przejrzał.

– To posunięcie, na przykład, pochodzi z turnieju w Monachium w 1936. Pierwszy ruch Retiego. Reti, Węgier, zmarł parę lat temu. Wielki mistrz, ale ten ruch jest mało znany. Ostatnio podczas międzynarodowego turnieju używał go Keres, Estończyk.

– W Niemczech?

– Tak.

– Jak wielu brytyjskich szachistów może znać pierwszy ruch Retiego?

– Tysiące – uśmiechnął się Garlinski. – Ale nie więcej niż kilkuset ma technikę opanowaną na tyle, aby go używać.

– Czy mogą być członkami Brytyjskiej Federacji Szachowej?

– Zapewne.

– A pańskiej organizacji?

– Te dwie grupy nie wykluczają się wzajemnie.

– Czy tu, w Coventry, w pańskim stowarzyszeniu jest ktoś, kto potrafiłby skutecznie użyć tego ruchu?

– Poza mną? – Garlinski pokręcił głową. – Nie sędzę.

– Czy ma pan listę członków?

– Tak.

– Chciałbym ją zobaczyć.

– Oczywiście. – Garlinski uważnie spojrzął na detektywa. – Ale może najpierw powie mi pan, o co właściwie chodzi.

– Obawiam się, że to niemożliwe. Nie w tej chwili.

– Kwestia bezpieczeństwa?

– Coś w tym rodzaju.

– Rozumiem. – Starzec dźwignął się ze stołka, jeszcze raz obrzucił Blacka uważnym wzrokiem i podreptał na tyły sklepu. Black dosłyszał jego kroki na schodach; zapewne Garlinski mieszkał nad antykwariatem.

Wrócił po kilku minutach, niosąc małe drewniane pudełko wypełnione schludnie ułożonymi fiskkami. Przesunął szachownicę na bok, otworzył szufladę kontuaru i wyjął z niej arkusz papieru, a potem ogryzkiem ołówka zaczął przepisywać nazwiska z kart.

– Jak wielu członków stowarzyszenia mieszka w Coventry?

– Kilkunastu – odpowiedział, nie przerywając pisania, Garlinski. Detektyw spojrzął na zegarek. Było już po piątej, zapadał zmierzch. Za mniej więcej godzinę zrobi się zupełnie ciemno. Nie miał zbyt wiele czasu.

Stary antykwariusz odezwał się nie podnosząc głowy znad papieru:

– Spiesz się pan, inspektorze?

– Tak.

– A więc nie zostanie pan u mnie na herbacie?

– Nie. Przykro mi.

– Szkoda. Wydaje się pan interesującym młodym człowiekiem.

– Jak na żydowskiego policjanta? – zażartował Black.

Garlinski roześmiał się i dalej pisał.

– Taki stary człowiek jak ja nie może wybrzydzać. Od zbyt wielu lat jestem samotny. – Spojrzął na Blacka. – Ma pan żonę?

– Moja żona nie żyje.

– A więc dotknęło nas to samo nieszczęście. Nasze serca zostały złamane.

– Tak.

– Ja gram w szachy, aby złagodzić swoją samotność, ale pana gra, inspektorze, jest o wiele bardziej niebezpieczna. Ściganie drobnych kryminalistów i to podczas wojny.

– Drobnych albo i gorzej.

Garlinski skończył pisać i wręczył listę Blackowi, który przejrzał ją szybko: jedenaście nazwisk, jedenaście adresów. Przy sześciu z nich były też numery telefonów. Zadzwoni z najbliższej poczty; resztę osób będzie musiał odwiedzić osobiście.

– Dziękuję panu – powiedział, składając arkusz papieru i wsuwając go do kieszeni. Zebrał też swoje pocztówki. – Bardzo mi pan pomógł.

– Cała przyjemność po mojej stronie, inspektorze. Niech Bóg pana wysłucha i wynagrodzi. – Błogosławieństwo, które wypowiedział ojciec Blacka w dniu, kiedy syn brał ślub z Fay. Słowa, jakich inspektor od lat nie słyszał. I w jakie już nie wierzył.

– Dziękuję – powtórzył.

Uściśnął dłoń starca i odwrócił się. Zrobił kilka kroków w stronę drzwi, ale nagle zatrzymał się. Tymczasem Garlinski wrócił już do swojego problemu szachowego. W pamięci Blacka zabrzmiał przerażony głos Liddella, kiedy kapitan zabraniał inspektorowi wyjazdu do Coventry.

– *Zayde?* – powiedział, lekko podnosząc głos. Garlinski spojrział znad szachownicy, zdziwiony dźwiękiem znajomego słowa.

– Tak?

– *Zayde*, czy ma pan przyjaciół albo krewnych na wsi?

– Moja wnuczka mieszka w Nuneaton. – Garlinski zmarszczył brwi. – Dlaczego pan pyta?

– Chyba powinien pan złożyć jej wizytę.

– Nie żartuje pan, co, inspektorze?

– Nie.

– Czy jestem w niebezpieczeństwie z powodu pańskiego śledztwa?

– Nie. To coś o wiele gorszego.

– Rozumiem. – Garlinski uważnie spojrzął na Blacka. – I sądzi pan, że powinienem wkrótce ją odwiedzić?

– Natychmiast. Jeszcze dziś. Musi mi pan uwierzyć.

Garlinski milczał przez chwilę. W końcu kiwnął głową.

– Niech pana Bóg strzeże, inspektorze. – Spojrzął na swoją szachownicę.

– Pana też, *Zayde*. – Black poczuł łyżę w oczach. Zaciśnął zęby, uklonił się lekko i energicznym krokiem wyszedł ze sklepu.

Doktor Charles Tennant siedział za biurkiem w jednym z pokoi Centralnego Archiwum Scotland Yardu i powoli przedzierał się przez stosy papierowych teczek z aktami. Od czasu do czasu zapisywał coś w notesie.

Właśnie minęła piąta trzydzieści. Zza ściany dochodziły stłumione odgłosy, świadczące o tym, że personel biura przygotowuje się już do wyjścia. Doktor siedział w tym pokoju od południa i był dopiero w połowie stosu teczek, które wybrał sobie do przejrzenia.

Ziewnął i zapalił kolejnego papierosa. Został u Poppet niemal do świtu. Nieprzespana noc i sześć godzin ślęczenia nad aktami sprawiły, że miał już całkiem przekrwione oczy. Ale sprawa opłacała się.

Poppet, pominiawszy jej dziwne zwyczaje seksualne, stanowiła niewyczerpaną kopalnię informacji. W ciągu trzech zbliżeń wypełnionych jej monologami, i dwóch długich przerw na herbatę beztrudno powiedziała mu wszystko, co wiedziała na temat dochodzenia, tak bardzo absorbującego Guya Liddella i MI5.

Wiedziała naprawdę dużo, co nie dziwiło zważywszy na fakt, że pracowała jako zaufana stenografistka Liddella i przepisywała zarówno sprawozdania sporządzane przez inspektora Morrisa Blacka, jak i wyciągi z akt Scotland Yardu.

Tennant dowiedział się, że chodzi o śledztwo w sprawie pięciu morderstw: czterech rytualnych zabójstw najwyraźniej powiązanych z nocnymi nalotami na Londyn, Portsmouth i Southampton i piątego, odbiegającego od wzorca, morderstwa popełnionego na kurierze motocyklowym, Jane Luffington.

Szczególnie interesowała Tennanta śmierć Jane Luffington. Była to wśród ofiar jedyna kobieta, a w dodatku powiązana z wywiadem.

Zgodnie z tym, co mówiła Poppet, „wrenka” jeździła regularnie na dwóch trasach – z Bletchley Park, rządowej posiadłości poza miastem, do Broadway Buildings 55, kwatery głównej Brytyjskich Służb Specjalnych i z Broadway Buildings 55 do Archiwum Publicznego w City. Interesujący także wydawał się jej romans z młodym kapitanem wywiadu o nazwisku Fleming.

Tragiczna śmierć Jane Luffington łączyła się z pozostałymi czterema morderstwami dzięki *modus operandi*. Zgodnie z sekcją przeprowadzoną po ekshumacji przez sir Bernarda Spilsbury’ego, dziewczyna, jak i pozostała czwórka, zmarła w wyniku przecięcia rdzenia kręgowego małym grottem, wystrzelonym zapewne z broni sprężynowej lub broni na sprężone powietrze. Trzej spośród czterech mężczyzn zostali okaleczeni; Jane Luffington nie.

Sprawa zabójstw byłaby interesująca dla wielu psychiatrów. Tennant patrzył na nią jednak z innego punktu widzenia. Rytualne, wielokrotne morderstwa w stylu Kuby Rozpruwacza stanowiły fascynujący temat, chociaż mało przydatny w normalnej praktyce lekarskiej. Z tego, co mówiła Poppet, Tennant wywnioskował, że morderca zabił Jane Luffington, ponieważ mu zagrażała. W tym świetle śmierć dziewczyny nie odbiegała już tak rażąco od wzorca.

W którymś momencie zbrodniarz popełnił błąd, który musiała dostrzec ta Luffington. Dla Tennanta było oczywiste, że śmierć Jane nastąpiła z powodów praktycznych, a nie rytualnych.

Psychiatra jednakże najbardziej interesował się powiązaniem „wrenki” z wywiadem. A poza tym, dlaczego ludzie z MI5 zajęli się tymi zbrodniami? Wyglądało na to, że Kuba Pedał, jak go nazywano, stanowił bezpośrednie zagrożenie dla spraw wagi państwowej.

Potrafił dokładnie przewidzieć, kiedy i gdzie nastąpi nalot. A w dodatku interesował się kurierem, Jane Luffington. Kuba Pedał najwyraźniej miał dostęp do tajnych danych wywiadu.

Już sam fakt, że znał termin i obszar nalotu świadczył o tym, że wywiad brytyjski także dysponował tymi informacjami. To pewnie owo „inne źródło”, wspomniane zdawkowo przez Mastermana, kiedy Tennant grał na jego rozkaz rolę pilota Luftwaffe. Nasuwał się oczywisty wniosek. Służby Specjalne musiały mieć

agenta w niemieckim dowództwie, który przysyłał regularne sprawozdania dotyczące planów bombardowań. Jednak jakim cudem Kuba Pedal nie tylko wiedział, kim jest ten człowiek, ale także miał dostęp do informacji przesyłanych przez niego wywiadowi brytyjskiemu?

Tennant zgasił papierosa. Poppet, rzecz jasna, nie miała takich skojarzeń. Nie starczało jej na to ani inteligencji, ani zainteresowania. A przecież jeśli spojrzeć na sprawy z szerszej perspektywy, wszystko doskonale do siebie pasowało, zwłaszcza zważywszy na stałą trasę przejazdów Jane Luffington – z Bletchley Park do dowództwa Brytyjskich Sił Specjalnych.

W Bletchley, o czym wiedzieli prawie wszyscy, mieściła się Rządowa Szkoła Szyfrów i Kodów oraz centralna stacja nasłuchu radiowego. Zapewne radiooperatorzy z Bletchley odbierali kodowane sygnały od agenta z Niemiec, rozszyfrowywali je, a potem przekazywali do Broadway Buildings 55. Gdyby Tennant potrafił wykryć Kubę Pedala, poznać źródło jego informacji i zawiadomić o wszystkim Schellenberga i Heydricha, działaniom Wielkiej Brytanii zadano by śmiertelny cios, jeszcze przed nieuniknionym przystąpieniem do wojny Stanów Zjednoczonych.

Ale jak to zrobić? W jaki sposób wyprzedzić inspektora Morrisa Blacka? Poppet uważała, że śledztwo prowadzone przez tego Żyda wiedzie donikąd, ale psychiatra nie był tego taki pewien. Telefon do Smitha, znajomego, który pracował w Służbach Specjalnych, i powołanie się na realizowany właśnie projekt badawczy zapewniły Tennantowi dostęp do archiwum kryminalnego. Nawet bardzo pobieżny przegląd spraw prowadzonych przez Blacka w ciągu minionych kilku lat wykazał, że inspektor ma na swoim koncie o wiele więcej sukcesów, niż powszechnie znany Robert Fabian czy Reginald Spooner. Wynikało z tego, że jedynie brak ustosunkowanych przyjaciół i pochodzenie przeszkodziły mu w awansie na komisarza, czy nawet nadkomisarza. Morris Black był uparty, niezmordowany i wybitnie inteligentny.

Tennant nie miał zamiaru popełnić błędu i zbyt nisko ocenić przeciwnika.

Zainteresowanie przebiegiem kariery Blacka stanowiło jedynie pomniejszy powód wizyty w Scotland Yardzie. Opowieści Poppet zasiały w głowie Tennanta ziarno pewnego pomysłu.

Śledztwo Morrisa Blacka było hamowane przez ustalone procedury i wąskie ramy prawa. Zasady rządzące pracą inspektora, sztywne i niezłomne, miały swe źródło w Ustawie o Policji Miejskiej i zakurzonych tomiszczach sprzed wieków. Tennant nie musiał liczyć się z takimi ograniczeniami ani w myśleniu, ani w działaniu.

Kilka lat temu, w Instytucie w Wiedniu, Charles zetknął się z amerykańskim psychoanalitykiem, Walterem Langerem. W owym czasie Langer był przekonany o wielkiej wartości konstruowania modeli psychiki tak ważnych osobistości życia politycznego, jak i kryminalistów. Miał nadzieję, że uda się stworzyć „kryształową kulę” zdolną przewidzieć zachowania, a nawet wskazać przestępców jeszcze przed popełnieniem zbrodni. Jak na ironię, teoria Langer opierała się w dużej mierze na przykładzie Kuby Rozpruwacza. Amerykanin nazywał swoje, wątpliwe z naukowego punktu widzenia, dociekania „modelowaniem”.

W ubiegłym roku Tennant słyszał plotki krążące w świątku medycznym, że Langer przy wsparciu rządu Stanów Zjednoczonych przystąpił do projektu „modelowania” osobowości Adolfa Hitlera. Zapewne po to, aby Roosevelt mógł zorientować się, skąd wieje wiatr, jeżeli zdecyduje się poprzeć Wielką Brytanię.

Doktor sądził, iż możliwości takiej analizy stanowią wielką niewiadomą, jednak zainteresował się jej zastosowaniem. Teoria Langer’a wydawała się doskonale pasować do sprawy Kuby Pedąła. Wyniki wstępnych badań, połączone z informacjami, jakie Tennant uzyskał z akt archiwum, okazały się intrygujące. Zaczynał rysować się szkic „modelu” mordercy.

Niektóre elementy obrazu były oczywiste: seryjność morderstw, nagość ciał, okaleczenia oznaczały niemal na pewno psychopatię seksualną. Cztery z pięciu ofiar stanowili mężczyźni, co wskazywało na homoseksualizm. Fala morderstw została wyzwolona przez pierwsze poważne bombardowania Londynu, które zbiegły się z uzyskaniem przez Kubę Pedąła dostępu do informacji dotyczących nalotów.

Te fakty w zestawieniu z literaturą fachową, doświadczeniem uzyskanym przez Tennanta podczas pracy w szpitalu psychiatrycznym oraz danymi archiwum Scotland Yardu pozwoliły psychiatrze określić w przybliżeniu wiek Kuby Pedąła.

Wszystkie sprawy, których akta przeglądał, dotyczyły morderstw popełnionych przez mężczyzn pomiędzy trzydziestym a pięćdziesiątym piątym rokiem życia. Własne doświadczenia Tennanta potwierdzały te dane. Normalnie frustracja związana z malejącą sprawnością seksualną oraz rosnącym znudzeniem w małżeństwie mogła ulec rozładowaniu, kiedy mężczyzna korzystał z usług prostytutki albo znajdował sobie młodą kochankę.

Dla człowieka cierpiącego tak na homoseksualizm, jak i psychopatię, udanie się do prostytutki, nieważne jakiej płci, nie wchodziło w grę. Rozwiązaniem stało się często morderstwo, zwykle brutalne i o charakterze rytualnym. Można więc było przypuszczać, że Kuba Pedął urodził się pomiędzy 1890 a 1910 rokiem. Wyrażna łatwość poruszania się po kraju wskazywała, że nie służy w wojsku, co oznaczało, że nie podlega już poborowi.

Poza tym człowiek ten zapewne nigdzie nie jest zatrudniony. Psychopatyczne zachowania najczęściej występują łącznie z frustracją i poczuciem przegranej, co uniemożliwia współpracę z innymi ludźmi. Zazwyczaj też wiąże się z widocznymi oznakami upośledzenia psychicznego. Z danych, które Tennant tego dnia przeanalizował, wynikało, że prawie wszyscy mordercy albo już w młodości wykazywali oznaki nieźrównoważenia, albo nawet przebywali w jakimś zakładzie zamkniętym.

Takie założenie stanowiło jeden z kluczowych punktów dokonanego przez Waltera Langer’a opisu osobowości Kuby Rozpruwacza. Ze wszystkich podejrzanych najbardziej pasował do wzorca Polak, niejaki Kosminski. Przed morderstwami w Whitechapel przebywał on w szpitalu psychiatrycznym, a zabójstwa prostytutek ustały raptownie, kiedy znów tam wrócił. Wydawało się oczywiste, że właśnie szaleniec mógł dopuszczać się aktów szaleństwa.

Z drugiej strony istniała także możliwość, że Kuba Pedął jest wyjątkowo inteligentny, niezależnie od rodzaju choroby umysłowej. Użycie zdumiewającej i sku-

tecznej broni potwierdzało taką opcję. Zgodnie ze słowami Poppet, raport z przeprowadzonej przez Spilsbury'ego sekcji mówił o małym grocie, „niespotykanym narzędziu zbrodni”. Kuba Pedal mógł być jakimś zdolnym technikiem czy asystentem inżyniera, po cichu buntującym się przeciwko bardziej wykształconym ludziom, dla których pracował. Jego frustracja musiała wzrastać, dzień po dniu, dopóki w końcu nie wybuchła.

Rok spędzony w szpitalu w Sheffield nauczył Tennanta, że większość psychicznie chorych osób, które popełniły zbrodnię, wywodzi się z wielkich obszarów miejskich. Zapewne wczesne oznaki dewiacji są łatwiejsze do uchwycenia w zamkniętym środowisku. Szaleńcowi łatwiej zachować anonimowość w konglomeracji takiej jak Londyn niż w małej miejscowości czy wiosce, gdzie wszyscy wszystko widzą. I znowu psychiatra odnalazł potwierdzenie swojej teorii w aktach archiwum Scotland Yardu: niemal każda ze spraw, którymi się interesował, rozgrywała się w Londynie czy innym wielkim mieście.

Tennant był prawie pewien, że morderstwa, które miały miejsce w ciągu ostatnich kilku miesięcy, były wynikiem jakiegoś traumatycznego przeżycia w przeszłości zabójcy. Nie miał na to jednak żadnego dowodu. Podczas pracy w Sheffield badał sześciu „psychopatycznych morderców” i stwierdził wtedy, że nagle, na pozór niczym nie uzasadnione akty przemocy, sięgały korzeniami w odległą przeszłość, najczęściej w okres dorastania.

Mglisty obraz Kuby Pedala zaczynał się krystalizować. Mężczyzna w wieku pomiędzy trzydzieści pięć a czterdzieści pięć lat, o ukrywanych skłonnościach homoseksualnych. Samotnik, nieprzystosowany do społeczeństwa, zapewne boleśnie nieśmiały. Człowiek utalentowany, dumny ze swoich złowieszczych, „niespotykanych” narzędzi zbrodni. Mieszkaniec Londynu, zapewne leczony już psychiatrycznie, być może dźwigający jakiś straszliwy sekret z przeszłości.

Mężczyzna, który postrzegał wojnę, a zwłaszcza nocne naloty Luftwaffe, jako doskonałe tło dla własnych rytuałów. I, co najdziwniejsze, człowiek, który w niewiadomy sposób wszedł w posiadanie pilnie strzeżonej tajemnicy MI5.

Tennant skinął głową, zebrał notatki i wstał. Niezbyt wiele. Jeszcze nie. Ale to dopiero początek. Uśmiechnął się. Wykryje Kubę Pedala i to wykryje go wcześniej niż inspektor Morris Black ze Scotland Yardu.



# Rozdział dziewiętnasty

CZWARTEK, 14 LISTOPADA 1940 ROKU

## 18.45 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO 17.45 CZASU BRYTYJSKIEGO

Uśmiechnięty od ucha do ucha Morris Black wyszedł z kabiny telefonicznej na Poczcie Głównej w Coventry. Zdziwiająco szczęśliwym zbiegiem okoliczności pierwsze nazwisko na liście Garlinskiego okazało się tym właściwym – Brian Trench, Cherry Street 24A, Radford. Kilka minut rozmowy z żoną Trencha, Mildred, przekonało inspektora, że trafił na właściwego człowieka. Mildred potwierdziła, że jej mąż rzeczywiście należy do Towarzystwa Szachów Korespondencyjnych i tego właśnie wieczoru ma w jednym z pubów spotkanie z jakimś zamiejscowym członkiem stowarzyszenia.

– Bóg jeden wie, co ten mój Brian jeszcze wymyśli. Te całe szachy, stowarzyszenie. Można by sądzić, że w domu nie ma nic do roboty. – Gdyby Black chciał się z nim spotkać zaraz, to złapie go pewnie jeszcze w pracy, w sklepie mięsnym na targu przy West Orchard Street.

Poczta znajdowała się niedaleko antykwariatu Garlinskiego. Black przeszedł kilka kroków i złapał taksówkę. Jednkże kierowca wyjaśnił mu, że targ znajduje się w odległości zaledwie paru set metrów i wskazał właściwy kierunek.

Dziesięć minut później detektyw dotarł do małego placu, gdzie odnalazł ubranego w zakrwawiony fartuch Trencha, który właśnie zwiżał markizę, przygotowując sklep do zamknięcia. Gwizdał przy tym radośnie. Black rozpoznał Mozarta, co nie bardzo pasowało do sprzedawcy u rzeźnika, podobnie zresztą jak korespondencyjna gra w szachy.

– Pan Trench?

– Przykro mi, sir, ale już zamknięte.

Black wyjął odznakę.

– Nie chcę niczego kupować, panie Trench.

– Scotland Yard? – Mężczyzna zmarszczył brwi, patrząc na odznakę.

– Tak.



– Znalazł się pan dosyć daleko od domu, co? – Trench przy pomocy skomplikowanego węzła przymocował markizę do żelaznego kółka i odwrócił się do Blacka.

- Chciałbym zadać panu kilka pytań.
- O Boże! Tylko nie kolejne dochodzenie w sprawie czarnego rynku!
- Nie, to zupełnie co innego.
- A więc o co chodzi?

Black odpowiedział, na tyle wymijająco, na ile było to możliwe. Prowadził dochodzenie w sprawie poważnych przestępstw. Dowody wskazują na człowieka, z którym Trench ma się tego wieczoru spotkać w pubie. Byłby bardzo wdzięczny, gdyby Brian zechciał współpracować...

– A co właściwie rozumie pan przez współpracę?  
– Niech pan mi wskaże tego mężczyznę. To wystarczy. – Zupełne szaleństwo. To było szalone. Powinien przecież powiadomić lokalną policję, ale bał się, że wystraszy podejrzanego.

– Nie mogę tego zrobić. Nigdy go nie widziałem.  
– Więc jak pan miał go rozpoznać?  
– Powiedział, żebym czekał obok szachownicy.  
– Szachownicy?  
– Owszem, w „Stump”.  
– Tak nazywa się pub?  
– Właściwa nazwa brzmi „Magpie and Stump”. Ale wszyscy mówią po prostu „Stump”.

- A gdzie się tam znajduje szachownica?
- W najdalszym kącie sali. To po prostu stolik z narysowanymi polami.

Black zmarszczył brwi. Myślał przez chwilę, aż wreszcie sobie przypomniał. Podobną szachownicę widział w „Mandrake” w Londynie. Poczul, jak załomotało mu serce; wszystko zaczynało się składać w sensowną całość.

- Wygląda na to, że facet zna ten pub – powiedział.

Trench wzruszył ramionami.

- Możliwe.
- Kto zaproponował miejsce spotkania?
- On.

Black skinął głową. Kuba Pedal zapewne śledził Trencha. Wcześniej wybrał pub, który odpowiadał jego celom. Wiedział o stoliku z szachownicą.

– Czy ten człowiek nie podał panu żadnych znaków rozpoznawczych?  
– Nie. Powiedział, że sam mnie znajdzie.  
– Jak się przedstawił?  
– Jako członek Stowarzyszenia. Powołał się na nasze wspólne zainteresowania. Mówił, że ma zamiar przyjechać do Coventry w interesach i chciałby postawić mi obiad. Obiecałem w rewanżu zafundować mu kolejkę.

- I niczego pan nie podejrzewał?
- Nie. Niby dlaczego? Tego typu spotkania zdarzały mi się już wcześniej.
- No, dobrze. O której macie się spotkać?

- O szóstej trzydzieści. Dokładnie.
- Dokładnie?
- Mówił, że ma lekkiego bzika na tle punktualności.

To coś więcej, niż tylko lekki bzik na tle punktualności. Black spojrzął na zegarek. Było dziesięć po szóstej.

- Jak daleko stąd do tego pubu?
- Blisko. Przy Cope Street, po drugiej stronie katedry. – Trench zaczął rozwiązywać fartuch. – Niech mi pan da pół minuty na zmianę ubrania i możemy iść.
- Jeszcze jedno.
- Tak?
- Jakie nazwisko panu podał?
- Exner. Bernard Timothy Exner.

Pub „Stump” mieścił się w wąskim, częściowo drewnianym budynku, wzniesionym obok wielkiej fabryki motocykli marki Triumph, niedaleko katedry świętego Michała. Lekki smród rozchodzący się w wieczornym powietrzu bił, według słów Trencha, od rzeki Sherbourne, do której spuszczano fabryczne ścieki.

W pubie było tłoczno. Spotykali się tam pracownicy pobliskiej wytwórni motocykli, o tej porze w większości ubrani jeszcze w kombinezony z napisem „Triumph” na plecach. Przy długim barze nie dałoby się nawet wcisnąć szpilki, a przy stolikach ustawionych po całej sali nie pozostało ani jedno wolne miejsce. Przez otwarte do sąsiedniego pomieszczenia drzwi Black dostrzegł grających w strzałki.

Panował hałas, pełen śmiechów i pobrzękiwania szkła. Wśród ciemnych krokwii nad głowami snuł się jak mgła dym papierosowy. Tleniona blondynka w średnim wieku i dwóch mężczyzn w fartuchach uwijało się za barem. Cztery kelnerki dźwigały ciężkie, zastawione drinkami tace i, przeciskając się przez rozgadany tłum, wykrzykiwały co kilka sekund nowe zamówienia do barmanów. Sala cuchnęła tytoniem, piwem i ludzkim potem.

Zgodnie z planem, który ustalili podczas drogi, Trench przedarł się przez zbity tłum i usiadł przy stoliku szachowym, ustawionym niedaleko wejścia do pokoju gier. Black torował sobie łokciami drogę, uprzejmie przepraszając kogo się dało, aż znalazł odrobinę miejsca przy barze i zamówił kufel piwa. Wyciągając szyję widział Trencha, rozstawiającego figury na polach.

Inspektor spojrzął na zegarek. Było już prawie wpół do siódmej. Black poczuł, jak wali mu serce. Starając się opanować zdenerwowanie, zapalił papierosa. Z doświadczenia wiedział, że nalot zacznie się pomiędzy siódmą a ósmą, kiedy wszędzie księżyc i dobrze oświetli cel.

Kuba Pedał bardzo dokładnie obliczył czas. Zdaży uciec przed rozpoczęciem bombardowania. Miał dziewięćdziesiąt minut na to, aby spotkać się z ofiarą, zwabić ją we wcześniej wybrane miejsce, dokonać dzieła i zniknąć przed pojawieniem się pierwszych samolotów.

Zebranie myśli tu, w tym hałaśliwym pubie, pośród tłumu kręcących się ludzi wydawało się Blackowi prawie niemożliwe. Detektyw dopił ciepłego drinka i nagle małe kawałki układanki wskoczyły na właściwe miejsce. A jednak nie stracił go. Nie stracił swojego Zmysłu.

To oczywiście, że Kuba Pedal dobrze obliczył czas. Opowiadał Thenchowi o niedawnej obsesji na tle punktualności. Dla poszukiwanego przez Blacka zbrodniarza czas i miejsce liczyły się nade wszystko. Nieważne, jakie gniazdo żmij nosił w piersi ten człowiek, jego działanie opierało się na logice, ładzie. Starannie dobierał ofiarę i miejsce zabójstwa. Drogę ucieczki też miał pewnie zaplanowaną w najdrobniejszych szczegółach. Ty skurwielu, pomyślał Black. Ty cholerny geniuszu zła.

Inspektor skinął w stronę blondynki za barem, zajętej polerowaniem świeżo umytych szklanek.

– Czy ma pani może rozkład jazdy pociągów?

– Zobaczę – mruknęła. Rzuciła ścierkę na kantor, schyliła się i zaczęła grzebać pod ladą. Chwilę później wyciągnęła wyświechtaną książeczkę. – Masz, skarbie. – Barmanka wróciła do przerwanej zajęcia, a Black zagłębił się w lekturze, rozmyślając intensywnie.

Pomiędzy siódmą a ósmą odchodziły z Coventry cztery pociągi. Lokalny do Nuneaton, drugi do Rugby oraz dwa pośpieszne – do Londynu i do Birmingham. Londyński ekspres wyjeżdżał o siódmej dwadzieścia. Przed nim był tylko miejscowy pociąg do Nuneaton o siódmej pięć. Jeżeli Kuba Pedal zechce wrócić do Londynu, jego wybór powinien paść na ekspres. Jednak rano pociągi nie kursowały na tej linii. Zapewne już ją do tej pory zreperowano, ale czy zbrodniarz zaryzykuje tak wątpliwą podróż. A może złapie pociąg do Birmingham o siódmej czterdzieści pięć?

– Jak daleko stąd do stacji kolejowej? – spytał Black.

Blondynka podniosła wzrok znad kufli, które zmywała, i zmarszczyła brwi.

– Kawalek. Dziesięć minut tramwajem. Trochę dłużej taksówką.

– A pieszo?

– Zależy, jaką trasę wybierzesz. Piętnaście minut głównymi ulicami, dziesięć na skróty przez Jordan's Well i Whitefriars Gate. – Za długo, pomyślał Black. Zbyt wielki margines błędu. Jakoś nie wydawało mu się możliwe, żeby morderca jeździł wynajętym samochodem, a więc...

– Czy jest tu gdzieś w pobliżu dworzec autobusowy?

Barmanka kiwnęła głową.

– Przechnicę dalej. Na Midland Red.

– A może miałyby pani przypadkiem...

– Nie potrzebuję. Autobusy do Kenilworth i Rugby odchodzą o równej godzinie, do Lichfield i Nuneaton piętnaście po, a do Birmingham o wpół. – Kuba Pedal przestudiował już zapewne rozkład i zdążył wybrać punkt docelowy.

A w Birmingham dysponował niemal nieograniczonym wyborem. Jeśli odliczyć dziesięć minut na dotarcie do dworca autobusowego, mordercy zostawała na wypełnienie planu niecała godzina. Pewny siebie drań. Wyjątkowo arogancki. I ma do tego powody, pomyślał gorzko Black. Oczyma wyobraźni ujrzał zwłoki Talbota, Rudelskiego, Eddingsa i Dranie, rozkładające się, woskowe ciało Jane Luffington. Pięć morderstw, a bez przypadkowego zdjęcia w domu Ivora Dranie i pozostawionej na urągowisko w samochodzie Talbota pocztówki, nie mieliby prawie nic. Niemal mu się udało. Ale nie całkiem.

Black zerknął w stronę Trencha, który nadal siedział przy szachownicy i przyglądał się rozstawieniu figur. Detektyw podniósł kufel do ust. Nieznacznie obrócił się i prześlizgnął wzrokiem po tłumie. Kogo szukał? Anonimowego mężczyzny, trudnego do zauważenia, o mocnych rękach, jak powiedział Spilsbury. Nikt taki nie pojawił się w zasięgu wzroku. Nikt nie siedział samotnie. Kotary zaciemniające przy drzwiach zwisały nieporuszone. Inspektor jeszcze raz spojrzął na zegarek. Kuba Pedał nie zdążył na czas.

Czyżby? Black poczuł, jak strach spływa mu zimną strużką potu po plecach. Postawił ostrożnie kufel na barze. Logika była motorem działalności Kuby Pedała; sam przyznał się Brianowi Trenchowi, że ma obsesję na tle punktualności. Oznaczało to, że zjawił się tu przed nimi, czekał, patrzył, oceniał sytuację. Black zamknął na chwilę oczy i usiłował uspokoić oddech. Dzięki Bogu on i Trench weszli do pubu oddzielnie.

Znowu spojrzął w stronę zakrytych kotarą drzwi. Pamiętał, że, zaledwie kilka kroków od wejścia znajduje się budka telefoniczna. Jak długo potrwa, zanim dodzwoni się do lokalnej policji, wytłumaczy, kim jest i po co tu przybył? Zbyt długo. Cholernie długo. Popełnił szaleństwo. Nie podjął elementarnych środków ostrożności i wystawił Trencha na straszliwe ryzyko, wyłącznie z powodu własnej ambicji. Aby udowodnić coś sobie samemu, Liddellowi i Bóg jeszcze wie komu. Żeby okazać się Morrissem Blackiem, doskonałym policjantem, doskonałym Żydem. Cholera jasna, niech to wszyscy diabli!

Odetchnął głęboko. Nie zważając na konsekwencje, musi teraz ratować Trencha, dopóki jeszcze nie jest za późno. Jeżeli Kuba Pedał zauważył, że jego ofiara ma towarzystwo, będzie musiał zrezygnować ze swoich planów. To jedyny sposób, aby uchronić Trencha przed potencjalnym zagrożeniem.

Black wstał i zaczął przedzierać się przez tłum. Nagle zamarł przerażony. Trench rozmawiał z jakimś człowiekiem odwróconym plecami do detektywa. Inspektor zdołał dostrzec jedynie postać w ciemnym kapeluszu i brunatnym płaszczu. Mężczyzna niezbyt wysoki, ale też nie niski. Zupełnie nie zwracający na siebie uwagi. Skąd on się u diabła wziął?

Za późno, aby teraz o tym myśleć. Black zacisnął zęby i dalej przepychał się przez zatłoczoną salę. Przynajmniej tamten nie mógł go zobaczyć. Nagle poprzez gwar dobiegło Blacka wołanie. Ale to niemożliwe, przecież nikogo w Coventry...

– Morris! – Kobięcy głos wybił się ponad panujący na sali hałas wykrzykujący jego imię. O mój Boże! Kto to? Rozejrzał się dookoła. I znowu ktoś zawołał jeszcze donośniej. Znajomy, roześmiany głos. – Inspektorze Black!

Przez krótką, koszmarną chwilę inspektorowi wydawało się, że czas stanął. Oddalony o kilka metrów Trench z osłupiałym wyrazem twarzy wpatrywał się w Blacka, a w drzwiach prowadzących do pokoju gier stała uśmiechnięta radośnie Katherine Copeland.

Nieznamy mężczyzna odwrócił się błyskawicznie. Detektywowi mignęła szczupła, straszliwie blada twarz i oczy za okularami w drucianej oprawce. Dłoń w szarej rękawiczce cisnęła w stronę Trencha ciemnym przedmiotem o regularnym kształcie. Nieszczęsny chwycił się tylko ręką za gardło, oczy wyszły mu na

wierzch i osunął się bezwładnie na krzesło. Kuba Pedał odepchnął stojącą ze zdziwionym uśmiechem w drzwiach Katherine Copeland.

Black rzucił się za nim. Przeciskał się przez tłum, roztrzaskując ludzi, i machając policyjną odznaką.

– Policja! Z drogi!

Jednym spojrzeniem ogarnął w biegu zwiotczałe ciało Briana Trencha. Na białej koszuli rosła czerwona plama krwi ściekającej z przeciętego gardła. Oczy zapadły się, usta rozwarły. Dookoła umierającego zgromadzili się już ludzie; jeżeli jakkolwiek pomoc była możliwa, ktoś inny musi jej udzielić.

Inspektor dopadł drzwi do pokoju gier, odepchnął bez słowa Katherine i przedzierał się dalej, wymachując odznaką, a drugą ręką torując sobie drogę. Wiedział już, że popełnił błąd. Za pokojem gier znajdowała się mała salka restauracyjna, z której tylne wyjście wiodło na ulicę. Black próbował przyśpieszyć. Utykał trochę, bo uderzył biodrem w stół. Chociaż właśnie drzwi zamykały się za nieuchwytnym mordercą, inspektor stracił jeszcze jedną bezcenną sekundę. Nie mógł się pohamować i odwrócił głowę, Katherine podążyła za nim krok w krok.

– Trzymaj się, u diabła, z daleka! – wrzasnął.

Wreszcie drzwi. Pchnął je, wybiegł w ciemność. Wąski, brukowany zaułek. Kamienie błyszcząły w zimnym, jasnym świetle księżyca. Uciekinier oddalił się już o jakieś piętnaście metrów. W pustej uliczce donośnie rozlegał się tupot kroków.

Black pędził, ile sił w nogach. Ktoś biegł za nim. To ta Copeland. Nie zważając już na młodą kobietę, inspektor próbował zorientować się, w którą stronę zmiierzają. Tylne wyjście pubu znajdowało się od północy, a więc teraz biegli w kierunku wschodnim. Po lewej ręce Blacka ciągnęły się ślepe, pozbawione okien mury fabryki motocykli. Którędy ten skurwiel ucieka?

Barmanka mówiła, że dworzec autobusowy mieści się bardzo blisko, nieco wyżej na wzgórzu. Ale oni przecież pędzili w dół. W złym kierunku. Boże! Co ten Kuba Pedał robi?

Zaułek kończył się przejściem na Dale Street. Black spojrzął w lewo. Dostrzegł wysokie, zamknięte na noc bramy fabryczne. Ani śladu zbiega. Spojrzął w prawo. Słyszał, jak Katherine woła go, błaga, aby się zatrzymał, ale nie zwrócił na to uwagi. Przyśpieszył kroku. Wszędzie pusto. Black znalazł się z powrotem na Cope Street przed frontowym wejściem do pubu. Nie zwalniał tempa, chociaż oddech rwał mu się już, a płuca paliły.

Dotarł do wylotu uliczki i zatrzymał się na ułamek sekundy. Nasłuchiwał. Odbiegli już dość daleko od dworca autobusowego. Inspektor znowu przypomniawszy sobie słowa barmanki „Przez Jordan’s Well i Whitefriars Gate”. A więc stacja kolejowa. Black poruszał się coraz wolniej, ale nadal biegł. Czy Kuba Pedał nie zaczął się na niego? Może ukrył się gdzieś w cieniu bram? Uderzy znów, tak, jak zaatakował Trencha? Oczami wyobraźni Black ujrzał zakrwawiony, szkarłatny gors koszuli i jęknął bezradnie, przyspieszając kroku.

Uliczka zakręcała i wiła się w dół wzgórza. Gdzieś daleko z przodu rozległ się nagły brzęk przewróconego kosza na śmieci, a potem jękliwy wrzask kota. Kuba Pedał nadal miał przewagę. Minutę później Black minął porzucane od-

padki i wypadł na New Street. Przystanął na chwilę. Ponad koronami drzew wznosiła się wieża katedry świętego Michała. Cztery podpory podtrzymywały masywną iglicę. Ołowiany dach świątyni pokryty wieczornym szronem, skrzył się jak srebro w jasnym świetle księżyca.

Black nie mógł złapać tchu. Schylił się, oparł dłonie na kolanach i wielkimi haustami łykał zimne powietrze. Nagle poczuł czyjąś rękę na ramieniu. Wyprostował się i wykonał błyskawiczny obrót, z pięścią uniesioną do ciosu.

– Morris! Nie! To ja!

Katherine.

– O Boże! Mówiłem ci, żebyś trzymała się z daleka! – warknął. Jej twarz była blada i wystraszona w świetle księżyca.

– Morris! Do ciężkiej cholery! Co tu się dzieje?

– Nie mam czasu. On ucieka! – Stracił jej dłoń i potykając się ruszył w dół ulicy. Nigdzie ani śladu Kuby Pedala. Cisza. Następna uliczka. O mój Boże, pomyślał Black. Tak blisko, tak cholernie blisko! Przyspieszył kroku, nie zważając na rozrywający ból w płucach, i wydostał się na niewielką otwartą przestrzeń. Melancholijny zarys grobowca jednego z dawnych biskupów majaczył po prawej stronie. Ponad nim wielkie koło bezlitosnego księżyca jaśniało jak zdradziecki reflektor na ciemnym nocnym niebie. Inspektor biegł dalej.

W połowie zaułka znowu przystanął. Oddychał z trudem. Po lewej stronie miał wysoką, pozbawioną okien ceglana ścianę kina, a po prawej parkan otaczający fabrykę motocykli. Było ciemno. Uliczka pomiędzy budynkami okazała się na tyle wąska, że nawet księżyc w pełni nie mógł jej dobrze oświetlić, a w dodatku rozgałęziała się jak rozpleciony koniec liny na kilka pasaży. Black, nie znając otoczenia, całkowicie zagubił się w labiryncie starej, gęsto zabudowanej dzielnicy, stłoczonej na przestrzeni pomiędzy Little Park Street i Earl Street a Much Park Street. Kuba Pedał znikł i Morris Black z zamierającym sercem pojął, że nie ma najmniejszej szansy na odnalezienie go.

– Morris? – To była Katherine, która w końcu dopadła inspektora. Odwrócił się do niej z gniewem. Stała w odległości kilku kroków, włosy potargane, oczy szeroko otwarte. Gdzieś podczas tego szalonego pościgu zdołała rozedrzeć rękaw krótkiego, niebieskiego płaszczyka i zgubić jeden but.

– Ten skurwiel zwiął – powiedział Black. – Ten cholerny skurwiel zwiął! – Poczul nagle jak gniew podchodzi mu do gardła i przez krótką, szaloną chwilę chciał uderzyć młodą kobietę prosto w twarz. To wszystko przez nią! Pochylił się. W uszach mu dzwoniło, twarz zbielała na popiół, a ból spowodowany zbyt długim biegiem rozrywał bok. Katherine postąpiła krok do przodu znowu przystanąła, spojrzała w górę i cierpienie na jej twarzy zmieniło się nagle w strach.

– Morris!

– Zamknij się! – jęknął. – Po prostu zamknij się choć na chwilę! – Gdyby ta przeklęta baba nie pojawiła się w najmniej odpowiednim momencie... Jednak nadal miał cień szansy. Powinien dostać się na stację i tam...

Katherine złapała go za ramię.

– Morris! Słuchaj! – Syreny. Chorobliwy, falujący jęk alarmu.

– Zaczyna się! – szepnął, spoglądając w górę.

Wysokie zawrodozenie syren zaczęło cichnąć, a potem nastąpiła chwila ciszy, w którą wdarł się niski, warkliwy pomruk potężniejący z sekundy na sekundę. Inny niż przy nalotach w Londynie, bo przypominał zwartą ścianę dźwięku.

Black rozejrzył się dookoła rozpaczliwie. Za nimi, na wzgórzu, wznosiła się katedra i centrum miasta. Przed nimi zaś rozciągała się płatanina ścieżek, być może prowadzących do bezpiecznego miejsca, ale równie dobrze mogących stanowić śmiertelną pułapkę. Bomba zrzucona na kino, koło którego przystanęli, mogła zwalić im cały mur na głowy; pocisk zapalający na terenie fabryki motocykli mógł ich spopielić w mgnieniu oka.

Cudem udało im się przeżyć bombardowanie w Burlington Arcade. Jednak dzisiejszego wieczoru cuda nie wchodziły w rachubę. Nie zważając na potworny, rozrywający ból w boku, Black złapał Katherine za rękę.

– Biegiem! – wrzasnął.

Przebyli zaledwie pięćdziesiąt metrów, kiedy do grzmotu silników samolotowych dołączył inny dźwięk. Słaby, świszczący odgłos, jakby z gniazda rozszluszczonych węży albo jak pierwsze uderzenie deszczu w płaską, śmiertelnie spokojną powierzchnię morza, tuż przed zerwaniem się burzy. Wysoko ponad głowami rozblęsyło jasne światło opadającej na spadochronie flary. Gdzieś daleko zaczęła ujadać jakaś bateria i nagle straszliwy odgłos deszczu był już wszędzie dookoła.

Black usłyszał ostry, potężny grzmot. Pierwsze bomby dosięgły celu. W odległości pięciuset metrów ujrzał błysk światła, a potem deszcz iskier. Rzucił się na ziemię, pociągając za sobą Katherine.

Ułamek sekundy później bomba eksplodowała z hukiem, rozrzucając kawałki rozpalonego do białości metalu na wszystkie strony. W jednej chwili ciemna dotychczas uliczka stanęła w ogniu.

Black i Katherine poderwali się z ziemi i ruszyli biegiem, omijając mały krater powstały w miejscu wybuchu. Prześlizgnęli się wśród ognia, który zaczynał już lizać ścianę pobliskiego sklepu i pomknęli w stronę bezpiecznej ciemności. Udało im się dokonać niemożliwego. Uciekli.

Nie było już słyhać pojedynczych dźwięków, tylko potężniejące piekło, w które zlewał się: równomierny grzmot samolotów, szelest i świst pocisków zapalających, poszczekiwanie dział przeciwlotniczych, a potem, jak muzyka szalonego dobosza, dołączył do orkiestry łoskot większych bomb, spadających gdzieś niedaleko. Black czuł, że potężna fala uderzeniowa usiłuje zwalić go z nóg.

Za plecami uciekających lunął deszcz pocisków. Wieczorny chłód ustąpił przed rozgrzanym powietrzem bijącym od setek pożarów. Black wyobrażał sobie nagle, że ogień jest żywą istotą, która biegnie w ślad za nimi. Jeżeli natychmiast nie znajdą jakiegos schronienia, spłoną jak pochodnie.

Olbrzymia, potwornie głośna eksplozja. To wybuchła półtonowa *Flammenbombe*, wysyłając przed siebie wirującą, żalonną kulę ognia, ale Black i Katherine zdążyli już zniknąć za rogiem.

Inspektor czuł, że nie może zaczerpnąć powietrza. Fala gorąca osmaliła mu skórę na karku. Włosy biegnącej obok Katherine zaczęły skręcać się i skwier-



czuć, a materiał na plecach jej krótkiego płaszczka już się tlił. Następny taki wybuch i znajdują się w pułapce.

Zaułek nagle się skończył i znaleźli się na Much Park Street. Zatrzymał się jak wryci na widok przerażającej sceny, która rozgrywała się przed ich oczami. Cała ulica stała w płomieniach.

Jedna z wielkich, pomalowanych na żółto bomb zapalających rozrzuciła parokilogramowe pociski mniej niż dziesięć metrów nad ziemią. Setki odłamków trafiło w ściany i okna okolicznych fabryk i biurów. Jezdnia zmieniła się w dymiącą masę płynnego szutru, który spływał rynsztokami jak płomienista lawa.

Płonął dach na fabryce motocykli. Kilka ćwierćtonowych bomb burzących zmieniło wąską fasadę starego browaru w stos gorejących gruzów.

Pośrodku ulicy palił się niczym pochodnia jakiś samochód, a tuż obok niemal wtopiły się w chodnik pozostałości motocykla. Szczerniały trup leżał skulony przy kierownicy.

– Dobry Boże! – wyszeptała Katherine. I wtedy właśnie nastąpił kolejny wybuch. Płomienie wzniecone przez bombę zapalającą dotarły do magazynów Providence Milling Company.

Nocne niebo skryło się za chmurami oleistego dymu i iskier. Trwała rzeź. Niewidoczne bombowce nadlatywały jeden za drugim nie kończąc się falą, zrzucając bomby świszczącymi strumieniami, uderzając poprzez dym, wprost w niezmierzone morze płomieni.

– Morris! Jesteśmy w pułapce! – Pośród nieznośnego skwaru Katherine z trudem łapała oddech. Ściągnęła dymiące resztki płaszcza i odrzuciła je na bok. Gardło bolało ją tak, że nie mogła zaczerpnąć większego haustu powietrza.

– Nie! Tutaj! – Black wskazał na drugą stronę ulicy i, nie tracąc czasu na dalsze słowa, pociągnął dziewczynę za sobą. Zgubiła już oba buty, więc krzyknęła z bólu, kiedy bosa stopy dotknęły rozmięklej, rozgrzanej jezdni. Black nie zwrócił na to uwagi.

Tuż przed nimi znajdowało się wejście do sutereny, zabezpieczone z trzech stron podporami z litego żelaza. Przebiegli przez krótkie schody. Klatka schodowa nad nimi i ściana po lewej stronie stanęły w płomieniach. Black ciosem ramienia wyważył drzwi do piwnicy. Znaleźli się w mrocznej czeluści sutereny.

Nad ich głowami rozległ się straszliwy trzask i cała fasada budynku zawałiła się z hukiem. Pięćdziesiąt ton gruzu zamknęło uciekającym drogę odwrotu.

Black zanurzył się w ciemność, nadal trzymając Katherine za rękę. Łoskot bomb i skwierczenie ognia ucichły nieco. Jednak inspektor ze zgrozą myślał o trzeszczących nad głowami legarach. Wolną ręką, pomacał gruby, metalowy słup podpierający sklepienie i odetchnął z ulgą. Z jakiegoś powodu właściciele budynku umocnili piwnice stalowymi belkami. Przynajmniej na chwilę Black i Katherine byli bezpieczni.

Puścił rękę dziewczyny i zaczął grzebać po kieszeniach płaszcza. W końcu roześmiał się.

– Co cię tak cholernie śmieszy? – spytała.

– Całe miasto stoi w płomieniach, a ja szukam cholernych zapalek.



– Masz. – Black usłyszał cichy trzask. Cienki, słaby płomyczek ronsona rozproszył nieco mrok. Katherine podniosła rękę i zatoczyła zapalniczką koło. – Gdzie jesteście?

– W suterenie zakładu pogrzebowego, jak sądzę.

Pod ścianami piętrzyły się porządnie ustawione stopy trumien, oddzielone od siebie drewnianymi płytami. Jeżeli pożar z góry przedostanie się przez podłogę, cały skład spłonie jak zapalka. Krematorium. Katherine zadrżała.

– Morris, nie chcę umierać w takim miejscu – szepnęła.

Położył dłoń na jej ramieniu i ścisnął delikatnie. Gniew uleciał bez śladu w obliczu grożącego niebezpieczeństwa.

– Nie bój się, nie pozwolę na to. – Wziął od dziewczyny zapalniczkę i ostrożnie ruszył przed siebie, spoglądając co chwila w górę. Katherine podażyła za nim.

Za rzędami trumien znaleźli wygięte, wykrzywione, drzwi. Przecisnęli się przez otwór i wówczas zorientowali się, że stoją w pomieszczeniu, gdzie przygotowywano ciała do pochówku. Pokój wyglądał jak jedna z kostnic Spilsbury’ego.

Sześć metalowych stołów, kilka oszklonych szafek, wózki z tackami na narzędzia. Zwłoki starszej kobiety leżały na jednym z blatów. Była naga. Z pachwiny i wydętego brzucha sterczały grube przewody prowadzące do dużego kanistra na podłodze. Kolejny przewód z klatki piersiowej dołączony był do urządzenia przypominającego pompę.

Ktoś pracował już nad twarzą zmarłej. Otwarte usta wypełnione były watą, a z dolnej wargi wystawała wielka, zakrzywiona igła, zapewne pozostawiona tam na pierwszy dźwięk syren. Kobieta miała uróżowane policzki i lekko zakręcone włosy. Na stole stał szereg słoiczków z kosmetykami. Szeroko otwarte, ślepe oczy patrzyły w górę, w stronę niewidocznego piekła szalejącego w odległości zaledwie kilku metrów.

– Boże, Morris, zabierz mnie stąd – jęknęła Katherine. Jej głos drżał na krańcu hysterii i Black poczuł, że też zaczyna się bać. Zapalniczka stała się nieznośnie gorąca. Inspektor odsunął palec. Światelko znikło, pozostawiając ich w całkowitej ciemności. Słyszeli huk pożaru. Z dala, stłumiony przez gruzy i odległość, dochodził nieprzerwany łoskot spadających bomb. Black znowu zapalił ronsona i pomógł Katherine ominąć zwłoki kobiety.

– Tam – powiedział, przesuwając zapalniczkę na prawo. Kolejne drzwi, wielkie, żelazne. Przecisnęli się pomiędzy stołami w stronę wyjścia. Black ostrożnie wyciągnął dłoń i dotknął palcem pomalowanej na zielono blachy. Metal był stonkowo chłodny; oznaczało to, że za drzwiami nie szaleje pożar. Inspektor nacisnął klamkę.

Znaleźli się na podeście z surowych desek, skąd schody wiodły do piwnicy pod suteroną. Pośrodku cementowej podłogi widniała wielka kratka ściekowa. Black spojrział w górę. Legary i belki sufitu były z lekka tylko obrobionymi pniami drzew. Wzdłuż kamiennych ścian umieszczono rzędy półek, wypełnionych wielkimi, oplecionymi wikliną butlami, różnymi flaszkami i puszkami. Inspektor pociągnął nosem. Ani śladu dymu, tylko smród chemikaliów i wywołujący mdło-

ści słodkawy odór ludzkich ekskrementów. Widocznie gdzieś w górze pękła rura kanalizacyjna.

Black starannie zamknął drzwi. W słabym świetle zapalniczki widział, że stanowią one jedyne wyjście z tego pomieszczenia.

– Będziemy tu bezpieczni – próbował pocieszyć Katherine, choć sam w to nie wierzył. – Chodź.

Zeszli do piwnicy. Kiedy stanęli już na cementowej podłodze, nastąpiły dwie potężne eksplozje, jedna po drugiej w odstępie dosłownie sekundy.

Ważąca tonę mina wybuchła na podwórku fabryki Charlesworth Motor Body Works, pomiędzy Much Park Street a Little Park Street, tuż obok Salonu Pogrzebowego MacMillana.

Niemal jednocześnie kilkusetkilogramowa bomba przebiła się przez płonący dach kamienicy i wybuchła we wnętrzu zakładu. Dziwnym zbiegiem okoliczności spowodowana tą detonacją fala uderzeniowa stłumiła ogień, który zaczynał już przepalać sklepienie nad suterena.

Runęły ceglane mury budynku. Morris Black i Katherine Copeland zostali pogrzebani pod dwudziestoma tonami gruzu.

Tymczasem fala uderzeniowa spowodowana wybuchem na podwórzu Charlesworth całkowicie zniszczyła sieć wodną i kanalizacyjną pomiędzy Earl Street a Whitefriars Lane, a także rozerwała rury biegnące piwnicami zakładu pogrzebowego MacMillana. Ciemna piwnica, w której leżeli nieprzytomni Black i Katherine Copeland, zaczęła napełniać się wodą i ściekami wypływającymi ze studzienki pośrodku cementowej podłogi.

# Rozdział dwudziesty

SOBOTA, 23 LISTOPADA 1940 ROKU

10.30 CZASU GREENWICH

**M**orris Black leżał w kiepsko oświetlonym pokoju. Prawa noga w gipsie spoczywała na wyciągu. Lewe oko nadal zakrywał opatrunek z gazy, a obie ręce spowijały bandaż. Kiedy zaczął powoli wracać do przytomności, był pewien, że oślepl. Jednak lekarz zdjął mu bandaż z prawego oka i obiecał, że drugie zostanie odsłonięte za dzień czy dwa. Teraz przynajmniej inspektor widział, choć tylko częściowo.

Obracając lekko głowę mógł dostrzec wąskie okno. Kotary zostały odsunięte, wpuszczając do wnętrza słabe listopadowe słońce. Było południe albo trochę później. Black nadal czuł w nozdrzach dym pożarów, ale przebijał się przezeń znajomy zapach leków i środków dezynfekcyjnych.

Inspektor przesunął się odrobinę na podsuniętej mu pod plecy poduszce i, nie zważając na przeszywający ból w karku, spojrzął na Guya Liddella. Kapitan z filiżanką herbaty w dłoni siedział po prawej stronie łóżka w wielkim, wygodnym fotelu.

– Nadal nie powiedział mi pan, gdzie jestem – zachrypiał Black. Gardło paliło go, usta wypełniała lepka ślina, a język tylko przeszkadzał w przełykaniu. Niejeden raz od czasu odzyskania przytomności Black zadawał sobie pytanie, czy nie byłoby lepiej, gdyby umarł.

– W szpitalu imienia królowej Wiktorii w East Grinstead. – Liddell odstawił filiżankę na biały, emaliowany stolik u węzłowia łóżka. – Dość nowoczesny, dobrze zaopatrzony. Korzysta z niego RAF. My też. Mają tu doskonałe wyposażenie do leczenia poparzeń. A poza wszystkim gwarantują dyskrecję.

– Rozmawiałem dziś z lekarzem. Powiedział tylko, że nie pozostanie mi żadne trwałe kalectwo.

– Niewysoki facet w rogowych okularach?

– Tak.

– McIndoe. Nazywają go Maestro.

– Czy mówił prawdę?  
– Tak sędzę. Wyjątkowo dopisało panu szczęście, Black. Mam nadzieję, że wie pan o tym.

– A co z Katherine? Nikt nie chciał mi niczego o niej powiedzieć.  
– Wyszła z tego w o wiele lepszym stanie niż pan. Powierzchnowe oparzenia, spalone włosy, kilka zranień i sińców.

– Czy jest tutaj?  
– Była. Została wypisana i wróciła do Londynu, jak mi się zdaje.  
– Leżę tutaj już dziewięć dni?  
– Tak. Dziś sobota, dwudziestego trzeciego. Był pan nieprzytomny przez trzy dni, a potem zaczęła wracać panu świadomość. Lekarze podawali morfinę, dopóki pański stan nie uległ poprawie. To, zdaje się, standardowa metoda. – Liddell przerwał na chwilę. – Jak wiele pamięta pan z przebiegu wydarzeń?

– Od momentu eksplozji – nic.  
– Panna Copeland uratowała panu życie. Sieć wodociągowa uległa zniszczeniu i woda zaczęła wypełniać pomieszczenie, w którym się znajdowaliście. Tej kobiecie udało się jakoś przeciągnąć pana na podest u szczytu schodów. Odkopali was dopiero następnego dnia. Całkiem niezły wyczyn. Musi być silna jak wół.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Prawie go miałem – szepnął Black w końcu.  
Liddell westchnął.  
– Tak też rozumiałem z tego, co mówiła panna Copeland. – Uśmiechnął się słabo. – A propos, wzięła na siebie całkowitą odpowiedzialność. Twierdziła, że gdyby się nie wtrąciła, złapałby go pan.

– Nie. To moja wina – oświadczył Black. – Powinienem był...  
– Powinien pan być wypełniać polecenia – powiedział sucho Liddell. – A polecono panu nie jechać do Coventry pod żadnym pozorem.

– Kuba Pedał wiedział o nalocie. – Black podniósł wzrok na oficera wywiadu. – Pan też wiedział.

– Oczywiście.  
– Miasto nie zostało ostrzeżone.  
– Nie.  
– Kto jeszcze znał prawdę?  
– Wielu ludzi. Ci, którzy musieli ją znać.  
– Pana parszywy Magiczny Krąg. Enigma.  
– Tak.

– Powinien był pan przekazać ostrzeżenie władzom Coventry. Zrobić coś.  
– Zdecydowano, że nie można narażać sekretu Enigmy.

Black milczał przez dłuższy czas. Poświęcić bezbronnym ludzi, aby wygrać wojnę.

– Jak to się skończyło?  
– Tragicznie. Całe centrum starego miasta zostało zrównane z ziemią. Katedra spłonęła. Mielicie z panną Copeland szczęście, że udało wam się uciec.

– Ile osób zginęło?  
– Pięćset.  
– Mój Boże. – Głowa Blacka opadła na poduszkę. Pomyślał o Garlinskim, o Trenchu. – Niezłe się zakotłuje, jeżeli wydostanie się choć słowo na ten temat.  
– Nie wydostanie się. Tajemnica zostanie dotrzymana. Musimy zapewnić bezpieczeństwo Enigmie.  
– „My”? Czy to dotyczy także Churchilla?  
– Zdecydowano, aby nie informować go zawczasu. Fakt dokonany. Premier ma dość kłopotów na głowie i bez tego. To nie czas na dylematy moralne. Trzeba było podjąć decyzję. I podjęto ją.  
– Jesteście szaleni – powiedział cicho Black. Nie potrafił spojrzeć na Liddella. Odwrócił głowę i patrzył w sufit. – Mam już pana dość, Liddell. Pana i całej tej choleralnej sprawy.  
– Nie może pan do nikogo mieć pretensji, inspektorze. Każdy nosi swój własny krzyż. Wplątał pan niewinnego człowieka w swoje plany. On nie żyje. Przez pana.  
– Trench. – Wielka plama krwi na białej koszuli. Kolejne ogniwo w łańcuchu win.  
– Tak. Brian Trench. Znaleźliśmy to nazwisko w pana notesie. Resztę sobie dośpiewaliśmy po rozmowie z Katherine Copeland. – Liddell wyjął fajkę i zaczął się nią bawić. – Na szczęście dowody pańskiego potknięcia uległy zniszczeniu. Przynajmniej o to nie musimy się martwić. Pan też nie. Pomijając, oczywiście, wyrzuty sumienia.  
– Co pan przez to rozumie?  
– Ten pub, „Stump”, chyba tak się nazywał.  
– „Magpie i Stump”.  
– Już nie istnieje. Tak jak i pan Trench oraz każdy, kto znajdował się w pobliżu. Fabryka motocykli została trafiona kilkoma wielkimi bombami zapalającymi. O ile wiem, rejon ten jest nadal zbyt nagrzany, aby go przeszukać.  
– Trench miał żonę. Będzie chciała wiedzieć, jak zginął jej mąż.  
– Też nie żyje – odpowiedział krótko Liddell. – Sprawdziliśmy. Mieszkali na Cherry Street. Kiedy ogłoszono alarm, zeszła do schronu w pobliżu starej gazowni na Abbot’s Lane. Gazownia wybuchła jak fajerwerk. Cała ulica uległa zniszczeniu. – Kapitan schował fajkę z powrotem do kieszeni. – Szczerze mówiąc, oszczędziło to nam licznych kłopotów.  
– A Kuba Pedal? – spytał Black po chwili.  
– Na razie uważamy, że zginął podczas nalotu. Bezimienna ofiara. – Liddell przerwał na chwilę. – Było ich tyle – dodał sucho.  
– Nie wierzy pan w to chyba. Kiedy rozpoczął się nalot, on znajdował się już daleko od centrum wydarzeń. Przecież wszystko zaplanował. Jestem pewien, że przeżył.  
– To, czego pan jest pewien, nie ma najmniejszego znaczenia, inspektorze. We wszelkich oficjalnych aktach uznano, że człowiek, którego pan ścigał, zginął podczas bombardowania Coventry.

- A jeżeli znowu zabije?
- Jak dotąd tego nie zrobił.
- Zrobi.
- Może nie.

Morris Black patrzył z niedowierzaniem na oficera wywiadu.

- Mój Boże, wy naprawdę chcecie wmieść wszystkie śmieci pod dywan.
- Obawiam się, że tak.
- Czy ja też zostanę wmieciony pod dywan?

– Tak. Pański przydział do M15 został anulowany. Jednak nadal obowiązuje pana tajemnica państwowa.

– A Swift?

– Na jakiś czas odkomenderowano go do innych zadań. Wyjechał w słoneczne strony. Do Palestyny, o ile sobie przypominam.

Black odetchnął głęboko, usiłując zlekceważyć dręczący ból dłoni i karku. To było szaleństwo, w dodatku kompletnie bez sensu. Liddell wiedział, że Kuba Pedał nadal stanowi zagrożenie, ale przerywał dochodzenie. Coś go najwyraźniej wystraszyło.

– A co z tym drugim człowiekiem? Tym, którego nazwał pan Doktorem?

– Przekracza pan swoje kompetencje, Black – stwierdził sztywno Liddell. Wstał, poklepał się po kieszeniach i spojrzął z góry na Blacka.

– Więc to już koniec?

Oficer M15 skinął głową.

– O ile chodzi o pana, to tak. Pozostanie pan tu przez następnych kilka tygodni, dopóki nie wygoją się rany. Potem znowu porozmawiamy.

– Wrócę do Yardu jako smutniejszy, lecz mądrzejszy człowiek – powiedział Black z odrobiną goryczy w głosie.

Liddell podniósł brew.

– Nie sadzę, inspektorze.

– Co pan przez to rozumie?

– Na skutek odniesionych obrażeń nie będzie pan już mógł pracować jako oficer policji. Otrzyma pan możliwość przejścia na emeryturę z zachowaniem pełnych uprawnień finansowych.

Black osłupiał. Nie dowierzał własnym uszom. Liddell rozbijał jego świat, cegła po cegle.

– A jeżeli odmówię?

– Zostanie pan poproszony o poddanie się badaniu lekarskiemu. Nie przejdzie go pan pomyślnie. A potem zostanie pan poproszony o złożenie dymisji.

Black znał już odpowiedź na swoje kolejne pytanie, ale zadał je mimo wszystko.

– A jeżeli nie podam się do dymisji?

W głosie Liddella zabrzmiała ledwie uchwytna nuta smutku:

– Zwolnią pana, Morris. Istnieje także możliwość, że oskarżą pana o zdradę.

Powierzył pan tajne informacje agentowi obcego wywiadu.

– Nie myśli pan chyba o Katherine.

- Właśnie o niej.
- Ona jest reporterką, Liddell, nie szpiegiem – skłamał Black.

Liddell uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Mogę być szalony, Morris, ale nie naiwny. Panna Copeland zeznała, dla kogo pracuje. Wspomniała też, że rozmawiała z panem na ten temat w wieczór przed waszym wypadem do Coventry.

– Była pijana. Sądziłem, że fantazjuje.

– Wolne żarty.

– Chcę się z nią spotkać.

– Obawiam się, że to niemożliwe. Nie wolno panu przyjmować żadnych odwiedzin.

– A więc zadzwonię.

– Nie.

– Czy jestem więźniem?

Liddell nie odpowiedział, tylko położył dłoń na ramieniu Blacka.

Zobaczę się z panem za kilka tygodni, inspektorze. Wtedy porozmawiamy. – Ścisnął go lekko, uśmiechnął się i wyszedł z pokoju, zamykając za sobą delikatnie drzwi. Morris Black usłyszał dźwięk przekręcanego w zamku klucza.

Katherine Copeland wygramoliła się z taksówki, zapłaciła kierowcy i sprawdziła adres na małej karteczce przesłanej przez Larry’ego Bingham: Tedworth Square na skraju Pimlico, niezbyt daleko od Tamizy. Postawiła kołnierz płaszcza i podeszła do frontowych drzwi. Nadal lekko utykała. Oparzenia, jakich doznała w Coventry, były powierzchowne, ale poważnie nadwyreżyła ścięgno Achillesa w lewej stopie. Niezbyt wysoka cena, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności.

Nacisnęła dzwonek i czekała u szczytu schodów, zastanawiając się, dlaczego Bingham poprosił ją o spotkanie w tym miejscu i dlaczego w ogóle chce się z nią zobaczyć. Po chwili drzwi otworzyły się i stanęła w nich młoda, ciemnowłosa kobieta. Uśmiechnęła się i wprowadziła Katherine do hollu, z którego długie schody o ozdobnej balustradzie wiodły na piętro.

– Czekają na panią w sali projekcyjnej – powiedziała nieznajoma. Zabrała od Katherine płaszcz i poprowadziła gościa na górę. Przeszły przez krótki, mroczny korytarz. Kobieta otworzyła drzwi i uprzejmie zaprosiła Katherine do środka.

Pokój był wielki, wysoki. Okna wychodzące na plac zasłonięto ciężkimi kotarami. Na statywie wisiał ekran. Poza tym w pomieszczeniu znajdował się tylko mały stolik z projektorem filmowym i sześć drewnianych krzeseł. Pokój oświetlała goła żarówka na suficie.

– Witam, Kat. – Lawrence Bingham poderwał się z krzesła i podszedł do młodej kobiety. – Cieszę się, że cię widzę. Dobrze się czujesz? – spytał głosem pełnym współczucia.

– Dość dobrze – odpowiedziała, a w myśli dodała „kłamliwy skurwiel”.

Binghamowi towarzyszył jakiś mężczyzna, który wstał teraz i czekał, aż zostanie przedstawiony. Był niewysoki, o ciemnych, przeredzonych włosach i haczykowatym nosie, zupełnie nie pasującym do jego twarzy. Miał na sobie mundur oficera armii brytyjskiej.

Bingham ujął Katherine za łokieć i poprowadził przez pokój. Nieznajomy wyciągnął do niej dłoń i przytrzymał jej rękę przez krótką chwilę. Dziewczyna poczuła się tak, jakby dotknęła zdechłej ryby. Wzdrygnęła się lekko.

– Maxwell Knight. Jego głos był miękki, typowy dla absolwenta dobrej szkoły. – Bardzo się cieszę, że udało się pani przyjść. – Wskazał jedno z krzeseł. Katherine usiadła, rzucając Binghamowi zdziwione spojrzenie.

– Major Knight pracuje dla brytyjskich służb bezpieczeństwa – wyjaśnił Amerykanin.

– MI5 – dodała Katherine.

– Knight uśmiechnął się.

– Jeżeli pani tak uważa. – W jego twarzy błysnęła radość czekającego na łup sępa.

Co, na litość boską, robił Larry Bingham w towarzystwie człowiekiewa tego rodzaju? A tak w ogóle, co ona sama tu robiła?

– To właśnie major Knight odkrył aferę Tylera Kenta – poinformował Bingham. Katherine skinęła głową. Zaczynała rozumieć. Larry oficjalnie reprezentował Stany, kiedy aresztowano pracownika ambasady. Ale to jeszcze nie tłumaczyło dzisiejszego wezwania.

– Ponieważ jest pani zaangażowana w naszą obecną sytuację, pomyślałem, że powinniśmy się spotkać – powiedział Knight gładko. – Pan Bingham zgodził się ze mną.

– A o jakiej sytuacji mowa? – spytała ostrożnie Katherine. To była gra Larry’ego i ten skurwielił ją w to wciągał. Z bliżej nie znanego jej powodu, Katherine stała się znowu użyteczna.

– Chodzi o inspektora Morrisa Blacka i waszą przygodę w Coventry – powiedział major.

– Nie wydaje mi się, abym miała prawo do rozmowy na ten temat. – Młoda kobieta spojrzała gniewnie na Bingham, ale on tylko się uśmiechnął i wzruszył ramionami. – Z tego, co dano mi do zrozumienia, wynika, że mogę zostać oskarżona o szpiegostwo. Albo o zdradę.

– Wątpię – stwierdził sucho Knight.

– On wie o wszystkim, Kat – dodał Bingham.

– Wydaje mi się, że ktoś powinien wreszcie wyjaśnić, o co, u diabła, tu chodzi.

– Oczywiście. – Knight pomiędzy krzesłami przecisnął się do ekranu i odwrócił się, trzymając ręce splecione za plecami.

– Zacznę od tego, że wiem o roli pana Bingham w waszej ambasadzie. – Uśmiechnął się blado. – Istotne jest także to, że zdaję sobie sprawę ze stosunków łączących panią z panem Binghamem.

– Nic mnie z Larrym nie łączy – warknęła Katherine.



– Uważaj się za ponownie zwerbowaną, Kat. Przynajmniej na jakiś czas. Znowu odezwał się Knight:

– Mój wydział dysponuje również danymi, które mówią, że pani... przyjaźni się z Morrisem Blackiem.

Katherine odwróciła się do Bingham.

– Larry, co...

– Pozwól mu mówić.

– Pani zadaniem było stwierdzenie, dlaczego Black tak interesuje się pewną serią morderstw i jaki związek zachodzi pomiędzy tymi zbrodniami a moim wydziałem. Przez ostatnie dwa i pół miesiąca ani pani, ani inspektor Black nie zdołaliście dowiedzieć się wiele o mordercy zwanym Kubą Pedałem. – Knight przerwał na chwilę. – Aż do wydarzeń sprzed dziesięciu dni. Wtedy właśnie z pani pomocą inspektor Black ustalił powiązanie pomiędzy Kubą Pedałem a Brytyjskim Towarzystwem Szachów Korespondencyjnych. Najwyraźniej zgodnie z tym kluczem morderca wybierał swoje ofiary. Co ważniejsze, dowiedziała się pani, że Kuba Pedał posiada informacje o terminach i zasięgu nalotów Luftwaffe. To rzecz jasna stanowi również przyczynę naszego zainteresowania tym szaleńcem. Dochodzi do poważnego przecieku informacji o istotnym znaczeniu strategicznym. Zasadniczym celem działalności Blacka, poza odnalezieniem zbrodniarza, było stwierdzenie, w jaki sposób morderca otrzymuje te wiadomości.

– To wszystko historia – przerwała mu Katherine. – Niech pan przejdzie do rzeczy, majorze Knight. – Nadal czuła obrzydliwy, wiotki uścisk jego ręki. W płaskim, pozbawionym emocji głosie czaiło się jakieś zagrożenie. Katherine wiedziała intuicyjnie, że to niebezpieczny człowiek.

– Historia ma swoje znaczenie, miss Copeland. Wydaje mi się, że to jeden z waszych filozofów stwierdził, że ci, którzy nie pamiętają przeszłości, są skazani na powtarzanie jej błędów.

– George Santayana.

Niski mężczyzna uśmiechnął się i kiwnął głową.

– Właśnie tak, miss Copeland. Ale Santayana powiedział też, że „historia jest zawsze niewłaściwie zapisywana i dlatego właśnie musimy ją ciągle zmieniać”.

– Ustaliliśmy już stan pańskiej wiedzy na temat amerykańskiej filozofii – stwierdziła zimno Katherine. – Wiemy też jak dobry z pana agent. Ale nadal nie przeszedł pan do meritum sprawy, a ja ciągle nie wiem, po co zostałam tu wezwana.

– Proszę, miss Copeland. – Knight wzniosł ręce w górę. – Jesteśmy po tej samej stronie.

– Doprawdy?

– Pan Bingham odegrał kluczową rolę w sprawie Tylera Kenta. Przy Kennedym jako ambasadorze przyłapanie na szpiegostwie szyfranta ambasady mogło doprowadzić do bardzo niebezpiecznej sytuacji. Pan Bingham bardzo nam ją ułatwił. Nadszedł czas, aby się odwdziżyć. Coś za coś.

– Nie bez korzyści dla pana, jak sądzę. Wet za wet.  
– Oczywiście, ma pani rację – uśmiechnął się Knight. – Przecież ręka rękę myje, skoro już używamy tego rodzaju powiedzonek. – Przerwał, uśmiech znikł. Po chwili znowu się odezwał. – Panno Copeland, jakie wnioski wyciągnęli państwo, pani i pan Bingham, ze śledztwa inspektora Blacka?

Dziewczyna znowu odwróciła się do Bingham. Pierwszy sekretarz w milczeniu kiwnął głową. Katherine nabrała powietrza i westchnęła głęboko.

– Podejrzewamy, że macie w Niemczech wysoko postawionego agenta, który przekazuje wam dokładne i regularne wiadomości o nalotach. Może też i inne informacje. Nie wiadomo, jakim cudem Kuba Pedal uzyskał dostęp do tych komunikatów. Zapewne odbiera je już tutaj. Fakt, że pozwoliliście, aby hitlerowskie bomby obróciły Coventry w przynęę dowodzi tego, jak istotny jest dla was ten agent. I jak, pasuje?

Knight kiwnął głową.

– Dość blisko. Jednak z pewnymi nieścisłościami. Rzecz w tym, że nie mamy żadnego „wysoko postawionego agenta”, jak to pani powiedziała. Naszym ludziom udało się złamać podstawowe kody używane przez główne dowództwo niemieckie. Mamy kopię ich urządzenia do szyfrowania o nazwie Enigma i opracowaliśmy bardzo efektywną metodę dekodowania ich sygnałów.

– Wielki Boże! – mruknął Bingham. Zaskoczony spojrzął na Knighta.

– Właśnie – powiedział oficer wywiadu. – Gdybyśmy nie rozszyfrowali Enigmy, niemieckie lotnictwo niemal na pewno zniszczyłoby RAF w ciągu kilku tygodni. Zdołaliśmy oszczędzić nasze szczupłe siły i przenieść je tam, gdzie nic im nie zagrażało. Mało brakowało, a inwazja na Anglię zakończyłaby się już dawno temu. Wcale nie było to tak problematyczne, jak sądził wasz ambasador albo prezydent Roosevelt.

– Dlaczego nam pan o tym mówi? – spytał Bingham. – Kto pana do tego upoważnił?

– Zwracamy się do was, ponieważ stanęliśmy teraz w obliczu o wiele poważniejszego kryzysu.

– To znaczy? – Bingham zignorował melodramatyczną pauzę, jaką uczynił Knight.

– Zdrada. Możliwość wojny domowej.

– Głos mężczyzny brzmiał beznamiętnie; równie dobrze mógłby przekazywać przepis na klopsy.

– Proszę nam to wyjaśnić – wtrąciła się młoda kobieta. – I nadal nie powiedział pan, kto pana do tej rozmowy upoważnił.

Bingham przytaknął Katherine. Najwyraźniej też się czegoś obawiał. Kilka minut temu Knight beznamiętnym tonem przekazał im ściśle tajną informację. Ostatnią rzeczą, jakiej by teraz potrzebowali, było wplątanie się w wewnętrzne spory Brytyjczyków. Gdyby zrobili coś, co mogłoby naruszyć delikatną strukturę neutralności Roosevelt zażądałby głów ich obojga na srebrnej tacy. Katherine ukradkiem spojrzała na Larry'ego. Powinni zatkać uszy i zwiewać stąd, gdzie pieprz rośnie.

– Nie działał z niczyjego upoważnienia. Szczerze mówiąc, mogę ufać tylko nielicznym osobom, nawet pośród mojego zespołu. Lojalność w stosunku do własnego kraju nie jest ostatnio szczególnie w cenie.

Katherine poczuła, jak ściska się jej żołądek. Intuicja podszeptowała, żeby uciekać z tego pokoju, zanim padną kolejne rewelacje. Ten człowiek był najwyraźniej paranoikiem. Spojrzała przez ramię na stojący na stole projektor.

Nagle zaświtało jej, że równie dobrze może to być prowokacja. Pięknie by to wyglądało w gazetach. Pierwszy sekretarz ambasady amerykańskiej w Londynie i ona sama wplątani w konszachty z MI5. W co ten Larry ich pakuje?

– Potrzebujemy waszej pomocy i współpracy – mówił Knight. – Mówiąc bez osłonek, nie mamy do kogo się zwrócić. Chodzi nam o to, aby dowództwo służb bezpieczeństwa USA dokładnie zrozumiało sytuację.

Knight włączył projektor i zgasił górne światło, pograżając pokój w ciemnościach. Jasny, rozmazany kwadrat pojawił się na wiszącym przed nimi ekranie.

– Cóż to takiego? – spytał Bingham. Kwadrat zmienił się w niewyraźny czarno-biały obraz. Jakiś wielki wiejski dom, wśród drzew. Promienne słońce, niebo pełne pierzastych chmur. Obraz podskakiwał i drżał. Nagle stał się znacznie większy. Kamera ukazała szeroki, kamienny taras, otoczony dwoma skrzydłami domu. Film zatrzymał się.

Z ciemności dobiegł ich głos Knighta:

– To Priory Close, wiejska posiadłość w hrabstwie Kent. Właścicielem jest niejaki Alexander Walker.

– Ten milioner od alkoholi? – spytał Bingham. Katherine patrzyła na ekran. Dobrze знаła whisky Walkera. Spała się nią prawie do nieprzytomności tego wieczoru, kiedy przyszedł Morris.

– Tak.

– Przyjaciel klanu Kennedych – zamruczał Bingham. – Od lat robią razem interesy. Kennedy jest amerykańskim przedstawicielem Hirama Walkera.

– A sir Alexander pełni funkcję prezesa – dodał Knight.

– Kiedy nakręcono ten film? – spytała Katherine.

– Późnym latem – odpowiedział Knight. – Zanim zaczęła się wojna. – Obraz znowu podskoczył, zmienił się, potem zastęgl.

Na ekranie pojawiła się jakaś postać. Wysoki łysy mężczyzna wyszedł przez francuskie drzwi po lewej stronie tarasu. – To Joe Kennedy – rozpoznał go Bingham.

– Dokładnie tak – potwierdził Knight. – Najwyraźniej Alexander uczynił waszemu ambasadorowi swojej posiadłości na to spotkanie, chociaż sam na nie nie przybył.

Za Kennedym wyszło na taras kilku innych mężczyzn. Ruszyli od razu do bufetu, usytuowanego przy drzwiach prowadzących do drugiego skrzydła budynku. Razem z Kennedym na tarasie znajdowało się teraz dziewięciu ludzi. Nigdzie nie było widać nikogo ze służby.

– Lord Halifax – powiedział Bingham, wskazując na jak zawsze elegancko ubranego ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii. – Ten przysadzisty obok

niego to R. A. Butler, jego wiceminister. Przyjaciele nazywają go Rab. – Niemy film przewijał się dalej. Projektor terkotał. – Niech mnie diabli – westchnął Bingham. – Obok stołu stoi książę Wellington. A wąsaty mężczyzna o ostrych rysach twarzy, to Carmel Office, asystent Bullitta w Paryżu. Zadziwiająca!

– Rzeczywiście – zgodził się Knight.

– Nie rozpoznają pozostałych.

– Ten duży facet obok księcia Wellingtona to James Mooney – wyjaśnił Knight. – Wiceprezes waszego koncernu General Motors. Wellington zasiada w radzie nadzorczej Vauxhall, jednego z ich angielskich udziałowców. – Knight zakaszłał. – Mooney kieruje także interesami General Motors w Niemczech, zwłaszcza w fabryce Opla. – Znowu przerwał, a potem ciągnął dalej. – Człowiek o rumianej twarzy i siwych włosach, ten który rozmawia z Kennedym, nazywa się James P. McKittrick. Także wasz ziomek.

– Widziałem go na kilku przyjęciach w ambasadzie. – Bingham kiwnął głową. – Tu i w Waszyngtonie. Zdaje się, że jest bankierem?

– Owszem. W tej chwili pan McKittrick, poza innymi funkcjami, piastuje stanowisko prezesa Bank for International Settlements w Szwajcarii.

– Wydawało mi się, że ten bank prowadzą hitlerowcy.

– I słusznie – potwierdził łagodnie Knight. – Ten niższy mężczyzna w myśliwskiej kurtce to Paul Koch de Gooryend, także bankier, również powiązany z BIS, a w dodatku osobisty doradca Menziesa.

– Stewarta Menziesa, szefa waszych służb specjalnych, MI6?

– Tak – westchnął Knight.

– A tamten w tweedowym garniturze? – spytała Katherine. Mówiła o człowieku stojącym samotnie przy drzwiach. Jego twarz częściowo skrywała się w cieniu.

– To Charles Bedeaux. Kolejny Amerykanin, chociaż ostatnio nigdzie nie bywa.

– Studia nad czasem i ruchem. – Bingham skinął głową. – Sam siebie nazywa ekspertem od wydajności. Figuruje na liście Hoovera. Przyjaciół Goeringa.

– A także księcia i księżnej Windsoru – dopowiedział Knight. – W rzeczywistości reprezentuje ich na tym spotkaniu, podobnie zresztą jak pan Office. Pozostaje w... hmm, dość zażyłych stosunkach z księżną Windsoru, o ile wiemy.

Dziesiąty mężczyzna wynurzył się na światło słoneczne i zatrzymał, aby porozmawiać z Bedeaux. Miał koło pięćdziesiątki. Ubrany był w trzyczęściowy garnitur z dewizką przecinającą gruby brzuch. Katherine rozpoznała przybysza natychmiast.

– To Anderson, minister spraw wewnętrznych!

– Ma pani rację – powiedział zimno Knight. – Ten człowiek między innymi dowodzi Scotland Yardem i obroną cywilną.

Patrzyli, jak mężczyźni na filmie spacerują po tarasie jedzą i piją.

– Całkiem niezła impreza – podsumował w końcu Bingham. – Dwaj ministrowie, ambasador amerykański, kilku międzynarodowych bankierów i grupka

sympatyków nazizmu. – Zapalił papierosa. Płomyk zapalniczki rozjarzył się w mroku. – Szkoda, że nie możemy słyszeć tego, co mówią.

– Możemy. Nagrania będą do przesłuchania później, jeżeli pan zechce.

– Podsluchiwaliście ich?

– Zostaliśmy o tym spotkaniu uprzedzeni. Walker wyjechał do domku myśliwskiego w Szkocji. Podłożenie kilku pluskw tu i tam pośród doniczek z kwiatkami nie sprawiło żadnego kłopotu. – Knight uśmiechnął się. – Ten sam typ urządzenia, jaki zamontowaliście w telefonach, kiedy Kennedy był ambasadorem.

– Mieliście podsłuch na telefonie Kennedy’ego? – spytała Katherine, odwracając się do Bingham. Nie odpowiedział. Patrzył uważnie na Knighta.

– Czy wie pan, z jakiej okazji odbyło się to spotkanie?

– Tak, obawiam się, że wiem.

– Powiedział pan „zdrada” – wtrąciła szorstko Katherine. – Potem wyświetlił pan film pokazujący naszego ambasadora bratającego się ze zwolennikami nazizmu i paru ministrów Churchilla w tej samej sytuacji. Zapewne zmierza pan do jakiegoś celu.

Film dobiegł końca, końcówka celuloidowej taśmy zsunęła się ze szpuli i przez chwilę trzepotała wściekle. Knight wyłączył projektor, zapalił światło i usiadł obok Katherine i Bingham.

– Zarówno Anderson, jak i Halifax ostali się z gabinetu Chamberlaina – powiedział. – Z nich dwóch to właśnie Halifax był niezłomie przekonany, że można negocjować z Hitlerem. Nadal tak uważa. Kiedy Churchill objął stanowisko premiera, stał się przywódcą bez partii. Halifax stanowił wybór zarówno króla, jak i Chamberlaina. Gdyby Churchill nie zatrzymał Jego Lordowskiej Mości jako ministra spraw zagranicznych, mógłby się narazić na poważne konsekwencje. To rodzaj szantażu albo, jeśli wolicie, politycznego oportunisty.

– Czy na tym spotkaniu rozmawiano właśnie o takich sprawach?

– Częściowo. McKittrick z BIS i Koch de Gooryend próbowali wyrzucić presję na Kennedy’ego. McKittrick przekazywał też ambasadorowi bardzo nieoficjalne informacje dotyczące cen akcji.

– Angielskich?

– Tak. – Knight skinął głową. – Między innymi.

– To nielegalne – stwierdził Bingham. – Dyplomaci nie mają prawa handlować z krajami, gdzie pełnią służbę.

– Jednakże on właśnie to robił. Z tego, co wiem, pan Kennedy całkiem nieźle się wzbogacił na nieszczęściu Europy.

– Ambasador już przedtem był zamieszany w różne wątpliwe interesy – wtrąciła Katherine. – Nie musi nas pan o tym przekonywać.

– Jak już wspomniałem – ciągnął Knight – Anderson, Halifax i Butler optowali za załagodzeniem stosunków z Niemcami. Anderson i Halifax dlatego, że są słabeuszami, a Butler ponieważ ma umysł Machiavellego i łapie każdą szansę, jaka mu się nadarzy. Ten człowiek jest niemoralną świnią. – Katherine nie mogła powstrzymać uśmiechu; chłodny Anglik po raz pierwszy okazał jakiś ślad emocji.

– Proszę dalej – przynaglił Bingham.

– Tuż po objęciu władzy przez Churchilla, w maju, podjęto poważną próbę zawarcia układu pokojowego. Oficjalnie propozycja nadeszła poprzez szwedzkie kanały dyplomatyczne. W rzeczywistości pochodziła od Goeringa i Hessa. W warunkach wspomniano o wielkiej pożyczce dla BIS oraz o transferze złota. W sprawie zamieszany był ambasador Kennedy. Wycofał się jednak w ostatniej chwili. Churchill nie chciał mieć z tą historią nic wspólnego. Nie muszą chyba dodawać, że ani Anderson, ani Halifax nie mają pojęcia o sprawie Enigmy.

Gdyby Churchill przystał na układ pokojowy z Niemcami, jego kariera jako premiera skończyłaby się natychmiast – powiedział Bingham. – Wróciłby Chamberlain.

– Raczaj Halifax. Kiedy stwierdzono raka u Chamberlaina, właśnie Halifaxa typowano na następcę. Nieważne. Problem polega na tym, że obecnie pozycja premiera nadal jest niestabilna, zwłaszcza po Dunkierce i nalotach na Londyn.

– A teraz Coventry – powiedziała Katherine.

– A teraz Coventry – potwierdził Knight.

– Sądzi pan, że Halifax i reszta podejmą kolejną próbę? – spytał Bingham, wskazując ruchem głowy ekran.

– Obawiam się, że to coś więcej. W sprawę zamieszane są także i inne podejrzane postacie. Kiedy Anderson wprowadzał w życie ustawę o internowaniu, pominął dyskretnie wiele osób o proniemieckich poglądach, włączając w to kilku członków parlamentu. I paru potężnych przemysłowców.

– Vauxhall? – zasugerował Bingham. – Hiram Walker?

– Tak. I wielu innych. – Knight ze zmęczeniem pokręcił głową. – To jest naprawdę okropne. Istnieją nawet pewne dowody na to, że Montagu Norman w Bank of England ma z tym coś wspólnego, podobnie jak McGowan.

– Kim jest McGowan? – spytała Katherine.

– Sir Harold McGowan. Prezes Imperial Chemical Industries – ICI. Neville Chamberlain był ich głównym udziałowcem.

– Poplątana pajęczyna powiązań – powiedział Bingham.

– Niesłuchanie. ICI miały liczne kontakty z niemieckimi firmami przed wojną. Zwłaszcza z I.G. Farben. Nadal działają w branży, reprezentowani w BIS przez McKittricka i jednego z niemieckich członków zarządu, Hermanna Schmitza, który dziwnym zbiegiem okoliczności zasiada także w zarządzie I.G. Farben.

– A więc ci ludzie zawiązali spisek zmierzający do zawarcia pokoju z Hitlerem? – upewniła się Katherine. – Czy naprawdę mogą do tego doprowadzić? To znaczy, za plecami Churchilla?

– Tak, prawie na pewno – odpowiedział Knight. – Przy pomocy ludzi, takich jak McKittrick i Mooney. Zdziwiłaby się pani wiedząc, jak wielu mają zwolenników. Dla nich prawdziwym przeciwnikiem jest Stalin, a nie Hitler. Uważają, że zbrodnie nazistów są lepsze niż komunizm. Jeżeli Churchillowi nie uda się zmusić Roosevelta do przystąpienia do wojny, Anglia skazana jest na zagładę. Gdybyśmy stracili Enigmę, proces ten uległby tylko przyspieszeniu. Według naszych źródeł, Hitler odłożył inwazję do wiosny. Wykrwawi nas, zbombarduje, zagłodzi na śmierć.

– Kapitulacja albo dezintegracja, tak określił to Kennedy. Zawrą rozejm i zmuszą Churchilla, aby nań przystał. Jeżeli im się nie uda, Hitler przekroczy Kanał z majowymi przypyłkami, a Halifax zapewne powita na go na kolanach. Taka właśnie groźba kryje się pod tym wszystkim. – Knight skrzywił się. – Nie zdziwiłbym się, gdyby w nagrodę za poniesione wysiłki udekorowali Butlera cholernym Krzyżem Żelaznym.

Katherine spojrzała na Bingham.

– A Bedeaux? – spytała, oszołomiona. – A księżę i księżna? Gdzie oni w tej famigłowce pasują?

Knight wzruszył ramionami.

– Król Zza Wody i tak dalej. Halifax popierał małżeństwo z tą Simpson. Z tego, co wiem, nadal nie zmienił zdania. Jeżeli Niemcom powiedzie się inwazja...

– Edward odzyska tron. Marionetka Hitlera – dokończył Bingham. – Boże, jakież to przewrotne!

– Zapewne rozwiązałyby problem w bardziej wyrafinowany sposób – stwierdził Knight. – Halifax zmusiłby króla do abdykacji. Elżbieta zostałaby koronowana, a księżę Windsoru pełniłby funkcję regenta, dopóki nie osiągnie ona pełnoletności. Rozwiązanie w pełni legalne. Bedeaux wiele o tym mówił podczas tamtego spotkania.

– A więc szykuje się przewrót pałacowy – powiedziała Katherine. – A banki i przemysł opowiadają się za Hitlerem.

– Najogólniej mówiąc, tak. Wy, Jankesi, trzymacie się z dala od wojny. Odcinacie wszelkie wsparcie dla Anglii, a my powoli stajemy się lennem nazistów. Scotland Yard zmieni się w kwaterę główną gestapo, a pałac Buckingham w myśliwską chatkę Goeringa. – Knight wydał dziwne parsknięcie. – A Goebbels zostanie wydawcą „London Times”.

– O Boże – wyszeptał Bingham.

– To wszystko jest, rzecz jasna, szaleństwo – ciągnął beznamytnie Knight. – Żaden z tych ludzi nie zna prawdy o wojnie, a tym bardziej o Hitlerze. Jeżeli on podbije Anglię, cofniemy się do średniowiecza albo jeszcze gorzej. Ale Anglia nie zadowolili Hitlera. Ameryka będzie następną. Nie zawiera się paktów z wściekłym psem, tylko strzela się do niego. Oni tego nie rozumieją. – Przerwał. – Skutki ich działań będą katastrofalne.

– Kto może przekazać naszej małej grupce zdrajców sekret Enigmy? – spytał Bingham. – Koch de Gooryend?

– Menzies nie jest aż tak głupi. Nie powiedział mu o Enigmie. Ale Koch de Gooryend odznacza się dużą inteligencją. Cały ten szum wokół dochodzenia Liddella wzbudził jego podejrzenia.

Knight spojrzał na Katherine.

– Zainteresował się, na przykład, panną Copeland. Eskapada do Coventry z inspektorem Blackiem tylko pogorszyła sprawę. Już mamy na to dowody. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych przesłało wczoraj rozkaz od samego Andersona, nakazujący Liddellowi natychmiastowe zaprzestanie dochodzenia. Black został zmuszony do rezygnacji. Liddell też ma problemy. Stracili do niego zaufanie. W dodatku jego była żona jest córką jednego ze spiskowców.



– Zdziwiająco przezorni i przebiegli jak na bandę szaleńców – powiedziała Katherine. – I nie rozumiem, dlaczego przy tak miażdżących dowodach nie aresztowaliście ich dotąd.

Knight westchnął.

– To smutne, ale życie nie jest aż tak proste. Są pewne... polityczne uwarunkowania.

– Nie wiem, w czym właściwie moglibyśmy pomóc – stwierdził Bingham. – Bez narażania naszej własnej pozycji – dodał po chwili.

– Możecie uratować sekret Enigmy. To jest walka o czas.

– A czego konkretnie oczekuje pan od nas?

– Trzeba znaleźć mordercę, którego szukał Black i agenta nazywanego przez Liddella Doktorem.

– Doktorem? – zdziwiła się Katherine.

– To niemiecki agent działający w Londynie – wyjaśnił Bingham. – Wiemy o nim od czasu sprawy Tylera Kenta. Na początku myśleliśmy, że to może sam Kennedy, ale po podwójnym morderstwie w ZOO musieliśmy odrzucić tę teorię.

– Nic o tym nie wiedziałam – stwierdziła młoda kobieta, patrząc chłodno na Bingham.

Pierwszy sekretarz ambasady wzruszył ramionami.

– Nie musiałaś wiedzieć. – Zerknął na Knighta. – Jeżeli chce pan uzyskać naszą pomoc, powinniśmy zawrzeć pewną umowę. Coś za coś, pamięta pan?

– Co ma pan na myśli?

– Nagrania. Chcę dostać ich pełną transkrypcję.

– Łatwiej będzie skopiować taśmę. Im mniej ludzi o tej sprawie wie, tym lepiej.

– W porządku – stwierdził ponuro Bingham. – Prezydent posłucha sobie głosu Kennedy’ego. Usłyszysz w oryginale tego zdradzieckiego drania.

– Chce pan, aby Roosevelt wiedział o tym?

– O wszystkim. To jedyny sposób. Jeżeli hitlerowcy nie będą świadomi sekretu Enigmy, przynajmniej do chwili, kiedy Beaverbrook postawi wasz przemysł zbrojeniowy na nogi, istnieje jakaś szansa. Gdyby zmienili szyfry, brytyjski wysiłek wojenny pójdzie na marne. To prosta zależność. Ale prezydent musi o wszystkim wiedzieć. To go zainteresuje. – Wzruszył ramionami. – Nie wspominając już o jawnej dla nas korzyści. Kennedy zsuwa się po równi pochyłej. Ta historia przyspieszy jego upadek. To samo dotyczy Mooney’a i McKittricka. Nie pozwolimy im podnieść głów. Jednak cała reszta to już wasza sprawa. Nic nie obiecuję. Przekażcie mi te nagrania i zobaczę, co da się zrobić.

Knight pomyślał przez chwilę, potem kiwnął głową i wstał.

– To mi wystarczy – stwierdził cicho. – Do jutra otrzyma pan kopie.

Pięć minut później Katherine Copeland i Lawrence Bingham smagani wiatrem szli przez Tedworth Square. Było dopiero popołudnie, ale niebo już pociemniało. We Francji i Belgii Luftwaffe zapewne przygotowywała się do następnego nalotu na Londyn. Katherine spojrzała nerwowo w górę. Bombardowali wciąż i wciąż, jak gdyby chcieli unicestwić całe miasto, nie zostawić kamienia na ka-



mieniu. Ludzi ogarniała coraz większa panika. Nagle spisek zmierzający do zawarcia rozejmu nie wydawał się już tak szalony.

– Czy mogę cię gdzieś podwieźć? – spytał Bingham. – Mój samochód stoi tuż za rogiem.

– Nie, dziękuję – powiedziała Katherine, podnosząc kołnierz. – Raczej się przejdę. Lekarze kazali mi ćwiczyć kostkę. – Spojrzała na Larry'ego. – W co z tego, o czym on mówił, uwierzyłeś?

– W większość. Sądzę, że nasz przyjaciel Knight porusza się po bardzo cienkim lodzie. Mówiąc nam o Enigmie, sam popełnił zdradę. Ale nie wydaje mi się, aby wyjawiał wszystko.

– I ja odniosłam podobne wrażenie. – Zmarszczyła brwi. – On nas wykorzystuje.

– A my jego. Przez jakiś czas.

– Coś za coś.

– W taki sposób teraz toczą się wojny, Kat – Bingham uśmiechnął się blade. – W gabinetach, nie na polach bitew. Nie wiedziałaś o tym?

Nagi, brudny, zziębnięty, Numer leżał skulony na małym podeście. Zamknięte na klucz drzwi znajdowały się w odległości zaledwie kilku cali od jego stóp. Wypróżnił się już kilka razy, ale nie czynił żadnych prób, żeby się oczyścić. To stanowiło część kary.

Od czasu do czasu podnosił wzrok na drzwi, potem kulił się znowu. Z suchych, popękanych ust dobywały się ciche jęki. Nie jadł i nie pił już od pięciu dni i zaczynał mieć halucynacje. Najpierw nadeszły głosy. Szepty zmarłych. Niektóre starcze i słabe, jak tego pierwszego, którego zwłoki całkiem spłonęły. Inne głośniejsze, zwłaszcza miękki, żalony szloch Jane Luffington. Suchy świst powietrza, kiedy pętla owinęła się dookoła jej szyi, wyciskając życie. Albo krótki spazm ostatniej ofiary. Straszliwy błąd, słabość, a może nawet utrata mocy.

Numer modlił się o powrót mocy. Wyschnięte wargi szeptały w ciszy domu. Szept spływał po schodach, unosił się w pustych pokojach. Jednak nawet podczas modlitwy Numer wiedział, że musi najpierw odcierpieć karę, która czekała na niego za drzwiami. Musi zapłacić, ale jeszcze nie teraz, jeszcze nie teraz.

Po głosach nadeszły wspomnienia z dzieciństwa. To było jeszcze gorsze. Olbrzymi cis o powykręcanych konarach, czarny w świetle księżyca. On sam zsuwa się cicho przez okno sypialni i w dół. Poświata księżyca na ostrzu noża, kiedy odcina właściwą długość, wślizguje się z powrotem do łóżka i wciska ciężką, doskonale dobraną gałąź pomiędzy sprężyny a materac. Poczucie winy z powodu wykroczenia, strach przed zdemaskowaniem i wydaleniem ze szkoły. Długa, narzmiąca oczekiwaniem cisza. Wszyscy chłopcy śpią.

Dzień wyjazdu do domu. Taksówki, najpierw niewidoczne za drzewami, pojawiają się w końcu na podjeździe. Cały ich szereg toczy się wzdłuż żywopłotu i przystaje pod drzwiami. Taksówkarze o czerwonych policzkach. Wskakujący do samochodów chłopcy. Wszyscy odjeżdżają. Opuszczają go, samotnego, bez

domu. Patrzy jak procesja aut dociera do drogi i rozjeżdża się w różne strony, aż w końcu niknie w oddali.

I wreszcie najgorsze. Inne okno, tym razem w Cane Hill. Zima. Przyciska policzek i ucho do zimnego szkła, słuchając dzwonów kaplicy w Earlwood House. Echo dołącza się do melodii, których nauczył się na pamięć. Mówią do niego jasno, nakazują mu, co ma zrobić. Wola Boga, przekleństwo, napis na murze.

W końcu, ten podest i zamknięte drzwi – oczekiwanie. Drzwi Westchnień. Drzwi Rozpaczy. Drzwi Kary. Drzwi Raju. Drzwi i to, co za nimi.

# Rozdział dwudziesty pierwszy

PONIEDZIAŁEK, 23 GRUDNIA 1940 ROKU

15.00 CZASU GREENWICH

**K**apitan Guy Liddell pojechał taksówką z biura na St. James Street do Whitehall. Poprosił kierowcę, aby wysadził go przy otoczonym workami z piaskiem wylocie Downing Street. Było zimno. Z ołowianego nieba sypał śnieg. Oficer marynarki wojennej, trzymający wartość na zabarykadowanym rogu ulicy, miał niemal całą twarz osłoniętą kominiaarką.

Wartownik sprawdził przepustkę, kiwnął głową i otworzył bramkę z drutu kolczastego, ustawioną pomiędzy workami z piaskiem. Wpuścił Liddella i powrócił na swoje miejsce, wydychając obłoczki pary w mroźne powietrze.

Kapitan szybkim krokiem przemierzył wąską uliczkę. Kilkadziesiąt metrów za kamienicą pod numerem 10 skręcił na dziedziniec Ministerstwa Spraw Zagranicznych, gdzie przed wejściem do klasycystycznego budynku musiał pokazać przepustkę kolejnemu wartownikowi.

Kilka minut później został wprowadzony do sali poprzedzającej gabinet wiceministra. Wielki ponury pokój umeblowany był jak poczekalnia pierwszej klasy na Victoria Station: twarde krzesła, mnóstwo roślin doniczkowych, na ścianach kiepskie kopie portretów rodziny królewskiej. Brakowało tylko Edwarda VIII. Wiktoria, jego prababka, patrzyła surowo w dół ze swojego miejsca nad wygasłym paleniskiem ozdobnego kominka. Jeszcze jedno oszustwo. O ile Liddell się orientował, żaden z oficjalnych portretów nie przedstawiał starej monarchini z uschniętą ręką, kalectwem, o którym wszyscy wiedzieli, ale którego nigdy nie ujawniano publicznie.

Jedyną rozrywką, jaką zapewniono gościom, stanowiło kilka egzemplarzy „Herald” i „Telegraph”, dawno zdezaktualizowany atlas, urozmaicona fotografiami książka „Oto jest Anglia” oraz album z pokazu koni w 1910 roku.

Liddell westchnął, usiadł i wyjął fajkę. To rzeczywiście była Anglia, rozmyślnie odwracająca się do przeszłości i odmawiająca udziału w przyszłości, w której mogłaby stracić pozycję „imperium, gdzie słońce nigdy nie zachodzi”.

Dwadzieścia minut później pojawił się prywatny sekretarz Butlera. Henry „Chips” Channon, urodził się trzydzieści cztery lata temu w Stanach Zjednoczonych, ale miał rozległe powiązania towarzyskie w Anglii. Ukończywszy studia w Oksfordzie, ożenił się z lady Honor Guinness, najstarszą córką hrabiego Iveagh i otrzymał bezpieczne stanowisko posła z ramienia konserwatystów w Southend-on-Sea. Wkrótce zasłużył się na tyle, że mianowano go prywatnym sekretarzem Butlera.

– Cześć, Guy – powiedział, uśmiechając się szeroko. – Dobrze wyglądasz.

Jednak nie tak dobrze jak Channon. Liddell słyszał legendy o tym człowieku i dokonywanych przez niego zakupach na Bond Street i Savile Row. Mówiono, że Chips nie może wyjść ze swojego gustownie umeblowanego mieszkania przy Belgrave Square, aby nie wydać kilkuset funtów. Dzisiaj miał na sobie ciemnoniebieski, wspaniale skrojony garnitur, kremową jedwabną koszulę i kasztanowy krawat, w który dyskretnie wpiął spinkę z herbem hrabiów Iveagh.

– Witaj, Channon. – Liddell uprzejmie kiwnął głową.

– Chcesz zobaczyć się z Rabem?

– Jeżeli nie sprawi to kłopotu.

– No cóż, jesteśmy bardzo zajęci. – Channon w wypracowany sposób zmarszczył brwi, aby pokazać, jak bardzo troszczy się o petentów. – Ta historia z Holendrami powoduje wiele kłopotów.

Liddell uśmiechnął się; wiedział, o co chodzi. Okretem holenderskiej marynarki wojennej, nie wiadomo w jaki sposób, udało się uciec przed hitlerowcami, i zawinąć do portu w Hull z całym transportem jeńców niemieckich.

– Proszę tylko o parę minut.

– Zobaczą, co się da zrobić. – Channon skłonił się lekko i znikł. Wrócił prawie natychmiast, po czym wprowadził Liddella do sekretariatu, skąd wiodło przejście do gabinetu wiceministra. – Wchodź – zaprosił i usiadł za biurkiem, nie spuszczając wzroku z trzymanej przez kapitana aktówki.

Butler sprawdzał coś właśnie na wielkiej, zawieszanej na ścianie mapie Europy.

– Proszę zamknąć drzwi, dobrze?

Wskazał gościowi rzeźbiony fotel w stylu hiszpańskim, pokryty czerwoną skórą, a sam zasiadł za biurkiem. Liddell zajął miejsce, położył aktówkę na kolanach i zaczął przyglądać się Butlerowi. Wielokrotnie widział zdjęcia wiceministra w gazetach, ale nadal zadziwiał go nieprzyjemny wygląd tego człowieka.

Butler sprawiał wrażenie, jakby miał co najmniej czterdzieści siedem lat, chociaż w rzeczywistości był o dziesięć lat młodszy. Z bladą twarzą o niezdrowym, żółtym odcieniu kontrastowały ciemne worki pod jasnoszarymi oczami. Nieco za szeroki garnitur został tak skrojony, aby ukryć rosnący brzuszek. Gdyby Liddell nie wiedział, kim jest Butler, mógłby wiceministra wziąć za byle pijacznym z Mayfair albo i jeszcze gorzej.

– Przypuszczam, że przyszedł pan z raportem na temat inspektora Blacka – powiedział Butler. Oparł podbródek na tłustych dłoniach i zacisnął wargi.

– Tak, częściowo i w tej sprawie.

– Został zwolniony ze szpitala?  
– Wczoraj. Jest już w Londynie.  
– Ale nie wrócił do pracy.  
– Nie.  
– To dobrze. – Butler kiwnął głową. – Rozmawiał pan z nim?  
– Tak.  
– A więc zrezygnuje?  
– Jeżeli to konieczne.  
– Zapewniam pana, kapitanie, to jest konieczne. – Butler zmarszczył brwi. – Przypuszczam, że przetrzyma go pan pod obserwacją do czasu, aż upewnimy się co do jego lojalności.

– Owszem. – Liddell skinął głową. – Chociaż nie wydaje mi się, aby jego lojalność mogła być kwestionowana.

– On jest Żydem, o ile sobie przypominam.

– Tak, to prawda.

– Jego rodzina mieszka w naszym kraju stosunkowo od niedawna, z tego co wiem. To właściwie Niemiec. Naprawdę nazywa się Schwartz albo jakoś podobnie?

– Nazywa się Black – przerwał mu Liddell chłodno. – Jego dziadek przybył do Londynu w 1846, a ojciec urodził się tu, jak zresztą i sam Black.

– Nieważne – mruknął Butler. – Nigdy nie można być tych ludzi pewnym.

– Tych ludzi?

– Zagranicznych Żydów.

– Całe lata spędziłem w policji, panie Butler. Z mojego doświadczenia wynika, że nigdy nie można być pewnym nikogo, obojętnie czy to Żyd, czy... członek parlamentu.

Butler zignorował aluzję.

– Jednak nadal będziemy trzymać go pod nadzorem, tak na wszelki wypadek, nie mam racji?

– Przyszedłem tu między innymi po to, aby omówić tę sprawę.

– To nie podlega dyskusji, kapitanie. Wydaje mi się, że otrzymał pan z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wyraźne polecenie prowadzenia inwigilacji.

– Tak, od pana Andersona.

– I zapewne wypełni pan ten rozkaz.

– W normalnych okolicznościach właśnie tak bym postąpił.

– Niech pan nie zapomina o pańskiej pozycji, Liddell. Są pewne aspekty tej sprawy, o jakich nie ma pan pojęcia.

– Być może – Liddell wzruszył ramionami. Wyjął fajkę.

Butler gniewnie zmarszczył brwi.

– Wolałbym, żeby pan nie palił.

– Oczywiście. – Liddell odłożył fajkę i otworzył aktówkę. – Zgodnie z tym, co mówił inspektor Black, ma on zamiar jutro rano wyjechać do Walii. Do Holyhead, ściśle mówiąc. Zatrzyma się tam na pewien czas.

– Naprawdę nie interesują mnie plany pana Blacka na nadchodzący sezon.

– Ani mnie – stwierdził Liddell z uśmiechem. – W związku z powyższym faktem mam zamiar zrezygnować z nadzoru nad Blackiem, poczynając od dzisiejszego dnia. Nie widzę celu dalszej inwigilacji.

– Chyba już ustaliliśmy, że nie pan wydaje tu rozkazy. Stracił pan kontrolę, nad sytuacją, Liddell.

– Właśnie przejmuję ją z powrotem.

– Jest pan bezczelny. – Butler spurpurowiał i z całej siły splótł palce. – Wiem doskonale o pana...

– Czy wie pan, skąd wzięło się przezwisko Channona? – przerwał mu Liddell, rozkoszując się tą chwilą.

– O czym pan, u diabła, mówi?

– Pański sekretarz, Channon. Jego przezwisko brzmi Chips. Nie wiedział pan o tym?

– Nie mam pojęcia, co to ma...

– Otrzymał to przezwisko z powodu namiętnego uczucia do pewnego młodego człowieka w Oksfordzie, chłopaka o nazwisku Charles Herring. Herring czyli śledź, a więc ryba. Jak ryba, to z frytkami. Jestem pewien, że teraz widzi pan związek.

– To oszczerstwo!

– Obawiam się, że nie. Powiem raczej, że jest to doskonale udokumentowany fakt. Podobnie, jak powiązania pańskiego sekretarza z ludźmi, których – jak pan to ujął? – „nigdy nie można być pewnym”? – Liddell sięgnął do aktówki i wyjął pojedynczą, zapisaną maszynowym pismem kartkę. – Ta lista zawiera nazwisko zmarłego już sir Phillipa Sassoon, który, co pan sam kiedyś powiedział, „wsławił się długim i ryzykownym związkiem z księciem Windsoru”, lady Diany Cooper, także przyjaciółki księcia i księżnej, oraz szeregu różnych innych, dość nieprzyjemnych osób. – Liddell przerwał i przesunął kartkę papieru w stronę Butlera. – Proszę przeczytać. – Znowu odczekał chwilę. – Mamy tu też nazwisko pana Margessona.

Butler zbladł. Margesson był członkiem partii konserwatystów. Działał w Izbie Gmin przez ostatnie osiem lat i osobiście odpowiadał za wyniesienie Channona na jego obecne stanowisko. Chodziły również plotki, że bajanskie wydatki obiecującego młodzieńca pokrywał pewien zażarty antysemita lord Bearsted. Najważniejsze zastrzeżenia budziły jednak powiązania Channona z Archibaldem Ramsayem, prohitlerowskim członkiem parlamentu, który został w maju internowany.

– Prywatne życie Channona mnie nie interesuje, Liddell, i pana też nie powinno – warknął w końcu Butler.

Liddell odpowiedział ostro:

– Homoseksualizm jest ścigany przez prawo, panie Butler. A prywatne życie człowieka o pozycji pana Channona interesuje mnie jak najbardziej. – Przerwał, odetchnął głęboko i ciągnął dalej: – Ta sprawa grozi kompromitacją także panu, sir.

– Wszedł pan na niebezpieczny grunt, Liddell. – Twarz Butlera przypominała teraz odcieniem stary ser. – Nie jestem pewien, czy podoba mi się kierunek, w jakim pan zmierza.

Liddell podniósł brew.

– Nie, nie sądzę, aby się panu podobał.

– Może powinien pan wyjść już, kapitanie Liddell, zanim nie zabrną pan zbyt daleko. – Wiceminister zawiesił na chwilę głos. – Dla pańskiego własnego dobra.

– Ja już zaszedłem zbyt daleko, panie Butler. – Liddell uważnie obserwował przeciwnika. Knight uprzedzał, żeby postępować bardzo ostrożnie. Mieli do czynienia z wyjątkowo wpływową grupą ludzi, a z nich wszystkich właśnie Butler był najbardziej niebezpieczny. – Nie sądzę, aby wiedział pan, co oznacza skrót „DO”, a może się mylę?

– Nie. – Głos Butlera był zimny jak lód.

– Używa się go dla oznaczenia teczek dotyczących „danych osobowych”. Zebraliśmy ich kilka przez ostatnie lata.

– Wydaje mi się, że nie rozumiem pana.

– „DO” są zbierane na każdego członka rządu, bankiera czy przemysłowca, który zajmuje wystarczająco ważną pozycję. – Liddell spojrzał wprost na Butlera. – Jak pan, na przykład. Człowiek na stanowisku może ulec niepożądanym wpływom.

– I co dokładnie zbieracie w tych teczkach? – Ton Butlera brzmiał beznamiętnie, szare oczy zmieniły się w kamienie.

– Różne drobiazgi dotyczące preferencji i zбочeń seksualnych, transakcji finansowych, jakie mogłyby zostać źle zrozumiane, gdyby wywleczono je na światło dzienne, członkostwa w różnych organizacjach, nielegalnych bądź wątpliwych przyjaźni i romansów. – Liddell spojrzał obojętnie na siedzącego po drugiej stronie biurka polityka. – Tego typu sprawy.

– I taką właśnie teczkę macie na Channona. Czy o tym właśnie pan mówi?

– Tak. Całkiem pękata, jeśli o to chodzi.

– Jest pan niebezpiecznie blisko szantażu, Liddell.

– Wprost przeciwnie, panie Butler. Nasze akta są po to, aby chronić różnych ludzi. – Liddell uśmiechnął się słabo. – Nie chcielibyśmy, aby tego rodzaju informacje wpadły w niepowołane ręce, nieprawdaż?

– Czy mam rozumieć, że dla mnie też założono taką teczkę?

– Tak. Właśnie miałem do tego przejść. – Kapitan znowu otworzył aktówkę, wyjął dużą kopertę i położył ją na biurku Butlera. Zawierała tylko jeden dokument – odbitkę zrobioną z jednej z klatek filmu, nakręconego przez Knighta w posiadłości Walkera. W zestawieniu z nagraniami zdjęcie stanowiło oczywisty dowód zdrady. Wiceminister patrzył na kopertę jak na zaczajonego węża. Potem przeniósł wzrok na Liddella, ale nie zrobił żadnego ruchu, aby ją otworzyć. – Ma pan tu tylko próbkę, rzecz jasna. Właściwe akta są o wiele bardziej szczegółowe.

– Kto pana do tego nakłonił, Liddell? Morton?

– Obawiam się, że nie mam pojęcia, o kim pan mówi. – Oczywiście, że wiedział. Chodziło o Desmonda Mortona, osobistego sekretarza Churchilla. Mój Boże, gdyby to była prawda!

– A więc twierdzi pan, że działa na własną rękę? Jeżeli tak się sprawy mają, to...

Liddell przerwał mu w połowie zdania.

– Ja nic nie mówiłem, sir. Przyniosłem panu tylko pewien dokument do przejrzenia i poinformowałem, że wbrew rozkazom Ministerstwa Spraw Wewnętrznych odwołuję inwigilację inspektora Blacka.

Butler nadal nie otwierał leżącej przed nim koperty, ale Liddell dostrzegł, że dyskretnie przesunął dłoń w jej stronę.

– Ma pan kopię?

– Oczywiście. – Kapitan podniósł aktówkę, zamknął porządnie i wstał. – Zabrałem już dość pańskiego czasu. Pan Channon mówił, że holenderska marynarka wojenna, sprawia panu kłopoty.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i opuścił pokój. Trzy minuty później znajdował się już na dziedzińcu Ministerstwa Spraw Zagranicznych i z zadowoleniem wdychał lodowate powietrze.

– Wetknąwszy aktówkę pod pachę, przeszedł przez zaśnieżony ogród na Downing Street. Zamiast udać się do Whitehall postanowił pójść w stronę parku St. James. Krótki spacer do klubu dobrze mu zrobi, a porządna porcja dzinu też nie zaszkodzi.

Liddell zatrzymał się, aby zapalić fajkę. Wykonał już swoje zadanie. Teraz Black musi radzić sobie sam.

Postępując zgodnie z instrukcjami w tajemniczym telegramie, otrzymanym tego ranka od Liddella, Morris Black wyszedł po drugiej z mieszkania przy Shepherd's Market i udał się na stację metra Green Park.

Noga po złamaniu wydobrzała już prawie zupełnie, ale inspektor nadal używał laski, którą podarowano mu w szpitalu w East Grinstead. Nosił też wciąż przepaskę na oku. Co prawda, wzrok odzyskał w pełni jakieś dwa tygodnie temu, jednak przeszczepiona skóra ponad powieką w dalszym ciągu była bardzo delikatna.

Black zszedł na peron i usiadł ostrożnie na jednej z ławek. Nie mógł nie zauważyć spojrzeń, jakie rzucali mu towarzysze podróży, z których większość brała go zapewne za rannego żołnierza na urlopie rekonwalescencyjnym. Świadomość, że niemal dał się zabić przez własną głupotę bardzo inspektorowi doskwierała.

Poprzedniego dnia wybrał się na cmentarz w Golders Green, na grób Fay. To było, rzecz jasna, idiotyczne. Potrzebował odpowiedzi na tysiące pytań i rozgrzeszenia dla tysięcy czynów, ale dlaczego mógłby je uzyskać na cmentarzu? Fay umarła, on sam przeżył cudem, a tylko starzy ludzie i głupcy rozmawiają z duchami. Jednak ten moment wyciszenia pomógł mu. Może nie ma spokoju, póki człowiek żyje, ale w końcu nadejdzie kres smutku i bólu. Jakiś mały plan, jakiś prosty znak. Koło przeznaczenia obraca się nad głowami.

Pociąg wtoczył się hałaśliwie na stację. Black wszedł do wagonu. Na South Kensington przesiadł się z Piccadilly do District Line i wrócił na Victorię. Nadal postępując zgodnie z instrukcjami, dostał się windą do głównej hali i zatrzymał na chwilę przy kiosku, żeby kupić „Timesa”. Potem przecisnął się przez tłum i dotarł do wyjścia na Hobson's Place, staroświecki brukowany ślepy zaułek.



Znalazłszy się na małej uliczce Black zapalił papierosa i czekał. Minęło pełnych pięć minut. Przenikliwy, zimny wiatr wdzierał mu się pod poły płaszcza i kłuł w nozdrza. Inspektor zaczął żałować, że nie wyrzucił telegramu do kosza na śmieci, jak zamierzał na początku. Nagle poczuł lekki dotyk czyichś palców.

– Witaj, Morris.

Odwrócił się, zdziwiony. To była Katherine Copeland. Zanim miał czas oprzytomnieć, usłyszał potężny pomruk silnika. Masywny, ciemnozielony bentley z podniesionym dachem wyjechał zza rogu i zatrzymał się tuż przed nimi.

Katherine podeszła, otworzyła drzwiczki i delikatnie popchnęła Blacka na siedzenie dla pasażera, po czym sama wcisnęła się obok inspektora. Wielki samochód ruszył w stronę Wilton Street. Black przyjrzał się uważnie przystojnemu, ciemnowłosemu mężczyźnie za kierownicą. Kiedy spotkali się poprzednio, człowiek ten był zaspany, miał na sobie szlafrok i kaptcie, ale Black rozpoznał go natychmiast.

– Dobry Boże, to pan.

Ian Fleming uśmiechnął się.

– Obawiam się, że tak. – Młody oficer zmienił bieg i poruszył lekko kierownicą. Dotarli do Buckingham Palace Road i skierowali się na północ. Wciśnięty między Fleminga a Katherine, Black był boleśnie świadom bliskości ciała młodej kobiety. Czuł delikatny zapach jej włosów i przez króciutki moment jego umysł wypełnił się obrazami wybuchu w Burlington i płomiennej śmierci Coventry. Inspektor przesunął się lekko na siedzeniu.

– Czy to jakiś kawał? – spytał w końcu.

– Na pewno nie – odpowiedział Fleming, spoglądając na niego z szerokim uśmiechem. – Raczej coś w rodzaju rozsądnego wybiegu, stary. – Kiedy przejechali obok pałacu i minęli Victoria Memorial, Fleming pogrzebał w kieszeni. Po chwili wyciągnął papierośnicę i zapalniczkę. – Niech pan zapali dla mnie, dobrze? I weźmie też sobie, jeśli ma pan ochotę.

Black przypalił dwa papierosy, po czym jednego wręczył Flemingowi razem z zapalniczką i papierośnicą. Siedząca obok Katherine zaczęła kręcić się gwałtownie i otworzyła okno, wpuszczając do środka zimne powietrze. Black zaciągnął się głęboko. Rozpoznał słodkawy smak drogiego tureckiego tytoniu.

– No cóż – powiedział – jeżeli to nie jest żart, to może jedno z was okaże się na tyle uprzejme, aby powiadomić mnie, o co tu chodzi, do ciężkiej cholery. Nie mam zamiaru bawić się w Matę Hari dla ubogich.

– W porządku – zgodziła się Katherine. Przez następnych piętnaście minut przekazywała Blackowi wszystko to, co sama wiedziała, łącznie z rewelacjami Maxwella Knighta. Przez ten czas przejechali Maida Vale i Belsize Road, nadal kierując się na północ. Black martwym wzrokiem wpatrywał się przed siebie. Opowieść Katherine brzmiała zupełnie szaleńczo, ale musiała zawierać ziarno prawdy.

– Spisek w spisku, konspiracja w konspiracji. A teraz musimy poprowadzić naszą własną wojnę.

– A Fleming? Co on ma z tym wspólnego? – Inspektor spojrzął na siedzącego obok mężczyznę.

– Znam Knighta od dawna – powiedział Fleming. – Pracowaliśmy już kiedyś razem. Spytał mnie, czy nie mógłbym pomóc. Zgodziłem się. – Zmarszczył brwi. – Nie wspominając o tym, że mam także osobiste powody, aby interesować się tą sprawą.

– Jane Luffington?

– Tak.

– To szaleństwo! Pan ma powiązania z Admiralicją i wywiadem marynarki wojennej, Katherine została zdemaskowana jako agent obcego wywiadu, a mnie odebrano śledztwo. Liddell nie owijał w bawełnę: albo zrezygnuję, albo zostanę oskarżony. Z waszych słów wynika też, że jestem pod obserwacją.

– To, co Liddell mówi, a to, co robi, niekoniecznie musi się pokrywać – stwierdziła Katherine.

– To znaczy?

– Liddell został zmuszony do zawieszenia śledztwa w sprawie człowieka zwanego Doktorem i zaprzestania pościgu za Kubą Pedalem. Nic nie może na to poradzić, przynajmniej nie wprost. My jesteśmy w tej chwili jego jedyną szansą.

– Nie będzie panu przeszkadzać – wtrącił Fleming. – Jest mnóstwo biurokratycznego zawracania głowy, ale nikt nie może pana powstrzymać przed kontynuowaniem śledztwa na własną rękę. Oficjalnie ma pan urlop. Do wieczora zdejmą obserwatorów, i już! Morris Black nie stanowi już problemu. Tylko tyle Liddell mógł zrobić. – Młody oficer skrzył kierownicą. Wjechali na West End Lane.

– Kuba Pedał jest kluczem do wszystkiego – podsumowała Katherine. – Kuba Pedał i ten Niemiec Liddella. Ale nie zostało nam zbyt wiele czasu.

Znaleźli się w Hampstead. Poniżej, daleko za nimi, miasto skryło się za welonem padającego śniegu. Po obu stronach drogi wyrastały bez końca podmiejskie domki. Z kominów unosiły się ledwie dostrzegalne smugi dymu. Okna zostały już dokładnie zasłonięte, zgodnie z przepisem o zaciemnieniu, drzwi zaryglowane w obawie przed tym, co mogła przynieść noc.

– Gdzie jesteśmy? – Black bywał w Hampstead dość często, ale nie znał tych zaułków, ukrytych w pewnej odległości od głównych ulic.

– Byron Villas – powiedział Fleming, zatrzymując samochód. Black spojrział przez okienko. Po lewej stronie ciągnął się rząd piętrowych domków z cegły, o łupkowych dachach i żelaznych furtkach w poplamionym i popękany betonowym murze, które zdobiły drewniane skrzynki na kwiaty, na wpół wypełnione teraz śniegiem.

Tuż przy końcu uliczki ział czernią wielki krater, zabezpieczony przez prowizoryczną drewnianą barierę. Ostatnie dwa domki obok leja zostały poważnie uszkodzone przez wybuch. Okna powypadały, drzwi bujały się na połamanych zawiasach, a dachy częściowo spłonęły.

– Interesujące – skomentował Black sucho. – Miła okolica na spędzenie urlopu.

– Lepiej wygląda niż moja – odciął się Fleming. – W zeszłym tygodniu straciłem dom podczas bombardowania. – Wyłączył silnik. – To pomysł Knighta.

Mieszkańcy zostali ewakuowani na jakiś czas. Nikt tu nie będzie panu przeszkadzał. – Odwrócił się i uśmiechnął. – Trafił pan w sławne miejsce, szczerze mówiąc. Właśnie tu D.H. Lawrence napisał „Tęczę”.

– No, cóż – powiedział gorzko Black – to całkowicie zmienia postać rzeczy. – Westchnął. – Wszystko pięknie, ładnie, ale jak mam ciągnąć śledztwo bez moich akt i notatek?

– Zadbaliśmy o to – stwierdziła Katherine, otwierając drzwi. – Twój asystent został przeniesiony Bóg wie gdzie, ale zdołał skopiować całość dokumentów, zanim Butler przejął akta. Knight przysłał je nam przez jednego ze swoich ludzi.

– Musicie być z siebie dumni. Pomyśleliście niemal o wszystkim.

– Niemal – zgodził się Fleming. – Pański asystent, zdaje się Swift?

– Tak?

Fleming uśmiechnął się.

– Wyprzedził mędrków z Bletchley Park. Zdołał rozszyfrować wiadomość ze Szwecji. Klucz był w magazynie „National Geographic”. Sprawdzam teraz ich listę subskrybentów, szukając potencjalnych powiązań.

– Czy nie przyszło wam do głowy, że jestem już zmęczony i chory od całej tej sprawy? Że może nie chcę przyłączyć się do waszej wspaniałej zabawy? – powiedział Black ze znużeniem w głosie.

– Ani przez chwilę – odparła Katherine, uśmiechając się słodko. – Przecież jesteś gliną, Morris, czyż nie?

Doktor Charles Tennant siedział w czytelni czasopism biblioteki w Brighton, kartkując opasłe roczniki „Sussex Daily News” i „Brighton Argus” z roku 1914. Caidin, dyrektor szkoły Wick Hall, absolutnie odmówił wszelkiej pomocy, kiedy poznał cel wizyty Tennanta. Jednakże poźółkłe gazety opowiadały całą historię wystarczająco dokładnie.

Poppet z wrodzoną sobie głupotą przekazała przyjacielowi szczegóły pechowej podróży Blacka do Coventry. Historia ta miała fatalny wpływ na wszystkich, zwierzała się. Liddell uprzykrzał życie całemu zespołowi departamentu B, jej samej nie wyłączając. Obowiązywała ich teraz ścisła tajemnica i zintensyfikowanie rytmu codziennej pracy. Nie było już mowy o wcześniejszych wyjściach i długich lunchach.

Poppet, podczas swoich nie kończących się tyrad w łóżku, okazała się także na tyle uprzejma, aby powtórzyć Tennantowi nazwisko, którego Kuba Pedał używał w Coventry – Bernard Timothy Exner. Dodała też, że okazało się, iż nikt taki nie istnieje, a przynajmniej nie ma na to nazwisko karty identyfikacyjnej.

Jednak informacja zagnieździła się w umyśle Tennanta. W tydzień później psychiatra zdołał znowu odwiedzić Centralne Archiwum Scotland Yardu. Tam odkrył tajemnicę nieuchwytnego Exnera. Bernard Timothy Exner, urodzony w Nottingham 11 sierpnia 1903 roku, już nie żył. Został zamordowany w pobliżu Cold Dean w Sussex 23 września 1914 roku.

Od dnia swojej pierwszej wizyty w Yardzie Tennant spędził sporo czasu na poszerzaniu i poprawianiu charakterystyki Kuby Pedafa. Historia Exnera starannie zapisana na pożółkłej karcie stanowiła ostateczny dowód jego teorii.

Kuba Pedaf nie bez powodu podał Trenchowi to właśnie nazwisko. Musi istnieć jakieś powiązanie pomiędzy zamordowanym trzydzieści sześć lat temu chłopcem a grasującym podczas bombardowań szaleńcem. Ale jakie? Tennant nie był detektywem. Jego dochodzenie wymagało pewnej dyskrecji, ale w końcu wytropił ślad Exnera w drugorzędnej szkole, położonej o kilka mil na północ od Brighton: Wick Hall School.

Napisał do dyrektora, pytając o warunki zapisania dziecka i poprosił o możliwość zwiedzenia szkoły. Bardzo szybko wyznaczono mu datę spotkania. Nie wielu rodziców miało ochotę oddawać swoje pociechy do szkoły znajdującej się na szlaku spodziewanej inwazji. Jednak w momencie, kiedy dyrektor odkrył zainteresowanie Tennanta niemal zapomnianym morderstwem, pokazał niedoszłemu klientowi drzwi. Potem Doktor odwiedził bibliotekę na Church Street, ale przedtem zdołał dyskretnie schować do teczek egzemplarz „Wick Hall Annual”.

We wrześniu i październiku roku 1914 gazety londyńskie wypełniały doniesienia o bitwie nad Marną i pierwszych lotach zeppelinów, ale lokalne dzienniki w Brighton na pierwszych stronach podawały wiadomości o Exnerze, jedenastoletku, który zaginął, a kilka dni później został odnaleziony w pobliskim parku. Chłopca bestialsko torturowano, zgwałcono, a w końcu zamordowano.

Bernard był lubiany przez kolegów, pomimo tego, że, jak zaznaczył Oswald Freeman, dyrektor szkoły, jego rodzina „zajmowała się handlem” i nie pochodziła z wyższych sfer. Ojciec Bernarda zajmował się produkcją rowerów. Exner Flight był jego najlepiej znanym modelem, którego kilkaset sztuk przekazano na użytek armii we Francji.

Kilku nauczycieli wypowiadało się na temat chłopca, jego błyskotliwej inteligencji i zdolności, zwłaszcza w dziedzinie matematyki. Twierdzili, że Exner nie posiadał wrogów. Zważywszy na bestialstwo mordu, którego szczegółów nie podano w gazetach, lokalna policja szybko doszła do wniosku, iż mordercą musiał być jakiś włóczęga, może uciekinier za szpitala dla psychicznie chorych. Zapewne człowiek ten zdołał porwać dziecko z terenu szkoły, a potem, po jakimś czasie, zamordować.

Relacje prasy zawierały jedynie mgliste aluzje przebiegu wydarzeń. Sugerowały jednak brutalne molestowanie seksualne i mówiły o zadaniu śmierci przez uduszenie.

Historiami tymi zabawiano lokalnych czytelników przez niemal dwa tygodnie, a potem, kiedy policja nie była w stanie poczynić żadnego postępu, przestały się ukazywać. Raport koronera, umieszczony w trzecim tygodniu października na podrzędnej stronie pod zawiadomieniami sądowymi, obwieszczał, że Bernard Timothy Exner zmarł wskutek przestępczego czynu popełnionego przez nieznaną osobę bądź osoby. Zwłoki dziecka zostały zabrane do Nottingham i tam pochowane. Historia wydawała się zamknięta. Aż do dziś.

Tennant odłożył na bok gruby tom, po czym wyjął z aktówki oprawioną w płótno kronikę, którą zdołał ukraść z biblioteki szkolnej, zanim dyrektor wyrzucił go

za drzwi. Siedząc samotnie w czytelni przewracał powoli karty. W końcu odnalazł na zdjęciach Bernarda Exnera.

Z fotografii patrzył na niego chłopiec ze sztucznym uśmiechem na niewinnej twarzy. Jasnowłosa, w szkolnej czapce i mundurku. Prawa skarpeta lekko opadała, a na kolanie widać było resztki strupa. Obok kilku innych uczniów wpatrywało się w przestrzeń, identycznie pustym wzrokiem. Doktor uważnie przyglądał się ich twarzom, mając nadzieję na odnalezienie jakiegoś znaku.

Bernard Exner pojawił się w kronice jeszcze cztery razy: na zdjęciu drużyny krykieta w 1913 roku, jako członek klubu szachowego juniorów i seniorów oraz jako kapitan klubu matematycznego. Zgodnie z podpisami Exner zajął drugie miejsce w swoim przedziale wiekowym w Krajowym Młodzieżowym Turnieju Szachów i szóste w ogólnej klasyfikacji.

Tennant przerwał na chwilę, oderwał wzrok od kroniki. Szachy. Poppet mówiła, że właśnie z powodu szachów Morris Black pojechał do Coventry. Kuba Pedal wybierał swoje ofiary z listy członków Towarzystwa Szachów Korespondencyjnych. Doktor kartkował księgę tam i z powrotem, porównując nazwiska w spisach juniorów, seniorów i uczestników szkolnego klubu szachowego, a także klubu matematycznego. Powtarzali się tam, oprócz Exnera tylko trzech chłopcy, George Le Fanu Gurney, Raymond Loudermilk i John Pastermagent. Gurney był członkiem klubu matematycznego i szachowego juniorów a Loudermilk i Pastermagent – najwyraźniej nieco starsi – należeli do klubu szachowego i matematycznego seniorów.

Pastermagent uczestniczył także w zajęciach szkolnego klubu szachowego, co zapewne oznaczało, że pojechał tamtej wiosny na turniej szachowy razem z Exnerem. Wszystko nagle nabrało sensu. „Profil” Kuby Pedala dowodził, że człowiek ten doznał traumatycznego przeżycia w okresie wczesnego dojrzewania, około dwunastego lub trzynastego roku życia. Jego ofiara musiała być młodszą i bardziej bezwolną. To prawdopodobnie wykluczało Gurneya.

Działając w natchnieniu, Tennant wypożyczył lokalną księgę adresową, po czym wrócił z nią do czytelni. Spojrzał na pozostałe dwa nazwiska. W spisie nie figurował żaden Loudermilk, ale był J. Pastermagent, mieszkający w Hove, na przedmieściach Brighton. Umieszczono także adres sklepu: J. Pastermagent, sprzedaż dywanów, The Lanes 21, Brighton.

– Mój Boże – szepnął do siebie Tennant. – To nie może być aż tak proste.

Teraz pozostawało już tylko jedno. Zapisał adres w swoim notatniku, schował „Wick Hall Annual” do aktówki i spojrział na zegarek. Tuż po piątej. Jeżeli będzie miał szczęście, to okaże się, że sklep „J. Pastermagent, sprzedaż dywanów” jest jeszcze otwarty.

The Lane znajdowała się tuż za East Street i stanowiła płataninę alejek, pełną ruchu i gwaru nawet teraz, pod koniec dnia. Kiedy Tennant dotarł tam, padał już gęsty śnieg.

Sklep Pastermagenta był niewielki, wciśnięty w cień wielkiego domu handlowego Harringtona. Trwała wojna, ale przecież nadeszło Boże Narodzenie. Ludzie skuleni z zimna przedzierali się przez zaśnieżone chodniki, wydychali kłęby pary i spieszyli do domów, by zdążyć przed zapadnięciem zmroku.

Pastermagent zdążył już opuścić rolety w witrynie sklepu. Przez chwilę Tennant myślał, że się spóźnił, ale klamka ugięła się pod jego dłonią. Zadzźwięczał dzwonek. Doktor zamknął za sobą drzwi i rozejrzał się po wnętrzu sklepu. Ściany zawieszane były dywanami wszelkiego rodzaju, jedwabnymi i wełnianymi, kosztownymi i tańszymi, chińskimi, perskimi i tureckimi.

Zrolowane dywany leżały też w stosach na podłodze. Wielokolorowa piramida piętrzyła się obok delikatnego biurka z ciemnego drewna, ozdobionego intarsjami z kości słoniowej i macicy perłowej.

Za biurkiem siedział ciemnowłosy, szeroki w barach, młodo wyglądający mężczyzna. Najwyraźniej toczył walkę z nieporęczną maszyną do liczenia. Jedną ręką obracał dzwignię, drugą naciskał klawisze. Spojrzał na zbliżającego się Tennanta.

– Cholerny grat – zamruczał. – Mojemu ojcu wystarczyły liczydła, a ja utknąłem z czymś takim. – Gniewny grymas znikł. Mężczyzna z szerokim uśmiechem, wstał zza biurka i obszedł je dookoła. – Przepraszam. Nie wolno być małostkowym. – Roześmiał się. – No cóż, Gwiazdka to czas dla kupców. – Przerwał i pokręcił głową. – Przepraszam – powtórzył. Typ urody Pastermagenta wyraźnie wskazywał na obce pochodzenie, ale jego wymowa świadczyła o dobrym wykształceniu i była pozbawiona jakichkolwiek cudzoziemskich naleciałości.

– Pan Pastermagent?

– Tak. – Kiwnął głową. – Ale tego „t” na końcu się nie wymawia. Pastermagent. – Roześmiał się. – No cóż, wszyscy się przy tym myślą, więc chyba powinienem się już przyzwycząić. – Wyciągnął dłoń na powitanie. Jego uścisk był mocny i energiczny. Jeżeli to jest Kuba Peđał, cała teoria bierze w łeb.

– Nazywam się Tennant. Doktor Charles Tennant. Jestem psychiatrą.

– Przypuszczam, że nie przyszedł pan po to, aby kupić dywan?

– Nie.

– Tak też sądziłem. Nie wyglądał mi pan na to. – Pastermagent wzruszył ramionami i rozłożył bezradnie ręce. – Niewiele osób teraz kupuje dywany. – Jego nastrój znowu uległ zmianie, powrócił promienny uśmiech. – Napije się pan kawy?

– Z przyjemnością – odpowiedział uprzejmie Tennant. Pastermagent wrócił za swoje biurko. Napełnił dwie małe filiżanki ze stojącego na stole samowara, dodał po kilka łyżeczek cukru i wręczył filiżankę Tennantowi. Potem poprowadził gościa w stronę stosu dywanów w kącie i wygodnie się na nich usadowił. Tennant, balansując ostrożnie filiżanką i talerzykiem poszedł w ślady gospodarza. Siedząc już, pociągnął łyk gorącego naparu. Był niezwykle mocny i słodki jak ulepek. Doktor poczuł fusy w ustach i spojrzał w głąb filiżanki. Wydawało się, że do połowy wypełniona jest ciemnym szlamem.

– Podejrzana sprawa, co? – uśmiechnął się Pastermagent. Skosztował kawy i oblizał usta. – To egzotyczny smak. Obawiam się, że nic innego nie mam. Poruszy pana trochę. Całkiem jak środek przeczyszczający. Mój ojciec zwykł mawiać, że fusy czyszczą wnętrze lepiej niż lewatywa. – Znowu wybuchnął śmiechem. – Musiał wiedzieć, o czym mówi, bo miał sto dwa lata, kiedy umarł. – Znowu zmienił mu się nastrój. Uśmiech gdzieś przepadł, zastąpiło go czujne spojrzenie. – Przyjechał pan z Londynu, prawda?

- Tak.
- A więc dlaczego psychiatra z Londynu wysiaduje w ormiańskim sklepie z dywanami w Brighton?
- Uczęszczał pan niegdyś do Wick Hall School, jak mi się wydaje.
- Ormianin kiwnął głową.
- Przyznaję się do winy, doktorze. Najgorsze siedem lat mojego życia. Ojciec chciał, abym został angielskim dżentelmenem. On to potrafił zrobić zamieszanie, ten mój tata. Uważał, że nie ma nic lepszego niż wpuścić kota między gołębie.
- Nie rozumiem.
- Byłem „brudasem” – wyjaśnił Pastermagent bez śladu gniewu w głosie. – Wysmarowanym smołą i tak dalej. Doprowadzałem dyrektora do szału, ale nic nie mógł na to poradzić. Mój ojciec zaopatrywał szkołę w różne dobra – piłki do krykieta, książki do biblioteki, fundował stypendia. Tego rodzaju sprawy. Członkowie Rady Szkolnej go uwielbiali, ale Sowa nie mógł znieść jego widoku, mojego zresztą też.
- Sowa?
- Freeman, dyrektor. Okulary grube jak denka od butelek. Nic bez nich nie widział. Sir Oswald Freeman. Mam nadzieję, że nie zagnał spokoju w grobie. Sadystyczny stary pedał.
- Znał pan pewnego chłopca, jak mi się zdaje, Bernarda Exnera – powiedział Tennant powoli, uważnie obserwując reakcję mężczyzny. Czy Pastermagenta rozszerzyły się.
- Mój Boże, nie myślałem o nim od wieków. „X - znaczy miejsce” Exner. – Pokręcił głową. – Biedny szczeniak.
- Został zamordowany.
- Zgadza się.
- I nigdy nie znaleziono zbrodniarza.
- Nie. – Pastermagent znowu pokręcił głową. – To było chyba dwadzieścia pięć lat temu.
- Dwadzieścia sześć.
- Racja. – Kiwnął głową. – Mam teraz trzydzieści dziewięć, a więc wtedy miałem...
- Trzynaście.
- Chyba tak. Byłem już w starszej klasie, w piątej, o ile pamiętam. Exner chodził do trzeciej. Obaj należeliśmy do szkolnej drużyny szachowej. Niedługo przed jego śmiercią pojechaliśmy na krajowy turniej.
- Tak, wiem.
- Wspaniale rozegrał ostatnią partię – wspominał Pastermagent. – Alfabet nazywał go „Myślącą Maszyną”, na cześć detektywa z powieści Jacquesa Futrelle’a. Tennant zamrugał. Nie rozumiał ani słowa z tego, co mówił ten człowiek.
- Alfabet?
- Ormianin roześmiał się.
- Przepraszam. Naprawdę wysłał mnie pan w podróż w czasie. Alfabet to Crawley. Alfred Benjamin Crawley. Zmieniliśmy jego inicjały A.B.C. w przewi-



sko. Alfabet. Mieliśmy takie przydomki dla każdego. Mnie nazywano Trzepaczka – jak trzepaczka do dywanów. – Westchnął i łyknął kawy. – Dawno nie myślałem o nich wszystkich, doktorze.

– A czy kiedykolwiek zastanawiał się pan, kto zabił Exnera?

– Od lat już nie.

– A wtedy?

Pastermagent zmarszczył brwi i odstawił filiżankę.

– Miałem pewne podejrzenia – powiedział w końcu. – Kilku z nas miało.

– Czy doszliście do jakiegoś wniosku?

– Mogę zapytać, dlaczego to pana interesuje? – spytał Ormianin. – Chyba nie podoba mi się temat naszej rozmowy.

– Śmierć Exnera ma powiązania z innym dochodzeniem.

– Pracuje pan dla policji?

– Czasami. – Skłamał tylko częściowo.

– Więc dobrze. – Pastermagent starannie dobierał słowa. – Żaden z nas ani przez chwilę nie uważał, że to zrobił ktoś obcy. Exner był młody, to prawda, ale przecież nie głupi. Mieliśmy całkowitą pewność, że nikt nie mógłby go zwabić cukierkami czy czymś podobnym.

– Jakiś nauczyciel?

– Dobry Boże, nie! – powiedział Pastermagent, śmiejąc się głośno. – Większość z nich była całkiem zastraszona. Usiłowali uniknąć poboru, jeśli już pan pyta. Żaden z nich nie ważyłby się. – Zamyślił się na chwilę. – Jeszcze była kwestia łuku i strzały.

– Nic o tym nie wiem.

– Nie pisano o tym w gazetach, o ile pamiętam. – Pastermagent znowu przebrał. – Kiedy znaleziono Exnera, odkryto, że został postrzelony.

– Strzałą?

– Właśnie tak. Z bełtem z gęsiich piór. Wszyscy je robiliśmy. To znaczy, wszyscy chłopcy. Wzór prosto z powieści sir Waltera Scotta. – Pastermagent uśmiechnął się. – Teraz to zapewne byłby Errol Flynn. Niektórzy z nas obłamywali gałęzie cisu rosnącego przy szkole, ale raczej używaliśmy jesionu z podjazdu. Strącaliśmy orzechy z drzew. Czasem robiliśmy groty z blachy.

Tennant ze zrozumieniem pokiwał głową. Broń używana przez Kubę Pedala przypominała grot strzały.

– Młody Exner został trafiony taką strzałą?

– Tak. W udo. Wystarczająco skuteczne, aby utrudnić mu ewentualną ucieczkę. Niebyt wielu Cyganów czy włóczędzów zabawia się w Indian.

– A więc uważa pan, że to był któryś z chłopców?

Pastermagent zawahał się przez chwilę.

– Zapewne – powiedział w końcu.

– Czy podejrzewał pan kogoś?

– Loudermilka – stwierdził beznamiętnie sprzedawca dywanów. W jego głosie nie było żadnych wątpliwości.

– Raymond Loudermilk? Drużyna szachowa i klub matematyczny?



Pastermagent spochmurniał.

– Tak, właśnie ten.

– Mówi pan o tym z dużą pewnością.

– Tak.

– Dlaczego?

– Właściwie nie wiem – stwierdził Ormianin, drapiąc się po brodzie. Wstał i podszedł do biurka. Otworzył szufladę, wyjął płaskie metalowe pudełko z białą nalepką i małą miedzianą popielniczkę. Znowu usiadł i podsunął Tennantowi tureckie papierosy. – To odrobina snobizmu. Równie dobrze mógłbym palić zwykłe, ale ludzie oczekują ode mnie egzotyki. – Prychnął. – Mój ojciec palił nargile. Klienci uważali, że to ogromnie malownicze. – Uśmiechnął się szeroko. – Spryt-ny drań, ten mój tatuś. Miał w zanadrzu tysiące takich małych sztuczek.

Wzięli po papierosie. Ormianin spojrział w sufit.

– Raymond Loudermilk – powiedział psychiatra, naciskając lekko.

– Tak, wiem. Myślę.

– Czy dobrze go pan znał?

– Nie. Chyba nikt go naprawdę nie znał.

– Należał do szkolnego klubu szachowego i matematycznego. To brzmi jak-  
by był dość towarzyski.

– Niezupełnie. Jeśli byłeś dobry w jakiejś dziedzinie, Sowa nalegał, żeby przyłączyć się do odpowiedniego klubu. Na przykład, mój przyjaciel Crawley dość kiepsko się uczył, ale za to doskonale biegał, więc trafił przymusowo do drużyny sportowej. Nienawidził tego, o ile sobie przypominam.

– Czy Loudermilk był dobry z matematyki?

– Wręcz genialny, powiedziałbym. Zwłaszcza, jeśli chodziło o zagadnienia praktyczne. Trygonometria, mechanika. Robił w warsztatach wspaniałe rzeczy. Ale brakowało mu wyobraźni. To samo dotyczyło szachów.

– Niezły gracz?

– To mało. Raczej znakomity. Bez polotu, ale świetny technicznie i niesamowicie dokładny. Wydaje mi się, że jakoś nazywają tego typu umysłowość. – Pamiętał każdy ruch turniejowych mistrzów, ale nie potrafił sam niczego wymyślić. Nie to, co Exner.

– Czy przyjaźnili się?

– Nie zauważyłem.

– Co jeszcze pamięta pan o Loudermilku?

– Samotny. Małomówny. Dużo rozmyślał. Wydaje mi się, że jego ojciec był wojskowym. Może kapelanem? – Pastermagent wzruszył ramionami. – Coś mi się mgliście majaczy, że przez jakiś czas mieszkali w Indiach. – Ormianin zaciągnął się papierosem. – On zawsze wydawał się jakiś... inny. Odmieniec. Nie pasował do nas. Alfabet Crawley był synem lorda, a mój ojciec sprzedawał perskie dywany, ale stanowiliśmy parę najlepszych przyjaciół. Podejrzewam, że działa się tak dlatego, że mieliśmy wspólnego wroga.

– Sowę?

– Wszystkich nauczycieli. Szkołę, rodziców. My przeciwko nim.

– A Loudermilk?  
– Wyglądało jakby nie miał ani przyjaciół, ani wrogów. On żył w innym świecie. Rozumie pan?

– Tak mi się zdaje. – Tennant przerwał. – Czy wie pan może, co się z nim stało?

– Nie mam pojęcia. Po wakacjach nie wrócił już do szkoły. Pamiętam, krążyły jakieś plotki, że jego ojciec zginął we Francji czy w Belgii. Zapewne nie stać ich było później na edukację tego rodzaju. – Pastermagent westchnął. – Nie tylko jego. To samo zdarzyło się z Fannym. – Uśmiechnął się. – George Gurney. Świetny kumpel. Zabrali go w środku semestru. Smutne. Wojna odmieniła cały nasz ówczesny świat. Podejrzewam, że to samo zdarzy się i teraz. – Uśmiechnął się blade i dodał: – Jeśli chodzi o handel dywanami, już się zdarzyło.

– Nadal nie jestem pewien, dlaczego tak bez wahania wskazał pan na Loudermilka.

– Chodził pan do prywatnej szkoły, jak sądzę?

– Do Eton.

– A więc wie pan, jak wygląda życie w takim miejscu? Szkoła tego typu to nic innego jak dżungla dla dobrze urodzonych dzikusów.

– Całkiem trafne określenie – pochwalił Tennant.

– W Eton czy Wick Hall trzeba nauczyć posługiwać się instynktem, a nie intelektem. Niektóre sprawy po prostu się wyczuwa. Przetrwac mogą tylko najlepiej przystosowani. Pamiętam jeszcze coś w związku z Loudermilkiem.

– A mianowicie?

Głos Pastermagenta brzmiał miękko. W oczach błysnął wyraz zadumy.

– Tak naprawdę zdałem sobie sprawę z tego dopiero, kiedy on odszedł. Może miało to coś wspólnego z biednym Exnerem. Crawley też to wyczuł.

– Co wyczuł?

– Niebezpieczeństwo. Pamiętam, jakiej ogromnej ulgi doznałem na wiadomość, że on już nie wróci. Stanowiliśmy stadko niewinnych owieczek, a wilk czaił się wśród nas. I nie wiedzieliśmy o tym.

– To Loudermilk był tym wilkiem?

– O, tak – stwierdził stanowczo Pastermagent. – Wilkiem w owczej skórze. Albo i jeszcze gorzej.

– Gorzej?

– Tak. – Pastermagent przerwał i zmarszczył brwi, zagubiony w przeszłości. – Właśnie sobie przypominałem – powiedział powoli. – O przezwisku.

– Loudermilka?

– Tak. Widzi pan... on był jedynym chłopcem w Wick Hall, który nie miał żadnego przezwiska.

# Rozdział dwudziesty drugi

WTOREK, 24 GRUDNIA 1940 ROKU

## 11.30 CZASU GREENWICH

Doktor Charles Tennant siedział w jednym z ponurych boksów archiwum Somerset House i przedzierał się przez zakurzoną księgę zawierającą zapisy zgonów w latach 1914-1925 osób, których nazwiska zaczynały się od liter *LO* lub *LU*. Pracował już od prawie dwóch godzin i właśnie znalazł to, czego szukał. Małżeństwo Loudermilków: William Cornwallis Loudermilk, czterdzieści dziewięć lat, kapitan, kapelan armii królewskiej, zmarł 15 września 1914 roku oraz Emily Marguerite Loudermilk, z domu Bambridge, czterdzieści jeden lat, zmarła 17 października 1923 roku.

Obok zapisu dotyczącego Williama Loudermilka widniała notatka Ministerstwa Obrony, że prawdopodobnie zginął podczas bitwy nad Marną. Przy Emily zaś dopisano, że zmarła śmiercią gwałtowną na skutek wypadku. Nie podano miejsca pochówku kapitana, ale pani Loudermilk spoczywała na cmentarzu świętego Jana, przy Church Road w Hampstead. A więc w końcu promyk nadziei: archiwa tamtejszego proboszcza mogą zawierać użyteczne informacje. Dysponując właściwymi datami, Tennant nie miał najmniejszego problemu ze znalezieniem danych dotyczących narodzin Raymonda.

Dziecko Loudermilków urodziło się 15 września, 1901 roku. Ojciec chłopca zginął równo trzynaście lat później. Jako miejsce urodzenia wymieniono Chitradurga, prowincja Karnataka, Indie.

Równie ciekawy okazał się odpis aktu ślubu. Widniała na nim data: 21 kwietnia 1901 roku, Jamnagar, Indie. Wszystko wskazywało na to, że trzydziestosześcioletni kapelan szkockich prezbiterian, William Loudermilk i dziewiętnastoletnia Emily Bambridge zgrzeszyli haniebnie: Raymond Loudermilk został poczęty poza małżeńskim łóżem.

Tennant oderwał wzrok od wyblakłego zapisu i patrzył w sufit, zamyślony. Pastor kalwiński uległ pokusie i zapłodnił dziewiętnastoletnią dziewczynę. Po-

wodowany poczuciem winy, w obliczu hańby czy czegoś nawet gorszego, ożenił się z nią, aby zalegalizować narodziny dziecka.

Jak mógł się odnosić do syna, który był niemalże bękartem? Niebył dobrze, to pewne. Raymond stanowił oczywiste świadectwo upadku moralnego ojca, utraty łaski, zawsze obecny dowód słabości. Prawdopodobnie pastor starał się trzymać jak najdalej od tego uosobienia własnego grzechu, a w końcu umieścił chłopca w szkole z internatem w Brighton. Ostateczne odrzucenie nastąpiło, kiedy Raymond wkraczał w wiek dojrzewania, w same trzynaste urodziny. Tydzień później zaginął Bernard Timothy Exner.

Tennant uśmiechając się zamknął księgę. Na początku, całe tygodnie temu, poszukiwanie tajemniczego Kuby Pedąła sprowadzało się do zbierania informacji dla Heydricha, było sposobem na przyspieszenie inwazji i umocnienie pozycji Tennanta w nowym świecie. Teraz coś się zmieniło. Siedząc wśród stert papierów i zakurzonych teczek i akt, Doktor zaczął rozumieć Morrisa Blacka. Polowanie zbliżało się do końca. Rozwiązał zagadkę. Teraz już tylko trzeba było odkryć miejsce, gdzie ukrywa się morderca.

– Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł. – Katherine Copeland siedziała za kierownicą wynajętego samochodu. – To są dziwni ludzie. Podmuchasz im w piórka i zaraz polecą do Liddella.

– Nie mam zamiaru dmuchać w niczyje piórka – stwierdził Morris Black. – Chcę im tylko zadać kilka pytań.

– Ale dlaczego w Bletchley? Nie możesz załatwić tego jakoś inaczej?

– Nie. Nie mogę. A Bletchley doskonale pasuje.

Katherine zwolniła przed ostrym zakrętem, zmieniła bieg i zaklęła pod nosem. Nadal trudno jej było prowadzić wóz po lewej stronie drogi. Londyn pozostał daleko za nimi. Jechali szosą A5 na północ, w kierunku Bedford. Wokół rozciągały się lekko popalowane niziny, nadal przysypane cienką warstwą śniegu, który spadł poprzedniego dnia. Niebo pociemniało, a wiszące nisko chmury zapowiadały kolejną śnieżycę.

– Wyjaśnij mi to jeszcze raz – poprosiła Katherine, kiedy znaleźli się na prostej, pustej drodze. – Uważasz, że szachy stanowią klucz do całej sprawy, tak?

– To jedyny trop, który łączy wszystkie zbrodnie Kuby Pedąła. Element występujący w każdym jego morderstwie. – Detektyw przerwał na chwilę i spojrzął przez okienko, porządkując w myślach fakty. – Kiedy po raz pierwszy przeglądałem rzeczy Rudelskiego, zauważyłem w jego szafce planszę do gry. Myślałem, że chłopak lubił warcaby. Myliłem się, To była szachownica.

Wiemy też, że młody David Talbot pasjonował się szachami. Należał do Stowarzyszenia Szachowego w college'u, a także do Towarzystwa Szachów Korespondencyjnych. Dlatego właśnie namierzył go Kuba Pedął. Grywał w szachy nawet z tym facetem, który prowadzi garaż, Gurneyem. Eddings, mężczyzna zamordowany w Portsmouth, także był członkiem Towarzystwa, podobnie jak Dranie. I Trench. – Black gniewnie zmarszczył brwi, wymawiając to ostatnie nazwisko.

– I dlatego wybierasz się do Bletchley? Nie widzę związku.

– Garlinski powiedział mi pewną ważną rzecz. Wiesz, ten staruszek w Coventry. Wspomniał o człowieku, pełniącym funkcję kapitana brytyjskiej drużyny szachowej podczas mistrzostw w Buenos Aires w zeszłym roku, tuż przed wybuchem wojny. Stuart Milner-Barry. Milner-Barry figuruje na liście, którą dał mi Liddell. Pracuje w Bletchley Park. Podobnie jak Hugh Alexander, który także brał udział w tym turnieju. Inny szachista, Alan Turing, również jest tam zatrudniony. Podczas zawodów był zawodnikiem rezerwowym. Milner-Barry i Alexander, obaj niegdyś zdobyli mistrzostwo Anglii juniorów. A poza tym studiowali w Cambridge, jak Talbot.

– I jak wielu innych ludzi, Morris.

– Rozmawiałem z nauczycielem Davida Talbota. Latem zeszłego roku chłopak pracował jako asystent w laboratorium. U Alana Turinga.

– No dobra, prawie mnie przekonałeś.

– Jane Luffington – mruknął Black. – Przyjaciółka Fleminga. „Wrenka” kursująca codziennie tam i z powrotem pomiędzy Bletchley Park a Londynem. Wierz mi, znajdziemy tu rozwiązanie, a przynajmniej jakąś jego część.

Zgodnie ze wskazówkami Blacka zjechali na wąską szosę, skręcającą na zachód. Jak nakazywały wydane w obliczu zagrożenia inwazją rozkazy, wokół nie było widać żadnych drogowskazów.

– Gdzie mamy się z nimi spotkać? – spytała Katherine.

– W miejscowości o nazwie Fenny Stratford. To niedaleko Bletchley.

Wioska miała tylko jedną większą ulicę, schodzącą z boczem wzgórza aż do rzeki Lofeld. Kiedyś mieścił się tam przystanek dyliżansu do Holyhead. Katherine przejechała przez wąski kamienny most i zaczęli wspinać się pod górę. Minęli neogotycki kościół z czerwonej cegły i znaleźli się w samej wiosce. Po obu stronach ulicy ciągnęły się stare, pobielane domki i kilka sklepów.

– Zatrzymaj się tutaj – powiedział Black. Katherine spełniła polecenie. Wyszli przed gospodą. Staroświecki szyld huśtał się w podmuchach wiatru nad frontowymi drzwiami.

– „The Cock” – przeczytała Katherine i przyjrzała się wielkiemu kogutowi o wybałuszonych oczach i agresywnie rozczapierzonych pazurach.

Weszli do środka.

Była to dość przytulna izba, niewysoka, z belkowanym sufitem, tynkowanymi ścianami i drewnianą podłogą pociemniałą przez trzysta czy czterysta lat ciągłego deptania. Stoły zajmowały lewą stronę, a bar prawą.

W najdalszym kącie oberży siedziało dwóch mężczyzn około trzydziestki. Wyższy z nich, w tweedowym garniturze najwyraźniej za dużym o kilka numerów, entuzjastycznie zajmował się wielką zapiekanką. Jego towarzysz szączył piwo z wielkiego kufła.

– Pan zapewne nazywa się Black – stwierdził niższy z mężczyzn, kiedy inspektor i Katherine podeszli bliżej. – Ja jestem Milner-Barry, a ten Prosiaczek obok to niedościgniony doktor Alexander.

– Hugh – przedstawił się Alexander z ustami pełnymi jedzenia.

– A pani? – spytał Milner-Barry.  
– Katherine Copeland.  
– Jankeska! – wykrzyknął Milner-Barry. Black zauważył, że mężczyzna mru-  
ga nerwowo, jakby speszony obecnością młodej kobiety. – Awangarda Lend-Le-  
ase?

– Niezupełnie – uśmiechnęła się Katherine. – Pomagam inspektorowi Black-  
kowi.

– Oficjalnie?

– Tak – odpowiedział Black, zanim zdążyła otworzyć usta.

– No cóż – stwierdził Milner-Barry. – Sądzę, że powinni państwo usiąść.

– Black odsunął krzesło dla Katherine, potem sam zajął miejsce.

Alexander popchnął kawałkiem chleba ostatni kęs zapiekanki, opadł na opar-  
cie krzesła i westchnął. Black dostrzegł wielką plamę od atramentu w okolicach  
kieszonki na piersi. Stara, wyblakła koszula, pamiętająca niezliczone prania. Koł-  
nierzyk i mankiety były wystrzępione. Inspektor zauważył też, że jedno ze sznu-  
rowadeł naukowca rozwiązane ciągnie się po podłodze.

Podszedł oberżysta. Black zamówił kawę. Katherine poprosiła o to samo.  
Gospodarz kiwnął głową i wrócił za bar.

– Pamiętam, że rozmawiałem z panem jakiś czas temu. Prowadził pan do-  
chodzenie w sprawie morderstwa.

– Zgadza się.

Milner-Barry spojrział na Katherine.

– Czy mam rozumieć, że możemy rozmawiać przy tej młodej damie?

– Ona jest tutaj na moją odpowiedzialność – powiedział Black wymijająco.

– A więc wszystko w porządku. – Milner-Barry odkaslnąwszy, rzucił okiem  
na przyjaciela. Alexander uśmiechnął się błogo i wyciągnął fajkę z kieszeni ma-  
rynarki.

– Sprawdzałem wówczas listę, którą przekazał mi kapitan Liddell.

– Alibi. – Alexander kiwnął głową. – Przypominam sobie. Czary mary, ho-  
kus pokus. Wróg czai się dookoła i inne takie.

– Chyba nie jesteśmy podejrzani – wtrącił się niższy z mężczyzn.

– Nie – uspokoił ich Black. – Nie są panowie. Jednak mam nadzieję, że uzy-  
skam od panów pomoc w śledztwie.

– Przedstawiciel prawa – stwierdził Alexander filozoficznie. Zapalił fajkę  
i wypuścił kłąb dymu w kierunku sufitu. – Milner-Barry – dubeltówka; dwulufo-  
we nazwisko, dwulufowy z natury.

– Wystarczy, Prosiaczkę – powiedział Milner-Barry z surowym wyrazem  
twarzy. Tymczasem pojawił się gospodarz z kawą. Katherine napełniła filiżanki  
dla siebie i dla Blacka.

– W czym moglibyśmy panu pomóc, inspektorze? – Milner-Barry spojrział  
na nadgarstek, zorientował się, że nie ma zegarka na rękę, więc sięgnął do kiesz-  
ni kamizelki. – Mimo wszystko mamy Boże Narodzenie.

– Drzewka do ubrania, pończochy do napełnienia – zamruczał Alexander.  
Wyglądało, że konwersacja szczerze go bawi, a zwłaszcza jego własne wstawki.

Black westchnął. Rozmowa z tymi ludźmi była bardzo trudna. Praca z nimi na co dzień zapewne wymagała cierpliwości Hioba.

– Istnieją czynniki wspólne dla całej tej serii morderstw – zaczął szorstko. – Są to szachy oraz badanie prowadzone w Bletchley Park i prawdopodobnie w Cambridge. Obaj panowie zdobyli tytuły mistrzów w turniejach szachowych, obaj pracują w Bletchley Park i obaj ukończyli Cambridge. A jedna z ofiar pełniła w zeszłym roku funkcję asystenta kolegi panów, Alena Turinga.

Milner-Barry uśmiechnął się blade.

– No cóż zwięźle powiedziane. Naukowe podejście.

– Jak właściwie możemy panu pomóc? – spytał Alexander, prostując się na krześle.

Black wzruszył ramionami i uniósł filiżankę do ust.

– Nie jestem pewien. Po prostu staram się dowiedzieć możliwie najwięcej.

– To tak jak my – stwierdził Alexander.

– Mówił pan, że szachy stanowią ogniwo łączące serię morderstw – przerwał mu Milner-Barry.

– Co pan miał na myśli?

– Morderca wybierał ofiary z listy członków Brytyjskiego Towarzystwa Szachów Korespondencyjnych.

– Dobry Boże! – Alexander wyjął fajkę z ust. – Obaj tam należymy. – Spojrzał na przyjaciela. – Turing zresztą też, jeśli już o tym mowa.

– Podobnie jak sto dwadzieścia sześć innych osób – powiedział Black. – To długa lista.

– Czy sądzi pan, że poszukiwany człowiek jest szachistą?

– Tak. I to dość dobrym. W jednej z rozgrywanych korespondencyjnie partii użył ruchu Retiego.

– Monachium – przytaknął Alexander. – Trzydziesty piąty rok.

– Trzydziesty szósty – poprawił go Milner-Barry.

– Jeśli tak mówisz – mruknął Alexander, posyłając przyjacielowi kose spojrzenie. – Monachium 1936.

– Ta informacja powinna znacznie skrócić pańską listę, jak sądzę – powiedział Milner-Barry poważnym głosem. – Umiejętności na tym poziomie należy się spodziewać raczej od mistrza niż od zwyczajnego gracza.

– A ilu jest mistrzów? – spytała Katherine.

– W tym kraju? – powiedział Alexander. – Może setka. Teraz, podczas wojny, trochę mniej.

– Jak wielu z nich panowie znają? – zapytał Black.

– Większość.

Milner-Barry przytaknął.

– Tak między nami, to chyba wszystkich.

– Jednak nie są to ludzie, po których można by się spodziewać zbrodniczych zachowań – stwierdził Alexander. – W większości naukowcy, jak MB i ja. Czasem jakiś prawnik czy odmieniec z Izby Lordów.

– Oprócz tego, że gra w szachy, ten człowiek zdaje się mieć znaczne zdolności techniczne – Black pomyślał o małym, śmiercionośnym urządzeniu, które widział w laboratorium Spilsbury’ego i o przerażającym drobiazgu wydobytym z szyi Jane Luffington. Doskonały szachista, doskonały mechanik, doskonały morderca.

Milner-Barry wzruszył ramionami.

– Niebył imponujące zestawienie. Szachy i matematyka mają wiele wspólnego. Muzyka zresztą też, co właśnie przyszło mi do głowy. Czy ten wasz facet nie jest przypadkiem muzykiem?

– Nic o tym nie wiem. Czy był w Cambridge ktoś, kto posiadał tego rodzaju wybitne zdolności? Miał osiągnięcia szachowe i matematyczne?

Alexander zastanawiał się przez chwile.

– Nie przypominam sobie. Niech pan sobie wyobrazi, że nie miałem zbyt wielu kontaktów towarzyskich – stwierdził w końcu.

– Ani ja – dodał Milner-Barry, potrząsając głową. Pomyślał przez chwilę, potem zmarszczył brwi. Nagle krzyknął. – Winkle!

Alexander ożywił się.

– Rzeczywiście. Zapomniałem o nim.

– Kim jest ten Winkle?

– Technikiem w laboratorium – wyjaśnił Milner-Barry. – Dobry Boże! Winkle! – Spojrzał na Alexandra. – Robił też różne rzeczy dla Turinga – powiedział cicho. – W Dollis Hill.

– Nie rozumiem – zdziwił się Black. – Dollis Hill? – Co Turing mógł mieć wspólnego z północnymi przedmieściami Londynu, pomyślał.

– I nie powinien pan rozumieć – powiedział cicho Alexander. – Obawiam się, że to ściśle tajne.

Naukowcy wymienili się znaczącymi spojrzeniami.

Black westchnął. Kolejny sekret.

– Zapomnijmy o tym przez chwilę. Co możecie powiedzieć mi o tym Winkle’u?

– Był technikiem, jak już wspomniał MB – stwierdził Alexander. – Mechanikiem, elektrykiem, niemal geniuszem techniki. Jeżeli chodziło o działanie według schematu, dokonywał cudów. Umiał zrobić wszystko, o co tylko go poproszono.

– Czy grał w szachy? – spytał Black.

Milner-Barry roześmiał się hałaśliwie.

– O, tak! Właśnie dlatego o nim pomyślałem. – Przerwał. – Chociaż nie przypominam sobie, żeby grywał zbyt często.

– Nazywaliśmy go naukowcem – idiotą – wtrącił się Alexander. – To właściwe określenie. Potrafił przypomnieć sobie partie rozgrywane dwadzieścia czy trzydzieści lat temu, ruch po ruchu.

– Zrobiliśmy sobie z tego rodzaj zabawy – dodał niższy z mężczyzn. – Mówił pan, na przykład: „Maroczy-Vukovic, Londyn, 1927, obrona Alekhina”, a on odtworzył cały przebieg gry albo na szachownicy, albo po prostu z głowy. Niesamowite.



– Ale był beużyteczny jako szachista – stwierdził Alexander. – Sam nie mógł niczego wymyślić. Całkiem jak lustro.

– Czy mógłby znać pierwszy ruch Retiego?

– Niewątpliwie – powiedział Milner-Barry. – Ale nikt przy zdrowych zmysłach nie używałby teraz tego posunięcia. Obrona jest zbyt dobrze znana, poza wariantem londyńskim. – Matematyk uśmiechnął się. – Gra może stać się niezależna po drugim czy trzecim ruchu.

Black spojrział na swego rozmówcę pustym wzrokiem.

– Muszę uwierzyć panu na słowo.

– Zasadniczo kończy się przegraną w dwudziestym piątym ruchu – dodał Alexander. – Wariant londyński to jedyne wyjście.

– Aha – powiedział Black. Ci dwaj żyli w zupełnie innym świecie, niż jego własny.

– Nazywał się Winkle – wtrąciła Katherine.

– To przezwisko. Nikt nie znał jego prawdziwego nazwiska – Alexander zmarszczył brwi. – Nigdy nie pomyślałem, żeby go zapytać.

– Czy ten człowiek nadal jest w Cambridge? – spytał Black.

– Nie – zaprzeczył Milner-Barry. – Jak mówiliśmy, pracował w Dollis Hill, ale to się kiepsko skończyło.

– Co pan ma na myśli?

– Alan opowiadał nam tę historię. To znaczy Turing. Winkle nigdy nie był specjalnie towarzyski. Raczej typ samotnika. Pewnego dnia po prostu nie wytrzymał. Biegał krzycząc i rozbijając instrumenty. Musiał odejść.

– Zapewne istnieją jakieś zapisy dotyczące jego zatrudnienia?

Alexander wzruszył ramionami.

– Chyba tak. Jednak nie sądzę, aby udało się panu do nich dostać. Nie w wigilię Bożego Narodzenia.

– Czy Winkle był związany z Ministerstwem Pracy? A może został zatrudniony bezpośrednio przez uniwersytet czy laboratorium w Dollis Hill?

Milner-Barry znowu wybuchnął śmiechem.

– Jesteśmy mędrkami, a nie biurokratami, inspektorze Black. Skąd, u diabła, miałbym wiedzieć coś takiego?

– Wydaje mi się, że Charlie Snow mógłby nam pomóc – zasugerował Alexander. – On zapewne wie, a jeżeli nie, to może się dowiedzieć.

– Snow – przytaknął Milner-Barry. – To właściwy człowiek.

– Kto to jest?

– Wykłada fizykę. Trochę niedzisiejszy typ. Jako stypendysta wyjechał z miasta. Śmieszny gnom z małymi stopami i wielką, łysą głową. Robi obecnie coś tajemniczego. Chyba pisze książki. Nudne. C.P. Snow – tak mówi o sobie.

– Ja nazwałbym go pompatycznym dupkiem – wtrącił Alexander. Uśmiechnął się. – Ale to tylko moja, odosobniona opinia.

– Dlaczego ten Snow miałby coś wiedzieć o Winkle’u? – spytał Black.

– No cóż, na tym polega ta praca – powiedział Milner-Barry. – To jego wkład w wojenny wysiłek narodu.

– Pisanie książek? – zdziwiła się Katherine.  
– Nie, słoneczko – Milner-Barry mrugnął do niej zalotnie. Według mnie literatura i wojna raczej nie idą w parze. Charlie pracuje przy zatrudnianiu i zwalnianiu ludzi. Jest jedynym z tych tajemniczych oficerów powiązanych z Ministerstwem Obrony. Wydział Personelu Naukowego.

Wkrótce Morris Black i Katherine Copeland podziękowali obu mężczyznom za pomoc i opuścili gospodę. Nadeszło już popołudnie, znowu padało. Było zimno. Płatki śniegu wirowały na przenikliwym wietrze. Dotarli do zaparkowanego po drugiej stronie ulicy samochodu. Katherine otworzyła drzwiczki od strony kierowcy i zastygła, niezdecydowana.

Inspektor zawahał się przez chwilę. Patrzył na śnieg, który przyprószył włosy młodej kobiety, błyszcząc jak klejnoty w przyćmionym srebrzystym świetle. Małe płatki osiadły na rzęsach, a zimno dodało rumieńca policzkom. Katherine była bardzo piękna.

- Ten człowiek, którego nazywali Winkle...
- Tak?
- To on, prawda? – spytała cicho Katherine.
- Tak. – Kiwnął głową, czując absolutną pewność. – To on.

Siedząc na wyściełanej ławce na dziobie łódki, Guy Liddell ziewnął i mocniej otulił się futrzanym kołnierzem płaszcza. Od Morza Irlandzkiego wiał przeraźliwie zimny wiatr. Kapitan podróżował już od wczesnego ranka. Wyruszył z Londynu pociągiem. Koło czwartej dotarł do Blackpool. Tam wsiadł w autobus British Amphibious Air Lines i podjechał na dworzec Squires Gate. Kupił bilet, oddał pracownikowi dworca swoją torbę, a sam wsiadł na małą łódkę, która miała dostarczyć go do samolotu.

Pięćdziesiąt metrów przed nim, kołysząc się na wzburzonych falach jak jakiś wielki prehistoryczny wieloryb, widniała Short S23 Empire Flying Boat. Z miejsca, gdzie siedział Liddell, doskonale było widać napis na frontowej części jej kadłuba: „Cathay”.

Urzędnik sprzedający bilety wyjaśnił Liddellowi, że na wyspę Man wysyłano zwykle o wiele mniejsze jednostki, ale dzisiaj RAF testował nowo zainstalowane na „Cathay” zbiorniki paliwa dalekiego zasięgu.

Wielki samolot został zarekwirowany już na początku wojny. Miał służyć jednostkom Obrony Przybrzeżnej, ale nadal posiadał oryginalny luksusowy wystrój z Imperial Airlines. Co jeszcze korzystniejsze, „Cathay” była naprawdę szybka i drogę poprzez Morze Irlandzkie, pomiędzy Squires Gate a Douglas Bay albo Ronaldsway przebywała w czasie o połowę krótszym niż inne jednostki. Liddell miał znajdować się w powietrzu mniej niż godzinę.

Łódka dotarła do zacumowanego giganta, i omijając wielkie skrzydło, podpełnęła do tylnych drzwi.

Kasjer nie kłamał. Główny przedział na pokładzie pasażerskim przypominał salon w eleganckiej wiejskiej posiadłości. Aksamitne kotary, kanapki i sofy zamiast

zwyczajnych siedzeń, miękkie światło płynące z przyćmionych lamp. Wszędzie grube wykładziny i dywany w łagodnych, miłych dla oka kolorach, delikatnych odcieniach zieleni i błękitu. Liddell był najwyraźniej jedynym pasażerem. Wypatrzył pod oknem wygodny skórzany fotel i rozsiadł się w nim z przyjemnością.

Niemal natychmiast pojawił się steward w białym uniformie. Kapitan zamówił kawę. Zanim ją przyniesiono, cztery umieszczone na skrzydłach silniki, jeden po drugim rozpoczęły pracę. „Cathay” ruszyła z miejsca, nabierając w szybkim tempie prędkości. Po krótkiej chwili znaleźli się w powietrzu.

Znowu pojawił się steward tym razem z tacą, na której wniósł elegancki, srebrny serwis do kawy. Rozłożył mały stoliczek i obsłużył Liddella. Kapitan podziękował krótko, mężczyzna wyszedł. Zostawszy sam, Liddell zapalił fajkę i wlepił wzrok w okno. Ustawiona na stoliku kawa stygła, a on nie zwracał na to najmniejszej uwagi.

Nie mógł przestać się dziwić, jak szybko wszystko się zmieniało; jakby wszelkie głęboko zakorzenione i dawno zastygłe prawa biurokracji nagle przestały obowiązywać. W piątek, dwudziestego, przekazał Desmondowi Mortonowi informacje dotyczące Chipsa Channona, Butlera i innych, wszystko, co nagromadziło się w ich teczkach. Wczoraj, dwudziestego trzeciego, Churchill ogłosił zdumiewające przeszerogowania.

Halifax został wyłączony z gry i w gruncie rzeczy skazany na banicję. Otrzymał stanowisko ambasadora w Waszyngtonie, a tekę ministra spraw zagranicznych objął Eden. Bóg raczy wiedzieć, co się stało z Channonem i Butlerem. Margesson utrzymał się w rzędzie. Jednak Churchill „nagrodził” go stanowiskiem ministra obrony. Był to awans jedynie nominalny, zważywszy na to, że premier sam zajmował się sprawami związanymi z wojną.

Te przeszerogowania dawały promyk nadziei, ale Liddell wiedział doskonale, że tak naprawdę niewiele się zmieniło, przynajmniej w jego własnej sytuacji. Wyglądało na to, że groźba zamachu stanu w imię zawarcia pokoju z Niemcami została, przynajmniej na jakiś czas, odsunięta, chociaż nadal istniała. Na tajnej liście Liddella przekazanej Mortonowi nie figurowali w końcu wszyscy zwolennicy nazistowskich porządków.

Teraz jednak należało się zająć nowym, zdumiewającym problemem. Dlatego właśnie Liddell zajmował to wygodne miejsce na pokładzie „Cathay”. Internowany niemiecki Żyd, Werner Steinmaur, i jego szalone doniesienie.

List tego człowieka przedarł się przez skomplikowaną sieć biurokratycznych układów, przesyłany z działu do działu, aż w końcu w sześć tygodni od momentu wysłania wylądował na biurku Liddella. Do listu i jego tłumaczenia na angielski dołączono krótką, nie podpisaną notatkę z Downing Street 10, oznajmijającą, że kapitan Liddell posiada wszelkie pełnomocnictwa, aby ustalić prawdziwość oświadczenia Steinmaura tak szybko, jak to możliwe.

Steinmaur, przed wojną salowy w szpitalu psychiatrycznym w Berlinie, widział kiedyś pewnego człowieka, zapewne niemieckiego lub austriackiego lekarza, rozmawiającego z Reinhardem Heydrichem. W liście przysięgał, że zauważył tego samego mężczyznę w mundurze oficera Brytyjskiego Korpusu Medycznego, kiedy ten zwiedzał Huyton, obóz dla internowanych, w Liverpoolu.

Oświadczenie owo powtarzało się kilkakrotnie, a Steinmaur był więcej niż chętny, by udowodnić prawdę swoich słów, identyfikując podejrzanego bezpośrednio lub na zdjęciu. W zamian prosił jedynie o bezwarunkowe zwolnienie z obozu. Żadnych więcej żądań nie stawiał. Pragnął tylko odzyskać wolność.

Z początku Liddell przypuszczał, że niezwykle oświadczenie Steinmaura stanowi desperackie kłamstwo człowieka, marzącego o swobodzie, ale stałe wzmianki o „doktorze” nie pozwoliły kapitanowi wypuścić tej sprawy z rąk. W końcu postanowił osobiście porozmawiać z niemieckim Żydem.

Po upływie pół godziny do przedziału pasażerskiego wszedł oficer w mundurze RAF.

– Kapitan Liddell?

– Owszem.

– Obawiam się, sir, że mamy niewielkie problemy z pogodą.

– Tak? – Liddell spojrzął przez okno. Nie było widać nic, poza ślełą ścianą gęsto padającego śniegu.

– Niestety, sir. Wiem, że planował pan lecieć z nami o północy, ale nie sądzę, aby to było możliwe. Za nami szaleje burza, a następna idzie od przodu.

– Chyba nie macie zamiaru zawracać?

– Nie, sir. Jednak kapitan Store twierdzi, że będziemy musieli zostać w Douglas na noc. Może nawet dłużej, jeżeli pogoda pogorszy się.

– Czy znajdę tam jakiś prom?

– Bardzo wątpię, nie w taką pogodę. Wygląda na to, że wszyscy spędzimy Boże Narodzenie na wyspie Man. Przykro mi.

Liddell westchnął. Tylko tego mu brakowało.

– Mnie też. – Sięgnął po filiżankę kawy. Wystygła już jakiś czas temu. Znowu westchnął. – A może mógłby pan poprosić stewarda, żeby przyniósł mi szklaneczkę brandy.

Mężczyzna w mundurze kiwnął głową.

– Oczywiście, sir.

– Dużą, dobrze?

Katherine Copeland i Morris Black dotarli do zaniedbanego domu w Vale of Heath tuż po zmroku. Po opuszczeniu Fenny Stratford milczeli przez całą drogę, rozmyślając o tym, czego się dowiedzieli.

Katherine zajechała przed dom i wyłączyła silnik. Spojrzała przez okienko. Nadal padał śnieg. Ponura, wyludniona uliczka tonęła w całkowitych ciemnościach.

– Co masz zamiar teraz robić? – spytała.

– Niewiele, przynajmniej w tym momencie – odpowiedział Black. – Ten Snow pojawi się w biurze dopiero po świętach. Muszę poczekać.

– Nie o tym mówiłam. Miałam na myśli właśnie święta.

– Nie obchodzę Bożego Narodzenia. Ani Chanuki, jeśli chodzi o ścisłość.

– Nie masz rodziny?

– Ojciec nie żyje. Matka mieszka ze swoją siostrą w Devon. Nie mam nikogo innego.

– Żadnego rodzeństwa?

– Mój młodszy brat, Jakub, umarł kiedy miałem piętnaście lat. Podczas nalotu zeppelinów.

– Przykro mi. Nie wiedziałam.

Black wzruszył ramionami.

– Nie widzę powodu, żeby ci było przykro. Miał tylko pięć lat, ledwo go znałem. To było bardzo dawno temu. – Spojrzał na dziewczynę. – A ty?

– Cała moja rodzina jest w Stanach. To pierwsza Gwiazdka, którą spędzam z dala od domu. Quent Reynolds wydaje jutro lunch u siebie, w Landsdowne House. Chyba się tam wybiorę.

– A dziś?

– Nic. Do domu i spać. Wszyscy mówią, że obowiązuje nieoficjalne zawieszenie broni. Nie powinno być nalotów przez kilka następnych wieczorów. – Przerwała. – Sądziś, że to prawda?

– Zapewne. – Nastąpiła chwila ciszy. – A może wejdiesz na moment? – spytał cicho. – Wydaje mi się, że wyposażyliście z Flemingiem tutejszy barek dość przystojnie. Przynajmniej mogę zaproponować ci drinka.

– Z przyjemnością.

Byron Villas numer 2 był typowym londyńskim domkiem, wzniesionym pod koniec ubiegłego stulecia. Salon, jadalnia i kuchnia znajdowały się na parterze, a trzy niewielkie sypialnie i łazienka na górze. Na piętro wiodły proste schody.

Dom stał pusty i ludzie Knighta wyposażyli go jedynie w niezbędne rzeczy. Podłogi były z drewna i linoleum, pozbawione dywanów z wyjątkiem wytartego Axminstera w salonie, a z mebli dostarczono jedynie konieczne minimum.

Dwa zniszczone, kryte skórą fotele przed elektrycznym kominkiem, w jadalni stół i cztery krzesła, w kuchni składany stolik i dwa stołki. Reszta wyposażenia domu była wspomnieniem o poprzednich właścicielach: tapeta, która nie zdążyła wypłowieć w miejscu, gdzie zapewne przedtem znajdował się kredens, podobne ślady po zdjętych ze ścian obrazach.

Gwoździe ponad każdymi drzwiami wskazywały na to, że mieszkańcy tego domu byli katolikami i wieszali nad wejściem krucyfiks. Na kuchennym linoleum, tuż przed starą, głośno pracującą lodówką, widniała ciemna plama, pozostałość po jakimś zapomnianym kuchennym wypadku.

Morris Black czytał te przekazy z przeszłości równie łatwo, jak drukowane słowa na papierze. Jego własne mieszkanie stanowiło całą księgę takich śladów. Każdy z nich opowiadał o życiu z Fay.

Inspektor znalazł w szafce nad zlewem butelkę brandy. Nalał dwie porcje i zaniósł do salonu. Katherine wyłączyła światła i odsunęła kotary. Stała przy oknie i patrzyła w noc. Black wręczył jej alkohol.

– *A gesund dir in pupik* – powiedział, podnosząc swoją szklaneczkę.

– Czy to toast – spytała Katherine.

– Niezupełnie – odpowiedział, uśmiechając się na wspomnienie dawnych lat. – Tak mawiał mój ojciec.

– Co to znaczy?

– Dokładnie? „Wszystkiego najlepszego dla twojego pępka”. Właściwy toast w jidysz to „*l'chaim*” czyli „za życie”. Można też powiedzieć „*sholem alejchem*” – „niech pokój będzie z tobą”.

– A odpowiedź?

– *Alejchem sholem*. „I z tobą też”.

– *Sholem alejchem*, Morrisie Black.

– *Alejchem sholem*, Katherine Copeland.

Stuknęli się szklaneczkami i wypili, patrząc na łagodnie wirujący śnieg. Po chwili Katherine odstawiła szklaneczkę na parapet, obróciła się i położyła dłoń na ramieniu Blacka. Potem uniosła się lekko na palcach i pocałowała go delikatnie w usta.

– Naucz mnie jeszcze czegoś Morris. Naucz mnie pytania – szepnęła.

– Jakiego?

– „Czy będziesz się ze mną kochać”?

– Nie.

– To odpowiedź na pytanie, czy tylko nie chcesz mnie tych słów nauczyć?

– I to, i to.

– Dlaczego? – spytała cicho. – Dlaczego nie pozwalasz, abym ci siebie ofiarowała, Morris? Wiem, że nigdy byś mnie sam nie poprosił. Dlaczego?

Black westchnął. Wiedział, że do tego dojdzie. Czuł, że zbliża się chwila takiej rozmowy. I wiedział, co musi powiedzieć.

– Zaufanie. Okłamałaś mnie, Katherine.

– Nie miałam wyboru.

– Zawsze jest jakiś wybór.

– Kiedy to stało się ważne, powiedziałam ci prawdę. Boże, Morris, czy wszystko to, przez co przeszliśmy razem, nic dla ciebie nie znaczy? Nie sądzisz, że możesz mi teraz zaufać?

– Sam nie wiem, komu ufać.

– Mnie. Uwierz w to, Morris, proszę.

– Nie wiem też już, w co mam wierzyć.

– Czy tylko dlatego nie chcesz się ze mną kochać?

– Nie.

– Czy to z powodu twojej żony?

– Tak.

– Ona umarła, Morris. Ty żyjesz nadal.

– To nie znaczy, że kocham ją mniej.

– Prosiłam, żebyś się ze mną kochał, Morris. – Katherine odstąpiła o krok. Uwolniła go ze swoich objęć. – Ty zmieniasz to w coś okropnego.

– Przykro mi – powiedział, wiedząc, że ona ma rację. Wcale nie brak pożądania powstrzymywał go; to poczucie winy, wrażenie, że zdradza wspomnienia. Uśmiechnął się sam do siebie. Przywołał obraz Fay, zastanawiając się, co żona

powiedziałyby na jego problem. Zapewne poradziłyby mu, żeby przestał się wygłupiać. Zawsze taka rozsądna i niezmordowanie praktyczna.

Katherine przemówiła cicho w gęstniejących ciemnościach.

– Czy musisz kochać osobę, z którą idziesz do łóżka?

– Zawsze tak myślałem.

– Ja też. Kiedyś. Teraz już nie jestem tego pewna. Jestem pewna tylko jednej rzeczy – że chcę się z tobą kochać. Czy coś w tym złego?

– Nie – powiedział po chwili. Pocałowała go raz jeszcze, przytulając się z całą siłą. Poczuł, jak budzi się w nim odpowiedź. Okrutny ból, który tak długo ścisnął mu serce, nagle zniknął pod wpływem ciepła jej ciała. Dobry Boże w niebiosach. Przebac mi, Fay, pomyślał. Nie. Przebac samemu sobie.

– I co teraz? – zamruczała, nie chcąc tym razem się od niego odsunąć.

– Osądzam.

– Mnie, czy siebie?

– Żadne z nas. Oboje. Świat.

Katherine oparła rękę na piersi Blacka. Drugą ujęła jego dłoń i drżąc przyłożyła do swojego serca.

– Nie jesteś odpowiedzialny za moralność świata, Morris. I nie musisz przypominać o przeszłości. Musisz tylko zawrzeć z nią pokój. – Nastąpiła kolejna chwila ciszy.

– A co z przyszłością?

– Nie ma przyszłości, Morris. Nie dziś.

Na zewnątrz, w ciemnościach, śnieg padał dalej. Niezbyt daleko, na cmentarzu Golders Green, otulił zimną ziemię jak kołdra, ogrzewając Fay w jej wiecznym śnie. Black wyobraził to sobie, uśmiechnął się, a potem spojrzał w dół, w oczekujące oczy Katherine.

– *Vilstu schlofen mit mir?* – powiedział w końcu, jednocześnie zadając i odpowiadając na pytanie.

– Tak.

## Rozdział dwudziesty trzeci

PIĄTEK, 27 GRUDNIA 1940 ROKU

10.00 CZASU GREENWICH

Doktor Charles Tennant jechał swoim bentleyem na południe, kierując się w stronę Cane Hill Mental Hospital. Miasto, które pozostawił za sobą, radowało się krótkim wytchnieniem od nalołów. Żółta mgła, jaka napłynęła poprzedniego wieczoru, aby stopić resztki niedawno opadłego śniegu. Doktor prawie już miał swego człowieka. Jechał teraz szybko, gotowy do ostatniej odsłony w tym spektaklu.

Próba wyśledzenia dziejów Raymonda Loudermilka po opuszczeniu szkoły Wick Hall skończyła się sukcesem, chociaż Tennant obawiał się, że w święta niczego nie działo. Rozpoczynając poszukiwania, założył, że gdzieś pomiędzy 1914 rokiem a terażniejszością Loudermilk musiał wejść w konflikt z prawem. Wykonał więc kolejny telefon do znajomego w Służbach Specjalnych i ponownie uzyskał dostęp do archiwum Scotland Yardu. Na szczęście instytucja ta, podobnie jak i kryminaliści, których ściganiem się zajmowała, nie uznawała przerwy świątecznej.

Przeszukując indeks pod literą „L”, Tennant nie zdziwił się szczególnie, kiedy odnalazł kartę Loudermilka. Zaskakujące było natomiast to, że na owej karcie odnotowano tylko jedno przestępstwo. W lipcu 1917 roku piętnastoletni wówczas Raymond został aresztowany za brutalną napaść na młodszego o trzy lata chłopca. Do awantury doszło podczas jarmarku w Battersea.

Na mocy ustawy o zapobieganiu przestępczości Loudermilka skazano na dwa lata w zakładzie poprawczym. Trzy miesiące później, po serii gwałtownych incydentów, chłopak trafił na oddział dla nieletnich więzienia w Wandsworth. Po sześciu tygodniach znowu doszło do awantury, tym razem ze strażnikiem. Potem nastąpiły dwie próby samobójcze.

Stwierdzono, że Loudermilk nie może przebywać z innymi więźniami, nawet po długim okresie odosobnienia w karczerze. Zgodnie z werdyktem lekarza więziennego, doktora Allana Pearsona, Raymond Loudermilk został skierowany do



szpitala psychiatrycznego – Cane Hill Mental Hospital. W aktach nie zapisano daty zakończenia leczenia. Stwierdzono jedynie, że chłopak nie posiada stałego adresu ani żadnych krewnych.

Doktor Richard Hillman, dyrektor Cane Hill, zdążył już wyjechać na urlop, kiedy Tennant dodzwonił się do szpitala. Lekarz dyżurny, który odebrał telefon, umówił ich na poniedziałek po świętach. Zdenerwowany, że musi czekać prawie trzy dni, Tennant spędził Boże Narodzenie na porządkowaniu dotyczących sprawy notatek.

Wreszcie doczekał się wizyty w Cane Hill. Droga prowadziła przez monotonne przedmieścia. Nie kończące się szeregi jednakowych szeregowych domków przypominały długi, ślepy mur. Tuż za stacją kolejową w Coulsdon krajobraz nagle zmienił się. Znikły klaustrofobiczne uliczki. Po obu stronach szosy rozciągały się pola wśród łagodnych zboczy kredowych wzgórz.

Kierując się wskazówkami atlasu samochodowego, Tennant zjechał z szosy na boczną drogę. Mijał teraz staroświeckie żywopty i farmy. Niedługo potem skręcił znowu i przejechał przez wysoką, kamienną bramę Cane Hill. Aleją porośniętą z obu stron drzewami dotarł do szpitalnego podjazdu.

Cane Hill był to ogromny budynek, pozbawiony wszelkiego stylu. Wzniesiono go na początku wieku, zatrudniając do pracy więźniów. Podobnych instytucji znajdowało się w okolicy kilka. Niedaleko od Farthing Downs mieścił się Netherne Mental Hospital, a nieco dalej na wschodzie Caterham Asylum. Pomiędzy miasteczkami Caterham a Reigate można było napotkać jeszcze kilka mniejszych prywatnych klinik, obliczonych na zamożnych pacjentów.

Szpital Cane Hill składał się z głównego budynku, który otaczały skrzydła – północne i południowe. Dwie mniejsze przybudówki usytuowano na tyłach gmachu. Wszystkie okna budowli były oszklone, starannie zadrutowane i dodatkowo zabezpieczone listwami, co sprawiało szczególnie przygnębiające wrażenie. Pounury charakter tego miejsca podkreślała jeszcze gęsta mgła. Jej welony czepiały się mokrych cegieł jak strzępki podartego całunu.

Tennant został wprowadzony do gabinetu. Za wielkim, metalowym biurkiem siedział doktor Hillman. Dyrektor szpitala dla umysłowo chorych był mężczyzną koło sześćdziesiątki, szczupłym, o krótko przystrzyżonych włosach. Opuszki długich palców lewej dłoni pożółkły mu od nikotyny.

Szczupła, gładko ogolona twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi przywodziła na myśl lisa. Pomiędzy węzłem ciemnoniebieskiego krawata a małym, ostro zarysowanym podbródkiem drgało wystające jabłko Adama. Okrągłe, druciane okulary opierały się na haczykowatym nosie o szerokich nozdrzach. Obrazu dopełniał skromny, niebieski garnitur, spod którego wзираła biała koszula.

Olbrzymie biurko niemal całkowicie świeciło pustkami. Po lewej stronie blatu stał samotny czarny telefon, a po prawej proste drewniane pudełko na listy. Tuż obok spoczywał arkuś ciemnozielonej bibuły. Kilka starannie zatemperowanych ołówków ułożono w idealnie prostej linii, podobnie trzy identyczne pióra wieczne.

Dla przeciętnego człowieka biurko to stanowiłoby zapewne świadectwo schludności właściciela. Psychiatrze powiedziało o obsesyjno-kompulsywnej

neurozie. Doktor Richard Hillman był niemal równie szalony jak jego pacjenci.

– Dzień dobry, doktorze Tennant. – Jego głos brzmiał nosowo, prawie metalicznie.

– Dzień dobry, doktorze Hillman.

Dyrektor Cane Hill wskazał gościowi wyściełane krzesło. Tennant usiadł. Sekretarka dyskretnie wycofała się, zamykając za sobą drzwi. Z pewnej odległości, stłumiony przez grube szyby, dobiegał odgłos silników lotniczych. Spitfire'y w Kenley startowały do ćwiczeń we mgle.

– Moja sekretarka wspominała, że interesuje się pan jednym z naszych byłych pacjentów. – Hillman lewą ręką przesunął po blacie ołówki, a następnie układał je z powrotem.

Tennant kiwnął głową.

– Raymond Loudermilk. Został skierowany tutaj z Wandsworth w 1918.

– Tak. – Ołówki rozrzucone, ołówki uporządkowane. Ruchy dłoni Hillmana rozpraszały Tennanta. Nagle Doktor zorientował się, że siedzący po drugiej stronie biurka lekarz zupełnie nie kontroluje tych nerwowych czynności.

– Czy był pan wtedy dyrektorem Cane Hill?

– Nie.

– A czy znał pan Loudermilka?

– Tak. – Ołówki poruszyły się, potem znowu wróciły na miejsce. – Pracowałem tu już w tym czasie. To był interesujący przypadek.

– To znaczy?

– Chyba najpierw powinien mi pan powiedzieć, dlaczego on pana interesuje.

– Ma to związek z pewnym moim pacjentem.

– Rozumiem. – Hillman nadal nie wyglądał na przekonanego. Ołówki poruszały się nieprzerwanie pod jego palcami.

– Ten człowiek i Loudermilk najwyraźniej mają wiele wspólnego – kłamał gładko Tennant. – Wydaje mi się, że mógłbym opublikować wyniki badań.

– Aha – skinął głową Hillman. Zmarszczył brwi. Palce ciągle poruszały się. Tennant wiedział, co tamten ma zamiar powiedzieć, więc uprzedził swego rozmówcę.

– Oczywiście byłbym bardzo szczęśliwy, mogąc poprosić pana o współautorstwo. – Przerwał. – Oczywiście, jeżeli go opublikuję. – Znowu zrobił pauzę. – Sądzę, że to będzie zależało od tego, czego dowiem się o Loudermilku – dodał z naciskiem. Przedłożył sprawę, obiecał zapłatę.

Dyrektor szpitala uśmiechnął się lekko i kiwnął głową. Palce na chwilę przestały się poruszać. Przejrzysta łąpówka Tennanta zrobiła swoje. Hillman oparł się wygodnie.

– Tak – powiedział, zakładając ręce na płaskim brzuchu. – To może okazać się użyteczne. Loudermilk stanowił naprawdę wyjątkowy przypadek.

– Jaką postawiono diagnozę?

– Ograniczone ego, działania zastępcze, totemizm.

– Nie psychopatia?

Hillman uśmiechnął się z ubolewaniem.

– Ależ nie, doktorze Tennant.

– Słyszałem, że zachowywał się gwałtownie. Wyjątkowo gwałtownie.

– Tylko w granicach neurozy zastępczej – objaśnił Hillman. – Jego gniew kierował się na zastępczy obraz matki. Chłopak nie miał matki, a więc przenosił frustracje na społeczeństwo jako całość. I to właśnie było źródłem agresji.

Tennant pokiwał głową. Hillman najwyraźniej należał do grona postfreudystów. Słowa, które powtarzał, stanowiły wierne echo poglądów Iana Suttie wyrażonych w książce „Narodziny miłości i gniewu”. Suttie był typowym przedstawicielem szkoły brytyjskiej, zajmującym się raczej ezoterycznymi niuansami uczucia niż realnością seksu.

– Wspomniał pan o totemizmie?

– Tak. To jest chyba najbardziej interesujące w tym przypadku. – Hillman znowu uśmiechnął się z wyższością. – Czy słyszał pan o obsesji Loudermilka na tle dzieł Johna Martina?

– Tego malarza? – Tennant mgliście przypominał sobie gigantyczne obrazy, namalowane w dziewiętnastym wieku, sceny religijne, które oglądał niegdyś w Tate. Melodramatyczne przedstawienia biblijnych katastrof i kataklizmów o ile niczego nie pomylił. – Nie, nie wiedziałem o tym.

– Loudermilk był zafascynowany tym artystą, wręcz kompulsywnie. Proszę, pokażę panu coś. – Dyrektor podniósł się z fotela i podszedł do szafek na dokumenty. Znalazłszy właściwą szufladę, wyjął wielką tekę, którą położył przed Tennantem na biurku. Doktor z zainteresowaniem zaczął przeglądać jej zawartość.

Po chwili zorientował się, że patrzy na dokładnie opracowaną wizję piekła. Tuziny starannych ołówkowych szkiców ukazywały różne sceny z Biblii i „Raju utraconego” Milтона, każdy schludnie opisany w lewym, dolnym rogu z podaniem daty i źródła inspiracji. „Pandemonium”, „Most Chaosu”, „Konflikt między Szatanem i Śmiercią”, „Szatan na płonącym jeziorze”, „Zagłada Sodomy”, „Złamanie siódmej pieczęci”, „Potop”, „Dzień gniewu”. Cała seria rysunków poświęcona była tematowi Sądu Ostatecznego. Hillman przeczytał na głos dopisek, którym Loudermilk opatrzył te prace:

*Bóg tronujący w niebiosach pośród wszystkich Świętych surowo patrzy na Anioła Mściciela, niosącego Potępionym w Dolinie Jozafata płomienistą Włócznię Pańską.*

Największy z rysunków, który złożono więcej niż dwa razy, aby zmieścić się w teczce, Loudermilk najwyraźniej skopiował. Znajdowały się na nim dosłownie setki postaci, z których każda została ponumerowana i połączona delikatnymi liniami z innymi bohaterami tej sceny oraz z czubkiem płomienistej włóczni.

– Mamy tu jeszcze jedną teczkę tak grubą, jak ta – opowiadał Hillman, kiedy Tennant oglądał szkice. – Rysunki oparte na planach Martina dotyczących... co to było? – Przerwał na chwilę i zastanowił się. – A, już wiem. „Plany poprawy życia w metropolii.” Zdumiewające, jak na owe czasy. Akwedukty, dziwne linie kolejowe, mosty. Oprócz tego, że doskonale malował, Martin okazał się niezłym inżynierem.

– Wygląda na to, że pan sam wiele się o nim nauczył. – A może nawet dzielił obsesję ze swoim pacjentem.

– To część procesu terapii – Hillman wzruszył ramionami. – Loudermilk nigdy nie powiedział tego wprost, ale uważał, że stanowi nowe wcielenie Martina. Szachy stanowiły tego kolejny dowód.

– Martin był szachistą? – spytał Tennant, zdziwiony.

– O, tak – Hillman przytaknął energicznie. Jego dłoń wróciła do ołówków. – Jednym z mistrzów owych czasów. Co tydzień odbywały się w jego studiu spotkania szachistów. Grywał z sir Robertem Peelem, Constablem, Turnerem, a nawet z Brunelem, tym, który zaprojektował Kanał Sueski.

Tennant zamknął leżącą przed nim teczkę. „Profil” Raymonda Loudermilka został ukończony. Nadszedł czas, aby przejść do bardziej praktycznych zadań.

– Jak długo Loudermilk przebywał tu jako pacjent?

– Trochę mniej niż trzy lata.

– Czy pamięta pan dokładnie, kiedy go zwolniono?

– Ależ nie zwolniono go – powiedział Hillman, marszcząc brwi.

– Przepraszam?

– Myślałem, że pan wie. – Ołówki leżały w doskonałym porządku. Palce powędrowały do piór. – Raymond Loudermilk nigdy nie został zwolniony z Cane Hill. Popenił samobójstwo dwadzieścia lat temu. On nie żyje.

Biuro Charliego Snowa mieściło się w Golden Cross House, nowoczesnym, pięciopiętrowym bloku z portlandzkiego piaskowca, wzniesionym mniej więcej rok temu na miejscu starego hotelu o tej samej nazwie. Budynek był w przybliżeniu trójkątny i wypełniał wysepkę utworzoną opodal Trafalgar Square przez zbieg Duncannon Street, Charing Cross Road i bramy wychodzącej na Strand.

Oficjalnie Snow pełnił funkcję zastępcy kierownika w Zarządzie Oddziału Technicznego Departamentu do spraw Personelu Naukowego, Wydziału Badań Naukowych, który podlegał bezpośrednio Ministerstwu Obrony. Kartonowa wizytówka na drzwiach ujmowała to znacznie bardziej tajemniczo: A.D.Dir/DSR/Dep't Sci. Per. (Tech.Div.)-W.O.

– O Boże! – wyszeptała Katherine, gdy Black zastukał. – A ja myślałam, że Foggy Bottom to dno!

– Foggy Bottom? – Inspektor zmarszczył brwi.

– Nieważne.

Spoza drzwi dobiegł do nich łagodny głos:

– Otwarte!

Weszli. Mieszczące się na najwyższym piętrze biuro było niewielkie. Pojedyncze okno wychodziło na ponurą fasadę Charing Cross Station i replikę trzynastowiecznego Charing Cross, jednego z krzyży ufundowanych przez Edwarda I na drodze, którą szedł kondukt pogrzebowy jego ukochanej żony, królowej Alienor.

– Uważa się, że trudno trafić byka prosto w oko – zagadnął Snow, przyglądając się Morrisowi Blackowi. – Statystycznie rzecz ujmując, to pewnie najbez-

piecniejsze miejsce w Londynie. – Wyszedł z za ciemnego biurka, uśmiechnął się szeroko i poprawił na przypominającym piłkę brzuchu kamizelkę błękitnego garnituru. – Inspektor Black, jak sądzę, a to zapewne panna Copeland.

Ucisnęły sobie dłonie i Snow wrócił za biurko. Black i Katherine usiedli na na prostych drewnianych krzesłach. Za plecami gospodarza, przyczepiony pinezkami do ściany, wisiał olbrzymi arkusz wypełniony nazwiskami i diagramami. Na jego tle mały, korpulentny człowieczek wyglądał na jeszcze niższego.

Charlie Snow przywodził na myśl wróbla. Grube, idealnie okrągłe okulary osadzone na podobnym do dzioba nosie powiększały dodatkowo duże, inteligentne oczy. Głowa miała także doskonale kulisty kształt. Wielką kopułę nagiej czaszki otaczała tonsura ciemnych włosów. Pod pełnymi, niemal kobiecymi ustami rysował się miękko, zaokrąglony podbródek.

– Udały się państwu święta? – zagadnął.

Black rzucił Katherine krótkie, zakłopotane spojrzenie, potem wrócił wzrokiem do Snowa.

– Tak. Owszem.

– To dobrze. Dobrze. – Snow pokiwał wielką głową. Black uśmiechnął się. Wiedział już, kogo ten mężczyzna mu przypomina. Snow wyglądał dokładnie jak Kret z ilustrowanego wydania „O czym szumią wierzyby”, którym Black zachwycił się w dzieciństwie. – Ja na przykład całe święta przepracowałem. Najpierw ta śnieżycą, a potem mgłą. Utknąłem w moim klubie na trzy dni. – Zamrugnął z zadowoleniem. – Przepuszczam, że ten Alexander powiedział wam, iż tak naprawdę jestem pisarzem.

Black niemal wybuchnął śmiechem. Wojna najwyraźniej prowadzona była głównie przez tajemniczych pisarzy, matematyków i bawiących się w szpiegów dziekanów z Oksfordu. Mimo narastającego rozbawienia, odpowiedział jednak dyplomatycznie:

– Wspominał o tym.

– Bóg jeden wie, jakie głupoty musiał wygadywać pod moim adresem. Powinienem być już dawno zwolnić tego małego drania. – Snow znowu się uśmiechnął. – Mógłbym, wiecie? Przecież zatrudniono mnie właśnie do tego rodzaju pracy. – Pokręcił głową. – Nadzwyczajny sposób na udział w wojnie. Wolałbym raczej walczyć gdzieś w polu. W swoim czasie byłem dobrym strzelcem, chociaż nie wypada chwalić samego siebie.

Black usiłował przedstawić sobie Charliego Snowa dźwigającego karabin maszynowy albo obsługującego działko przeciwlotnicze, ale wyobraźnia odmówiła mu posłuszeństwa.

– Alexander i Milner-Barry twierdzili, że być może uda się panu nam pomóc.

– Tak, wspominał pan o tym przez telefon. – Przsadzisty człowieczek wyciągnął środkową szufladę biurka. – Odrobiłem lekcje i przygotowałem wszystko już wcześniej.

– Dziękuję.

Tymczasem Snow znalazł to, czego szukał – pojedynczy arkusz liniowanego papieru. Położył go na blacie przed sobą i zmarszczył brwi.

– Wilkes.

– Czy to jego prawdziwe nazwisko? – spytał Black. Spojrzał na Katherine; zdążyła już wyjąć z torby bloczek do stenografowania.

– Tak. Arthur Sidney Wilkes. – Snow mówił powoli. Katherine notowała. – Wygląda mi na dziwaka.

– Pracował w laboratorium uniwersyteckim?

– Między innymi. – Gospodarz spojrzął znad arkusza papieru i znowu uśmiechnął się promiennie. – Nie mogę przekazać państwu wszystkich danych, rozumiecie to chyba. Ściśle tajne i w ogóle.

– Rozumiem.

– Przez całe lata ten facet pracował jako technik tego czy innego rodzaju. Według zapisów w aktach, zatrudniano go w Standard Telegraph and Cable, a przedtem w Głównym Urzędzie Poczтовым. To wszystko miało miejsce, zanim pojawił się w Cambridge.

– Czy zna pan dokładną datę?

– Przybycie Wilkesa do Cambridge? Tysiąc dziewięćset trzydziesty ósmy. Marzec.

– A jakie miał wykształcenie?

– Nie warto o tym mówić. Tylko znaczne doświadczenie. To dość częste w dzisiejszych czasach.

– Kiedy odszedł?

– Pięć miesięcy temu – odpowiedział szybko Snow. – Dwudziestego ósmego lipca, ściśle mówiąc.

Black pokiwał głową ze zrozumieniem. Sześć tygodni czasu, aby dojrzał gniew. Sześć tygodni, aby ułożyć straszliwy plan i wprowadzić go w życie.

– Czy ma pan numer jego karty identyfikacyjnej?

– Oczywiście. – Snow odczytał dane, a Katherine zapisała je w notesie.

– Jakiś adres czy numer telefonu?

– Żadnego. Jedynie numer skrzynki pocztowej.

– A kod?

– NW3.

Katherine podniosła wzrok znad notesu.

– Gdzie to jest?

– Hampstead. Głos Blacka stał się zupełnie zimny.

„Wexfordian” kręcił się jak bąk. Ten ośmiusettonowy statek tańczył na falach, a żołądek Liddella skrecał się w rytm kołysania parowca. Było już późne popołudnie, ale ani jeden promyk słońca nie błysnął od chwili, kiedy trzy godziny temu opuścili Douglas Bay. Zgodnie z ostatnimi prognozami meteorologów mgła, pokrywająca znaczną część południowej Anglii, utrzymywała się także nad obszarem Morza Irlandzkiego od Droghedy po Caernarvon.

Liddell siedział na ławeczce przed kabiną na rufie. Całą siłą woli koncentrował się na fladze łopoczącej na maszcie. Syrena przeciwmgielna „Wexfordiana” co pewien czas wydawała ponury ryk.

Kapitanowi udało się przekonać samego siebie, że jeżeli skupi się na jakimś przedmiocie, to nie ulegnie ponownemu atakowi choroby morskiej. Nie potrafił pojąć, jakim cudem potworne kołysanie parowca nie wywierało żadnego wpływu na samopoczucie Steinmaura. Kiedy Liddell widział ostatnio swego towarzysza, ten spał smacznie w kabinie, którą udostępniono im na okres podróży.

Liddell spojrzął na zegarek. Czas chyba stanął w miejscu i to czas, jak się zdawało, był teraz głównym wrogiem. Steinmaur zidentyfikował bez wahania człowieka, którego widział w obozie dla internowanych w Liverpoolu, a Liddell nie miał żadnego sposobu, aby zużytkować cenną informację. Podmorski kabel telefoniczny został uszkodzony jeszcze przed przybyciem kapitana na wyspę Man, a przecież nie można było przekazać tak sensacyjnej wiadomości przez radio.

Poprzez całe święta Bożego Narodzenia burze uniemożliwiały strat samolotów, a potem pojawiła się mgła.

„Wexfordian” był pierwszym statkiem wypływającym po przerwie z Douglas. Liddell, z powodu własnej bezradności, zamówił na parowcu miejsca dla siebie i Steinmaura. Pożałował tej decyzji już niemal w pierwszej minucie po wyjściu w morze. A najgorsze miało dopiero nadejść.

Oręcz ładunku węgla, „Wexfordian” wiozł także i pocztę. Miał dostarczyć ją do Wicklow i do swojego macierzystego portu Wexford na wybrzeżu Irlandii, potem popłynąć do Cardigan i Pembroke, aby w końcu dotrzeć do Cardiff. Podróż mogły jednak zakłócić niemieckie łodzie podwodne, grasujące u wybrzeży Wysp Brytyjskich.

W Cardiff, Liddell planował złapać pociąg do Londynu, ale nie było szans, aby zawinęli do portu przed północą. To okropne. Doktor Charles Tennant, kapitan Korpusu Medycznego Armii Królewskiej, a zarazem szpieg hitlerowski pracujący dla Heydricha, musiał zaczekać jeszcze jeden dzień na zasłużoną nagrodę.

Fakt, że osobą rozpoznaną bez wahania przez Steinmaura był Tennant zdumiewał Liddella. Chociaż przecież psychiatra na pozór pozostawał poza wszelkim podejrzeniem. Wybór, przynajmniej jeżeli chodzi o użyteczność dla Heydricha, jawił się więc jako coraz bardziej oczywisty.

Skutki zdrady tego człowieka mogły być dalekosiężne. Charles Tennant pracował u Mastermana w Komitecie Dwadzieścia, był konsultantem medycznym Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a także działał w komisji kwalifikacyjnej Ministerstwa Lotnictwa. Prywatna praktyka dopełniała przerażającego obrazu.

Liddell miał tylko mgliste pojęcie o powiązaniach towarzyskich i zawodowych Doktora, ale wiedział, jaką reputacją cieszył się ten człowiek. Gros jego pacjentów stanowiły kochanki polityków, a nawet i ci ostatni. Bóg jeden wie, jakie ciemne sekrety powierzali mu w zaufaniu i Bóg jeden wie, jakich szkód narobił ten zdrajca, co zdołał przekazać hitlerowcom.

Psychiatra wyższych sfer. Powierzano mu informacje o grzechu, o przyczynach wstydu i lęku – dobrowolnie i w pełnym zaufaniu. Czy jest lepszy sposób na odkrycie sekretów ludzi znajdujących się u władzy?

Prywatne akta dotyczące Halifaxa i Channona, czy szacownego Raba Butlera pomogły, przynajmniej częściowo, pokrzyżować plany zwolenników „pokoju



za wszelką cenę”. Czego mógłby dokonać Tennant z zebranymi przez siebie danymi?

Liddell doskonale pojmował, że w tym przypadku w grę wchodzi nie tylko intymne tajemnice pacjentów. Jeżeli rozejdzie się wieść o prawdziwej roli Tennanta, zatrząsę się Londyn – od pałacu Buckingham po Whitehall, nie wspominając o wywiadzie i MI5. Kapitan znał nazwiska tylko kilku osób, które zasięgały porady psychiatry, ale nawet ta znikoma wiedza napawała zgrozą.

Obecna żona Stewarta Menziesa, szefa Służb Specjalnych, leczyła się u Tennanta z powodu zaburzeń łaknienia. Również pierwsza żona, pochodząca z wtykającego wszędzie nos klanu Sackville’ów, bywała często w jego gabinecie?

Co gorsza powszechnie mówiono, że Marina, księżna Kentu, także regularnie odwiedzała psychiatrę, zapewne po to, aby skarżyć się na pożycie małżeńskie z Georgem, młodszym bratem króla. Rodzina królewska przymykała oczy na homoseksualne skłonności niektórych swoich członków, ale szczegółów dotyczących zachowania księcia Kentu, wywleczonych na pierwsze strony gazet brytyjskich i amerykańskich, nie sposób było już ukryć.

Zarówno Tony Blunt, jak i Burgess opowiadali Liddellowi zdumiewające historie o wybrykach tej popularnej postaci. Koteria księcia George’a składała się z ludzi, takich jak Dickie Mountbatten, Patrick siódmy baron Plunkett i niemożliwie fircykowaty James Pope-Hennessy, wygodnie urządzony w Ministerstwie Spraw Zagranicznych z protekcji Chipsa Channona. Księżna Marina знаła ich wszystkich.

Myśl o Jamesie Pope-Hennessy zmroziła nagle Liddellowi krew w żyłach. Przecież siostra tego człowieka, Caroline, pracowała w jego własnym biurze. Jęknął, zastanawiając się, jak szeroko Tennant zdołał rozciągnąć swoją sieć i jakie mogą być tego konsekwencje.

Kapitan podniósł się gwałtownie, przechylił przez reling i znowu zaczął wymiotować. Miał dość własnych tajemnic, podobnie jak inni. Tuż ponad głową znowu zabuczała syrena przeciwmgielna. Dźwięk wtopił się w opary mgły, po czym bez echa rozplątał się w nicości.

Liddell czuł w ustach gorzki smak żółci. Opadł ciężko na ławkę. Zbyt wielu tajemnic musiał strzec, zbyt wiele kłamstw stosować w pracy i życiu prywatnym. Zawroty głowy i choroba morska powróciły, kiedy pomyślał o potencjalnych skutkach ujawnienia archiwum Tennanta.

Zacisnął zęby, ze wszystkich sił skupił wzrok na łopoczącej fladze i cicho zaklął pod nosem. Cóż za los przywiódł go na ten cholerny, statek płynący przez cholerne, wzburzone morze.



# Rozdział dwudziesty czwarty

SOBOTA, 28 GRUDNIA 1940 ROKU

11.00 CZASU GREENWICH

**M**orris Black szedł East Finchley Road. Wreszcie przystanął przy wysokiej drewnianej bramie Stag Motor Garage. Inspektorowi wydawało się, że w ciągu kilku krótkich dni cały świat się odmienił, przynajmniej jego świat. W ramionach Katherine pozbył się ciężaru potwornego smutku. Teraz natomiast opanowała go spokojna radość. Zmysł znowu działał.

Coś podobnego, pomyślał Black, musi przeżywać aktor wygłaszający monolog w kulminacyjnym momencie przedstawienia. Pozostawało już tylko wypowiedzieć ostatnie słowa, aby dojść do finału dramatu.

Zawsze istniała możliwość, że się pomylił co do Gurneya, ale podczas wcześniejszego spotkania z tym człowiekiem inspektor wyczuł w nim nutę fałszu. Natomiast fakt, że garaż na Finchley Road, podobnie jak skrzynka pocztowa Wilkessa, znajdował się w Hempstead, stanowił tylko dodatkowy powód odwiedzin. Black otworzył małą furtkę w bramie i przez zagracone podwórko skierował się w stronę warsztatu.

Pies Sam wybiegł gościowi na spotkanie, warcząc groźnie, ale tym razem Black zignorował go i wszedł do warsztatu. Hispano suiza została zastąpiona przez wytwornego wolessley'a z pogruchoaną maską. Gurney w zaplamionym kombinezonie stał przy stole, w kantorku. Na odgłos kroków odwrócił się. Przez chwilę patrzył na przybysza pustym wzrokiem, a potem wytarł ręce kawałkiem szmaty i podszedł bliżej.

– Inspektor Black, nieprawdaż? – Denerwował się, było to doskonale widać. Zbyt skwapliwie wyciągnął dłoń, jego głos brzmiał fałszywą serdecznością.

– Zgadza się.

– Nie sądziłem, że jeszcze pana zobaczę.

– Jestem pewien, że nie – odpowiedział Black celowo obojętnym tonem.

– Nadal prowadzi pan dochodzenie? – Szybki uśmiech przypominał raczej grymas.

Black nie miał zamiaru tracić czasu na towarzyskie rozmówki.

– Znał go pan, prawda?

– Talbota? Już panu mówiłem. – Gurney nadal wycierał ręce w szmatę. – Zajmowałem się jego samochodem.

– Nie chodzi o Talbota.

– Obawiam się, że nie rozumiem.

– Miałem na myśli człowieka, z którym chłopak wtedy odjechał. Powiedział pan, że mężczyzna ten zapewne skorzystał z pociągu, bo potem on i Talbot wyruszyli razem fordem.

– Zupełnie nie wiem, o czym pan mówi.

– Ależ wie pan, panie Gurney, wie pan doskonale, cholernie doskonale. – Black porzucił wszelkie pozory uprzejmości. Strzelał na ślepo w ciemnościach, więc jedyny sposób, aby Gurney się złamał polegał na zastraszeniu.

Zdenerwowany gospodarz cofnął się o krok.

– Robi się pan nieprzyjemny, panie Black.

– Raczej ”inspektorze Black”. A staję się nieprzyjemny, kiedy ktoś usiłuje mnie okłamywać.

– Wydaje mi się, że powinien pan wyjść – odpowiedział sztywno Gurney. Sam zawarczał u stóp swego pana.

– Nie wyjdę, dopóki nie otrzymam odpowiedzi na pewne pytania. – Black rzucił okiem na psa. – Jeżeli podejdzie bliżej, to tak go kopnę w tyłek, że mu wyleci uszami. Zrozumiał pan, panie Gurney?

– Tak. – Gospodarz strzelił palcami i pies cofnął się.

– Teraz opowie mi pan o Talbocie.

– Przekazałem panu już wszystko, co wiedziałem. David Talbot był moim klientem, i tyle.

– A ja sądzę, że był dla pana kimś więcej. Rozmawialiście, opowiadaliście sobie nawzajem o swoim życiu, grywaliście w szachy. Skłamał pan, Gurney.

– Chyba nie podoba mi się pański ton, inspektorze Black. – W głosie mężczyzny zabrzmiał wyraźny oksfordzki akcent z naleciałościami z Eton. Ostry, nosowy ton ustosunkowanych i bogatych.

– Nie zwracaj sobie głowy odgrywaniem dumnego lorda. Na mnie to po prostu nie robi wrażenia, stary. – Za plecami Gurneya, na biurku Black dostrzegł fotografię w ramkach. Kolejny strzał w ciemność, ale już nie na osłep. – Skłamał mi pan też o żonie i dzieciach. – Brutalnie odepchnął przesłuchiwanego i podniósł zdjęcie.

Gurney rzucił się za inspektorem.

– Ja... – zaczął, ale nie skończył.

– Nie wyjechali na „Arandora Star”, prawda, Gurney? – Krew odpłynęła z twarzy mężczyzny i Black widział, jak pracują mu mięśnie szczęki. Ciągnął więc dalej, drażąc właśnie odkryte pęknięcie w murze. – Sprawdziłem to. „Arandora Star” nie miała na pokładzie zwykłych pasażerów. Tylko osoby internowane. – Spojrzał zimno na Gurneya. – Zostawiła cię, co? Zabrała ze sobą dzieci. Może i wyjechała za granicę, jak mówiłeś, ale nie na „Arandora Star” i nie dlatego, że ty

bałeś się o bezpieczeństwo rodziny. – Black grał teraz złego gliniarza. Niezbyt mu się ta rola podobała, ale rozmyślne okrucieństwo poszerzało wyłom w pancerzu Gurneya.

– Proszę, ja nie...

Nie pozwól mu się wyslizgnąć, nacieraj mocno, jeszcze mocniej.

– Czy to z powodu Davida Talbota? Albo kogoś takiego, jak on? Równie młodego. Aż taki był śliczny?

Nastąpiła chwila ciszy. Gurney miał łzy w oczach. W końcu znowu się odezwał.

– Tak, to prawda – wyszeptał, niemal dławiąc się własnymi słowami. Black pozwolił mu zebrać myśli.

– Powiedz mi – zagadnął wreszcie cicho. Gurney ciężko opadł na krzesło ustawione przed biurkiem. – Powiedz mi o Davidzie Talbocie. – Black stał nad swoją ofiarą i czekał.

– David i ja byliśmy... przyjaciółmi, jak pan to powiedział.

Inspektor znowu przypuścił szturm, czując obrzydzenie do samego siebie. Wiedział jednak, że musi wydusić z tego człowieka całą prawdę. Co by powiedziała Katherine, gdyby wiedziała jak przesłuchuje Gurneya. – Nie owijaj w bawełnę, stary. Pierdoliłeś tego chłopczyka.

Gurney zbladł.

– O mój Boże, to nie było tak.

– Nie, na pewno nie. Damon i Pythias. Serdeczni przyjaciele na całe życie. Po prostu kumple. – Prychnął. – Daj spokój. Powiedz mi lepiej, co wiesz na temat Arthura Sidneya Wilkesa.

Gurney zbladł na sam dźwięk tego nazwiska.

– Jak dowiedzieliście się o tym? – O *tym*, nie o *nim*? Black wyteżył uwagę. Coś tu nie pasowało. Musiał drążyć temat na wycucie.

– Nieważne. Po prostu powiedz, co wiesz.

– Wilkes to nie jest jego prawdziwe nazwisko. Nie mam pojęcia, dlaczego je zmienił.

– A jak brzmi to właściwe?

Nastąpiła długa, pełna napięcia chwila ciszy. Gurney wił się jak na mękach.

– Loudermilk – wyszeptał wreszcie słabo.

– Nie dosłyszałem – warknął detektyw. Przyj. Mocno. Wyciśnij ze skurwiela wszystko, co ukrywa. Atakował teraz, nie dając przesłuchiwanemu momentu wytchnienia.

– Raymond Loudermilk. Znałem go dawniej.

– Też był twoim chłopcasiem?

– Boże, nie! – Gurney aż się zachłysnął. – Nic takiego. Nie z nim.

– Studiowaliście razem?

– Nie, to było przedtem. W szkole Wick Hall.

– Gdzie to jest?

– Cold Dean. Stanmer Park. Kilka kilometrów od Brighton.

– Prywatna szkoła?

– Tak.

- Ale potem też go spotykałeś?
- Tak.
- Opowiedz. – Rozkaz. Ostry i kategoryczny.
- Gurney wzdygnął się, potem skinął głową.
- Musiałem opuścić Wick Hall. Z powodu pewnych trudności finansowych.
- Innymi słowy, twoja rodzina nie mogła już płacić czesnego?
- Tak.
- I straciłeś kontakt z Loudermilkem.
- Tak.
- Ale znowu się pojawił w twoim życiu?
- Tak. W STC. – Gurney zauważył, że Black zmarszczył brwi, więc wyjaśnił: – Standard Telegraph and Cable. Byłem tam inżynierem przez jakiś czas.
- Dlaczego skontaktował się z tobą?
- Potrzebował pracy.
- Zaprotegowałeś go?
- Gurney kiwnął głową.
- Tak. Niedługo potem odszedłem z STC. Zobaczyłem go znowu po kilku latach.
- Gdzie?
- Pracowałem wtedy w laboratorium w Dollis Hill. Loudermilk pojawił się tam pewnego dnia.
- Black przytaknął w zamyśleniu. Nie miał pojęcia, czym się zajmowało laboratorium w Dollis Hill, ale pamiętał, że nazwa ta padła podczas rozmowy z dwoma naukowcami z Bletchley Park. Wymieniono też nazwisko Turinga. Może to miejsce ma coś wspólnego z Enigmą? Kolejne powiązanie.
- Znowu potrzebował pracy? – spytał detektyw.
- Tak.
- A ty ją dla niego znalazłeś?
- Tak. Niedługo potem zdecydowałem się całkowicie porzucić swój zawód.
- Z powodu Loudermilka?
- Tak. Nie. Częściowo. Ożeniłem się z Karen. Ja... – przerwał.
- Black naciskał.
- Wtedy kupiłeś ten warsztat?
- Tak. Otrzymałem niewielki spadek.
- Ale Loudermilk i tu cię wytropił.
- Tak.
- Tym razem nie chodziło mu o pracę, prawda?
- Nie. Wpadał do mnie od czasu do czasu. Niekiedy zabierał sobie różne rzeczy.
- Jakie rzeczy?
- Części samochodowe. Narzędzia, kawałki drutu. Nie pytałem, po co.
- Widział cię z Talbotem, prawda?
- Tak. W pubie. Śledził mnie. Zobaczył Davida. Doszedł do oczywistego wniosku. Wydaje mi się, że był zazdrosny.
- Szantażował cię?

- Można to chyba tak nazwać. Nigdy nie chciał pieniędzy.
- Ale chciał Davida Talbota, prawda?
- Tak. – Gurney opuścił głowę i zasłonił dłońmi twarz. – O mój Boże! – szepotał łkając.
- Kiedy po raz pierwszy rozmawialiśmy, pomyślałeś, że to Loudermilk mógł zamordować Davida. Nie mam racji?
- Ale nie pisałeś ani słowa.
- Nie.
- Dlaczego? Homoseksualizm to jedno, Gurney, ale morderstwo to znacznie gorsza sprawa. Przesłuchiwany już się nie bronił.
- Bałem się – powiedział cicho.
- Tego, co Loudermilk mógł powiedzieć? Twojej żonie?
- Nie, Karen już wtedy odeszła. – Gurney przerwał. Nagły rumieniec załał mu policzki. – David nie był pierwszy.
- No i mamy przyczynę, pomyślał Black. Źródło tych wszystkich kłamstw.
- Dlaczego milczałeś? – powtórzył.
- Z powodu... z powodu innych spraw.
- Jakich innych spraw?
- Chodziło o Exnera.
- Kim jest Exner?
- Bernard Timothy Exner. Byliśmy razem w trzeciej klasie w Wick Hall. Loudermilk chodził wtedy do czwartej.
- Co się stało?
- Loudermilk... przyłapał nas.
- *In flagranti*?
- Tak.
- Wtedy zaczął cię szantażować?
- Tak.
- Ale przecież byliście jeszcze chłopcami. I zapewne nie tylko wy takie rzeczy robiliście. – Black pamiętał dni, kiedy sam uczęszczał do szkoły z internatem. Wystarczająco dobrze znał te pokusy i frustracje.
- To nie chodziło o... seks.
- Wstyd?
- Tak. I strach.
- Bałeś się ujawnienia tej historii?
- Nie. Gorzej. – Gurney przerwał. – Bałem się, że Loudermilk mnie zabije.
- Dlaczego?
- Dlatego, że jest szalony. – Wreszcie to z siebie wydusił. – Wiedziałem o tym już wtedy.
- A co ci nasunęło takie podejrzenia? – Znowu milczenie. Gurney wyglądał, jakby jego nerwy były napięte do ostateczności. Black odczekał, potem odezwał się jeszcze raz, nieco łagodniej. – Powiedz mi, skąd wiedziałeś.
- Bo to on zabił Bernarda – odpowiedział przesłuchiwany tonem wypranym z wszelkich emocji.

– Bernard został zamordowany? – Pierwsza ofiara Kuby Pedala. Tak dawno temu. Gurney dotrzymywał tajemnicy przez pół życia.

– Tak. Policja uznała, że to zrobił ktoś obcy. Jakiś włóczęga. A ja wiedziałem swoje.

– Skąd?

– Bo Loudermilk sam mi powiedział. Kiedy Bernard zaginął, cała szkoła go szukała. Loudermilk zaprowadził mnie w to miejsce. – Głos Gurneya łamał się.

– Widziałeś ciało? – spytał Black.

– Tak – przytaknął Gurney. – To było święte miejsce Loudermilka, a przynajmniej tak je nazywał. Powiedział, że pewnego dnia stanie się sławne.

– A gdzie dokładnie znajduje się owo „święte miejsce”?

– W gęstwinie na obrzeżach Stanmer Wood, niedaleko szkoły. Czasem prowadzano nas do starej kaplicy. Była naprawdę piękna. On... on ukrył go dokładnie w miejscu, gdzie wieże prześwitywały spoza koron drzew. Pamiętam, bo pomyślałem wtedy, że Bernard mógłby słuchać dzwonów. Nie byłyby tak samotny.

– Co Loudermilk miał na myśli, mówiąc, że to miejsce znowu stanie się sławne?

– Nie wiem – załkał Gurney. – Pokazał mi ciało i powiedział, że mnie też zabije, jeżeli pisnę choć słówko. Powiedział, że oskarży mnie, że to ja zrobiłem. – Łzy popłynęły mu po policzkach. Dłonie zacisnęły się konwulsyjnie. – O Boże! On mnie zmusił...

– Do czego?

– Zmusił mnie, żebym dotknął ciała. Żebym dotknął Bernarda... O Jezu! – jęknął. – Powiedział, że odciski palców potwierdzą moją winę!

Black delikatnie położył rękę na ramieniu roztrzęsionego mężczyzny. Nawet gdyby policja zebrała od dzieci odciski linii papilarnych, nie miałyby to najmniejszego znaczenia. Na skórze martwego chłopca żaden ślad się nie zachował. Ale dziesięcio- czy jedenastolatek nie mógł o tym wiedzieć. Kuba Pedal celnie i głęboko wbił haczyk, potem pozwolił, aby ostrze wrastało w ciało i jątrzyło. Wreszcie pojawił się znów, rozdrapał rany i pozwolił Gurneyowi krwawić.

– Nigdy nikomu nie powiedziałeś?

Gurney pokręcił głową.

– Aż do dziś.

– Wiedziałeś, do czego Loudermilk jest zdolny i nie protestowałeś, kiedy wychodził z Davidem Talbotem?

– Boże, zmiłuj się nade mną, wiedziałem. Ale bałem się. Straszliwie się bałem. Black zmienił temat.

Gdzie mieszka Loudermilk?

– Nigdy nie mówił, a ja, oczywiście, nie pytałem.

– A domyślasz się może?

– Nie jestem pewien, ale przypuszczam, że gdzieś niedaleko.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Kiedyś wypadł mu z kieszeni kawałek papieru.

- I co to było?
- Pokwitowanie. Z biblioteki w Hampstead.

Po powrocie z Cane Hill Charles Tennant zamknął się przed wszystkimi w domu na Cheyne Mews. Spacerował tam i powrotem po wielkim gabinecie i zastanawiał się nad zebranymi informacjami. Jadąc ze szpitala psychiatrycznego, zatrzymał się w kilku antykwariatach i nabył, co tylko zdołał znaleźć, na temat Johna Martina, łącznie z ilustrowanym katalogiem dzieł artysty, wydanym przez Tate. Sterta papierów piętrzyła się teraz na biurku Tennanta, tuż obok przepelnionej popielniczki, której nie opróżniano od poprzedniego wieczoru.

Po przejrzeniu książek i spisaniu nawet najdrobniejszych wiadomości, które jego zdaniem mogły okazać się użyteczne dla lepszego zrozumienia charakteru Loudermilka, psychiatra powrócił do kwestii samobójstwa tego człowieka. Wydawało się to nieprawdopodobne, ale w świetle dowodów Kubą Pedałem musiał być, zmarły ponoć przed laty, Raymond Loudermilk.

Wszystko, poczynwszy od podejrzeń Ormianina w związku ze śmiercią Bernarda Exnera, aż po obsesję na tle sztuki, życia i pasji do szachów Johna Martina, wskazywało na Loudermilka jako mordercę.

W ciągu ostatnich kilku godzin Tennant wielokrotnie powracał do skradzionej w Wick Hall kroniki szkolnej. Przedzierał się przez listę nazwisk i przyglądał twarzom na małych fotografiach, szukając jakiegoś klucza. Niczego nie znalazł, ale fakt, że żadne ze zdjęć nie pokazywało Loudermilka, też miał jakieś ukryte znaczenie. Zwykła nieśmiałość, czy raczej głęboko ukryty strach? Prymitywny instynkt dzikusa, który boi się, by aparat nie ukradł mu duszy? A może chłopiec czuł, że dla bezpieczeństwa nie powinien zostawiać żadnych śladów po sobie?

Nagle Doktor zatrzymał się raptownie w swojej wędrownicy po pokoju. Wszystkie dowody jednoznacznie wskazywały na Raymonda Loudermilka. Wyływał z tego logiczny wniosek, że to Raymond Loudermilk był mordercą i człowiekiem, który nie wiadomo skąd wiedział o planach Luftwaffe. Tymczasem archiwa Cane Hill podawały, że człowiek ten dwadzieścia lat temu popełnił samobójstwo. Jedno przeczyło drugiemu.

Odpowiedź okazała się absurdalnie prosta. Tennant posłużył się metodą Sherlocka Holmesa: jeżeli niepodobieństwem jest to, co możliwe, należy szukać niemożliwego. Ponieważ dowody jednoznacznie wskazywały na Loudermilka, wniosek mógł być tylko jeden: Loudermilk nie popełnił samobójstwa.

Zgodnie z aktami, które doktor Hillman pokazywał Tennantowi, pacjent zmarł w wyniku samopodpalenia. Nie wiadomo, w jaki sposób udało mu się zgromadzić zapas rozpuszczalnika i zabrać kanistry na polankę, osłoniętą od wiatru przez gęste zarośla.

Loudermilk miał prawo przebywać poza głównym budynkiem.

Nie miał już żadnych ataków i przeniesiono go na oddział otwarty. Zdołał więc usnąć podejrzenia personelu szpitalnego.

Hillman mówił, że lżej chorym pozwala się na spacer po terenie, jako że ucieczka jest mało prawdopodobna. Dookoła posiadłości biegnie wysoki mur, na szczycie opatrzone drutem kolczastym. Z wieży obserwacyjnej przy bloku administracyjnym widać doskonale wrzosowiska i doliny dookoła Cane Hill, a lokalna policja zachowuje czujność. Ucieczki zdarzają się więc rzadko i zwykle kończą się fiaskiem.

Trudno jednak było powstrzymać Raymonda Loudermilka od samobójstwa. Ukrył się przed wzrokiem ewentualnych świadków, oblał rozpuszczalnikiem i podpalił.

Zanim wartownik z wieżyczki obserwacyjnej zauważył dobywający się zza drzew kłęb gęstego dymu, z ciała Loudermilka pozostały jedynie zwęglone szczątki. Zwłoki zidentyfikowano na podstawie resztek ubrania, kilku leżących w pobliżu rysunków i niezrozumiałej notatki. Była to mała karteczka schludnie przycięnięta kamieniem. Mówiła o „drugim ja Martina”.

Hillman wyjaśnił, że słowa te zapewne odnoszą się do jednego z braci malarza, który, nie wiadomo dlaczego, otrzymał to samo co artysta imię. Młody John Martin był podpalaczem i większą część życia spędził w miejscach podobnych do Cane Hill.

Tennant usiadł przy biurku. Podpalacz. Ogień. Tamtego dnia w Cane Hill znaleziono spalone ciało, ale to nie Raymond Loudermilk zginął. Psychiatra sięgnął po telefon i wykręcił numer szpitala. Doktor Hillman wyjechał na weekend, ale lekarz dyżurny odczekał i zgodził się służyć pomocą koledze z Londynu. Obiecał znaleźć akta Loudermilka oraz rejestr pacjentów z dnia jego śmierci i oddzwonić do Tennanta. Po piętnastu minutach zabrzączał telefon.

– Czy zwolniono kogoś wtedy, kiedy zginął Loudermilk?  
– Zgodnie z rejestrem szpital opuściło wówczas trzech pacjentów.  
– Kto taki?  
– Ellis, Taplow i Wilkes.  
– Nie chciałbym sprawiać kłopotu, ale czy mógłby pan odszukać również i ich akta? Poczekam.

– Oczywiście. Cieszę się, że mogę pomóc.

Po trzech czy czterech minutach lekarz z Cane Hill wrócił do telefonu.

– Ma je pan?

– Tak. Leżą przede mną, doktorze Tennant. Co chce pan wiedzieć?

– Po pierwsze, w jakim ci ludzie byli wieku.

Nastąpiła chwila oczekiwania.

– Ellis miał pięćdziesiąt sześć lat – odczytał lekarz dyżurny powoli. – Przy nazwisku Taplowa nie podano wieku, ale zapewne zbliżał się do siedemdziesiątki. Dementia praecox. Zabrał go siostrzeniec. – Ci dwaj byli zbyt starzy.

– A Wilkes?

– Dwadzieścia cztery.

O wiele lepiej, pomyślał Tennant.

– Ile miał wzrostu?

– Metr siedemdziesiąt dwa – odpowiedział lekarz dokładnie.



– A Loudermilk?  
– Metr siedemdziesiąt.  
– A ile ważył?  
– Pięćdziesiąt siedem kilogramów, kiedy tu przybył, a sześćdziesiąt trzy i pół, kiedy przechodził ostatnie badanie lekarskie.

– A Wilkes?  
– Sześćdziesiąt trzy kilogramy przy zwolnieniu.  
Tennant pokiwał głową. Różnica wagi wynosiła pół kilograma. Nikt nie byłby w stanie tego zauważyć.

– Czy w aktach Loudermilka znajdują się jakieś wzmianki na temat przyjaźni, które zawarł podczas pobytu w szpitalu?

– Proszę chwilę zaczekać. – Tennant słyszał odległy, stłumiony odgłos przewracania kartek. W końcu lekarz odezwał się. – Tak. Są. W rubryce zachowania socjalne.

– No i? – niecierpliwił się Tennant.

– Miał pan rację, doktorze. Loudermilk pracował w bibliotece z pacjentem o nazwisku Wilkes – Arthur Sidney Wilkes. – Tennant wyobraził sobie, jak brwi jego rozmówcy unoszą się ze zdziwienia. – Zdumiewający zbieg okoliczności, prawda?

– Owszem. – Tennant podziękował, rozłączył się i sięgnął do szuflady biurka. Wyjął zatemperowany ołówek i blok papieru w linie, po czym nieco pochylony, ładnym pismem wykaligrafował cztery nazwiska:

John Martin  
Raymond Loudermilk  
Bernard Timothy Exner  
Arthur Sidney Wilkes

Loudermilk uważał się za wcielenie Johna Martina. Loudermilk zamordował Bernarda Exnera i przyjął jego nazwisko. Końcowe ogniwo łańcucha stanowił Arthur Sidney Wilkes. Ostatnia przemiana czarnej duszy mordercy. Podróż, rozpoczęta przed wielu laty w rozpaczliwie poranionym sercu samotnego chłopca; podróż, która już niemal dobiegła końca. Charles Tennant dodał do listy piątą pozycję:

Kuba Pedal

# Rozdział dwudziesty piąty

NIEDZIELA, 29 GRUDNIA 1940 ROKU

11.00 CZASU GREENWICH

**M**orris Black obudził się. Przez chwilę słuchał spokojnego oddechu śpiącej przy nim na wąskim łóżku Katherine. Za oknami panowała zupełna cisza. W minionych czasach, przed wojną, przed śmiercią Fay, Blacka budziły dzwony z pobliskiej kaplicy św. Jerzego i odległe dudnienie rozchodzące się dostojnie nad miastem z katedry świętego Pawła. Inspektor lubił dzwony – ich czysty ton, który nieodłącznie kojarzył mu się z zapachem świeżo zaparzonej kawy i nęcącą wonią smażącego się bekonu – mały, grzeszny sekret, ukrywany przed strzegącą tradycji matką. W niedzielę Fay zawsze podawała śniadanie do łóżka. Ale Fay odeszła. Teraz myślał o niej z mglistym bólem w sercu.

Przewrócił się na bok i popatrzył na leżącą obok kobietę. Głęboko kochał żonę, jednak Fay miała w sobie niewiele z tej surowej, zmysłowej pasji, jaką obdarzyła go tak szczerze Katherine. Dla Fay seks był trudny. Należało uprawiać go po ciemku i w pośpiechu. Dla Katherine stanowił źródło prawdziwej, miłosnej rozkoszy.

Black znowu się odwrócił i cicho wstał. Zdjął swoje rzeczy z oparcia krzesła. Stojąc na jednej nodze i wciągając skarpetkę, zmarszczył nagle brwi. Nie wiadomo dlaczego przypomniał sobie Trenchę, rzeźnika – szachistę z Coventry, a potem jego myśli pobiegły ku Garlinskiemu, aż w końcu zatrzymały się na osobie Kuby Pedąła.

Zszedł na dół do kuchni, zaparzył herbatę i zabrał kubek ze sobą do ogródka. Mgła już opadła i ponad niskim ogrodzeniem z cegieł inspektor mógł dojrzeć odległe wrzosowiska.

Postawił kubek na szczytce murka i zapalił papierosa. Słońce oświetlało już jasno łagodnie rysujące się wzgórza, powietrze było przejrzyste i przenikliwe zimne. Kiedy indziej taka pogoda zapowiadałaby po prostu przyjemny dzień zimowy; teraz stanowiła gwarancję akcji Luftwaffe. Wieczorem będzie nalot.

Ale czy bombardowanie wywabi z ukrycia Kubę Pedąła? Może Liddell miał rację. Istniała przecież pewna szansa, że mężczyzna podający się za Arthura Sid-

neya Wilkesa zginął w Coventry, zmienił się w popiół podczas burzy ogniowej, która przewalała się przez centrum miasta. Może Trench był ostatnią ofiarą szaleńca, a prowadzone przez Blacka poszukiwania okażą się zbędnym zawracaniem głowy.

Black sięgnął po herbatę. Zostawiwszy wczoraj załamanego George'a Le Fanu Gurney'a, odwiedził bibliotekę w Hampstead, Adres, który tam odnalazł, okazał się tylko skrzynką pocztową wynajmowaną Wilkesowi przez sklepikarza na High Street.

Z biblioteki Black udał się na Church Row, do kancelarii kościoła świętego Jana. Na miejscowym cmentarzu leżało kilku Wilkesów, ale zgodnie z zapiskami archiwalnymi do parafii od ponad pięćdziesięciu lat nie należał nikt o tym nazwisku. Ta sama historia powtórzyła się w katolickim kościele na Holly Walk. W księgach nie znaleziono też żadnego Raymonda Loudermilka. Jeżeli Wilkes mieszkał w Hampstead, to nie używał tu żadnego z tych dwóch nazwisk. Black nie wspominał o swoich domysłach Katherine ani Flemingowi. Jeszcze nie. Dopóki nie uzyska absolutnej pewności.

Zgasił papierosa na ceglany murku i dopił lodowate resztki herbaty. Gdzie okiem sięgnąć, rozciągały się łagodne, aksamitne wzgórza i doliny Hampstead Heath. Poza ciemnymi bliznami rowów, z których wybierano ziemię do akcji przeciwpożarowych, wrzosowiska wyglądały tak, jak sto tysięcy lat temu i jak będą wyglądać za sto tysięcy lat, kiedy Morris Black i Arthur Sidney Wilkes dawno rozsypią się w proch.

Inspektor westchnął. To wszystko było tak cholernie nieważne. Cóż znaczył Kuba Pedal wobec czasu, który niczym zapisany zwój rozciągał się przed oczyma wyobraźni. Myśli znów powróciły do Trencha. Dlaczego ten człowiek tak uparcie tkwi w jego pamięci? Black odstawił kubek. Wsłuchany w ciszę powiódł wzrokiem po wrzosowiskach.

Już wiedział. To o to chodziło. Pierwszą rzeczą, jaka przyszła mu na myśl po przebudzeniu, były dzwony w Mayfair. Ale co, u diabła, mogły mieć wspólnego z rzeźnikiem w Coventry? Black marzył, zapatrzony nieprzytomnymi oczyma w przestrzeń. Czekał, aż skojarzenie nasunie mu się samo.

To znowu Zmysł. Jak kropelki rtęci z rozbitego termometru, cząstki oderwanych faktów przyciągały się wzajemnie dzięki jakiejś niewidocznej magnetycznej sile. Serce Blackowi waliło gwałtownie, a czarna desperacja znikła w jednej chwili. Coś z katedrami na pocztówkach? Trench? Szachy? Głos Milnera-Barry'ego z Bletchley Park. *Czy ten wasz człowiek nie jest przypadkiem muzykiem?* Dzwony? Co powiedziała przez telefon żona Trencha, a co powtórzył później sam Trench? Wspomniała, że mąż rzadko bywa w domu, że działa w Stowarzyszeniu. Trench dodał, że człowiek, z którym ma się spotkać, także należy do Stowarzyszenia. Black przyjął, że oboje mówili o szachach, ale to przecież było *Towarzystwo Szachów Korespondencyjnych*, nie *Stowarzyszenie*. A więc o jakie Stowarzyszenie chodzi?

Inspektor wyprostował się. Poczul, jak zalewa go pot. Pamięć podsunęła obraz Spilsbury'ego, nachylającego się nad trumną z woskowymi szczątkami Jane Luffing-

ton. Patolog mówił coś o dziwnym węźle na szyi zamordowanej kobiety. Ten sam rodzaj węzła zastosował Trench przy zwijaniu markizy. Węzeł z dwiema pętlami, który rozwiązać można pociągnięciem za luźny koniec. Węzły. Sznury. Dzwony.

– Mój Boże! – szepnął Morris Black. Nagle wszystko zrozumiał – Burlingame! – Niemal biegiem ruszył w stronę domu.

– Trudno uwierzyć – powiedział Maxwell Knight. Siedział w salonie domu doktora Charlesa Tennanta przy Cheyne Walk Mews. Egzotyczny chiński dywan był po kostki zasypany papierami i teczkami. Z góry dochodziły zgrzyty i łomoty. To Fleming wraz z kilkoma ludźmi przeprowadzał rewizję.

Guy Liddell ułokował się za biurkiem psychiatry i przeglądał zawartość szuflad. Na blacie piętrzył się stos dokumentów. Godzinę wcześniej znaleźli magnetofon. Z sufitu zwisały teraz wielkie pętle przewodów, kończące się mikrofonem, dawniej ukrytym w ścianie tuż przy sofie dla pacjentów. Jak dotąd nie udało się jeszcze natrafić na szpule z nagraniami.

Zdołano jednak rozwiązać zagadkę włoskiego wiecznego pióra. Dziwaczne fantazje Liddella nie odbiegały daleko od prawdy. Joan Miller, kochanka Knighta, kupiła je dla swojego psychiatry. Tennant zrobił nawet notatkę dotyczącą tego prezentu. Liddell nie wspomniał Maxwellowi Knightowi o tym odkryciu. Nie widział takiej potrzeby.

– Tak – stwierdził z roztargnieniem. – Nieco kłopotliwa sprawa.

– Kłopotliwa? – zachłysnął się Knight. – To kopalnia króla Salomona, Liddell. – Spojrzał na jedną z leżących przed nim teczek z aktami. Mamy tu pięćdziesiąt procent członków cholernych arystokratycznych rodzin, opowiadających o drugich pięćdziesięciu procentach, a to jeszcze nie wszystko. Księżna Kentu użalająca się na swojego męża i Noela Cowarda. Dobry Boże, Liddell! Pomyśl tylko o tym!

A są tu jeszcze opisani Charles Henry Maxwell Knight i jego szofer, pomyślał Liddell, zamykając teczkę, którą miał przed sobą. Akta Joan Miller. Rzeczywiście, dobry Boże! Liddell już jakiś czas temu zdał sobie sprawę, że trafili na ruchome pisaki, a nie na kopalnię złota. Co najmniej jedna trzecia kart pacjentów opatrzona została odnośnikami do zupełnie innego zbioru dokumentów, którego nie udało się jeszcze odnaleźć.

Jednak nawet już te dostępne informacje wystarczały, aby splamić tarcze herbowe wielu wpływowych rodów, nie wspominając już o zrujnowaniu reputacji kilku ministrów, urzędników wysokiej rangi i oficerów wywiadu. Otworzyli puszkę Pandory z wszelkimi plagami i furiami.

Liddell odnalazł w międzyczasie zapiski dotyczące Poppy Baring, swojej byłej szwagierki, a także teczkę z danymi Diany Cooper, żony Duffa Coopera, zawierającą listę nazwisk kochanków tej damy oraz kochanek jej męża, a także poświadczającą uzależnienie od kokainy, morfiny, a nawet chloroformu.

Przedzieranie się przez bezmiar zbiorów Tennanta przypominało zagłębienie przez dziurkę od klucza do wielu sypialni naraz. Co, na przykład, zrobiłaby prasa

z wiadomością o niedomaganiach księcia Windsoru, przez niego samego określanych brutalnie jako „mikropenis” i z informacją, że książe pod naciskiem żony zażywał lekarstw przepisanych mu przez Theodore’a Morrella, osobistego lekarza Adolfa Hitlera? Te akta to najgorsza rzecz, jaką Liddell mógł sobie wyobrazić.

– Wszystkie teczki muszą zostać zniszczone – powiedział. – Wie pan o tym, Knight?

– Pan jest szalony. Nie wolno nam tego zrobić!

– Co pan powiedział? – spytał oschle Liddell. Maxwell Knight miał wpływowych znajomych, ale przynajmniej oficjalnie Liddell nadal pełnił funkcję jego przełożonego.

– Możemy zrobić z tych dokumentów użytek – nalegał Knight. W każdej ręce trzymał plik papierów. – Nie wolno ich tak po prostu zniszczyć.

Jaki użytek, pomyślał Liddell. Imperium cudzych tajemnic. Max Knight na tronie, a sfera wysoko urodzonych liże mu stopy? Skorumpowany drań zebrał te wszystkie informacje, a każdy, kto zechce je spożytkować zejdzie do jego poziomu. Władza oparta na takiej podłości nie może przetrwać.

– Zniszczymy wszystkie akta. Musimy.

– Najpierw chyba trzeba je ocenić. Zgodzi się pan przecież ze mną...

Warunkowy kompromis. Mając przeciwko sobie Knighta, Liddell nie miał szans na utrzymanie w tajemnicy zbioru Tennanta. Słowo czy dwa szepnięte do odpowiedniego ucha i rozdzwonią się telefony od pacjentów psychiatry, desperacko usiłujących wycofać swoje zwierzenia.

– Musimy ustalić jakieś terminy – mruknął ostrzegawczo kapitan.

– Przebrnięcie przez te wszystkie papiery zajmie co najmniej dwa miesiące – ocenił Knight, rozglądając się po zaśmieconym pokoju.

– Dwa tygodnie.

– Proszę dać mi czas przynajmniej do końca miesiąca.

– W porządku. A potem całość dokumentacji zostanie zniszczona. Zgoda?

– Zgoda.

Nie ukrywając swoich poczynań Liddell otworzył jedną z teczek, wyjął z niej arkusz papieru, złożył i wsadził do kieszeni marynarki. Knight zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział. Kto ma pilnować pilnujących, pomyślał kapitan. Gdyby jego podwładny posunął się za daleko, na tej jednej kartce było dość informacji, aby wyłączyć go całkowicie z gry. Potarł brodę i ziewnął. Jeszcze nie doszedł do siebie po podróży przez Morze Irlandzkie. Wykonał zadanie. Steinmaur został bezpiecznie ukryty i Liddell chciał już tylko spać. Wiedział jednak, że nieprędko będzie miał okazję wypocząć.

Do pokoju wszedł zaczerwieniony z wysiłku Ian Fleming. Zamachał Liddelowi przed nosem jakimś czasopismem.

– Co pan znalazł? – spytał kapitan.

– „National Geographic”. Młody oficer zapalił papierosa. – Swift miał rację. Co miesiąc nowy klucz do kodu.

– Czy wiadomo już może, gdzie przebywa teraz Tennant? – spytał Knight.

Fleming wzruszył ramionami.

– Podobno ma dom na wsi, nad Tamizą. Posiadłość nazywa się Rooksnest, tuż poniżej Dorney Village. W biurku w sypialni znaleźliśmy kilka rachunków za przeprowadzone tam prace remontowe.

– Musimy się pospieszyć i złapać tego drania. – Liddell zmarszczył brwi. – Módlcie się, żeby nie zdążył nam zwać. – Odwrócił się do Knighta. – Wybiera się pan z nami?

– Raczej nie. – Knight uśmiechnął się blade. – Panu należy się cała chwała. Przecież tylko pan naprawdę wierzył w istnienie Doktora. – Przerwał. – Mam tu masę roboty. Muszę to wszystko posprzątać.

– Gdzie pan ten kram zabiera?

– Na pewno nie na Dolphin Square – odpowiedział Knight.

Przecież tam nie może, pomyślał Liddell. Nie będę tego czytał przy Joan Miller.

– Do Pimlico?

– Tak, sądzę, że to doskonałe miejsce, przynajmniej na jakiś czas.

– W porządku – Liddell kiwnął głową. – A więc zobaczymy się tam później. Po wszystkim.

– Dobrze – znowu uśmiechnął się Knight. – Powodzenia.

Charles Tennant wspinał się właśnie ścieżką od strony rzeki, kiedy usłyszał przenikliwy dzwonek. Zmarszczył brwi. Niewiele osób w Londynie w ogóle wiedziało o istnieniu Rooksnest, a co dopiero o tym, że zainstalowano tu telefon. Zapewne pomyłka. Przyspieszył jednak kroku. Nie zdejmując kaloszy przeszedł przez kuchnię. Telefon ciągle dzwonił. Tennant dotarł do małego gabinetu przy wejściu na schody. Zawahał się, potem podniósł słuchawkę...

– Tak?

– Doktor Tennant? – Głos brzmiał obojętnie, bezosobowo.

– Tak. – Znał ten głos. Modlił się, żeby go nigdy nie usłyszeć. Telefon mógł oznaczać tylko jedno.

– Wie pan, kto mówi?

– Tak.

– Rozszyfrowali pana.

Tennant zamknął oczy, zacisnął mocno powieki. Zaczęło mu huczeć w uszach. Nie mógł przełknąć śliny.

– Jakim cudem?

– Nie mogliśmy tego przewidzieć. Dotarli już do pańskiego domu na Cheyne Walk Mews. Niedługo będą i w Rooksnest.

– Jest pan pewien?

– Oczywiście. Ma pan wiele szczęścia, że jeszcze pana nie złapali. – Głos zamilkł na chwilę. – My mamy wiele szczęścia. Chcielibyśmy, aby tak pozostało, doktorze Tennant.

– Jestem już bardzo blisko rozwiązania. Jeszcze kilka godzin i...

- To nie ma znaczenia. Musi pan wyjechać.
- Ale...
- Ryzyko jest zbyt wielkie, doktorze. Jeżeli pana złapią i przesłuchają...
- Rozumiem.
- Zna pan procedurę?
- Tak.
- To dobrze. Proszę już iść. Musi się pan pospieszyć.
- W porządku.
- Do widzenia, doktorze. Bezpiecznej podróży. – Ostry trzask i cisza. Tennant stał oszołomiony. Słuchawka zwisała mu z dłoni. W jednej chwili cały jego świat został przewrócony do góry nogami. Przez moment psychiatra nie wiedział, co robić. Zaczęła ogarniać go panika. Tylko najwyższym wysiłkiem woli zdołał odzyskać panowanie nad sobą.

Zdemaskowany, ale jeszcze wolny. Na szczęście wszystkie ważne akta i nagrania zabrał ze sobą do Rooksnest. Odłożył słuchawkę, wrócił do kuchni i usiadł przy stole. Musiał zastanowić się nad znalezieniem wyjścia z sytuacji.

Tennant widział przed sobą tylko dwie możliwości. Albo użyje zebranych dokumentów jako monety przetargowej w rozmowach z władzami brytyjskimi, albo postąpi zgodnie z procedurą ustaloną przez Schellenberga podczas ostatniego spotkania.

Droga ucieczki była starannie opracowana. Doktor powinien dotrzeć łodzią do ujścia Tamizy, zaczekać na nocny odpływ, a potem pożeglować wprost na jedną z niemieckich pływających „wysp ratunkowych” dla zestrzelonych pilotów. Stamtąd wysłać uprzednio ustalony sygnał, zatopić łódkę i czekać na niemiecki okręt.

Żadna z tych możliwości nie pociągała Tennanta szczególnie. Nawet jeżeli sam odda się w ręce władz brytyjskich, nie ma żadnej gwarancji, że nie zostanie brutalnie przesłuchany, osądzony, skazany, a następnie powieszony jako zdrajca i szpieg. Nawet zwykłe więzienie groziło niebezpieczeństwem. Osoby reprezentowane przez głos w telefonie nie pozwoliłyby mu długo tam pożyć.

Z drugiej strony, co się z nim stanie, jeśli ucieknie i przedostanie się do Niemiec? Jako zdemaskowany agent nie był już użyteczny, a informacje, którymi dysponował nie na długo wystarczą Heydrichowi i jego ludziom.

W zależności od nieprzewidywalnych nastrojów Heydricha, mógł zostać zwolniony, pozbawiony wszelkich dostatków, albo nawet jeszcze gorzej – postawiony pod ścianą w piwnicy na Prinz Albrecht Strasse i rozstrzelany. Chyba że...

Tennant spojrział na zegarek i zaczął szybko robić wyliczenia, próbując przypomnieć sobie tablicę pływów dla Sheerness. Wreszcie pokiwał głową i wstał. Już podjął decyzję. Jeżeli się pospieszy, nadal może mieć jakąś szansę.

## Rozdział dwudziesty szósty

NIEDZIELA, 29 GRUDNIA 1940 ROKU

16.00 CZASU GREENWICH

Znajdował się dokładnie tam, gdzie spodziewał się go znaleźć Morris Black, nawet w niedzielę rano podczas wojny. Roger Burlingame, o ile nie spał, rzadko przebywał w innym miejscu olbrzymiej czytelni British Museum, a przy nim zwykle piętrzyły się wysokie stopy książek. Z oparcia krzesła zwisały dwie kule z gumowymi końcówkami.

Fakt, że większa część zbioru została dla bezpieczeństwa wywieziona, nie miał dla Burlingame'a znaczenia; dopóki na półkach stały jakiekolwiek książki, czuł się szczęśliwy, kompilując, porównując, aktualizując swoje nie kończące się zestawienia, zbierając każdy okruczek informacji związany z drzewem genealogicznym rodziny Burlingame.

Od lat już pisał oficjalną historię rodu. Zadanie, które trzeba było wykonać, jak mawiał Roger.

Black znał kalekiego mężczyznę od dzieciństwa. Burlingame, jedyny syn średnio zamożnego szlachcica, urodził się z uschniętymi, cienkimi jak patyczki nogami. W szkole stanowił obiekt nieustannego znęcania się. Black, z racji pochodzenia także był niemilosiernie gnębiony. Znaleźli więc wspólny język i Black walczył za Burlingame'a używając pięści, a przyjaciel bronił małego Morrisa przy pomocy niezwyklego intelektu i ciętych żartów, często skuteczniejszych niż jakakolwiek inna broń.

Ich przyjaźń trwała. Black często spędzał wakacje w Staffordshire. Ojciec Rogera, bezceremonialny, serdeczny mężczyzna, był miejscowym sędzią pokoju. Czasem zabierał chłopców na oficjalne spotkania lub przeszkadzał im w zabawie, aby pokazać coś ciekawego, szczególnie związanego z ptakami i ptasimi jajami, osobistą pasją lorda Burlingame'a. Jego lordowska mość miał także inną namietność: dzwony. Roger twierdził, że jego ojciec jest najlepszym dzwonnikiem w całym hrabstwie i jednym z dziesięciu najwybitniejszych w kraju.

– Cześć, Roger – powiedział Black, siadając przy wąskim stole naprzeciwko przyjaciela.



Burlingame podniósł wzrok znad wielkiego tomiszcza i zamrugał, zsuwając okulary z czoła. Black miał wrażenie, że od czasu, gdy spotkali się ostatnio, ciało przyjaciela uschło podobnie jak jego nogi. Roger wyglądał przerażająco mizernie, a w przydługich włosach pojawiły się ślady siwizny. Obaj się postarzeliz.

– Och, to ty, Morris. Dawno się nie widzieliśmy. Przyszdełs w poszukiwaniu jakichś bodźców intelektualnych?

– Obawiam się, że nie. – Roger miał rację; nie spotkali się od śmierci Fay. To spostrzeżenie zaszokowało Blacka. Śmierć Fay najwyraźniej zakończyła w jego życiu wiele spraw. Zastanowił się, co by się z nim stało, gdyby nie spotkał Katherine. Może usechłby jak nogi przyjaciela.

– Mój Boże, to zawodowa wizyta?

– Potrzebuję twojej rady.

– Mojej rady? A co, u diabła, mogę wiedzieć z rzeczy ciebie interesujących?

– Czy umiesz zawiązać węzeł dzwonnika? – Chyba z tysiąc lat temu dwaj chłopcy w dzwonnicy wiejskiego kościołka obserwowali, jak ojciec Rogera, po długim, skomplikowanym koncercie mocuje sznur od dzwonu.

– Cóż za zadziwiające pytanie. – Burlingame oparł się wygodnie i patrzył badawczo na przyjaciela.

– Umiesz?

– Chyba tak. – Blady, szczupły mężczyzna kiwnął głową, mrugając w słabym świetle lampy z zielonym abażurem. – Albo raczej umiałbym, gdybyś miał tu jakiś kawałek sznurka.

Black odsunął się nieco od stołu i wywlekl z buta sznurowadło. Roger ujął je delikatnie. Długie, zręczne palce rażąco kontrastowały z prawie bezużytecznymi nogami. Zmarszczył brwi, skoncentrował się i przeciągnął ostatnią pętlę. Podniósł skończony węzeł.

– Pasuje – mruknął Black.

– Oczywiście – odpowiedział lekko urażony Burlingame.

– Chciałem powiedzieć, że to taki sam węzeł jak ten, który widziałem.

– Gdzie widziałeś? Obracasz się w okolicach dzwonnicy, Morris?

– Widziałem na szyi martwej kobiety – wyjaśnił Black, patrząc na niewinne sznurowadło w ręce przyjaciela. – I na sznurze przytrzymującym markizę w sklepie rzeźnika.

– Pasjonujące. Na pewno nie takie było przeznaczenie tego węzła. Rzecz polega na tym, aby wolny koniec nie przeszkadzał ci, kiedy dzwonisz, a potem zabezpieczał linę. – Burlingame pokręcił głową. – To nie pętla, jakiej używa się do duszenia ofiar czy mocowania markizy.

– Czy węzeł, o który mi chodzi, jest powszechnie znany?

– Nie. – Burlingame roześmiał się; jego śmiech przypominał raczej kaszel. – Nie ma znowu tak wielu dzwonników. To wymierający zawód, zwłaszcza ostatnio, od kiedy nie wolno używać dzwonów.

– Dzwonnicy mają coś w rodzaju cechu, prawda?

– Prawda. – Burlingame przytaknął. – Mój ojciec przez lata był przewodniczącym oddziału w Staffordshire. Starożytne Towarzystwo Młodych. – Zmarszczył

brwi. – Nie mam pojęcia, dlaczego właśnie tak to nazwali. Kiedyś to sprawdzę. Sprawa może okazać się interesująca. Właściwie to dziwię się, że tego nie wiem.

– Jak wielu Towarzystwo liczy członków?

– W całym kraju? Nie więcej niż dwustu czy trzystu.

– A w Londynie?

– Może pięćdziesięciu. Albo i mniej. Członkostwo nie zależy od wieku, ale od zdolności. Młodszy zapewne zostali zmobilizowani.

– O jaki rodzaj zdolności chodzi?

– O talent matematyczny. – Burlingame w zamyśleniu oblizał wargi, potem podjął wątek. – Na przykład pełen zakres dźwięków w wykonaniu Kenta Boba Majorsa dochodził do, hm, piętnastu tysięcy osmiuset czterdziestu. Dziewięć godzin trwało wydzwonienie całości. Wydaje mi się, że to rekord.

– Wiele kombinacji.

– Nieskończenie wiele.

– Jak w szachach?

– Och, to o wiele bardziej skomplikowane. – Przez twarz Burlingame’a przemknął smutek. – Wydzwoniłem „Dziewięciu krawców” dla mojego ojca, kiedy umarł, a i to było wystarczająco trudne do zapamiętania.

– Co to jest „Dziewięciu krawców”?

– Nie wiem, skąd się wzięła nazwa, ale właściwie to dziewięć uderzeń. Wydaje mi się, że zacerpnęliśmy ją od Francuzów, chociaż oni przecież w ogóle nie znają się na dzwonach. – Burlingame przerwał na chwilę. – Niejaka pani Sayers napisała książkę o grze na dzwonach właśnie pod takim tytułem. Dla mężczyzny uderzasz dziewięć razy w dzwon, trzy razy po trzy. Sześć uderzeń, kiedy umiera kobieta. Na śmierć królowej Wiktorii Kent Treble Bob Majors wydzwonił „Sześciu krawców”, a potem na dzwonach katedry świętego Pawła wybił po jednym razie za każdy rok jej panowania. Ciągnęło się to w nieskończoność.

– A więc trzeba mieć doskonałą pamięć.

– O, tak. Naprawdę wyjątkową. Obawiam się, że ojciec zawiódł się nieco, bo ja nie zajmowałem się tym na serio. Ale i tak nie mógłbym robić tego, co on. Nie z chorymi nogami. – Burlingame westchnął w zamyśleniu. – Tych dziewięć uderzeń wybiłem siedząc na krześle.

– Jak mogę uzyskać wiadomości o londyńskich członkach stowarzyszenia?

– Naprawdę nie wiem. Oni nie mają stałych terminów zebrań, Morris. – Burlingame zmarszczył brwi. – Zwykle spotykają się w jednej z sal pewnego pubu w City.

– A może wiesz, który to pub? – W City było mnóstwo pubów, a większość z nich dysponowała wydzielonymi pokojami.

Roger Burlingame uśmiechnął się.

– Jasne, że wiem. To oczywiście, Morris. „Pod Dzwonami”.

Ian Fleming i Guy Liddell z oddziałem dobrze uzbrojonych ludzi dotarli do Rooksnest tuż po wybieciu południa. Zaparkowali przy bramie, wąską dróżką prze-

mknęli się w stronę domu, a wreszcie zajęli pozycje na skraju gęstego lasu, mając nadzieję zaskoczyć poszukiwanego, kiedy będzie próbował przedostać się do samochodu. W końcu, po upływie godziny, Liddell zmienił decyzję, ale Rooksnest okazało się puste. Ptaszek zdążył wyfrunąć.

– Cholerny świat – zaklął kapitan.

– Nie może być daleko – stwierdził Fleming. – Zostawił wóz.

– Uciekł. Czuję to.

– Myśli pan, że ktoś go ostrzegł?

– To możliwe. – Oficer wywiadu ujrzał oczyma duszy powódź akt zalewającą podłogę w gabinecie lekarza. Setki nazwisk, w tym ludzi związanych z Ministerstwem Obrony i Whitehallem. Łatwo szantażować każdego z nich. A może nawet szantaż nie był konieczny. Liddell widział film, który Knight pokazał Binghamowi i Katherine Copeland. Wysłuchał też nagrań. Tennant mógł liczyć na pomoc, przymusową czy dobrowolną. Ostatnimi czasy zdradą handlowano tak otwarcie, jak pietruszką na straganie.

Do pokoju powrócił Fleming. W dłoni trzymał mały notes.

– Sprawdziłem właśnie w centrali – powiedział, zerkając do zapisków. – Nasz ptaszek ostro działał kilka godzin temu. Wykonał więcej niż dwanaście telefonów.

– Do kogo?

– Do Johna Martina. A raczej różnych osób o tym nazwisku, mieszkających w Londynie i okolicach.

– Kim, u diabła, jest John Martin?

– Na biurku Tennanta znalazłem stos książek. Wszystkie o facecie, który nazywał się John Martin. To malarz, żył w dziewiętnastym wieku.

– Tennant nie dzwonił do nieboszczyka – fuknął Liddell.

W kuchennych drzwiach stanął jeden z wywiadowców. Mankiety spodni oblepiał mu muł.

– On miał łódź, sir – zameldował. – Tu jest mała przystań. Na wodzie widać plamy oleju.

– A więc tak. – Odpłynął.

– Zastanawiam się, w górę czy w dół? – myślał głośno Fleming. W górę rzeki był Oksford, w dół Windsor i Londyn.

– Zebrać ludzi – rozkazał Liddell. – Przeczesać każdy dom w promieniu kilometra. Spróbujcie dowiedzieć się, jaką Doktor ma łódź i czy ktokolwiek widział go na rzece w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Chcę wiedzieć, w którą stronę się skierował.

– Tak jest, sir – wywiadowca znikł.

– To całkowita klęska – jęknął Liddell. – Są setki miejsc, gdzie może się przyczaić. I trudno nawet stwierdzić, kiedy zdążył zbiec.

– Naprawdę pan sądzi, że uda mu się uciec? – spytał Fleming.

– Oczywiście, że tak! – warknął Liddell. – Ten człowiek nie jest głupi. Potrzebuje tylko ubrania na zmianę i biletu do Irlandii. Niech to wszyscy diabli!

Fleming wskazał na notes.

– A jeśli pojechał szukać tego Martina? Może powinniśmy pójść tym tropem.

– Przypuszczam, że musimy, do kurwy nędzy – mruknął Liddell.

Fleming przez chwilę wyglądał na zaskoczonego przekleństwem, potem uśmiechnął się słabo.

– Uważam, że ma pan rację.

Ucieczka Tennanta przebiegała bez zakłóceń. Na rzece nie natknął się prawie na nikogo, z wyjątkiem znudzonych i obojętnych służowych, którzy przyjmowali opłatę i przepuszczali go. Było zbyt zimno na łódki, a sezon wycieczek na parowcach skończył się dawno temu.

Przez pierwszą godzinę Tennant miał nerwy napięte jak postronki. Przy każdej służbie spodziewał się widoku oddziału policji, ale nic się nie działo. Napięcie zaczęło opadać. Po jakimś czasie odprężył się, sam nieco zdziwiony tym, że tak gorliwie wygląda spotkania z człowiekiem, którego tropem szedł od paru dni.

Siedząc za sterem obserwował, jak woda zmienia barwę – z przejrzystego kryształu na kolor piwa. W okolicach Richmond stała się całkiem brudna i niosła tyle zawiesin, że można by zasadzić w tym błocie cały ogród.

Kiedy Tennant dotarł do Hammersmith Bridge, było już późne popołudnie. Na bladym zimowym niebie słońce schodziło ku zachodowi. W górę rzeki wiał rzeński wiatr.

Doktor dobił do przystani i zacumował, wciskając łódź dyskretnie pomiędzy barkę z węglem a mały parowiec, najwyraźniej pozostawiony tu na zimowanie. Na przestrzeni pomiędzy Rooksnest a Hammersmith znajdowało się co najmniej pięćdziesiąt miejsc, gdzie mógł przybić do brzegu, a dalej, w stronę doków Tilbury, kolejna setka. Jeżeli w ogóle ktoś szukał *Sandpipera*, nie miał większych szans. Tennant był na razie bezpieczny.

Wdrapał się na nabrzeże i sprawdził tablicę pływów, przymocowaną do ogrodzenia przystani. Około szóstej poziom wody podczas odpływu osiągnie dolną granicę, tylko w głównym nurcie będzie nieco wyższy. Do dziesiątej rzeka znowu stanie się spławna. *Sandpiper* musi, co prawda, płynąć pod prąd, ale na pełnej szybkości powinien dotrzeć do Canvey Island między trzecią a czwartą rano. Potem trzeba zaczekać trochę, by wraz z odpływem wydostać się na wody jeszcze przed świtem.

Wręczył gospodarzowi przystani dziesięciofuntowy banknot z prośbą o przygotowanie koszyka z prowiantem i zapowiedział swój powrót wieczorem. Dzięki żarliwym namowom i kolejnemu dziesięciofuntowemu banknotowi udało mu się też pożyczyć nie rzucający się w oczy samochód marki fordson. Miał zgłosić się po niego za godzinę.

Załatwiwszy to wszystko Doktor poszedł do „Dove”, starego pubu na wybrzeżu. Z tamtejszej budki telefonicznej zamówił taksówkę. Kiedy przyjechała, kazał zawieźć się na Bruton Street do „Holland and Holland”, gdzie sprzedawano broń i odzież. Kupił ubranie nadające się na najgorszą pogodę, łącznie z ciepłą,

podbitą kożuszką kurtką, wielki nóż zaopatrzony w marspikiel i rewolwer, razem z zestawem do czyszczenia i dodatkowymi magazynkami.

Kolejną taksówką wrócił do Hammersmith Pier, przebrał się na łodzi i wsiadł do fordsona. O czwartej piętnaście jechał już na północ. Szybko zapadała ciemność. Tennant wspominał kolejne etapy śledztwa.

W końcu okazało się, że odnalezienie miejsca zamieszkania Kuby Pedąła jest śmiesznie proste. Problem stanowiła jedynie kwestia identyfikacji. W którymś momencie dzieciństwa Kuba Pedął musiał dowiedzieć się o swoim niepewnym pochodzeniu. Ta świadomość stała się początkiem drogi szaleństwa. „Adoptował” nazwisko i tożsamość Wilkesa. Wskrzesał też Bernarda Exnera, aby służył jego potrzebom.

Obsesja Loudermilka na tle wzorów, cyfr i rytuałów, znalazło wyraz także w tym, że oba te nazwiska pasowały mu tak doskonale, jak wymiary ciała ofiar. Inicjały Exnera brzmiały BTX, a Wilkesa ASW. Wystarczyło cofnąć się w alfabecie o jedną literę. A zamiast B, S zamiast T, W zamiast X. Była w tym jakaś szalona logika. Dla Raymonda Loudermilka taka zbieżność mogła stać się potwierdzeniem wyboru. Z powodu nazwiska Arthur Sidney Wilkes stanowił doskonałą ofiarę.

Szczególna inteligencja nie była już konieczna, aby domyślić się, że Loudermilk – Exner – Wilkes może przybrać kolejne rytualne miano, to, które pozostało dotąd czyste i nie miało żadnych powiązań z innymi: John Martin.

Po telefonicznej rozmowie z lekarzem z Cane Hill, która mu wszystko wyjaśniła, Tennant poszedł do biblioteki i przewertował książkę adresową Londynu. Mając nazwisko, adres czy numer telefonu mógł odnaleźć inne, brakujące elementy. W ciągu godziny uzyskał to, czego potrzebował i udał się prosto do Rooksnest. Chciał jak najszybciej zakończyć sprawę i przekazać wiadomość Heydrichowi.

W książce wymieniono czterdziestu pięciu Johów Martinów, a kolejnych sześćdziesięciu po prostu J. Martinów. Pamiętając o obsesyjnym stosunku Loudermilka do artysty, należało przypuszczać, że nie zdecydowałby się użyć tylko inicjału. Tennant skoncentrował się więc na tych osobach, przy których podano pełne imię. Zaczął wydzwaniać do jednego po drugim, ale nagle zreflektował się. Po co telefon komuś, kto żyje tylko w świecie swoich wyobrażeń. Po wykluczeniu wszystkich Martinów posiadających telefon, pozostały tylko dwa nazwiska. Jedno z nich należało do człowieka, przebywającego na stałe w Chelsea Hospital, zapewne jakiegoś wiekowego weterana. Ostatnie zaś do Johna Martina, zamieszkałego w Hampstead, na Mount Vernon Street 31. I wtedy właśnie nadszedło ostrzeżenie i wszystko uległo zmianie. Nie rozwiązawszy sprawy Kuby Pedąła, Tennant będzie zmuszony stanąć przed Heydrichem z pustymi rękami.

Noc zapadła na dobre, zanim dotarł do Hampstead. Okolica tonęła w ciemnościach. Jechał powoli przez ocienione drzewami uliczki. Minął kościół świętego Jana i cmentarz przy Church Row, skręcił w Holly Walk i zatrzymał się w pobliżu kaplicy katolickiej. Było zimno. Tennant zapiął kurtkę kupioną w „Holland and Holland” i rażnym krokiem ruszył pod górę. Wkrótce znalazł się na Mount Vernon Street.

Blizniacze rzędy domów o ślepych oknach ciągnęły się po obu stronach ulicy aż do podnóża Holly Hill. Majaczyły w ciemnościach jak ponurzy świadkowie nadchodzących wydarzeń. Wysokie kamienne fasady wyrastały tuż przy chodniku. Nigdzie ogródka ani nawet drzewa. Jak wszędzie w Londynie o tej porze, okna były starannie zaciemnione.

Dochodząc do numeru 31 Tennant rozejrzał się dyskretnie. Nie zauważył jednak, że zasłona w domu obok jest trochę odsłonięta. Pani Monkman siedziała na swoim zwykłym miejscu przy frontowym oknie. Zrządzeniem losu ona także nie zauważyła Tennanta, który tymczasem doszedł do końca ulicy i skręcił w wąską alejkę biegnącą na tyłach posesji. Starannie policzył kominy, aż upewnił się, że się nie myli.

Wydawało się to niemożliwe, ale podwórza domów na Mount Vernon Street okazały się jeszcze bardziej ponure niż monotonne fasady. Wysokie drewniane płoty, poszarzałe ze starości, biegly przez całą długość alejki. Furtki zamknięte były po prostu na haczyk.

Tennant przystanął na chwilę i przyjrzał się oknom. Domy po obu stronach numeru 31 miały zaciągnięte zasłony, ale Martin poszedł jeszcze dalej w przestrzeganiu przepisów. U niego szyby zostały całkowicie zamalowane.

Tennant przeszedł ścieżką do małego ganku i, trzymając się blisko ściany, aby uniknąć skrzypiących desek, wspiął się po schodkach. Tylne drzwi domu pomalowano ciemną farbą, łuszczącą się teraz i odpadającą z powodu wieloletniego zaniedbania. Doktor ujął klamkę.

Zamknięte. Nie stanowiło to jednak problemu. Wyciągnął marspikiel i wetknął w szparę pomiędzy drzwiami a framugą, tuż poniżej zamka. Krótki opór, potem trzask. Tennant schował nóż, sięgnął po rewolwer i odbezpieczył go. Odetchnąwszy głęboko, popchnął ostrożnie drzwi i wszedł do środka.

Dwadzieścia minut później pani Monkman usłyszała stłumiony krzyk. Przez chwilę zastanawiała się, aż uznała, że to wałęsające się po pobliskim cmentarzu koty. Z trudem podniosła się z fotela przy oknie i wyjęła z ucha aparat słuchowy, zirytowana kocimi wrzaskami. Przygotowała kojący nerwy koktajl z mikstury „Dr. J. Collis Browne’s Chlorodyne” i podgrzanego mleka. Piła powoli, rozkoszując się każdym łykiem. Lubiła ten mocny smak, zwłaszcza że od dawna cierpiała z powodu zmniejszającej się wrażliwości wszystkich zmysłów. Najpierw węch i kubki smakowe, potem słuch. Niedługo przyjdzie kolej na wzrok. Znużona podreptała do ubikacji, gdzie spędziła kilka męczących minut, aż w końcu poszła spać.

## Rozdział dwudziesty siódmy

NIEDZIELA, 29 GRUDNIA 1940 ROKU

17.00 CZASU GREENWICH

Miasto było ciche i milczące jak grób. Morris Black podjechał metrem do Blackfriars, skąd ruszył do St. Paul's Precinct. Przemierzał labirynt brukowanych zaułków i uliczek, dopóki nie znalazł Carter Lane, skąd wiodło przejście na zamknięte podwórze Wardrobe Place.

Pub „The Bells” był oczywiście zamknięty. Jego główną klientelę stanowili urzędnicy i handlowcy z City, które w niedzielę zamierało. Black wrócił na Carter Lane i na rogu St. Andrew's Hill znalazł czynną włoską restaurację. Właściciel, Antonio Brogi oświadczył, że pan Sedgewick, dzwonnik z katedry świętego Pawła, regularnie jada u niego obiady przed udaniem się do „The Bells”, gdzie on i inni członkowie Stowarzyszenia ćwiczą na ręcznych dzwonkach przez parę godzin. Brogi prowadził swój lokal już od dwunastu lat i przez cały ten czas pan Sedgewick niezmiennie zjawiał się w restauracji dokładnie o piątej po południu. Black musi więc tylko chwilę zaczekać.

Zgodnie z zapowiedzią z wybiciem piątej zjawił się wysoki, lekko pochyłony mężczyzna o śnieżnobiałych włosach i usiadł przy stoliku w kącie. Brogi przedstawił Blacka i przyniósł zamówiony posiłek – mały talerz spaghetti, koszyczek chleba i szklanek wina. Sedgewick miał około siedemdziesięciu lat. Jego twarz była szczupła i blada. Jadł jak ptaszek, podnosząc do ust małe kęsy.

- Interesuje się pan biciem w dzwony, inspektorze Black?
- Ojciec mojego bliskiego przyjaciela był członkiem waszego Stowarzyszenia.
- A ktoś to taki?
- Lord Burlingame.

Sedgewick uśmiechnął się.

– Toby Burlingame. Był dobry. Kiedyś pozwoliłem mu uderzyć w dzwony w katedrze. Lubiłem go. Chyba już nie żyje. – Sedgewick trącił szklanek paznokciem. Czysty pojedynczy dźwięk na cześć zmarłego kolegi. – Za dużo pił.

- Umarł parę lat temu.



– Niedobrze. Niewielu nas zostało. – Starzec zmarszczył brwi. – Powinien był lepiej dbać o siebie. – Przełknął kęs chleba i popił łyżkiem wina. – W czym mogę panu pomóc, inspektorze?

– Jeżeli to możliwe, chciałbym zobaczyć listę członków waszego Stowarzyszenia.

– Oczywiście. Ale czy wolno mi spytać, po co?

– Dla potrzeb śledztwa.

– Nie może pan więcej powiedzieć?

– Nie w tej chwili.

– Czy sprawa dotyczy Stowarzyszenia w jakikolwiek sposób?

– Nie bezpośrednio.

– No cóż, to już coś. – Sedgewick przerwał. Wziął kolejną kromkę chleba z koszyka i zaczął ją skubać na drobne kawałki. – Pan osobiście nie interesuje się dzwonami, jak sądzę? Ma pan dobre ramiona. Przydałyby się nam w zespole. Trzeba mieć dobre ramiona, żeby bić w Tenora. Sześćset dwa cetnary. B dur, *Domine, dirige nos*.

– Obawiam się, że nie jestem zbyt dobry z matematyki. I nie lepszy z łaciny.

– No cóż, trudno – westchnął Sedgewick. – Rzeczywiście trzeba znać się na matematyce albo przynajmniej mieć dobrą pamięć do liczb. Koncentracja, poświęcenie. Podejrzewam, że konieczna jest także odrobina szaleństwa. Nie wystarczą dobre ramiona.

– Tak i mnie się zdawało. – Odrobina szaleństwa, pomyślał inspektor, to daleko idący eufemizm w przypadku Kuby Pedala.

– Cechy rzadko spotykane w Anglii. – Ponad ramieniem Sedgewicka Black widział właściciela restauracji, myjącego podłogę szczotką na długim kiju. Włoch z zadowoleniem spoglądał w ich stronę. Najwyraźniej wysłuchał już kilku wykładów o dzwonach i cieszył się, że Sedgewick znalazł sobie innego rozmówcę.

– Nie wiedziałem o tym – stwierdził uprzejmie Black, marząc o tym, aby starzec skończył wreszcie posiłek.

– O, tak. – Sedgewick kiwnął głową. – Na to trzeba być dobrym. – Uśmiechnął się z dumą. – I nikt nie jest lepszy niż nasza mała grupka u świętego Pawła. Najlepszy zespół dwunastu dzwonów w całej Anglii.

– To interesujące.

– Nie musi się pan wysilać, inspektorze. Jestem pewien, że nudzę pana śmiertelnie.

– Ależ wcale nie.

– Oczywiście, że tak. Zdaję sobie z tego sprawę. – Sedgewick skończył wino i wytarł usta serwetką. – Dzwony, jak wszystko inne, są nieciekawe dla tych, którzy nie są dzwonnikami. Chodźmy, inspektorze. Pokażę panu listę członków Stowarzyszenia i będzie pan mógł uciekać.

Przeszli do „The Bells”. Starszy pan zabrał Blacka do pokoju, w którym odbywały się zebrania i próby. Wnętrze przypominało pustą celę mnicha. Dwanaście drewnianych krzeseł ustawiono w długi prostokąt. Na każdym z nich leżał mały mosiężny dzwonek. Umebłowania dopełniało niewielkie biurko.



– Przed wojną wysyłaliśmy kartki do wszystkich naszych członków. – Sedgewick grzebał w szufladzie, szukając listy. – O, jest. – Wyciągnął pojedynczy, nieco pożółkły arkusz papieru i wręczył go Blackowi. Policjant policzył nazwiska. Trzydzieści cztery, ale przy sześciu dopisano gwiazdki, a cztery całkowicie wykreślono.

– Co oznaczają te znaczki?

– Zmobilizowanych. A wykreśleni już nie żyją. – Z pozostałych dwudziestu czterech członków Stowarzyszenia tylko dwóch mieszkało w Hampstead.

– Ten Stroud. Zna go pan?

– Oczywiście. Trzeci z dwunastki. Dziesięć cetnarów, *By Faith I Obteigne*. Dzwon Burdett-Coutts. Tonacja D-dur. Policjant jak pan, inspektorze.

– Policjant?

– Tak, posterunkowy. Ciągłe opowiada o swoich dzieciach.

– A John Martin? – Ten człowiek mieszkał na Mount Vernon Street, nie dalej niż kilkaset metrów od tymczasowego domu Blacka.

– Dzwon Treble. Osiem cetnarów. *To God Only Belong Honour and Glory*. Tonacja F-dur.

– Wie pan coś o Martinie wartego uwagi?

– Nic szczególnego. Cichy, spokojny. Dobre ręce. O wiele silniejszy, niż można by sądzić na pierwszy rzut oka.

– Coś jeszcze?

– Nie. Chociaż pewnego wieczoru znalazłem go w katedrze, długo po nabożeństwie.

– I co tam robił?

– Czy zna pan katedrę, inspektorze?

– Niezbyt dobrze.

– Na podłodze pod kopułą umieszczono wyobrażenie wielkiego kompasu. Wren chciał udowodnić, że myśl św. Pawła stanowi jądro angielskiego chrześcijaństwa. W samym środku kompasu znajduje się, przepuszczająca ciepłe powietrze mosiężna krata, a dookoła biegnie epitafium Wrena: *Si monumentum requiris circumspice* i tak dalej. Ze środka okręgu można by przeprowadzić linię przez kopułę, wieżę, kule i krzyż na szczycie. Z otworu w kuli doskonale widać epitafium.

– Martin był w samym centrum kompasu?

– Tak. Chodził dookoła napisu. Patrzyłem na niego przez kilka minut, zanim podeszedłem. Bardzo dziwne.

– Czy czytał epitafium?

– Nie.

– A więc co robił?

– Liczył.

– Cyfry?

– Właśnie. Z początku myślałem, że ćwiczy w związku z dzwonami, ale nie. Robił jakieś dziwaczne kombinacje.

– Jak zareagował, kiedy mu pan przerwał?

– To właśnie wydało mi się najbardziej niezwykle. Uśmiechnął się i zaczął śpiewać.

– Śpiewać? – zdziwił się Black.

– Hm – mruknął Sedgewick. – Jedną z tych piosenek wojskowych z czasów pierwszej wojny.

– Pamięta ją pan?

Sedgewick zakasłał, potem zmarszczył brwi, usiłując przypomnieć sobie słowa.

– Coś o śmierci, grobie, dzwonach piekła, które dzwonią dla ciebie, a nie dla mnie, jakoś tak.

Guy Liddell stał na dachu bloku mieszkalnego w pobliżu przystani Hammer-smith Pier. Spoglądał w dół przez silną lornetkę. Widział jednak tylko cienie na wodzie i łodzi zacumowane przy nabrzeżu, wszystkie przechylone teraz na bok i grzęznące w mule, pozostałym po odpływie.

– Za ciemno – powiedział wreszcie, zniechęcony.

– Nie ma strachu – stwierdził stojący obok Ian Fleming. – Capstick obserwuje przystań z samochodu. Zapali światła, kiedy tylko Tennant się zjawi.

– Módlmy się, żeby ten drań nie trafił na patrol obrony przeciwlotniczej. – Liddell spojrzął na nocne niebo, a potem na tarczę swojego zegarka. – Luftwaffe będzie tu lada chwila.

– Może nie zrobią dziś nalotu.

– Nie liczyłbym na to Fleming. Zostało jeszcze trochę czasu.

– Nie Tennantowi – uśmiechnął się młody oficer.

– Nie, nie jemu.

Psychiatra zupełnie nie docenił efektywności działań policji. W godzinę po wykryciu jego ucieczki jeden z wywiadowców dowiedział się nazwy łodzi. Kiedy Tennant docierał do Kew, wysłano drogą radiową meldunek alarmujący policję rzeczną. Ponieważ trwał odpływ, przyjęto, że *Sandpiper* musiał gdzieś zacumować. Wysłano więc trzy lotne patrole, aby sprawdzić przystanie pomiędzy Puddle Docks a Putney Bridge.

Dziwnym zbiegiem okoliczności w jednym z patroli znalazł się długoletni przyjaciel Morrisa Blacka, Richard Capstick, który odkrył, że *Sandpiper* najprawdopodobniej przybił do brzegu wcześniej, niż oczekiwano. Policjant udał się nieco dalej na zachód i znalazł łódź tonącą w błocie tuż przy Hammersmith Bridge. Przesłuchał pracownika przystani, po czym przez radio zawiadomił centralę. Centrala z kolei przesłała wiadomość do Liddella i Fleminga, którzy byli już w drodze powrotnej do Londynu. O piątej obaj oficerowie spotkali się z Capstickiem w „Dove”. Teraz dochodziła już szósta.

– Gdzie on się podziewa, u diabła – denerwował się Liddell.

– Na pewno wróci – stwierdził Fleming. – Nie zostawi łodzi.

– Żadnych wiadomości o fordsonie?

– Jeszcze nie. Wysłano ludzi na wszystkie stacje kolejowe. Szukają tam samochodu na wszelki wypadek. Może Tennant usiłuje wymknąć się pociągiem. –

Fleming schylił się i zapalił papierosa, osłaniając płomień dłonią. – Ale w ten sposób nie wydestaniesz się za granicę. Moim zdaniem wrócisz tu w końcu. – Młody człowiek zadrżał. Wiatr z południowego wschodu przybrał na sile, dmuchając im prosto w twarz. – Cholernie zimno – mruknął, zaciągając się dymem.

Liddell przyłożył lornetkę do oczu i przyglądał się opustoszałej przystani. Po dłuższej chwili ciszy powiedział:

– A ten policjant, który znalazł łódź?

– Capstick?

– To przyjaciel Blacka, prawda?

– Kogo? – spytał niewinnie Fleming.

– Och, niech pan da spokój? – przerwał mu sucho Liddell. – Jest pan jednym z ludzi, których Black przesłuchiwał. Ma pan powiązania z Maxwelllem Knightem i pracuje pan z Godfrey’em w wywiadzie marynarki wojennej. Knight przeprowadził pana do gabinetu Tennanta i od tego czasu przyczepił się pan do mnie jak rzep. Zachowujmy się więc może jak ludzie dorośli i przestańmy pogrywać w ciuciubabkę, co?

– W porządku – zgodził się Fleming. – W takim razie dlaczego pan nie przyzna, że doskonale pan wie o przyjaźni Capsticka i Blacka?

– Prawie spodziewałem się go zastać tu albo u Tennanta.

– Blacka?

– Tak.

– Knight prosił mnie, żebym powiedział inspektorowi o zdemaskowaniu Doktora. Nie mogłem jednak Blacka znaleźć. Katherine szaleje z niepokoju.

– Ta Amerykanka? Niby dziennikarka?

– Tak. Wyszedł, kiedy spała i przez cały dzień nie miała o nim wiadomości. Jest przerażona.

– On pracuje dla Bingham, prawda?

– O rany, ależ jest pan dobrze poinformowany, kapitanie Liddell.

– Nie tak dobrze, jakbym chciał – mruknął starszy mężczyzna. – Muszę szepnąć Binghamowi słówko, kiedy to się skończy. Tak po prostu nie można. Nie mogę mieć na karku całej bandy amatorów kręcących się dookoła i mączących wodę. I bez tego mam dość spraw na głowie. – Obaj mężczyźni odwrócili się na dźwięk ciężkich kroków. Przysadzista postać Richarda Capsticka wyłoniła się z mroku. – Wydawało mi się, że pan stoi na straży – warknął Liddell.

– Nie ma obawy. W samochodzie został człowiek na wypadek, gdyby ten pana zbieg miał się pokazać – uspokoił go Capstick. – Właśnie nadeszła przez radio wiadomość. Znaleźli Fordsona.

– Gdzie?

– W Hampstead. Holly Walk, obok kościoła katolickiego. Patrol dostrzegł wóz i zaalarmował centralę. Chcieli wiedzieć, co mają robić.

– Cholera – zaklął Liddell. – Nie możemy być w obu miejscach naraz.

– Ja pojedę – zaproponował Fleming.

– Jeszcze jedno – zatrzymał go Capstick. – Szykuje się nalot. Właśnie zawiadomili nas z wybrzeża. Lecą bombowce, więcej niż setka. Zbliżają się od stro-

ny Cherbourga. – Mężczyzna podniósł twarz. – Przy takim wietrze jak dziś może być paskudnie, zwłaszcza jeżeli użyją tych swoich świeczek.

Zaczęły wyc pierwsze syreny, każda nieco inaczej. Powietrze wypełniło się dźwiękiem wielu różnych, falujących tonów, które spadły na zaciemnione miasto jak złowieszcza pajęcza sieć. Gdzieś daleko, w centrum wytrysnął promień szpacerza i błędził niemrawo po pustym niebie.

– O Boże! – westchnął Liddell. – Cholernie doskonałe zakończenie cholernie doskonałego dnia. – Ze zmęczeniem pokręcił głową. – Co dalej będzie? Nie wiem.

– Piekło – szepnął Fleming, patrząc w górę. – Śmierć zesłana z nieba.

## Rozdział dwudziesty ósmy

NIEDZIELA, 29 GRUDNIA 1940 ROKU

19.00 CZASU GREENWICH

Morris Black stał na schodkach domu przy Mount Vernon Street i czekał. Nie zważając na odległe echo syren, maksymalnie koncentrował uwagę. Drzwi były lekko uchylone. Widział słabe światło dochodzące gdzieś z wnętrza. Wyprostował się, wstrzymał oddech i nasłuchiwał. Teraz mógł odróżnić dziwny, stłumiony dźwięk. Przypominał on głucho uderzania w bęben, stałe, monotonne. Black nagle wyobraził sobie objajające się o ścianę pięty wisielca.

Dwoma palcami pchnął drzwi i wszedł do środka. Było dość światła, aby stwierdził, że znajduje się w spiżarni. Trzy schodki wiodły do kolejnych drzwi, także uchylonych. Dochodził zza nich, mocny odór, ciemny i gęsty jak świeży kompost, zmieszany z jakimś słodkim wschodnim zapachem. Gówno i drzewo sandałowe, pomyślał inspektor.

Nerwy miał napięte jak struny. Poczul, że przyćmione światło i hipnotyzujący dźwięk niemal ciągną go do środka.

Powoli ruszył przed siebie, świadom, że jest zupełnie bezbronny. Wiedział, że zachowuje się głupio nie wzywając pomocy, ale chciał spotkać się z Kubą Pedalem sam na sam. Katherine wyzwoliła Blacka od przeszłości; Kuba Pedał pozwoli mu wejść w przyszłość.

Po chwili inspektor zorientował się, że stoi w kuchni. Na szafce leżała latarka elektryczna. Jej promień stanowił źródło widzianego wcześniej światła. Gdzieś z góry nadal dochodził dudniący dźwięk. Odór stał się jeszcze bardziej wyczuwalny. Słodki zapach nie mógł stłumić ciężkiego, obrzydliwego smrodu.

Black zrobił trzy szybkie kroki i podniósł latarkę. Niezbyt dobra broń, ale lepsza niż żadna. Omiótł światłem małe, puste pomieszczenie, wyłapując odbłysek metalu na pieńku rzeźnickim. Tasak z rączką oprawioną w skórę. Ostrze zżarte przez korozję, boki poznaczone plamami rdzy albo czegoś równie czerwonego jak rdza.

Inspektor podszedł cicho, na palcach. Ujął tasak wolną ręką. Skórzana rękojeść wydawała się zimna i sucha, jak gdyby narzędzie leżało tu porzucone od dłuższego czasu.

Po lewej stronie Black dostrzegł ciemne wejście na wąską klatkę schodową. Gdzieś daleko nad głową nadal rozlegało się dudnienie. Właściwie były to dwa rodzaje dźwięków, mocny, mechaniczny odgłos poprzedzany dziwnym łoskotem. Inspektor zaczął wspinać się po schodach, kierując się zarówno słuchem, jak i węchem.

Dotarł do podestu na pierwszym piętrze i zatrzymał się, zaciskając mocniej tasak w dłoni. Szeroko otwarte drzwi, za nimi pusty korytarz i zwisające z sufitu pajęczyny. Zniszczony chodnik, poplamione tapety; wewnątrz puste i porzucone od wielu lat.

Black szedł dalej. Plecami przywarł do ściany klatki schodowej. Latarkę trzymał tak, aby jej słaby promień oświetlał mu drogę. Po chwili zatrzymał się na następnym podejściu przed zamkniętym pokojem. Odgłos bębnienia wydawał się tu o wiele głośniejszy.

Drewniana płaszczyzna drzwi została pomalowana ręką szaleńca, wypełniona dziwnymi motywami wijących się węży, powykrzywianych gwiazd i postaci, które mogły zrodzić się tylko w chorym umyśle. Niektóre z nich były męczyznami. Miały genitalia wielkie i nabrzmięte, oczy potworne i wyłupiaste, poranione, kalekie kończyny. Stosy ekskrementów piętrzyły się pod brudnymi pośladkami. Inne istoty obdarzono cechami hermafrodytycznymi, penisami małymi i niedojrzałymi, i wielkimi, zwisającymi piersiami. Twarze patrzyły niewinnie w górę, a głowy otaczały spłaszczone aureole z żółtej farby. Tło dla tej płataniny ciał stanowiło dymiące piekło pełne różowych, czerwonych i pomarańczowych płomieni.

Black oparł się ciężko o ścianę. Ze zgrozą odwrócił promień światła od drzwi. Panujący tu smród był tak gęsty i lepki jak w rzeźni. Usta Blacka wypełniły się śliną. Przełknął, zakrztusił się, znowu przełknął. Dosłyszał teraz nowy dźwięk. Ostre brzęczenie tysięcy rojących się much. Zawróć, powiedział sobie, zawróć, zanim to szaleństwo cię wciągnie.

Oświetlił latarką podest i ledwo powstrzymał wymioty. W jednym z kątów znajdowało się zmiętoszone gniazdo ze starych gazet, ubrudzonych ekskrementami. Plamy kału znaczyły ściany dookoła. Zza drzwi nadal dochodził stłumiony, rytmiczny dźwięk. Muchy bzyczały. Black nacisnął klamkę i pchnął. Jednocześnie cofnął się o krok, podniósł tasak i omiótł promieniem latarki całe pomieszczenie.

Znajdował się na progu piekła. Nagle uświadomił sobie, że tego widoku nie powinny oglądać oczy żadnego człowieka. Patrzył na przerażające potworności, bardziej wyuzdane i obsceniczne niż bluźniercze pomysły Brueghela czy Dantego Alighieri. „Ty, który tu wchodzisz, porzuć nadzieję!”. Całe piętro zostało przekształcone w jedną wielką salę, oświetloną setkami świeczek w pospiesznie wykonanych świecznikach, przyczepionych od podłogi aż po sufit. Ściany zostały udekorowane scenami o wiele bardziej przerażającymi niż wizje, umieszczone na drzwiach.

Rozpadliny pożerające w całości płonące miasta; rozpalone do białości kleszcze chwytające wywalone, różowe języki; dziki z kłami ociekającymi krwią rozdzierające wnętrzości niemowląt, bezgłowe dzieci, pozbawione kończyn kobiety; krew wrząca w basenach; wszechobecne płomienie; eskadry samolotów ze skrzydłami nietoperzy, bombardujących tę orgię przemocy i śmierci. Blade, cienkie jak pajęczyna linie łączyły jeden obraz z drugim w jakąś potworną kosmologię. Mapa demona.

Sufit był matowo czarny. Zwieszały się z niego setki, sztywnych miedzianych drutów. Końce kilku zostały zagięte w haczyki, na które nadziano zeschnięte kawałki mięsa, podczas gdy tuziny innych zostały skręcone tak, aby utrzymać potrzaskane kości. Na drucie wiszącym tuż obok prawej ręki Blacka chwiał się rewolwer. Najnowsze trofeum.

Gwałtownym otwarciem inspektor wprawił w ruch miedziane druty. Kości uderzały głucho o siebie jak upiorne grzechotki. Muchy zleciały ze swoich żerowisk i buczały krążąc gniewnie. Migające płomyki świec zatańczyły i Black dostrzegł chmary owadów obsiadających ohydne szczątki ułożone w pudełkach na pokrytej ceratą podłodze.

Jednak nic nie mogło się równać z tym, co inspektor zobaczył na środku pokoju.

Dwanaście metalowych słupów, ustawionych jak cyfry godzin na tarczy zegara, tworzyło wielki okrąg. Na szczycie każdego z nich nasadzona była czaszka oblepiona woskiem, z oczami zrobionymi z kolorowych kawałków szkła. Poniżej każdej głowy znajdowała się mała, metalowa plakietka, na której starannie wygrawerowano imię. Dwunastu apostołów Chrystusa, ustawionych w porządku alfabetycznym, zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

– *Gottenyu!* – szepnął Black ze zgrozą. – *Gottenyu!*

Wewnątrz kręgu, na podłodze, znajdowały się symbole. Prymitywny, żółtą kredą nakreślony pentagram, biały wąż, a ponad wszystkim jasnoczerwona swastyka z odwrotnie zagiętymi ramionami – litera Z, odwrócona i powtórzona czterokrotnie. Ponad znakami wznosiło się straszliwe urządzenie, realizacja szatańskich rojeń Raymonda Loudermilka. Przyglądały się jej szklane oczy świętych wśród nieustannego brzęczenia.

Metalowa rama wysokości stojącego człowieka tworzyła klatkę, z której sterowały tryby i krzywki, koła i dźwignie, wszystkie zasilane przez wielką, nakręcaną korbą sprężynę, umieszczoną w podobnej do pudełka obudowie. Dziwny, lśniący od oleju układ kół zębatych wyglądał jak mechanizm olbrzymiego zegara. Połączony był z tłokiem w długiej, zagiętej tubie, której wylot sięgał oparcia wysokiego drewnianego tronu. Cieniutkie ostrze z wolframu monotonnie przesuwawało się tam i z powrotem. Rytm jego poruszeń wyznaczał metronom, przymocowany do ciężarków wahadła na sprężynie.

Na tronie siedziała sztywno jakaś postać. Mężczyzna, ciemnowłosa, z purpurowymi sińcami na skroniach, zielonooki i nagi. Dłonie, ułożone płasko, przybite miał ciężkimi gwoździami do szerokich poręczy fotela. Wydarło mu paznokcie. Opuszki zaciśniętych, spuchniętych palców zmieniły się w krwawą miazgę.

Szaleńczo wybałuszone oczy rozszerzały się nienaturalnie, gdyż na wskroś powiek przetknięto lśniące, zakrzywione igły do szycia skóry. Wygięty kręgosłup świadczył o desperackiej próbie ucieczki przed zbliżającym się ostrzem, które systematycznie przeżyłano się przez tkanki szyi, w wymierzonych posunięciach rozrywając powoli tłuszcz i mięśnie, o włos minęło rdzeń kręgowy, a w końcu przecięło przełyk, uciszając wrzaski torturowanego. Obniżone, drążyło dalej martwe ciało, aż przebiło klatkę piersiową. Szeroki strumień krwi spłynął na brzuch i pachwiny, i zebrał się w gęstniejący skrzep na kolanach.

O mój Boże, ileż to musiało trwać, pomyślał Black, patrząc tępo na krzesło tortur. Jak długo ten człowiek umierał? Poczul pierwszy cios i wiedział, co będzie dalej. Czuł, jak ostrze wbija mu się w gardło, a potem...

Uwagę Blacka zwrócił błysk odbitego światła. Inspektor spojrział w górę. Oczy. Błyszczące kawałki ciemnoczerwonego szkła. Oczy w woskowej twarzy ostatniego apostoła patrzącego w dół, anioła mściciela Kuby Pedała. Święty Paweł: Sąd Ostateczny.

Morris Black zachwiał się i cofnął o krok, potrącając przy tym ramieniem drut, na którym wisiał rewolwer. Skulił się pod zimnym dotykiem, lecz po sekundzie, niemal bezwiednie, rzucił tasak i chwycił pistolet. Zdarł go z drutu i wypadł z pokoju. Uciekać! Za plecami stukwały miarowo naoliwione przekładnie, wahadło kołysało się jednostajnie, a tłok z ostrzem wykonywał kolejne poruszenia.

Syreny nadal wyły nad wietrznymi, wyludnionymi ulicami St. Paul's Precinct, kiedy Numer wszedł do katedry. Otworzył małe drzwi w północno-zachodniej wieży za pomocą klucza, który sam dorobił i zaczął wspinać się w ciemnościach po wąskich schodach. Był pewien każdego kroku. Liczył je jak zawsze, dopóki nie dotarł do ciężkich drewnianych drzwi kaplicy Kitchenera.

Wnętrze kaplicy było jasno oświetlone przez zwieszający się ze sklepienia żyrandol i elektryczne kinkiety. Numer zamknął starannie drzwi i odwrócił się.

– O rany, ależ się pospieszyłeś? Nalot się nawet jeszcze nie zaczął.

Numer zatrzymał się, zdumiony. Drobną kobietą siedziała na składanym krzeselku przed wielkim ołtarzem, pomiędzy Pietą a białym murowanym grobowcem lorda Kitchenera. W rękę trzymała książkę. Pojawienie się obcego najwyraźniej przerwało jej lekturę.

Kobieta była bardzo niska. Ramiona strażackiej kurtki miała mocno wywątowane. Spod regulaminowego hełmu wyglądała delikatnie rzeźbiona twarz. Małe usta pociągnięte zostały jaskrawą szminką, z uszu zwisały złote kolczyki, kołysząc się rytmicznie. Spod kurtki wystawała krótka, czarna spódnica. W czarnych pończochach poszło oczko. Ale uwagę przykuwały przede wszystkim niezwykle małe dłonie. Dłonie lalki.

– Przyniosłeś ze sobą własną kolację, jak widzę – powiedziała nieznajoma wskazując książką na skórzaną walizeczkę w rękę przybysza. Dla kontrastu z niskim wzrostem głos kobiety był bogaty, głęboki, z nutą pewnej szorstkości.



– Tak – powiedział Numer. Nie spodziewał się spotkać tu nikogo i przez moment poczuł zakłopotanie. Odetchnął głęboko i liczył w myślach, a tymczasem inteligentne oczy przyglądały mu się uważnie. Fałszywy krok czy słowo i będzie ją miał. Rozpruje jak świąteczną gęś. Gorący tłuszcz wyprysnie razem z krwią.

– Dokąd cię dziś skierowali? – spytała w końcu. Numer odetchnął. Wzięła go najwyraźniej za członka ochotniczej obrony przeciwlotniczej. Wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział, licząc w myśli i wsłuchując się w słabnący jęk syren. Cisza przed nadchodzącym strasliwym sztormem.

– Nie wiem – mruknął w końcu.

– Masz lęk wysokości?

Zaprzeczył.

– Więc chyba powinieneś iść na kopułę – powiedziała. Zmarszczyła brwi i odwróciła się. Też zauważyła ciszę, która tak nagle zapadła. – Lepiej się pospiesz. Wygląda na to, że zabawa zaraz się zacznie.

– Tak. – Spróbował się uśmiechnąć, potem odwrócił i skierował w stronę wejścia do bocznej nawy.

Kobieta przez chwilę nasłuchiwała, wreszcie wróciła na swoje miejsce pomiędzy grobowcem Kitchenera a figurą Chrystusa. Usiadła i rozłożyła książkę. Bohater powieści, Robert Hunter, uzbrojony w potężną strzelbę mierzył właśnie do Hitlera. I chybił.

– Cholera – mruknęła do siebie, przewracając kartki. – Mógł nam oszczędzić wielu kłopotów.

Ian Fleming siedział na stopniu samochodu, skulony, z twarzą ukrytą w dłoniach. Było mu potwornie niedobrze, oddychał nierówno i gwałtownie.

– Boże! W życiu nie widziałem czegoś takiego – jęknął.

– Szaleństwo – stwierdził stojący przy nim Liddell. Samochód stał na tyłach Mount Vernon Street 31. Umundurowani policjanci przebiegali tam i z powrotem po wąskiej uliczce. Kapitanowi wydawało się, że słyszy narastający pomruk bombowców dochodzący z daleka, od strony, gdzie leżało miasto i wiała się wstęgą Tamizy. Nalot zacznie się lada moment.

Dick Capstick pchnął wysoką furtkę i podszedł do samochodu. Ręce wsadził w kieszenie płaszcza. Jego szeroka twarz całkowicie pozbawiona emocji przypominała kamień.

– No i? – Liddell wyjął z kieszeni fajkę, ale po chwili wahania uznał, że lepiej nie palić. Zacisnął ją więc mocno w dłoni i czekał.

– To był pański człowiek. Znaleźliśmy jego ubranie za kuchennymi drzwiami. Portfel, pieniądze, wszystko. Trochę krwi na schodach z tyłu. Wygląda na to, że został ogłuszony, a potem zaciągnięty do tamtego pokoju. – Capstick uniósł krzaczastą brew. – Mnóstwo różnego sprzętu. W piwnicy trzy albo cztery urządzenia, wyglądające jak rozebrane na części dalekopisy. Półki wypełnione sprzętem elektrycznym. Cała cholerna garderoba zavalona kombinezonami i mundu-

rami. – Policjant pokręcił głową. – Wygląda na to, że facet zbierał swoje gówna. Całe stopy małych pudełek, paskudztwa zawinięte w zmięty papier jak ptasie jajka w gniazdach. Najgorsza rzecz, jaką w życiu widziałem.

– A więc koniec – westchnął Liddell. – Wracamy na łódź i zobaczymy, co zostawił.

Capstick pokręcił głową.

– Przykro mi, kapitanie, ale wydaje mi się, że to wcale nie koniec.

– Co pan ma na myśli?

– Ktoś tu był, już po śmierci pańskiego człowieka.

– Jest pan pewien?

– Tak. Ślady butów w plamach krwi na schodach, na górze i na dole. I tasak na podłodze. Latarka porzucona w ogrodzie przez kogoś, kto uciekał. – Capstick zamyślił się na moment. – Właśnie dzięki temu wiedzieliśmy, gdzie szukać. Strażnik zobaczył światło latarki, a potem dostrzegł, że kuchenne drzwi stoją otworem.

– Kuba Pedal? – spytał Fleming podnosząc się.

– Nie. Nie on. On nie wpada w panikę. Nie nasz Kuba. Nie rozrzucalby swoich rzeczy. To metodyczny facet. – Uśmiechnął się. – Jak gliniarze.

– Więc kto? – spytał Liddell.

Capstick powiódł wzrokiem po twarzach obu oficerów.

– Wydaje mi się, że to był Morris. W końcu namierzył drania, ale przyszedł za późno, a teraz znowu go ściga.

– Skąd panu to przyszło do głowy? – oponował Liddell.

Capstick podniósł rękę i popukał się w nos grubym palcem wskazującym.

– Jestem pewien. Któż inny mógłby to być?

– Gdzie go szuka? – odezwał się Fleming.

– Morris pokazywał mi pocztówki – powiedział policjant. – Na wszystkich były katedry, prawda?

– Tak.

– Znam się trochę na świętych. Sami widzieliście ten pokój. Kuba ustawił jednego z nich ponad resztą. Jest tylko jedno miejsce, gdzie mógł pójść, dając to głowę.

Fleming myślał przez chwilę, potem odwrócił się i spojrzął na południe, gdzie czerniało w dole miasto. Nagle znowu zaczęły wyć syreny.

– Święty Paweł – szepnął, nagle rozumiejąc. – Poszedł do świętego Pawła.

# Rozdział dwudziesty dziewiąty

NIEDZIELA, 29 GRUDNIA 1940 ROKU

## 20.15 CZASU GREENWICH

**M**orris Black dotarł do stacji metra przy katedrze, kiedy zaczęły spadać pierwsze bomby. Wielkie, mknące ze świstem kontenery rozlatywały się w powietrzu, wyrzucając z siebie setki, a potem tysiące pocisków zapalających, wprost na gęsto ustawione budynki i stłoczone dachy. Wydawały przy tym dźwięk podobny do hurkotu węgla sypanego metalową szuflą na marmurową posadzkę. Łoskot rozpalonej do białości śmierci.

Zasapany i zdyszany Black dopadł wyjścia na ulicę i stwierdził, że wartownik obrony przeciwlotniczej zablokował je, przyglądając się bombardowaniu z bezpiecznego miejsca. Mężczyzna wyciągnął rękę i zatrzymał inspektora.

– Nie chcesz chyba tam iść, stary – podniósł głos, żeby przekrzyczeć buczenie samolotów i grzechot spadających bomb.

– Masz rację, wcale nie chcę – ponuro zażartował Black, wyciągając odznakę. Mignął nią wartownikowi przed nosem i przepchnął się na ulicę. Pobiegł Newgate Street, potem skręcił na południe, mijając wąski wylot Paternoster Row. Kilka sekund później dotarł do szerokiego placu, nad którym górowała katedra, wielki, wyniosły blok z masywnego kamienia, uwieńczony majestatyczną kopułą.

Wokół gorzały już tuziny pożarów. Płomienie tańczyły po dachach budynków, zwalonych przy Ludgate Hill, a ozdobne drzewa rosnące przy głównym wejściu do katedry ożyły białym, oślepiającym światłem, rzucając groteskowe cienie na wysokie mury kościoła.

Trzask, łoskot. Co kilka sekund rozlegała się głośniejsza detonacja, kiedy bomba burząca trafiała do celu. Black przycisnął się do ściany i zamknął oczy. Widział znowu Coventry, czuł gorący powiew wybuchu i porażający strach.

Przez chwilę rozważał ewentualność powrotu do bezpiecznego schronienia na stacji metra. Potem jednak otworzył oczy i zmusił się do działania. Przebiegł przez ulicę, omijając resztki pocisku, który dopalał się pośrodku jezdni. Minął schody prowadzące do kolumnowego portyku i pchnął masywne wrota.

Wnętrze katedry tonęło w ciemnościach. Paliło się tylko kilka drżących światełek przy ołtarzach. Migwały też jasne promienie latarek w rękach poruszających się po świątyni ludzi. Black słyszał tupot kroków i echo komend, których słowa gubiły się wśród naw, łuków i krypt olbrzymiego kościoła.

Nagle strumień światła uderzył go w twarz. Niemał oślepiiony, inspektor podniósł ręce.

– Tu nie ma schronu. Proszę stąd iść!

– Zabierz to cholerne światło! Nie szukam schronu!

Latarka zgasła. Poprzez mrok i tańczące mu przed oczyma gwiazdy Black ujrzał niską postać kobiety, ubranej w hełm i strażacką kurtkę. W jednej ręce nieznamoma ścisnęła książkę, a w drugiej wielką latarkę.

– Kim jesteś, u diabła? – Głos był zarazem szorstki i zmysłowy; Marlena Dietrich z East Endu.

– Policjantem. Detektywem. Muszę natychmiast zobaczyć się z kimś, kto tu dowodzi.

– Dowodzi czym? Mamy tu co najmniej tuzin dowódców, a im więcej, tym gorzej. – Prychnęła. – To smutne, ale nikt nie zarządza światłem. Właśnie wysiadło. Zostały nam tylko latarki.

Black schylił się ciężko dysząc. Położył dłonie na kolanach i usiłował uspokoić oddech. Nagle wielka eksplozja zwała go z nóg. Upadł na kobietę i potoczyli się razem po podłodze.

– Muszę spotkać się z dowódcą – nalegał.

– Zaraz spotkasz się z czymś o wiele gorszym, jeżeli nie zabierzesz łapy – warknęła kobieta. Black zorientował się, że trzyma rękę na jej udzie. Wstał i pomógł podnieść się nowej znajomej.

– Naprawdę muszę z kimś pomówić. I to już!

– Dlaczego?

– Bo to cholernie ważne!

– Jak wszystko w dzisiejszych czasach. – Pokręciła głową. – W porządku – stwierdziła w końcu. – Chodź ze mną.

Poprowadziła Blacka wzdłuż wysokiej głównej nawy w stronę ołtarza. Ułożona w szachownicę marmurowa podłoga była pokryta węzami strażackimi. Wszędzie wały się gumowe i izolowane kable. Nad nimi wznosiła się kopuła. Jej szczyt gubił się w ciemności. Przewodniczka Blacka skrzyła w lewo, prowadząc inspektora do podnóża szerokich schodów. Eksplozje bomb wprawiały w drżenie powietrze w katedrze. Piekło na zewnątrz i zagubiona śmierć wewnątrz. Black czuł, że za chwilę popadnie w szaleństwo. Chciał już tylko zamknąć oczy, zasnąć i uwolnić się od strasznego hałasu. Odpocząć.

– A teraz w górę, skarbie – zakomenderowała kobieta. – Jego wielbność jest w bibliotece.

Dotarli w końcu do szczytu schodów. Minęli mały, pusty westybul i weszli do biblioteki katedry świętego Pawła. Szafy na książki świeciły pustkami.

Wielebny Walter Robert Matthews, dziekan katedry świętego Pawła, stał pośrodku pokoju i układał w stos ręczne pompy, licząc je uważnie. Był bardzo drob-

ny, chociaż wyższy od towarzyszącej Blackowi kobiety. Miał całkiem białe włosy i różowe policzki. Flanelowa koszula wylażyła mu ze spodni na szelkach. Nogi ochraniały gumowe kalosze. Starzec spojrzął na wchodzących.

– Dobry Boże, Helen, nie mów, że przeszedłeś tyle schodów tylko po to, żeby złożyć mi wizytę. – Black oparł się o framugę, usiłując złapać oddech po długiej wspinacze.

– Wszystkiego sto czterdzieści trzy.

– Rób tak dalej, moja droga, a wyrządzisz sobie krzywdę.

– Cholernie mało prawdopodobne – mruknęła pod nosem. Wskazując na Blacka rzekła nieco głośniej: – Przyszedł do pana posterunkowy.

– Inspektor Morris Black.

– Dziekan Matthews. Chce nam pan pomóc? – Matthews promieniał. Wyglądał raczej jak dobrotny dziadunio, niż jak dziekan największego kościoła w Anglii.

– Ktoś ma zamiar zniszczyć katedrę – zaczął Black. – Sprofanować i zdewastować.

– Nie ma pan na myśli naszych przyjaciół w samolotach? – spytał Matthews, spoglądając w stronę sufitu. Doskonale słyszeli nurkujące bombowce. Potężny, wibrujący ryk, który zatykał uszy grzmącym wirem dźwięków.

– Nie o nich mówię.

– Jest pan pewien?

Black przytaknął.

– Ten człowiek jest szalony. Wydaje mi się, że ma zamiar podpalić kościół. Może to zrobić. Nazywa się John Martin. Jest tu dzwonnikiem.

Matthews osłupiał.

– Pan żartuje!

Inspektor usiłował mówić spokojnie. Nie było teraz czasu na wyjaśnienia.

– Niestety nie, sir. Może już dostał się do środka.

– Ten facet, jak on wygląda? – spytała nagle kobieta.

– Widziałem go tylko raz i to z daleka. Nie jestem pewien.

– W pana wieku? Rok albo dwa młodszy? Mały, nosi okulary? Chudy?

– Możliwe.

– O cholera – mruknęła Helen. – Wiedziałam, że coś z nim nie w porządku.

– Widziała go pani?

– Mniej więcej godzinę temu. Ponury typ. Miękki, słaby głos. Miał ze sobą walizeczkę. – Pokręciła głową. – A ja spytałam go, czy przyniósł ze sobą kolację. Jezu Chryste! – Zaczerwieniła się lekko. – Przepraszam. Wymknęło mi się.

– W tych okolicznościach nie szkodzi, moja droga – uspokoił ją Matthews.

– Gdzie ten szalenięć może narobić najwięcej szkód? – spytał szybko Black. – Zakładając, że ma ze sobą ładunek wybuchowy?

Dziekan nie musiał się zastanawiać.

– Kopuła. Bez wątplenia.

– Dlaczego?

– Kopuła ma dwie warstwy. Tę wewnętrzną, którą widać we wnętrzu katedry i drugą, którą widać z ulicy. Zewnętrzna to stosunkowo cienka warstwa ołowiu

oparta na rusztowaniu z drewnianych desek. Ceglany stożek ustawiony ponad wewnętrzną kopułą wspiera wieżyczkę. – Matthews znał tę kwestię jak pacierz. Najwyraźniej wyjaśniał ją już wiele razy.

– Co może spowodować największe szkody?

– Drewniane belki. Pomiedzy ołowiem a ceglami musi być chyba ze trzydzieści czy czterdzieści ton belek.

– Stare? Suche?

– Wysyczały w spokoju przez ostatnie dwieście czterdzieści trzy lata – stwierdził Matthews. – *Suche* to mało powiedziane. – Przerwał. – Stanowią nasze największe zmartwienie od czasu, kiedy to piekło się rozpoczęło. Jeżeli zajmą się ogniem, ołowiana kopuła zacznie się topić. I to będzie koniec katedry.

– Cholera.

– Dokładnie – odpowiedział zwięźle dziekan. Znowu przerwał. – Co pan proponuje?

– Szukać go.

– Będzie pan potrzebował pomocy. Proszę poczekać, a ja...

– Nie ma czasu, sir. Za późno. – Black powoli, z drżeniem wciągnął powietrze. – Jak mogę się tam dostać?

Diekan popatrzył na Blacka z niepokojem. Niepokojem i czymś jeszcze. Wreszcie kiwnął głową. – Z Galerii Szeptów. Zaprowadzę pana.

– Ja to mogę zrobić – odezwała się kobieta.

Matthews stanowczo odmówił: – Nie, Helen. To mój obowiązek. Zejdz na dół i ściągnij tyłu ochotników, ilu ci się uda. Wyjaśnij sytuację i powiedz, że mają się tu ze mną spotkać.

– Już lecę, sir. – Kobieta odwróciła się i wybiegła z biblioteki.

– Tędy, inspektorze – powiedział dziekan.

Black podążył za siwowłosym mężczyzną. Przeszli przez małe drzwi po prawej stronie i znaleźli się w wąskim korytarzu. Kamienne ściany były zimne w dotyku. Trudno uwierzyć, pomyślał Black, że coś tak mocnego może zostać zniszczone rękami jednego człowieka. Doszli do kolejnych drzwi, przekroczyli je i znaleźli się w Galerii Szeptów.

Sześć par małych drzwiczek znajdowało się w ścianie dookoła galerii. Każde z nich otwierały dostęp do płataniny wąskich korytarzy biegnących pomiędzy wewnętrznymi i zewnętrznymi wspornikami rusztowań, a także do specjalnych przejść prowadzących do „bębna” kopuły i na dach. Ze skomplikowanego wyjaśnienia dziekana Black zrozumiał, że kopuła i podtrzymujący ją „bęben” przypominają plaster miodu pełen ukrytych korytarzyków.

Matthews podprowadził Blacka do czwartych drzwi. Stały otworem, wijący się wąż strażacki nikał w ciemnościach.

– Bezżyteczne – stwierdził dziekan, kopiąc parcianą rurę. – Niemcy wybrali doskonały moment. Najniższy od lat poziom wody. Hydranty ciągną tylko muł.

– Jest tu jakiś inny zapas wody?

– Tylko to, co się przyniesie. Wszędzie ustawiliśmy wiadra i wanny. Możemy użyć jedynie ręcznych pomp.

– Czy są tu jacyś pańscy ludzie? – spytał detektyw, wskazując w stronę wejścia.

– Jeszcze nie. Betjeman i sześciu innych pilnują dachu dość daleko stąd.

– I niech tak zostanie na razie, sir. Ten człowiek jest straszliwie niebezpieczny. Zabijał już. Wiele razy.

Dziekan zbladł.

– Czy ma pan broń?

– Tak. – Black rozpiął kurtkę i sięgnął po rewolwer. Sprawdził magazynek; załadowany.

– A ten szaleniec, którego pan ściga, czy jest uzbrojony?

– Nie mam pojęcia. To możliwe. – Black pomyślał o sposobie, w jaki Kuba Pedal zamordował na jego oczach Trencha, potem znowu zobaczył Spilsbury’ego wyciągającego metalowy grot z karku Jane Luffington.

– Może powinien pan zaczekać – powiedział cicho dziekan.

Black pokręcił głową.

– Nie. Wreszcie trzeba z tym skończyć. – Ruszył do drzwi, ale Matthews położył mu dłoń na ramieniu.

– Niech błogosławieństwo Boga i Kościoła pozostaną z panem, inspektorze. Black zdołał uśmiechnąć się słabo.

– Wątpię, czy pana błogosławieństwo odniesie jakiś skutek, dziekanie Matthews. Nie ta wiara, jeżeli w ogóle pozostała mi jakaś. Jestem Żydem.

Duchowny wzruszył ramionami.

– Podobnie jak święty Paweł.

Bombowce nadal sunęły po niebie, zrzucając swój ładunek w rosnące słupy dymu i płomieni. Podczas pierwszych dwudziestu minut nalotu spadło więcej niż sto ton pocisków zapalających. Kiedy Morris Black wspinał się wąskim przejściem do wewnętrznej kopuły katedry, co najmniej dwieście pożarów szalało w centrum miasta.

Ponad osiemset pocisków trafiło w pobliżu Paternoster Row, w odległości nie większej niż sto pięćdziesiąt metrów od świątyni. Budynek kilkunastu pobliskich wydawnictw stanęły w płomieniach. Zapadły się dachy, szkło eksplodowało. Żarzący się pył roznoszony silnym wiatrem wzniecał pożary w całej okolicy. Noc stała się dniem, a w samym środku tego piekła ciemniała kopuła katedry świętego Pawła, widoczna na mile z każdej strony, otoczona chmurami dymu i ognia.

Stosy cegieł i belek blokowały wejścia do wąskich alejek wokół kościoła. Jednak gdyby nawet strażacy mogli się tam dostać, niewiele zmieniliby sytuację. Tamiza przypominała wyschnięty kanał, a węże i pompy zapychały się od mułu. Brakowało wody. City płonęło bez ratunku.

Morris Black dojrzał wreszcie do szczytu kiepsko oświetlonych schodów i otworzył małą, drewnianą furtkę, prowadzącą do przestrzeni pomiędzy wewnętrzną a zewnętrzną kopułą. Dzwoniło mu w uszach od dobiegających ze wszystkich

stron eksplozji. Otworami wentylacyjnymi zaczynało wdzierać się rozpalone do niemożliwości powietrze.

Black zamknął furtkę za sobą, wyprostował się ostrożnie i rozejrzał dookoła. Było zadziwiająco jasno. Blask szalejących pożarów docierał przez świetliki i odbijał w okienkach wewnętrznej kopuły. Przedostawał się także przez pęknięcia w arkuszach wiekowej ołowianej blachy, tam, gdzie stykały się one z metalowymi żebrami, nadającymi kopule półokrągły kształt.

Wyciągając szyję, Black mógł dotrzeć wzrokiem do masywnych podpór podtrzymujących wieżyczkę, która wznosiła się dumnie nad falującym morzem płomieni. Nigdzie nie było widać ani śladu Kuby Pedąła.

Inspektor zaczął wspinać się po rusztowaniu z belek. Powoli obszedł wysoki, ceglany stożek o strukturze plastra miodu, po czym zatrzymał się na chwilę dla złapania oddechu. Wyciągnął rękę i dotknął pokrycia zewnętrznej kopuły, spodziewając się poczuć pod palcami metal.

Zamiast tego jego dłoń musnęła grube drewniane płyty, poczerniałe ze starości i straszliwie suche. Jedna bomba zapalająca, nie zauważona w porę, wystarczy, aby zmienić w piekło przestrzeń pomiędzy obydwooma konstrukcjami. Pamiętał dane, które wkuwał ongiś w szkole. Kopuła ważyła siedemset ton, tyle, co mały statek. Siedemset ton topiącego się ołowiu i płonących dębowych belek. Piekielny żar, zdolny zmienić diamenty w parę, stos pogrzebowy szaleńca. To było dzikie morderstwo Kuby Pedąła, bo kopuła przypominała gigantyczny dzwon.

Black ruszył przed siebie. Wciąż w górę. Coraz dłuższe belki rozciągały się wewnątrz cienkiej, pokrytej ołowianą blachą czaszy. Raz spojrzął w dół i niemal stracił równowagę. Zaciśnął mocno oczy, złapał za drewnianą podporę i zaczął, aż minie zawrót głowy.

Kiedy dotarł do wyższych partii rusztowania, kątem oka pochwycił jakiś ruch. Posuwając się powoli, dojrzał postać mężczyzny, drobną, pochyloną nad jakimś przedmiotem. Powoli, ostrożnie, Black wyciągnął rewolwer. Zaklął cicho. Nawet w najlepszych czasach nie był dobrym strzelcem, a tutaj, wśród wsporników i belek rusztowania nie miał możliwości ustalenia prostej linii ognia.

Poruszył się znowu, przesuwając delikatnie, dopóki jedna stopa i wolna dłoń nie znalazły oparcia na kruszących się ceglach murowanego obramowania. Wstrzymał oddech, podniósł broń. I wtedy kichnął.

Dźwięk rozległ się grzmącym echem w zamkniętej przestrzeni, zagłuszając przez chwilę ryk pożarów. Kuba Pedał poderwał się na nogi. Płomienie odbijały mu się w szklach okularów. Zauważył wroga. W migocącym półświetle inspektor był niemal pewien, że dostrzegł błysk wyszczerzonych zębów. Uśmiech szaleńca czy nagły grymas złości i strachu? Uszu Blacka dobiegł zwierzęcy skowyt.

Obłąkany chwycił tubę, którą przedtem mocował do drewnianego rusztowania i wsadził ją do kieszeni długiego, szarego płaszcza. Poruszał się żwawo, jakby tańczył pomiędzy belkami. Łapiąc za wsporniki nad głową, przeskakiwał ze sprawnością małpy nad zięjącymi pustką i kurzem dziurami. Black wypalił. Wystrzał odbił się echem od czaszy kopuły, ale było już o wiele za późno. Kuba Pedał znikł, zagubiony wśród pokręconych cieni.



Detektyw wetknął broń za pasek i dał susa. Mniej niż minutę później ze szczytu ceglanego stożka znowu dostrzegł sciganego.

Wysoka konstrukcja okazała się latarnią kopuły, pokrytą wielkimi płytami oprawionego w ołów szkła, tak, aby naturalne światło mogło dostawać się do wnętrza katedry. Kuba Pedał czołgał się po przezroczystej powierzchni. Tylko grubość szyb dzieliła go od marmurowej posadzki i epitafium Wrena sto metrów poniżej. Zatrzymał się i obejrzał przez ramię. Znowu błysnęły w mroku okulary. Potem mężczyzna ruszył pospiesznie przed siebie. Długie poły płaszcza ciągnęły się za nim jak skrzydła.

– Loudermilk! – wrzasnął Black. Ryk pożarów i huk silników bombowców wydawał się tu znacznie głośniejszy. Black czuł, jak pod jego dłońmi wibrują belki rusztowania.

– Loudermilk! – krzyknął znowu, ale uciekinier nie zatrzymał się. Najwyraźniej zmierzał w stronę drabiny biegnącej do podstawy wieżyczki nad ich głowami. Na oczach bezsilnego inspektora Kuba Pedał dopelził do brzegu latarni, wstał i zaczął wspinać się po żelaznych szczeblach. Kilka sekund później znikł.

– Dopadnę cię – jęknął głośno Black. O tak, na pewno cię dopadnę. Za Rudelskiego i Talbota, i za innych. Za mękę Gurneya. Za małego Bernarda Exnera. Za Katherine. I za siebie. Ostatnim wysiłkiem ruszył się do przodu. Starając się nie stąpnąć na niebezpieczne szklane tafle, szedł chwiejnie po cienkich podporach z kamienia. W połowie drogi przez latarnię wewnętrzną kopuły rzucił go na kolana nagły wstrząs. Po chwili Black podniósł się otepiały.

Kątem oka zobaczył czub bomby burzącej wbity w ołowiane pokrycie czaszy sklepienia. Zaokrąglony nos pomalowany był na idiotycznie wesoły, niebieski kolor.

Przerażony Black gapił się na groteskowy przedmiot nad swoją głową. Bomba mająca około metra średnicy tkwiła wbita mocno w zewnętrzną pokrywę kopuły. Niewypał? Zapalnik czasowy? Jakiś rodzaj pułapki? Zagadka kryła w sobie dwieście pięćdziesiąt kilogramów materiału wybuchowego. Dość, aby przenieść Blacka wprost do Królestwa Niebieskiego i podpalić kopułę katedry bez pomocy Kuby Pedała.

Inspektor spojrział przed siebie. To nie ma teraz znaczenia. Wyprostował się i bez wahania przeszedł kilka ostatnich kroków po kamiennej podporze. Dotarł do drabiny i zaczął się wspinać. Kilka sekund później znalazł się u podstawy wieżyczki i wyszedł na Złotą Galerię. Poniżej leżał Londyn spowity w dym i płomienie.

Świat tonął w ogniu. Z miejsca, gdzie stał, Black widział całe City, od Tamizy i Fleet Street na południu i zachodzie po Liverpool Street i Tower na północy i wschodzie. Wszędzie było jasno jak w dzień. Pożary ogarniały ulice i kwartały domów, potężniejąc z minuty na minutę.

Budynki w najbliższym sąsiedztwie katedry gorzały tak jasnym płomieniem, że Black musiał odwrócić wzrok. Żarzące się główne latały w powietrzu jak szarańcza, ciągnąc za sobą snopy iskier. Dookoła rosły ściany dymu – żółte, czerwone, wściekle różowe. Coraz więcej budynków waliło się i zmieniało natychmiast

w tłące stopy gruzu. Huk bomb dźwięczał w uszach jak coś żywego, powietrze stało się tak gorące, że paliło skórę. Ponad głową Blacka, tak blisko, że zdawało się, iż wystarczy sięgnąć ręką, aby ich dotknąć, płynęły fale bombowców. Ciemne, szerokoskrzydłe kształty i srebrne sylwetki błyszczące wszystkimi kolorami piekła w blasku pożarów. To był Armageddon.

W odległości trzech metrów od inspektora stał Kuba Pedał i patrzył przez poręcz balustrady na wizje piekła, które dotąd kłębiły się jedynie w jego udręczonym umyśle. Kiedy spostrzegł, że nie jest sam, odwrócił się i ruszył na spotkanie swojego prześladowcy. Do piersi przyciskał spory kanister. Black zbliżył się z wyciągniętą bronią, ale zawahał się na widok lewej dłoni mężczyzny. Jej palce jak szpony zaciskały się na pętli drutu biegnącej do zawleczonego pocisku zapalającego.

Black krzyknął głośno, aby przebić się przez ryk pożarów szalejących dookoła nich.

– Skończyło się. Oddaj to.

– Nigdy się nie skończy. – Głos był suchy i słaby, jakby rzadko używany. Black postąpił krok do przodu. Wiatr na galerijce wył i jęczał.

– Pozwól mi to wziąć – powtórzył inspektor, wyciągając wolną dłoń. Zrobił kolejny krok. Kuba Pedał cofnął się do poręczy. Gdzieś w piekle pod nimi nastąpiła potężna eksplozja i Black czuł, jak podłoga drży pod jego stopami. Cała katedra zgrzytała i chwiała się, wielka arka tonąca w diabelskim oceanie. Ponad nimi bombowce nadpływały i nadpływały, hucząc na gniewnym niebie. Powietrze dookoła zdawało się krzyczeć.

– Nie podchodź!

Detektyw widział palce Raymonda Loudermilka zaciśnięte na drucie. Jeżeli szaleńcowi uda się zdetonować ładunek, zginą na miejscu, a katedra świętego Pawła stanie się ich stosem pogrzebowym. Dwaj mężczyźni, stojąc nieruchomo patrzyli na siebie. Oczy Loudermilka były puste, szkła okularów odbijały tylko łunę pożaru. W pewnym momencie zerknął w dół, zwabiony gigantycznym kataklizmem szalejącego ognia. Black skorzystał z tego, aby podsunąć się jeszcze o kilka kroków bliżej, ale zastygł na widok ruchu dłoni Loudermilka. Małe usta mężczyzny otworzyły się, potem znowu zamknęły.

– Powiedz mi – zachęcił go Black. – Powiedz mi to, co chcesz powiedzieć.

– Kochałem ich – wyszeptał Raymond Loudermilk. – Kochałem ich wszystkich.

– Wiem – odpowiedział Black uspokajająco. – Wiem. – Przerwał. – Ale to już skończone, Raymond. Czas już zakończyć. – Gardło wyszło mu na wiór, a oczy zaczęły łzawić od iskier fruwających dokoła jak płatki płonącego śniegu. Palce delikatnie dotknęły spustu rewolweru. Wycelowanie i strzał zajęłyby tylko chwilę, ale i w tak krótkim momencie bomba mogłaby eksplodować. Black zmusił się, aby stać spokojnie. Czuł, jak mięśnie ud zaczynają mu drżeć, a serce podchodzi do gardła. Potrzebował już tylko jednego kroku, jednego błyskawicznego ruchu.

– To się nigdy nie skończy – powiedział Loudermilk. Jedną ręką chwycił się poręczy. Uniósł nogę. Mój Boże, pomyślał Black, on chce skoczyć. Szaleniec

podniósł twarz do góry, patrząc w płonące niebo. – Zobacz – szeptał. – Zobacz, co zrobiłem. – Znowu spojrzął wprost na Blacka i wspiął się na barierkę. Nie było już czasu.

Black wystrzelił. Pocisk trafił w kolano. Mężczyzna krzyknął, niemal tracąc równowagę. Wtedy Black skoczył do przodu, odrzucając broń, aby móc swobodnie użyć obu dłoni. Zanim Loudermilk zdążył zareagować, Black już powalił go i odciągnął zaciśnięte palce od drutu detonatora. Twarze walczących oddzielało tylko kilka centymetrów. Inspektor czuł paskudny, kwaśny odór potu leżącego pod nim człowieka. Zapach strachu i śmierci.

– To się nigdy nie skończy – powtórzył Loudermilk. Black wbił mu łokieć w bok i uderzył rannym kolaniem w poręcz. Szalenciec zawył z bólu. Wtedy inspektor wyszarpnął kanister i odskoczył. Loudermilk podciągnął się przy poręczy, jego noga odnalazła drogę.

Black rzucił się do przodu, nadal ściskając kanister, ale było już za późno. Morderca wbił wzrok w Blacka. Oczy mu gorzały, usta wykrzywiały się w straszliwej parodii uśmiechu.

– Znałeś moje imię. Pamiętaj o mnie! – Przechylił się przez balustradę.

Przez chwilę inspektorowi wydawało się, że Kuba Pedał fruwa, unoszony przez wiatr szalejący dookoła kopuły katedry. Długie poły płaszcza rozpościerały się jak skrzydła demona albo pogrzebowy całun. Leciał w dół, skrzydła powiewały na tle płomieni, dym otaczał mu głowę i ramiona. Wir powietrza uderzył nim o podstawę kopuły. Black był pewien, że widział w oślepiającym świetle pożarów, jak złamana ręka wyciąga się, usiłując złapać za roztopioną z gorąca krawędź czaszy.

I już go nie było.

Morris Black oparł się o poręcz i głęboko odetchnął. W uszach brzęczały mu wciąż ostatnie słowa Raymonda Loudermilka i słaby, szalony, cichy odgłos małych dzwonów w kaplicy. Zamknął oczy, pragnąc, aby widmowe dzwony, głos umierającego i wszystko dookoła wreszcie ucichło. Miał już dość. Nigdy więcej, pomyślał, nigdy więcej.

Po chwili zmusił się do działania. Podeszedł do schodów wieżyczki. Pożary nadal szalały, a poprzez chmury iskier widać było nadlatujące bombowce. Jednak tego wieczoru jego własna bitwa dobiegła końca. Kuba Pedał zginął i jego sekrety przepadły wraz z nim. Enigma była bezpieczna. Kiedyś wszystkie te wydarzenia zostaną zapomniane, znaczyć będą mniej niż drobny przypis w nieskończonej księdze historii. Wówczas może nawet odezwą się dzwony. Black zaczął schodzić w ciemność. Dążył w kierunku światła. Myślał o przyszłości i o Katherine.

## EPILOG

NIEDZIELA, 11 MAJA 1941 ROKU

17.00 CZASU GREENWICH

**P**o opuszczeniu Londynu kapitan Guy Liddell skierował się w stronę wybrzeża. Ominął Southampton i, wybierając mniej znane mniejsze drogi, dotarł w końcu do Brockenhurst. Cieszył się, że mógł wyjechać z Londynu. Poprzedniego wieczoru Luftwaffe przeprowadziła nalot, chyba nawet większy niż ten, który doprowadził do śmierci Kuby Pedala kilka miesięcy temu.

Krażyły plotki, że to początek błyskawicznej ofensywy na Anglię, ale Liddell wiedział lepiej. Wielkie bombardowanie było łabędzim śpiewem niemieckich sił powietrznych. Rozszyfrowane wiadomości podawały, że ma nastąpić atak na wschód. Rosyjska zima nie stanowiła już zagrożenia, Hitler skierował więc swoją uwagę w innym kierunku. Anglia miała zbyt małe znaczenie jak na szalone ambicje przywódcy Trzeciej Rzeszy.

Liddell zatrzymał się na herbatę, a potem ruszył dalej wąską, wijącą się drogą, która zawiodła go przez Setley Park do Ladycross Lodge i Hatchet Pond na północnym skraju Beaulieu Heath. Wokół rozciągał się urzekający krajobraz: kraina zapomniana przez Boga i ludzi, w dali dzikie lasy i nagie skały, bliżej jakby wyjęte z kart powieści sióstr Brontë; łagodne wzgórza pokryte łubinem i wrzosem, zalane złotym światłem zachodzącego słońca.

Kilka razy podczas tej podróży ponad głową Liddella huczały myśliwce. Nie mąciło to jednak sielskiego nastroju.

Kapitan zorientował się nagle, że się uśmiecha. Poprzedniej nocy w ręce Anglików oddał się zausznik Hitlera, Rudolf Hess. Wylądował w Szkocji, gdzie wpadł w ręce lokalnej policji. O ile Liddell się orientował, hitlerowski dygnitarz został zabrany do Latchmere House i podlegał teraz nazbyt czulej opiece Żelaznego Oka Stephensa. Może bzyczące nad głowami myśliwce miały nadzieję na jakiś większy

łup. Może nawet marzył im się sam tłusty Hermann, wciśnięty w siedzenie ulubionego messerschmitta.

Liddell dotarł do wioski Beaulieu około siódmej i zatrzymał się przed „Montagu Arms”, stojącym przy głównej ulicy, budynkiem z czerwonej cegły, który wyglądał bardziej jak wiejska posiadłość niż gospoda. Dzwonił wcześniej z Londynu, aby zamówić sobie nocleg. McEntee, przysadzisty mężczyzna po pięćdziesiątce, o czerwonej twarzy, wyszedł, aby powitać gościa osobiście. Uścisnęli sobie dłonie.

– Witamy w Beaulieu, sir, i w „Montagu Arms”. Zabiorę pana samochód do garażu i zaraz podam obiad, jeżeli to panu odpowiada.

– Dziękuję. Jestem umówiony z przyjacielem. Mieszka w Opactwie.

– Ach, tak? – Uprzejmy uśmiech lekko zbladł.

– Może mi pan powiedzieć, jak się tam dostać?

McEntee kiwnął głową.

– Oczywiście. Po prostu musi pan pójść w dół ulicy i przejść przez most. – Zmarszczył brwi. – Jestem pewien, że dalej ktoś panu wskaże drogę.

– Dziękuję.

– Kolacja będzie gotowa mniej więcej za godzinę, sir, jeśli pan sobie życzy.

– W porządku.

– Potem mogę panu pokazać ogród. Jesteśmy z niego bardzo dumni. Niektóre krzewy zaczynają właśnie kwitnąć.

– Bardzo chętnie.

Uśmiech powrócił na twarz pana McEntee. – Cieszę się, sir.

Pozostawiając gospodarzowi troskę o samochód, Liddell pomaszerował szeroką drogą aż do kamiennego mostku. Po lewej stronie ciemniała toń małego bagnistego jeziora. Stary jaz za mostem kontrolował przepływ wody, wpadającej do rzeki Beaulieu.

Niski przypyływ pozostawił kilka małych łódek w mule przy brzegu, ostatnie promienie zachodzącego słońca malowały je na żółto i złoto. W powietrze wzbili się klucz ptactwa wodnego, niecierpliwe cienie wznoszące się na tle sylwetki Opactwa po drugiej stronie jeziora. Liddell zatrzymał się, oparł o kamienną poręcz i zapalił fajkę. Scena była pełna spokoju i uroku. Nigdzie śladu wojny. Nic dziwnego, że Morris Black wybrał to miejsce.

– Sanktuarium – odezwał się głos z cienia. To był Black. Postąpił naprzód, dołączając Liddella. Inspektor miał na sobie mundur gajowego.

– Witaj, Black. – Liddell wyciągnął dłoń, ale inspektor odwrócił się, oparł dłonie na poręczy mostu i zapatrzył się w dół, na rzekę.

– To naprawdę sanktuarium – powiedział Black. – Oficjalnie. Jedno z czterech czy pięciu miejsc w Anglii, które dawało pełne schronienie na swoim terenie. Inne kościoły w Anglii mogły chronić tylko przez czterdzieści dni, a Beaulieu do końca życia.

– Nie wiedziałem o tym.

– Królowa Małgorzata z Anjou, hrabina Warwick, Perkin Warbeck, oni wszyscy korzystali z azylu w Beaulieu. Zakrawa na ironię, zważywszy na to, co się tu dzieje teraz.

Liddell kiwnął głową. W tym właśnie tkwił problem. On sam dokładnie nie wiedział, co też ostatnio dzieje się w Beaulieu. Oficjalnie Opactwo i kilka domków na jego terenie zostały oddane dla potrzeb tak zwanego Wewnętrznego Biura Naukowego, które było przykrywką dla równie tajemniczej organizacji o nazwie Special Operations Executive (Oddział Operacji Specjalnych), czyli SOE. Organizacja ta została utworzona pod osobistym nadzorem Churchilla, jako ośrodek pomocy i współpracy z ruchem oporu w różnych krajach okupowanej Europy. Jej dyrektorem mianowano byłego członka parlamentu z ramienia konserwatystów, Franka Nelsona, który przedtem pracował w Bletchley, ale nie miał żadnych powiązań z władzami wywiadu brytyjskiego. Niezależność SOE powodowała pewne niesnaski, zwłaszcza od czasu, kiedy jej zadania stały się niebezpiecznie zbliżone do zakresu działalności MI6.

– Jest pan tu szczęśliwy? – spytał po chwili Liddell.

– *Zadowolony* to lepsze słowo, jak sądzę – odparł Black, nadal patrząc w wodę. – Przynajmniej nie siedzę w Londynie.

– Nigdy jakoś nie wyglądał mi pan na wiejskiego dziedzica.

– Tak też i mnie się wydaje. Ale to lepsze niż rola emerytowanego policjanta. – Black przerwał. – Niewiele zresztą miałem do powiedzenia w tej sprawie. Wiedza o waszej cholernej Enigmie zrobiła ze mnie pariasa na terenie Yardu. – Co, jak wiedział Liddell, stanowiło źródło gniewu Blacka. Znajomość tego sekretu naznaczyła inspektora piętnem, które musiał nosić do końca wojny, a nawet dłużej. Uwikłanie w sprawę Tennanta było niemal równie niebezpieczne. Morris Black należał do nielicznych ludzi, którzy zdawali sobie sprawę z tego, jak blisko wojny domowej znalazła się Wielka Brytania; wojny domowej, podsycanej przez Kennedy'ego i grupę angielskich zdrajców.

Liddell odezwał się w końcu.

– A więc co pan tutaj robi?

Black wzruszył ramionami.

– Uczę technik przesłuchiwania, czasami udaję agenta gestapo. – Przerwał i spojrzął na Liddella. – Naprawdę nie wolno mi mówić zbyt wiele.

– Czy dlatego spotkaliśmy się tutaj? – uśmiechnął się Liddell. Popukał fajką w kamienną poręcz. – Horacjusz na moście, broniący swoich przyjaciół?

– Ludzie, dla których tu pracuję są odrobinę podejrzliwi w stosunku do bratnich organizacji. Wątpię, aby udało mi się zaprowadzić pana dalej niż kilka kroków bez całego stosu pisemnych pełnomocnictw. – Black wskazał na wielką budowlę na tle lasu. – Tamte ruiny są pełne małych ludzików z dużą bronią. Wszyscy oni z dziką rozkoszą postrzeliliby zupełnie przypadkiem oficera MI5. – Black uśmiechnął się zimno. – Metr – może trochę mniej, może trochę więcej, to odległość, którą zdołałby pan przejść, obawiam się.

Liddell puścił mimo uszu zawołaną groźbę.

– A więc zjemy razem obiad?

Black zawahał się przez chwilę, potem skinął głową. – Czy po to właśnie przebył pan taki kawał drogi? – spytał w końcu.

– Chcę panu opowiedzieć całą resztę o Kubie Pedale.

– Nie jestem pewien, czy naprawdę mnie to interesuje. Ale wypiję z panem szklaneczkę.

Poszli milcząc do „Montagu Arms” i usiedli w obszernej, wyłożonej dębową boazerią wnęce sali jadalnej. Rozmawiali o niczym, Liddell jadł, Black popijał sherry. Wreszcie skończyli posiłek. Kapitan oparł się wygodnie i nabił fajkę.

– Czy miał pan ostatnio wiadomości od panny Copeland? – spytał, zapalając zapalke.

– Nie. – Black pokręcił głową. – Wróciła do Waszyngtonu. Zapewne pracuje dla Donovana i jego ludzi.

– Interesująca kobieta. Atrakcyjna.

– Tak.

Nastąpiła chwila ciszy i Liddell zorientował się, że wszedł na grząski grunt.

– No cóż, wydaje się, że sprawy z Amerykanami lepiej się nam układają od czasu, kiedy odszedł Kennedy. Z Winantem można się porozumieć.

– Tak słyszałem – przytaknął Black. Znowu zaległa cisza. – Miał mi pan powiedzieć o Kubie Pedale.

– A, tak. – Liddell wypuścił kłęb dymu. – W końcu okazało się, że miał pan rację od początku do końca. W tym czy innym czasie pracował z połową ludzi z Bletchley Park. Albo grywał z nimi w szachy.

– Szachy były w centrum tej historii. Prawie od początku.

Liddell kiwnął głową.

– Dzięki nim wybierał swoje ofiary.

– Od jak dawna Kuba Pedał wiedział o Enigmie?

– Obawiam się, że od początku. Pracował z Turingiem nad pierwszą maszyną dekodującą. Właściwie to sam wykonał kilka części. Genialny mechanik. Nie wielu było od niego lepszych.

– Wydaje mi się, że udało wam się utrzymać prasę z dala od tego koszmaru. Minęło już niemal pięć miesięcy i cisza.

– Oficjalnie Kuba Pedał nigdy nie istniał. Jedyne zapisy dotyczące jego osoby to prywatne notatki Spilsbury’ego z autopsji. Bez podania nazwiska. Wszystkie inne dane zostały usunięte.

– A co zrobiliście z tym człowiekiem, którego przywiózł pan z wyspy Man? Czy on też „został usunięty”?

– Pracuje dla Mastermana jako przesłuchujący. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby się okazało, że siedzi teraz w Latchmere i wraz z Żelaznym Okiem pracuje nad Herr Rudolfem.

– Słyszałem o Hessie. Niesamowite. – Inspektor uśmiechnął się blade. – Hitlerowcy przyjaciele Kennedy’ego muszą chyba szaleć z niepokoju, zastanawiając się, co Hess tam opowiada. Był częścią ich małego spisku.

– Tak. Wydaje mi się, że szukają teraz kryjówek. Nisko pochylone głowy i budujące patriotyczne przemowy w Izbie Lordów, aby potwierdzić własną lojalność. – Liddell mrugnął znacząco. – Nadal mamy ten film Knighta, na wszelki wypadek. Nie wspominając o nagraniach Tennanta.

– A co się stało z aktami Tennanta, pańskiego nieuchwytnego Doktora?



– Doprowadziły do obłędu Maxwella Knighta. Było tam dość materiału na obalenie tuzina rządów. Zostały zniszczone, dzięki Bogu. Doczekaliśmy końca zarówno Kuby Pedala, jak i Tennanta. Ich sekrety nie wyjdą już na jaw.

– Doktor i Kuba Pedał nie są ostatni – powiedział cicho Black. – Zdrada i szaleństwo trwają wiecznie.

– Pewnie ma pan rację – uśmiechnął się Liddell. – Dzięki tej smutnej prawdzie ludzie tacy jak ja i pan mają zapewnioną pracę.

– Czy coś jeszcze? Naprawdę muszę już wracać.

Kapitan wzruszył ramionami.

– Nie, to już wszystko. Po prostu wydawało mi się dobrym pomysłem, żeby przyjechać tu i zobaczyć, jak daje pan sobie radę. – Było to rzecz jasna kłamstwo, ale to, co Liddell mówił czy robił ostatnio, niewiele miało wspólnego z prawdą. Odsunął krzesło. – Odprowadzę pana na most.

– Jeżeli pan chce – powiedział łagodnie Black. Wydawało się, że jest mu wszystko jedno. Liddell czuł, że w tym człowieku coś umarło. Inspektor nie prezentował chłodnej postawy obronnej, ale obojętny spokój. Niszczony przez emocje i wydarzenia, Morris Black ukrył się w oku szalejącego dokoła cyklonu.

Poszli w stronę mostu. W połowie drogi inspektor zatrzymał się i odwrócił.

– Po co pan tu naprawdę przyjechał? Przecież nie dlatego, aby przekazać mi plotki czy zapytać o Katherine.

– Chciałem sprawdzić pańską lojalność.

– Żebym szpiegował dla pana? – spokojnie spytał Black. – O to chodzi? Pańscy ludzie nie wiedzą, czym właściwie zajmuje się SOE i ja mam dostarczyć im informacji.

Liddell westchnął. Black pozostał dobrym detektywem. Nie było sensu kłamać.

– Tak nam się zdawało.

– Co zrobiliby ze mnie zdrajcę podobnego Tennantowi i szaleńca na wzór Raymonda Loudermilk.

– Niezupełnie. Tennant pracował dla wroga, a Kuba Pedał był mordercą.

– O ile wiem, każdy może stać się wrogiem, a definicja szaleństwa jest zmienna. Gdyby Loudermilk zabijał hitlerowców w Berlinie, nazwałby go pan patriotą albo bohaterem.

– To jest odpowiedź na moje pytanie.

– Nie, chyba nie. – Głos Blacka brzmiał chłodno.

– Niech pan po prostu pomyśli o mojej propozycji. – Liddell pozwolił, aby rozmowa została zakończona. Jeżeli powie za dużo, za szybko, wąta nic porozumienia ulegnie zerwaniu.

Black odezwał się w końcu.

– Niczego nie obiecuję. Nie teraz. Ani panu, ani komukolwiek innemu. Nigdy więcej.

– O nic nie proszę.

– Ale pan poprosi. W końcu. Ludzie pańskiego pokroju zawsze to robią.

– Być może.



Patrzyli na siebie przez chwilę. Twarz Blacka zacierała się w gęstniejących ciemnościach. Liddell wyciągnął dłoń i Black ujął ją tym razem. Uścisk był mocny i suchy.

– Do widzenia, Liddell.

– Do widzenia, Morris.

Detektyw skinął głową i odwrócił się. Przeszedł przez most. Kroki zadudniły głucho na kamieniach. Nagle przystanął, odwrócił się i podniósł dłoń w geście pożegnania. Liddell uprzejmie odpowiedział tym samym i patrzył, jak Black znika w cieniu Opactwa.

Liddell pozostał na moście, spoglądając na płynącą wodę. Odetchnął głęboko, wdychając zapach dzikich kwiatów. Nie słyszał żadnego dźwięku z wyjątkiem szeptu wieczornego wiatru w gałęziach drzew. Przystań spokoju i łagodności, podczas gdy w odległości dwustu kilometrów, po drugiej stronie kanału, dzielącego Anglię od Europy, srożyła się wojna, burza śmierci i zniszczenia. Kapitan pokręcił głową ze smutkiem; Morris Black znalazł schronienie, przynajmniej na jakiś czas. – Azyl sanktuarium. – Na jak długo wystarczy tej ochrony?

Fajka zgasła. Liddell wsadził ją do kieszeni marynarki, a potem ruszył w stronę gospody. Wiedział, że na pytanie, które sam sobie zadał, nie znajdzie odpowiedzi. Trzeba było czekać.